

· C · H · A · R · L · I · E ·
FLETCHER

OSTATNI



fabryka słów
WYDAWNIC

• C • H • A • R • L • I • E •
FLETCHER

OSTATNI

Ilustracje: PAWEŁ ZARĘBA
Przełożył: PIOTR KUCHARSKI

TRYLOGIA NADZORU

TOM I - NADZÓR
TOM II - PARADOKS
TOM III - OSTATNI

fabryka słów®

Lublin – Warszawa

COPYRIGHT © 2017 BY Charlie Fletcher
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2019
COPYRIGHT © FOR TRANSLATION BY Marek Najter, 2017

TYTUŁ ORYGINAŁU
The Remnant

WYDANIE I

ISBN 978-83-7964-390-5

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA

Eryk Górski
Robert Łakuta

ILUSTRACJA NA OKŁADCE

Siergiej Szikin

ILUSTRACJE

black gear Paweł Zaręba

TYPOGRAFIA NA PODSTAWIE PROJEKTU

Dark Crayon

PROJEKT OKŁADKI

black gear Paweł Zaręba,
„Grafficon” Konrad Kućmiński

TŁUMACZENIE

Piotr Kucharski

REDAKCJA

Joanna Mika-Orządała

KOREKTA

Magdalena Byrska

SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ
pan@drewnianyrower.com

SPRZEDAŻ INTERNETOWA



Zamówienia hurtowe
Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o. sp.j.
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91
tel./faks: 22 721 30 00
www.olesiejuk.pl, e-mail: hurt@olesiejuk.pl



WYDAWNICTWO
Fabryka Słów sp. z o.o.
20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a
tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91
www.fabrykaslow.com.pl
e-mail: biuro@fabrykaslow.com.pl
www.facebook.com/fabryka
instagram.com/fabrykaslow/

Spis treści

Karta tytułowa

Śnieg na rzece

CZĘŚĆ PIERWSZA. Opowieści podróżnika

O niestabilnej mechanice lustrzanego świata oraz jego potencjale iluzorycznym

I. Z odległego brzegu

II. Hern myśliwy

III. Krwawy powrót

IV. Biegnący pies

V. Ogień i lustra

VI. Pod grabem

VII. Pedel

VIII. Żądze Abchurcha Templebane'a

IX. Niespodziewany zwrot

X. Przydałby się dwunastocalowy pilnik

CZĘŚĆ DRUGA. Powrót

O wyjątkowości kruków

XI. Każdy powrót jest zdradą

XII. Na północ dzięki parze

XIII. Zjawy

XIV. Strażniczka

XV. Dom i nie dom

- XVI. Armbruster i Magill
- XVII. Nadciągająca burza
- XVIII. Wyspa na wyspie
- XIX. Przybycie
- XX. Bezkrólewie w kantorze
- XXI. Dom na końcu świata
- XXII. Starzy przyjaciele
- XXIII. Śmierć nadziei
- XXIV. Pod ziemię
- XXV. Ostrzegawcza deska
- XXVI. Wyjątkowość kruków

CZĘŚĆ TRZECIA. Kradzież z włamaniem

O Amerykach

- XXVII. Przebiegły człowiek zarzuca przynętę
- XXVIII. Plany i decyzje
- XXIX. Obserwacja
- XXX. Myśliwy
- XXXI. Cisza w Bedlam
- XXXII. Krew woła
- XXXIII. Nocni złodzieje
- XXXIV. Skrót z Marblehead
- XXXV. Scowle w blasku księżyca
- XXXVI. Stary wróg i nowy rekrut
- XXXVII. Gałązka i rów
- XXXVIII. Pogwałcenie

XXXIX. Noc i mocny porter

XL. Monarcha wynajęty

XLI. Pies Kopacz

XLII. Martwy dzień później

CZĘŚĆ CZWARTA. Odpływ

O golemach

XLIII. Wymiana

XLIV. Po drugiej stronie szklanej szafy

XLV. Wymiana podarunków

XLVI. Nadciągający chłód

XLVII. Zabójczy strop

XLVIII. Nóż do otwarcia ostrygi

XLIX. Matki i córki

L. Ostateczne cięcie

LI. Twarz w oknie

LII. Najkrwawszy Chłopiec

LIII. Pożoga uwolniona

LIV. Ogień w ogniu

LV. Czas minął

Epilog

Dramatis Personae

Podziękowania

O autorze

Mroczne strony fantastyki

Karta redakcyjna

Okładka

*Dla Jackmo i dziewczyny na A od psa na C
z całą miłością, na zawsze*

Śnieg na rzece

*Geradeso wie unsere Leben aus dem Nichts entstehen
und im Nichts enden,
so sind alle Reisen ein Kreis.
Und ganz egal, wie weit uns unsere Reise führt – wir
enden alle an unseren Anfängen.*

Podobnie jak nasze życia wywodzą się z nicości
i kończą się nicością,
tak wszystkie podróże stanowią cykl.
I nieważne, jak daleko zaprowadzi nas droga, wszyscy
skończymy tam, gdzie zaczęliśmy.

Carl Fleischl von Marxow

Pod koniec panowała cisza.
Sara znajdowała się w wodzie, lecz nie mogła
dostrzec miasta.

Nie było niczego oprócz bólu teraźniejszości. Żadnej
przeszłości, żadnej przyszłości.

I nie widziała niczego oprócz płomieni.

I porażki.

I swojej dłoni, wyciągniętej, próbującej chwytać się
nieba, łapać powietrze, powstrzymać ryczący nurt
przed pochłonięciem również jej.

Była ostatnią z Ostatniej Ręki.

Nie zastanawiała się, czy pojawi się następna.

Nie zastanawiała się, czy pewnego dnia Kowal wróci i zbuduje wszystko od nowa.

Dziwiła się zamiast tego, dlaczego śnieg spadający z nieba na płonącą rzekę pojawił się w tym roku tak wcześnie.

I zastanawiała się, kiedy zacznie boleć.

A później uświadomiła sobie, że już boli. Uświadomiła sobie, że zawsze bolało. Uświadomiła sobie, że nigdy, przenigdy już nie przestanie boleć, nawet jeśli jej samej uda się ująć z tego z życiem.

Ponieważ pozostałym się nie udało.

Ponieważ Sharpowi się nie udało.

Ostatnia Ręka zawiodła. Pożoga została uwolniona.

Koniec z nadzieją.

Koniec z bohaterami.

Koniec z nim.



CZĘŚĆ I

OPWIEŚCI PODROZNIKA

Dariusz
Zajączkowski

O niestabilnej mechanice lustrzanego świata oraz jego potencjale iluzorycznym

Caelum non animum mutant qui trans mare currunt.

Niebo, a nie duszę zmieniają ci, co żeglują po morzach.

Horacy

Dwa istnieją sposoby, na które wykorzystać można precyzyjną geometrię lustrzanego świata, aby wpłynąć na podróż pomiędzy mocno od siebie oddalonymi miejscami. W pierwszym podróżnik, wyposażony zarówno w odpowiednią zdolność, jak i w dwa ustawione równolegle lustra, przechodzi przez powierzchnię jednego z nich do nieskończonego korytarza utworzonego przez wzajemne odbicia zwierciadeł, następnie zaś wybiera drogę w tymże przejściu oraz we wszelkich innych z nim się przecinających. Nawigację w tym labiryncie ułatwia zagadkowe urządzenie sporządzone z kul z kości słoniowej, znane jako Kłębek z Coburga. Korzystanie z tej pierwszej metody wiąże się ze zbyt wielkimi niebezpieczeństwami, żeby poważnie brać ją pod uwagę, chyba że w desperacji. Drugi sposób umożliwia natychmiastowe przeniesienie podróżnika pomiędzy

dwoma lustrami, które pewną metodą zostały do siebie dostrojone, podobnie jak dwoje dostrojonych skrzypiec może wibrować jedną nutą. Wkracza się wówczas w jedno z luster w – powiedzmy – Londynie i wychodzi w bliźniaczym zwierciadle w – znów powiedzmy – Lejdzie, a przejście wydaje się równie proste jak przestąpienie zwykłego progu (...). Mechanika tego sposobu nie jest mi znana, lecz podróż przez zwierciadła zawsze stanowi igranie z losem, niczemu bowiem ufać nie można w lustrzanym świecie. To jednocześnie pułapka i iluzja. Gdyby to wszystko nie wystarczyło, żeby zniechęcić ewentualnego wędrowca, istnieją również lustrzane zjawy, które rzekomo nawiedzają świat za szkłem. Ponadto gdy człowiek przemierza odludzie kryjące się pod powierzchnią świata, czas nie zawsze podróżuje z nim w tym samym tempie, co także stanowi swoiste zagrożenie...

Wyjątek z *Wielkiej i tajemnej historii świata* autorstwa rabina doktora Hayyima Samuela Falka (znanego również jako Ba'al Shem z Londynu)



ROZDZIAŁ I

Z odległego brzegu

Pachnie inaczej – zauważyła Lucy Harker, spoglądając na tętniące życiem nabrzeże z wysokości szczytu trapu biegnącego z pokładu Panny Nantasket, która niedawno przycumowała do Kei Belchera w bostońskim porcie.

– Co takiego? – spytała Caitlin Sean ná Gaolaire, która dotarła już do stóp pomostu.

– Ameryka – wyjaśniła Lucy. – Jakby... czyściej.

– Czyściej niż rozległy, smagany wichrami Atlantyck? Żartujesz sobie, prawda?

– Czyściej niż Londyn.

Caitlin nabrała powietrza w nozdrza i skupiła się na mieszance aromatów, jakby wachała ją po raz pierwszy.

– Mniej gówna, więcej sosny – stwierdziła po chwili zastanowienia, krzywiąc się.

Lucy westchnęła. Podróż przez Ocean Atlantycki okazała się niełatwa dla nich obydwu. Pannę Nantasket wciąż

nękały wiatry z różnych stron, a następnie coś hałaśliwego przydarzyło się kołu sterowemu, wymuszając pospieszną reperację, która jeszcze bardziej wydłużyła i tak nieprzyjemną przeprawę. Co więcej, stosunki między nią a Cait uległy wyraźnej zmianie. Lucy nie była pewna, co się stało, ale miała wrażenie, jakby ich wymuszona bliskość w ciasnocie żaglowca skłoniła Caitlin do pożałowania podjętej w ostatniej chwili wspaniałomyślniej decyzji, żeby zabrać dziewczynę ze sobą i służyć jej za mentorkę. Nie podobało jej się, że Cait wpłynęła na kapitana i użyła swych silnych mocy, żeby go zauroczyć. Z drugiej strony wystarczająco знаła samą siebie, by wiedzieć, że owa dezaprobata wywodzi się nie z pobudek moralnych, lecz raczej z urazy i zazdrości.

– Tak jest po prostu łatwiej – stwierdziła Cait, gdy Lucy zdradziła się ze swymi uczuciami nadmiernie jadowitym pytaniem, czy jej hipotetycznej nauczycielce podobała się niedawna wizyta na mostku. – Pochlebia mu moja uwaga, ale jest przyzwoitym człowiekiem i kocha swoją żonę. Lubi mnie, ale to tylko środek pozwalający osiągnąć nasz cel. Nie podoba mi się natomiast, że marudzisz z miną jak u zbitej oślicy, bo flirtuję sobie nieszkodliwie ze starszym mężczyzną. Odbyliśmy już rozmowę na ten temat i nie powtórzymy jej. A tak poza tym, czy uprałaś moje rzeczy?

Pranie ubrań Cait stanowiło jeden z obowiązków Lucy. Gdy ta spytała, co przepierka ma wspólnego ze szkoleniem na *venatrix*, Irlandka odparła ostro, że nie ma nic wspólnego z umiejętnościami niezbędnymi do przetrwania jako ponadnaturalna łowczyni, za to wszystko wspólne z posłuszeństwem, posłuszeństwo zaś stanowi warunek konieczny do nauki.

– Jeśli nie potrafisz się ugiąć do wykonania prostej rzeczy

bez pretensji, to nikomu się na nic nie zdasz jako uczennica. A już na pewno nie mnie. Nie próbuję złamać twojej woli, jest ona bowiem silna i pewnego dnia ci się przysłuży, ale sprawdzam, czy jesteś zdolna odsunąć ją na bok, jeśli zajdzie taka konieczność.

I być może właśnie to stanowiło największy problem: jej wola. Terminowanie u Cait wydawało się dobrym sposobem na to, żeby Lucy mogła zostać przy rudowłosej kobiecie, ale powodem, dla którego się na to zdecydowała, było wielkie cierpienie, jakie czuła, spoglądając na swą mentorkę. Irlandka szczerze i otwarcie, wręcz boleśnie otwarcie, rozpoznała zauroczenie, jakie stało się udziałem Lucy, i wyjaśniła jej, że to przeminie, a nawet jeśli nie, to nie zamierza go odwzajemniać. Z perspektywy czasu można było uznać, że żadna z nich nie wzięła pod uwagę, że Lucy może nie być w stanie pogodzić się z tym faktem.

Dziewczyna wiedziała, że jest w tym kiepska. Przez większość życia była zmuszona polegać wyłącznie na sobie i ta niezależność wykształciła w niej zaradność oraz nieustępliwość. Cieszyło ją nietypowe towarzystwo Nadzoru, ponieważ wbrew sobie polubiła pozostałych członków Ostatniej Ręki, jednak w jej naturze leżała również nieufność do wygod, stanowiących pułapkę i ułudę służącą osłabieniu czujności. Zatem gdy tylko zdała sobie z tego wszystkiego sprawę, postanowiła odejść i decyzję tę tylko po części wyjaśniało pragnienie, żeby znaleźć się u boku Cait.

Realia układu, który zawarły na londyńskim nabrzeżu, okazały się mniej przyjemne, niż Lucy sobie wyobrażała. Uświadomiła sobie, że zamiast zbliżyć się do starszej kobiety, oddaliła się od niej. Po pierwszym uciążliwym tygodniu podróży, kiedy to obydwie cierpiały z powodu

choroby morskiej, Lucy wróciły apetyt i wigor, jednak Cait nie odzyskała zwyczajowego dobrego humoru. Pomijając chwile, gdy zdobywała się na pogodną minę i uśmiech dla kapitana, pozostawała ponura, jakby oceaniczny rejs wysysał z niej całą wesołość.

Młodsza z kobiet czuła ulgę na myśl, że oto może porzucić ciasnotę statku i wejść na trap prowadzący ku nowym swobodom szerokiego świata, tak kusząco mającym na końcu pomostu.

Znów odetchnęła głęboko i rozejrzała się po ruchliwej okolicy. Dojrzała potencjał, dojrzała różnorodność, dojrzała widoki, które były jej znane, i takie, które wydawały się mieć wyraźnie obcy charakter.

Nie zauważyła jednak pary obserwujących ją oczu, ukrytych w cieniu sporego magazynu z cegły i kamienia, który stał po drugiej stronie kei.



W zwykłe dni Prudence Tittensor radziła sobie ze swoim mężem za pomocą tego, co uważała za naturalne zdolności przeciętnie sprytnej żony, i nie musiała uciekać się do nieco mniej naturalnych talentów. W dowolny zwykły dzień mogłaby polegać wyłącznie na tych pierwszych, wybierając sposób, w jaki powita na brzegu małżonka po długiej, uciążliwej wyprawie do Bostonu, po walce z wichrem na szarych bałwanach Atlantyku.

Stała w cieniu kolumnady magazynu przy Kei Belchera, starannie układając treść wiadomości, którą następnie w pośpiechu zapisała, oraz obserwując kapitana krzątającego się po pokładzie Panny Nantasket, dogląającego załogi wykonującej wielokrotnie

przećwiczone procedury cumowania i otwierania ładowni w przygotowaniu na nadciągającą inwazję sztauerów, czekających już na brzegu. Wiedziała, że za chwilę, w zasadzie gdy tylko mu się pokaże, kapitan przypomni sobie, że jego pierwszy oficer zna się na tym wszystkim równie dobrze jak on, a na dodatek jest kawalerem. Wówczas Tittensor jak zwykle przekaze mu odpowiedzialność za statek i ładunek, po czym, przynajmniej na kilka następnych godzin, stanie się zwykłym mężem lądowym. W dowolny zwykły dzień Prudence Tittensor nie tylko dopilnowałaby, żeby został bardzo zadowolonym oraz zaspokojonym cielesnie mężem lądowym, ale i sama szczerze uradowałaby się namiętym ciepłem kolejnego spotkania po tymczasowej rozłące.

Jednak widok dwóch młodych kobiet, które pojawiły się na trapie, kazał jej szybko cofnąć się z powrotem pod osłonę kolumnady magazynu i ponownie przemyśleć plany.

Dzień już od początku nie zapowiadał się na zwykły. Prudence była zmuszona wyjaśnić mężowi, że dziecko, które zaadoptowali i przywieźli z Londynu, zniknęło, a jednocześnie przyszykować go na informację, że powód zniknięcia malca jest zgoła radosny: natura zesłała kobiecie cud, którego oboje od dawna pragnęli i który nosiła dumnie przed sobą w coraz większym brzuchu. Powtórzyła argumenty stojące za przekazaniem przysposobionego dziecka parze, która bardziej na to zasługiwała, i była przekonana, że zdoła odpowiednio wpłynąć na małżonka, by zareagował w sposób pożądanym.

Nie przygotowała się jednak na cudzoziemki stojące teraz na trapie. Od razu wiedziała, kim są i jakie problemy ze sobą przywiozły. Wycofała się w cień i zaprzęła umysł do szybkiej pracy, po czym wyciągnęła z torebki mały

notatnik oraz cienki ołówek i zapisała trzy lapidarne zdania.

Suka u jej boku uderzyła ją ogonem i wydała z siebie niski, błagalny warkot, ledwo powstrzymując podekscytowanie.

– Nie, Shay – powiedziała Prudence. – Nie. Zobaczysz się z nim później.

Ściągnęła rękawiczkę z lewej dłoni, wsunęła do środka wiadomość i zwinęła całość, formując improwizowaną kopertę, po czym podała psu, który delikatnie ujął pakunek w pysk.

– To dla Pedla – oznajmiła. – Pospiesz się, dziewczyno.

Następie pogładziła dłonią nabrzmiąły brzuch i wyszła z cienia, machając do męża z pogodnym uśmiechem, który w najmniejszym nawet stopniu nie zdradzał targającego nią niepokoju. Starannie ignorowała młode cudzoziemki, po których przyjeździe dzień bez dwóch zdań stał się niezwykle.



Lucy podeszła do Cait u stóp trapu i odkryła, że oprócz swojej torby powinna nieść również bagaż mentorki.

– Chodźmy już – stwierdziła krótko Irlandka. – Mamy kilka spraw do załatwienia, zanim zajmiemy się zasadniczą kwestią.

– Czy myślisz, że to jest pani...? – zaczęła Lucy, obserwując zbliżającą się postać Prudence Tittensor, która wpatrywała się w rozpromienioną twarz męża, wychylającego się przez reling rufowy i machającego do niej entuzjastycznie.

Wolną dłonią Cait złapała dziewczynę za rękę i mocno

ścisnęła.

– Nie patrz – poleciła spokojnym głosem. – Będziemy miały na nią dość czasu później, gdy dowiemy się, kiedy odpływa następny statek powrotny.

Plan był prosty i dobrze przećwiczony. Lucy odgrywała go w myślach, idąc przez tłum za Cait w kierunku kapitanatu portu. Obie były młode i atrakcyjne, nie brakowało więc natarczywych męskich ofert „pomocy z torbami”, ale Irlandka odmawiała z uśmiechem i nawet na chwilę nie zwalniała, Lucy zaś posłusznie szła za nią, próbując naśladować swobodny krok swojej mentorki, świadczący, że dobrze wie, dokąd zmierza, choć przecież gościła w mieście po raz pierwszy. Planowały zarezerwować miejsca na następnej jednostce płynącej na drugą stronę oceanu. Cait chciała w ostatniej chwili zamienić skradzione dziecko, po czym zawieźć je do rządcy i jego żony w Skibbereen, skąd przed niemal rokiem zostało skradzione z kołyski. Małeństwo zabrała dziewczyna podmieniec, którą Irlandka śledziła od hrabstwa Cork aż do Londynu, a która teraz siedziała uwięziona w sekretnej celi w Sly House, w pobliżu głównej siedziby Nadzoru na Wellclose Square.

Cait w takim stopniu okręciła sobie wokół palca kapitana Tittensora, że sądził, iż sam wpadł na pomysł, aby Irlandka przy pierwszej nadarżającej się okazji pojawiła się w jego domu i zaoferowała swoje usługi jako niańka do zaadoptowanego dziecka. Zdradził Cait swój adres domowy wraz z sugestią, aby jak najszybciej poddała się ocenie jego żony, i w duchu pogratulował sobie genialnego planu. Podobało mu się wszystko, co widział w rudowłosej dziewczynie, i nie mógł sobie wyobrazić, aby nie przypadła do gustu również pani Tittensor.

Caitlin Sean ná Gaolaire nie podzielała skrupułów Prudence w kwestii wykorzystywania ponadnaturalnych talentów na kapitanie, jednak była *venatrix*, łowczynią, która przysięgła, że uratuje dziecko bez względu na okoliczności. Zresztą Lucy zauważyła, że Cait jest – przynajmniej na suchym lądzie – nie tylko niefrasobliwa i urokliwa, lecz również do cna bezlitosna, jeśli dąży do osiągnięcia czegoś, co w jej oczach wydawało się słuszne.

Nim minęło pół godziny, odnalazły drogę do kapitanatu i dowiedziały się, że wraz z porannym odpływem wyrusza statek do Liverpoolu.

– Czyli odpływamy za niecałą dobę? – spytała Lucy, nie mogąc ukryć zaskoczenia i rozczarowania.

– A miała panienka jakieś inne plany? – odparła Cait, unosząc brew.

– Po prostu szkoda mi, że nie zobaczymy choć kawałka tego nowego kraju, skoro już tu jesteśmy.

– Nie wyruszyliśmy w podróż dookoła świata, tylko załatwiamy poważną sprawę – rzekła Irlandka. – Zresztą odkryłam, że jeśli dobrze się przyjrzeć, wszystkie miejsca są niemal takie same.

– Miło byłoby mieć szansę, żeby dobrze się przyjrzeć – mruknęła pod nosem Lucy, idąc za nauczycielką do gospody, którą młodzieniec z kapitanatu polecił jako bliską, czystą i taną.

Cait obróciła się i przytrzymała drzwi.

– Nie wierzę w szczęście, Lucy, ale gdy się uśmiecha, dobrze jest odpowiedzieć uśmiechem, dygnąć z szacunkiem i wziąć to, co oferuje. Mamy tu do zrobienia paskudną rzecz, ponieważ kapitan jest dość porządnym człowiekiem i zapewne nie ma pojęcia, że jego dziecko zostało skradzione komuś innemu, więc lepiej, żebyśmy uwinęły

się szybko, jak przy wyrywaniu zęba.

ROZDZIAŁ II

Hern myśliwy

Na północ od Londynu, w pobliżu pradawnego serca Brytanii, Hern polował na wzgórzu w blasku księżyca.

Podobnie jak wszyscy Hernowie ścigał zwierzynę z parą kościopsów: Chartem i Nosem. Krótkonogi Nos znajdował się pięćdziesiąt metrów niżej na zboczu, z brzuchem przy ziemi węszył wzdłuż nierównej krawędzi starego lasu, jakby tonsurą okalającego łyse wzniesienie. Wysoki Chart stał obok Herna napięty niczym naciągnięta cięciwa, z tylnymi łapami drżącymi niecierpliwie, gotów rzucić się do biegu, gdy tylko Nos wypłoszy zdobycz z zacienionych krzaków.

Choć jego twarz pokrywały spiralne, splecione tatuaże i zaprzysiągł wierność nocy, jednocześnie był jak Sluagh i nie był jak oni. Hernowie już dawno odsunęli się od Sluagh, nie chcąc podróżować w ich gronie ani uczestniczyć w ich rytuałach w określonych porach roku. Nie byli już wobec nich szczególnie nieprzyjaźni, zwłaszcza że przecież łączyły ich dawne więzi, ale woleli wieść samotne życie u boku swoich kościopsów. Najbardziej rzucającą się w oczy różnicą w wyglądzie obydwóch grup było jelenie poroże, które Hernowie przyczepiali sobie do głów. Najpierw starannie przycinali pod kątem jego podstawy, a następnie mocowali je do włosów tak solidnie, że wydawało się naprawdę wyrastać z czaszki.

Z tyłu głowy osobnika stojącego na wzgórzu wystawały krótkie, lecz groźne rogi sarniaka, każdy z trzema ostrymi

rozwidleniami. Dzięki nim Hern wyglądał opływowo niczym kropla i wrażenie to jeszcze się wzmagало, gdy biegł u boku Charta, któremu niemal dotrzymywał tempa.

W większej z bestii, smukłym psie kłusowniczym, przeważała krew charta, od którego wziął swoje imię. W długą, splątaną sierść wzdłuż jego grzbietu wpleciono małe, zżółknięte kości różnych zwierząt łownych i to właśnie na jednym z tych dawnych trofeów Hern trzymał uspokajająco palec. Kręgosłup obdarzonego wydatną pierśią Nosa, który węszył poniżej, zdobiła krótsza, lecz podobna dekoracja, ale to, co na większym z psów wyglądało dostojnie, na mniejszym, kundlu będącym połączeniem jamnika i spaniela, wydawało się po prostu solidnie wykonane.

Nagle zapadła cisza, jakby tkanina świata została rozerwana, po czym coś wypadło z hałasem z krzaków, ścigane przez ujadającego Nosa. Hern zabrał palec z kości i Chart popędził ku uciekającemu zwierzęciu, sadząc długie susy, z taką prędkością, że potrzebował jedynie trzech uderzeń serca, żeby dotrzeć do Nosa, i jeszcze jednego, by z głuchym warknięciem dopaść ofiarę.

Nos czekał z podekscytowaniem, bębniąc ogonem o trawę, gdy Chart dwukrotnie potrząsnął zającem i upuścił go martwego. Obydwa psy obejrzały się na Herna. Większy przekrzywił łeb, mniejszy zaskamlał nerwowo.

Hern stał do nich tyłem, spoglądając na szczyt wzniesienia.

– Czego chcesz? – spytał.

Na tle nieba widniała samotna postać odziana w długi płaszcz z borsuczyczych skór. Na czole przybysz nosił opaskę z czaszką tego zwierzęcia, jego twarz pokrywały gęsto tatuaże, a u pasa wisiał nóż zakrzywiony jak sierp.

Niewątpliwie był to Sluagh.

– Myśliwy – powiedział Czaszka Borsuka.

– Czym jest zwierzyna? – odparł Hern.

– Chodzący za dnia – wyjaśnił Sluagh. – Nic niebezpiecznego. Po prostu trudno go dopaść, inaczej już byśmy go mieli.

– Nie poluję na chodzących za dnia – rzekł Hern. – Wiesz o tym.

Sluagh ruszył po zboczu w jego stronę. Hern strzelił z palców w stronę kościopsów, które dopiero teraz z powrotem skierowały uwagę na upolowanego zająca i złapały jego ciało z nietypowym dla siebie brakiem rywalizacji. Rozdarły ofiarę i położyły się obok siebie, każdy ze swoją połówką.

– Niezłe zwierzęta – zauważył Sluagh.

– One też nie polują na istoty dnia.

Przybysz usiadł na piętach i spojrzał na jedzące psy. Na plecach miał duży skórzany worek, założony na podobieństwo plecaka.

– Jest pewien człowiek nazwiskiem Mountfellow, dzielący swój czas między Londyn a dom położony na północny wschód stąd – powiedział po chwili. – Wyrządził krzywdę jednemu z nas.

– Czyż nie jest to zatem sprawa dla Nadzoru? – zapytał Hern, który postanowił dalej stać. – Przysięgli chronić obydwie światy przed sobą nawzajem, a skoro chodzący za dnia skrzywdził...

– Nadzór przestał istnieć – warknął Czaszka Borsuka. – Wiesz dobrze, że już dawno przestał nas chronić, a jego władza ograniczyła się jedynie do Londynu, zresztą nawet tam...

– Nadzór jest najbardziej niebezpieczny, gdy zostaje mu

niewielu członków – przerwał mu Hern. – Wielu Czystych, którzy o tym zapomnieli, już nie żyje.

Sluagh splunął na trawę.

– Nadzór zgnił w słońcu. Jego epoka wreszcie się skończyła. Poza tym zdarzenie miało miejsce z dala od Londynu.

– To nie dla mnie.

– Spójrz na to. Czy powtórzysz, że to nie twoja sprawa? – spytał Sluagh. Otworzył skórzany worek i podał go Hernowi, który powąchał zawartość i odwrócił pakunek do góry dnem.

Na trawę wypadło kilka sporych kości, ludzka czaszka i coś, co wyglądało na duży, postrzępiony zwój pergaminu.

– Widywałem już wcześniej kości. Co w nich takiego?

– Rozwiń rulon – polecił Czaszka Borsuka.

Hern rozwijał sztywny materiał, dopóki nie zauważył, że to nie pergamin, lecz skóra, na dodatek taka, która niegdyś pokrywała Sluagh. Początkowo jego ruchy charakteryzowały się zniecierpliwieniem, jednak wkrótce pojawił się w nich szacunek, gdy wygładzał dłonią pokrytą charakterystycznym tatuażem powierzchnię. Płatanina czarnych linii zbiegała się w wielkim wizerunku czaszki słońki, umieszczonej pomiędzy miejscami, gdzie dawniej znajdowały się łopatki, dziób zaś biegł w dół kręgosłupa. Dwa ogromne, puste oczodoły wydawały się wpatrywać w myśliwego patrzącego na nie w świetle księżyca.

– Obłupił ze skóry jednego z nas. – Hern spojrzał na Sluagh, a ten przytaknął.

– Pojmał, zabił, oskórował żywego lub umarłego, a później wygotował ciało z kości. To nie są łowy dla rozrywki, lecz dla sprawiedliwości. Ktoś musi za to odpowiednio zapłacić, tak każe Prawo i Obyczaj –

powiedział. – Hernowie przysięgli nam pomagać, gdy chodzący za dnia przeleją krew Czystego.

Hern potarł twarz, jakby właśnie się obudził. Otrząsnął się, zupełnie jak jego kościopsy, i skinął głową.

– Kto ci powiedział, że to zrobię? Kto ci powiedział, że jestem związany przysięgą pokrewieństwa z tymi znakami?

– Słonkowa Korona – odrzekł Czaszka Borsuka, wpatrując się w kościsty czub złożony z ostrych dziobów biegnących między rogami Herna.

– Czyli wyszukałeś mnie, żeby powołać się na pokrewieństwo.

– Więż – odparł Sluagh. – Nie ze mną. Uznałem, że lepiej niż ktokolwiek wyczujesz tego, który skrzywdził kogoś noszącego twój znak.

– Jeśli ten Mountfellow pojechał do Londynu, to jestem od niego odcięty tak samo jak ty – oznajmił Hern. – Takie łowy nic nie dadzą. Londyn jest opasany żelazem i poprzecinany płynącą wodą.

– Opasany żelazem? Na przykład takim? – spytał Czaszka Borsuka, a w gąszczu niebieskich linii wijących mu się po twarzy ukazał się uśmiech.

Sluagh wyciągnął z za pasa nóż i podniósł go, by pochwycił księżycowe promienie i zaśnił na tle ciemnego nieba. Nie była to pradawna klinga z brązu noszona zwykle przez jego pobratymców, lecz mocno zużyty nóż do pieczywa – ale to nie dlatego Hern zachłysnął się nagle z wrażenia. Jego lud od pokoleń instynktownie bał się żelaza, a tymczasem Czaszka Borsuka nie tylko trzymał przekłęty metal, lecz również oblizwał go bez mrugnięcia, bez dotkliwego parzenia sobie języka. Bez choćby najmniejszego rezultatu.

– Co to znaczy? – spytał zaszokowany Hern głosem

chrapliwym i pełnym napięcia. Przywykł do samotności i niezależności, a działania Sluagh wstrząsnęły właśnie fundamentami jego świata.

– Prawo Żelaza nałożone na nas przed wiekami zostało przełamane – wyjaśnił Czaszka Borsuka. – Ja je przełamalem.

Rzucił nóż Hernowi, który instynktownie się odsunął i pozwolił klindze wylądować na trawie.

– Możesz go podnieść i nie stanie ci się krzywda – rzekł Sluagh. – Jeśli nie zdołasz, wycofam swoją prośbę, stanie się bowiem jasne, że nie łączy nas pokrewieństwo i czas istotnie rozciął łączącą nas pradawną więź. Natomiast jeśli uda ci się go ująć, dostaniemy potwierdzenie, że wciąż jesteście spokrewnieni ze Sluagh i uczynione przeze mnie dobro zadziało na nas obydwóch, a wy nie jesteście już obciążeni zakazem. W takim wypadku poproszę cię jedynie o to, żebyś odpłacił się, odnajdując tego Mountfellona oraz wymyślając sposób, jak mu się zrewanżować.

Hern pochylił się powoli i przesunął dłonią tuż nad nożem, jakby wyczuwając jego ciepłość lub jakieś złowrogie skwierczenie otaczającego go powietrza. Podniósł wzrok na obserwującego go Sluagh.

– Co zrobiłeś? – spytał ochryple.

– Dotknij go – powiedział Czaszka Borsuka.

Hern zawahał się, a następnie zdecydowanym gestem położył opuszki na klindze. Utrzymał je tam, podniósł przedmiot, powąchał go, po czym idąc za wcześniejszym przykładem Sluagh, polizał.

– Prawdę rzekłeś. Nie zagraża już nam – rzekł z podziwem i podał broń Sluagh.

– Zatrzymaj go – odparł Czaszka Borsuka. – Ukradłem go z gospody w dolinie. Jeśli zechcę, znajdę sobie inny. Teraz

domy istot dnia stoją przede mną otworem, ich żelazne zamki, zasuwki i podkowy nie stanowią już dla mnie przeszkody. Przywracamy świat do prawidłowego stanu i odzyskujemy w nim należne nam miejsce.

Hern nic nie odpowiedział i stali obok siebie przez kilka minut, spoglądając na rozciągający się przed nimi krajobraz oblany księżycowym blaskiem, niczym na tajemną krainę nakreśloną srebrną kreską na pergaminie. Słysząc było jedynie odgłos łamania zajęczych kości przez psy, które wciąż jadły, nieświadome, że świat ich pana właśnie został w cudowny sposób pozbawiony ograniczeń.

Sluagh zebrał kości i schował je z powrotem do skórzanego worka, a następnie starannie złożył skórę.

– Co z nim zrobisz? – zapytał go Hern.

– Zabierzemy go do scowle. Do Shee. Zrobimy, co trzeba, żeby przywrócić mu honor i złożyć szczątki do wiecznego snu.

– Był Słonkową Koroną – rzekł Hern.

– Shee upamiętnią jego odejście lepiej niż ktokolwiek – zapewnił Sluagh.

Myśliwy przytaknął.

– Jego dom leży na północny wschód stąd? – dopytał. – Tego Mountfellona?

– Wielka rezydencja ze szpatu żelaznego przy Bowland's Gibbet, przed miejscem, w którym wyżyna opada w krainę mokradeł – wyjaśnił Czaszka Borsuka. – Ale nie zastaliśmy go tam. Gdybyśmy na niego trafili, sam bym go zabił. Może przebywać w Londynie, gdzieś pomiędzy domem a miastem lub ukryty w jakiejś innej szczyrzej norze. Odszukanie go okaże się wyzwaniem dla każdego łowcy. Być może będziesz musiał przycząć się i zaczekać w cieniu. Być może będziesz musiał go gdzieś wysledzić poprzez

innych, z którymi się styka. Ale nie jesteś przecież byle łowcą, przyjacielu. Właśnie dlatego zwróciliśmy się do ciebie.

Hern spoglądał przez dłuższą chwilę na zwój wyprawionej skóry, po czym przysiadł na piętach obok Sluagh.

– Opowiedz mi o tym Mountfellowie. Zaczynij od początku.

ROZDZIAŁ III

Krwawy powrót

Gdy Francis Blackdyke, wicehrabia Mountfellow usłyszał, że Sluagh zbeczcęcili jego najbardziej prywatne, a zatem i najlepiej zabezpieczone sanktuarium, powrócił do Gallstaine Hall tak szybko, że jego konie niemal kosztowało to życie, a stangret przypłacił to pęknięciem miednicy. Mountfellow siedział na tyle pędzącego pojazdu. Kipiał złością i oburzeniem. Jego bystry umysł przeskakiwał od jednego wyobrazonego koszmaru do następnego i każdy kolejny okazywał się straszniejszy. Przecież opasał dom i swój gabinet żelaznymi wstęgami. Było dla niego niewyobrażalne, że jakiegokolwiek istoty ponadnaturalne, które, jak twierdziły zgodnie wszelkie szanowane źródła, odstraszało żelazo, zdołały tam wejść. Jako zwolennik wiedzy i postępu obserwował nawet naukowy dowód tego fenomenu w eksperymentalnych komnatach, które Obywatel stworzył pod domem na Chandos Place. Widział, jak ciało pojmanego Sluagh niemal się gotowało, gdy próbował uniknąć dotknięcia zniechęconego metalu w postaci zakupionej specjalnie w tym celu podkowy.

To również podkowa doprowadziła do urazu stangreta, który ośmielił się spowolnić powóz na gościńcu i wołać do szlachetnego dżentelmena, że sądzi, iż koń idący na czele zgubił przednią podkową i że będą musieli zatrzymać się w kolejnej wiosce, żeby podkuć zwierzę. Mountfellow kipiał, wciąż myśląc o zasłyszanej informacji, że część z jego

niezwykle cennych okazów została splugawiona i skradziona, a dbałość woźnicy o pozostające pod jego opieką głupie zwierzęta okazała się kroplą, która przepełniła czarę rozsądku. Zamiast udzielić odpowiedzi, Mountfellow po prostu otworzył drzwiczki pojazdu, przedostał się na ławkę stangreta i bez słowa chwycił nieszczęśnika za chustę, którą ten miał obwiązaną wokół szyi, po czym zrzucił go na drogę. Ośłupiały mężczyzna przeकोziołkował w powietrzu, z powiewającymi połami peleryny i wszystkimi czterema kończynami podrygującymi z podobnym brakiem gracji, niczym ciśnięty w powietrze indyk. Bolesny wrzask, który wydał z siebie, gdy uderzył w nawierzchnię gościńca, łamiąc kości, nie dotarł do uszu szlachetnego lorda, który nie zaszczycił go ani jednym nawet spojrzeniem. Zamiast tego bez opamiętania smagał konie batem, poganiając je do galopu. Pędził w kierunku Rutlandshire z lekkomyślną prędkością współczesnego biblijnego Jehu.

Jego przybyciu do Gallstaine towarzyszyło sporo płaczu i zgrzytania zębami ze strony tych sług, którzy ośmielili się zostać i czekać na zalew oskarżeń. Poczuli na sobie moc gniewu swego pana, który za nic miał fakt, że ci, którzy wpuścili do budynku Sluagh oraz ich niemego współnika, mieli dość rozsądku, żeby odejść i gdzieś indziej poszukać bezpieczniejszego zatrudnienia. Jedyńemu lokajowi, który był świadkiem wtargnięcia i który się nie oddalił, tak pomieszało się w umyśle przez to wszystko, co widział i do czego został przymuszony, że całkowicie postradał rozum. Mógł jedynie siedzieć w ciemnym kącie stajni i ślinić się do cynowego kubka, który jeden ze stajennych uprzejmię przyniósł mu właśnie w tym celu.

Po przyjeździe Mountfellow popatrzył na niego z odrazą

i poszedł obejrzeć swoje zbiory. Po chwili wrócił i smagał nieszczęsnego szaleńca, dopóki nie złamał bicia. Katowałby go jeszcze dłużej, gdyby w wyniku gwałtownie wymierzanych razów nie uszkodził sobie ramienia.

Następnie wicehrabia wrócił do głównego budynku i dokonał bardziej szczegółowej, lecz nie mniej szokującej oceny szkód, jakich doznała jego starannie zebrana kolekcja. Dawniej w ogromnym hallu, kojarzącym się z wnętrzem katedry, panował ład, meble przykryte były pokrowcami, kandelabry schludnie owinięto, żeby nie osiadał na nich kurz, marmurową podłogę zaś utrzymywano w czystości dzięki regularnemu zamiataniu. Teraz imponujące schody biegnące na pierwsze piętro pokrywały szczątki, gruz, insekty oraz fragmenty kości, co dawało pewne pojęcie, jak może obecnie wyglądać długi korytarz z okazami.

– Nie chcieliśmy sprzątać tutaj przed pańskim przyjazdem, milordzie – wymamrotał jedyny pozostały przy zdrowych zmysłach lokaj, który nie był obecny w posiadłości w noc zdarzenia. – W razie gdybyśmy uszkodzili jakieś owady i...

Mountfellowon zdzielił go na odlew tak silnie, że krew z rozbitego nosa rozprysnęła się na marmurze, a zszokowany mężczyzna wylądował pod balustradą klatki schodowej. Nieliczni słudzy, którzy zebrali się dalej w hallu, w odległości, którą uznali za bezpieczną, pospiesznie skorygowali swoje szacunki i cofnęli się jeszcze głębiej w cienie.

Wicehrabia wszedł ostrożnie po schodach, drżąc z oburzenia, gdy każdy kolejny stopień ukazywał mu coraz więcej zniszczeń. Korytarz prowadzący do pomieszczenia, niegdyś będącego salą balową, lecz już dawno

przerobionego na gabinet, stanowił dla Mountfellona źródło niezmiernej dumy. Był niczym materialne świadectwo racjonalnej precyzji, z jaką jego umysł osiągnął pełne zrozumienie anatomii porównawczej. Gabloty zawierały reprezentatywny przegląd organizmów żywych, sięgających rozmiarami od starannie nabitych na szpilki much i chrząszczy aż po oskórowane i wybielone szkielety małych naczelnych, ludzi, a nawet istot nadnaturalnych. Wszystkie okazy zostały pieczołowicie ustawione w przemyślanym porządku, posegregowane w odpowiednie grupy z niebywałą dbałością o precyzję. Nic z tego się nie zachowało, zamiast porządku panował chaos i nieład, bałagan kojarzący się z pokłosiem szaleńczego buntu w domu wariatów. Fronty każdej z szafek rozbito, pracowicie opróżniono je z zawartości i przewrócono na podłogę. Wicehrabia dał za wygraną z próbami omijania cennych do niedawna eksponatów i z chrzęstem parł dalej, potykając się i ślizgając na kawałkach szkła zaścielających marmurową podłogę. Gdyby nie zdawał sobie sprawy z nieuniknionego prawa fizyki, zgodnie z którym bieg doprowadziłby do upadku, popędziłby natychmiast w kierunku okutych żelazem drzwi stojących otworem na drugim krańcu korytarza. Podejrzewał, że teraz ma do czynienia z czymś w rodzaju preludium, a prawdziwy koszmar profanacji leży za tymi wrotami. Szkielety małych naczelnych nie uległy zniszczeniu, choć szkło gablot, w których stały, rozbito jak wszystkie pozostałe. Brakowało jednak dwóch ostatnich kościców. Za tym, który należał do Sluagh, lord kazał rozpiąć na ścianie wyprawioną skórę, aby ukazać całość pokrywających ją tatuaży. Sądził, że zabrali ją jego pobratymcy.

Los ludzkiego szkieletu wyjaśnił się, gdy Mountfellon

wszedł do swojego wielkiego, okolonego żelazem gabinetu. Z początku zdziwił się, że nie potłuczono tu szkła i w zasadzie nie nabałaganiono. Obawiał się, że ogromny stos bezcennych ksiąg został obalony, a składające się na niego tomy podarte lub spalone, jednak sterta wyglądała tak, jak ją zostawił. Wielki dębowy stół jadalniany również stał nieprzewrócony, wciąż z ułożonymi schludnie papierami, którymi wicehrabia otaczał się przy pracy. W szok wprowadził go natomiast brak innej rzeczy.

Długa skrzynka, w której przechowywano sztandar Sluagh, zniknęła ze swojego miejsca na ścianie. Tuż nad nim Sluagh przymocowali ludzki szkielet. W jeden z oczodołów wbili sztylet służący do otwierania listów, tak mocno, że solidnie zagłębił się w gips. Kościec wisiał nieco krzywo i trzymał coś w zębach. Mountfellow podszedł, by to wyciągnąć. Był to list, czy też raczej koperta – ta sama, w której Templebane przysłał notkę, wzywając go do Londynu na pierwszy nieudany zamach przeciwko Nadzorowi i Kryjówce, ten z młodą Francuzką, którą Obywatel dostarczył w charakterze przynęty. Sluagh obrysowali pieczęć czymś, co wyglądało jak krew. W wosku wybito kolejną czaszkę i ostrzeżenie: CZYM JA JESTEM, TYM TY SIĘ STANIESZ.

Nie miał wątpliwości, że to coś więcej niż tylko wiadomość.

Była to obietnica.

Zgniół kartkę i ścisnął ją mocno. Następnie podszedł do biurka i usiadł przy nim, oddychając ciężko, zmuszając się do samokontroli, żeby nakłonić do pracy umysł, to wspaniałe narzędzie, z którego był zwykle tak dumny i które tak dobrze potrafił wykorzystywać.

– Myśl – wysyczał przez zaciśnięte zęby. – Myśl szybko...

Jak to się stało...?

Sztandar był przedmiotem pełnym mocy, bo nawet jeśli tego, co w nim zawarte, nie dawało się zmierzyć empirycznie, to za taki uważali go Sluagh, a wiara i uczucia były frapujące w równie silny, lecz mniej mierzalny sposób. Jego wartość dla wicehrabiego leżała w wiekowości, powiązaniach, a przede wszystkim w użyteczności w charakterze karty przetargowej, dzięki której mógł zmuszać Sluagh, żeby wykonywali jego polecenia. Z osłupieniem odkrył, że zdołali przeniknąć przez dwa poziomy ochrony: okute żelazem pomieszczenie w domu ze szpatu żelaznego, a wcześniej strumień, którego bieg odwrócił i który rozszczepił, tak że w efekcie jego rezydencja była okolona fosą. Uważał za nie do pomyślenia, iż Sluagh sforsowali obydwa zabezpieczenia, tyle że skrzynka mieszcząca sztandar została również wykonana z żelaza, a przecież ją także zabrali.

Zatem, dumął, rozumowanie *a posteriori* wykazuje, że żelazo nie jest już dla nich toksyczne.

Na tę myśl wzdrygnął się z niepokojem, lecz natychmiast odegnał to odczucie.

– No ale woda – powiedział, wstając. – Woda.

Podszedł do sięgających od podłogi do sufitu okiennic i wykręcił śruby mocujące żelazne zasuwki. Nienasmarowany metal zazgrzytał. Pyłki kurzu zawirowały w słabym wieczornym świetle, które wpadło do gabinetu, a Mountfellow wyjrzał przez okno. Widok na czarujący park, zalany przychylnym złotym blaskiem popołudnia, nie uspokoił go. Wręcz przeciwnie, wywołał na jego twarzy grymas. Gdy wicehrabia przyjrzał się bliżej i upewnił, czy to, co widzi, jest prawdziwe, prychnął i wypadł z pokoju.

Jedna z odnóg strumienia płynęła wartko, lecz druga

była sucha. Lord zapomniał się i zaczął biec korytarzem zaścielonym szczątkami, zaraz jednak stracił równowagę i upadł. Instynktownie wyciągnął rękę, żeby się podeprzeć, uderzył nią w gablotę ze szkieletami małp i rozbił ją, po czym wylądował niezbornie pod tylną ścianką. Odłamki szkła leżące na dnie rozcięły mu dłoń i rozdarły płaszcz. Mountfellow podniósł się i pokręcił głową, a straszliwa furia jeszcze bardziej wyostrzyła mu i tak napięte już rysy. Zakrwawioną pięścią złapał długą kość udową goryla, dzierżąc ją jak maczugę, po czym, tym razem ostrożnie, ruszył nieubłaganie korytarzem, szukając głównego ogrodnika.

Miał on tę przewagę nad wszystkimi pozostałymi służącymi, że jego nieobecność w domu była w pełni usprawiedliwiona, przez co ani razu nie znalazł się na linii strzału. Postanowił to wykorzystać, uznając, że jeśli wściekły szlachcic przyjdzie go szukać, znajdzie go bez reszty pochłoniętego czynnością zasługującą na pochwałę – wiedział, że Mountfellow stanowczo domaga się, aby strumienie opływające rezydencję mogły płynąć swobodnie, i był pewien, że zmuszony będzie docenić wysiłki swego ogrodnika, który właśnie tego pilnował. Jak dotąd miał w zasadzie słuszną rację. Diabeł tkwi jednak w szczegółach, w tym przypadku w fakcie, że nieszczęsny pracownik postanowił się upewnić, że kanałów nie blokują chwasty i muł. Miał dobre intencje, ale wykonanie okazało się katastrofalne w skutkach. By wejść do koryta i oczyścić je z osadu i roślin, zamknął śluzę na wschodniej odnodze, odcinając wodę. Rozpoczął pracę, spodziewając się może nie uśmiechów, ale przynajmniej niechętnego przyznania, że dobrze zrobił.

Doznał więc nie lada szoku, kiedy zachodzące słońce

przysłoniła mu charakterystyczna sylwetka Mountfellona, niosącego chyba jakąś pałkę, a ciszę wieczoru rozdarł cichy syk:

– Co ty sobie, do diabła, wyobrażasz, stary kretynie?

– Pilnuję, żeby strumień płynął, milordzie – odpowiedział stary kretyn z cieniem zrozumiałej niechęci do tytułu, którym go właśnie obdarzono. – Tak jak pan lubi.

Mountfellow wskoczył w wyschnięte koryto i stanął tak blisko, że ogrodnikowi zrobiło się nieprzyjemnie.

– Strumień nie płynie, ty dupogłowy tępaku, jeśli się go zatrzymuje!

– Milordzie, musiałem... – zaczął mężczyzna.

Świat nigdy się jednak nie dowiedział, co takiego musiał zrobić ogrodnik, ponieważ szlachetny lord uderzył go kością udową goryla z taką siłą, że mężczyzna ze strzaskaną czaszką upadł twarzą w szlam i zaległ tam, podrygując. Mountfellow przyglądał mu się, aż drgawki ustały, a następnie wy dostał się z koryta i przeszedł do miejsca, gdzie nurt rozdzielał się na dwie odnogi i gdzie umieszczono śluzy. Westchnął i rozejrzał się za sługą, który mógłby obrócić wielkie koło otwierające przepust, a gdy nikogo nie dostrzegł, sam złapał za mechanizm i dał upust frustracji, kręcąc i kręcąc, aż korytem popłynęła woda.

Nurt dotarł do ciała ogrodnika i podmywał je stopniowo, aż wreszcie uniósł je i porwał.

Nie zaszczyciwszy zwłok kolejnym spojrzeniem, wicehrabia ruszył z powrotem w stronę domu.

Kiedy wkroczył do hallu, zaskoczył stajennego, który szedł pospiesznie korytarzem dla służby. Chłopak zatrzymał się i wpatrywał w swojego pana w pełnym osłupienia milczeniu, zbyt oszołomiony, żeby zejść mu z drogi.

– Co robisz? – zapytał Mountfellow.

– Błagam pana o wybaczenie, sir, ale szukałem pana Turnera, sir – wysapał młodzik. Turner był stangretem i chłopak uważał go za wielkiego bohatera.

– Pan Zastrany Turner idzie w stronę domu – wyjaśnił wicehrabia, po czym dodał po namyśle: – Jeśli chcesz się do czegoś przydać, idź wyciągnąć ogrodnika ze strumienia. Upadł i rozbił sobie głowę, a nie chcę, żeby blokował kanał.

Z tymi słowy odepchnął służącego na bok i skierował się do szczątków swojej kolekcji, decydując się zostać w obrębie fosy, dopóki nie wymyśli, w jaki sposób zastosować tę samą zasadę ataku odwetowego wobec tych, którzy do tego wszystkiego doprowadzili. Nieważne, czy to Sluagh, Nadzór, czy jedni i drudzy. Zniszczy każdego bez wyjątku.

ROZDZIAŁ IV

Biegnący pies

Sukę Shay często widywano na bostońskim nabrzeżu, stanowiła jedną z miejscowych osobliwości zazwyczaj pokazywanych ludziom przybyłym spoza miasta, gdy biegła tam i nazad, często niosąc coś w pysku. Uważano ją za swego rodzaju drobny cud i źródło lokalnej dumy. Tittensorowie zdołali bowiem wytresować psa tak przemyślnie, by śmigał pomiędzy ich biurem handlowym a portem, dostarczając wiadomości skutecznie niczym chłopiec na posyłki albo gołąb pocztowy.

Jakiś obibok z przystani rozpuścił plotkę, że smukła psica jest potomkinią jednego z dwóch pechowych zwierząt straconych za czarnoksiężstwo u boku dwadzieściora ludzkich ofiar powieszonych lub zmiażdżonych podczas purytańskich prześladowań, które półtora wieku wcześniej miały miejsce niedaleko stąd, w Salem. Szczegóły pochodzenia suki, nieważne, czy prawdziwe, jedynie dodawały blasku jej reputacji, nie ulegało natomiast wątpliwości, że porusza się szybciej niż jakikolwiek dwunożny biegacz, ponieważ nosiła w swym poplątanym rodowodzie krew wilczarza irlandzkiego, a jako kundel była mądrzejsza niż dowolne trzy psy rasowe razem wzięte.

Gdy zatem pędziła przez zatłoczone nabrzeże i przylegające do niego uliczki, nikt nie zwracał na nią szczególnej uwagi.

I nikt nie zauważył, że kiedy dotarła do biura

handlowego, pobięła dalej, przyspieszając w rzednącym tłumie i kierując się w stronę centrum miasta.

ROZDZIAŁ V

Ogień i lustra

Obywatel był teraz jedynym mieszkańcem domu na Chandos Place, ponieważ jego niegdysiejszy gospodarz i wspólnik wicehrabia Mountfellow popędził do Rutlandshire, gdy tylko usłyszał, jaki straszliwy los spotkał jego bezcenne zbiory w Gallstaine Hall, i zabrał ze sobą jedynego służącego. Brak kogokolwiek do pomocy był jedyną rzeczą, która przeszkadzała mężczyźnie, i coraz częściej zaczynał on sądzić, że sam również powinien się postarać o zaufanego lokaja. Teraz musiał wykonywać różne przyziemne czynności, którymi wolałby obarczyć kogoś innego, by móc skupić swą energię fizyczną i umysłową na istotnej pracy. Potrzebował – choć nikomu by się do tego nie przyznał – jakiegoś totumfackiego.

Staremu Francuzowi nie przeszkadzała samotność i cieszył się, że dzięki niej miał możliwość zatwierdzić podsunięty przez Corama Templebane'a plan ostatecznego ciosu przeciwko Nadzorowi. Satysfakcja, jaką dzięki temu odczuwał, nie łagodziła jednak narastającego niepokoju, że Dee, jego wspólnik z lustrzanego świata, nie znalazł dla niego Alpów, dusiołków, których, jak sądził, przemyślnie ulokował dawno temu w odpowiednim miejscu i których usług teraz potrzebował.

Uradował się więc, słysząc odgłos małego dzwonka brzęczącego w zwierciadlanej szafie wstawionej w ściany piwnicznego gabinetu. Obywatel spoglądał właśnie na dwóch zamkniętych w klatkach więźniów, gdy odgłos

rozproszył jego uwagę. Mężczyzna pociągnął zasłonę, ukrywając swoje laboratorium, które, co musiał przyznać nawet przed sobą, zaczynało bardziej przypominać rzeźnię niż miejsce przeznaczone na racjonalne eksperymenty, nie miał bowiem ani siły, ani ochoty, żeby zaradzić coś na tę sytuację za pomocą zmywaka i wiadra. Wszedł sztywno po dwóch stopniach prowadzących do właściwego biura.

Obszedł zasłany papierami i książkami stół, po czym otworzył zasuwkę szafy, krzywiąc się, gdy jak zwykle się zacięła. Nie było to urządzenie z lustrami wysokiej jakości i gładko chodzącym mechanizmem jak prawdziwa serwantka z Murano, ale pełniło tę samą funkcję. Mężczyzna pociągnął za drzwiczki i odsunął się, by zrobić miejsce wysokiej, pochylonej postaci z kozią bródką i jastrzębimi oczyma, która wyłoniła się z wprawionego w środek zwierciadła.

– Dee – powiedział.

– Obywatelu – odrzekł John Dee, niemal niezauważalnie skłaniając głowę.

– Znalazłeś moich dusiołków?

– Owszem. Co więcej, oznaczyłem im bezpieczną i szybką trasę przez lustra, jaką wcześniej nie dysponowaliśmy. Dzięki temu.

Spod długiego płaszcza Dee wyciągnął przedmiot kojarzący się z dużą i skomplikowaną dziecięcą grzechotką, a składający się z szeregu starannie wytoczonych i ponawiercanych kul z kości słoniowej umieszczonych na rączce z tego samego materiału.

– Kłębek z Coburga – wydyszał Obywatel, w niemal równym stopniu ciesząc się z urządzenia, co z informacji, że wkrótce uzyska dostęp do jednej z istot odgrywających tak kluczową rolę w przedłużaniu jego życia. Wciąż cierpiał

na wspomnienie sposobu, w jaki Nadzór zabił poprzedniego Alpa. To właśnie w rozpaczliwej próbie uzyskania ponadnaturalnej energii przyspieszył eksperymenty na stworzeniach uwięzionych w pomieszczeniu obok gabinetu.

Zaintubował cierpiącego Zielonego Człowieka oraz Sluagh, po czym zaczął eksperymentować z ich krwią. Przeprowadził na sobie szereg transfuzji zgodnie ze świątymi zasadami wyłożonymi przez Blundella i Leacocka, którzy, jak był zmuszony niechętnie przyznać, opracowali nieskończenie skuteczniejszą metodę niż jego rodak Jean-Baptiste Denis. Niestety, po wstrzyknięciu sobie nowej krwi nie zaobserwował żadnego zwiększenia witalności. Jedyny mierzalny efekt wydawał się występować w dawcach, którzy osłabli i pobladli, a w przypadku Sluagh, który postradał zmysły w związku z bliskością znacznych ilości żelaza oraz przejściem podczas transportu nad płynącą wodą, doprowadziło to do krańcowej apatii i upośledzenia mózgu. Zielony Człowiek lepiej znosił efekty fizyczne, lecz znajdował się w stanie nieustannego rozstroju z powodu uwięzienia, płakał i błagał tak rozpaczliwie, że Obywatel podał mu laudanum i wykorzystał uzyskany stan znieczulenia, żeby zszyć istocie wargi i wprowadzić jej przez nozdrze rurkę służącą do podawania pokarmu. Był to jedyny sposób na ucieszenie jęczącego stworzenia. Praca czekająca Francuza miała zbyt wielkie znaczenie i nie mógł on sobie pozwolić, żeby szaleńcze hałasy dalej rozpraszały jego uwagę.

Mimo to transfuzje wciąż stanowiły wyłącznie akt desperacji i Obywatel poczuł ogromną ulgę, że wkrótce uzyska dostęp do Alpa, który wspomogę jego siły. Owszem, w tej chwili czuł się pełen energii, wiedział jednak, że

w ciągu dwóch miesięcy przyda mu się spotkanie z dusiołkiem, a jeśli do niego nie dojdzie, jego stan się pogorszy.

– Mam jeszcze lepsze wieści – oznajmił Dee. – Muszę tylko namówić cię na wejście w lustra.

– Jeszcze nie jestem gotów stąd odejść – odparł Obywatel, odsuwając się od wyciągniętej dłoni. – Muszę spakować papiery, zebrać rzeczy...

Dee uśmiechnął się i zamachał rękoma.

– Nie, drogi panie, nie chodziło mi o definitywne odejście. Chciałem tylko, żebyś poświęcił mi zaledwie minutę lub dwie. Moim zdaniem to, co mogę ci teraz zademonstrować, przyniesie ci oświecenie i satysfakcję.

Francuz wysunął szyję, żeby zajrzeć do szafki, zupełnie jakby mógł zerknąć za zwierciadło.

– A zagwarantujesz mi bezpieczeństwo? Ochronę przed lustrzakami?

– Nie ma żadnych w pobliżu – wyjaśnił Dee. – To kolejna przyjemna cecha tych Kłębków: najmniejsza z wewnętrznych kul rozświetla się charakterystycznie, jeśli niedaleko przebywa któraś ze zjaw, otrzymamy więc ostrzeżenie ze znacznym wyprzedzeniem.

Obywatel zawahał się i rozejrzał po komnacie.

– Jeśli to takie dobre wieści, to czy nie możesz po prostu mi ich przekazać? – spytał, oblizując wargi.

– Czasami lepiej jest pokazać, niż mówić – odpowiedział Dee. – Obiecuję, że będziesz bezpieczny i że się ucieszysz.

Podał Francuzowi Kłębek z Coburga.

– Zobacz. Ostrzeże cię, jeśli zbliży się niebezpieczeństwo. Wtedy będziemy mogli po prostu cofnąć się do tego pokoju i zamknąć szafkę.

Obywatel obrócił powoli przedmiot w dłoniach i skinął

głową.

– Niech tak będzie. Ale musisz mi podać rękę, nie poruszam się bowiem tak pewnie jak niegdyś.

Minutę później przeszli przez jedno z równoległych zwierciadeł w szafce i stanęli w długim, na pozór nieskończonym korytarzu o lustrzanych ścianach, stropie i podłodze. Ich wszechobecne odbicia biegnące we wszystkich kierunkach dawały niepokojący efekt. Francuz zachwiał się lekko, a Dee podtrzymał go za ramię.

– Lustrzany świat jest dla mnie równie niepokojący jak zawsze – mruknął Obywatel. – Co masz mi do pokazania?

Dee obrócił go. Szereg odbić, który ukazał się oczom Francuza, wydawał się mieć skazę. Jedno ze zwierciadeł było czarne.

– Czarne lustro – rzekł mężczyzna. – Nie ma w tym nic nowego...

Dee uśmiechnął się i pokręcił głową z miną czarodzieja, który zmierza do kulminacji starannie obmyślonej sztuczki.

– Lustrzany świat jest uszkodzony – powiedział. – Obaj boleśnie się o tym przekonaliśmy. Nie zdołałem jeszcze nanieść na mapę licznych przejść, nie tylko dlatego, że nieustannie zmienia się jego rozmiar, być może w wyniku tego, że w świecie zewnętrznym wciąż powstają nowe zwierciadła, a te istniejące są przenoszone albo się tłuką. Podchodziłem do sprawy z błędnym nastawieniem, właśnie to uważając za przyczynę. Teraz jednak sądzę, że to nie zmienność lustrzanego świata powstrzymuje nas przed wykorzystywaniem go tak, jak byśmy chcieli.

– Co zatem? – dopytywał Obywatel.

– To – wskazał Dee. – Czarne lustra. Skorodowały mechanizm, który kiedyś działał doskonale.

Francuz wyrwał rękę z jego uścisku i stanął przed

obsydianową powierzchnią wskazanego zwierciadła. Niczego nie odbijało.

– Ale uważaliśmy, że moc lustrzanego świata pochodzi z rozciągającej się za nim ciemności – powiedział. – Brahe i Fludd byli co do tego przekonani.

– Fludd to głupiec, a jednym powodem, dla którego dajemy wiarę ich zapiskom, jest to, że stworzyli je dawno temu. Wiek nie jest gwarancją autentyczności.

– Nie – odrzekł Obywatel. – Masz słusność i być może powinniśmy podchodzić z jeszcze większą podejrzliwością do dawnych mistrzów, gdy staramy się stworzyć nowe, nowoczesne środki kontroli i źródła mocy. Kontynuuj.

– Czarne lustra nie stanowią naturalnej części lustrzanego świata – podjął Dee. – Dawni mistrzowie mogli mieć słusność lub mogli jej nie mieć, mówiąc, że rozciągająca się za nimi ciemność ma coś wspólnego z mocą leżącą u podstaw mechanizmu ich działania, ale sądzę, że czarne lustra są jak okna wybite przez chuliganów. Owszem, pokazują, co jest za nimi, ale stanowią aberrację i świadectwo zaniedbania. Jak już ci kiedyś wspominałem, wiem, że powstają poprzez przelanie krwi. Ta krew przelewana jest niemal wyłącznie przez lustrzaki, czyli, jak obydwoj się zgadzamy, pasożyty, które przeszły do opuszczonej krainy, aby wymknąć się działaniu czasu. Trafiałem na całe sekcje korytarzy wyłożone czarnymi lustrami i odnosi się w nich inne wrażenie, czuje się inne wibracje niż w zwyczajnych tunelach.

Obrócił się i popatrzył na Francuza, żeby mieć pewność, czy ten rozumie.

– Pamiętasz, jak znaleźliśmy korytarz w ocalałym fragmencie *De speculatum cuniculis* pióra Sacrobosco, tym, który opisywał lustrzany świat jako wielki mechanizm

działający dzięki mocom okultystycznym?

Obywatel wzruszył ramionami, jakby irytowało go branie za tumana.

– Tak, tak. Mieliśmy odmienne zdanie co do tłumaczenia terminu „okultystyczny”, ale owszem, racja. I co w związku z tym?

– Jeśli przyjmujemy tę analogię, wówczas czarne lustra są niczym złamane zęby na kole zębatym. To przez nie urządzenie działa nieprawidłowo. A moje własne obserwacje wskazują z całą pewnością, że w niektórych miejscach cały system jakby się zaciął, zupełnie jak wielki zatarty silnik – wyjaśniał Dee. – To właśnie dlatego nasze próby odnalezienia, a następnie wykorzystania spójnego szeregu skrótów zawsze kończyły się niepowodzeniem. Gdyby system funkcjonował prawidłowo, podróż przebiegałaby bez zakłóceń i można byłoby wejść do serwantki z Murano w Cheapside, by jeden krok później wyjść w Konstantynopolu lub w odległym Kitaju.

– Założmy, że masz słuszość...

– Mam słuszość – odrzekł Dee. – Urządzenie jest zepsute.

– Nie zrobiłem tego, co musiałem, nie przeżyłem gilotyny i nie przedłużałem szaleńczo naturalnego okresu życia tylko po to, żeby się poddać – warknął Obywatel.

– Ja również – odparł Dee. – I nie musimy się poddawać, wierzę bowiem, że mamy lekarstwo na nasz kłopot. Innymi słowy, wiem, w jaki sposób można naprawić to, co się popsuło. Wiem, jak zreperować czarne lustra.

– Jak? – spytał Francuz.

Dee wyciągnął z kieszeni ogarek świecy. Strzelił nadgarstkiem i knot zapłonął.

– Obserwuj. Zabrałem tę świecę człowiekowi nazwiskiem

Sharp, którego spotkałem zagubionego w lustrach.

– Lustrzak?

Dee parsknął śmiechem.

– Członek Nadzoru. – Wskazał Kłębek z Coburga, wciąż tkwiący w dłoni Obywatela. – Z początku uważałem, że mogę mu podziękować tylko za to urządzenie umożliwiające powrót, naprawdę wspaniałe narzędzie, które w znacznym stopniu rozszerzyło moje możliwości eksploracyjne. Właśnie dlatego, że miałem możliwość zagłębić się dalej, mogłem zobaczyć wiele regionów tamtego świata skalanych przez czarne lustra. Przedmiot ten został wykonany z wielką precyzją i zdradza niesłychane zjawstwo. Oddałbym rękę, żeby osiąść wiedzę na temat działania zwierciadeł, jaką musiał dysponować jego twórca. Ostatecznie jednak to zwykła świeczka podpowiedziała mi, co nam się wymykało...

Wyciągnął ogarek na długość ramienia.

– Obserwuj płomień.

Gdy podszedł do czarnego lustra, świeca zaczęła gorzeć jaśniej, ale zdziwiło go coś innego: w labiryncie zwierciadeł nie wiał najłżejszy nawet wiatr, tymczasem płomień pochylał się, jakby ciężąc ku ciemnej powierzchni.

– Mrok przyciąga ten ogień – wydyszał Obywatel. – Tak, widzę. Ale powinniśmy byli zauważyć to zjawisko wcześniej!

– Nie – odparł Dee. – Wina nie leży po naszej stronie. Zwykły płomień nie daje takiego efektu, ale świece Nadzoru nie są zwykłe. Działają na zasadzie samozapłonu, każdą z nich jej właściciel napędza iskierką czegoś, czego strzegą wyjątkowo pieczołowicie. Pożogi.

– Wydawało mi się, że ich wielką tajemnicą był Segregant – powiedział Francuz. – Mountfellow był przekonany, że to

jest Wielki Klucz.

– To podobne do Kowala, żeby ukryć jeden sekret w innym, a później zostawić wszystko w mniejszym lub większym stopniu na widoku – uznał Dee. – Jestem głupcem, że nie pomyślałem o tym już przed laty. Obserwuj uważnie, bo to ostatnia ze świec, które wziąłem od tego głupca Sharpa.

Przysunął dłoń jeszcze bliżej czarnego lustra. Sam ogarek był trzymany pionowo, ale płomień skierował się prostopadłe do niego i zaczął huczeć, zupełnie jakby czerń go wciągała. Wosk topił się w błyskawicznym tempie i nagle ognek zeskoczył z dłoni mężczyzny, po czym wylądował na powierzchni szkła, skacząc po niej i wypełniając ją od góry do dołu, z jednego boku do drugiego. Z palców Dee ściekł wosk i wkrótce świeca całkowicie zniknęła. Podobnie jak płomień.

– *Merde* – wydyszał Obywatel, przyglądając się sobie w lustrze, które jeszcze przed chwilą było czarną taflą. Na jego twarzy pojawił się paskudny uśmiech. – Płomień naprawił lustro...

Dee skinął głową i odpowiedział uśmiechem.

– Teraz możemy zreperować wszystkie pozostałe i wreszcie wprowadzić w życie nasze dawne nadzieje.

– Ale – zaczął Francuz, zaciskając palce niczym szpony na ramieniu towarzysza – mówisz, że przepływ załamują całe połacie czarnych luster. Jedno zabrało twoją świecę. Z tego, co mi powiedziałaś, w całym Londynie nie ma dość świec, żeby zrobić to, co sugerujesz. Czy nie znaleźliśmy się w jeszcze mniej korzystnej sytuacji? Znamy lekarstwo, lecz mamy go za mało, żeby je zastosować...

– Ależ nie zamierzam chodzić od zwierciadła do zwierciadła i do końca swoich dni naprawiać je świeca po

świecy jak jakiś murarz reperujący dziurawą ścianę – rzekł Dee. – Świece tworzy Pożoga. Wskazówką jest jej nazwa. To najbardziej niszczycielska, najżarłoczniejsza rzecz na świecie. Nadzór i jego poplecznicy strzegą jej od tysięcy. Gdy wymykały się jej fragmenty, następowała katastrofa, jak w przypadku Wielkiego Pożaru, i tylko dzięki ślepemu szczęściu oraz szaleńczej odwadze udało się ograniczyć go do samego Londynu. Nie bez powodu Pożogę trzyma się w największym mieście na najpotężniejszej wyspie świata.

– Domyślam się, że kluczem jest słowo „wyspa” – z nieładnym błyskiem w oku stwierdził Obywatel.

– Właśnie – odpowiedział Dee. – Gdybyśmy wyzwolili Pożogę między zwierciadłami, przemknęłaby z rykiem przez każdy zakamarek tej wielkiej, uszkodzonej maszyny, pochłaniając wszystko na swojej drodze i przywracając każde czarne lustro do pierwotnego stanu.

– Czy wtedy lustrzanego świata nie ogarnęłyby na zawsze płomienie? – spytał Francuz, nagle przestając się uśmiechać.

– Moim zdaniem nie. Uważam, że czarne lustra by je pochłonęły, ale jeśli się mylę, istnieje sposób, by okiełznać Pożogę na nowo, tak jak uczyniono to podczas Wielkiego Pożaru, inaczej bowiem Londyn wciąż by płonął, a wraz z nim reszta Brytanii.

– A ty znasz ten sposób – uznał Obywatel.

– A ja znam ten sposób. Ponieważ tam byłem.

Na twarz Francuza wrócił paskudny uśmiech.

– Dodatkowa korzyść: spłonęłyby lustrzaki. A skoro to z powodu ich zwyczaju upuszczania krwi maszyna uległa zepsuciu, nie widzę powodu, żeby uważać to za wielką stratę.

– Istotnie – zgodził się Dee. – To tak jakby wlać oliwę do

szczurzego gniazda i podpalić ją, żeby pozbyć się plagi.

– No cóż. Zatem jedyne, co musimy zrobić, to zniszczyć Nadzór i zabrać Pożogę.

– A Nadzór akurat ma taką złą passę. Zupełnie jakby czuwała nad nami opatrność.

– Tylko gdzie jest Pożoga? – zapytał Obywatel. – Siedziba Nadzoru została zniszczona, więc nie mogła się tam znajdować.

– Musi być w rzece – podsunął Dee, jakby była to najbardziej oczywista rzecz na świecie. – Mogli zapieczętować ją w ołowianej skrzyni i umieścić na dnie.

– A ty jesteś o tym przekonany?

– Czy pierwszy podstęp Mountfellona nie skończył się klęską, gdy próbował zastawić na członków Nadzoru pułapkę, kiedy opuszczali skrzynię pod wodę? Nie cechują się zbytnią wyobraźnią, a możliwości postępowania z Pożogą są poważnie ograniczone przez jej niestabilność. Musieli działać szybko, a środki bezpieczeństwa nie pozwalają na szczególne wyrafinowanie. Musimy tylko znaleźć kogoś, kto przeszuka dno.

– To bardzo długa rzeka – skomentował Francuz, lecz Dee parsknął.

– Ich szeregi zostały osłabione do tego stopnia, że nie mieli jak zabrać Pożogi daleko, jestem tego pewien. Poza tym Templebane'owie mają oczy i uszy w całym mieście. Ich siatka wywiadowcza z pewnością pozwoli nam znacznie ograniczyć obszar poszukiwań.

– Ta twoja pewność... – stwierdził Obywatel, wciąż czując lekki sceptycyzm.

W odpowiedzi Dee uśmiechnął się lisio.

– Zapominasz, mój drogi Obywatelu, że znam metody członków Nadzoru. Czyż bowiem w mojej pełnej pomyłek

młodości nie byłem jednym z nich?

ROZDZIAŁ VI

Pod grabem

Amos Templebane w czasach, gdy jeszcze służył dwóm ojcom, na sznurku zawieszonym na szyi nosił tabliczkę z napisem „Jestem niemy, ale rozumny”. Czasami czuł się wtedy jak pies w obroży z nazwiskiem właściciela, ale jednocześnie zapewniało mu to pewien status, a przynajmniej poczucie przynależności, ponieważ separowało go od nieznanym, między których kazano mu chadzać. Zawieszka mówiła, że nie jest zwykłym prostaczkiem, wyjaśniała, że nie umie mówić, i stanowiła dowód, że jest powiązany z kimś konkretnym, ponieważ wykonano ją z mosiądzu i ozdobiono kształtnymi literami. Niewątpliwie świadczyła również o tym, że komuś podlega, jak wspomniany pies, udomowiony zwierzak, nauczony odpowiadać na polecenia w zamian za regularne posiłki i suche legowisko.

Tabliczka i napis zniknęły już dawno, przed kilkoma miesiącami, ale Amos nie czuł się wyzwolony. Zbuntował się, odszedł i błąkał po świecie, obiecując sobie, że nie da już nikomu sobą rządzić i zacznie żyć, polegając wyłącznie na własnym rozumie i umiejętnościach. Niemal natychmiast został zaatakowany przez druciarza o morderczych zamiarach i nieszczęśliwie zabił go w samoobronie. Nie zrobił tego celowo i jego dusza wzdragała się na wspomnienie popełnionego czynku, choć racjonalny umysł tłumaczył go z zabójstwa. Wtedy złożył uroczystą przysięgę, że to ostatnia krew, którą przelał albo

za której przelanie będzie odpowiedzialny. Wyrażał w ten sposób wewnętrzną odrazę do wszelkiej przemocy oraz żarliwe, płynące z głębi pragnienie, żeby unikać jej w przyszłości. Amosa nie pchnęło do owej obietnicy tchórzostwo, był bowiem odporny i odważny, lecz raczej ogólny moralny odruch połączony z chęcią okiełznania we własnej głębi czegoś, co nie do końca pojmował. Wiedział bowiem, że ma w sobie moc, którą należy poskromić i ograniczyć, inaczej to ona zacznie kontrolować jego. Zdecydował, że zacznie wieść spokojne, niezależne życie.

Jednakże, jak Issachar Templebane powiedział niegdyś do swoich przybranych synów, gdy wyjątkowy chłód zmusił ich do niechętnego wyrażenia zapotrzebowania na więcej węgla, żeby w biurze dało się pracować: „Gdyby życzenia były końmi, żebracy by na nich jeździli”.

Teraz zaś pomimo wszystkich swoich intencji i pragnień Amos szedł błotnistą drogą do Londynu, z jakiegoś powodu wciąż podróżując z kobietą, której bierna tyrania wydawała się niemal równie nieznośna jak nadany mu przez nią przydomek: Krwawy Chłopiec. Był on boleśnie trafny, ponieważ odkąd Amos spróbował tak naiwnie odrzucić przemoc, stał się odpowiedzialny za więcej utraconych żywotów i większą ilość przelanej krwi, niż gdyby obrał przeciwny kurs i zdecydował się na karierę mordercy. Wspomnienia całej tej rzezi powracały w snach, a mrok czający się pod powiekami nie stanowił schronienia, lecz gniazdo cieni, w których majaczyły będące udziałem chłopaka drastyczne sceny. Nawet gdy nie spał, Amos nie mógł liczyć na to, że jego własna głowa stanie się sanktuarium, w którym zdoła skryć się za ochronną zasłoną milczenia, skoro rozczarowana i obłąkana towarzyszka w jakiś sposób potrafiła – podobnie

jak on – rozmawiać bez użycia słów.

Jedyną korzyścią płynącą z niedawnych katastrof i okropieństw, których stali się uczestnikami za sprawą bandy Sluagh (najpierw zmusili ich oni do posłuszeństwa, a później porzucili), było to, że starannie obmyślane plany kobiety – niegdysiejszej Zmory z izolatki – zostały pokrzyżowane. Dzięki temu Amos powoli odzyskiwał prywatność i autonomię własnego umysłu. Rozproszona uwaga kobiety zapewniła mu przestrzeń potrzebną do ustawienia murów obronnych, które ona, gdyby wykazała się większą czujnością, mogłaby zburzyć, zanim zyskałyby odpowiednią trwałość. Udało mu się jednak bez żadnych instrukcji osłonić przed nią myśli, zupełnie jakby skonstruował małą redutę, do której mógł się wycofać i odizolować od niechcianego intruza.

„Wiem, co robisz”. Jej słowa nieproszone pojawiły się w jego głowie, gdy siedzieli pod powykręcانymi gałęziami grabu, wciąż porośniętymi nielicznymi liśćmi, teraz brązowymi i wyschniętymi.

„Cieszę się twoim szczęściem”.

„Blokujesz mnie”.

„Naprawdę?”

– Nie obchodzi mnie to – wyrzęziła głosem równie suchym i chrapliwym jak szelest martwych liści ponad nimi, ocierających się o siebie na lekkim wieczornym wietrze. – Nie obchodzi mnie nic poza jedną rzeczą. Zrobię tę jedną rzecz, a później już nic nie będzie miało znaczenia.

„Pójdę z tobą do Londynu, ale nie będę ci już pomagać z tą jedną rzeczą. Nasze drogi się rozejdą”.

– Jeśli mi pomożesz, dam ci prezent – powiedziała. – Najwspanialszy z możliwych, naprawdę.

„Nie masz nic, czego bym chciał”.

– Mam wszystko, czego chcesz.

„Niczego nie chcę”.

– Mogę ci wytłumaczyć, kim jesteś.

„Wiem, kim jestem”.

– Nie wiesz. Nie wiesz, dlaczego jesteś odmienny. Nie wiesz, że istnieją inni tacy jak ty, jak ja.

Tak naprawdę Amos wiedział o istnieniu innych takich jak on, a przynajmniej się tego domyślał, ponieważ podczas służby dla Tempelbane'ów, swej przybranej rodziny, nieustannie nadstawiał uszu. Wiedział, że Wolne Bractwo Nadzoru Londyńskiego składa się z mężczyzn i kobiet wydających się mieć niezwykle moce. Właśnie z powodu tych mocy działalność Nadzoru stała w sprzeczności z interesami jego ojców oraz z działaniami Sluagh. Ci z kolei najpierw współpracowali z ojcami, a później uwięzili Amosa i go wykorzystali; to głównie za ich przyczyną miał tak krwawe sny. Otworzyli mu oczy na obcy mrok tak nieprzyjazny dla ludzi, że chłopak miał wrażenie, jakby spoglądanie na niego zbrukało go na zawsze. A tajemnica, którą skrywał przed Zmorą za nowymi barykadami w umyśle, dotyczyła zamiarów skontaktowania się z Nadzorem po przyjeździe do Londynu. Być może odnalezienie tych, którzy potrafili walczyć ze Sluagh, pozwoli pozbyć się koszmarów sennych, które zaczęły wypaczać więź Amosa z rzeczywistością.

– Mogę cię uczyć – rzekła. – Zostań ze mną do końca, a nauczę cię pieśni twojego życia. Pokażę ci, jak korzystać z mocy, które posiadasz, również z tych, których jeszcze nie umiesz używać.

Wiedział, że kłamie. W takich przypadkach mówiła na głos, jakby odzywanie się w myślach stanowiło sposób porozumiewania się na tyle bezpośredni, że trudniej było

wtedy ukryć fałsz.

„Niczego nie chcę. Ani od ciebie, ani od nikogo innego”.

– Każdy czegoś chce. Chcemy i dostajemy. Tak działa świat, Krwawy Chłopcze. Chcemy i dostajemy, parzymy się i pyszniemy. Świat jest jak plugawy kościół, gdzie potężni i silni zasiadają w jasno oświetlonej nawie, a słabi i znużeni zostają odesłani pod ściany, na ławki, na które niczym całun można naciągnąć cienie, żeby nikt z wielkich nie widział usychających pod nimi nieszczęśników. Ale ostatecznie każdy idzie pod ścianę, Krwawy Chłopcze. Ściana czeka. Ściana wie. I wiesz, co do mnie mówi?

Amos wiedział. Był to stały refren jej obsesji. Ta jedna rzecz.

„Ściany nie mówią” – odpowiedział, próbując uprzedzić potok słów, które coraz bardziej drażniły jego uszy.

– Ależ mówią – odparła, śmiejąc się chrapliwie, jakby wypuszczała z siebie ostatni dech. – Gdybyś zamiast Krwawym Chłopcem urodził się jako istota zwana Wejrzeńcem, słyszałbyś je równie wyraźnie jak tego bażanta w żywopłocie po drugiej stronie drogi. Mogę cię nauczyć o Wejrzeńcach i innych stworzeniach, pokazać ci świat, do którego należysz, jeśli tylko zostaniesz ze mną i pomożesz mi zrobić tę jedną rzecz. Będzie to mój prezent dla ciebie.

Za murami, które postawił w umyśle, istotnie sądził, że pobieranie od niej nauk dałoby mu jakieś zajęcie podczas podróży, a może i przydatną wiedzę, gdyby tylko zdołał oddzielić to, co prawdziwe, od urojonych bredni. Nie zamierzał jednak pomagać jej z „rzeczą”. Z drugiej strony nie zamierzał jej też przeszkadzać.

Podniósł się cicho. W żywopłocie po drugiej stronie drogi rzeczywiście znajdował się bażant, a on był głodny. Gdyby

podszedł go powoli i ostrożnie, mogliby przynajmniej dobrze zjeść przed snem na zimnie.

– Wiesz, co mówi ściana, czyż nie? – nalegała, a niespodziewany uśmiech na jej twarzy wyglądał w gasnącym świetle dość upiornie.

„Bądź cicho. Wystraszysz nam kolację”.

„Zabij go, Krwawy Chłopcze. Zabij go. Zabij jak wiesz kogo”.

Wiedział kogo.

„Zabij go jak Mountfellona”.

Jej uśmiech stał jeszcze paskudniejszy.

„Ponieważ Mountfellowon musi umrzeć!”

ROZDZIAŁ VII

Pedel

Gdy w gospodzie na nabrzeżu udało się już wynegocjować rozsądną cenę za pokój na jedną noc, a ich bagaże zostały bezpiecznie zamknięte wewnątrz, Lucy znów znalazła się na bostońskiej ulicy. Kolejny raz starała się dotrzymać tempa Cait.

– Dokąd...? – zaczęła.

– Dowiesz się na miejscu – ucięła Irlandka. – A teraz nie zwalniam, jeśli zaś brakuje ci pogaduszek, to odpowiedz mi na takie pytanie: co sobie pomyślałaś o pani Tittensor?

– Czyli to była ona.

– Oczywiście, że ona. Nie widziałaś jej wcześniej z psem?

– Jakim psem? – spytała Lucy.

Cait pokręciła głową w sposób, jaki dziewczyna nauczyła się już rozpoznawać jako ledwo powstrzymywane niedowierzanie, że jej uczniocy aż do tego stopnia brakuje bystrości.

– Był pies – rzekła Cait. – Duża, kudłata suka, która gdyby zechciała, mogłaby powalić jelenia.

– Nie widziałam jej.

– A co widziałaś?

– Miała dużo włosów. Była dobrze ubrana. Yyy...

– Dużo włosów? Dobrze ubrana? Yyy? – powtórzyła Irlandka, parskając z odrazą. – To twoje pierwsze wrażenie?

– Nie byłam nawet pewna, czy to żona kapitana – odparła Lucy. Suchy ląd nie przywrócił Cait wesołości.

– Powinnaś ją zauważyć wcześniej. Mówiłam ci, że jeśli chcesz przetrwać samotnie w świecie, nigdy nie możesz przestać się rozglądać. A gdy trafisz w nowe miejsce, musisz patrzeć dwa razy intensywniej.

– Zatem kiedy ty ją zobaczyłaś? – spytała Lucy. Wiedziała, że zabrzmiało to zaczepnie, ale nadto się tym nie przejęła. Czuła dumę z faktu, że jeszcze do niedawna całkiem nieźle wychodziło jej przetrwanie w świecie bez niczyjej pomocy, choć pozostawało prawdą, że wiodła dość nędzne życie.

– Gdy to ona nas dostrzegła – wyjaśniła Cait. – Była przy magazynie po prawej, przy kolumnach. A później wysłedziła nas i znieruchomiła, po czym cofnęła się znów w cień.

– Chcesz mi powiedzieć, że wypatrzyłaś ją w tym wielkim tłumie ludzi kłębiących się w porcie?

– Tłumy to nie problem, Lucy Harker, gdy już nauczysz się z nimi radzić. Mają swój rytm, są jak fala przyprływu lub odpływu. Jeśli chcesz się ukryć, trudno o lepsze miejsce niż tłum, ale wtedy musisz iść z prądem, inaczej będziesz się rzucać w oczy jak łośń próbujący płynąć w górę strumienia. Ona zaś najpierw kroczyła w naszą stronę, później nas dostrzegła, zatrzymała się i cofnęła, żeby się schować i przyjrzeć nam z ukrycia. Dzięki temu zauważyłam nietypowy ruch.

– Schować się? – spytała Lucy. – Dlaczego miałyby to zrobić?

– Ponieważ nas zobaczyła – odparła Irlandka, jakby była to najbardziej oczywista rzecz pod słońcem. – A raczej zobaczyła mnie. Czy w tamtym momencie nie żegnałam się właśnie przyjaźnie z kapitanem?

Lucy cofnęła się wspomnieniami do chwili na szczycie

trapu, gdy życzyły kapitanowi powodzenia i mu dziękowały, on zaś w odpowiedzi roześmiał się i podał Cait świstek papieru, przytrzymując jej dłoń o uderzenie serca dłużej, niż zezwalały na to konwenanse, oraz żartował, że to raczej *au revoir* – „do zobaczenia”, nie ostateczne pożegnanie. Kazał jej obiecać, że zajrzy do niego i jego żony, aby spytać o możliwość pracy w charakterze opiekunki do dziecka.

– Nie wydarzyło się między wami nic niestosownego – skomentowała.

Cait podniosła rzucony kawałek papieru i pomachała nim nad ramieniem, nie zwalniając tempa.

– Ale ona dostrzegła, że coś między sobą wymieniliśmy, i choć nie poczytuję sobie tego za zasługę, ponieważ miłą oku powierzchowność matka przekazała mi przypadkiem przez krew, to dla żony przywykłej do zastanawiania się, co jej małżonek porabia w zagranicznych portach, z pewnością wyglądałam na powód do zmartwień.

– Czyli była zazdrosna?

– Nie wiem. Może. O coś na pewno chodziło. Minęła nas, gdy wysiadałyśmy, w równym stopniu uważając, żeby na nas nie spoglądać, co my pilnowałyśmy, żeby nie patrzeć na nią.

– Możliwe, że po prostu nas nie widziała – podsunęła dziewczyna.

– Ludzie mnie widzą, Lucy – stwierdziła Cait. – Mężczyźni. Kobiety. Zwłaszcza żony. A przynajmniej widzą mnie, gdy tego od nich oczekuję. Jeśli nie jesteś bardziej spięta, niż próbujesz udawać, to powinnaś zauważyć, że ciebie też widzą. Uwierz mi, jesteś atrakcyjną dziewczyną o stanowczej twarzy. Wprawdzie niemal cały czas masz taką minę, że wyglądasz jak mała chmura burzowa odziana

w suknię, ale mężczyźni mimo to oglądają się za tobą, choćby po to, by się zastanawiać, co skłoniłoby cię do uśmiechu.

Lucy nie chciała kontynuować tego wątku rozmowy, choć w duszy ucieszyła się, że Irlandka uważa ją za atrakcyjną, więc po prostu szła dalej, rozglądając się po ulicy i próbując dostrzec jak najwięcej szczegółów.

– Chyba się teraz nie zarumieniłaś? – spytała Cait, nie obracając się.

– Nie – odparła Lucy, natychmiast się czerwieniąc.

– Panowanie nad wyglądem to część sztuki przetrwania. To również element podchodzenia do zwierzyny. Musisz się rozcieńczyć.

– Rozcieńczyć? – powtórzyła dziewczyna.

Cait znów westchnęła, zatrzymała się i pociągnęła swą uczennicę pod dom, który właśnie mijaly. Przestrzeń pod schodami zapewniła im ochronę przed strumieniem pieszych i wózków.

– Popatrz na moją twarz – poleciła Irlandka. – Nigdy w dzieciństwie nie bawiłaś się farbami?

– Nie – odrzekła Lucy, której wczesne wspomnienia były poszarpane i pełne luk. – To znaczy tak, farbami, może...

– Rozcieńczanie siebie to jak dodawanie wody do farb – wytłumaczyła Cait. – Rozmywasz kolor, aż zostanie z niego niewiele więcej niż woda. O tak. Spójrz teraz na mnie i naucz się czegoś.

Lucy czuła się niezręcznie, patrząc bezpośrednio na oblicze Irlandki, głównie dlatego, że tak naprawdę robiła to bardzo często, choć poświęcała wiele czasu i wysiłku, by udoskonalać sztukę dyskrecji.

Zmusiła się, by spojrzeć w zielone oczy, na bladą skórę poznaczoną jaśniutkimi piegami uwydatniającymi kości

policzkowe. Ich krzywiznom przyjrzała się dotąd pod każdym kątem, nieraz zachwycała się, jak nikną w burzy gęstych rudych włosów.

I nagle oddech uwiązał jej w gardle, choć tym razem nie towarzyszył temu zwyczajny zdradziecki, pusty ból w klatce piersiowej, lecz zaskoczenie: Cait nie poruszyła się, a jej mina pozostała niezmieniona, a jednak z jakiegoś powodu... zniknęła. Owszem, fizycznie wciąż znajdowała się w tym samym miejscu, ale stała się dziwnie bezbarwna i przeciętna. Światło ożywiające jej oczy przygasło, mięśnie twarzy rozluźniły się, lecz chodziło o coś jeszcze. Irlandka zmatowiała tam, gdzie wcześniej błyszczała, zrobiła się niewyraźna i rozwodniona tam, gdzie dawniej wydawała się wyjątkowa i określona. Sprawiała wrażenie mniejszej i pustej w środku, a poza tym Lucy czuła, że jej wzrok mimowolnie ucieka od mętnych rysów, szukając czegoś ciekawszego do obserwacji.

– Jak to zrobiłaś? – zapytała.

Cait uśmiechnęła się. Wyglądało to tak, jakby do opuszczonego domu wracało światło.

– Praktyka.

– Nauczysz mnie? – poprosiła Lucy.

– Pewnie, dlaczego nie? W końcu taki chyba zawarłyśmy układ. Musisz jedynie osłabić kontrolę nad elementami, które określają twoją powłokę, i wycofać się o krok w głąb siebie.

– Tak po prostu?

– Powiedziałam, że to wymaga praktyki – rzekła Irlandka, wychodząc z powrotem na ulicę. – A teraz dotrzymuj mi kroku i zachowuj czujność.

Przez następnych kilka godzin Lucy nabawiła się bólu stóp, a w głowie miała jeszcze większy mętlik. Cait

przemierzała płataninę uliczek w sposób chaotyczny i pozbawiony sensu, lecz gdy już niemal wróciły do punktu wyjścia, miały przy sobie zdobyte tym czy innym sposobem pół funta kiełbasek wieprzowych od irlandzkiego rzeźnika w bocznym zaułku Beacon Hill oraz dwie małe buteleczki: jedna podpisana była „McMunna Elikvir z Opium”, druga zaś „Środek Nasenny jak od Mamy Łagodne Laudanum”. Cait nie wyjaśniła celu żadnego z tych zakupów, ale wciąż napominała swą uczennicę, żeby się rozglądała. Lucy nie pytała, czego ma wypatrywać, szukała wzrokiem wszystkiego, co jej zdaniem odbiegało od normy. Nic takiego nie dostrzegła, zamiast tego stwierdziła, że bardzo jej się podoba gwar i energia Bostonu. Tak było, dopóki nie stanęły przed dzielnicą ruder, które wydawały się niedbale rzucone u podnóża Beacon Hill, na jałową ziemię leżącą pomiędzy morzem a słonymi mokradłami.

W polu widzenia kobiet pojawiła się nagle grupka pijanych mężczyzn wdrapujących się po błotnistym zboczu. Gdy ujrzeni Cait, powiedzieli coś w języku, którego Lucy nie potrafiła określić, nie mówiąc już o zrozumieniu, sedno ich wypowiedzi zawierało się jednak w obleśnym rechocie i pożądlivych spojrzeniach.

Irlandka obróciła się do nich. Sam jej wzrok był tak stanowczy, że niektórzy wykonali krok w tył, jednak co bardziej pijani dalej rzucali komentarze na jej temat, szturchali się i śmiali. Wyraźnie czuli się bezpieczni za nieprzeniknioną barierą swojego języka. Jeden z nich zaczął iść w stronę Cait i próbował zdobyć jej względy, łapiąc się za krocze, mrugając i pomrukując coś, co Lucy wydawało się zupełnie niezrozumiałe, choć przecież oczywiste pod względem sensu.

Cait nie cofnęła się. Zamiast tego podeszła bliżej

wylewnego zalotnika i wypuściła z siebie strumień inwektyw w tej samej mowie, której używał jej wielbiciel. Ten zachwiał się i zakrztusił, zupełnie jakby jej słowa ugodziły go prosto w gardło, po czym potknął się i upadł, zanim którykolwiek z kompanów zdążył go podtrzymać. Cała reszta wydała się nagle pozbawiona energii. Mężczyźni wyglądali na zawstydzonych i nieprzyjemnie otrzeźwionych, natomiast Irlandka niestrudzenie kontynuowała werbalny ostrzał. Zanim skończyła, poczerwieniała na policzkach.

– I widzisz, Lucy? Tak jak mówiłam, wszędzie jest niemal tak samo. Oto masz przed sobą kwiat irlandzkiej męskości, tyle że nie zachowywaliby się w taki sposób, gdyby stali na ojczystej ziemi w zasięgu słuchu swoich mamus, które strzeliłyby ich w ucho i posłały do kąta, żeby przemyśleli swoje zachowanie. Wystarczy ich jednak przerzucić za wodę i już paradują bez wstydu, wrzeszcząc jak rozszalałe pawiany z wywalonymi kuškami.

Obserwowały, jak mężczyźni wślizgują się z powrotem między rudery.

– A podobno podróże kształcą – skomentowała Cait. – Nie w ich przypadku. Teraz spotkamy się z kapitanem i sprawdzimy teren. Chcę przyjrzeć się tej kobiecie, która nas zauważyła. Coś mnie w niej niepokoi. A gdy już się dowiemy, jak wygląda sytuacja z dzieckiem, poczekamy, aż zasną, damy psu smaczną kielbaskę z odrobiną tego środka uspokajającego, a później, zanim ktokolwiek się zorientuje, odpłyniemy wraz z dzieckiem w kierunku cywilizacji.

Wyglądało na to, że wyładowanie się na Irlandczykach ożywiło kobietę. Lucy musiała wyciągać nogi, by dotrzymać jej kroku, gdy rudowłosa znów ruszyła w kierunku brzegu.



Dwie godziny później znalazły dom kapitana. Odczekały do wyznaczonej godziny w cieniu pomiędzy dwiema pokrzywionymi od wiatru sosnami, po czym skierowały się do sporego budynku o trzech kondygnacjach. Maślaną żółć ścian podkreślała biel belek. Na stromo ściętym dachu znajdował się taras widokowy, na poziomie gruntu zaś całość okalała zakryta weranda.

– No proszę – powiedziała Cait. – Na przewozach da się zarobić, co zresztą nie dziwne.

Weszła pewnie po schodach i pociągnęła za mosiężną gałkę przy drzwiach. Rozległo się szuranie, później gdzieś w głębi domu rozbrzmiał dzwonek, a zaraz po nim kilka szczeknięć. Lucy odruchowo cofnęła się o krok.

– Widzisz? – rzekła Irlandka. – Mówiłam ci, że był pies.

Rozbrzmiały ciężkie kroki, po czym drzwi się otwarły, ukazując jasno oświetlone wnętrze.

Pies rzucił się naprzód i stanął na progu ze zjeżoną sierścią oraz obnażonymi zębami.

Cait nachyliła się do niego.

– No już, już, przestań. Nie mamy złych zamiarów, prawda, kapitanie?

Podniosła wzrok na czarną sylwetkę stojącą na tle gazowych lamp. Mężczyzna był wyższy i szczuplejszy od dowódcy statku.

– Kapitan śpi – oznajmił i wyszedł na ganek, żeby tamtejsza lampa oświetliła jego rysy.

Był wychudzony, miał dzioby i nos, który najwyraźniej został kiedyś złamany, po czym zrósł się krzywo, w związku z czym całe oblicze wyglądało, jakby uległo gwałtownemu zgnieceniu.

– To zaś, czy mają panie złe zamiary, pozostaje sprawą otwartą.

Uniósł prawą dłoń i wymierzył w Cait rewolwer o długiej lufie. Lucy nigdy nie widziała podobnej broni.

– Bardzo byłbym zobowiązany, gdyby weszły panie do środka.

Irlandka wyprostowała się powoli, jednocześnie dyskretnie przesuając rękę w stronę brzytwy, którą trzymała w ukrytej kieszeni w sukni.

Rewolwer wydał z siebie zdecydowany metaliczny brzęk oznaczający, że jego właściciel odciągnął kurek, i kojarzący się z uruchomioną pułapką. Cait znieruchomiała.

– Jeśli odsunie pani dłoń od ostrzy, nie będziemy zmuszeni sprzątać żadnych pozostałości po pani ze schludnej werandy państwa Tittensorów.

Irlandka popatrzyła mu prosto w oczy.

Lucy napięła mięśnie, widząc, że jej nauczycielka zamierza omotać mężczyznę mocą swego umysłu i tym sposobem dać im wystarczającą ilość czasu na ucieczkę.

– To też nie zadziała, proszę pani. Nie na mnie. Nie jestem jakimś barankiem, którego łatwo ogolić, jak kapitan.

– Kim pan jest? – zapytała Cait.

– To nie ma znaczenia. Ważne jest, czym jestem. A jestem Pedel.

Lucy pomyślała, że udałoby jej się, gdyby rzuciła się w bok i zeskoczyła z ganku w ciemną ulicę. Irlandka wyciągnęła rękę i złapała ją, jakby słyszała jej myśli.

– Nie, Lucy – rzekła. – Spójrz na niego. Przyjrzyj mu się uważnie. Jest szybki. Równie szybki jak ty. Jak ja. Może nawet tak jak Sharp.

Pedel uśmiechnął się i powoli skinął głową. Nie był to wesoły uśmiech, a lufa broni nie zadrżała, gdy uniósł ją i przesunął na czoło Cait.

– A tutaj, drogie panie, mam pięć jeszcze szybszych

ołowianych pocisków. To rewolwer Paterson Colt. Na wejściu robi dziurę wielkości fasoli, ale do tej na wyjściu zmieściłaby się moja pięść.

Dziewczyny wymieniły spojrzenia.

– Zatem chyba przyjmujemy pańskie uprzejme zaproszenie – oznajmiła Cait.

– To dobrze – odparł mężczyzna, odsuwając się, by zrobić im miejsce. – W ten sposób nie narobimy hałasu i bałaganu.

ROZDZIAŁ VIII

Żądze Abchurcha Templebane'a

Issachar Templebane zemścił się na Nadzorze. Z jednej strony stało się to, na co miał nadzieję, czyli zniszczył dom w sposób uniemożliwiający jego odbudowę, z drugiej jednak wydarzyło się coś, czego się obawiał, ponieważ część członków nie tylko zdołała uciec, ale i najprawdopodobniej zidentyfikowała go jako osobę stojącą za całym zamachem.

Reakcja nastąpiła szokująco szybko, zaraz bowiem po eksplozji on sam oraz jego syn Coram stali się celem ataku odwetowego dokonanego za pomocą salwy bełtów z kuszy, która pozbawiła go ulubionego podopiecznego i niemal zakończyła w gwałtowny oraz ostateczny sposób jego życie.

Templebane pospiesznie i niezwłocznie zbiegł z Londynu, zamknął swój kantor i zabarykadował się w pradawnym rodzinnym schronieniu z dala od miasta. Był niemal całkowicie pewien, że Nadzór o nim nie wie, a nawet jeśli, to był przygotowany. Synom mniej jednak odpowiadał wymuszony azyl.

Dla przykładu Abchurch Templebane, przeklęty nadmiernie wybałuszonymi oczyma i niemal całkowitym brakiem podbródka, nie cieszył się z wygnania, na które musiał się udać po zniszczeniu budynku Nadzoru na Wellclose Square. Ani trochę nie podobała mu się prowincja, a zapachy, dzikie zwierzęta, brak tłumów, świeże powietrze, otwarte przestrzenie oraz wszechobecna zieleń za dnia i jeszcze gorsza do zniesienia cisza nocą

wzbudzały jego głęboką nieufność. Nie cierpiał każdej jednej rzeczy odróżniającej to miejsce od Londynu, z wyjątkiem trzech. Pierwszą z nich, mocno łagodzącą ból rozstania z miastem, był fakt, że w wyniku postrzału z kuszy został wyeliminowany jego największy rywal w walce o pozycję wśród pozostałych synów Issachara Templebane'a.

Zakładał, że Coram jest martwy, ponieważ diablica w spodniach, która do niego strzelała, a potem prawie pozbawiła życia Issachara, niewątpliwie go zabiła. Biedny Coram, z kolanem rozwalonym w drzazgi nie miał najmniejszych szans. Abchurch uśmiechał się za każdym razem, gdy pomyślał o rywalizującym z nim bracie, wijącym się na ziemi i wrzaskiem wzywającym pomocy.

Drugą rzeczą, jaka podobała mu się na wsi, był ciężki rewolwer, który dał mu Issachar. W mieście nigdy nie nosił broni palnej, zbyt hałaśliwej i nieporęcznej, na dodatek nie tak szybkiej w użyciu jak nóż, na przykład scyzoryk, który spoczywał w kieszeni płaszcza, albo skórzana pałka wypełniona ołowianym śrutem, umieszczona w tylnej kieszeni spodni, którą sam starannie zszył. Tutaj jednak rewolwer wydawał cudownie donośny odgłos, a poczucie władzy, które zapewniał, gdy znalazł się w dłoni, wydawało się mieć charakter niemal seksualny. Issachar, zawsze bardzo oszczędnie dysponujący gotówką, zaskakująco liberalnie podchodził do zakupu prochu strzelniczego i kul.

– Weź broń i poćwicz, synu – powiedział, przekazując rewolwer. – Ćwicz, jakby cię diabeł opętał, bo zanim wszystko wróci do normy, naprawdę mogą mnie szukać diabły, więc lepiej, żebyś zdołał powalić paru z nich, zanim wbiją w nas szpony!

Wobec tego bracia sporo czasu spędzali w starym sadzie

przylegającym do jeszcze starszego domu, a Abchurch wziął na siebie wyszkolenie pozostałych w posługiwaniu się ich własną bronią palną. Rozpierała go duma, jego rewolwer był bowiem największy i najgłośniejszy i choć nie miał największego zasięgu, nie było wątpliwości, że na bliski dystans pozostałe nie zdołałyby zadać równie poważnych obrażeń.

– To nie byle rewolwer – chełpił się Abchurch – to armata na słonie. Jednym strzałem z tej piękności na pewno zabiłbym takiego szarego bydlaka.

I podczas gdy reszta świetnie bawiła się w sadzie, hałaśliwie unicestwiając doniczki, butelki i inne obiekty nieożywione, Abchurch czuł coraz większe pragnienie, żeby przekonać się, co pełny ładunek śrutu zrobiłby z ciałem i kośćmi. Kilkakrotnie próbował pruć do ptaków w locie, które udało mu się jedynie przestraszyć, miał też na koncie jedną kulę wymierzoną starannie do nierozsądnego królika, przestrzelił nią zwierzakowi uszy i wyrył paskudną dziurę w zadbanym trawniku. Było dla niego źródłem ogromnej irytacji, że Garlickhythe, brat stojący tuż za nim pod względem wieku, okazał się urodzonym strzelcem, podczas gdy jemu było do tego daleko. Bardzo zazdrościł Garlickhythe'owi umiejętności, ale na tyle przebiegle poruszał się w sferze rodzinnej polityki, że nigdy z nikim nie podzielił się swymi odczuciami.

Trzecią rzeczą, która podobała mu się na prowincji, była służąca przychodząca sprzątać w kuchni, córka miejscowych opiekunów. Wołano na nią Dorcas i daleko jej było do nieśmiałości pustynnej gazeli, po której dostała imię. Wydawała się wręcz „zręczliwa i przychylna”, przynajmniej według starszych z braci, którzy albo nie

rozumieli znaczenia pierwszego ze słów, albo też mylili je z jakimś innym, ponieważ – co wskazał Issachar, podsłuchawszy ich plotki – określali ją oksymoronem. Później bracia debatowali, zastanawiając się, co ojciec miał na myśli, i uznali, że według niego dziewczyna musi być głupia jak osioł. Tak naprawdę ani jedno, ani drugie nie stanowiło prawdy – Dorcas była po prostu bezpośrednia i nie przejmowała się nagłym przybyciem wszystkich tych młodzieńców, którzy towarzyszyli Issacharowi. Jako że nie mówili ani nie zachowywali się jak szlachetnie urodzeni dżentelmeni, postanowiła traktować ich z mniejszym poważaniem, niż gdyby mieli więcej ogłady.

Abchurch stwierdził, że jako niepisany zwierzchnik swych przybranych braci powinien jako pierwszy pozwolić dziewczynie sobie towarzyszyć. Uznał, że najlepszym pomysłem będzie zaprosić ją do sadu, żeby obserwowała, jak strzela z rewolweru. Zaplanował tę gratkę na złotą godzinę przed zmierzchem i polecił braciom, żeby mu się „nie wpięprzali i zostawili go sam na sam z lalunią”, nie chciał bowiem konkurencji, gdy będzie prezentował swą celność, ani też świadków, jeśli młoda dama nie okaże się tak przychylna, jak to sobie wyobrażał.

Bracia skinęli głowami na znak, że rozumieją, i byli bardzo ulegli, co Abchurch uznał za potwierdzenie swojej pozycji jako *primus inter pares*. Może i nie mógł się poszczycić szczególną urodą, za to nie brakowało mu pychy, był więc przekonany, że to, co oczywiste dla niego, jest takowe również dla innych. Niestety, dla innych oczywiste było tylko to, że uważał siebie za pierwszego spośród równych, zatem sobie nagrabił. W opartym na rywalizacji środowisku, które powołali do życia Issachar i nieodżałowany Zebulon, nagrabilenie sobie nieuchronnie

prowadziło do „przycięcia na wymiar”. Kiedy więc Abchurch w złotej godzinie wkroczył w chwale do sadu, a zachodzące słońce podświetlało nagie już gałęzie drzew owocowych i rzucało długie cienie na miękką trawę, nie miał pojęcia, że znajomość z młodą damą, której z taką dumą towarzyszył, miała dołączyć do szeregu jego sromotnych porażek, ponieważ bracia majstrowali wcześniej przy jego amunicji.

Sprawcy ujawnili się po szóstym czy siódmym nieudanym strzale – linia głów wyłoniła się z za żywopłotu, a w wieczornej ciszy poniósł się chór rubasznych głosów.

– Brawo, Abby. Strzelasz ślepakami czy na pół gwizdka?

– Pół gwizdka! Dobrze mówi!

– Pół gwizdka? Chciałby. Nawet nie tyle, widziałem! Trzy czwarte cała mniej i wołalibyśmy na niego Lala!

Co gorsza, ostatni głos należał do zniechęconego strzelca Garlickhythe’a. Śmiech, który poniósł się po tym ostatnim przytyku, był zaraźliwy, i Dorcas nie zdołała powstrzymać chichotu.

Nagle zorientowała się, że widzi gwiazdy, i wpadła do wąskiego strumyka płynącego mniej więcej przez środek łąki. Próbowwała wstać, lecz Abchurch niemal od razu znalazł się nad nią. Wyciągnął ręce i rozerwał jej sukienkę na piersiach, po czym cofnął się o krok.

Dorcas nie była tchórzliwa. Pozwoliła, by materiał się rozchylił, i głośno się roześmiała.

– Nakarm oczy, ty bachorze bez brody, któremu śmierdzi z gęby! Popatrz sobie, czego nigdy nie będziesz miał. Bo jeśli mnie choćby dotkniesz, to mam pięciu braci, którzy cię znajdą i wytrzebią tępym sierpem.

Chłopak parsknął i wymierzył w nią rewolwer.

– Teraz się pośmiej, ty ku...

– ABCHURCH!

Podniósł raptownie wzrok i zauważył Issachara idącego szybkim krokiem w jego stronę.

Rządek głów zniknął w cudowny sposób znad żywopłotu.

– Pomóż jej wyjść ze strumienia, wylewnie przeproś... wylewnie, powtarzam, a później przyjdź do mnie – oznajmił Ojciec Dzienny, obracając się na pięcie. – Mam sprawę do załatwienia w Londynie, a ty właśnie zgłosiłeś się na ochotnika.

ROZDZIAŁ IX

Niespodziewany zwrot

Mężczyzna nazywający siebie Pedlem przeprowadził je do kuchni znajdującej się na tyłach domu. Lucy w przelocie zobaczyła czyste, uporządkowane pomieszczenia z wypolerowanymi podłogami i prostymi drewnianymi meblami. Gdy zostały wepchnięte przez drzwi, dostrzegły Prudence Tittensor siedzącą przy żelaznym piecu i Lucy na chwilę przypomniała sobie o innym piecu, znacznie większym, będącym dumą i radością Kucharki w Londynie, po drugiej stronie oceanu. Później skupiła wzrok na gospodyni oraz dwóch leżących przy niej psach i wszelkie myśli o przytulności umknęły jej z głowy.

W żonie kapitana zwracały uwagę dwie rzeczy: po pierwsze, była ubrana jak do podróży, w płaszcz z krepy, w którym wyglądała jak wrona przycupnięta przy ogniu, po drugie zaś, trzymała w dłoniach dwie pary kajdan.

Cait stała, wpatrując się w nią.

– Nie zamierzam ich zakładać, dziękuję – oznajmiła spokojnie, lecz stanowczo.

Pani Tittensor popatrzyła na mężczyznę stojącego za nimi w drzwiach.

– Zrobisz to, co każe ci Pedel.

Cait parsknęła i spojrzała na kobietę, a w tym czasie pomiędzy nią a Lucy stanęła Shay. Dwa pozostałe psy, wyglądające na młodsze, usiadły i obserwowały je czujnie.

– Powinnaś była przynieść więcej kiełbasek – uznała

Cait.

Psy wydały z siebie niskie, groźne warkoty.

– Kopacz, Rabuś, spokój – powiedziała pani Tittensor.

Suka przysiadła. Lucy spostrzegła, że jej brązowe oczy są dziwnie obojętne.

– Posłałaś ją do tego całego Pedla – rzekła Cait. – Z przystani.

– To, co zrobiłam, nie jest twoją sprawą – odparła Tittensor.

– Ależ nie, paniusiu, nie mogłabyś się mylić bardziej. To, co zrobiłaś, jest w pełni moją sprawą – oznajmiła Irlandka, obracając głowę, by spojrzeć na Lucy. – Rozumiesz, kim ona jest, prawda?

– Coś ją łączy z suką... – zaczęła Lucy.

– Właśnie – potwierdziła Cait. – Ma jakieś zwierzęce moce, jak Hodge.

– A ty jesteś *fiagai* – pani Tittensor niemal wypluła to słowo. – *Venatrix* czy coś podobnego, przebywająca tutaj bez pozwolenia, bez licencji.

– Nie potrzebuję licencji – odrzekła Cait. – Sama sobie wytyczam drogę.

– Może tak się sprawy mają w starym kraju. Przekonasz się, że tutaj działamy inaczej.

– Ach... – zaczęła Irlandka, jakby coś nagle zrozumiała, choć Lucy nie miała pojęcia, co to może być. – Zatem proszę, zdradź, jak się sprawy mają w tym wspaniałym nowym kraju?

– Lubimy, jak sytuacja jest, że tak to ujmę, uregulowana – wyjaśnił Pedel.

– A ja naiwnie wierzyłam w to, co mówią za oceanem o krainie wolności – skomentowała Cait.

– Nie brak tu wolności – odparł Pedel. – A to dlatego, że

pewne rzeczy regulujemy.

– Cóż, proszę mi wybaczyć swobodny język, ale wygląda mi to na obłudne pieprzenie – skwitowała Irlandka.

– Drogie panie, po prostu wyciągnijcie nadgarstki – westchnął Pedel. – Będzie dość czasu na rozmowy, gdy dotrzemy na miejsce.

– Och, czyli dokąd? – spytała Cait, trzymając ręce przy boku.

– Jedziemy do Marblehead – odrzekł Pedel. – Strażniczka zechce się z wami widzieć.

Cait odwróciła się do niego, nie wzdrygając się przed połyskującą błękitem stalową lufą tuż na wprost jej twarzy.

– Czy zamierzacie nas skrzywdzić? – zapytała.

– Nie – odparł. – A przynajmniej jeszcze nie. Wszystko zależy.

– Od naszego zachowania?

– Oraz od tego, co na wasz temat uzna Strażniczka – odpowiedział mężczyzna.

Irlandka zamknęła oczy, jakby dokonywała w głowie skomplikowanych obliczeń, po czym uniosła powieki i zdecydowanie skinęła głową.

– No dobrze. Oto, jak będzie: pójdę z wami, dam parol na czas podróży, będę łagodna jak jagniątko, ale nie założę kajdan. Spróbujcie mnie zmusić, to przekonacie się, czy naprawdę jest pan szybszy ode mnie. Zapewne tak, ale wolę to sprawdzić, niż pozwolić jakiemukolwiek mężczyźnie założyć sobie żelazo, i to moje ostatnie słowo.

Popatrzył na nie obydwie.

– Są niebezpieczne – powiedziała pani Tittensor głosem piskliwym od ledwo powstrzymanego napięcia. – Powinieneś wykonać swoją pracę. Powinieneś...

Twarz Pedla zadrżała lekko, niemal niezauważalnie, ale

Lucy nie umknęło jego ukryte zirytowanie. Ten człowiek nie lubił, jak mu rozkazywano. Wziął głęboki oddech, najwyraźniej ugryzł się w język i zamiast riposty przeciągle wypuścił powietrze.

– Twoje ostrza – rzekł, wskazując podbródkiem na Cait. – Połóż je na stole razem z całą bronią, jaką może mieć przy sobie Wejrzeniec. Jeśli tak zrobicie, przyjmę twój parol na dobre zachowanie na czas podróży do Rezydencji.

Irlandka rzuciła na blat dwie brzytwy i sięgnęła pod sukienkę po wąski nóż, który trzymała w pochwie w butcie.

– Słyszałaś, Lucy? Wie, że jesteś Wejrzeniec, a jedziemy do jakiejś Rezydencji, nie ma co.

Pedel zerknął na dziewczynę.

– Pani słowo ją obejmuje?

– Owszem – odrzekła Cait. – Nieprawdaż, Lucy Harker?

Lucy dostrzegła w oczach nauczycielki ostrzeżenie, powstrzymała się od wypowiedzenia słów cisnących jej się na usta i przytaknęła.

– Jest uzbrojona? – spytał Pedel.

– Zawsze uważałam, że niegrzecznie o to pytać – odparła Cait. – Ale żyjemy w takim świecie, że kobieta zachowywałaby się głupio, chodząc bez broni.

Lucy sięgnęła pod kurtkę i wysunęła wąski sztylet, który nosiła w poziomej pochwie wszytej w pasek sukni.

Mężczyzna o krzywo zrośniętym nosie skrzyżował spojrzenie z dziewczyną.

– Głupota ma wiele twarzy – powiedział.

Lucy westchnęła i sięgnęła pod rękawiczkę. Od niedawna nosiła tam małą brzytwę, wyraźnie idąc w ślady Cait, i teraz zorientowała się, że się czerwieni, skoro wyszło na jaw, że naśladuje ją w tak dziecinny i oczywisty sposób.

Z zaskoczeniem zobaczyła, że Cait uśmiecha się

z aprobatą.

– Miło widzieć, że czegoś się jednak nauczyłaś – pochwaliła Irlandka. – W dziewięciu przypadkach na dziesięć brzytwa spisuje się lepiej niż nóż. Jest jeszcze dla ciebie nadzieja.



Za domem czekał powóz zaprzężony w dwa niemal identyczne gniadosze, wyglądające bardziej na konie wyścigowe niż pociągowe. Woźnica był tak okutany grubym płaszczem dla ochrony przed wieczornym chłodem, że w półmroku dało się dostrzec jedynie jego zgarbioną sylwetkę. Wydawał się zupełnie nieporuszony tym, że do jego pojazdu prowadzi się na muszce dwie kobiety. Pochód zamykała pani Tittensor z Shay i gdy wszyscy znaleźli się w środku, zrobiło się tam naprawdę ciasno. Cait i Lucy spoczęły obok siebie, Pedel i żona kapitana naprzeciwko nich, a suka siedziała czujnie na podłodze pośrodku, nie spuszczając wzroku z eskortowanych młodych kobiet.

Zaraz po zamknięciu drzwiczek pojazd ruszył. Kołysał się i przechylał dość mocno, gdy woźnica kluczył ciasno zabudowanymi uliczkami, ale po pięciu minutach znaleźli się na drodze nadbrzeżnej i konie przeszły w żwawy kłus, więc jazda zrobiła się znośniejsza.

Lucy zauważyła, że przez cały ten czas Pedel nawet na chwilę nie opuścił lufy, a pies wzroku.

Po prawej stronie drogi widać było księżyc w pełni i jego odbicie we wzburzonej wodzie. Wiatr z głębi lądu przycinał długie atlantyckie fale, które niestrudzenie napierały na brzeg, choć docierały tam ledwie ich strzępki, po tym jak

zmuszone były przedzierać się pośród licznych wysepek rozsianych po zatoce Massachusetts.

Z początku zalany księżycowym blaskiem krajobraz przysłaniała podróżnym palisada złożona z masztów, rej oraz żurawi stojących wzdłuż linii brzegowej portu, lecz wkrótce pomosty i kotwicowiska się przerzedziły.

Lucy poczuła skurcz w żołądku na myśl, że cały znany jej świat kryje się daleko za tamtym horyzontem. Obróciła się i spojrzała przez drugie okno. Nie było tam widać wody, jedynie kilka rozświetlonych okien domów stojących na wznoszącym się terenie. Za nimi czaiła się głębsza ciemność, która sprawiła, że dziewczynie znów zrobiło się dziwnie w brzuchu. Z zaskoczeniem odkryła, że nie jest to uczucie całkowicie nieprzyjemne, kryje się w nim bowiem podekscytowanie. Może i było podszyte obawą, ale dreszczyk emocji przeważał nad strachem przed nieznanym.

– Podoba mi się twoja suka – powiedziała Cait, sadowiąc się wygodniej, jakby wszystko to było dobrym dowcipem.

– Ale ty nie podobasz się jej – odrzekła Prudence. – Jeden niewłaściwy ruch i zerwie ci twarz.

– Właśnie to mi się w niej podoba – skomentowała z uśmiechem Irlandka. – To, co lubię w każdym psie: lojalność.

– Rozszarpie ci gardło. Zostań, gdzie jesteś.

– Lubi pani drastyczne sformułowania, pani Tittensor. – Cait obróciła głowę, żeby obdarzyć uśmiechem mężczyznę z bronią. – Panie Pedel, czy ona zawsze jest taka?

– Wystarczy Pedel. Moje imię nie ma znaczenia.

– A ja jestem Caitlin Sean ná Gaolaire, a to moja uczennica, Lucy Harker. Niewątpliwie chcecie się dowiedzieć, dlaczego przebyłyśmy taki szmat drogi, skoro

tak bardzo lubicie, gdy w waszym nowym wspaniałym świecie wszystko jest takie miłe i „uregulowane”.

Uśmiechnęła się do pani Tittensor. Lucy uświadomiła sobie, że jej towarzyszka próbuje wyprowadzić żonę kapitana z równowagi.

– Nasza gospodyni stanie się mniej zainteresowana, ale może nieco bardziej zmartwiona – dodała Irlandka. – Czyż nie, pani Tittensor? Czy sądzi pani, że ten dżentelmen z bronią tak by się o panią troszczył, gdyby znał prawdę?

Prudence spojrzała na nią wzrokiem, który byłby w stanie zwarzyć mleko.

– Proszę to zostawić dla Strażniczki – rzekł Pedel. – To nie czas na takie rozmowy.

– Ona ukradła dziecko... – zaczęła Cait.

– Z tego, co słyszałem, wzięła je od paskudnego podmieńca w londyńskim porcie – stwierdził rzeczowo Pedel. – I zapłaciła za nie gotówką.

Irlandka zachowała nieruchomą twarz, ale Lucy wiedziała, że zaskoczyło ją, iż o sekrecie żony kapitana mówi się w tak otwarty sposób.

– Jak już mówiłem – warknął Pedel – proszę to zostawić dla Strażniczki.

– Gdzie jest dziecko? – spytała Cait.

Pani Tittensor nie odpowiedziała. Rudowłosa kobieta wzruszyła ramionami i zamknęła oczy, jakby po prostu postanowiła pójść spać. Lucy wyglądała na morze oświetlone przez księżyc. Niebo nie było już tak czyste, zaczęły napływać skłębione chmury. Dziewczyna patrzyła na nie, dopóki szkwał nie przywiał deszczowych kropel, które uderzyły w okna powozu, a później obserwowała już tylko wodę spływającą po szkle, aż również ją zmorzył sen.

ROZDZIAŁ X

Przydałby się dwunastocalowy pilnik

Choć obmyślony przez Zmorę plan zemsty zakładał jak najszybszą podróż do Londynu, przemieszczali się ze znacznym opóźnieniem. Sama siła woli, nawet tytaniczna, nie mogła się równać z wyniszczającą gorączką, która ogarnęła ciało kobiety dzień po rozmowie pod grabem.

Był pogodny poranek, a wczesne słoneczne światło mile ogrzewało kończyny, zziębnięte po nocy spędzonej w zrujnowanej starej stodole, porzuconej ze względu na obecność szczurów, które nieustannie smyrgały tam i z powrotem, przerywając odpoczynek lub sprawiając, że sny, które zdołały nadejść, stawały się jeszcze bardziej koszmarne niż dotychczas.

Przez cały ranek Zmora opowiadała o napięciu pomiędzy światem ludzi i istot nadnaturalnych. Amos wiedział, że postanowiła przemienić się poniekąd w nauczycielkę, żeby przywiązać go do siebie. Pomimo jej ukrytych motywów słuchał z uwagą, ponieważ nakreślany przez nią obraz wydawał się po części zaskakujący, po części zaś pasował do tego, co chłopak zdołał już podchwycić i samemu poskładać z własnych doświadczeń oraz podsłuchanych fragmentów rozmów pomiędzy „braćmi” i ojcami. Ukrywał przed nimi wszystkimi swoją umiejętność odczytywania myśli, kierując się wyostrzonym instynktem samozachowawczym, który pozwalał mu słyszeć nie tylko to, co mówiono półgłosem po drugiej stronie drzwi, lecz również to, co pozostawało niewypowiedziane w czyimś

umyśle. Z początku martwił się, że Templebane'owie ukarzą go za tę wynaturzoną w ich mniemaniu zdolność. Później, gdy dowiedział się, że pozostawali w zмовie z tak dziwnymi osobnikami jak Sluagh, zaczął się zastanawiać, czy nie mógłby zyskać lepszej pozycji w celowo nastawionej na rywalizację hierarchii synów, gdyby pozwolił ojcom korzystać z tego talentu, ponieważ stałby się wówczas idealnym szpiegiem i konfidentem. Po kilku godzinach rozważań odrzucił ten pomysł z kilku powodów, z których najważniejszy wiązał się z brakiem zaufania. Owszem, Amos się ich bał, ale jego posłuszeństwo wynikało z pragmatyzmu, nie lojalności. Obserwował, jak jego bracia walczą ze sobą i się podgryzają, żeby wspiąć się o cal na śliskim słupie pierwszeństwa. Izolował się od tego swoim milczeniem i wiedział – choć uświadomił to sobie dopiero teraz – że nie babrał się w tym wszystkim, ponieważ pewnego dnia i tak zamierzał odejść.

Zmora zaczęła opowiadać mu o Nadzorze, wzbudzając jego zainteresowanie, ale jej opowieści towarzyszył chaos. Dzieje bractwa przeplatała historiami o innych adeptach ezoteryki i poszukiwaczach rozmaitych prawd: o przeszłości Londynu, o alchemikach i filozofach przyrody, o kabalistach i różokrzyżowcach, a także o szlachetnych, prawych członkach Towarzystwa Królewskiego, cokolwiek to było, o mądrych, lecz jednocześnie głupich ludziach, którzy zaczęli zajmować się okultyzmem, próbując zrozumieć działanie sił nadnaturalnych, aby móc je kontrolować. W pewnym momencie, wczesnym popołudniem, zaczęła mówić bezładnie i przeplatać opowieść historią własnej rodziny. Jak przyznała, jej ojciec był jednym z tych „mądrych głupców”, którzy podróżowali jako swoiści wędrowni nauczyciele, przekazując

domniemane prawdy o świecie, o którym wiedzieli mniej, niż sądzili, za cenę zdecydowanie wyższą, niż były warte.

– Był szarlatanem – powiedziała. – Bardzo inteligentnym i raczej nie wyrachowanym. Kochałam go, ale gdy uświadomiłam sobie, kim jest, gdy pojęłam, że potrafię zrobić rzeczy, których on nigdy nie będzie umiał, dostrzegłam jego prawdziwą naturę. Tragedia polegała na tym, że uważał się za mądrego człowieka, sądził, że ma wiedzę. Tak więc ów uczciwy szarlatan, mój ojciec, zaglądał w cienie i widział mniej, niż mu się wydawało, mówił zaś, że dostrzegł więcej, niż dostrzegł naprawdę. Mimo wszystko wydawał się wiedzieć wystarczająco wiele, żeby móc z tego żyć, a ja byłam na tyle młoda i głupia, że uważałam się za córkę dżentelmena, na którą mnie wychowywał. Jak powiadają, spędź wystarczająco czasu w chlewie, a staniesz się świnią. Spędź wystarczająco czasu w domach wielkich ludzi, a opromieni cię ich blask. Sądziłam, że jestem bezpieczna, mądra i kochana, a wtedy...

W tym momencie zakaszła, potknęła się i upadła na drogę, jakby podciął ją niewidzialny przeciwnik.

Znajdowali się z dala od jakichkolwiek zabudowań, Amos przeniósł ją więc na pobocze i otulił ich wspólnym cienkim kocem, który świsnęli spośród suszącego się prania dwa hrabstwa wcześniej. Twarz kobiety niepokojąco pobladła, wargi zsiniały, co kazało chłopcu sądzić, że jego towarzyszka umiera. Wyczuł zapach dymu dochodzący z drugiej strony lasu i usłyszał głosy, ale gdy tam dotarł, z przerażeniem odkrył, że nie ma tam żadnych domów, a jedynie tymczasowe szałas węglarzy.

Ludzie zajmujący się tym fachem od zawsze cieszyli się pozycją niewiele lepszą od banitów, nawiedzali zalesione tereny niczym duchy uwalane sadzą, cuchnęli dymem

i smołą. Pilnowali swoich starannie skonstruowanych mielerzy, jednak, jak to bywa w przypadku większości grup żyjących na obrzeżach społeczeństwa, przyjmowali innych, których również doświadczył los. Zrobili Zmorze miejsce przy ognisku, po czym sięgnęli po sierpaki i siekiery, żeby przygotować jej schronienie na noc. Amos przekazał za pomocą gestów, że pomoże im przy pracy, ale pokręcili głowami. Tylko ktoś biegły w ich fachu wiedziałby, w jaki sposób ustawiać polana w koncentrycznych kręgach lub spiętrzać gałęzie i wilgotną ziemię, żeby uzyskać charakterystyczny kształt spłaszczonego ula. Połowa mężczyzn brała udział w tworzeniu konstrukcji, reszta zaś ścinała drzewa.

Najstarsi z obecnych, najwyraźniej mistrzowie, poruszali się najmniej, lecz nieustannie obserwowali kolor dymu wychodzącego ze szczytów mielerzy. Pilnowali, by dniem i nocą panowała w nich stała temperatura, robili otwory w gliniastych ścianach, gdy uważali, że potrzeba więcej powietrza, żeby zwiększyć żar, lub zalepiali dziury błotem, kiedy chcieli stłumić ogień.

Amos i Zmora zostali z węglarzami przez kilka dni, podczas których kobieta wydawała się trzepotać niczym ćma na cienkiej nici oddzielającej życie od śmierci. W końcu pozwolono chłopakowi zapracować na wikt, pomagał więc zajmować się obozowym ogniskiem i wnosił gotowy węgiel drzewny z lasu do umówionego miejsca na drodze, gdzie czekał furman, by zabrać owoc znoju robotników na targ.

Choć Amos chciał dotrzeć do Londynu, nie mógł zostawić Zmory – nie dlatego, że czuł jakąkolwiek lojalność wobec kobiety, która go zdradziła, lecz ponieważ była ona umierająca. Pomyślał, że samotna śmierć byłaby czymś

bardzo zimnym i okropnym, zatem pozostał, nie jako przyjaciel Zmory, lecz po prostu jako człowiek, który ją znał. Rozumiał także, że to dziwne podejście, u podłoża którego zapewne leżała jego wewnętrzna słabość – przecież nic szczególnego nie zyskiwał, zachowując się w uprzejmy sposób, i był przekonany, że kobieta znów zdradziłaby go bez mrugnięcia okiem, gdyby tylko mogła dzięki temu sprowadzić śmierć na Mountfellona.

Zastanawiał się nad tym pewnej nocy, siedząc na niedawno ściętym pniu kawałek od obozu, oparty o długi trzonek siekiery, której obuch wbito w drewno, tak że stanowił prowizoryczną podpórkę. Oddalił się od pozostałych, ponieważ potrzebował побыć chwilę w ciszy, żeby rozważyć, co robi, jeśli Zmora nie umrze. Był na tyle daleko od obozowiska, żeby nie słyszeć cichego szmeru myśli wszystkich obecnych, a jednocześnie na tyle blisko, by widzieć złote światło tańczące między pniami oraz kontrastujący z nim biały blask księżyca poszatkowany ciemną plataniną gałęzi w górze. Ktoś grał żałobną melodię na skrzypcach, a wiatr wzmógł się na tyle, że chłopak pomyślał o powrocie do słabego ciepła ognia oraz pokrzepiającego zapachu drzewnego dymu, przenikającego teraz całe jego ubranie.

Coś delikatnie dotknęło jego szyi.

– Co tu mamy? – spytał cichy, chrapliwy głos.

Spuścił wzrok. Do szyi ktoś przyłożył mu jeden z tych charakterystycznych sierpowatych noży z brązu noszonych przez Sluagh. Amos z trudem przełknął ślinę i się obrócił. Nie zaskoczył go widok twarzy pokrytej splecionymi tatuażami i wpatrującej się w niego z zainteresowaniem. Sluagh wyglądał starzej niż ci, których chłopak widywał do tej pory. Nosił tonsurę, niczym mnich. Łysy czubek głowy

zdobił tatuaż przedstawiający jastrzębia, a w okalające go włosy wpleciono czaszki tychże ptaków. Układały się w dziwny szkieletowy wieniec, grzechoczący, gdy jego właściciel się poruszał. Groźnie zakrzywione dzioby, ufarbowane na czarno, wydawały się nieproporcjonalnie małe. Ogromne oczodoły wpatrywały się w Amosa pustym wzrokiem.

Sluagh przejechał opuszką palca po szyi chłopaka, śledząc cienką, ledwo widoczną linię, którą sam również został kiedyś naznaczony.

– Biały tatuaż – powiedział Czaszka Jastrzębia. Roześmiał się cicho. – To ciebie użył Czaszka Borsuka.

Amos skinął głową.

– A jednak boisz się mnie. Nie sądzę, żebyś mnie lubił. Nie sądzę, żebyś tak naprawdę był nam przyjacielem.

Amos wzruszył ramionami.

„Czego chcesz?”

– Ach – skomentował Sluagh. – A więc umiesz mówić w taki sposób?

„Czego chcesz?”

– Czekałem, aż znowu cię zobaczę – rzekł przybysz i podszedł bliżej. Uśmiechnął się szerzej, zionąc smrodliwym oddechem, i zachichotał paskudnie prosto w twarz chłopaka. – No wiesz, w imię dawnych czasów.

„Nigdy wcześniej cię nie widziałem”.

– Ale ja widziałem ciebie, chłopcze. I właśnie dlatego mnie ciekawisz. Widziałem wtedy, gdy przyjechałeś do Mountfellona. Nie ostatnio, lecz wcześniej. Kiedy Czaszka Borsuka powiedział, że wykorzystał chłopaka, który nie umie mówić, żeby włamał się do domu wicehrabiego i zabrał dla nas flagę, pomyślałem, że chodzi o ciebie. Czy wiesz, że tamtej nocy, gdy przybyłeś do Gallstaine

w deszczu, ścigałem cię wraz z dwoma braćmi? Zamierzaliśmy zabrać cię z powozu Mountfellona, kiedy zmieni konie w karczmie pod Hertingfordbury, ale musiałeś nas usłyszeć i uciekłeś. Mimo to niemal cię dopadliśmy, lecz wskoczyłeś do kanału i uratowała cię płynąca woda. Pamiętasz? Popsuleś nam szyki i wymknąłeś mi się, niemal idąc przy tym na dno.

Amos pamiętał tę noc, pamiętał też, jak cienie na polu za gospodą nagle się poruszyły, przekształcając w trzech Sluagh na końskich grzbietach. Wtedy wydawało mu się to najbardziej przerażającą rzeczą, z jaką się kiedykolwiek spotkał, choć od tamtej pory nie tylko widział, ale i sam zrobił rzeczy znacznie gorsze. A jednak znów wzdrygnął się na wspomnienie tego strachu, jakby oblała go lodowata woda. Pamiętał, że słyszał, jak knują, że zakradł się do stajni i wziął dwunastocalowy pilnik do obrony, a następnie biegł ile sił w nogach, na ślepo, w mrok. Mięśnie nóg paliły od wysiłku, gdy próbował pędzić przez zaorane pola w obklejonych gliną butach, które wydawały się ciężkie jak kule armatnie.

Pokręcił głową.

„To nie byłem ja”.

W sposobie mówienia Czaszki Jastrzębia, w jego chełpliwym i porozumiewawczym tonie było coś, co skłoniło chłopaka do kłamstwa. Co więcej, ogarnął go żal, że nie ma teraz w dłoni tego ciężkiego żelaznego pilnika.

– To byłeś ty – oznajmił Sluagh, podchodząc jeszcze bliżej i przytrzymując Amosa w miejscu krzywizną ostrza. – Mówiłem to Czaszce Borsuka, a on odpowiedział, że mi nie wierzy, więc wtedy poinformowałem go, że zmówiłeś się z Mountfellonem, zanim cię znalazł, ponieważ nosiłeś znane nam nazwisko, ponieważ byłeś Templebane’em,

a Templebane'owie są niemal równie źli jak Mountfellon. Zatem skoro już wcześniej byłeś w zмовie z wicehrabią, jak niby mógłbyś się nam przydać przeciwko niemu albo dwóm braciom z Londynu, co? – Pokręcił głową, jakby próbował pozbyć się złego wspomnienia. – Tyle że Czaszka Borsuka cię polubił i powiedział, że w to nie wierzy, bo gdybyś miał w sobie tak złą krew, wyczułby to. Czaszka Borsuka jest jednak młody, a więc i miękki. Dlatego postanowiłem cię znaleźć i przywieźć z powrotem. Nawet jeśli nie zdołasz pomóc, będzie można cię ukarać.

„Za co?”

– Za zbrodnie Mountfellona. Paru z nas obłupił ze skóry do swojej kolekcji. Sami też go oskórujemy, kawałek po kawałku, ale w sumie możemy zacząć od ciebie.

Amos coraz bardziej żałował, że nie ma tego pilnika albo jakiegokolwiek innej broni. Czuł, jak ostrze nakłuwa mu bok szyi, i skoncentrował się na tym, żeby nie patrzeć w kierunku siekiery wbitej w pień.

„To nie byłem ja”.

– Och, ależ to byłeś ty, chłopcze – rzekł Czaszka Jastrzębia, podciągając Amosa do siebie, tak że stali niemal twarzą w twarz, tak blisko, że młodzieniec czuł gorąco oddechu Sluagh. – To równie pewne jak fakt, że księżyc podąża za słońcem – dodał, wolną dłonią wskazując swój wieniec z ptasich czaszek. – Mam wzrok jastrzębia, chłopcze, i pamięć jaźwca. – Pociągnął nosem. – I pachniałeś właśnie tak.

„Jak?”

– Jakbyś chciał się zeszczuć ze strachu.

„Mylisz się”. Amos wzdrygnął się i spojrzał w dół. „Już się zeszcząłem. I na ciebie też poszło... Przepraszam...”

Sluagh opuścił wzrok i odruchowo się cofnął.

Amos lewą dłonią odtrącił zakrzywioną klingę, prawą łapiąc za włosy z wplecionymi kośćmi. Poczł ukłucie, gdy dwa ostre dzioby przebiły mu skórę, ale złapał jeszcze mocniej, po czym szarpnął głową Sluagh, przyciągając ją w kierunku swojego podnoszącego się gwałtownie kolana. Czaszki zagrzechotały i popękały, a Sluagh zachłysnął się i zakrztusił, jakby stracił dech. Upadł w zarośla po drugiej stronie pnia.

Amos spojrział na styliisko siekiery, o które się opierał. Sterczało z drewna niczym zegar słoneczny.

Stary Sluagh nie zawdzięczał swojego wieku powolności, słabości czy brakowi uporów. Gniewnie potrząsnął głową, sprawiając, że krew z rozbitego nosa rozprysnęła się na boki, po czym podniósł na Amosa wzrok pełen lodowatej, morderczej furii. Ścisnął nóż i skoczył na chłopaka, obnażając zęby.

W Amosie coś pękło.

Było to gwałtowne, intensywne wrażenie, jakby obecny gdzieś w nim sznurek rozerwał się na dwoje.

Chłopak nie uciekł.

Już jakiś czas wcześniej postanowił, że przestaje uciekać.

Rzucił się w stronę Sluagh, wyrwał siekiere z pnia i wykonał zamach.

Zdał sobie sprawę, że choć sądził, iż porusza się szybko, wszystko, włącznie ze zbliżającym się Sluagh, było dziwnie powolne.

Obuch wbił się w głowę przeciwnika z taką siłą, że cisnął nią na znajdujący się poniżej pień i przybił do niego jak insekta w gablotce. Amos zatoczył się w tył i obserwował jednocześnie z trwogą i ulgą, jak karcz, jeszcze przed chwilą biały w świetle księżyca, teraz zaciemnia się od krwi.

Wszystko wydarzyło się szybko i niemal bezgłośnie, więc nikt w obozie nie wszczął alarmu. Chłopak odsunął wzrok od ognia i rozejrzał się po cieniach w głębi otaczającego go lasu. Wyrwał topór i trzymał go w gotowości, pewien, że w każdej chwili cienie te mogą się poruszyć, ukazując hordeę innych żądnych zemsty Sluagh. Tak skupiał się na obserwacji okolicy, że w ogóle nie zwrócił uwagi na pochodzącą z rozbitej głowy krew, która go zbryzgała.

Wciąż się rozglądał, gdy rozszalały puls i szybki oddech zaczęły mu wracać do normy. Przede wszystkim jednak doznał czegoś w rodzaju ulgi w klatce piersiowej. To coś, co było niczym pękający sznurek, dokonało w nim jakiejś zmiany i nie był pewien, czy powinien uznać ją za coś złego. W zasadzie miał wrażenie, jakby właśnie dzięki temu zyskał możliwość szybkiego poruszania się. Sluagh wydawał się tańczyć w swoistej pantomimie, jakby odstawiał cyrkowy numer, który wydawałby się śmieszny, gdyby jego puenty nie stanowiło wbicie topora w tatuaż jastrzębia i zalanie pnia krwią.

Zawiał lekki podmuch i Amos poczuł, że ubranie pokrywają mu wystygłe już, mokre plamy.

Znowu stał się Krwawym Chłopcem.

Cienie pozostały nieruchome, on zaś po długim czasie zmusił się do tego, by złapać Sluagh i przeciągnąć przez las, aż do miejsca, gdzie węglarze wykopywali glinę. Cisnął ciało do płytkiej wody, która zebrała się na dnie, przyrzucił je błotem i gałęziami, po czym wrócił cicho do obozu, wciąż ściskając topór.

Zmora nie Zmora, nadeszła pora, żeby ruszyć dalej.

Ku jego wielkiemu zaskoczeniu kobieta stała przy ogniu. Popatrzyła na niego w podobnym osłupieniu.

– Był tu Sluagh – powiedziała.

„Skąd wiesz?”

Wzruszyła lekceważąco ramionami.

– Coś przyniósł wiatr. Albo to sobie wyśniłam. Albo zobaczyłam.

„Był. Już nie ma”.

Spojrzała na jego zakrwawione ubranie.

– Musisz ukraść następną koszulę – rzekła. – Możemy to zrobić po drodze do Londynu.

Najwyraźniej postanowiła jeszcze nie umierać.



CZEŚĆ II

POWROT

O wyjątkowości kruków

W królestwie niebieskim mieści się przyczyna istnienia bytów w świecie widzianym, który z kolei jest jakby śladem świata wyższego, cieniem[1].

Al-Ghazali

Kruki zupełnie nie przypominają innych ptaków, dlatego też stara Księga St Albans nazywa ich grupę „Ane vnkyndennys of rauynnys” w tym sensie, że są wyjątkowe, nie przypisuje im natomiast nieżyczliwości[2] (...) i nie przychodzi na myśl żaden inny ptak, który bliższy byłby człowiekowi, historia Nadzoru zaś zawsze splatała się ściśle z krukami: z jednej strony je chroniono, z drugiej współpracowano z nimi. Co więcej, rzekomo sam Nadzór obserwowany jest przez jednego szczególnego Kruka, niezwykle długowieczne stworzenie, pamiętające wszystko, co kiedykolwiek ujrzało, i charakteryzujące się niepokojącym zwyczajem, aby przebywać jednocześnie w dwóch lub większej nawet liczbie miejsc. Ponadto Kruk zawsze miał silne ponadnaturalne powiązania jako pośrednik między życiem a śmiercią (...), z tego wywodzi się moc Kruka jako symbolu wojny lub ptaka ochronnego (...). Ragnar Loðbrók złupił Paryż pod sztandarem znanym jako

„Reafan”, ozdobionym wizerunkiem srogiego ptaka (...), flaga ta była tak potężna, że jeśli załopotiała na wietrze, następowało zwycięstwo, jeśli natomiast zwisała luźno i nie poruszała się, wtedy dochodziło do porażki (...). Ostatni wielki wiking, Harald Hårdråde, czyli Harald III Srogi, zabity przez zgubionego angielskiego króla Harolda pod Stamford Bridge, zginął pod własnym kruczym sztandarem „Landeyðan”, który to padł wraz z nim i do dziś jest zagubiony, choć niektórzy powiadają, iż zakopano go pod Białą Wieżą (...). Fryderyk Barbarossa śpi pod górami Kyffhäuser w Turyngii wraz ze swoimi rycerzami, strzeżony przez kruki, które nieustannie okrążają szczyt, czekając na dzień, kiedy będą mogły zakończyć swą powietrzną wachtę, on zaś powstanie i znów ocali Niemcy (...), podobnie jak Król Artur, o czym wspominają niektóre średniowieczne źródła składające się na legendy arturiańskie, śpi rzekomo pod tarczą z wizerunkiem kruka, ukryty w komnacie pod wzgórzem, również pilnowany przez kruki, i czeka, aż Brytania znajdzie się w największym kłopotcie (...).

Wyjątek z *Wielkiej i tajemnej historii świata* autorstwa rabina doktora Hayyima Samuela Falka (znanego również jako Ba'al Shem z Londynu)

1 Abu Hamid Al-Ghazali, *Nisza światel*, tłum. Joanna Wronecka, Warszawa 2013.

2 Angielskie słowo *unkindness* (w staroangielszczyźnie powyższe *vnkyndennys*) można przetłumaczyć jako „nieżyczliwość”, ale również

jako „wyjątkowość”.



ROZDZIAŁ XI

Każdy powrót jest zdradą

Warstewka nierozsądnie wczesnego śniegu pojawiła się w Londynie tuż przed powrotem Sary Falk i pana Sharpa z Paryża, gdzie doświadczyli najpierw długiej tułaczki przez lustrzany świat, a później ucieczki z katakumb pod miastem, która niemal zakończyła się zatonięciem w ciasnym lochu i obejmowała całe spektrum koszmarów, które do cna wyczerpały ich oboje.

Zniszczenie Kryjówki, która zamieniła się w gruzy, niemal stanowiło ostateczny cios, gdyby zaś Charlie Pyefinch i jego towarzyszka imieniem Ida, wcześniej im nieznaną, nie znaleźli ich w chwili największej rozpacz, Sara sądziła, że mogłaby postradać zmysły. Dwoje najmłodszych członków Nadzoru zapewniło ich, że przynajmniej pozostali ocaleli, przyprowadziło też znajomy psi powóz Hodge'a, żeby jak najszybciej zawieźć ich do tymczasowej nowej siedziby w Banialuce Kowala na

Wyspie Psów.

Mizerny śnieg topniał już pod turkoczącymi na wybojach kołami wózka, gdy opuszczali plac, zostawiając za sobą zgliszcza.

Sara popatrzyła na Sharpa, który pobladł ze zmęczenia, a poza tym, co dobrze wiedziała, walczył ze sobą, by nie okazać troski ani poczucia winy. Ochrona Kryjówki była wyjątkowym obowiązkiem, który wziął na siebie już dawno temu. Nie miała wątpliwości, że to, co spotkało ich dom, ugodziło go do żywego. Położyła mu dłoń na kolanie.

– Mamy siebie – rzekła. – To nam wystarczy, żeby zbudować coś nowego, nieważne, jak tragiczne okażą się wieści.

Skinął głową. Sara obróciła się i poklepała Charliego w ramię.

– A teraz powiedz mi, co się stało – poleciła. – Wszystko. Nie ma chwili do stracenia.

Charlie skrzywił się i zerknął na Idę, jakby prosząc ją o pomoc, lecz ona jedynie wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, jak to powiedzieć – przyznał. – W sensie: nie wiem, jak powiedzieć wszystko naraz. W odpowiedniej kolejności, jak...

– Chyba możemy poczekać, aż dotrzemy do Kowala – wtrącił Sharp, spoglądając na Sarę z z troskaniem. Jej twarz wydawała mu się napięta niczym skóra naciągnięta na bęben, a mięśnie szczęk uwidaczniały się wyraźnie, zaciskając i rozluźniając. – Niech Kowal wszystko opowie.

– No... tego... – zaczął Charlie.

– Tego? – spytała Sara.

– Nie ma Kowala. Przynajmniej nie tam. Pojechał na północ.

– Dlaczego?

Charlie znów spojrzał na Idę w poszukiwaniu wsparcia.

– To będzie długa historia – rzekła dziewczyna. – Może Charlie ma rację i powinniście poczekać, aż spotkamy się z Kucharą i Hodge’em? Myślę, że oni lepiej ją przekażą.

– Tak – przyznał Pyefinch. – Po prostu tyle się działo w...

– Zaczynij od tego, co stało się z domem – warknęła Sara. – Przepraszam. Zaczynij od tego, co stało się z moim domem.

– Ida lepiej to powie – odparł Charlie, ignorując pełne dezaprobaty spojrzenie dziewczyny. – Poważnie. Przecież wszystko widziałaś. Mnie i Hodge’a nie było tam od początku, a ty tak.

Obrócił się do Sharpa i Sary.

– Gdyby Ida nie przyjechała tu, żeby się z nami zobaczyć, gdyby nie znajdowała się wtedy na placu, straciłabyś nie tylko Kryjówkę, ale i Kucharę, to pewne. Właśnie Ida wszystko zobaczyła i dostała się do domu, żeby ją ostrzec. Dzięki temu wyszły na czas.

– Po prostu byłam we właściwym miejscu – rzekła Ida. Wyglądała na zawstydzoną.

– Jeśli ocalałaś Kucharę, już na zawsze jesteś mi przyjaciółką, panno Laemmel – oznajmiła Sara.

– Portki. – Ida uśmiechnęła się. – Kucharka mówi na mnie Portki.

– Bo je nosi – wytłumaczył Charlie.

– Ale ty możesz na mnie mówić Ida.

– Ido, powiedz mi zatem, w jaki sposób zniszczono mój dom – poprosiła Sara. – Pomoże mi to znaleźć jakiś punkt zaczepienia, obawiam się bowiem, że mój świat może zmierzać ku katastrofie...

Ida skinęła głową.

– Tak więc, jak mówi Charlie, znajdowałam się na placu. Było wcześniej i dopiero co przyszłam z doków. Jak

wspominałam, miałam dla ciebie wieści od moich towarzyszy z Die Wachte, wiadomości o dusiołku, a także list o jego działaniach w Londynie, który znaleźliśmy, ale o tym mogę opowiedzieć później. Zatem jeszcze raz: czekałam na rozsądną porę, żeby zapukać do drzwi, i po prostu się rozglądałam, poniekąd orientowałam w okolicy. Zobaczyłam rafinerię cukru w górnej części placu, a później tego młodego człowieka, który miał coś nie tak z oczyma, i zanim zdołałam określić, co jest z nimi nie w porządku, cisnął tymi małymi metalowymi kulami z zapalnikami... Jak to się nazywa, Charlie?

– Granaty – podsunął chłopak.

– Cisnął tymi granatami, jakby rzucał do kręgli, i wleciały przez te wielkie otwarte drzwi rafinerii, i... Zaraz, przepraszam, chwilę wcześniej był jeszcze jeden mężczyzna, duży, który zatrzymał wóz na dole placu tuż przy twoim domu, a potem zaczął iść, aż dotarł do rogu, a później pobiegł i wtedy dostrzegłam, że wózek jest wyładowany *Lampenöl*. Mówi się, yyy, oliwa do lamp, *ja*? W każdym razie były tego całe beczki i wtedy spojrzałam znów na rafinerię i zobaczyłam te granaty wtaczające się do środka, i później wybuchły, i widziałam, jak te wielkie kadzie gotującego się cukru przechylają się i pękają, a potem strumienie płonącej melasy popłynęły w stronę domu i...

– I wtedy właśnie dogoniła zamachowca, a później do niego strzeliła – powiedział Charlie, wyraźnie dumny z talentów swojej przyjaciółki.

– Strzeliła? – spytał Sharp. – Z rewolweru?

– Z kuszy – wyjaśniła Ida. – Jestem łowczynią. Zamachowiec wsiadał do powozu czekającego za rogiem. Strzeliłam do niego i złamałam mu kolano. Upadł na ulicę,

a wtedy powóz ruszył i go zostawił.

– Powóz też próbowała trafić – dodał Charlie. – Puściła mu w tył dwa bełty, a później pobiegła do Kryjówki, weszła tuż przed pojawieniem się rzeki cukru i ostrzegła Emmeta oraz Kucharkę. Wydostali się tunelem prowadzącym do Sly House, gdy gorący cukier wysadził oliwę do lamp i fasada domu upadła. Przynajmniej Kucharka i Ida się wydostały. Emmet zawałił na siebie dach tunelu, nie dopuszczając, żeby ogień je dosięgnął.

– Co z Emmetem...? – spytał Sharp i raptownie urwał, albo zaskoczony tym, że mimowolnie złapał Sarę za rękę, albo też dlatego, że dalsze słowa uwięzły mu w gardle. Chrząknął chrapliwie. – Co się stało z Emmetem?

Sara przykryła jego dłoń swoją, nie patrząc na niego. Wiedziała zarówno o bliskiej więzi łączącej Sharpa z niemym glinianym człowiekiem, jak i o tym, że nie chciał, by obserwowana jego reakcją na potencjalnie fatalne wieści.

– Wszystko z nim w porządku – z nieoczekiwanym uśmiechem rzekł Charlie. Sharp poczuł, że Sara ścisnęła nieznacznie jego rękę, po czym puściła. – Kowal kazał nam go wydostać z zablokowanego tunelu, gdy tylko szczątki na powierzchni ostygły. Zajęło nam to pięć dni. Kopaliśmy ja, Hodge, Kowal, nawet Kucharka i Ida się dołączyły. Spaliło mu się całe ubranie, ale ma się znakomicie. Jak powiedziała Kucharka, trzeba więcej niż ognia piekielnego i domu lądującego na głowie, żeby zabić golema. Bo właśnie tak wyglądał ten płonący cukier: jakby piekło się otworzyło i wytrysnęły z niego rzeki płomieni...

– A co z Pożogą? – zapytała Sara.

– Kucharka uratowała ją i ukryła – wyjaśnił Pyefinch. – Kowal mówił, że gdyby Ida stchórzyła i nie weszła do domu ledwie jeden krok przed ogniem oraz gdyby Emmet nie

zabawił się w Samsona i nie zrzucił na siebie budynku...
Cóż, wtedy pewnie połowa Londynu poszłaby z dymem.

– Kowal przesadzał – skomentowała Ida, odwracając wzrok. Koniuszki uszu zaróżowiły jej się ze wstydu.

Charlie obrócił się i wyszczerzył w uśmiechu do Sharpa i Sary.

– Ida nie tchórzy – powiedział. – To ona budzi strach.

Sharp i Sara spojrzeli na ciemnowłosą dziewczynę.

– Wygląda na to, że lista rzeczy, które czynią nas twoimi dłużnikami, powiększa się z każdą minutą – uznała kobieta.

– Nikt nie jest mi nic winien – odparła Ida. – Każde z was zrobiłoby to samo co ja.

– Ja nie – stwierdził Charlie. – Nie bez zastanowienia, a gdybym już się zdecydował, byłoby za późno. Tak mało brakowało...

– Kto był w powozie? – zapytała Sara. – W tym, do którego strzeliłaś?

– Issachar Templebane – odpowiedział Pyefinch. – Po wyjściu Ida próbowała go śledzić.

– Templebane – mruknęła Falk. – Powinnam była go zastrzelić, gdy miałam okazję...

– Nie jesteś taka, Saro – rzekł Sharp. – Nie po to przysięgaliśmy, żeby posługiwać się takimi metodami.

– To mój błąd – odparła Sara, cofając dłoń. – Żałuję, że nie policzyłam się z nim, zanim... zanim weszłam w lustra.

– Skoro dzięki nim odnalazłaś mnie w ostatniej chwili, nie potrafię pozostać w tej kwestii zupełnie obiektywny – skomentował Sharp. – I jeśli kogoś należy obarczać winą, to raczej mnie za moje roszczenia, bo to ja wszedłem w lustra wcześniej.

– Próbowaleś mnie ratować – dziwnie ponurym głosem rzekła Sara.

Charlie pomyślał, że nigdy u nikogo nie widział tak okropnej miny. Zupełnie jakby została rozdarta na dwoje. Nie sposób było na to patrzeć. Podobnie zresztą jak na wyraz twarzy Sharpa, gdy wpatrywał się w tył głowy Sary, odwróconej od niego i z pustym wzrokiem wbitym w widok za oknem. Chłopak miał wrażenie, jakby znalazł się w niewłaściwym miejscu, jakby on i Ida byli świadkami czegoś zbyt intymnego i prywatnego. Szturchnął dziewczynę.

– Mów dalej – ponaglił ją. – Opowiedz im, co się stało, gdy pobiegłaś za powozem.

– Już dawno wtedy zniknął – odrzekła Ida. – Zniknął też gość, którego zraniłam, ale dostał mocno i zostawił krwawy trop, za którym poszłam.

– Znalazła go w kanale – uzupełnił Charlie. – Tym nowym, który kopią od zachodu.

– Nie powinien był tam iść – stwierdziła Ida. – Pod ziemię, w nieczystości. Stracił zbyt wiele krwi, a wszedł w ludzkie odchody i kto wie co jeszcze. I stało się. Rana się zapaskudziła i w szpitalu musieli mu odciąć nogę nad kolanem.

– Ja bym mu ją odciął przy szyi – wtrącił Sharp.

– Cóż, tak czy owak, stracił głowę – powiedział Pyefinch.
– Od gorączki, zakażenia i operacji zupełnie mu się pomieszało. Trudno było znaleźć wiele sensu w jego słowach, ale wiemy, że to Templebane imieniem Coram, jeden z synów Issachara.

– I mamy go? – chciała wiedzieć Sara.

– Mamy. Może nie teraz, ale wiemy, gdzie dokładnie jest. Kowal najpierw wsadził go do celi w Sly House, a później wysłał do Bedlam. Pan Coram Templebane nie wyjdzie stamtąd zbyt szybko. Ma też tam wyjątkowego opiekuna,

osobnika nazwiskiem Ketch, któremu, jak mówi Kucharka, pan Sharp przemówił do rozumu.

– Bill Ketch – rzekł Sharp. – Nakazałem mu niemotę, dopóki nie rozkwitną majowe kwiaty, a następnie zaprzysięgłem go do służby w Bedlam, w ramach kary po tym, jak zakleił usta Lucy Harker smołą i jutą, a później przyniósł ją do nas w worku. Skłonili go do tego Sluagh...

Znów zapadła cisza. Sara wydawała się nie słuchać. Wóz kołysał się i grzechotał, przejeżdżając po drewnianym mostku nad wąską, lecz głęboką strugą zwaną Gut, oddzielającą Wyspę Psów od reszty Londynu.

– Może i jest w tym jakaś symetria – uznał po chwili Sharp. – Templebane też był w to w jakimś stopniu wmieszany. Ketch to pijaczyna, którego łatwo zmanipulować, ale nie przejawiał szczególnej złej woli. Jeśli ten Coram ma dalej żyć w cierpieniu, to Ketch będzie dobrym strażnikiem. Trafiło mu się więcej, niż zasłużył... Co?

Sara raptownie rzuciła mu się na kolana, żeby wyrzec przez okno po jego stronie, a jej gibkie zazwyczaj ciało stało się sztywne i napięte.

Wpatrywała się z otwartymi ustami w coś, co właśnie minęli, w coś niewiarygodnego. Za nimi ciągnęły się ślady kół wyżłobione w cienkiej warstewce śniegu pokrywającej wąski most i chronionej przed zachodzącym słońcem przez cień pobliskiego magazynu.

– Saro? – spytał, dotykając dłonią jej pleców. Rozwiął w ten sposób czar, jakiemu uległa, wyprężona niczym pies myśliwski wystawiający zwierzynę. Opadła z powrotem na siedzenie i zastukała w sufit.

– Stać! – poleciła. – STAC!

Zanim powóz całkowicie się zatrzymał, otworzyła drzwi

i wyskoczyła na zewnątrz, po czym z pluskiem wylądowała w głębokiej, wypełnionej wodą koleinie. Nie zwróciła na to jednak uwagi, wpatrywała się bowiem w trzy sylwetki stojące w cieniu budynku po drugiej stronie mostu. Sharp dołączył do niej, a Ida i Charlie podążyli zaraz za nim.

– Charlie Pyefinch – powiedziała Sara, obracając się do niego ruchem tak szybkim, że długi warkocz przedwcześnie zbielejących włosów trzasnął niczym bicz. – Ile noży masz przy sobie?

– Ach... – rzekła Ida.

– Nie robią nic złego – zripostował Charlie.

– To Sluagh! – zawołała Sara. – W moim mieście. Nigdy nie widziałam, żeby byli tacy śmiali.

– Albo w takiej liczbie – dodał Sharp. – Charlie, daj jej wszystkie noże, które masz.

– Nie – sprzeciwiła się Ida.

– Nie? – spytał Sharp. – Panno Laemmel, to Sluagh!

– Chcą tylko porozmawiać – powiedział Charlie.

– Opierają się o poręcz – stwierdziła Sara. – Jack, spójrz na nich.

Głos lekko jej się załamywał.

– Tylko czekają na Kowala – poinformował Pyefinch. – Są tu każdej nocy od tygodnia, a za dnia czają się w cieniu, jak teraz.

Sharp podszedł bliżej mostu i wpatrywał się w nieruchome postacie, z których dwie opierały się o balustradę mostu, a trzecia siedziała na niej, machając nogami jak nierób z doków.

– Dotykają poręczy – rzekł, patrząc znów na Sarę. – Masz rację. Żelaznej poręczy.

Wraz z Sarą popatrzyli na Charliego i Idę.

– Oni nie... – zaczął Charlie. – To znaczy... No tak, to

właśnie jedna z tych rzeczy, które inni wytłumaczyliby lepiej.

– Żelazo już ich nie odstrasza ani nie rani – wyjaśniła Ida.

– Prawo Żelaza...? – spytała Sara.

– Przełamane – odrzekł Pyefinch.

– Ale wciąż nie mogą przejść przez płynącą wodę – powiedziała Ida. – Choć tyle.

Kolor twarzy Sary pasował teraz do jej włosów. Charlie pomyślał, że kobieta jest równie wyprana z barw jak kalotypia. W swoim stroju jeździeckim z czarnego impregnowanego jedwabiu wyglądała jak monochromatyczna postać pomyłkowo umieszczona na kolorowym obrazie.

– Jak to się stało? – wydyszała.

– Nie mam pojęcia – odparł Charlie, boleśnie świadom, że nie jest to właściwa odpowiedź na tak doniosłe pytanie. Spojrzał na Idę w poszukiwaniu wsparcia.

– Właśnie tego poszedł się dowiedzieć Wayland Kowal – powiedziała.

– Flaga – rzekł Sharp. – Ale przecież nie mogli jej znaleźć. Jest bezpieczna. Zawsze była bezpieczna na...

– ...wyspie na wyspie – dokończyła Sara. – Dwa pierścienie płynącej wody chronią ją przed Sluagh, nawet gdyby poznali jej położenie.

– Zatem chyba tam właśnie się udał – uznał Pyefinch. – No to teraz wiecie o wszystkim mniej więcej tyle samo co ja.

ROZDZIAŁ XII

Na północ dzięki parze

Kowal rzeczywiście udał się na północ, żeby sprawdzić prawdziwość swoich podejrzeń dotyczących odporności Sluagh na żelazo.

Gdy za pierwszym razem podejmował tę podróż, zabrała kilka tygodni. Wymagała solidnych koni, które niemal zostały zajeżdżone, wiernej kompanii sprawdzonych w boju towarzyszy oraz gotowości do stoczenia mnóstwa walk. Gdy za pierwszym razem dotarł do celu, czyli wyspy na wyspie, wielki topór u jego boku wciąż był zakrwawiony, a równie często stosowany miecz wisiał przypięty na plecach do futer.

Minął szmat czasu, lecz on znów tu był. Wciąż nosił topór, lecz teraz krył go w długim skórzanym worku podróżnym. Poprzednio przedzierali się z południa przez śnieżne zasy i stawiali czoła bandom łupieżców. Teraz jechał w niekomfortowym bezruchu w wagonie ciągniętym na północ przez rytmicznie prychającą, opalaną węglem lokomotywę, a za jedynego kompana miał nieznanego, mgliście kojarzącego się z marynarką, który szybko zasnął na ławce naprzeciwko, wykorzystując brezentowy płaszcz do ochrony przed chłodem. Gdyby twardzi mężczyźni i kobiety, którzy brali udział w pierwszej wyprawie, zobaczyli i usłyszeli pociąg mknący przez noc, zapewne uznaliby, że dawne opowieści o smokach są prawdziwe. Teraz zaś oni sami przeszli do historii, niszczący upływ czasu skorodował ich niegdysiejsze bohaterstwo do mitu,

którego i tak już nikt nie pamiętał. Kowal uznał, że to jedyny niekorzystny aspekt współczesnych środków transportu: brak wysiłku fizycznego sprawia, że zostaje zbyt wiele czasu na bezużyteczne myśli. A człowiek o jego przeszłości ma zdecydowanie za dużo rzeczy do wspominania.

Nie pierwszy raz jechał pociągiem, ale wciąż zaskakiwały go – i sprawiały pewną przyjemność – prędkość oraz gładkość jazdy. Przez większość podróży obserwował przez okno różnorodny krajobraz, dziwiąc się jednocześnie, jak wiele się zmieniło, a przy tym jak wiele pozostało z okolicy, którą znał od tak nienaturalnie długiego czasu. Sunął przez znajomy region pełen wysokich żywopłotów, zagajników i pól, mijał podmyte łąki i zalesione wyżyny, nad którymi górowały łagodne wzgórza. Rozpoznawał tę Anglię, był świadkiem wyrywania jej z dzikich wrzosowisk i okiełznywania, które zmieniło ją w wielobarwną szachownicę zieleni i brązów. Przemieszczał się wtedy, zanim w ogóle posadzono najstarsze tarninowe żywopłoty, a szerokie rzeki, które teraz przecinał bez wysiłku zmyślnie skonstruowanymi mostami, wcześniej należało pokonywać przez brody, na wyczerpanych koniach zanurzonych po podogonia.

– Jak to możliwe, że żyję od tak dawna? – zastanawiał się, wypowiadając na głos słowa, których nauczył się unikać. – I po co, jeśli Prawo Żelaza zostało przełamane? Skoro za zmianą stoi pradawny żarłoczny mrok, jak mamy go powstrzymać?

Nieznajomy naprzeciwno poruszył się we śnie, a gdy jego płaszcz częściowo się zsunął, Kowal doszedł do wniosku, że słusznie uznał go wcześniej za marynarza – na mięsistej ręce widniały bowiem nadmiernie ozdobny Union Jack

oraz kiepsko wykonana kotwica.

Kowal również miał niegdyś tatuaże, podobnie i niepodobnie jak Sluagh, zanim zresztą stali się oni Sluagh. Wypędził z siebie ciemność w gwałtownym i mściwym akcie siły woli, a następnie przysiągł, że poświęci życie światłu, lecz na świecie pozostawało tyle mroku, że powstrzymywanie go i pilnowanie, aby znowu nie zbrukał jego ciała i serca, wymagało zobowiązania równie ściśle związanego z flagą Sluagh jak samo Prawo Żelaza. Więź ze światłem i Prawo przenikały się nawzajem i utrzymywały w stanie równowagi. To on toczył walki, które doprowadziły do nałożenia Prawa Żelaza, i to on go tam wplótł za pomocą czegoś więcej niż tylko przysięgi. Teraz zaś przemierzał starą drogę, żeby przekonać się, dlaczego pradawne zjawiska, które powinny pozostać ciasno ze sobą zespolone, zaczęły się rozplatać. Zamierzał przyjrzeć się fladze.



Widok przemysłowych ziem środkowej Anglii zaszokował Kowala. Rozległe fabryki, młyny, lasy zionących kominów wydawały się pojawić tu nagle i bez ostrzeżenia. Rudery mieszkalne rozciągały się we wszystkich kierunkach od budynków fabrycznych, niczym infekcja grożąca zarażeniem całej okolicy. Kowalowi przyszło do głowy, że wygląda to jak trucizna we krwi, w chwili, gdy zaczyna wyraźnie zaczerńać naczynia krwionośne pod nieskalaną wcześniej skórą umierającego. Tereny pomiędzy Birmingham a Manchesterem wydawały się owrzodziałe, jakby gniły pod oparami dymu. Na północ od Manchesteru krajobraz odzyskiwał dawny stan, stawał się nawet dziksz

niż wcześniej, z wyższymi wzgórzami i rozleglejszymi wrzosowiskami, miejsce żywopłotów wyznaczających granice między terenami poszczególnych właścicieli zajęły natomiast kamienne murki.

Kowal próbował skupić się na terażniejszości, zamiast patrzeć przez soczewkę wspomnień. Jechał, żeby zapobiec obecnemu zagrożeniu, i przeszłość była istotna tylko wtedy, gdy zawierała wskazówki pozwalające zakończyć pomyślnie obecną misję. Czasami ciężar narosłych reminiscencji wywoływał w Kowalu wrażenie, jakby miał u szyi uwiązany cały świat i potrzebował każdego skrawka energii, żeby utrzymać się na powierzchni.

Przybył do Glasgow w nocy i uznał, że musi rozprostować zeszywniałe kończyny po tak długim siedzeniu, przeszedł więc piechotą z dworca na przystań Broomielaw po północnej stronie rzeki Clyde. Przez lata sypiał w najrozmaitszych miejscach, drzemka na ławce w pobliżu parowców pasażerskich wydała mu się więc czymś oczywistym. Dzięki temu mógł jako pierwszy znaleźć się na pokładzie, gdy o wpół do szóstej rano zaczęto okrętować pasażerów.

I znów moc pary pozwoliła mu na szybszą oraz znacznie wygodniejszą podróż na północ niż za pierwszym razem. Gdy statek spieniał powierzchnię Clyde i skręcał w prawo, na szlak prowadzący po morzu wewnętrznym ku Hebrydom, Kowal jadł smaczne śniadanie. Przez niemal całą drogę, gdy z jednej strony rozpościerał się widok na szkockie góry, z drugiej zaś na wyspy, siedział, rozkoszując się czystym, zimnym powietrzem. Zostawili za sobą cieśninę Mull i okrążyli jałowy cypel Ardnamurchan, gdzie współpasażerowie zebrali się przy sterburcie, żeby wskazywać i komentować prace prowadzone w najbardziej

wysuniętym na zachód punkcie półwyspu. Kowal zrozumiał, że powstają tam fundamenty pod nową latarnię morską wznoszoną przez przedsiębiorczego pana Stevensona, najwyraźniej doskonałego konstruktora takich obiektów. Gdy odwrócił się do pustego relingu na bakburcie i ujrzał otwarty bezmiar Atlantyku, pomyślał o Lucy Harker oraz Irlandce i zastanawiał się, czy już tam dotarły, a także jak potoczyły się ich losy. Rozmyślał, czy Lucy spogląda od drugiej strony przez ten sam ocean, wspominając Nadzór i wszystko, co zostawiła za sobą. Nieco wbrew sobie polubił tę kłopotliwą dziewczynę. Bolało go, że nie może podzielić się tą myślą z nikim poza Kucharką, i ogarnął go smutek, gdy Lucy postanowiła ich zostawić, by znaleźć własne miejsce w świecie. Wziął ją pod swoje skrzydła i podzielił się wiedzą o swojej przeszłości w większym stopniu niż z innymi. Nie uważał, aby była mu winna z tego powodu jakąkolwiek lojalność. Chodziło raczej o prostszą, trudniejszą do zdefiniowania kwestię: zaczął ją lubić, zapewne z tego powodu, że miała problemy z lubieniem samej siebie.

Kucharka mówiła, że Lucy obdarzyła uczuciem *venatrix* Cait. Kowal był pewien, że to ją unieszczęśliwi, ponieważ wysoka Irlandka nie podzielała jej upodobań. Miał nadzieję, że znalazła spełnienie gdzieś indziej. Miał nadzieję, że wykuwała sobie nową, radośniejszą ścieżkę gdzieś tam, za szarym przestworem pozostającej w ciągłym ruchu wody.

Na statku pozostało sporo wolnego miejsca i przez większą część rejsu nic nie zakłócało podróży. Większość pasażerów mówiła po gaelicku i rozpoznawszy ten język, Kowal poczuł dziwny dreszcz podniecenia oraz swoistą nostalgię. Odbijał mu się echem w głowie i przypominał

dawne czasy, kiedy to nawet angielski nie uformował się jeszcze w obecnej formie. Kiedy Kowal przybył na północ po raz pierwszy, on i jego grono wojowników nie posługiwali się mową, którą zrozumieliby jego obecni towarzysze z Nadzoru. Jazda po otwartym terenie, zanim zasadzono najstarsze żywopłoty, to jedno, ale można było poczuć się naprawdę starym na myśl, że żyło się dłużej niż stosowany obecnie język. Uśmiechnął się i gdzieś w głębi poczuł ukłucie smutku na myśl, że nie ma się z kim podzielić tym ironicznym spostrzeżeniem.

Noc spędzili w Tarbert z powodu nieoczekiwanego postoju, o który poprosił inżynier podejrzewający usterkę łożyska. Nazajutrz ponownie wyruszyli w rejs i przed południem dotarli do Portree. Gdy statek zawzięcie młócił wodę pomiędzy wyspą a zasadniczą częścią Szkocji, Kowal stał na pokładzie, obserwując mijane wzniesienia rozciągające się wzdłuż obu burt. Skierowali się ku zachodowi, w stronę Kyle of Lochalsh, gdzie otwierał się widok na kontrastujące ze sobą łańcuchy górskie Red Hills i Black Cuillin. Światło słoneczne błyszczało na granitowych zboczach tych pierwszych, nadając im różowawy poblask, co w połączeniu z ich łagodnymi konturami czyniło je przyjaźniejszymi dla oka niż strome szczyty, głębokie parowy i zacienione kotliny wryte w ciemnym bazalcie i skałach magmowych tych drugich. Red Hills odbijają słońce, pomyślał Kowal, podczas gdy Black Cuillin wydają się je pochłaniać. Później parowiec okrążył wysepkę Scalpay, gdzie stado owiec stało nieruchomo tuż przy brzegu, nieporuszone widokiem statku wchodzącego w cieśninę Raasay i jakby przypadkiem kierującego się w stronę małego portowego miasteczka Portree, położonego w ukrytej zatoczce i stanowiącego końcowy

przystanek rejsu.

ROZDZIAŁ XIII

Zjawy

Lustrzany świat nieobeznanym rzeczywiście wydawał się niezamieszkały i sterylny. Zresztą nawet ci nieliczni, którzy nauczyli się poruszać w pozornie nieskończonym labiryncie, czasami zapominali, by zważać na fakt, że z każdego zwierciadła mogą na nich spoglądać czyjeś oczy.

Gdy Obywatel dał się już przekonać do planu Dee, wrócił na krótko do swojego gabinetu, żeby zebrać niewielki, niezbędny bagaż, a następnie pozwolił kompanowi, żeby przeprowadził go z powrotem. Anglik uważnie kroczył przed siebie, odkąd tylko zostawili za sobą zwierciadło, przez które opuścili Londyn i znane okolice Chandos Place. Tak jednak skupiał się na obserwacji Kłębka z Coburga, że ani razu nie obejrzał się za siebie.

I dlatego coś przegapił.

Gdy tylko skręcił po raz pierwszy, nie zerknąwszy w tył, okazało się, że nie dostrzegł lustrzanych zjaw.

Pierwsza głowa wyłoniła się z lustrzanego stropu kilkaset jardów od miejsca, gdzie Anglik i Francuz weszli w zwierciadlany świat. Jako pierwszy pojawił się długi marynarski kucyk, później krągła twarz, szokująco blada, jak u wszystkich lustrzaków, z czarnymi oczyma przypominającymi gagaty. Istota spojrzała za oddalającą się parą, a następnie, gdy intruzi zniknęli z pola widzenia, uśmiechnęła się, ukazując podobnie czarne zęby.

Z małą zręcznością zeskoczyła z sufitu i wyładowała

cicho na bosych stopach. Miała na sobie marynarską kurtkę i krótkie spodnie o szerokich nogawkach, wszystko to wyblakłe do jednolitej bieli, niemal identycznej jak skóra. Postać wykonała gest za plecami, kapeluszem o szerokim rondzie przywołując niewidocznych kompanów.

Ruszyła bezszelestnie w kierunku miejsca, w którym pojawił się Dee, ze zwierciadeł zaś wyłoniły się trzy kolejne blade sylwetki i z brzękiem do niej podbiegły. Nie były marynarzami. Dwie z nich należały do żołnierzy, po wyglądzie sądząc, okrągłogłowych z epoki Cromwella. Miały na sobie napierśniki, pałasze i sfatygowane buty na grubych podszwach, tak samo bladych, każda odrobina ich naturalnych pigmentów została bowiem wysączona przez lustra. Trzecią postacią okazał się mężczyzna o twarzy mordercy, z szeroką jak szufla brodą, równie białą jak cała reszta jego postaci.

Ten, który wciąż nosił hełm, dotarł do marynarza przed pozostałymi.

– To na pewno to? – spytał, podsuwając oko blisko lustra.

Żeglarz przytaknął.

– Bez wątpienia. Pachnieli krwią i myślę, że pochodziła stamtąd.

– Zatem, bracie, kto chce iść pierwszy? – rzekł ten bez hełmu.

Marynarz wszedł pomiędzy nich.

– Ha – westchnął. – To zawsze jestem ja, nieprawdaż?

Nie zwlekając, spojrział na swoje odbicie, wyciągnął z za pasa paskudnie wyglądający sztylet i przeszedł do gabinetu Obywatela.

Pozostali czekali po bokach zwierciadła z wyciągniętą bronią. Po niemal minucie w korytarzu znów pojawiła się głowa żeglarza.

Z ust ściekała mu wąska jaskrawoczerwona strużka, a gdy się uśmiechnął, zęby zalśniły mu czymś więcej niż tylko śliną.

– Och, chłopaki – powiedział. – Mamy szczęście, naprawdę cholerne szczęście. Nigdy nie widziałem czegoś tak wspaniałego. Wchodźcie.

Pozostali przeszli przez zwierciadło i znaleźli się w ciemnym pomieszczeniu. Marynarz uśmiechnął się od ucha do ucha i przeprowadził ich do wyłożonego kafelkami laboratorium za zasłoną.

– Nasyćcie oczy, kochani, a później napijcie się do woli – zachichotał.

Wskazywał dwie klatki. W pierwszej leżał na podłodze Sluagh wyglądający na osłabionego, w drugiej zaś znajdował się niemal nagi mężczyzna o zielonej skórze i oszalałych z przerażenia oczach.

– Spójrzcie, bracia – powiedział marynarz. – Zupełnie jakby nieobecny dżentelmen zostawił specjalnie dla nas podarunki. Mają nawet słomki wsunięte w żyły, możemy więc wysączyć, ile zechcemy, jak za dawnych czasów, gdy pociągaliśmy z beczułki.

– O kurwa. – Żołnierz w hełmie wyszczerzył zęby, rozpinając pasek pod szyją. – Prezent świąteczny.

– No wiem. – Żeglarz się roześmiał. – Ale pamiętajcie, żeby ich nie opróżnić do cna, poza tym zakręcajcie mały kurek przy rurkach, żeby nie przeciekali, bo po bagażach, które tamci nieśli, sądzę, że nie wrócą zbyt szybko. Zatem jutro też możemy mieć święto, i pojutrze, i jeszcze długo później.

Zielony Człowiek zobaczył, że się zbliżają, i wydał z siebie wrzask wyrażający czystą grozę.

– Powinniśmy zakneblować tego małpiszona – rzekł

marynarz. – Niepotrzebnie ściąga na siebie uwagę.

ROZDZIAŁ XIV

Strażniczka

Podróż z Bostonu do Marblehead zajęła niewiele ponad godzinę. Cait szturchnęła Lucy, żeby ją obudzić, gdy tylko konie zwolniły kroku.

Znajdowali się w kolejnym nadmorskim miasteczku. Dziewczyna czuła zapach wodorostów, dymu ze spalonego drewna i ryb suszących się na ramach na kamienistej plaży przy drodze.

Podjechali pod niewysokie wzniesienie i zbliżyli się do ładnej dwupiętrowej rezydencji zbudowanej w stylu georgiańskim, z wąskim, otoczonym kolumnami gankiem, którego trójkątny portyk stanowił miniaturę tego zdobiącego dach. Po obydwu stronach głównych drzwi płonęły olejowe lampy, których światło odbijało się od szyb dużych, zdobnych okien ze szprosami.

– To dopiero dom – skomentowała Cait.

– Rezydencja Lee – oznajmił Pedel. – Kiedyś. Teraz to bank. A przynajmniej połowa.

Powóz zatrzymał się równo z drzwiami, które rozwarły się jak na dany znak.

– Jeremiah Lee był niegdyś najbogatszym człowiekiem w Ameryce – powiedział mężczyzna.

Cait wysiadła i weszła po schodach. Przejechała dłonią po drewnianej fasadzie.

– Ale nie było go stać na porządny budulec – stwierdziła.

– Tylko wymieszał piasek z farbą, żeby zamaskowane drewno udawało kamień.

– Przykro mi, że nie spotkało się to z pani aprobatą – odparł mężczyzna.

– No cóż – uznała Irlandka. – Jaki sens ma Ameryka, jeśli próbuje wyglądać jak inne miejsca?

– A ja zawsze podziwiałem ten efekt. Jest całkiem pomysłowy – stwierdził Pedel, wyprowadzając Lucy z powozu.

– Tak, przez sporą część podróży tutaj słuchałam o was właśnie takich rzeczy – powiedziała Cait z miną wyrażającą wystudiowany brak zainteresowania.

– O kim? – spytała Prudence Tittensor, wysiadając wraz z psem.

– O mieszkańcach Nowej Anglii – odrzekła Irlandka. – Dumnych ze swojej pomysłowości.

– Ma pani coś przeciwko mieszkańcom Nowej Anglii? – chciał wiedzieć Pedel.

– No cóż. – Irlandka prychnęła. – Sądziłam, że stara Anglia wyrządza światu wystarczająco wiele szkód, żeby potrzebna była jeszcze kolejna.

Lucy weszła za nią do ciemnego hallu. Z początku sądziła, że w środku nikogo nie ma. W świetle samotnej mizernej świecy stojącej na stoliku pod przeciwległą ścianą widziała jedynie zarysy solidnie wyglądającej boazerii, bezmiar czerwonego tureckiego dywanu i szeroką klatkę schodową ze spiralnymi kolumnami balustrady.

Nagle cienie poruszyły się i dziewczyna uświadomiła sobie, że pod ścianami stoją czekający na nich ludzie. Najniższa z postaci wzięła świeczkę ze stolika i do nich podeszła. Była to starsza pani w prostej bladoszarej sukni barwy wysuszonego, spławionego drewna. Wąskie ramiona owinęła dopasowanym kolorystycznie szalem, jej włosy i oczy miały dokładnie taki sam odcień.

– Proszę za mną – powiedziała zaskakująco silnym głosem, odwróciła się i skierowała do drzwi umieszczonych za schodami. Nowo przybyłe nie miały czasu przyjrzeć się innym sylwetkom, które odsunęły się od ścian i ruszyły za nimi. Wiedziały tylko, że były wśród nich osoby obojga płci i w różnym wieku.

Szara dama, którą Lucy wzięła za tutejszą gospodynię, przeszła przez dwa pomieszczenia, po drodze otwierając drzwi za pomocą kluczy z pierścienia przymocowanego do pasa na długim srebrnym łańcuchu. Pokoje również wyłożono boazerią i wydawały się eleganckie, choć były umeblowane oszczędnie. Następnie przewodniczka odsunęła na bok fragment pokrytej drewnem ściany i poprowadziła je w dół wąskimi schodami, które wiodły do największej jak dotąd sali.

Wchodziło się do niej przez szerokie, ciężkie wrota wyposażone w pięć zamków. Na środku widniała pieczęć przypominająca dziecięcy rysunek rogatego mężczyzny. Lucy stwierdziła, że pomimo prostej kreski jest dziwnie złowieszczy, nie miała jednak czasu, by zastanawiać się dlaczego, ponieważ starsza kobieta rozchyliła drzwi i gestem nakazała im wejść do środka.

Czegokolwiek dziewczyna się spodziewała, na pewno nie tego. Nie licząc zwykłej niemalowanej boazerii połączonej na pióro i wpust oraz ceglanego kominka, w którym miło trzeszczał ogień, ściany były pozbawione jakichkolwiek dekoracji.

Na podłodze, wykonanej z nieozdobionego niczym drewna, nielakierowanego, lecz wygładzonego, ustawiono krąg prostych krzeseł – zapewne był to więc pokój spotkań.

Jedynym pozostałym elementem wyposażenia była kunsztownie wykonana szafa z lustrem ustawiona

w narożniku i Lucy natychmiast rozpoznała jej wzornictwo, w Kryjówce w Londynie widziała bowiem serwantkę z Murano. Znajomy obiekt w nieznanym scenerii wydał jej się niepokojący i skłaniał do namysłu, teraz jednak nie miała czasu na refleksje. Musiała się skupić na wielu innych, bardziej palących kwestiach – na przykład na tym, że wpatrywały się w nią właśnie liczne pary oczu.

Wiele krzeseł było już zajętych przez zwyczajnych na pierwszy rzut oka mężczyzn i kobiety, których wydawało się nie łączyć nic poza faktem, że wszyscy znajdowali się w tym samym miejscu i okazywali zafascynowanie dwiema przybyłymi dziewczynami.

W całym tym zgromadzeniu najbardziej oczywistą i niepokojącą rzeczą było to, że obecni najwyraźniej dysponowali „zdolnościami”. Poczucie czegoś ponadnaturalnego wydawało się tak silne i dojmujące, zapach mocy tak gęsty, że Lucy miała wrażenie, jakby napływał od zebranych falami. Choć nigdy dotąd nie przebywała w jednym pomieszczeniu z tyloma ludźmi o nietypowych talentach, wydali jej się w jakiś sposób pozbawieni życia i dynamiki, gdy przypomniała sobie ożywcze buzowanie towarzyszące obecności Kowala, Kucharki, Hodge’a i Charliego Pyefincha. Kiedy porównała energię właściwą tamtej czwórce z doznaniem wywoływanym przez tutejszą grupę dwudziestu lub nawet więcej osób, z zaskoczeniem odkryła, że jest ono na swój sposób ograniczające i nie ma nic wspólnego z dynamicznym potencjałem.

– Nic nie mów – rzekła cicho Cait, gdy wskazano im dwa postawione obok siebie krzesła skierowane w stronę kominka.

Lucy skinęła głową.

– Pierścienie i dewizki – dodała Irlandka i odwróciła wzrok.

Lucy utrzymywała obojętną minę, jednocześnie wodząc wzrokiem po zebranych. Gdy pozostałe osoby wchodziły do środka i zajmowały miejsca, miała dziwne wrażenie, jakby trafiła na jakąś uroczystość religijną. Zauważyła, że wszyscy mężczyźni wystarczająco dystyngowani albo zamożni, by nosić zegarki na łańcuszkach, oprócz nich mieli także breloki. U tych, którzy wyglądali bardziej na rzemieślników lub robotników, na palcach widniały pierścienie, podobnie jak u kobiet.

Gdy Lucy i Cait usiadły już naprzeciwko gorejącego ognia, stwierdziły, że znalazły się w niekorzystnej pozycji – ciepło buchało prosto w ich twarze i nie widziały twarzy innych uczestników spotkania, z kolei światło bijące od paleniska czyniło je dobrze widocznymi dla wszystkich zebranych dookoła ludzi o beznamiętnych obliczach.

Pedel spoczął obok nich, a Lucy spuściła oczy i zerknęła w bok, próbując dostrzec szczegóły dewizki zegarka. Zignorowała rewolwer, którym celował jej w talię.

– Ojej, ależ wspaniała jest ta tylna płyta kominka – powiedziała Cait, wymownie następując Lucy na stopę.

– Była tutaj od początku istnienia domu – odparła starsza dama, która siadając jako ostatnia, zajęła miejsce zaraz obok ognia.

Lucy spojrzała na kratę i starała się dojrzeć płaskorzeźbę umieszczoną na żelaznej płycie za płomieniami. Była to jakaś tarcza i choć dziewczyna z powodu płomieni nie widziała, co się znajduje w jej środku, po bokach rozpoznała lwa i jednoroźca stojących w takiej pozie, jakby coś podtrzymywały.

– No dobrze – rzekła starsza kobieta. Już nie wydawała

się taka drobna, a poza tym sprawiała wrażenie nie tyle starej, ile raczej odpornej na działanie czasu. – Jestem Strażniczką. Nie ma powodu, żeby truchleć. Jesteście mile widziane w kręgu.

– Truchleć? – spytała Cait. – Nie wiem, co to znaczy.

– To znaczy bać się – mruknął Pedel. – Wszyscy to wiedzą.

– Nie tam, skąd pochodzę – skomentowała Irlandka.

– A skąd pochodzisz? – zapytała jedna z kobiet siedzących po lewej, w której głosie wyraźnie pobrzmiwała irlandzka nuta.

– Ze Skibbereen – odparła Cait.

– Tak właśnie brzmiś – uznała nieznajoma. – Może lepiej byś zrobiła, tam zostając.

– Siostró Lonnegan – upomniała ją ostro Strażniczka.

W pomieszczeniu zapanowała cisza, nie licząc trzaskania drewna w kominku.

– Dobrze – powtórzyła starsza dama. – Teraz pomilczymy przez chwilę. Muszę wyjaśnić naszym gościom, że jest to u nas powszechna praktyka. Pozwala nam oczyścić myśli i poskromić nerwy na poczet dalszych rozważań.

Rozległy się chrząknięcia i odgłosy szurania, gdy zgromadzeni usadzali się na krzesłach i opuszczali głowy, szykując się do zamarcia w bezruchu. Dla Lucy to wszystko wciąż wydawało się przypominać uroczystość religijną. Kojarzyło jej się z klasztorem, w którym uwięziono ją w dzieciństwie. Nie skłoniła głowy. Cait również.

Lucy wykorzystała ciszę i bezruch, żeby rozejrzeć się po otaczających ją pochylonych głowach. Tak jak sądziła z początku, obecni różnili się płcią i wiekiem, lecz nie było wśród nich nikogo równie młodego jak ona czy nawet Cait, ponadto wszyscy sprawiali wrażenie, jakby zależało im, by

wyglądać nijako i bezbarwnie. Najwyraźniej na dopuszczalną paletę składały się szarości, czernie oraz najbardziej monotonne brązy. Jedyne wyjątki w tej kwestii stanowili dwaj mężczyźni siedzący w lewej części kręgu. Chyba nie mogliby bardziej odróżniać się od reszty grupy czy nawet od siebie nawzajem. Jeden z nich był wysoki, drugi zaś niski; ten wyższy miał gęste stalowosiwe włosy, natomiast jego sąsiad – wysokie czoło owinięte bandażem nachodzącym na lewe ucho. Ten pierwszy nosił długi, poplamiony płaszcz z koźłej skóry, obsyty długimi frędzlami i nadający mu niechlujny, jakby dziki wygląd, zwłaszcza w porównaniu z jaskrawoczerwoną kamizelką, którą miał pod spodem. Drugi mężczyzna też włożył koźły płaszcz, tyle że o ciemniejszym odcieniu i mniej krzykliwie ozdobiony, a do tego spodnie, które zważywszy ogólną burość wszystkich pozostałych nóg w pomieszczeniu, przykuwały wzrok żółto-zieloną kratką. Obydwaj mieli także znoszone buty jeździeckie. Lucy zauważyła ich nie tylko dlatego, że fragmenty ich ubioru kontrastowały z resztą – tylko oni bowiem spośród zebranych wydawali się obserwować wszystko z kontrolowanym rozbawieniem zamiast ze stanowczą powagą. Zachowywali się inaczej niż pozostali, zupełnie jakby obecność większej grupy ich nie krępowała, a jednocześnie patrzyli na zgromadzonych poniekąd z zewnątrz. Niższy pochwycił wzrok Lucy i mrugnął do niej dobrodusznie. Zważywszy na okoliczności, dziewczyna uznała tę wesołość za dziwnie niepokojącą i odwróciła wzrok.

Milczenie wydawało się ciągnąć tak długo, że ze zwykłego braku dźwięków zamieniło się w coś rzeczywistego, dysponującego własną tłumiącą mocą. Lucy

wierciła się na krześle i miała ochotę krzyknąć, jednak zacisnęła tylko dłonie w rękawiczkach i przygryzła wargę. Kątem oka dostrzegła, że Cait kiwnęła głową z aprobatą.

Wreszcie starsza kobieta otworzyła oczy i przemówiła:

– Zatem, drogie damy, kim jesteście?

– Takich jak ja nazywacie *fiagaí* – oznajmiła Cait. – A ona jest Wejrzeńcem i ją szkolę.

– I przyjechałyście tutaj, żeby zabrać dziecko Prudence Tittensor – stwierdziła szara kobieta. – Ot tak, po prostu?

– Owszem – odparła Cait. – Ot tak, po prostu.

– Jakim prawem? – zapytał mężczyzna siedzący po ich prawej.

– Nie potrzebuję żadnego innego prawa oprócz tego, że robię to, co słuszne – wyjaśniła Cait. – To dziecko zostało skradzione rządcy ze Skibbereen i jego żonie. Przysięgam, że je zwrócę.

– Twoja przysięga nie ma żadnej wartości, a ty praw do jej egzekwowania – ostrym i wrogim głosem skomentowała Irlandka, która odzywała się już wcześniej. – Nie tak tutaj postępujemy.

– Zresztą i tak nie moglibyśmy ci pomóc, siostró. – Starsza dama wzruszyła ramionami, a jej głos złagodniał. – Dziecka tu nie ma.

Cait wychyliła się na krześle.

– Nie ma, mówicie?

– Nie możemy też pozwolić, żeby wasze działania tutaj pozostały... nieuregulowane – dodała Strażniczka.

– Gdzie jest dziecko? – spytała Cait.

– Dziecko jest w dobrych rękach, bezpieczne. Znajduje się bardzo, bardzo daleko stąd – rzekła Prudence Tittensor, która zajęła miejsce blisko staruszki.

– Lepiej, żebyś mi to wyjaśniła – oznajmiła Cait. Lucy

usłyszała, że głos nauczycielki się obniżył i pojawiła się w nim mroczna nuta, której wcześniej tam nie było.

– Istotnie, wzięłam je od kobiety w Londynie – powiedziała żona kapitana, zadzierając butnie głowę. – Od dawna pragnęliśmy dziecka, ale żadne nie chciało się we mnie zagnieździć. I owszem, wiedziałam, że sprzedaje je podmieniec, ale oni słyną z tego, że nie przejmują się życiem istot, które kradną. Uznałam, że będzie bezpieczniejsze ze mną niż z nią. Moim zdaniem, gdybym się nie zdecydowała, podmieniec równie dobrze mógłby je gdzieś wyrzucić.

– Och, a więc to był akt miłosierdzia? – spytała Cait głosem, w którym nie słychać było ani krzty zrozumienia.

– Nie – odparła starsza kobieta, wyciągając rękę, by powstrzymać Prudence przed odpowiedzią. – Był to akt desperacji, na dodatek błędny. Jednak siostra Tittensor jest jedną z nas. Gdy stała się brzemienna, gdy to nowe dziecko zagnieździło się w jej łonie, które dotąd wielokrotnie odmawiało do siebie dostępu, zdradziła nam, co uczyniła i co planuje, żeby to zadośćuczynić. Doszliśmy więc do porozumienia.

– I na czym polegało to porozumienie? – chciała wiedzieć Cait.

– Po drugiej stronie zatoki mieszkała młoda para nazwiskiem Graves. Jedno i drugie od trzech pokoleń z rodzin rybackich – westchnęła Strażniczka. – Żona straciła dziecko podczas porodu i nie mogła znów zająć w ciążę. Tę rodzinę prześladował pech. W naszym kręgu postanowiono, że dziecko powinno zostać oddane właśnie jej.

– Skoro już wspomnieliśmy o prawie do zrobienia czegoś, to wam również go zabrakło – powiedziała Cait, skupiając

wzrok na twarzy pani Tittensor. – Zupełnie zabrakło i teraz kolejna rodzina zostanie skrzywdzona, gdy zabiorę dziecko do jego prawdziwych rodziców.

– Niczego takiego nie zrobisz – odparł jeden z mężczyzn siedzących po prawej stronie. – Nie możemy pozwolić, żeby każde byle co wyrzucone tu przez fale biegało na swobodzie, uważając, że może wszystko, co sobie wymyśli. Mamy tu porządek. Mamy równowagę.

– Nie uczynisz nic, czego nie zatwierdzi krąg – skomentowała Strażniczka, zanim Cait zdążyła odpowiedzieć. – Siedzący tam brat Lee mówi prawdę. Mamy tutaj inne zwyczaje. Nie możemy sobie pozwolić na anarchię. Już dawno temu postanowiono, że należy utrzymać równowagę pomiędzy tym, co naturalne, i tym, co ponadnaturalne. Równowagę, która istniała tu przed przybyciem pierwszych osadników.

– I jak wam idzie? – spytała Cait, rozglądając się po sali. – Ponieważ widzę w tym waszym wspaniałym kręgu wyłącznie białe twarze, a żadnych czerwonoskórych mężczyzn lub kobiet.

– Niedoskonale – odrzekła Strażniczka. – Ale to nie z braku szczerych wysiłków z naszej strony.

– Kim jesteście? – zapytała Lucy. Czowała się przytłoczona i bezradna. Cała sytuacja wywoływała u niej rozdrażnienie i dyskomfort.

– Mówiłam, że to ja będę rozmawiać – stwierdziła Cait, rzucając jej zirytowane spojrzenie.

– Jesteśmy Sukcesorami – oznajmiła spokojnie Strażniczka.

– Sukcesorami czego? – dopytywała Lucy.

– Nadzoru – wyjaśniła Cait. – A teraz buzia na kłódkę, dziewczyno, bo dorośli rozmawiają.

Te słowa i towarzyszący im wyraz twarzy ugodziły Lucy do żywego.

– Londyńskiego Nadzoru, owszem – potwierdziła Strażniczka.

– Ale jak możecie być ich sukcesorami? – drążyła wciąż Lucy, ignorując Cait. – To znaczy... przecież wciąż istnieje Nadzór...

– Jesteśmy Sukcesorami prawdziwego Wolnego Bractwa, które zostało zniszczone podczas Katastrofy w tysiąc sześćset sześćdziesiątym pierwszym roku, w Wielkim Pożarze Londynu – wytłumaczyła Strażniczka. – Obowiązkiem Bractwa było pilnowanie granicy pomiędzy naturalnym i ponadnaturalnym oraz utrzymywanie jej w równowadze, my zaś przysięgliśmy robić to samo tutaj, na nowym terytorium.

– Chwila... Uważacie, że Nadzór został zniszczony w Wielkim Pożarze Londynu? – spytała Lucy.

Cait wbiła jej obcas w palce stopy.

– Nie – odparła Strażniczka. – Stało się odwrotnie. To Londyn został zupełnie zniszczony przez Nadzór.

– Co? – dopytywała Lucy.

– Nadzór był pogrążony w chaosie, pozbawiony uregulowania, stracił kontrolę nad Pożogą i niemal unicestwił to, co przysięgł chronić.

– Ale... – nie ustępowała Lucy.

– Jeszcze jedno słowo, a przywalę ci tak mocno, że przez tydzień nie będziesz mogła mówić – powiedziała Cait. Wyraz jej twarzy świadczył, że nie żartuje.

Lucy nie zdołałaby zaczerwienić się bardziej, nawet gdyby rzeczywiście została uderzona. Wzburzenie sprawiło, że mrowiło ją całe ciało. Czowała, jak jej palce, działając niemal bez udziału świadomej myśli, zsunęły

rękawiczki. Dzięki kominkowi w sali panowało ciepło, ale gdy dłonie weszły w kontakt z powietrzem, natychmiast zrobiło jej się chłodno.

– Pomędzy ocalałymi członkami Wolnego Bractwa nastąpił rozłam. My, czy też raczej nasi przodkowie, jesteśmy tu od tamtego czasu. Przywiódł tu nas gubernator Winthrop z Connecticut. Wielki człowiek – wyjaśniła Strażniczka, uśmiechając się do Lucy. – I tak się składa, że mój pradziadek. Na swój sposób równie wielki jak John Dee. Sprowadził nas tutaj i zorganizowaliśmy się na nowo, jak widzicie, jako społeczność równych...

– Tak, w porządku, przepraszam, że przerywam, ale widzę tu grupę ludzi, którzy powinni wiedzieć lepiej, skoro znają prawdę, a jednak bratują sobie i siostrują, małpując spotkanie modlitewne kwaków – przerwała Cait.

– Nasi przodkowie widzieli wiele korzyści w przecięciu niektórych zwyczajów swych przyjaciół obdarzonych wiarą – powiedziała Strażniczka. – Wzięliśmy od nich spokój i samokontrolę, nie dzielając łatwowierności i przekonań religijnych.

– To wspaniałe, ale nie przebyłam oceanu po to, żeby wysłuchać lekcji historii – stwierdziła Cait.

– Jesteś niecierpliwa – uznała Strażniczka.

– Już mówiłam. Chcę wiedzieć, gdzie jest dziecko.

Cait rozejrzała się po pomieszczeniu. Nikt nie uchylił się przed jej wzrokiem, ale też nikt się nie odezwał.

– Co? – prychnęła. – Myślałam, że odbębnił się już tę chwilę ciszy. Gdzie jest rybak?

– Odszedł – odpowiedziała Strażniczka.

– Dokąd?

– To nieistotne. Krąg podjął decyzję.

– Nie akceptuję jej, nieważne, jak ją uargumentujecie –

rzekła Cait. – Kieruję się wcześniej złożonym zobowiązaniem.

Starsza dama wzruszyła ramionami i rozłożyła ręce.

– Przykro mi, dziecko, ale nie ma dla ciebie miejsca na tej ziemi. Nie wpuszczamy tu wolnych strzelców działających w pojedynkę. Historia i boleśnie nabyte doświadczenie nauczyły nas, że to droga prowadząca do katastrofy.

– I tylko dlatego, że zagarnęliście władzę, uważacie, że możecie zakazać wszystkim innym podobnego zajęcia... – zaczęła Cait.

– Nie wykonujesz podobnego zajęcia – zripostowała Strażniczka. – Mówiłaś nam, że pracujesz samodzielnie. To twoje własne słowa. Ludzie zajmujący się tym, co my, należą do grup podobnych do naszej i pracują na podstawie zaprzysiężonych statutów. Nie odrzucamy z góry próśb z zagranicy, zgodnie współpracujemy z takimi organizacjami jak Die Wachte czy Paladyn. Utrzymywaliśmy nawet serdeczne stosunki z niedobitkami starego londyńskiego Nadzoru, dopóki przed pokoleniem nie spotkała ich kolejna tragedia, po której komunikacja stała się nieregularna i wreszcie całkowicie się urwała. Nie dopuszczamy jednak wolnych agentów. To droga do anarchii. Z powodu zbytnej swobody stary Nadzór zniszczył Londyn, my zaś nie aprobujemy podobnej destrukcyjnej entropii. Znajdujemy się w krainie nieograniczonych możliwości, ale i potencjału do nieograniczonych nadużyć. Podobnie jak nowe Stany Zjednoczone są związane racjonalną, spisaną konstytucją zamiast starej, niepisanej tyranii monarchii, tak nasi poprzednicy wśród Sukcesorów postanowili, że powinniśmy dla dobra ogółu kierować się określonymi zasadami. Naszym hasłem jest: wolność poprzez

uregulowanie.

– Wolność poprzez uregulowanie? – parsknęła Cait. – Łączenie dwóch sprzecznych rzeczy musi sprawiać wrażenie sprytnego dla ciebie oraz obecnych tu twoich braci i sióstr, ale wiecie, jak to dla mnie brzmi? Przypomina mi się sąsiad mojego brata, pobożny stary drań z Killahangal, który regularnie okładał żonę niczym worek kartofli, a następnie zapewniał ją, że ją kocha. Wasze hasło wydaje się równie przekonujące.

– Wydaje ci się takie, bo jesteś niereformowalną *fiagai* – powiedziała Strażniczka z uśmiechem wyrażającym pozornie niewzruszoną łagodność. Lucy widziała, że im mocniej staruszka się uśmiecha, tym bardziej Cait się irytuje. – Proces uregulowania utworzyłby twój umysł na sens i słuszność obranej przez nas ścieżki. Przynależność do kręgu daje znacznie większą siłę niż samotne, samowolne działania. A czyż istnieje kształt łagodniejszy i doskonalszy niż krąg? – Gestem wskazała na zebranych. – Uregulowanie nie jest niczym złym. Nie trzeba się go obawiać. Zachęcamy cię, żebyś je rozważyła. Przywitalibyśmy cię tutaj z ochotą.

Cait poruszyła zuchwą, lecz nic nie powiedziała. Obserwując ją, Lucy zauważyła, że ogólnej bezbarwności Strażniczki i jej kompanów towarzyszy swoisty efekt, który wydaje się tłumić obecną w pomieszczeniu energię. Dostrzegła, że Cait z czymś się zмага, niczym świeca pozbawiona dostępu tlenu, i uświadomiła sobie, że ją również to dotyka. Krąg je wciągał. Może była to jedynie kwestia przebywania w tak dużym skupisku ludzi obdarzonych nadnaturalnymi talentami, jednak nigdy wcześniej nie doświadczyła tak osłabiającego, zniechęcającego doznania. Zawsze wyjątkowo wyraźnie słyszała głos swojego umysłu, obojętnego na świat

zewnątrzny. Teraz miała wrażenie, jakby chór innych głosów groził, że go zagłuszy. Nie wiedziała, czy to świadomy szturm na jej indywidualność, ale na pewno czuła obecne w pomieszczeniu fale pływów. Nie było to złowrogie oddziaływanie, ponieważ większość twarzy miała obojętny wyraz lub uśmiechała się z niewzruszoną łagodnością, jak Strażniczka, ale i tak stanowiło zagrożenie. Gdy Lucy zdała sobie z tego sprawę, zauważyła, że Cait zamierza coś zrobić. Wydawała się niczym migoczący płomień, który rozżarza się jasno tuż przed zgaśnięciem. Gdy tylko ta myśl rozbłysła w głowie dziewczyny, ta pojęła, że ma przed sobą rozwiązanie, że w istocie jest ono proste i oczywiste, że już dawno wprowadziłaby je w życie, gdyby nie otępiła jej panująca w sali atmosfera i ostre słowa nauczycielki. Pokręciła głową, jakby próbowała oczyścić ją z kleistego mętliku, lecz gdy otworzyła usta, żeby się odezwać, było już za późno: Cait wstała tak nagle, że jej krzesło przewróciło się do tyłu, uderzając z łoskotem o podłogę.

– Oto, co się teraz stanie... – zaczęła.

– Usiądź – warknęła Lucy, myśląc na pełnych obrotach i również się podnosząc.

Cait obróciła się do niej, jakby została spoliczkowana. Zaczerwieniła się.

– Lucy Harker...

– Siadaj!

Skrzyżowały wzrok. Lucy nie musiała się rozglądać, żeby czuć zwielnokrotnioną siłę wwiercających się w nią spojrzeń wszystkich obecnych w pomieszczeniu.

Cait usiadła. Lucy obróciła się do Strażniczki.

– Powiesz nam teraz, gdzie jest dziecko?

Pedel sięgnął po jej rękę i z szyderczym parsknięciem

próbował pociągnąć ją z powrotem na miejsce.

– Dziewczyno, nie zamierzamy pomóc *fiagai*, a już na pewno nie pomożemy jej uczennicy...

Lucy niemal pozwoliła mu posadzić się na krzesło przy wtórze chichotu pozostałych.

Nagle zaczęła się poruszać po swojemu, „szybko-leczwolno”, wykręcając się i wyrywając...

...nagle rozległy się okrzyki i szuranie krzeseł, gdy połowa obecnych wydawała się skakać w jej stronę, również „szybko-leczwolno”...

...nagle stanęli jak wryci.

Ponieważ wyrwała Pedlowi rewolwer z garści i teraz przyciskała mu lufę do boku głowy.

Na podłodze leżał mężczyzna z rozbitym nosem, Cait krzywiła się i dmuchała na kostki dłoni, a Lucy uświadomiła sobie z zaskoczeniem, że człowiek trzymający się za nos śmieje się. Był na tyle szybki, że powstrzymałby ją, gdyby Cait mu tego nie udaremniła.

W tym momencie sama Cait znieruchomiała, gdy coś kliknęło za jej uchem. Gdy zerknęła w bok, ujrzała niskiego mężczyznę o miłym spojrzeniu. Lufa jego rewolweru niknęła w jej zmierzwionych włosach.

Lucy z trudem przełknęła ślinę.

Pedel mierzył ją wzrokiem.

– Lepiej uważaj na spust, jeśli łaska. Jest czuły, a ja wolę mieć głowę przytwierdzoną do karku – oznajmił. – Jesteś szybsza, niż sądziłem.

– Niech wszyscy zachowają bezruch i mnie słuchają – powiedziała Lucy.

– A dlaczego mielibyśmy to zrobić?

– Ponieważ tak nakazuje Prawo i Obyczaj.

– A kim ty jesteś, żeby mówić o Prawie i Obyczaju?

Lucy uniosła nagą dłoń zaciśniętą w pięść. Pierścień na jej palcu pochwycił i odbił światło ognia.

– Jesteśmy Nadzorem – zaczęła Lucy, po czym wyrecytowała całą formułę, której nauczyła się u Kowala. Nie sądziła, by kiedykolwiek miała wypowiadać szczerze jej słowa, teraz jednak czuła, jakby ją unosiły, jakby stanowiły element czegoś ważniejszego niż ona sama. Przez krótką chwilę miała wrażenie, jakby Kowal stał u jej boku, zresztą nie tylko on: również Kucharka, Hodge i jej przyjaciel Charlie Pyefinch. Było to ulotne doznanie, ale dało jej siłę. – Jesteśmy Nadzorem. I zgodnie z tym, co sami powiedzieliście, jesteście zobowiązani nam pomóc.

– Czy mogę zerknąć? – spytał człowiek z zakrwawionym nosem. – Daję słowo, że nie będzie żadnych głupot czy numerów, po prostu chciałbym przyjrzeć się temu pierścieniowi.

Lucy spojrzała mu w twarz. Ogorzałe oblicze podróżnika przywodziło na myśl marynarzy, którzy otaczali ją podczas podróży przez Atlantyk, ale przy bliższym przyjrzeniu wydawało się znacznie młodsze, niż wskazywałyby na to przedwczesna siwizna. Wzrok mężczyzny był czysty i bezpośredni, ale to nie dlatego skinęła głową, pozwalając mu podejść. Chodziło raczej o jego postawę, która wydawała się uspokajająco znajoma.

Gdy znalazł się bliżej, spojrzał na pierścień na jej palcu. Następnie, ku jej zaskoczeniu, sięgnął pod płaszcz i wyciągnął składaną lupę. Rozłożył ją i zbadał przedmiot jeszcze dokładniej.

– Tak – powiedział, a Lucy wydawało się, że mówi wyłącznie do mężczyzny trzymającego broń przy głowie Cait. – W porządku, Jon.

Człowiek o miłych oczach skinął głową, zabezpieczył

rewolwer i się cofnął.

– Przepraszam – odezwał się do Cait. – Próbowałem jedynie uspokoić sytuację.

– Co znaczyło to „w porządku? – spytał Pedel, wciąż trzymany na muszce własnego rewolweru, co z każdą chwilą wyraźnie coraz mniej mu się podobało.

– Robota Kowala – wyjaśnił siwowłoso. Sprawiał wrażenie, jakby dopiero teraz zauważył, że krwawi mu nos. Schował szkło powiększające i wyjął dużą czerwoną chustkę, której użył do zatamowania krwi.

– To jakieś diabelstwo – rzuciła siostra Lonnegan.

– Jeśli Armbruster coś mówi, to tak jest – oznajmił mężczyzna nazwany Jonem. – A jeśli nie wie czegoś o metalach albo kowalstwie, to najwyraźniej nie warto tego wiedzieć.

– Zatem chyba wszyscy powinniśmy się uspokoić i usiąść – powiedziała Strażniczka, skłaniając się lekko w stronę Cait i Lucy. – Wydaje się bowiem, że sytuacja wygląda inaczej, niż sądziliśmy, i być może jesteśmy wam winni pomoc, a nie... uregulowanie.

Rozległy się pomruki niezadowolenia, lecz Strażniczka zmierzyła zgromadzonych stanowczym spojrzeniem i wszyscy wrócili na miejsca.

– Lucy... – rzekła Cait.

– Wiem – odparła dziewczyna. – Ale nic byś nie osiągnęła.

Odsunęła się na krok od Pedla i wymierzyła broń w podłogę. Mogła teraz poświęcić myśl okropnemu pragnieniu, które ogarnęło ją, gdy trzymała rewolwer przy głowie mężczyzny. Broń palna różniła się od białej. Ostrze nie namawiało trzymającego, żeby go użył, a rewolwer owszem. Zupełnie jakby miał tylko jeden cel, jakby krył

w sobie potencjał chemicznej eksplozji uwięzionej w naboju i czekającej na wyzwolenie. Noże nigdy nie sprawiały wrażenia, jakby chciały ugryźć. Były tylko metalem. To prawda, ostrym, jednak równie przydatnym do siekania lub ciosania. Może były neutralne właśnie dlatego, że dało się ich użyć do różnych rzeczy. Natomiast broń palna nie była neutralna. W dłoniach Lucy wydawała się pragnąć, by oddano z niej strzał. Ten potencjał ukryty w ładunku wybuchowym ją pociągał, pragnęła strzelić, podobnie jak pragnie się wykonać ten jeden dodatkowy krok, gdy stoi się na krawędzi urwiska. Tylko jeden krok. Tylko odrobinę większy nacisk na spust. Tylko kroczek. Tylko pociągnięcie. A wtedy całe równanie życia ulega zmianie...

– Weźmiesz to? – spytała, podając rewolwer Pedlowi.

Spojrzał na nią z zaskoczeniem.

– Teraz tak po prostu... oddajesz?

– Potrzebowałam go, tylko żeby przyciągnąć uwagę wszystkich – rzekła.

– Mimo wszystko. Przykładasz mężczyźnie broń do głowy, a później ot tak zwracasz? To niebezpieczna zabawa, młoda damo. Mężczyzna może żywić urazę...

– Nikogo z niej nie zabiłeś.

– Naprawdę? – spytał.

– Jestem Wejrzeńcem, pamiętasz? Wyczułabym. Zatem jeśli do tej pory zdołałeś się opierać pokusie, teraz raczej nie ulegnie to zmianie.

Ostrożnie wyłuskał rewolwer z jej palców. Poczowała ulgę zmieszaną z zaskakująco silnym wrażeniem żalu. Potęgą kryjąca się w broni była dla niej aż namacalna, jednak dopiero teraz, gdy już jej nie trzymała, uświadomiła sobie, jak niebezpiecznie postąpiła, wyrywając ją wcześniej

Pedlowi: gdyby użyto jej kiedyś, żeby pozbawić kogoś życia, dowiedziałaby się o tym dzięki umiejętności Wejrzenia, a wtedy przeszłość uderzyłaby ją, jak zawsze pozbawiając zmysłów i możliwości ruchu, zostawiając w pełni na łasce członków kręgu. Ona i Cait mogłyby znaleźć się wówczas w gorszej sytuacji niż obecnie.

Strażniczka obserwowała ją z drugiej strony pomieszczenia. Spojrzenie jej bladoszarych oczu zdawało się wwiercać w dziewczynę i odczytywać jej myśli.

– Broń palna i Wejrzenie nie idą w parze – oznajmiła kobieta, opierając się w krześle. – Gdy następnym razem zrobisz coś podobnego, lepiej miej na sobie rękawiczki.

Lucy wzdrygnęła się i usiadła ostrożnie na swoim miejscu, unikając wzroku Cait.

– Nie będzie następnego razu – rzekła. – Nie lubię broni palnej.

Nawet w jej uszach zabrzmiało to jak kłamstwo.

ROZDZIAŁ XV

Dom i nie dom

Spotkanie w Banialuce okazało się naznaczone kontrastującymi uczuciami. Kucharka i Hodge byli w równej mierze oszołomieni, uradowani i zaniepokojeni nagłym pojawieniem się Sharpa i Sary. Ucieszyli się ich obecnością, lecz martwili wyglądem, przybysze byli bowiem bladzi, wychudzeni i niemal przezroczyści ze zmęczenia. Kucharka, której nigdy nie brakowało języka w gębie, oniemiała ze szczęścia i zrekompensowała milczenie, przytulając oboje bez opamiętania. Następnie zniknęła w składziku, skąd dało się słyszeć donośny odgłos wydmuchiwania nosa w chusteczkę. Hodge również uściskał każde z nich, a Jed kręcił im się między nogami, merdając ogonem i szczekając wesoło.

– Potrzebujecie odpoczynku i leków – powiedział Hodge do Sharpa, trzymając go na odległość ręki, jakby mógł go zobaczyć mimo ślepoty.

Sharp sięgnął dłońmi do zaleczonych ran na twarzy przyjaciela, po czym znieruchomiał.

– Twoje oczy.

– Na szczęście stary Jed nie ma nic przeciwko temu, żebym korzystał z jego wzroku – odparł Hodge. – Poza tym coś mgliście dostrzegam przez jedno, zupełnie jakbym patrzył przez kawałek brudnego lodu. Niestety, drugie jest do niczego.

– Przykro mi. Powinienem być wtedy przy was.

Sharp nie zwykł okazywać uczuć i lekka chrypka w jego

głosie świadczyła o tym, że jego zwyczajowa żywotność znacznie ucierpiała w wyniku ostatnich przeżyć.

– I tak potraktowaliśmy ich odpowiednio – odparł szorstko Hodge. – A Kucharka mogła się znowu pobawić w piratkę, więc na coś się to chyba jednak zdało, prawda?



Kucharka zdołała uratować bardzo niewiele rzeczy ze szczątków swojego dawnego królestwa i teraz zorganizowała sobie nowe stanowisko w warsztacie Kowala – malutka kuchenka, która zwykle mu wystarczała, została uznana za nie większą niż wygódka, w której nie dałoby się zamachnąć kotem i która nie zdołałaby nawet pomieścić stołu dla pięciorga członków Ostatniej Ręki. W związku z tym i tak już naruszony twórczy nieporządek warsztatu został poddany jeszcze dalej idącym zmianom, a dotychczasową kuchnię zredukowano do składziku (w którym Kucharka wycierała właśnie łyż chustką rozmiarów obrusu w czerwone i białe ciapki).

Widok wielkiego miedzianego kociołka z Kryjówki stojącego na rozgrzanych do czerwoności węglach paleniska, z nowymi wyszczerbieniami i zagłębieniami, lecz naprawionego i wypolerowanego, bulgoczącego niczym mały hipopotam, wystarczył, żeby do oczu Sary napłynęły powstrzymywane dotąd łyż. Oto wzruszający paradoks ponownego spotkania – Kryjówka została zniszczona, lecz tu był dom, tu było ognisko domowe, tu było ciepło, bezpieczeństwo i towarzystwo przyjaciół, bliskich niczym krewni. Z drugiej strony widok tego miejsca przygnębiał, ponieważ umieszczenie dobrze znanych przedmiotów w tak dziwnym otoczeniu jedynie

podkreślało gwałtowność zmian, którym podlegał świat Nadzoru, i wszystko to wydawało się jeszcze bardziej nieodwracalne. Radość płynącą z powrotu ograniczała dziwny ból wywołany widokiem uratowanych przedmiotów w nieznanym środowisku.

Kucharka wróciła z zaczerwienionymi oczyma i uśmiechem na twarzy, dzierżąc kosz jajek i kawał szynki w złotej panierce. Rzuciła mięso na stół i natychmiast zaczęła odkrawać grube blad różowe plastry.

– Teraz siadźcie przy ogniu, trzeba was trochę podkarmić – powiedziała. – Portki, zaparz herbatę.

Parzenie herbaty było jedną z tych rzeczy, które Kucharka ceniła ponad inne obowiązki, stała bowiem twardo na stanowisku, że nikt nie potrafi tego zrobić równie dobrze jak ona, może z wyjątkiem Hodge'a. Jeśli tak zaszczytne zadanie powierzyła dziewczynie z Austrii, musiała ją darzyć niemałym szacunkiem.

– Dobrze – rzekła Sara, pozwalając Sharpowi posadzić się na krześle najbliżej paleniska. – A teraz opowiedzcie nam wszystko od początku.

– Najpierw jedzenie i picie – odparła Kucharka. – Bo nie są to wieści, które powinno się przyjmować na pusty żołądek, a oboje wyglądacie na tak okropnie wychudzonych i białych, jakby zrobiono was z papieru.

– Nie. Wszystko teraz – upierała się Sara. – Zanim...

– Zanim co? – spytał Hodge. – Zanim będzie za późno? – Splunął w ogień. – Już jest za późno. – Machnął ręką w stronę paleniska. – Właśnie tak wygląda „za późno”, Saro. To nie znaczy, że z nami koniec, jedynie, że jest kiepsko. I jeśli mamy znów stanąć na nogi, Kucharka ma rację. Musicie zjeść, napić się i odpocząć. Solidnie odpocząć. Oboje sprawiacie wrażenie, jakby ktoś wyssał z was życie.

– To tylko zwierciadła – odparła Sara, myśląc o bladych, odbarwionych lustrzakach. – Wysysają kolory.

– Oraz żywotność – dodał Sharp, kiwając głową w stronę Kucharki. – Jedzenie i rozmowa jednocześnie, jeśli można...

– Tak długo was nie było, że myślałam... myśleliśmy, że straciliśmy was oboje. – Kucharka pociągnęła nosem, obracając się do ognia i przysuwając patelnię bliżej płomieni.

– W lustrach czas biegnie inaczej – rzekł Sharp. – Jest elastyczny, ale nie stały. Dzień może wydawać się niczym minuta, a później nagle minuta trwa jak tydzień.

– Nie zgodziłbym się tam wejść – uznał Hodge.

– Gdzie jest Emmet? – zapytał Sharp, rozglądając się po kuźni.

– Kowal kazał mu pilnować Pożogi – odparł Hodge.

– A gdzie jest Pożoga? – chciała wiedzieć Sara.

Kucharka chrząknęła i poruszyła węglami pod patelnią, sprawiając, że plastry szynki zaskwierczały i w pomieszczeniu rozniósł się wspaniały zapach.

– Kowal zamknął ją w ołowianej skrzyni i znów zatopił w rzece – powiedziała. – W tych okolicznościach wydawało się to najbezpieczniejszym wyjściem.

– Bezpieczna pod płynącą wodą – oznajmił Hodge. – Nic jej się nie stanie, dopóki Tamiza nie wyschnie, a to się nie wydarzy przy tak wilgotnej pogodzie.

– A Emmet? – znów dopytywał Sharp. Spośród wszystkich członków Nadzoru to chyba on był najbardziej przywiązany do golema. Podczas gdy pozostali postrzegali ogromnego glinianego mężczyznę jako swoistą maszynę, Sharp zawsze czuł się w jego obecności spokojniejszy i lubił długie okresy milczącego towarzysztwa, które ze sobą dzielili. Miał świadomość, że pociągają go gwałtowne

działania, których nie brakowało w jego niespokojnym życiu. Dzięki swemu stoickiemu bezruchowi Emmet pozwalał mu natomiast sięgać do bardziej wyciszonej części osobowości, odnajdywać równowagę i wytchnienie. Co więcej, Sharp twierdził, że jeśli poruszać się tak powoli jak golem, da się w nim dostrzec przesłanki świadczące, że pustą skorupą kieruje nie ślepe posłuszeństwo, lecz świadoma myśl. Nikt inny nie miał czasu ani chęci, żeby to sprawdzać, lecz Sharp stanowczo trzymał się tego przekonania.

– Jest przy niej – odrzekł Hodge, pochylony nad terierem, który pozwalał mu przesuwać dłońmi po nierównej sierści i szukać kleszczy, złapanych, gdy buszował w wysokiej trawie wokół Banialuki.

– Przy niej?

– Pod wodą, siedzi na niej. Nie patrz tak na mnie – powiedziała Kucharka. – Emmet nie potrzebuje powietrza.

– Od jak dawna?

– Od kilku miesięcy – odparł Hodge.

Sharp gniewnie pokręcił głową.

– On nie jest maszyną.

Hodge wzruszył ramionami i z jeszcze większym skupieniem wrócił do szukania kleszczy. Choć był ślepy, wyraźnie nie miał ochoty znosić teraz spojrzenia Sharpa.

– Kowal twierdzi, że jest, choć niezłą, jak na prowizorkę – stwierdził teriernik.

– Kowal się myli – uznał Sharp.

– No to powiedz mu to, gdy go zobaczysz.

– Powiem. Musi istnieć inny sposób. To nieludzkie, że wszyscy...

Kucharka odwróciła się od ognia z twarzą poczerwieniałą nie tylko od gorąca.

– Nie było cię tu. Sary też nie. Gdy Lucy Harker odjechała z tamtą Irlandką, żeby szukać przygód w Ameryce, straciliśmy Rękę, a raczej stracilibyśmy, gdyby Portki nie pojawiła się w samą porę. Bez tej odrobiny szczęścia wszystko poszłoby na marne...

– Ja tylko mówię... – zaczął Sharp.

– Siadaj już i przestać mówić, a zacznij jeść! – zagrzmiała.

– Jesteśmy niemal skończeni, Jacku Sharp!

Z hukiem postawiła przed nim talerz z jajkami i szynką, delikatniej popchnęła po blacie drugi w kierunku Sary, po czym znów oparła się o kowadło przy palenisku i wzięła głęboki, uspokajający oddech. Nie podziałało.

– Oboje musicie sobie coś uświadomić i lepiej zróbcie to jak najszybciej: wisimy na samych paznokciach na skraju otchłani, a resztki podpory się kruszą. Owszem, nie podoba mi się, że to biedne stworzenie siedzi w ciemności i samotności w tej cholernej rzece, ale jeśli Kowal powiedział, że to najbezpieczniejsze rozwiązanie, to trzeba tak zrobić. Musimy działać w taki sposób, żeby było jeszcze bezpieczniej. – Wzięła drugi głęboki oddech i znowu wydmuchała nos. – A was tu nie było.

– A nas tu nie było – rzekła Sara, wysuwając zmęczoną rękę i pociągając Sharpa z powrotem na krzesło. – Nie było nas, ale już jesteśmy. Zatem chcę wiedzieć o wszystkim innym, co się wydarzyło, bo najwyraźniej nasza nieobecność trwała dłużej, niż sądziliśmy. Później my wam opowiemy, o czym się dowiedzieliśmy.

– A o czym się dowiedzieliście? – spytał Hodge.

– O Katastrofie – odparł Sharp.

– Nasze wieści również nie okażą się miłe – dodała Sara.

– Ale odkryliśmy, co się wydarzyło i kto był za to odpowiedzialny. Powiemy wam to, zjemy, później musimy

się przespać, a gdy się obudzimy, zakaszemy rękawy i zaczniemy naprawiać sytuację.

Spojrzała na swój kubek z herbatą.

– Nie mamy tu cienkiej porcelany, Saro – oznajmiła Kucharka. – Wszystko roztrzaskało się na kawałeczki pod starym domem. Musimy się zadowolić zastawą Kowala, a napój można pić równie dobrze z cynowego kubka.

– Nie chodzi o kubek, tylko o herbatę – odrzekła Sara.

– Jest taka jak zawsze.

– Ty też jesteś taka jak zawsze. Coś tu dodałaś?

– Co masz na myśli? – spytała Kucharka, udatnie przywołując na twarz wyraz niewinności i wyrzutu.

– Chodzi mi o to, czy twoja skrzynka z lekami przetrwała pożar? – dopytywała Sara.

– Tak. Ale przysięgam na swój honor, że niczym nie doprawiłam herbaty.

– Pytam, bo byłoby bardzo w twoim stylu, gdybyś po ujrzeniu nas w tak opłakanym stanie uznała, że przyda nam się odrobina pomocy w odpoczynku – drążyła Sara. – Zdarzały się już takie przypadki...

– To byłoby bardzo w moim stylu – przyznała Kucharka, a następnie wyciągnęła rękę, wzięła herbatę od dziewczyny i jednym potężnym haustem wlała sobie do ust połowę kubka, po czym odkroiła kawałek szynki i zjadła go, rzucając Sarze spojrzenie mówiące: „No i widzisz?”. – Ale nie byłoby w moim stylu zażyć własne lekarstwo i położyć nas troje do snu w tym samym momencie, prawda? Tym bardziej że nasze szeregi są przetrzebione. Pamiętaj, jeśli nie będziesz mogła spać, po prostu mi powiedz, a dam ci coś odpowiedniego.

Sara przyglądała jej się przez chwilę, po czym skinęła głową i wypięła resztę.

– Jest dobra – powiedziała. – Gorąca i gorzka, taka, jaka powinna być.

Spojrzała na talerz przed sobą i wciągnęła powietrze.

– To też pachnie dobrze.

Odkroiła sobie kęs szynki i zjadła.

– Mój dziadek przewróciłby się w grobie, gdyby to zobaczył.

– Twój dziadek nie miał pojęcia, co traci. A poza tym słynął z braku konsekwencji w kwestii przesądów i przeświadczeń religijnych, których się trzymał – rzekła Kucharka. – Przecież nie pożałowałyby ci porządnego śniadania w takich okolicznościach. A teraz powiedzcie nam wszystko, co powinniśmy wiedzieć.

Sharp i Sara po kolei złożyli sprawozdanie ze swoich przygód w lustrach, oboje tak pochłonięci opowieścią i pożeraniem śniadania, że nie zauważyli, jak Kucharka dosypuje do swojej herbaty jakiegoś proszku, a następnie wypija ją, krzywiąc się przelotnie.

Gdy historia dotarła do punktu, kiedy Sara za pomocą Wejrzenia dowiedziała się o zbiorowym utonięciu członków Nadzoru uwięzionych w pułapce zastawionej przez Obywatela, Kucharka ujęła jej dłoń.

– Jesteś pewna, Saro? – spytała. – Wszyscy?

– Policzyłem ich kości – powiedział Sharp. – I wziąłem ich pierścienie.

Wyciągnął wykonane z chusteczki zawiniątko, które przywiózł tu aż z tamtej piekielnej jamy pod Paryżem, i je rozsypał. Na porysowany blat wysypały się złote pierścienie z ponacinanymi krwawnikami.

Jed stanął na tylnych łapach, żeby Hodge mógł zobaczyć stosik. Teriernik milczał, podobnie jak Kucharka.

– Osiemdziesiąt pięć – oznajmił Sharp. – Tyłu weszło

w lustra. Policzcie sami, jeśli mi nie wierzycie. Uwięzieni i utopieni.

– Widziałam, jak umierała moja matka – rzekła Sara. – Widziałam, jak umierała, starając się dopilnować, żeby nikt z nas nigdy nie został zwabiony w tę pułapkę. Wejrzałam i dostrzegłam, jak Obywatel zawiera jakiś rytualny pakt z zewnętrznym mrokiem. W tym celu złożył w ofierze Sluagh. Wiemy, że ci, których dosięgnął ten mrok po tamtej stronie, nie umierają po tej, a przynajmniej nie tak jak inni. Najpierw więc przywrócimy porządek, potem odnajdziemy wroga, który moim zdaniem wciąż żyje i działa przeciwko nam za kulisami, a później wreszcie go zniszczymy.

– Jak to zrobimy? – zapytał Hodge.

– Najpierw prześpiemy się z tym problemem. Później ruszymy na nieprzyjaciół i porazimy ich. – Sara ziewnęła.

– Znajdziemy ich i zabijemy – dodał Sharp.

– Zmienimy się w katów? – dociekał Hodge.

– Zgodnie z Prawem i Obyczajem powinno się ich postawić przed sądem Kowala – zauważyła Kucharka – bez Kowala zaś...

– Prawo i Obyczaj można będzie egzekwować, tylko jeśli dalej będziemy istnieć – powiedziała Sara, wyraźnie walcząc z sennością. – Przede wszystkim musimy przetrwać. Widziałam oblicze mroku, a ono widziało mnie. Możemy się uchylić i przegrać albo walczyć i na nowo rozkwitnąć, obawiam się bowiem, że nadchodzą dla nas krwawe czasy.

Hodge pokręcił głową.

– Jeśli zagrożenie jest tak poważne, to musimy się rozproszyć, zebrać nowych członków i odbudować siły.

– Jeśli zagrożenie jest tak poważne, to nie możemy się rozproszyć – odparła Sara. – Nie możemy opuścić naszych

stanowisk. Musimy stanąć do walki.

– Zgadza się – oznajmił Sharp.

– Ostatnia walka to wspaniała rzecz, dopóki nie dobiega końca – uznała Kucharka. – Wtedy staje się po prostu zwyczajną porażką.

Sharp otworzył usta, żeby się sprzeciwić, ale w tym momencie dopadła go potrzeba ziewnięcia.

– Nikt nie potrzebuje martwych bohaterów – powiedziała Kucharka, po czym wskazała Idę i Charliego. – Wy dwoje lepiej też to zrozumcie, ponieważ jesteście młodzi i zbyt lekkomyślni.

Obróciła się z powrotem do Sharpa i Sary, którzy wyraźnie starali się walczyć ze snem.

– Martwi bohaterowie nie mogą dalej wykonywać pracy, która nigdy się nie kończy. Zatem prawdziwym bohaterem jest ten, kto zdoła wytrwać, kto nie ustępuje nawet wtedy, gdy jego strona przegrywa. Bohaterstwo to nie wielkie gesty, tylko bezkompromisowość, bezinteresowne poświęcenie i nieustępliwość. Bohaterstwo to wykonywanie nudnych, lecz niezbędnych zadań. Czasami oznacza konieczność poddania starcia, żeby dało się walczyć innym razem, kiedy pojawi się możliwość wygranej. Jeśli chcecie innych bohaterów, nadętych i lśniących, idźcie na musical albo paradę.

– Kucharka ma słuszość – skomentował Hodge. – Ponieważ Kowal pojechał na północ, nie mieliśmy nawet pełnej ręki.

– Gdyby Lucy Harker została... – zaczęła Sara, wzdrygając się po kolejnym ziewnięciu.

– Lucy Harker nigdy nie zamierzała zostawać – rzekł Hodge.

– Nie wiesz tego.

– Wiem, że przeznaczenie prowadzi ją gdzie indziej – stwierdziła Kucharka. – Nie rozdziela jej od nas, ale oddala.

– Skąd możesz mieć pewność? – spytała Sara.

– Bo tak powiedziała – odparła Kucharka. – Sami kierujemy swoim przeznaczeniem, Saro, na tym polega wolność. O to właśnie walczymy.

Głowa panny Falk kiwała się, jakby dziewczyna była pijana, lecz desperacko starała się zachować przytomność.

– Walczymy o wolność dla innych – powiedziała. – Jesteśmy inni. Przysięgaliśmy i ta przysięga nas łączy. Dotrzymamy danego słowa.

W tym momencie Sharp ją złapał, osunęła się bowiem na stół. Ułożył ją na blacie, gdzie natychmiast głęboko zasnęła.

– Z przysięgami jest tak, droga Saro, że należy wiedzieć, kiedy je łamać – stwierdziła Kucharka.

– Rzeczywiście doprawiłaś jej herbatę – domyślił się Sharp. – Skłamałaś.

– Nie herbatę. Szynkę – odparła Kucharka. – I nie tyle skłamałam, ile blefowałam.

– Tak naprawdę to było kłamstwo, nie blef – skomentował Charlie.

– Blef to kłamstwo. Rozsądek każe stwierdzić, że w drugą stronę jest podobnie – odrzekła Kucharka. – I nie odszczekuj się. Zresztą przy jej stanie blef jest lepszy niż krwawa walka. Za nic dobrowolnie nie wzięłaby lekarstwa i nie położyła się spać. Nie wie, kiedy powinna zwolnić, tylko biegnie i biegnie, aż wpada na ścianę. Później zaś potrzebuje dziesięć razy więcej czasu, żeby dojść do siebie, niż wtedy, gdyby zachowała rozsądne tempo i odpoczywała jak normalna osoba.

– Sara Falk miałaby się zachowywać jak normalna osoba? – spytał Hodge, prychnając. – Życzę powodzenia.

– A moja szynka? – zapytał Sharp, znów próbując powstrzymać ziewnięcie.

– Twoja herbata – sprostowała Kucharka. – Połowa tego, co dałam jej. Zawsze szybciej dochodziłeś do siebie.

Spojrzał na nią, po czym skinął głową.

– Masz rację. Walczyłaby z tobą jak puma, a jest wyczerpana. Podobnie jak ja.

Obrócił się do Charliego i Idy.

– Proszę, zanieście ją do sypialni na górę. Obawiam się, że ja mógłbym ją upuścić.

– Pokój na końcu korytarza – wyjaśniła Kucharka.

– Ja mogę spać w stajni – oznajmił Sharp.

– Będiesz spał w łóżku Kowala i zrobisz to, co ci się każe – stwierdziła Kucharka. – Ido, weź go pod rękę i dopilnuj, żeby nie potknął się na schodach. Charlie sam poradzi sobie z Sarą.

Obserwowała, jak wychodzą z kuchni, po czym zaczęła sprzątać naczynia ze stołu.

– Nazwała go Jack – rzekł Hodge, unosząc w jej stronę brew. Ostatnim razem tak go określała, gdy byli dzieciakami.

Kucharka mruknęła coś niezobowiązująco i odwróciła się do paleniska.

– Tak tylko mówię – dodał. – To chyba najgorsza chwila na takie coś.

– Zawsze jest najgorsza chwila na takie coś – uznała Kucharka. – Mówi ci to ktoś, kto ma za sobą chwalebne czasy, które oby dopiero czekały Portki i Charliego. Kruchość stanowi nieodłączny element radości, to jej smutne oblicze.

ROZDZIAŁ XVI

Armbruster i Magill

Gdy potwierdzono już autentyczność pierścienia Lucy, krąg podzielił się na mniejsze grupki, zapewne po to, żeby omówić nieoczekiwany zwrot wydarzeń i jego możliwe konsekwencje. Lucy i Cait poproszono, żeby usiadły i czekały.

Irlandka wpatrywała się w ogień, a jej milczenie wydawało się złowróżbne.

Strażniczka opuściła pomieszczenie wraz z kilkoma osobami, w tym panią Tittensor i dwoma podróżnikami w skórzanych płaszczach, którzy zaświadczyli o prawdziwości symbolu: Armbrusterem oraz tym o imieniu Jon, który zanim powiadomił, że wychodzi, z uśmiechem przedstawił się jako Magill.

Pedel przeszedł do stolika w przeciwległym rogu pomieszczenia, zastawionego dzbanami i szkłem, by po chwili wrócić z trzema naczyniami.

– Po tym wszystkim z pewnością jesteście zmęczone i spragnione – powiedział. – Napijcie się. To was orzeźwi.

Lucy patrzyła, jak pije ze swojej szklanki. Skrzyżowali spojrzenia. Przerwał i podał jej swoje naczynie.

– Proszę, możemy się zamienić, jeśli uważasz, że to podstęp. Daję jednak słowo, że takie rzeczy to już przeszłość. Przyniosłem po prostu napój.

Lucy była spragniona, ale natura kazała jej przyjąć szklankę mężczyzny i zamienić ją ze swoją.

Napój okazał się słodki i ostry, wyraźnie pobudzający.

Nie potrafiła się zdecydować, czy był dziwnie pyszny, czy też lekko niesmaczny.

– To switchel – wyjaśnił Pedel. – Nie macie go w starym świecie?

– Co w nim jest? – spytała.

– Woda z octem, dosłodzona dużą ilością melasy – odrzekł. – Do tego porządna porcja imbiru, żeby dawało kopa. Orzeźwia, prawda?

Dziewczyna dokończyła zawartość szklanki i skinęła głową.

– Dziękuję – powiedziała.

Cait wciąż trzymała naczynie, jakby zapomniała, że ma je w dłoniach. Przemykała wzrokiem po pomieszczeniu, zupełnie pomijając tę jego część, w której znajdowała się Lucy.

Dziewczyna chciała właśnie spróbować namówić swą nauczycielkę, żeby skosztowała napoju, gdy otworzyły się drzwi i do pomieszczenia weszła Strażniczka wraz z resztą. Krąg zebrał się na nowo. Starsza dama wygładziła sukienkę, a następnie zwróciła się do Lucy i Cait:

– Proszę, usiądźcie wygodnie, mamy bowiem sporo do omówienia – oznajmiła. – Doszliśmy do porozumienia i uznaliśmy, że masz prawo tu działać, a zwyczaj każe nam udzielić ci pomocy.

– Dobrze... – zaczęła Cait.

– Nie ty – sprzeciwiła się pani Lonnegan, po czym wskazała palcem Lucy. – Ona.

Cait znów otworzyła usta, po czym je zamknęła.

– Siostra Lonnegan ma rację. Będziesz musiała zostać i poddać się uregulowaniu zgodnie z naszymi zwyczajami – wyjaśniła Strażniczka. – Chyba że oficjalna przedstawicielka Nadzoru, jako osoba przez nas uznawana,

przyjmie odpowiedzialność za twoje czyny. Wówczas ty złożysz przysięgę, że poddajesz się jej władzy.

Magill powiedział coś tak cicho, że usłyszał to tylko Armbruster, który uśmiechnął się w odpowiedzi.

– Pan Magill uważa, że zbyt często przejmujemy się zasadami i uprawnieniami – stwierdziła Strażniczka. – Czy to prawda, panie Armbruster?

– Owszem, proszę pani – odparł mężczyzna. – Mniej więcej o to chodziło.

– Nie chciałem nikogo urazić – rzekł Magill. – To tylko kwestia gustu, choć widzę, że serca macie na właściwych miejscach i zapewne chcecie dobrze.

– Po prostu u siebie działamy w nieco bardziej surowy i bezpośredni sposób – klarował Armbruster. – Raczej nie przywykliśmy do takiego siedzenia, gadania i owijania w bawełnę.

– Do dachów też nie przywykliśmy – dodał Magill. – Więcej czasu spędzamy pod gołym niebem niż w czterech ścianach, jak pani wie. Mam nadzieję, że wybaczy nam pani nasze nieokrzesane zachowanie.

Strażniczka przeniosła wzrok na Lucy.

– Czy masz coś przeciwko ich nieokrzesanemu zachowaniu? – zapytała.

– Ja? Nie. Oni chociaż... Nie znam na tyle dobrze tych dżentelmenów, żeby mieć pewność – odparła Lucy. – A skąd to pytanie?

– Ponieważ zobowiązaliśmy się do zabrania was na zachód, jeśli zechcesz – odrzekł Magill. – Oczywiście przy założeniu, że dalej chcecie odszukać dziecko, dla którego przebyłyście tu taki szmat drogi.

– Będzie też pani musiała kontrolować swoją przyjaciółkę, rzecz jasna – uzupełnił Armbruster, wciąż

stukając się w nos. – Potrafi przywalić, jakby muł kopnął, a raczej polubiłem dotychczasową postać mojego kinola.

– Pozwólcie, że wyjaśnię – powiedziała Strażniczka. – Wy dwie nie jesteście dziś naszymi jedynymi gośćmi. Brat Armbruster i brat Magill przyjechali tu z samego skraju Wielkich Równin, żeby powiadomić nas o kwestiach, które dotyczą nas wszystkich. Nie należą do naszego zgromadzenia, są natomiast członkami Sukcesorów Zachodu, których siedziba mieści się obecnie w dumnym nadrzecznym mieście Saint Louis.

– Macie więcej niż jedną grupę? – spytała Lucy. Zauważyła, że Cait zachowuje nietypowe dla siebie milczenie.

– Jeśli mogę to powiedzieć bez pychy, nasz mały krąg stanowi jednocześnie zgromadzenie założycielskie dużego kręgu i jego część.

– Wróćmy do rybaka Gravesa i jego żony. Udali się na zachód? – odezwała się w końcu Cait.

– Daleko na zachód, i wciąż idą – wyjaśniła Strażniczka. – Naprawdę nie wiem, dokąd zmierzają, cel ich wędrówki leży bowiem poza naniesionym na mapy terytorium w obrębie Stanów Zjednoczonych, po drugiej stronie Wielkich Równin, za Górami Skalistymi i daleko za wododziałem kontynentalnym.

– W jakim celu rybak miałby tak bardzo oddalać się od wody? – dociekała Cait. – Ta opowieść wydaje mi się nie mieć większego sensu.

– Jest w niej nie tylko sens, ale i mnóstwo smutku – rzekła Strażniczka. – Nie przebywacie tu wystarczająco długo, żeby zasmakować tutejszej atmosfery, ale przed rokiem wraz z wichurą przybył również właśnie smutek. Łowiliśmy tu dorsze od ponad dwustu lat. Podczas drogi

wzdłuż wybrzeża niewątpliwie czułyście suszące się ryby. Zatem rybacy byli tu...

– Do diabła z dorszami, powiedz o dziecku – przerwała jej Cait. – Dlaczego zabrali je stąd i poszli w głąb lądu?

– Do tego zmierzam – oznajmiła Strażniczka. – Najkrótsza droga nie zawsze jest najlepsza. Zatem poławialiśmy tu dorsze, nikt zaś więcej niż rodzina Gravesów. Od pokoleń zarzucali sieci w pobliżu Nowej Fundlandii. Zнали morze, mieli sól we krwi. Przedostatniego września powiał tam wiatr, jakiego nikt wcześniej nie widział i zapewne już nie zobaczy. Jednego dnia poszło pod zieloną wodę jedenaście łodzi, sześćdziesięciu sześciu mężczyzn oraz chłopców leży teraz w głębinach. Samuel Graves widział, jak jego ojciec, ojciec jego żony, trzech jego bracia i dwaj bracia żony zostają pożarci przez fale w mniej więcej tyle sekund, ile zajęło mi opowiedzenie tej historii. Szczęście go ocaliło i przywiodło do domu, wyrzucając na brzeg jako pustą skorupę. Jego żona była brzemienna, lecz gdy dowiedziała się, że cała jej rodzina zginęła, matka zmarła bowiem młodo, załamała się, dwa dni później spadła ze schodów i, jak już wam mówiłam, straciła dziecko.

– Właśnie wtedy przyszła do was ta cała Tittensor ze swoją smutną opowieścią o skradzionym niemowlęciu, którego nie potrzebuje, bo nosi już własne – powiedziała Cait.

– Nie tak było – rzekła Prudence Tittensor, kładąc w obronnym geście dłoń na pokaźnej wypukłości brzucha. – Nie jestem złą osobą.

– Sam i Hetty Gravesowie zostali złamani przez morze – ciągnęła Strażniczka. – Usłyszeli o szlaku prowadzącym na zachód i zdecydowali się na nowy początek. Sprzedali dom i rzeczy ojców, po czym udali się do Saint Louis,

zamierzając żyć z ziemi, jak najdalej od żarłocznego Atlantyku.

– Czyli nie uciekali, żeby ukryć skradzione dziecko? – zapytała Cait z niedowierzaniem i odrazą. – Cóż za zbieg okoliczności!

– Taka jest prawda – zripostowała Strażniczka. – Dowiedzieli się o nowej drodze, szlaku oregońskim, i postanowili wszystko zaryzykować, żeby udać się do Doliny Willamette.

– Nigdy ich nie znajdziecie – powiedziała Prudence, po czym uniosła dłoń, nie dając Cait dojść do głosu. – Nie mówię tego z satysfakcją, po prostu tak jest. Na zachód prze ludzka fala, a oni wmieszali się w tłum.

– Zgadza się, proszę pani – dodał Armbruster. – To wielka ziemia. Można tam szukać kogoś przez całe życie i nigdy nań nie trafić.

Cait rozejrzała się po sali. Wydawała się całkowicie przytłoczona tymi wieściami.

– Lucy – rzekła – dziękuję ci za pomoc, ale sądzę, że musimy się teraz rozstać. Możesz udać się, dokąd chcesz, ale ja nie mam wyboru.

Młodsza z dziewczyn wiedziała, co chce przekazać jej nauczycielka: że zamierza udać się na zachód. W jej spojrzeniu płonęła nieustępliwość. Lucy dostrzegła też, że coś pomiędzy nimi pękło. Stało się to w tej samej chwili, kiedy sprzeciwiła się Cait i kazała jej usiąść. Wtedy gdy pokazała pierścień.

– Mówiłam już dwukrotnie, że nie możemy ci pozwolić na samodzielne działanie – rzekła Strażniczka. – Dziewczyna będąca Wejrzeńcem poprosiła o pomoc należną jej z racji pierścienia. Nadzorowi możemy udzielić wsparcia. Ale *fiagai*? To niemożliwe, skoro już wiemy

o twojej obecności.

– Szczerze mówiąc, gdyby zastanowiła się pani nad tym na spokojnie, nie chciałyby pani jechać na zachód – powiedział Armbruster. – Jeśli jest pani zdecydowana, oczywiście panią zabierzemy, ale to nie jest miejsce dla samotnych kobiet.

– Otrzymywaliśmy listy od tych, którzy wyruszyli na szlak w zeszłym roku – dodała Strażniczka. – Piszą, że podróż jest ciężka i znojna.

– Nie wyruszy sama – oznajmiła Lucy. – Ja też jadę.

Wiedziała, że później tego pożałuje, teraz jednak próbowała jedynie utrzymać się w grze, której zasady i ograniczenia знаła tylko pobieżnie. Chodziło też o coś innego, mającego związek z zaginionym dzieckiem. Coś, na przemyślenie czego miała mnóstwo czasu w drodze przez ocean.

– Tylko ci się tak wydaje – stwierdziła Cait. – Rozstaniemy się w przyjaźni, ale koniec z nami. Nie potrzebuję uczennicy, która nie potrafi zrobić tego, co mówię. Tak ustaliłyśmy na początku.

– Czyli twoje zasady są w porządku, ale te ich należy naginać? – spytała Lucy. – Zamierzają trzymać cię tu przez rok, żeby poddać cię temu swojemu uregulowaniu, czymkolwiek jest. Jak myślisz, jaką szansę będziesz miała później na odnalezienie swojej igły w stogu siana?

– W tysiącu stogów – sprostował mężczyzna nazwiskiem Magill. – Czas jest większym problemem, niż się wam wydaje. Do Saint Louis są trzy tygodnie drogi, a to dopiero punkt początkowy szlaku. Jeśli tamci udali się do Doliny Willamette, jak planowali, dotarcie tam może wam zająć sześć miesięcy albo całą wieczność, po drodze można bowiem zginąć na naprawdę wiele sposobów. Nie możecie

też mieć pewności, że nie zmienili zamiarów i nie skierowali się na południe, do Kalifornii. Mogli nawet skręcić do Salt Lake i zostać mormonami!

– Rzeczywiście, ludzie na szlaku zmieniają plany – poparł go Armbruster. – To długa, mozolna wędrówka po rozległym terenie, wyczerpująca dla duszy, jeśli coś idzie niezgodnie z zamierzeniami, a zawsze idzie.

– Pojadę – oznajmiła Cait. – Zobowiązałam się. Lucy Harker, ty zostajesz.

– Nie – odparła Lucy.

– Posłuchaj – rzekła Cait. – Wiem, że chcesz jechać, obie wiemy dlaczego. To nie miejsce, by o tym rozmawiać, ale chyba już to omówiliśmy, więc daj spokój, co?

Podkreśliła swoje słowa bardzo bezpośrednim spojrzeniem. Lucy nagle nabrała ochoty, żeby ją uderzyć. Cait pokręciła głową.

– Nie, dziewczyno. Niepotrzebna mi uczennica, która mnie nie słucha. Zresztą jesteś wolna i nie masz powodu...

– Mam wszelkie powody – przerwała jej Lucy, zaskoczona nie tylko swoją żarliwością, ale i przekonaniem, że naprawdę tak myśli. – Czy wiesz, jak to jest zostać skradzionym jako dziecko? Czy wiesz, jak to jest mieć w pamięci wielkie dziury, z powodu których nie pamięta się nawet rodziców? Czy wiesz, jak to jest nigdzie nie umieć się odnaleźć i nigdy nie wiedzieć, dlaczego tak się stało, oprócz podejrzeń, że być może ktoś zabrał cię skądś, gdzie powinnaś się znajdować?

– Nie – odparła Cait. – Ale...

– Żadnych ale. Ja to wiem. Poza tym chyba powinniśmy przestać się kłócić i zamiast tego znaleźć to dziecko, żeby nie musiało się tego dowiedzieć, prawda?

Cait wpatrywała się w nią, a Lucy zauważyła w jej

wzroku coś, czego nigdy dotąd tam nie widziała: zaskoczenie.

– No dobrze – rzekła po chwili Irlandka. – Masz rację.

– Ale jak ich poznacie? – spytała Strażniczka. – Nie wiecie, jak wyglądają...

Cait skinęła głową w stronę Prudence Tittensor.

– Ona ich zna. Powie mi.

Żona kapitana zerwała się na nogi, podtrzymując jedną dłońią brzuch, drugą zaś opierając się o poręcz krzesła.

– Jesteś obłąkana!

Irlandka przytaknęła.

– Owszem, ale to chyba nikogo nie dziwi.

Armbruster spokojnym gestem nakazał pani Tittensor usiąść. Skrzywiła się, zajmując miejsce i dotykając ciężowej wypukłości.

– Ta kobieta nie nadaje się do podróży – powiedział. – Zwłaszcza że chodzi o wyprawę na dystansie ponad dwóch tysięcy mil na obszarze, gdzie nie ma żadnych dróg...

Magill przytaknął.

– Nie potrzebuję jej – rzekła Cait. – A przynajmniej nie z całym kramem. Wystarczą mi jej oczy.

– Nie będziesz brała niczyich oczu, ty diabelski pomociu!

– wycedziła pani Lonnegan, wychylając się i mierząc w twarz swojej krajanki długim, kościstym palcem.

Cait nawet się nie poruszyła.

– Lepiej zabierz ten palec, paniusiu – oznajmiła spokojnie. – Inaczej mogę go złamać i użyć do zatkania ci ust.

– Siostró Lonnegan – upomniała ją Strażniczka.

Rozgniewana kobieta oparła się z powrotem na krzesło i cofnęła dłoń.

– Mówiłam o psie – rzekła Cait, spoglądając na kobietę

w szarościach.

– Co? – spytała Tittensor, znów próbując wstać. Armbruster łagodnie złapał ją za ramię i powstrzymał.

– Ona potrafi wejść w mózg zwierzęcia, prawda? – spytała Cait, wskazując kciukiem ciężarną kobietę. – Jeździ sobie w tej swojej kudłatej suce Shay, widzi jej oczyma, a nawet mówi do niej w myślach. Mam rację?

Oburzona Prudence wpatrywała się w Strażniczkę.

– Mam Shay od szczeniaka – oznajmiła trwożnie.

– Nie wątpię. A ja ją przyprowadzę z powrotem – oznajmiła Cait.

– Sama możesz nie wrócić – odezwał się Magill. Poczzerwieniał lekko, jakby uświadomił sobie, że wszyscy znów skupili na nim swoją uwagę. – Na długim szlaku nic nie jest pewne.

Irlandka popatrzyła na panią Tittensor.

– Wolisz pojechać zamiast psa?

– Nie – odparła tamta, po czym powoli pokiwała głową. – Nie. Chyba nie czułabym się tam dobrze, nawet gdybym nie nosiła dziecka. Denerwuję się, jeśli nie widzę morza. Podróż w głąb lądu nie byłaby dla mnie ani trochę przyjemna.

– Zatem... – zaczęła Cait.

– Ale mam lepszy pomysł – przerwała jej pani Tittensor, uśmiechając się po raz pierwszy od dawna. – Twój plan nie jest zły, ale nie wyślę z tobą Shay.

Zanim Irlandka zdążyła znów się sprzeciwić, żona kapitana kontynuowała:

– Zawrzemy układ. Pozwolę ci zabrać jednego z jej szczeniaków, widziałas je wcześniej. Weź go. Może być moimi oczyma równie dobrze jak Shay, a jest wytrzymalszy, bo młody.

Cait popatrzyła na Lucy.

– Czyli wygląda na to, że jedziesz na zachód, Lucy Harker. Chyba mimo wszystko sobie pozwiedzasz. No i jeszcze szczeniak, dasz wiarę? Powinnaś się uśmiechać.

Lucy odpowiedziała spojrzeniem.

– A ty powinnaś podziękować.

ROZDZIAŁ XVII

Nadciągająca burza

Amos i Zmora dotarli w końcu do Londynu jak niemal każdy, czyli bez zapowiedzi, i natychmiast wmieszali się w tłum. Inni zbyt skupiali się na sobie, żeby dostrzec dwa nowe składniki tej osobliwej mieszanki.

Z pewnością dostrzeżono by ich, gdyby pojawili się brudni i obszarpani, jak w obozie węglarzy, jednak to coś, co pękło w chłopaku, pozwoliło mu się poruszać w nowy sposób, który instynktownie nazywał „szybko-lecz-wolno”. Miał on ciekawy efekt uboczny, dzięki któremu Amos potrafił teraz niezwykle skutecznie polować, nawet łapać króliki ręką, jedli więc więcej niż wcześniej, a także, czym mniej się szczyił, stał się lepszym złodziejem. Jakiś wewnętrzny głos kazał mu zostawiać coś w zamian, robił to więc, gdy tylko mógł, poza tym nigdy nie okradał osób, które miały bardzo niewiele. Tak czy owak, nowa umiejętność pozwoliła mu wkroczyć do Londynu w całkiem porządnym płaszczu, podwędzonym z wieszaka, na którym zostawił dwa bażanty i zająca. Z kolei Zmora miała na sobie połataną i spłowiałą, lecz czystą batystową sukienkę z materiału w różane pąki, o kilka odcieni jaśniejsze niż jej policzki, a także ciepłą chustę, którą Amos zabrał ze sznurka z praniem, wymieniając ją na pięć świeżo zabitych królików. Chłopak nigdy dotąd nie miał tak solidnych butów jak teraz, lecz celowo nie zostawił za nie nic w zamian. Wcześniej, kryjąc się w cieniu stodoły, obserwował, jak ich poprzedni właściciel, pijany w sztok

rolnik, najpierw okłada konia, a później żonę, gdy przyszła wyrazić swój sprzeciw. Uciekła, a chłop przewrócił się w siano, zwymiotował i natychmiast zasnął. Chrapał tak głośno, że nie zauważył, jak Amos pozbawia go obuwia i zostawia leżącego we własnych rzygowinach.

Choć więc nie wchodzili do metropolii w wielkim stylu, to wyglądali na tyle czysto, żeby uniknąć niewygodnych spojrzeń czy komentarzy, i od razu stali się po prostu częścią tła. Jedynym znaczącym zjawiskiem, jakie towarzyszyło ich przybyciu, był odgłos grzmotu oraz odległe błyski piorunów. Burza kotłowała się na wschodzie i jakby wychodziła im naprzeciw.

Wkroczyli do miasta razem, ale z odmiennymi celami: Amos wciąż był zdecydowany odnaleźć Nadzór, natomiast Zmora – Mountfellona.

Zaledwie półtorej godziny wcześniej stali na otwartym terenie na szczycie wzgórza Stamford, na rozstaju Hangar Lane i Seven Sisters Road, spoglądając ponad żywoplotami i polami na rozciągające się w oddali miasto. Na ziemi wokół nich wciąż spoczywały resztki lekkiego śniegu, jednak dzień nie był zbyt zimny i zapowiadało się na deszcz. Nadciągająca burza była wtedy jedynie ciemną smugą na horyzoncie po lewej. Tuż poniżej zalew odbijał przyćmione poranne światło, a Nowa Rzeka płynęła krętym korytem do ogromnej metropolii. Wyglądała jak srebrna nić łącząca ostatnie zielone pola z bezmiarem mokrych dachówek i dymiących kominów wykwitających niczym ceglane grzyby wzdłuż dawnych gościńców.

Dla kogoś, kto przez tyle miesięcy wędrował przez smagane wiatrem, żyzne tereny, tkanka miejska wyrosła pod dymnym oparem wyglądała straszliwie, zupełnie jakby wielka, złośliwa bestia powarkiwała wśród własnych

wyziewów.

Mimo to Amos czuł się tam jak w domu.

– Mountfellon musi umrzeć – powiedziała Zmora.

„Nie ma powodu ciągle tego powtarzać”.

– Jest gdzieś tam, w płataninie ulic – rzekła. – Wiem gdzie, jeśli nie zmienił siedziby przez te lata, które minęły, odkąd go poznałam. Wiem gdzie, a ty pomożesz mi się tam dostać. Być może nawet zabijesz go dla mnie, choć wolałabym zrobić to sama. Może i zemsta najlepiej smakuje na zimno, ale zimnym daniom mogą towarzyszyć gorące sosy, a chciałabym poczuć ciepłość jego krwi.

„Przyprowadziłem cię tutaj, ale nie będę uczestniczył w tym, co stanie się później”.

– Nie tak się umawialiśmy.

„Nie umawialiśmy się”.

– Nadzór nie da ci tego, czego pragniesz – powiedziała. – Wszystko, co ci o nich mówiłam, powinno cię na to przygotować.

„Nie wiesz, czego pragnę”.

– Zemsty. Sprawiedliwości. Potęgi. Jesteś mężczyzną. Wybierz sobie. Wszyscy na tym żerujecie.

„Znowu to samo. Nie wiesz, czego pragnę. I nie wiesz, co Nadzór zdoła dla mnie zrobić. Owszem, ja też tego nie wiem, myślę jednak, że będą mogli mi pomóc. Przynajmniej ochronią mnie przed Sluagh, jeśli ktokolwiek jest w ogóle w stanie to zrobić”.

– Nadzór to iluzja. Nie potrafi pomóc nawet własnym członkom. W teorii wszystko wyglądało wspaniale, tyle że nic z niej nie wyszło.

„Moi ojcowie się ich obawiali”.

– Twoi ojcowie traktowali ich jak przeszkodę. Templebane'owie handlowali strachem, plotkami oraz tym,

co nazywali „mrocznymi informacjami”. Robili tak, odkąd wyleźli ze smrodliwych mokradeł, które ich zrodziły, i z łowców czarownic zmienili się w brokerów i prawników. Nie mają żadnych konkretnych mocy, nie licząc tajemnej wiedzy oraz metod pertraktacji z tymi, którzy czają się w cieniach i których można przekupić lub udobruchać na tyle, żeby im pomogli.

Amos wpatrywał się w nią w szoku. Do tej chwili zupełnie nic nie sugerowało, że zna Templebane’ów.

„Wiesz o nich?”

– Podobnie jak wiem o Nadzorze. Powinieneś mi wierzyć, Krwawy Chłopcze. Ta gra toczy się od wielu pokoleń.

„To, że znasz nazwisko Templebane, nie znaczy, że masz rację co do Nadzoru”.

– Ale ją mam i wiem o tym. Wiem, że są skończeni. Nie potrafią chronić własnych członków, nie potrafili tego robić nawet wtedy, gdy byłam młoda. Straciłam to, co miałam, w równym stopniu z powodu perfidii Mountfellona, jak i ich słabości. Ich czasy dobiegły kresu.

„Wcale nie” – jego myśli brzmiały desperacko nawet dla niego samego.

– Są warci mniej więcej tyle, ile śledez z wczorajszego śniadania – zarechotała. – Och, ależbym znowu zjadła wędzonego śledzia...

„A skąd wiesz o Nadzorze?”

Obróciła się.

– Bo do niego należałam, Krwawy Chłopcze, ty zaś, gdybym wciąż nosiła swój dawny pierścień, zrobiłbyś to, co mówię, ponieważ mogłabym ci to nakazać mocą Prawa i Obyczaju!

Przez chwilę, gdy wyciągała ku niemu pięść, jakby miała na niej wyobrażony symbol Nadzoru, rzeczywiście

wyglądała władczo i dziwnie, butnie i majestatycznie. I nagle, bez żadnego ruchu, jakby za sprawą złudzenia optycznego, jakby oklapła i znów sprawiała wrażenie starej, zmęczonej i złamanej.

– Ale moje pierścienie zostały skradzione, a ja już nigdy nie włożę krwawnika, nawet gdybym go miała. Złamałam go, gdy wyrzekłam się cholernego Nadzoru i odeszłam. Prawo i Obyczaj na nic mi się nie zdały, nie zapewniły ani sprawiedliwości, ani zemsty na tym, który mnie skrzywdził, a te czasy, kiedy byłam na tyle głupia, żeby w nie wierzyć, przeminęły z wiatrem, podobnie jak moje drogie utracone dzieci.

Wiedział, że właśnie utrata dziecka bądź dzieci (zawsze płatała się w tej części swojej opowieści) ostatecznie doprowadziła ją do obłądu. Podczas wspólnej wędrówki usłyszał wystarczająco wiele informacji na temat jej przeszłości, żeby poskładać sobie z nich w miarę spójną opowieść. Skrzywdził ją zalotnik, którego darzyła miłością i zaufaniem, nie zdołała zaspokoić żądz zemsty i uciekła z Londynu w jakieś miejsce, w którym miała czuć się bezpiecznie ze swoim dzieckiem (albo dziećmi), lecz pewnego dnia wysłannicy potężnego człowieka, którzy jej szukali, odebrali jej potomstwo. Czasami mawiała, że eksperymentowali na niej jak na zwierzęciu, innym razem zaś, że zamknięto ją w przytułku Andover w nadziei, że wkrótce umrze. Dziecko (lub dzieci) straciła na zawsze, podobnie jak rozum. Przetrwało tylko pragnienie zemsty, jedyna rzecz trzymająca ją przy życiu.

– Przeminięły z wiatrem – powtórzyła, wzdychając. – Podobnie jak moje najdroższe zmarłe maleństwa.

Minutę później opuścili pola i weszli między pierwsze zabudowania metropolii.

Idąc, Amos rozważał najnowsze informacje za umocnieniami, które skonstruował w umyśle. Czy kłamała? Miał pewność, że potrafi oszukiwać. Dlaczego aż do teraz, do ostatniej chwili, strzegła wieści o Nadzorze? Jej ust nie opuszczało ani jedno słowo, które choćby w minimalnym stopniu nie stanowiłoby manipulacji. Teraz zaś wychodziło na to, że nawet rzeczy, których nie mówiła, zataiła z rozmysłem – inaczej dlaczego ukrywałaby swoją szczegółową wiedzę o Templebane'ach? Czy rzeczywiście mogła być tym, kim twierdziła: dawną członkinią Nadzoru? Upadłą nowicjuską?

Człapał u jej boku z głową pełną zasłyszanych rewelacji, uznawszy, że jedynym bezpiecznym rozwiązaniem jest trzymanie się pierwotnego planu, czyli odszukanie Nadzoru, przedstawienie im wszystkiego, co się wydarzyło i o czym wiedział, a następnie poproszenie o ochronę. A jednak... pytania o przeszłość Zmory i jej wiedzę nie dawały mu spokoju. Nie potrafił określić, czy manipulowała nim, podsuwając mu starannie opracowane skrawki informacji, a jeśli tak, to co próbowała w ten sposób osiągnąć. Jednym z jej celów była zemsta na Mountfellonie, ale nie mógł zrozumieć, dlaczego wydzielane mu wiadomości miałyby według niej doprowadzić go do zmiany zdania i mimo wszystko udzielenia jej pomocy w akcji odwetowej.

I nagle, gdy wkroczyli w pajęczynę ulic właściwego miasta, niebiosa otworzyły się i lunęło. Był to najbardziej rześisty deszcz, jaki Amos kiedykolwiek widział. Chłopak przerwał rozważania, całkowicie skupiając się na poszukiwaniach schronienia.

Wyglądało to tak, jakby ciemne chmury chlustały wodą z nienawistną zaciekłością. Strumienie uderzały o bruk

z taką siłą, że aż się od niego odbijały. Amos i Zmora garbili się pod zaimprovizowanymi kapturami, przemoczeni od pasa w dół. W ciągu niecałej minuty rynny się przepełniły i ku ziemi zaczęły opadać kurtyny wody, przez co stawianie stóp na śliskich kamieniach stało się równie niebezpieczne jak spacer pod wodospadem. Odpływy zatkały się, kanały zbuntowały i po pięciu minutach miasto zdawało się tonąć.

Kupcy wybiegli ze sklepików, żeby wciągnąć towary do środka, ci zaś, którzy mieli markizy, zwijali je, pozbawiając przechodniów osłony – nie ze złośliwości, lecz żeby płótno nie zarwało się pod ciężarem spływającego z góry biblijnego potopu.

Amos i Zmora schronili się w tłumie podobnie przemoczonych ludzi pod jedynym ocalałym daszkiem sklepu warzywnego, gdzie pomyślnym zbiegiem okoliczności – pomyślnym dla nich, dla sklepikarza już niekoniecznie – zaciął się mechanizm. Stali tam, obserwując, jak kupiec i jego żona starają się uratować nabrzmiałe płótno przed rozerwaniem, podważając je kijami od mioteł, żeby zawartość spłynęła bokami. Na swoje nieszczęście podróżni znajdowali się akurat pod szwem biegnącym przez środek markizy, ponieważ to właśnie tam zetlała nić dała za wygraną i puściła, fundując im prysznic tak potężny, jakby zdecydowali się przespacerować pod wspomnianym wodospadem.

Siła spływającej wody przewróciła Zmorę, która upadła na beczkę z jabłkami. Amos złapał ją za rękę i z niepokojem dostrzegł na jej skroni strużkę krwi.

– Nic się nie stało – powiedziała, kręcąc głową.

Chłopak obserwował, jak krew rozrzedza się i różowieje w deszczu. Rozejrzał się dookoła. Ulica okazała się aż nazbyt znajoma. Znajdowali się o jedną przecznicę od

domu Templebane'ów, miejsca wszystkich jego dawnych nieszczęść. Wiedział jednak, że kawałeczek dalej leży zamknięty zaulek z bramą, którą dawało się otworzyć, potrząsając nią w odpowiedni sposób. Był to opustoszały teren warsztatu kołodziejskiego, który zbankrutował. Amos wykorzystywał go, żeby ukradkiem wchodzić do domu i z niego wychodzić, kiedy nie chciał, żeby zobaczyli go bracia lub ojcowie. Można tam było skutecznie schronić się przed ulewą i wiedział, że jak zwykle nikogo tam nie spotka, ponieważ to ojcowie – którzy wcześniej nabyli niezamieszkaną już budynek po drugiej stronie swojej siedziby, zresztą z tego samego powodu – wykupili długi bankruta, żeby „żadni cholerni sąsiedzi nie dowiedzieli się o naszych sprawach, opierając się o ścianę działową z cholerną szklanką przy uchu”. Tak więc dwie puste nieruchomości po obu stronach domu Templebane'ów stanowiły ziemię niczyją, sekretny kordon, a teraz również schronienie. Chłopak naciągnął płaszcz na głowę niczym kaptur i pociągnął Zmorę na ulicę.

„Wiem, gdzie możemy się ukryć, ale nie wolno nam zwrócić na siebie uwagi, ponieważ to pusty budynek tuż przy domu moich ojców”.

ROZDZIAŁ XVIII

Wyspa na wyspie

Gdy statek przybił do niewielkiej schludnej przystani w Portree na wyspie Skye, Kowal wysiadł na kamienne nabrzeże i ruszył wzdłuż stojących tam, pomalowanych na biało domów. Przyspieszył, rozmyślając o świetle wysysanym przez ciemne bazaltowe szczyty za miasteczkiem. Wszedł do niskiej gospody na końcu głównej ulicy, żeby zadać parę pytań, a ledwie dziesięć minut później wynajął człowieka z kucykiem i dwukólką, żeby zawiózł go do celu.

Zaledwie godzinę później stał na kamiennym mostku, nowym dla niego, lecz wiekowym we wspomnieniach obecnych mieszkańców wyspy. Spoglądał na przyprawiającą o zawroty głowy przepaść między skałami, gdzie strumień obmywał małą wysepkę i gdzie woda spływała ku morzu.

– To dawny teren grzebalny – powiedział woźnica, ssąc fajkę.

Kowal przeniósł wzrok na drugą stronę mostu, na rozpadające się ruiny kamiennego domu. Dach już zniknął, a głązy składające się na ściany zaczęły staczać się na ziemię, z której dawniej zostały zebrane. W obrębie dawnej przestrzeni mieszkalnej wyrosły maliny kamionki oraz wierzbownice, a zakorzeniony przy jednej ze ścian samotny czarny bez powoli ją rozsadzał.

Kowal spoważniał.

– Wydaje mi się, że jesteś zmęczony – rzekł. – Prześpij się,

dopóki nie wrócę.

– Tak, to prawda, jestem zmęczony – odparł woźnica, który aż do tej chwili miał wrażenie, że wręcz kipi wigorem i mógłby przenosić góry. Ziewnął, zwiesił głowę i zaczął chrapać.

Kowal zszedł z drogi i zsunął się po stromym zboczu obok mostu. Poruszał się szybko, lecz uważał, żeby się nie poślizgnąć. Wyłonił się z cienia kamiennej podpory i pokonał w bród prawą odnogę strumienia. Nie przejmował się zbyt, że się zamoczy, wkroczył więc na podłużną wysepkę w spodniach mokrych aż po uda. Pochylił się pod krzywą jarzębiną i znalazł się na trawiastej polanie, na której leżał szereg prymitywnie rzeźbionych głazów, przypominających pradawne nagrobki. Niektóre oznaczono inskrypcjami runicznymi, na innych zaś widniały toporne wizerunki rycerzy w spiczastych hełmach i z mieczami w skrzyżowanych dłoniach. Mężczyzna przestąpił nad nimi i znalazł większy kamień, niemal zagrzebany pod wybujałą trawą. Nie było na nim ozdób. Kowal przyklęknął i wymacał krawędzie, po czym pokręcił głową. Gdyby cokolwiek nasłuchiwało, usłyszałoby świst powietrza wciąganego przez zęby. Tak się złożyło, że para oczu obserwujących go z oddali pozostawała zbyt daleko, żeby słyszeć, dostrzegła jednak, jak przybysz kręci głowę, napina mięśnie, po czym unosi skraj głazu. Zaciskając zęby, przytrzymał go jedną dłonią, drugą zaś wyciągnął z kieszeni płaszcza świecę. Zapalił ją ruchem nadgarstka i wsunął do szczeliny, która najwyraźniej sięgała głęboko.

Mężczyzna skrzywił się lekko, jakby coś go użądliło. Coś w jego twarzy umarło, a następnie pojawiło się na niej rzadkie tam rozgoryczenie, uczucie z pogranicza grozy i rozczarowania.

Zgasił świecę, odsunął się i puścił kamień, który opadł na miejsce z głuchym łupnięciem. Stał niemal nieruchomo przez blisko kwadrans, jakby chłonąc to, co zobaczył – czy raczej w tym przypadku to, czego nie widział – i masował dolną część pleców, próbując złagodzić ból, który poczuł, kiedy wzdrygnął się porażony dokonanym odkryciem. W końcu otrzepał dłonie i odszedł, nie oglądając się za siebie. Znów przeciął strumień i z mniejszą ostrożnością niż wtedy, gdy schodził, wspiął się po wilgotnej skale prowadzącej na drogę.

Gdy woźnica się obudził, zauważył, że jego pasażer siedzi na dwukółce i wskazuje zniszczony dom.

– Mieszkała tam rodzina. Znaliście ich?

– O tak – powiedział woźnica, przecierając zaspane oczy.

– Jakże miałbym nie znać? Bardzo byli znani na wyspie. Nazywano ich MacCrimmon i byli wybornymi *piobaireachd*. Po angielsku nazwalibyście ich dudziarzami.

– A gdzie mogę ich znaleźć?

– O, odeszli, już odeszli, pewne to. Czerwony Donald zmarł, a później Czarny John, ostatni z rodu. Nie, nikt się nie ostał, żaden dudziarz, rodzina zniknęła. Poza jednym chłopem, zwanym Donald Ban, jasnowłosym. Ale ten Donald Ban nie ma dzieci, więc rodzina nie przetrwa, co bardzo smutne, skoro kiedyś tacy byli znani.

– Gdzie znajdę tego Donalda Bana?

– O, tam, gdzie zawsze. W zamku. Jest tam rządcą, choć nie gra na dudach jak jego dziadowie. Tym większa szkoda.

– Zabierzcie mnie tam – polecił Kowal.

W drodze woźnica wyrażał rozczarowanie, że sam MacLeod właśnie opuścił wyspę, żeby odwiedzić swojego świetnego architekta w Edynburgu – był pewien, że jego lordowska mość z radością przywitałby w swoim zamku

angielskiego dżentelmena i z dumą zaprezentował nowe cudowne usprawnienia, które wznoszono wokół budowli.

Kowal wyjaśnił, że interesuje go wyłącznie odnalezienie MacCrimmona, i rozmowa urwała się do chwili, aż ujrzeli zamek. Imponująca bryła, wyróżniająca się swą kanciastością na tle łagodnych krzywizn krajobrazu, tkwiła na solidnej bazaltowej podstawie wznoszącej się jakieś dziesięć jardów nad opływającymi ją wodami Loch Dunvegan. Paradoksalnie sprawiała wrażenie jednocześnie niezdobytej i atakowanej, ponieważ rusztowania otaczające stare kamienne fortyfikacje wyglądały niczym liczne wieże obleźnicze.

– Kamieniarzy sprowadzono aż z Glasgow – wyjaśnił woźnica, kręcąc głową z podziwem. – Ostatnio pan MacLeod w ogóle nie dba o wydatki.

Kowal zostawił mężczyznę i ruszył w stronę zamku, pokonując pieszo wąski most. Szedł zdecydowanym krokiem, a napotkani po drodze ludzie od razu decydowali się zabrać go do rządcy. Jego władcza postawa i jakaś dziwna zaciętość widoczna w oczach nie pozostawiała wątpliwości, że gość przybył ze sprawą niecierpiącą zwłoki. Młody pomocnik kamieniarza zaprowadził go do mistrza robót, który z kolei polecił go przechodzącemu służącemu. Ten wprowadził go do zamku, gdzie starszy sługa, wydający się pełnić niewymagającą funkcję polegającą na siedzeniu przy głównych drzwiach i paleniu fajki, przekazał go zarumienionej pokojówce, szorującej płyty podłogowe w holu. To właśnie ona zawiadła go do rządcy, Donalda Bana MacCrimmona.

Okazał się on bladym mężczyzną o chropowatej twarzy, którego wodniste oczy wydawały się najszcześliwsze, gdy ich właściciel przypatrywał się podłodze lub wbijał wzrok

w bliżej nieokreślony punkt tuż obok swego rozmówcy. Z tego powodu sprawiał wrażenie fałszywego, co kłóciło się z jego sposobem wypowiedzania się, bardzo precyzyjnym, jak to u osób od urodzenia posługujących się językiem gaelickim, a zmuszonych do wyrażania się w języku, który opanowali z drobiazgową biegłością, lecz bez szczególnej sympatii. „Dż” wypowiadał jak „cz”, więc z „dżentelmena” robił się „czentelmen”, przeciągał też głoskę „s” na końcu wyrazów, tak więc, dla przykładu, „czas” przechodził w „czass”; w konsekwencji każda jego wypowiedź zdawała się nacechowana niezadowoleniem. Ponadto wyraźnie zalaatywał mocnym trunkiem. Ogólnie rzecz ujmując, jego postawa pozostała butna i zaczepna, nawet gdy Kowal przechwycił jego spojrzenie i nad nim popracował, żeby zapewnić sobie jego uległość.

Spotkali się w głównym holu i gdy już mieli za sobą pobieżne powitalne uprzejmości, podróżnik, nie tracąc czasu, spytał, co stało się z flagą.

W zwykłych okolicznościach tak nagłe pytanie zaskoczyłoby MacCrimmona, był on jednak w mocy piorunującego wzroku Kowala. Nie zastanawiał się wobec tego, dlaczego ten nieznajomy pyta o coś takiego, ani też skąd wie, że ze wszystkich mieszkańców wyspy to właśnie do niego powinien się zwrócić. Zamiast tego pociągnął nosem i wbił spojrzenie w płytę pomiędzy ich stopami.

– Nie ja to zrobiłem. Sprowadzono ją do Dunvegan, zanim zostałem rządcą.

– Dlaczego?

– Moim zdaniem uznali, że tu będzie bezpieczniejsza – odparł MacCrimmon, wzruszając ramionami.

– Czy Dunvegan jest wyspą na wyspie? Przeszedłem bowiem właśnie po moście nad suchym rowem.

– Cóż... Czasami jest wyspą, gdy nadchodzi przypływ, bo fosa wypełnia się wtedy wodą. Ale to lepsze niż wyspa: to jest i zawsze był zamek.

– Nie – zripostował Kowal. – To tylko zamek.

Tak jawne umniejszanie znaczenia zamku okazało się na tyle obraźliwe dla delikatnych uczuć rządcy, że odwiódł wzrok od ściany i spojrzął z oburzeniem w znajdującą się przed nim chłodną twarz.

– Szanowny panie. Zamek Dunvegan jest domem MacLeoda, Lorda Wysp. To nie byle zamek.

Dłonie Kowala zacisnęły się w pięści o sile młotów, lecz zmusił się, by rozprostować palce. Nachylił się bliżej, nie pozwalając MacCrimmonowi na odwrócenie spojrzenia.

– Jeśli dla zapewnienia bezpieczeństwa fladze wystarczyłby zamek, wówczas my, to jest ci, którzy powierzyli ją twojej rodzinie, nie zdecydowalibyśmy się na niezwykle niebezpieczną wyprawę wiążącą się z przywiezieniem jej tutaj. Na południu znajdowały się inne umocnione miejsca, które byłyby znacznie dogodniejsze.

– Jest bezpieczna – powiedział MacCrimmon, poruszając ustami w taki sposób, jakby starał się nie przełknąć czegoś nieprzyjemnego. – Znajduje się w skarbcu.

– Zatem pokaż mi ją – polecił Kowal.

Rządca uznał tę prośbę nieznanomego mówiącego z południowym akcentem za zupełnie zwyczajną. Nawet na chwilę nie przyszło mu do głowy, że mógłby sprzeciwić się poleceniu i nie otworzyć skarbcza swego pana.

Szybko sprowadził gościa jedną kondygnację w dół po spiralnych kamiennych schodach i odblokował grube, okute żelazem drzwi nabijane starymi gwoździami. Skarbiec umieszczono w krypcie pod holem i po części stanowił zbrojownię, a po części magazyn. MacCrimmon

zapalił lampę woniejącą tranem i przeszedł z Kowalem do najdalszej części pomieszczenia, gdzie pod ścianą leżała długa skrzynka.

Na ciężkim kółku odnalazł kolejny klucz i użył go do otwarcia rdzewiejącej kłódki, po czym ze skrzypieniem dawno niesmarowanych zawiasów uchylił wieko. Wskazał podbródkiem umieszczony wewnątrz zwój.

– I proszę, sami widzicie. Nie ma podstaw do niezadowolenia – powiedział.

– To ona? – zapytał Kowal, nachylając się, żeby ostrożnie odchylić lnianą tkaninę spowijającą umieszczoną wewnątrz warstwę zwiniętego materiału.

– Oto Flaga Wrózek we własnej postaci – oznajmił MacCrimmon głosem zabarwionym dumą i niemałą dozą samozadowolenia.

Kowal przejechał opuszkami po egzotycznej żółtej materii ozdobionej starannie wyhaftowanym czerwono-żółtym wzorem. Następnie wstał i strzyknął szyją w lewo i prawo, jakby poddawał się tikowi, po czym znów nachylił się do twarzy MacCrimmona.

– Dwie rzeczy. Po pierwsze, nie istnieje coś takiego jak wróżki, nigdy nie istniało, bo mam co do tego pewność. Po drugie, Donaldzie Banie MacCrimmon, to nie jest flaga, której pilnowanie zlecono twojej rodzinie. To jest... Sam nie wiem co. Jedwab. Zagraniczny materiał. Ze wschodu.

– To przedmiot wielkiej mocy – wyjąkał Donald Ban.

– Nie – odparł Kowal. – To rzecz, na którą ktoś wymienił przedmiot o wielkiej mocy.

MacCrimmon cofnął się o krok. Nagle zdał sobie sprawę, że z nieznanых powodów trudno mu oddychać, gdy stoi tak blisko tego natarczywego i wyraźnie rozzłoszczonego nieznanego.

– To nie moja wina – rzekł.

Kowal postąpił ku niemu. MacCrimmon wycofywał się dalej.

– Powierzono ją twojej rodzinie.

– Nie powierzono jej mnie. Nie prosiłem o to. I sam nic nie zrobiłem. To mój ojciec wziął złoto...

– Sprzedał ją...? – zapytał Kowal.

– Nie wiem, co zrobił – wydyszał Donald Ban. Odkrył, że nie może już dalej iść w tył, ponieważ łopatkami dotknął szorstkiej kamiennej ściany. – Powiedział mi, że przyszedł jakiś mężczyzna i ją zabrał. Władczy mężczyzna. Z pierścieniem. Mówił, że zobowiązania naszej rodziny wygasły i że MacLeod otrzymał godziwe wynagrodzenie za to, że przez lata strzegł flagi. Mój ojciec dostał coś z tego jako prowizję i wyjechał z pieniędzmi do Ameryki, by tam spróbować szczęścia, lecz wrócił tu jako wrak człowieka. To właśnie to wynagrodzenie pozwoliło opłacić prace, które toczą się wszędzie wokół zamku...

– Jaki to był pierścień? – wysyczał Kowal. MacCrimmon zastanawiał się, czy przybysz będzie dalej na niego napierał, dopóki nie wepchnie go w mur, ale Kowal zatrzymał się tuż przed nim, tak że stali nos w nos.

– Skąd miałbym to wiedzieć? – spytał Donald Ban. – Nie było mnie tam. Widzicie, to mój ojciec. To on pertraktował z tym dżentelmenem.

– Nie rozumiem, dlaczego miałyby to zrobić – rzekł Kowal.

– To był pradawny przedmiot, powierzony twojej rodzinie.

Przez chwilę jakby spoglądał w dal i ten chwilowy dystans rozniecił iskrę buntu w Donaldzie Banie, któremu zdecydowanie nie podobała się rozmowa z niepożądanym i niepokojącym gościem.

– Cóż, ktokolwiek powierzył flagę, być może nie

powinien był tego czynić. – MacCrimmon przełknął ślinę. – Moim zdaniem, jeśli się czegoś chce, najlepiej zrobić to samemu, więc może to tamci powinni strzec flagi, zamiast zmuszać innych ludzi, by wykonywali za nich pracę, i nigdy nie dawać im niczego w zamian...

Kowal przeniósł wzrok na rządcę i wwiercił się weń spojrzeniem. Donald Ban wzdrygnął się i pożałował swojej krótkiej śmiałości.

– Czy grasz na dudach?

– Nie, nie gram na przeklętych dudach. – Aż zamrugał.

– A czy wszyscy twoi przodkowie grali?

– Owszem. Od pokoleń byli najlepszymi dudziarzami na świecie.

– Twój ojciec też?

– Tak. Dopóki nie przestał.

– Przestał, gdy tamten mężczyzna zabrał skrzynkę z flagą – rzekł Kowal, kiwając powoli głową i odsuwając się.

MacCrimmon podniósł na niego wzrok, a w jego oczach po raz pierwszy pojawił się błysk zainteresowania.

– A skąd to właściwie wiecie?

– Ponieważ wasza rodzina otrzymała coś w zamian za pilnowanie prawdziwej flagi. Coś, czego nie da się wycenić. Dziękuję panu za poświęcony mi czas, panie MacCrimmon.

Donald Ban obserwował plecy przybysza, gdy ten kierował się do drzwi. Poczul nieśmiałą myśl, że powinien odeskortować gościa z terenu zamku, ale coś mu podpowiedziało, że tego rodzaju kurtuazyjne zachowanie jedynie wydłużyłoby czas, w którym przebywał pod nieprzyjemnym wpływem tego stanowczego Anglika. Uznał, że lepiej zamknie flagę w skrzynce, po czym zabezpieczy skarbiec, miał bowiem nadzieję, że do tego czasu przybysz sam wyjdzie i nie trzeba będzie się już

z nim stykać.



Kowal opuścił zamek, nie oglądając się za siebie. Wszyscy, którzy spotykali go po drodze, wydawali się nagle przypominać sobie o innych sprawach i ogarniała ich gwałtowna niechęć do wymieniania uprzejmości z kimś, kto bardziej przypomina chmurę burzową niż człowieka.

Po drodze podniósł obluzowany kamień z poręczy mostu i przystanął na moment, żeby cisnąć nim w wodę przy warowni. Obserwował, jak burzy gładką powierzchnię, i stał tak nieruchomo przez pełne pięć minut, po czym otrząsnął się z zadumy i wskoczył z powrotem do dwukółki, budząc woźnicę.

– Wracamy do Portree, jeśli łaska – powiedział.

– Czyli teraz będzie pan jechać na południe, tak? – spytał wozak, szarpiąc za lejce.

– Nie – odparł Kowal, spoglądając na chmury skłębiające się nad ciemną wodą jeziora. – Obawiam się, że będę jechał na północ.

ROZDZIAŁ XIX

Przybycie

No dobrze – oznajmił Obywatel z irytacją wywołaną wyczerpaniem po długim, zdałoby się, niekończącym się marszu przez lustra. – Przybyliśmy.

On i Dee stali przed otwartymi drzwiami ozdobnej szafy. Pomieszczenie było sypialnią z kominkiem i prostym łóżkiem krytym baldachimem oraz grubymi, chroniącymi przed chłodem zasłonami. Na łączonych ołowianymi szprosami szybach zalegała cieniutka warstewka śniegu, a widoczne na zewnątrz dach i przeciwległa ściana, czyli jedyne, co dało się zobaczyć, również oprószyła biel.

– Zimniej niż w Londynie – stwierdził Obywatel, zwracając się do towarzysza.

Dee odwrócił się, podniósł z kominka pudełko zapalek i pochylił się, żeby rozpalić ogień.

– Wrócę, jak uzgodniliśmy – rzekł. – Nie ma czasu do stracenia.

– Zgadza się – przyznał Obywatel. – Zaprzęgnę do pracy pozostałą mi energię i wznowię eksperymenty. Jeśli Mountfellowon się sprzeciwi, być może będziesz miał więcej szczęścia z Templebane’ami, pod warunkiem, że jacyś zostali.

– Wiem, jak rozgrywać ich przeciwko sobie, nie martw się – powiedział Dee. – Obydwaj mamy świadomość, jak to działa.

Gdy wstał i obserwował, jak ożywa dobrze ułożone palenisko, Francuz złapał go za rękę.

– Mountfellow ma wolę niemal równie straszliwą jak moja. Jeśli zacznie podejrzewać, że wykorzystujemy go jako narzędzie, aby uzyskać to, czego sam pragnie, sytuacja może się paskudnie wymknąć spod kontroli. Nie mogę na to pozwolić.

Anglik spojrział na niego chłodno.

– Obydwaj przemierzamy ten szlak znacznie dłużej, niż wynosi zwykła długość ludzkiego życia, prawda?

Obywatel napotkał jego wzrok i z irytacją skinął głową. Miał zaskoczony i skrępowany wyraz twarzy człowieka, który nie przywykł, żeby traktowano go protekcjonalnie albo jak równego sobie.

– Mountfellow jest w tych sprawach nieopierzonym młodzikiem, nawet jeśli uważa się za wielkiego i bezlitosnego. Nasz plan jest przemyślany i racjonalny. Jego żarliwe pragnienia mogą nam się przydać, ale doprowadzą go również do upadku, pozwalają nam bowiem kształtować go jak kroplę roztopionego szkła. Uważam, że powinniśmy wykorzystać Templebane'a jako szczypcę, którymi go przytrzymamy na odległość ręki, dzięki temu unikając poparzenia. Później zaś weźmiemy na własny użytek to, co zdoła znaleźć, po czym pożegnamy się z nim stosownie i zapewne ostatecznie.

Francuz znów przytaknął.

– Tak, tak. Mountfellow jako narzędzie. Zdradzony w odpowiedniej chwili. To zrozumiałe. Potrzebujemy jedynie ognia. Pożogi. Z ogniem wszystko stanie się możliwe. Będziemy mogli zapanować nad światem, cała reszta stanie się nieistotna i bezcelowa.

– Wygłaszasz kazanie do nawróconego – rzekł z lekkim znużeniem Dee. – Czy przed odejściem mam cię zaanonsować, zawołać sługę?

– Nie – odparł Obywatel. – Nie widzę żadnego pożytku w tym, że ktokolwiek zobaczyłby, w jaki sposób się oddalasz.

– W istocie – powiedział Dee. – Zatem do mojego powrotu.

Po czym wszedł do szafy, starannie zamykając za sobą drzwi.

Francuz odczekał chwilę, po czym znów je otworzył. W środku było pusto. Uśmiechnął się, zamknął szafę i usiadł na łóżku. Nagle zaczął wyglądać na niezwykle starego i wyczerpanego, zupełnie jakby przy Dee utrzymywał maskę, którą teraz mógł zdjąć. Mrużąc oczy, rozejrzał się po pomieszczeniu, omiótł spojrzeniem sięgającą do wysokości piersi boazerię z ciemnego drewna oraz rozciągającą się wyżej białą gipsową ścianę. W ozdobach nie było widać nawet śladu kobiecej ręki, lecz choć surowe, wydawały się czyste i eleganckie.

Obywatel wstał i podszedł do drzwi. Zamknął je, wyciągnął klucz i schował go do kieszeni. Następnie, potężnie stękając i świszcząc, schylił się i po kolei ściągnął buty z kłamrami. Skrzywił się z odrazą na widok pończoch, brudnych i smrodliwych bardziej, niż przyczyniłby się do tego zwykły brak prania – cuchnęły bowiem raczej jak gnijące ciało. Odsunął narzutę wraz ze świeżo wyprasowaną lnianą pościelą, przykrył stopy, oparł głowę na poduszkach, odwrócił twarz od światła i zaczął chrapać.

Kilka godzin później po pokoju przemieściły się cienie i rozległo się stukanie do drzwi.

Obywatel wpatrywał się w nie klejącymi się oczyma, przez krótką chwilę bezbronny, gdy jego świadomość wypływała z powrotem na powierzchnię ze stygijskich ciemności. Zamrugał i się skrzywił.

– Buty – wychrypiał do siebie, sztywno zsuwając nogi na chodnik przed łóżkiem.

Pukanie ustało, rozległ się za to gniewny głos:

– *Hé, mais c'est quoi ces bêtises? Qui diable se trouve là-dedans? Qui est là?*

Obywatel otworzył usta do odpowiedzi, lecz nagle doznał gwałtownego ataku kaszlu. Wyjął klucz z kamizelki i otworzył drzwi. Ujrzał za nimi wielkiego, niedźwiedziowatego mężczyznę z poczerwieniałą twarzą pokrytą bujnym zarostem, podrygującego w szoku i oburzeniu.

– Bardzo proszę, jeśli będzie pan tak miły, niech pan wejdzie. – Uśmiechnął się.

Mężczyzna wpatrywał się w zniedołężniałego starego dżentelmena.

– Kim pan, u diabła, jesteś? – wydyszał gniewnie. – I co, do cholery, robisz pan w moim domu?

Obywatel wygładził surdut i strząsnął z rękawa nieistniejący pyłek, zdobył się na najchłodniejszy uśmiech, do jakiego był zdolny, i zebrał się w sobie. Znów stał się opanowany i zdawał się wcieleniem śmiercionośnej siły.

– Jestem osobą, która zapłaciła za ten dom.

– Za diabła nie jesteś! Straciłeś pan rozum? – spytał mężczyzna, a następnie obrócił się, by zawołać w dół schodów: – *Jean-Marie! Baptiste! Venez ici immédiatement! Et apportez-moi une cravache!*

– Nie ma potrzeby przynosić szpicruty – rzekł Obywatel, po czym uchylił halsztuk, który zwykle nosił na szyi, odsłaniając wyraźną srebrną linię biegnącą dookoła niczym tatuaż. – Jestem osobą, która zapłaciła za twoją sławę i sukces. Jestem Udziałowcem – oznajmił.

– Ale, nie... Jest pan sir Robertem Spearsem?

Brodaty mężczyzna otworzył szerzej oczy i rozchylił usta, a to, co zamierzał powiedzieć, wydostało się z niego szeregim sapnięć i chrząknięć, gdy padał na kolano i pochylał głowę. Gdy z tyłu na schodach rozległ się tupot dwóch bar butów, odwrócił się i krzyknął:

– *Non, non, oubliez tout ça. Retournez en bas, tout va bien.*

Obywatel gestem polecił mu wstać.

– Zostało powiedziane, że mogę pojawić się w dowolnej chwili, bez zapowiedzi, i poznasz mnie po srebrnej linii wokół szyi – powiedział po francusku. – Nie powinieneś być zaskoczony.

– Ale nie miałem czasu, żeby, yhm... przygotować stosowne komnaty dla pana oraz pańskiej świty.

– Nie mam świty. Będzie mi potrzebna młoda, zdrowa służąca nieposiadająca rodziny w mieście. Bez wątpienia możesz mi takową bezzwłocznie dostarczyć, skoro stanowi to jeden z warunków naszej umowy, prawda? Dobrze. I nie lękaj się, ten pokój jest odpowiedni. Wypchany pierzem materac spodobał mi się.

– Ale... To moja sypialnia, panie! – zaprotestował mężczyzna.

– Już nie. – Obywatel wyciągnął z bagażu arkusz papieru i podał rozmówcy. – Należy jak najszybciej przynieść tu wszystkie przedmioty z tej listy. Będą też nam potrzebne wszystkie pomieszczenia na tym piętrze.

Mężczyzna wybałuszył oczy, czytając spis, najwyraźniej zszokowany zarówno gwałtowną naturą eksmisji, której go poddano, jak i koniecznością zdobycia tylu dziwnych obiektów.

– Klatki? – odezwał się. – Skalpele... Czy jest pan chirurgiem?

Obywatel uśmiechnął się pobłażliwie.

- Lubisz swój język?
- Mój język? – spytał zmieszany mężczyzna.
- Owszem, twój język.
- No, tego, tak.

– Zatem przestań nim wywijać. Dwie rzeczy ze szczytu listy mają tu trafić w ciągu godziny, podobnie jak bracia Wachman.

– Wachman?

– Wachman. Przypuszczam, że znajdują się niedaleko, jak to zawsze wynikało z twoich raportów – z nagłym ciężarem w głosie powiedział Obywatel.

– Tak, proszę pana. Ale...

Obywatel pokręcił głową.

– Nic w twoim życiu nie uległo zmianie poza tym, że obecnie gościsz dyrektora swojej firmy, który składa wizytę. Będziesz spać gdzie indziej, co nie powinno stanowić problemu, jako że zgodnie z twoimi doniesieniami i tym, co widzę przez to okno, fabryka jest duża. Zajmiesz się interesami, ja swoimi badaniami, nowa pokojówka przekaże moje życzenia, jeśli będę zajęty lub niedysponowany. Czy to jasne?

– Tak, ale nie do końca rozu... – zaczął mężczyzna.

– Nie jest istotne, co rozumiesz. Ważne, żebyś wykonywał polecenia. Deski, obciążniki, pokojówka oraz bracia mają tu trafić w ciągu godziny, inaczej możesz spakować swoje rzeczy i wynieść się na ulicę. – Obywatel dostrzegł w oczach mężczyzny iskrę buntu, nachylił się więc, by ją zgasić. – Och tak, mogę to zrobić – wysyczał. – Przeczytaj umowę. Uczyniłem cię bogatym i w jednej chwili mogę zrobić z ciebie biedaka.

Mężczyzna z trudem przełknął ślinę, przytaknął i opuścił pokój.



Pokojówka najwyraźniej w pełni trafiła w gusta Obywatela. Obszedł ją dookoła, chwając zgrabną, odpowiednio zaokrągloną sylwetkę, zarysowane mięśnie, błyszczące, gęste włosy, a także ogólną witalność. Zarumieniła się, słysząc komplementy, jej pokryte meszkiem policzki zaróżowiły się, i przyznała, że została wychowana w gospodarstwie pod miastem. Miała na imię Clothilde. Była teraz sierotą.

Poprosił ją, żeby stanęła przy kominku. Sam usiadł na krześle naprzeciwko niej i wyjaśnił, że w tym, co jej powie, nie będzie nic niestosownego, nic, czemu mogliby w jakimkolwiek stopniu sprzeciwić się jej drodzy nieżyjący rodzice. Zamierzał jedynie zaaplikować sobie coś, co mogła mu dać.

Słowo „zaaplikować” sprawiło, że na posłusznej twarzy dziewczyny pojawił się lekki wyraz niezrozumienia, zaraz jednak zniknął w ciepłym, słonecznym blasku dużej złotej monety, którą Obywatel wyciągnął z kieszeni kamizelki.

– Chodzi o coś, za co zostaniesz sownie wynagrodzona, i, jak mówiłem, nie będzie to nic, co mogłoby się nie spodobać tobie albo twoim rodzicom. Nic – ciągnął, podnosząc palec, żeby mu nie przerwała. – Nawet to, o co cię poproszę, gdy przybędą tu dwaj dżentelmeni, po których posłałem. Być może będzie się to wydawało niepokojące, ale niepokój minie. A gdy już będziesz mieć za sobą pierwszy raz, zobaczysz, że rzecz nie pociąga za sobą trwałych negatywnych konsekwencji.

Później powiedział jej, czego od niej oczekuje. Ona zaś nagle zdała sobie sprawę, że siedzi, zamiast poprosić o zgodę na odejście z powodu szokującej i bezpośredniej natury życzenia. Odkryła też, że trunek, który mężczyzna

nalął z butelki wyciągniętej z sakwojażu, rozlewa się po jej ciele, przynosząc ciepło i spokój, dzięki którym wszystko wydawało się o wiele mniej okropne, niż z początku sądziła.



Bracia Wachman, bliźniacy, byli potężnymi mężczyznami po trzydziestce, o blond włosach, zgarbionych plecach oraz ustach szerokich jak u ropuchy. Ów płazi efekt wzmacniała jeszcze nienaturalna bladość ich skóry oraz fakt, że podbródki zlewały im się z szyjami bez jakiegokolwiek wyraźnej granicy między nimi.

Weszli do sypialni – należącej teraz najwyraźniej do Obywatela – z szerokimi sosnowymi deskami, wyglądającymi jak małe stołowe blaty. Popatrzyli tępo na gospodarza, który wskazał im podłogę przed kominkiem.

– Tam – poleciał. – Zrobimy to tam. Gdzie są obciążniki?

Bracia wpatrywali się w Clothilde, która zadrżała lekko pod tak wyraźnie oceniającymi spojrzeniami. Czuła się, jakby była ważona niczym zwierzę gospodarskie na targu, w ich wzroku nie dostrzegała bowiem ani śladu empatii.

– Nie będziemy ich potrzebować – oznajmił ten bliżej niej. – Nas dwóch wystarczy aż nadto.

– *Sie müssen sie nicht töten* – powiedział Obywatel – *oder alle Knochen brechen.*

– Nic nie złamiemy – odparł drugi. – Jesteśmy delikatni.

– *Ich möchte ihre Vitalität wieder und wieder nutzen.*

– Tak, tak – skomentował pierwszy z braci. – Lepiej pić wielokrotnie ze studni, niż na raz wysączyć butelkę. Znamy się na swoich sprawach i wiemy, jak najlepiej je wykonywać.

Obywatel skinął głową i gestem przywołał dziewczynę. Podany przez niego alkohol sprawił, że świat wydawał jej się nieco zamglony. Nie czuła się senna ani nie kręciło jej się w głowie. Po prostu wszystko, co wcześniej miało ostre krawędzie, teraz sprawiało wrażenie miękkiego i niegroźnego. Mężczyzna uśmiechnął się, a dzięki napitkowi uśmiech ten okazał się mniej drapieżny, niż to zapamiętała. Odpowiedziała pogodną miną.

Wziął małą aptekarską menzurkę, którą wyjął wcześniej z torby wraz z butelką, i napełnił ją do najniższej kreski widocznej z boku.

– To ci pomoże, Clothilde – rzekł. – W mojej prośbie nie ma nic niewłaściwego ani niestosownego. Nawiasem mówiąc, to terapia lecznicza, swoiste lekarstwo.

Przyjęła naczynie i choć coś w jej głębi wzdrygnęło się na pomysł, że miałyby wysączyć jego zawartość, poprzedni napój skłonił ją do ustępstw i nieco pozbawił hamulców, wypięła zatem. Ten płyn również grzał, spływając przełykiem, lecz zatrzymał się w połowie klatki piersiowej i ciepło promieniowało stamtąd we wszystkich kierunkach, wydając się zmiękczać kości i sprawiając, że stawała się bardziej uległa. Usłyszała swój chichot i zaraz zastanowiła się, co ją tak rozśmieszyło. Nagle zauważyła, że ściana zamienia się w sufit, i uświadomiła sobie, że położono ją delikatnie na jednej z desek przed kominkiem.

Zmiana perspektywy wydała jej się raczej dziwaczna niż niepokojąca. Dziewczyna znów usłyszała swój stłumiony śmiech, gdy jeden z Niemców o żabich twarzach podłożył jej pod głowę miękką poduszkę i przykrył bardzo twardą kołdrą. Uniosła się, żeby spojrzeć na pościel i sprawdzić, jakim cudem poszwa może być tak mocno wykrochmalona, ujrzała, czym ją przykryto, i spróbowała wstać.

Było już za późno. Gdy chciała unieść dłonie, żeby naprzeć nimi na leżącą na niej sosnową dechę, odkryła, że stały się niewyobrażalnie ciężkie i że nie może ich ruszyć.

Zachowała wystarczającą kontrolę nad ciałem, żeby móc szarpać głową z boku na bok, jednak wystarczyło, że Alp klęczący u jej boku chwycił ją mocno za podbródek, a znieruchomiała. Stwór pochylił się, rozdziawiając rybią paszczę nad jej ustami i nosem, i zacisnął szczęki na jej twarzy niczym pijawka. W tym czasie drugi ostrożnie wspiął się na deskę i zaczął wyciskać oddech z dziewczyny.

Clothilde czuła, jak powietrze wypychane jest z jej płuc, nieustępliwy nacisk narastał, a odruch kazał jej nie przerywać desperackich wysiłków. Wprawdzie jej wola została złamana, świat wokół złagodniał, a ciało niemal całkowicie przestało odpowiadać na polecenia i się bronić, wciąż jednak znajdowała w sobie siłę, żeby walczyć do końca, dopóki starczy jej sił, choćby każdy kolejny oddech miał być ostatnim.

Otępiała, bezradna i spanikowana, pomyślała, że nie zdoła już wziąć następnego, że to koniec. Zaraz jednak do głowy przyszło jej coś jeszcze: że równie dobrze może umrzeć, gdy pęknięte żebro przebije jej serce, ciężar bowiem jeszcze bardziej się zwiększył. W tej ostatniej świadomej chwili ogarnęło ją zrezygnowanie...

...i nagle zachłysnęła się, straciła kontrolę nad układem oddechowym i poczuła, jak Alp ciągnie, ciągnie, ciągnie, aż jej pozbawione tlenu wnętrze zapłonęło bólem, aż słyszała wyłącznie dudnienie własnego pulsu. Świat najpierw poszarzał, później zaś, gdy jej serce zwolniło, zupełnie szerniał. Ogarnęła ją straszliwa cisza.

Clothilde nie widziała, jak Alp wstaje i podchodzi do łóżka, na którym Obywatel odpoczywał oparty na łokciu,

obserwując całą procedurę. Nie widziała, jak mężczyzna kładzie się i pozwala stworowi zbliżyć twarz do własnej, nie słyszała donośnego syknięcia i stęknięcia, gdy Alp wypuszczał jej ostatni dech w głąb płuc Francuza. Nie widziała, jak Obywatel drży i jak zaciskają mu się pięści, jak jego blada jak pergamin skóra różowieje i jędrnieje, a oczy odzyskują blask, gdy Alp, stoczywszy się z niego, położył się obok na łóżku, wyczerpany. Nie widziała, jak mężczyzna wstaje z radością i podziwem na nagle odmłodniałej twarzy, a jego żywotność jawnie kontrastuje z niedawną martwością.

Nie słyszała jego śmiechu rozbrzmiewającego w pokoju, donośnego i zwycięskiego.

Nie czuła też, jak drugi Alp schodzi ze spoczywającej na niej deski, klęka obok, zaciska jej nos i jednocześnie wpuszcza jej powietrze do ust.

Poczuła za to spazm serca i usłyszała szum krwi, a gdy z trzepotem rzęs otworzyła oczy, ujrzała dusiołka spoglądającego na nią z zatroskaniem.

– Proszę oddychać, panno Clothilde – stwierdził rzeczowo. – I nie ruszać się. Tylko oddychać. Jest panna bezpieczna. To już koniec.

Obywatel również się nad nią pochylił. Wyglądał dziwnie inaczej, niż zapamiętała, lecz zanim zdążyła określić, na czym polega ta zmiana, uniósł jej głowę i wlał do ust kolejną porcję jakiegoś płynu. Był lodowaty, lecz dawał równie przyjemne wrażenie co poprzedni, rozlał się bowiem po jej ciele, wywołując senność. Wydawało jej się, że zasypia łagodnie pod śnieżną lawiną, która zmieniła się w miękkie deszcz gęsich piór. Zabieliły one jej świat i uspokojoną posłały w głęboki, regenerujący sen.

– Jestem zadowolony – powiedział Francuz, spoglądając

na Wachmanów. – Nigdy nie czułem się tak odświeżony po nowym oddechu, a jak być może wiecie, smakowałem dech królowej.

Spojrzeni na dziewczynę leżącą na podłodze.

– Ma w sobie porządną wiejską witalność – rzekł jeden z nich.

– A my mamy naprawdę duże doświadczenie – oznajmił drugi. – Jak już panu mówiłem.

– Ja natomiast zawsze płaciłem za to waszej rodzinie – odparł ostro Obywatel. – I to już od dawna. Teraz zanieście ją do pokoju obok, żeby mogła się wyspać. Jeśli podałem jej odpowiednią dawkę, nie zapamięta zbyt wiele i nie poczuje niczego nieprzyjemnego, gdy się obudzi.

– To bardzo ludzkie z pańskiej strony – powiedział jeden z bliźniaków, unosząc koniec deski, której zamierzali użyć jako noszy.

– Nie interesuje mnie ludzkie zachowanie – skomentował Francuz. – Chcę tylko, żeby można z nią było to robić jak najczęściej, nie narażając jej przy tym na szwank.

– Zatem nie częściej niż raz na tydzień lub dziesięć dni – odparł Alp. – Musi w pełni dojść do siebie.

– Na razie – rzekł Obywatel. – Przynajmniej na razie.

Przeciągnął się, szeroko rozkładając ręce, i śmiał się, gdy wynosili Clothilde z pokoju.

– Na bogów, ależ młody się znów czuje! Tak młody, że nie wystarczy mi podbić jeden świat!

ROZDZIAŁ XX

Bezkrólewie w kantorze

Król liczył swój majątek,
A miał pieniędzy w bród.
Królowa zaś w bawialni
Zjadała chleb i miód.
Służąca wyszła z praniem,
By wieszać je w ogrodzie
Lecz z góry sfrunął kos
I urwał wnet jej nos.

Amos podtrzymywał zataczającą się Zmoreę, gdy parli naprzód mimo ulewy. Oddalali się od rozdartej markizy, pod którą przemokli do suchej nitki, i zbliżali do wąskiego budynku, który czekał na nich kawałek dalej. Nagle Amos zatrzymał się i zaczął wpatrywać w coś, czego nie spodziewał się ujrzeć nawet w najbardziej szalonych wyobrażeniach.

– O co chodzi? – spytała kobieta.

„Dom mojego ojca”.

– Ale myślałam, że mamy nie zwracać na siebie uwagi – rzekła.

Twarz chłopaka zwiotczała. Był w szoku.

Wszystkie okna zakryto okiennicami. Szeroka brama prowadząca na wewnętrzny dziedziniec i do powozowni była zamknięta, a latarnia umieszczona pod dyskretnym szyldem nad głównymi drzwiami nie świeciła się. Zaskoczyło to Amosa, ponieważ przez całe życie widział ją

zapaloną. Postrzegano ją wręcz jako symboliczny talizman i dowód prawdziwości zapisanej złotymi literami dewizy, którą bracia Templebane'owie umieścili pod tablicą z napisem „Templebane & Templebane”, a która głosiła: „Nigdy nie zasypiamy”.

Amosowi, jako najmłodszemu z adoptowanych braci, powierzono niebezpieczny i trudny obowiązek pilnowania zbiornika oliwy, dzięki której ów niegasnący płomień mógł wciąż gorzeć. Dostał żartobliwy przydomek „Panna Mądra”, od biblijnej przypowieści o pannach mądrych i pannach głupich, podobnie bowiem jak te głupie spotkało potępienie, gdy nie okazały przenikliwości i nie dopilnowały, żeby mieć pełne naczynia, tak każdy syn Templebane'ów, który piastował ten ważny urząd, przez cały czas żył w strachu przed wyrokiem ojcowskiej anatemy, niechybnie wzbogaconej o solidne baty. Sprawdzał stan zbiornika po przebudzeniu, w południe i nocą, za każdym razem przeklinając ojców za to, że nie zainstalowali tam nowoczesnej lampy gazowej. Jeśli w opinii ojców poziom płynu był niewystarczający, chłopak dostawał wciury brzozową witką wiszącą w kantorze i czekającą na takie właśnie okazje. Zostało mu więc dosłownie wtłoczone, że ogień ten jest wieczny i niegasnący.

A teraz się nie palił.

Co więcej, dwóch ulicznych sprzedawców rozstawiło swoje kramy w miejscu, które normalnie utrzymywano puste, żeby mógł tamtędy przejeżdżać powóz. Obie te rzeczy utwierdziły Amosa w przekonaniu, że dom z pewnością jest nieużywany, bo każdy zuchwałby kupczyk, który ośmieliłby się blokować wjazd, zostałby wyrzucony przez zgraję braci. Ojcowie ze szczególną niechęcią

podchodzili bowiem do kupców – nazywali ich „plugawymi ulicznymi Arabami tarasującymi nam fasadę”.

„Porzucili go”. Spojrzał na Zmorę. „Dlaczego?”

Podniosła na niego wzrok. Jej mokre, sklezione włosy przypominały szczurzy ogon, twarz pobladła i drżała. Kobieta spróbowała wykonać gest, który mógł być wzruszeniem ramion, a może jedynie silniejszym dygotem. Jej wąskie wargi przypominały cienką niebieską szramę, Zmora zaciskała bowiem szczęki, żeby powstrzymać szczekanie zębów.

„Skąd mam wiedzieć? Gdzie jest to suche miejsce? Nie czuję się dobrze i boli mnie głowa”.

Poprowadził ją do pustego budynku po drugiej stronie ulicy. Wykonany z metalowych liter napis nad posępną bramą głosił, że ostatnimi najemcami byli „Ruck i Buchan, Mistrzowie Stelmachowie”. Amos rozejrzał się, by się upewnić, że nie rzuca się zanadto w oczy, po czym pomajstrował przy mniejszej furtce wprawionej w duże wrota i ją uchylił. Zmora przemknęła pod jego ramieniem, a on wszedł za nią i starannie zamknął za sobą wejście.

Za bramą przystanęli zszokowani – deszcz raptownie ustał.

Chłopak rozglądał się po znajomym miejscu. Nic się nie zmieniło. Drzwi do warsztatu pozostały zamknięte, okna zasłonięte gazetami. Bracia posprzątali tam na polecenie Zebulona i Issachara, którzy nie chcieli „żadnego cholernego bajzlu i brudu, przyciągającego tylko szczury”.

Miał wrażenie, że minęły całe wieki, odkąd znalazł się w zespole sprzątającym, i właśnie gdy zamiatał najciaśniejszą przestrzeń pomiędzy obiema nieruchomościami – nieprzyjemne zadanie, do którego zmuszono go jako najmłodszego – dokonał odkrycia, dzięki

któremu uzyskał własne sekretne wejście do domu Templebane'ów. Wymykał się tedy po kryjomu, gdy chciał umknąć przed prześladowaniami, do których ojcowie wydawali się zachęcać swych podopiecznych.

Znalazł drzwi i klucz.

Drzwi były wąskie, połowy szerokości zwykłego przejścia, stanowiły pozostałość nieznannej dawnej postaci domu. Na podstawie śladów pozostawionych na ścianie można było sądzić, że zanim na sąsiedniej działce postawiono siedzibę stelmachów bankrutów, być może prowadziły do jakiejś dodatkowej szopy. Znał je od środka – tkwiły zamknięte i nieużywane w bocznym korytarzu u Templebane'ów, pomiędzy kredensem a wieszakiem, na który bracia odkładali płaszcze. Klucz do nich podobno zaginął w poprzednim stuleciu albo też wisiał na potężnym kółku u któregoś z ojców.

Amos trafił jednak na drugą stronę tych drzwi, co więcej, podczas zamiatania natknął się na luźną kostkę brukową, tak starą, że nie kamienną, tylko drewnianą, a kiedy ją podniósł, znalazł dwa identyczne klucze związane kawałkiem szpagatu, który rozsypał się w pył, gdy tylko znalazł się w ludzkiej dłoni. Każdy posłuszny syn oddałby oczywiście takie znalezisko swoim opiekunom.

Nie on. Zostawił jeden z kluczy na miejscu, żeby się zabezpieczyć na wypadek zgubienia drugiego, i uzyskał własne boczne wejście do domu, którego istnienie utrzymywał w tajemnicy. Ukradł lampę olejową i całymi tygodniami smarował zamek oraz zawiasy, zanim ośmielił się użyć drzwi, bał się bowiem, że skrzyknięcie mogłoby go zdradzić. Zamek okazał się zaskakująco cichy, nad zawiasami Amos pracował miesiąc, zanim zaczęły się poruszać niemal bezszelestnie.

Zapasowy klucz wciąż tkwił pod drewnianym klockiem, nasmarowany i owinięty kawałkiem naoliwionej tkaniny, tak jak go zostawił.

„Co robisz?”

„Po co ma być nam tylko sucho, jeśli może również być ciepło? Zostań tam przez chwilę”.

Serce poderwało mu się do galopu, gdy zamek zaskrzypiał zdradziecko, mimo to chłopak, wstrzymując oddech i zaciskając zęby, uchylił drzwi. Nie usłyszał żadnych odgłosów poza bębnieniem deszczu o dach, wślizgnął się więc do ciemnego korytarza. Rzędy haków, na których zwykle wisiały płaszcze braci, były puste. Wciąż nieufny – nie miał bowiem pewności, że dom został całkowicie opuszczony – usiadł na ławce i zdjął buty. Przemknął na palcach do kantoru, serca budynku. Była to wielka jak stodoła przestrzeń z dwoma rzędami wysokich pulpityw biegnącymi przez środek oraz zimnym, wygaszonym, pękatym piecem pomiędzy nimi. W suficie widniały szerokie świetliki, o które hałaśliwie stukał deszcz, pod wysokimi bocznymi ścianami stały zaś szafki i sięgające do samej góry regały wypchane księgami rachunkowymi oraz nabrzmiałymi stosami zakurzonego papieru, przywodzącymi na myśl hubę pokrywającą korę drzew.

Na podwyższeniu na przeciwległym krańcu kantoru znajdowało się częściowo oszklone biuro, trochę jak pomost sternika, gdzie zwykle przebywał jeden z ojców, mając baczenie na stanowiska poniżej. Teraz było tam pusto, zostawiono otwarte drzwi. Było to zjawisko niemal równie bezprecedensowe jak brak wiecznego ognia przy wejściu.

Z jakiegoś powodu w głowie Amosa podkradającego się cicho do prowadzących do gabinetu krętych żelaznych

schodów zaczęły się odtwarzać słowa dziecięcej rymowanki, tej o królu siedzącym w kantorze i liczącym pieniądze. Był to wesoły na pozór wierszyk, który zaczynał się wzmianką o monecie sześciopensowej, a kończył informacją o kosie urywającym nos niewinnej dziewczynie. Chłopak zajrzał do serca kantoru, lecz nie znalazł tam ani żadnego z ojców, ani ich pieniędzy, ani też, sądząc po ilości kurzu, dowodu, że ostatnio ktokolwiek tam przebywał.

Podwójne drzwi do masywnego sejfu stojącego pod przeciwległą ścianą były szeroko rozwarte. Do tej pory Amos widywał go jedynie od zewnątrz, od strony tych właśnie wrót zwieńczonych brązowym medalionem w kształcie feniksa i ozdobionych napisem głoszącym, że jest to „Patentowany SKARBIEC Milnera, Ognio- i Złodziejoodporny, z Zamkiem Zabezpieczonym przed Działaniem Prochu”. Teraz patrzył na pomalowany szkarłatną farbą środek, w którym nic nie było.

„Wynieśli się” – pomyślał.

„Mogę wejść?” – spytała Zmora odległym głosem w jego głowie.

„Jeszcze chwilę”.

Pobiegł cicho na górę i sprawdził pomieszczenie po pomieszczeniu, żeby upewnić się, czy naprawdę nie pozostawiono nikogo w charakterze stróża.

Wspólne pokoje braci okazały się puste, z niepościelonymi łózkami, ogołocone z ubrań. Tylko na jednym z łóżek została jakakolwiek odzież – na tym należącym do niego. Gdy spoglądał na wyświechtany barchanowy płaszcz, wielokrotnie cerowany i łatany, poczuł ukłucie gdzieś za nosem. Płaszcz prezentował się żałośnie, ale przynajmniej był suchy, i to właśnie dlatego Amos poczuł niechciany sentyment. Sięgnął po okrycie

i nagle znieruchomiał. Gdy zdjął płaszcz z kołka, odkrył pod spodem coś, czego już nigdy nie spodziewał się zobaczyć, a co było jak cios pięścią. Targnął nim huragan domysłów na temat sposobu, w jaki przedmiot mógł tu wrócić bez niego.

Patrzył na starą mosiężną tabliczkę na skórzanym pasku, zgubioną podczas szaleńczej ucieczki przed Sluagh, kiedy to opuścił powóz Mountfellona. Widniał na niej głęboko wyryty napis, niewątpliwie odnoszący się do niego:

Nazywam się Amos Templebane,
jestem niemy, ale rozumny.

Wpatrywał się tępo w zawieszkę. Przecież powinna teraz korodować gdzieś na polu pomiędzy Londynem a Rutlandshire, tymczasem trzymał ją w dłoni. Skąd się tutaj wzięła? Kto ją tu przywiózł? Dlaczego ktoś zadał sobie trud, żeby ją tu sprowadzić i powiesić przy jego łóżku, jakby wiedział, że pewnego dnia chłopak wróci? Nie miało to rzeczywistego sensu, ten nierzeczywisty sprawiał zaś, że Amosowi dziwnie patrzyło się na przedmiot, ponieważ domyślał się, że to Sluagh musieli zwrócić go Zebulonowi lub Issacharowi. Nie podobała mu się ta koncepcja, bo wydawała się świadczyć o głębszym, niż dotąd sądził, związku pomiędzy ojcami a wędrowcami nocy. Poza tym przypominała mu, że Sluagh mogli równie dobrze kręcić się po mieście, co było niemożliwe, gdy przebywał tu po raz ostatni. Prawo Żelaza zostało zniesione. Zamki, podkowy, szyny kolejowe czy nawet broń biała nie mogły już służyć do odstraszenia tych istot. Możliwe, że nie tylko on i Zmora zakradli się do Londynu. Horda Mroku mogła ich wyprzedzić, zabierając ze sobą swoje cienie.

Amos wziął suchy płaszcz, kilka koców i tabliczkę, po czym wznowił inspekcję. Pokonał dwa kolejne piętra, nabrał pewności, że pokoje zostały opuszczone w pośpiechu, i wrócił na parter. W kuchni nieco śmierdziało zgniłą żywnością, a nieumyte naczynia w zlewie potwierdzały tezę o szybkiej ewakuacji.

Złapał wiadro z drewnem na rozpałkę i szufłę węgla, po czym wrócił do kantoru. Zawsze istniała szansa, że ktoś zjawi się tu niespodziewanie, a stamtąd zdoła usłyszeć charakterystyczne dzwonki drzwi frontowych i bramy – będzie więc mieć czas, żeby wymknąć się niezauważonym.

„Wejdz, zamknij za sobą drzwi i skieruj się w lewo. Rozpalam ogień”.

Nie minęło wiele czasu, a w żelaznym palenisku rozgorzał ryczący płomień. Amos miał w tym długą praktykę, a komin zawsze dawał dobry cug. Zostawił Zmorę na podsunętej blisko ławce i wrócił do kuchni, żeby poszukać czegoś do jedzenia, podczas gdy ona zdejmowała przemoczone ubrania i rozwieszała je wokół pieca. W szafkach w spiżarni nie znalazł nic jadalnego. Szczury dobrały się do sypkich produktów, a cała reszta była zepsuta. Wziął herbatę i czajnik z wodą, który postawił na palenisku. Zmora zakutała się w koc i jak zahipnotyzowana wpatrywała w czerwony blask bijący od drzwiczek pieca.

Przetrząsając kuchnię, Amos zastanawiał się, czy jest to odpowiednia chwila, żeby zakończyć ich znajomość. Rozmyślał, w jaki sposób doprowadzić do rozejścia się ich ścieżek i uniknąć pełnych rozgoryczenia obiekcji, z którymi niewątpliwie spotka się jego propozycja.

Gdy znów ujrzał tabliczkę, przypomniał sobie, kiedy użył jej po raz ostatni – przedstawiał się wówczas Mountfellowowi i przekazywał mu list.

Zmora wyrwała go z zadumy, sztywniejąc nagle i obracając ku niemu zaniepokojoną twarz.

– Na pewno ich nie ma?

„Na pewno”.

– A co, jeśli wróca?

„To możliwe. Ale myślę, że odeszli dawno temu”.

Przejechał palcem po zakurzonej pulpicie.

„Zamknęli dom i udali się gdzieś indziej”.

– Robili już tak kiedyś?

„Nie. Dom Templebane’ów nigdy nie zostaje zamknięty. To dlatego jest Ojciec Dzienny i Ojciec Nocny. Słyszałem jednak pogłoski o innych miejscach”.

– Jakich?

Amos wzruszył ramionami.

„Niektórzy starsi bracia rozmawiali czasami o siedzibie, w której mieszkali wcześniej. Przed Londynem”.

Przytaknęła i obróciła znów twarz do ognia, rozkoszując się ciepłem.

– Ogrzejemy się, wysuszymy i ruszymy dalej – powiedziała. – Nie sądzę, żeby było bezpiecznie tu pozostawać.

Na jednym z biurków znalazła parę wielkich nożyczek o mosiężnych uchwytach. Rozejrzała się po pomieszczeniu, ściskając je niczym sztylet.

Amos uniósł wzrok ku szklanym świetlikom, w które bębnił deszcz. Ulewa nie ustąpiła nawet na jotę. Kobieta odłożyła nożyce na ławkę obok siebie i wyciągnęła dłonie do ognia.

– Przynajmniej możemy wysuszyć ubrania – rzekła, ziewając ukradkiem.

„I odpowiednio wcześniej usłyszemy otwierające się drzwi, będziemy więc mogli wyjść tą samą drogą, którą

weszliśmy”.

– A co, jeśli to oni tamtędy wejdą?

„Zatem nigdy nie widziałaś Issachara ani Zebulona. To otyli mężczyźni. Drzwi są zbyt wąskie.

Usiadł na jednym z wysokich taboretów i spojrzął na mosiężną tabliczkę, którą przyniósł ze swojej dawnej sypialni.

– Co to jest? – spytała ostro Zmora.

Pokazał jej płytkę i zerwany pasek.

„Sluagh mi to zabrali, gdy uciekałem z powozu Mountfellona. Gdyby nie pękło, dopadliby mnie”.

– A my moglibyśmy nigdy się nie poznać. – Uśmiechnęła się. – Pomyśl, jakie by to było smutne. Przecież tak wspaniale i krwawo się bawiliśmy.

„Nie wiem, w jaki sposób tutaj trafiła. Martwi mnie to”.

– Templebane’owie babrzą się w cieniach. A może to Mountfellon ją znalazł i odesłał.

„Czemu?”

– Kto wie? I kogo to obchodzi, Krwawy Chłopcze? To twoja historia, nie moja.

Owinęła się ciasniej kocem i położyła na ławce przy ogniu jak pies. Amos spojrzął na nią i poczuł niemal namacalne pragnienie, żeby wyzwolić się spod jej wpływu. Była jak korozja, żywa rdza, która pożerała jego poczucie samoświadomości. Gdy się nie pilnował, zaczynał nawet machinalnie myśleć o sobie jako o Krwawym Chłopcu. Nie zamierzał stać się istotą, jaką w nim widziała – po pierwsze dlatego, że nie chciał być już kiedykolwiek odpowiedzialny za rozlew krwi, po drugie zaś z mroczniejszego powodu, do którego dopiero zaczynał przyznawać się przed samym sobą: kryło się w nim coś, co wiedziało, że jednocześnie i jest dobry, i pociąga go przemoc, pomimo że starał się

trzymać swojej lepszej natury. Odkryta przez niego nowa umiejętność szybkiego poruszania się, gdy świat wokół wydawał się zwalniać, jeszcze pogorszyła sprawę. W chwili wyzwalania się tej mocy poczuł, że coś w nim pękło, i teraz żył w strachu, że pęknie coś jeszcze, a on wyzwoli całą tę szybkość i destrukcję, nie kontrolując się, jak lis w kurniku. Nie chciał tego. Chciał pozostać sobą, a nie zbrukaną, skorodowaną wersją siebie, która wydawała się wylazić na wierzch.

„Później się rozstaniemy”.

– Nie. Wciąż łączy nas wspólny interes. – Uniosła powieki i posłała mu przenikliwe spojrzenie. – Chodź ze mną do Chandos Place i pomóż mi znaleźć Mountfellona. Mountfellow musi...

„Wiem, wiem. Mountfellow musi umrzeć, a ja jestem Krwawym Chłopcem i tak dalej. Mówię ci jednak, że nie zamierzam w tym uczestniczyć. Pójdę do Nadzoru na Wellclose Square.

Splunęła na podłogę.

– Nie pomogą ci. Nawet nie otworzą przed tobą drzwi.

„Pomogę ci znaleźć wejście do domu Mountfellona, ale musimy się rozstać”.

Właśnie o tym rozmyślał, o środku służącym do osiągnięcia pożądanego celu, jakim było zakończenie ich niewygodnego sojuszu, przypominającego długi wyrok więzienia. Rozmyślał o tym, gdy zaś odnalazł swoją tabliczkę, a później zobaczył rzędy pulpitów z kałamarzami i piórami, wpadł na pomysł. Nie żywił ciepłych uczuć do Mountfellona, który rozciął mu kciuk skalpelem tylko po to, żeby zobaczyć jego krew, przeraziła go też kolekcja oskórowanych istot w Gallstaine Hall. Żywił nawet pewną sympatię do znieawidzonych Sluagh, przekonanych, że

Mountfellow eksperymentował na ich pobratymcach, a później obdarł ich ze skóry. Amos nie zamierzał wprawdzie służyć Zmorze za broń, uznał jednak, że mogłby w końcu uwolnić się od łączącej ich relacji, otwierając dla niej drzwi. Nie obchodziło go, co kobieta zrobi, gdy znajdzie się w środku, blisko Mountfellona. Zakończy tę znajomość raz na zawsze.

„Napiszę ci wiadomość w imieniu mojego ojca Zebulona. Zaznaczę, że masz informację przeznaczoną tylko dla jego uszu”.

Spojrzała na niego, przekrzywiając głowę, po czym uśmiechnęła się tym swoim niepokojącym uśmiechem i wpatrywała w ryczący żelazny piec, od którego były miłe fale ciepła.

– To może zadziałać, Krwawy Chłopcze – rzekła. – To rzeczywiście może zadziałać, obawiałam się bowiem, że Mountfellow wie, jak wyglądasz, i może mieć się na baczności. Moja twarz zwiędła, nie przypomina już kwiatu, który kiedyś znał, nie ma szans, by mnie rozpoznał, dopóki nie ukazę mu się w całej swojej... obecnej urodzie.

Sięgnęła po nożyczki leżące przy jej głowie i przyjrzała im się.

– One też są piękne, czyż nie, Krwawy Chłopcze?

„To tylko nożyce”.

– Czy jednak nie widzisz, dlaczego są takie piękne? Zabiorę je. Jestem pewna, że twoi ojcowie nie będą mieli nic przeciwko temu.

Amos był pewien, że jego ojcowie mieliby coś przeciwko temu, ale jedynie wzruszył ramionami. Zachichotała i wyciągnęła narzędzie na długość ręki, obserwując, jak płomienie odbijają się w stalowych ostrzach. Znów ziewnęła, a chłopak wbrew sobie uczynił to samo i uznał,

że dobrze byłoby trochę się przespać.

– Czy nie widzisz, jak one są... odpowiednie?

Ponownie wzruszył ramionami. Napisze jej list polecający, a później nieco się zdrzemnie. Miał nadzieję, że gdy się obudzi, deszcz przestanie już padać, ubranie wyschnie, on zaś odzyska energię, żeby definitywnie rozstać się ze Zmorą. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, znajdzie się w budynku Nadzoru w ciągu pół godziny od zakończenia burzy.

„To je sobie weź”.

Zanurzył stalówkę w atramencie, znów ziewnął i zaczął pisać. Zamierzał stworzyć krótką, rzeczową wiadomość i złożyć pod nią podpis Zebulona, w którego podrabianiu czuł się najpewniej.

Kobieta mówiła dalej, w równej mierze do niego i do ognia:

– Nie widzisz. Ale on zobaczy, Francis zobaczy, jest kulturalnym człowiekiem. Wyedukowanym przez najlepszych nauczycieli, jakich da się wynająć, jeśli się ma pieniądze. W tym mojego ojca. Przynajmniej to jedno nas łączy: doskonałe klasyczne wykształcenie.

Chłopak nigdy dotąd nie słyszał, by określała Mountfellona po imieniu, i ukrył tę informację za swoimi umocnieniami, pragnąc się dowiedzieć, dokąd prowadzą rozmyślenia jego towarzyszkii.

– Co wiesz o Mojrach?

„Nic”.

Pióro prysnęło atramentem, pokrywając jego staranne pismo kleksami. Amos zgniótł arkusz i zaczął od nowa.

– Dawni Grecy wierzyli w wielu bogów, ale uważali, że nawet najpotężniejsi z nich podlegają władzy przeznaczenia. Odpowiadały za nie trzy Mojry, trzy siostry:

Kloto, druga, której imię mi umknęło, i Atropos. Kloto przędła nić człowieczego życia. Tamta, jak jej tam, mierzyła jego długość. Atropos zaś, najstarsza i najbardziej nieubłagana z sióstr, dzierżyła nożyce i przecinała nici, prowadząc w ten sposób śmierć. Czy wiesz, co znaczy po grecku Atropos? Nie, raczej nie wiesz. Znaczą „Nieodwracalna”. Losu nie można odwrócić ani uniknąć. Dzięki tym pięknym nożycom stanę się wcieleniem Atropos, a on zobaczy, że mój wyrok i jego wykonanie są równie nieuniknione.

Bredziła dalej o zemście i o tym, jaka będzie słodka, lecz chłopak przestał skupiać się na jej słowach i po trzech kolejnych nieudanych próbach zdołał wreszcie skończyć wiadomość. Uświadomił sobie wtedy, że jej głos ucichł i jedynym dźwiękiem jest bębnienie deszczu o świetliki, słabsze niż wcześniej, ale wciąż uporczywe. Amos przypomniał sobie, jak miła wydawała się perspektywa drzemki, oparł więc głowę na ramionach ułożonych na pulpicie. Pomyślał, że być może powinien położyć koc na podłodze bliżej ognia, bolały go jednak nogi i był zmęczony, uznał więc, że posiedzi tak sobie przez chwilę. Siedział wobec tego, kolejne chwile mijały, deszcz wciąż padał, z kilku chwil zrobiła się godzina. Oboje spali, a z kącika ust Amosa wysączyła się mała strużka śliny, mocząc skraj najlepszego egzemplarza pisma...



Z ciepłej ciemności wytrąciły go ostre trząśnięcie i chłodny dotyk metalu u podstawy karku.

Ktoś stał za jego plecami i rzucał na niego cień. Ktoś, kto śmierdział mokrą wełną, potem i przynajmniej jednym

paskudnie ropiejącym zębem.

– Bądź cicho, Amosie Templebane. Chyba nie chcemy obudzić twojej przyjaciółki, prawda?

Był to Abchurch. Sen, w który Amos zapadł, okazał się zbyt głęboki, by chłopak zdołał usłyszeć odgłos otwierania się drzwi frontowych, stłumiony przez stukot deszczu o szklane świetliki w dachu.

Abchurch zachichotał nieznacznie.

– No jasne, przecież ty tak naprawdę nie wydajesz dźwięków, co nie? Ale żadnych gwałtownych ruchów, inaczej to zrobi bum, a ty, cóż, ty rozprysniesz się dookoła. A teraz obróć się, braciszku, żebym mógł się przyjrzeć tobie i twojej wybrance. Wygląda nieco staro na figle... lecz na bezrybiu i rak ryba, prawda? A taki chłoptaş jak ty pewnie cieszy się z odrobiny białego mięska, nawet jeśli jest od starej kury, hę?

Cofnął się o krok i pozwolił Amosowi się wyprostować.

Nie zyskał na urodzie, odkąd widzieli się ostatnio. Na jego twarzy w równych proporcjach malowały się okrucieństwo i słabość, wybałuszone oczy i żaloszny cofnięty podbródek też nie dodawały mu uroku. Wyciągnął rękę i przysunął bliżej siebie zapisaną przez Amosa kartkę, żeby lepiej się jej przyjrzeć.

– Ho, ho – powiedział. – Bawimy się w fałszerza, nie? W co pogrywasz?

Zachichotał, wskazując starannie uformowane Z w podpisie.

– Coś ci powiem. Jeśli zamierzasz udawać kogoś, kim nie jesteś, to wybrałeś złego ojca, bo stary Zebulon węża kwiatki od spodu.

Amos nie potrafił ukryć zaskoczenia wywołanego tą wieścią. Ojciec Nocny i Ojciec Dzienny towarzyszyli mu

przez całe świadome życie jako złowrogie kolosy i myśl, że mogli umrzeć, wydawała się wprost niemożliwa.

– O tak, młody Amosie, Nadzór go utopił. Ochrzcił się w rzece i wynurzył jako trup.

Zmora ocknęła się i spoglądała mętным wzrokiem na nowo przybyłego.

– O proszę! Obudziła się! – oznajmił wesoło Abchurch, po czym ostrzegawczo wymierzył w nią palec, nie odsuwając przy tym broni od twarzy Amosa. – Ty też nie wykonuj żadnych gwałtownych ruchów, mamusko, inaczej zdmuchnę mu sadzę z gęby i zobaczymy, jaki kolor ma w środku. Słyszysz mnie?

Skierował uwagę z powrotem na brata.

– To na czym skończyliśmy, ćwoku?

Amos wzruszył ramionami.

– Pewnie się zdziwiłeś, że tu zamknięte i nikogo nie ma. Pewnie pomyślałeś, że to twój szczęśliwy dzień. Przykro mi, że popsulem ci schadzkę. Ale choć nie jesteśmy w domu, nie znaczy to, że możesz się tu panoszyć. Sporo się zdarzyło, odkąd dałeś dyla, sporo ważnych rzeczy. Zatem ojciec Issachar uznał, że powinniśmy zmienić lokum i się przyczaić, żeby nie spotkał nas odwet. Posłał mnie po jakieś papiery, ale ucieszy się jak świnia w błocie, gdy przyprowadzę mu też zaginione jagniątko. Na pewno będzie chciał się dowiedzieć, co ty i ta stara suka knujecie. Zupełnie jakby wracał syn marnotrawny, tyle że tym razem to nie utuczone cielę poczuje nóż. Myślę sobie, że przyjdzie kryska na naszego ulubionego brudasa.

– Zostaw go.

Abchurch zerknął na Zmorę, która usiadła i wpatrywała się w niego stanowczym, nieugiętym wzrokiem.

– Że co niby? – spytał.

– Zostaw go – odparła dobitnie.

Abchurch parsknął śmiechem.

Kobieta wstała.

Chłopak odruchowo cofnął się o krok, po czym zarumienił się ze złości.

– Albo co, słonko?

– Albo on cię zabije – powiedziała, wchodząc na pole, które poddał.

Zacisnął dłoń w pięść i zamachnął się na nią. Uderzona, poleciała z powrotem na ławkę i bezwładnie upadła na podłogę.

– Lepiej się przykniij, stara jędzio, inaczej znowu...

Amos zerwał się „szybko-lecz-wolno”, wbrew sobie, bez zastanowienia.

I niespełna minutę później wyszedł chwiejnie przez frontowe drzwi na zlaną deszczem ulicę, zasłaniając dłonią usta, jakby powstrzymywał silny odruch wymiotny.

Ulewa ustała.

Rechot pozbawionego wesołości śmiechu Zmory ścigał go z wnętrza domu, z którego chciał się jak najszybciej wydostać.

– To krew woła, Amosie Templebane, krew woła!

Ominął konny omnibus sunący podtopioną ulicą i przeszedł na przeciwległy chodnik. Poruszał się jak automat o tępym spojrzeniu. Kobieta wyszła z domu i podążyła za nim. Wciąż był bosy i wciąż ścisnął w prawej pięści pióro o metalowej stalówce, niczym nóż. Zmierzał na wschód. Zmora niosła jego buty, a ramiona owinęła dwoma kocami. Wyglądała niepokojąco promiennie i wesoło.

Niemal pogodnym gestem wzięła go pod ramię i podała obuwie.

– Robisz się w tym coraz lepszy – rzekła, podnosząc dłoń

i ocierając mu coś z brody. – Tym razem prawie nie masz na sobie krwi. Wkrótce będę musiała ci nadać nowe miano.

ROZDZIAŁ XXI

Dom na końcu świata

Kowal wrócił do Portree i znalazł innego mężczyznę chętnego zawieźć go dwukółką do małej przystani w Uig. Tam zapłacił kolejnemu człowiekowi oraz jego synowi, żeby przetransportowali go na wyspę Północny Uist, niemal niewidoczną pod chmurami nadciągającymi z północnego zachodu. Po wietrznej przeprawie po wzburzonych falach spędził noc w domu dzierżawcy wychodzącym na małą przystań w Lochmaddy, gdzie początkowo zaskoczony gospodarz odkrył, spojrzawszy nieznajomemu głęboko w oczy, że tak naprawdę wcale nie jest on obcym, lecz dawnym przyjacielem rodziny, oczywiście spodziewanym, i że należy mu zapewnić nocleg oraz wyżywienie, w tym na kolację najświeższą rybę, jaką tylko da się znaleźć na wyspie.

Rankiem Kowal podziękował gospodarzowi i wypożyczył krzepkiego konia. Został zapewniony, że zwierzę potrafi pewnie stawiać nogi i jest krzyżówką norweskiego konia fiordzkiego oraz kuca z Eriskay, po którym odziedziczyło jabłkowite umaszczenie. Wziął siwka i skierował go na kręty szlak biegnący przez wrzosowiska jeszcze dalej na zachód.

I znów ruszył w podróż, którą odbywał już nie raz. Tutejszy krajobraz wydawał się niemal niezmienny ani od pierwszej wizyty, ani od kolejnych, które Kowal zobowiązał się podejmować na przestrzeni wieków. Wyspę porastały wrzosa, ukrywając niezliczone zdradzieckie

moczary i jeziorka, wobec czego trzymał się krętej drogi biegnącej wzdłuż nieregularnej linii brzegowej. Jeśli wziąć pod uwagę odległość, wydawało się to długą trasą, Kowal wiedział jednak, że to najszybszy i najpewniejszy sposób na dotarcie do celu.

Wyspa była dość niska, z niewieloma znaczniejszymi wzgórzami lub szczytami, i tak naszpikowana zatoczkami i jeziorkami, że z góry – jak powiedział Kowalowi ktoś, kto potrafił patrzeć oczyma ptaka – wydawała się składać w większym stopniu z wody niż ze skał i wyglądała raczej jak koronka niż jak lity teren. W związku z tym nadbrzeżna droga meandrowała na pozór chaotycznie. Wszystkie spośród nielicznych domów były niskie i miłe dla oka – sprawiały wrażenie elementów krajobrazu dzięki grubym kamiennym ścianom i głęboko osadzonym drzwiom pod zaokrąglonymi pagórkami wrzosowych strzech, których wiatr nie porywał dlatego, że w miejscu utrzymywały je sznurowe sieci obciążone głazami. Niektóre miały okna, przy wszystkich od słonecznej strony przy drzwiach stały ławki, a większości strzegły owczarki, które broniąc swojego terenu, obszcekiwały każdego wędrowca. Koń szedł pewnie i nie płoszył się, być może wiedząc, że całe to ujadanie i powarkiwanie służy tylko pokazaniu zębów i nie jest zapowiedzią ataku.

Zabudowania stawały się coraz rzadsze. Kowal skreślił z głównego szlaku na półwysep, ominął wzgórze, aż ujrzał przed sobą przestwór Atlantyku i samotny dom osłonięty od wiatru przez pagórek, stojący w miejscu, gdzie ciemne wrzosa ustępowały miększej, zieleńszej, nadmorskiej trawie, za którą widniała mała, ukryta zatoczka.

Miejsce wyglądało na opuszczone, lecz mężczyzna wiedział, że się go spodziewano.

Kruki zaczęły krążyć nad nim w dyskretnej odległości, zanim jeszcze opuścił bardziej zaludnione tereny wyspy, oddalone stąd o jakieś cztery mile. Teraz zsiadł z konia, rozsiadł go i podprowadził do strumyka za domem, gdzie zwierzę pochyliło głowę i długo piło.

– Możesz go też rozuzdać, donikąd nie odejdzie – dobiegło od drugiej strony budynku.

Kowal rozpiął skórzane paski i poklepał siwka.

– Dziękuję – powiedział koniowi do ucha.

– Acht, on nie zrozumie twojego obcego angielskiego – rzekł głos. – To dobry wyspiarski zwierzak. Mówi tylko porządnym gaelickim...

Kowal obszedł zaokrąglony kraniec domu i ujrzał plecy starszej kobiety siedzącej na kamieniu na szczycie niewielkiego wzniesienia, tworzącego naturalny taras przed budynkiem. Jej długie białe włosy łopotały jak sztandar na wietrze. Wydawała się zanadto pochłonięta obserwowaniem monotonnego krajobrazu poniżej, żeby odwrócić się i powitać przybysza. Otaczały ją kruki – ponad trzydzieści ciemnych ptaków ustawiło się wokół jej bladej sylwetki niczym strażnicy. I w przeciwieństwie do niej wszystkie spoglądały na Kowala; czarne oczy śledziły każdy jego krok.

– Wspaniałego dnia – powiedział.

Kobieta w końcu obróciła ku niemu oczy. Wciąż wydawały się bystre, choć były zamglone wiekiem. Twarz miała dojrzałą, stanowczą i ogorzałą, ale od kącików oczu rozbiegały się linie świadczące o życiu spędzonym w radości i śmiechu.

– Tobie również wspaniałego dnia, Waylandzie.

Para oczu, które podążały za nim, odkąd opuścił Londyn, sfrunęła z nieba, gdy Kruk dołączył do swoich

pobratymców.

Białowłosa podniosła się z kamienia i ruszyła w stronę Kowala, utykając na lewą nogę. Nie zatrzymując się, minęła go, klepiąc serdecznie w ramię, i weszła do domu.

– Usiądź i daj odpocząć kościom – rzekła, wyłaniając się z kubkiem z rogu napełnionym wodą. Podała mu go.

Wychylił połowę jednym haustem i następną drugim. Skinął głową w podziękowaniu.

– Siadaj – powtórzyła. – Przyniosę ci jeszcze.

Spoczął na solidnie wyrobionej ławce i wyciągnął przed siebie nogi, czując na twarzy delikatny wietrzyk, równie orzeźwiający jak wypita właśnie woda.

Kobieta wyszła z powrotem, podała mu pełny kubek i usiadła powoli u jego boku. Z westchnieniem oparła się o rozgrzany słońcem kamień domu.

– Przez twoją podróż ludzie zaczęli mleć ozorami stąd aż do Berneray – oznajmiła. – Nie widzimy tu wielu obcych, a mieszkańcy wyspy mają bystry wzrok.

– Nigdy nie domyślili się, kim jesteś?

– Nie. Oczywiście, że nie. Już dawno temu zapomnieli, że był ktoś taki. A ciebie pamiętają w Londynie?

– Nie – odrzekł. – Ale łatwo jest zagubić się w tłumie. Tutaj, na otwartym terenie, przy tak niewielu mieszkańcach, musi być trudniej.

– Wcale nie. – Roześmiała się pogodnie. – Wciąż jestem jedynie staruszką mieszkającą na zachód od nich wszystkich, jędzą z *an taigh air iomall an t-saoghail*, domu na końcu świata.

– Wciąż uważam, że trudniej ukryć się tutaj niż w mieście. Ludzie zauważają nietypowe rzeczy. Na przykład, że pokolenia mijają, a ty ciągle tu jesteś.

– Jestem również staruszką, która żyje od dawna,

a następnie odchodzi na trochę i później pojawia się wieść, że zostawiła gospodarstwo swojej siostrzenicy, która przyjeżdża i zamieszkuje tu, dopóki ona również nie wydaje się ich dzieciom staruszką, która pewnego dnia wyjeżdża, żeby przybyła kolejna siostrzenica, i tak dalej...

– Wciąż nie zauważają, że to przez cały czas jesteś ty?

– Acht, to nie takie trudne. – Znów stuknęła go pogodnie w ramię i wstała, zabierając jego kubek. – Najtrudniej jest pamiętać, żeby widzieli mnie starzejącą się w odpowiednim tempie, a nie taką, jaka naprawdę jestem. Jaka zawsze naprawdę jestem...

– Chciałbym to zobaczyć.

– Teraz? – spytała, podnosząc brew w sposób zupełnie nieprzystający do rzekomego wieku. – A co sobie pomyślą sąsiedzi?

Rozejrzał się po pustym wrzosowisku.

– Jacy sąsiedzi?

– Ci, którzy zaniepokoiliby się, gdyby zobaczyli, że śnieg znika mi z włosów, a moje biedne stare plecy się prostują. Co pomyślałyby sobie te nieszczęsne dusze?

Nie dostrzegł w okolicy nic poza ptakami na plaży i stadkiem kruków na skałach dookoła nich.

– Przypuszczam, że pomyślałyby, że jesteś przepiękną kobietą u szczytu sił – rzekł, obracając się do niej.

Zniknęła, a raczej przeszła przez drzwi domu.

– Doprawdy? – zapytała, stojąc w głębokim, bielonym wapnem przedsionku, osłonięta przed wzrokiem każdego prócz Kowala.

– Tak – odparł, nieprzyzwyczajony do ucisku w gardle. Przygarbiona, siwowłosa staruszka zniknęła. Zamiast niej pojawiła się silna kobieta mająca nie więcej niż pięćdziesiąt lat, z bujnymi włosami barwy tak intensywnej jak skrzydła

kruków. Zamglone oczy stały się przenikliwe i piwne. W tej chwili wyrażały coś pomiędzy rozbawieniem a wyzwaniem. – Oto jesteś ty – powiedział. – *Màthair nam Fitheach*.

Uśmiechnęła się.

– Zawsze jestem Matką Kruków – powiedziała. – Podobnie jak ty zawsze jesteś Kowalem.

Zorientował się, że odpowiada jej uśmiechem. Miał wrażenie, jakby nie robił tego od wieków.

– Przemierzyłem całą Anglię i zauważyłem, jak bardzo się zmieniła. Nie masz pojęcia, jak... Jak to jest widzieć coś dokładnie takim samym, jakim było dawno temu.

– Ciebie również dobrze zobaczyć – rzekła. – Osobiście. Bo oczywiście przez lata spoglądałam na ciebie innymi oczyma.

Nie spuszczał z niej wzroku, napawając się zapomnianą, lecz jednocześnie tkwiącą gdzieś w zakamarkach pamięci twarzą, dopóki nie zamachała mu przed oczyma. Gest ten wyrażał lekkie zirytowanie, złagodzone przez towarzyszący mu uśmiech.

– Czy udajesz, że to się nie stanie, Kowalu? Tak jak zawsze, gdy się spotykamy?

– Nie – odparł. – Nie, Beiro, nie udaję. Myślę tylko, że być może jesteśmy na to nieco za starzy.

Roześmiała się głęboko i szczerze. I nagle on również znalazł się za drzwiami, a później oboje przez dłuższy czas nie myśleli ani nie rozmawiali, choć z wnętrza dobiegało więcej śmiechu i innych stłumionych radosnych odgłosów. Słyszały je jedynie kruki.

ROZDZIAŁ XXII

Starzy przyjaciele

Pan Sharp obudził się z głębokiego snu i dostrzegł światło nowego dnia, z trudem przebijające się przez grubą pokrywę chmur burzowych spowijających miasto. Powietrze było świeże, a rynsztoki wciąż szemrały po ulewie, którą najwyraźniej przespał. Wygramolił się z łóżka i z zaskoczeniem stwierdził, że jego ubrań nie ma na krześle, gdzie je zostawił zwinięte w kłębek. Uprano je, wyprasowano i starannie ułożono.

Nie mógł znaleźć butów, zszedł więc po drewnianych schodach w pończochach i gdy wkroczył do warsztatu zamienionego w kuchnię, zauważył je stojące pod ścianą przy drzwiach.

– Jesteś głodny? – spytała Ida. Siedziała po turecku na ławie, otoczona częściami kuszy.

– Przespałem cały dzień – powiedział.

– Nie tylko. Przegapiłeś niezłą burzę, lało jak z cebra – dodał Charlie Pyefinch, wchodząc do środka. Obok dreptał zmoknięty Archie. – Spałeś dzień i noc!

– Lekarstwo Kucharki – stwierdziła Ida.

Sharp usiadł i wciągnął buty.

– Cóż, dzięki niemu czuję się lepiej. A gdzie ona jest?

– Siedzi z panną Falk – wyjaśnił Charlie.

Sharp podniósł głowę.

– Dlaczego? Pogorszyło jej się?

– Nie, śpi – odparła dziewczyna. – Po prostu Kucharka chyba lubi przy niej siedzieć. Tak się cieszy, że ją odzyskała.

Jeśli jesteś głodny, w kociołku jest herbata, a ja mogę podać ci szynkę i chleb.

– Ja je wezmę – powiedział Charlie. – Masz palce całe w oliwie.

– Dobrze – rzekła Ida. – Zatem mnie też podaj.

Sharp wypił herbatę i szybko zrobił sobie kanapkę. Obserwował przy tym Charliego z Idą i poczuł ukłucie zazdrości, wywołane zarówno ich młodością, jak i wyraźną swobodą, z jaką do siebie podchodzili.

Później umył po sobie kubek i talerz i przeszedł na tyły warsztatu. Szybko otworzył składzik i wybrał dwa noże identyczne jak te, które Dee skradł mu w lustrach. Schował je w zwyczajowych miejscach i wrócił do głównej części pomieszczenia. Tak dobrze nie czuł się od wieków. Od dawna nie był też odpowiednio wyposażony.

– Gdzie konkretnie jest Pożoga? – zapytał.

– Ołowiane skrzynie są zatopione tuż za kanałem przy Schodach Żelaznej Bramy, pomiędzy Tower a dokiem Świętej Katarzyny – odrzekł Charlie.

– Powiedźcie, proszę, Kucharce i Sarze, gdy się obudzi, że właśnie tam się udałem.

– Potowarzyszę ci – zaproponował chłopak, podnosząc się z ławki. – Razem z Hodge'em robimy obchód Tower, więc i tak musiałbym tam wkrótce pójść. – Chciałem tylko przeczekać tę wcześniejszą ulewę.

Zatem Charlie i Sharp udali się na zachód, w stronę miasta. Omijali głębsze kałuże i przepełnione odpływy, a młody Archie biegał wokół nich niczym dociekliwy zwiadowca, węsząc i nasłuchując. Doskakiwał do nich za każdym razem, gdy zamierzał podjąć nowy trop. Na moście nad Gut nie było widać Sluagh, lecz słońce stało wysoko i cienie, w których się wcześniej kryli, zniknęły.

– Wciąż obserwują – powiedział Sharp, trzymając dłoń pod płaszczem, w pobliżu rękojeści nowego noża.

– Wiem – odparł Charlie. – Czuję to jak swędzenie na karku, ale w połowie przypadków za cholereę nie jestem w stanie ich dostrzec.

Sharp uśmiechnął się i poklepał go przyjacielsko po ramieniu.

– Mam podobne wrażenie, gdy ktoś na mnie patrzy. Myślę, że sporo nas łączy, Charlie. A teraz opowiedz mi o swoich rodzicach. Od wieków nie widziałem Rose i Barnaby'ego. Ojciec wciąż snuje swoje niewiarygodne historyjki?

– O tak – odparł chłopak. – I nieźle na nich zarabia na festynach. Powinieneś posłuchać, jak mówi o bitwie pod Waterloo. Aż włosy stają dęba, zupełnie jakby się tam było...

Wyciągali nogi, utrzymując szybkie tempo, co im obydwu przychodziło bez trudu, i rozmawiali. Gdy dotarli do wschodniego krańca Tower, Charlie doszedł do wniosku, że pan Sharp wcale nie jest taki nieprzystępny i nudny, jak przypuszczał, Sharp zaś potwierdził swoje zdanie, że jego nowy młody towarzysz został ulepiony z dobrej gliny. Rozumiał już, dlaczego Hodge wziął go do siebie oraz zaszczycił psem, który, co było oczywiste dla kogoś mającego choć połowę oka, był jednym z synów Jeda.

– O tam – oznajmił Charlie, wskazując szereg pali biegnących wzdłuż Schodów Żelaznej Bramy, wąskiego, stromego zejścia do wody. Po niedawnym odpływie widać było małą wysepkę z błota i kamieni, leniwie opływana przez rzekę. – Tuż za rogiem jest parę łańcuchów cumowniczych – rzekł chłopak, wychylając się i pokazując w tamtym kierunku. – Stąd nie widać, ale chodzi o ten najstarszy, cały porośnięty zielskiem. Mogę już się zmyć

i pójść do Hodge'a?

Mężczyzna skinął głową. Skupiał wzrok na rzece, jakby wyobrażał sobie, co kryje się pod ciężarem wody płynącej nieubłaganie w stronę Gravesend i rozciągającego się dalej zimnego Morza Północnego.

– Pozdrów go ode mnie i powiedz, że gratuluję mu wyboru ucznia. Myślę, że przez kolejne pokolenie kruki będą w dobrych rękach.

Rozejrzał się od niechcienia, by się upewnić, że nikogo nie ma w pobliżu ani że nikt go nie obserwuje, po czym prześlizgnął się szybko między palami i zszedł nad wodę po śliskich schodach.

Chwilę później skręcił w prawo, w stronę posępnego wylotu rzecznej bramy Tower, i dalej szedł wzdłuż brzegu, a żwir zgrzytał w piaszczystym błocie pod jego butami. Znalazł zarośnięty łańcuch opisany przez Charliego, stary i masywny, który równie dobrze mógł zostać przymocowany do nadbrzeża przed stu albo i więcej laty. Wyciągnął nóż i zastukał nim o metal w określonej sekwencji stanowiącej odpowiednik pukania – niegdyś w ten właśnie sposób identyfikował się przed golemem, kiedy nocą wracał do Kryjówki. Było to w czasach, gdy obowiązki Emmeta ograniczały się do pilnowania oraz otwierania drzwi.

Wiadomość przeniosła się po kolei przez poszczególne ogniwa, aż dotarła do dna rzeki, gdzie wielka gliniana dłoń cierpliwie trzymała koniec łańcucha. Charakterystyczny sygnał zawibrował w twardych palcach, których właściciel, dotąd siedzący nieruchomo jak skała na jednej z ołowianych skrzyń Kowala, częściowo zanurzonych w szlamie, przekrzywił głowę i spojrzał ślepo w górę.

Sharp usiadł na porzuconej drewnianej belce, kiedyś

zapewne stanowiącej część prowizorycznego umocnienia powstrzymującego ściany zejścia przed osunięciem. Wpatrywał się w nurt Tamizy i czekał.

Emmet podciągał się zawzięcie po łańcuchu niczym wspinacz podczas wichury. Wykorzystywał go, żeby nie dać się porwać prądowi ciemnej wody.

Mężczyzna podniósł się, gdy wielka gliniana głowa wynurzyła się nad powierzchnię. Golem po prostu wyszedł z wody i stanął przed nim, a znajome puste oczodoły lypały na niego z obu stron zakrzywionego nosa. Stanowiło to jedną z osobliwości golema – choć był wykonany na podobieństwo człowieka, nie miał oczu, więc zawsze widać było, że jest glinianą skorupą. Ten niepokojący ubytek rekompensował jednak fakt, że mimo to golem mrugał. Był to jeden z powodów, dla których Sharp, w przeciwieństwie do pozostałych, uważał go za coś więcej niż tylko automat. Miał wręcz niemal pewność, że gdy był małym chłopcem, Emmet nie ruszał powiekami i zaczął to robić dopiero jakiś czas później, jakby naśladował ludzkie zachowanie. To również według niego świadczyło o tym, że wbrew powszechnej opinii golem jest świadomy i zdolny do samodzielnego myślenia.

– Emmecie – powiedział Sharp – bardzo się cieszę, że cię widzę.

Golem stał, mrugając. Człowiek wyciągnął rękę. Emmet po chwili powtórzył ten gest i wielka gliniana dłoń delikatnie, lecz pewnie zacisnęła się na ludzkich palcach.

– Może... – zaczął Sharp. – Może usiądźmy na chwilę. W słońcu.

Znów przysiadł na belce. Golem spojrzał na niego, po czym sięgnął pod ociekający wodą płaszcz przeciwdeszczowy i wyciągnął coś, co nałożył ostrożnie na

głowę. Następnie spoczął przy Sharpie, również zwrócony w stronę rzeki.

– Ach – skomentował mężczyzna. – Masz nowy kapelusz.

Dawniej Emmet nosił trójgraniasty kapelusz, relikwinię minionej ery, który spłonął w ogniu. Ten obecny wcześniej był nakryciem głowy woźnicy, lecz długi kontakt z wodą przemienił go w zmaltretowane i zdeformowane szczątki. Sharp ucieszył się, że pozostali zadali sobie trud i dali go golemowi. Wyciągnął rękę.

– Mogę? – Wziął zniszczony kapelusz i zrobił, co się dało, żeby odtworzyć dawny kształt, po czym go zwrócił. – Proszę.

Emmet spoglądał na nakrycie głowy, obracając je w dłoniach, po czym włożył je i zamrugał do Sharpa.

– Przykro mi, że musisz tkwić pod wodą.

Golem wzruszył ramionami, a przynajmniej takie wrażenie odniósł mężczyzna.

– Możemy po prostu posiedzieć, ciesząc się światłem – rzekł Sharp, szczelniej otulając się płaszczem w obronie przed chłodem.

Emmet znów zamrugał, po czym bardzo powoli obrócił twarz ku blademu zimowemu słońcu. I tak siedzieli przez dłuższy czas w przyjaznym milczeniu, a woda nieustrudzenie przepływała obok nich. To, nad czym zastanawiał się golem, jeśli w ogóle był do tego zdolny, pozostawało tajemnicą, Sharp zaś myślał o obowiązku, porażce oraz niebezpieczeństwie grożącym im wszystkim. Myślał o długim pobycie Emmeta pod wodą i o tym, że nie ma żadnego dobrego pomysłu, jak mógłby mu skrócić ten swoisty areszt. Po jakimś czasie uniósł wzrok znad wody i zdał sobie sprawę, że spogląda na złowieszczą kratę rzecznej bramy Tower, tędy transportowano do środka

tych, którzy mieli zostać uwięzieni za najpaskudniejsze występki, w tym winnych zdrady. Przyszło mu do głowy, że to jednocześnie gorzkie i słuszne, że zatopili Pożogę naprzeciwko Bramy Zdrajców.

Odprowadził wzrokiem Emmeta, który bez słowa skargi wracał wzdłuż łańcucha na swoje stanowisko na dnie Tamizy. Wspinając się po śliskich schodach, wciąż był w nastroju do samobiczowania.

Gdyby mniej skupiał się na sobie, zapewne zauważyłby damę cokolwiek lekkich obyczajów, która dostrzegła go, kiedy prześlizgiwał się między palami, wracając na ulicę.

– Ależ to pan Sharp! Jaka radość! Od tego waszego okropnego pożaru nie widziałam pana na Neptune Street ani w okolicach placu. Co pan porabiałeś tam na dole? Straciłeś pan wszystko i teraz szukasz rzeczy wyrzuconych przez rzekę?

– Witaj, Ruby. Mam nadzieję, że miewasz się dobrze?

– Nie mogę narzekać. Ale pan wyglądasz na skwaszonego i zmarzniętego jak małpi zadek. Może bym pana nieco rozgrzała?

– Dziękuję, Ruby. – Oferta była równie naturalna jak jego odmowa. – Jesteś bardzo miła, ale naprawdę nie.

– Och, nie jestem tylko bardzo miła, panie Sharp – odpowiedziała, mrugając okiem. – Jestem też sporo warta. Spytaj pan kogokolwiek.

Uśmiechnął się, ukłonił i poszedł dalej. Natomiast Ruby obserwowała go, dopóki nie zniknął za rogiem, a wtedy raptownie spoważniała. Marszcząc brwi, usiłowała sobie przypomnieć, kto taki oferował gotówkę za wieści o obecności w mieście pana Sharpa albo jego towarzyszy. Przypomniała sobie, rozpogodziła się i skierowała do pubu, w którym zwykle można było spotkać odpowiedniego

człowieka.

Dziesięć minut później trzymała już w dłoni monety, a informacja o powrocie Sharpa oraz miejscu nad rzeką, gdzie się szwendał, przesączała się przez złożoną sieć informatorów, którą przez lata pielęgowali Templebane'owie. Dzięki niej Issachar, nawet przebywając na wygnaniu, wiedział, co dzieje się w mieście.

ROZDZIAŁ XXIII

Śmierć nadziei

Wspomnienie śmierci zadanej Abchurchowi dręczyło Amosa tak bardzo, że podczas zawziętego marszu na Wellclose Square wymiotował aż trzykrotnie. Za trzecim razem były to w zasadzie jedynie bolesne torsje nad wielką sadzawką powstałą z powodu zablokowanego przepustu przy Garrick Subscription Theatre na Lemn Street. Pod afiszem reklamującym wznowienie spektaklu *Gdy Klaudia musiała pochylić głowę* Amos zgiął się wpół i wzbogacił brudną wodę o ciekłą strużkę żółci. Następnie bez zastanowienia wytarł usta rękawem, wyprostował się i ruszył dalej.

Po niezwykłym ataku ulewy podtopione miasto organizowało się na nowo. Sklepiarze zlewali wodę z chodników do przepełnionych rynsztoków i przybłokowanych odpływów, skąd dochodziły bulgoty i szумы. Amos, zwykle wyczulony na otoczenie, ledwo zauważał strumienie kierujące się tam, gdzie on – w dół, ku Tamizie. Wciąż patrzył niewidzącym wzrokiem, lecz parł naprzód jak lunatyk, napędzany przekonaniem, że może go teraz ocalić wyłącznie Nadzór. Miał nadzieję, że jego członkowie wysłuchają go w zamian za informacje o knowaniach ojców, ale był świadom, że tak naprawdę niewiele ma do powiedzenia, nie licząc tego, że wraz z braćmi prowadził na zmianę obserwację Kryjówki i że uważał, iż jego podróż do Mountfellona w jakiś sposób wiązała się z planem, o którym niemal nic nie wiedział.

Czuł boleśnie, że nie ma wiele do zaoferowania, nie zamierzał więc od tego zaczynać – postanowił w pierwszej kolejności mówić o Sluagh i o tym, co w związku z nimi zobaczył oraz usłyszał, o tym bowiem istotnie wiele wiedział. Pamiętał, co Zmora opowiadała o Nadzorze oraz jego obawach, i opierał swoje nadzieje na jej stwierdzeniu, że obowiązkiem Nadzoru jest ochrona zwykłych ludzi przed dręczeniem przez istoty nadnaturalne. No cóż, pomyślał, może i sam nie jestem do końca normalny, ale na pewno zostałem okropnie udręczony. Gdy w końcu doszedł chwiejnie do górnej części Wellclose Square i ujrzał na środku placu znajomą sylwetkę duńskiego kościoła, dalej zaś złote kolumny wejścia do Wilton's Music Hall, czuł drapanie białego tatuażu wokół szyi tak silnie, jakby wciąż ciążyła na nim *geis* – tego bowiem słowa użył Czaszka Borsuka na określenie klątwy obowiązku. Uniósł dłoń, żeby się tam podrapać, a ulga spowodowana faktem, że zdołał dotrzeć do drzwi Kryjówki Nadzoru, niemal przyprawiała go o zawrót głowy. Nagle zatrzymał się z palcami zaledwie o cal od szyi. Zupełnie zapomniał o silnym swędzeniu niewidocznego już wzoru.

Drzwi, do których chciał dotrzeć, nie istniały. Podobnie jak ściana, w którą je wprawiono, a także dom, do którego prowadziły. Z całego budynku, który stał tam wcześniej zarówno w rzeczywistości, jak i w jego wyobrażeniu, została kupa gruzów. Pusta parcela była niczym wyrwa po zębie w dobrze znanym uśmiechu – nienaturalna, bolesna i zupełnie nie do pojęcia.

– Co? – spytała Zmora, gdy go dogoniła. – Och...

Ona również to ujrzała. Amos czuł, że gdyby się roześmiała, mógłby się załamać. Zawsze się śmiała z jego niepowodzeń i zaskoczeń. Milczała jednak. Przeszła obok

niego, chyba równie osłupiała.

Spojrzał na lewo i uświadomił sobie kolejny brak. Musiał go zarejestrować kątem oka, ponieważ nie patrzył tam bezpośrednio, teraz jednak dostrzegął inne ruiny, tym razem w miejscu rafinerii cukru – choć już ją odbudowywano za palisadą rusztowań. Przez wiele zimnych nocy przesiadywał na ławce pod tamtym budynkiem, wdychając dochodzący ze środka kuszący, ciepły zapach karmelizowanej słodyczy. Ławka również zniknęła.

„Co się stało?”

Zmora powoli pokręciła głową.

„Nie wiem. Ale coś, powiedziałabym, nieodwracalnego”.

Brak spodziewanej wesołości w jej głosie jeszcze pogarszał sprawę. Pustka u dołu placu nie tylko pozbawiła Amosa nadziei, ale również wyzuła Zmorę z radosnej złośliwości, co nie wróżyło najlepiej. Kobieta nie patrzyła na fabrykę, lecz na dziurę w południowej pierzei placu, jakby próbując odtworzyć w myślach, co tam się znajdowało. Teraz jednak mogło to istnieć wyłącznie we wspomnieniach, bo zamiast solidnego budynku zostały nędzne szczątki. Spalone resztki belek stropowych i desek ułożono w stertę – zupełnie jakby jakiś olbrzym grał w bierki. Poza tym ktoś podjął próbę odzyskania cegieł, tworząc z nich pryzmę pod ścianą sąsiedniej kamienicy. Wyglądało na to, że starania przerwano, ponieważ stos na wpeł się zawalił.

Budynek zniszczono ostatecznie, podobnie jak nadzieje Amosa. Czuł to fizycznie: nagle zapragnął oddać mocz, w ustach miał suchość i posmak żółci, a noga zaczęła mu niekontrolowanie dygotać. Przydepnął sobie stopę, żeby to powstrzymać, i rozglądał się w poszukiwaniu czegoś

znajomego, na czym mógłby się skupić.

I znalazł. W ich stronę szła – ściskając pod pachą plik dokumentów, z zadartym nosem, jakby delektując się zapachami obmytego deszczem miasta – drobna i wyraźnie zadowolona ze swej istotności postać sędziego Bidgooda, jednego z kilku miejscowych szych, którego ruchy Amos miał dawniej obserwować wraz z braćmi.

Chłopak szturchnął Zmorę i niemal niezauważalnym ruchem podbródka wskazał zbliżającego się jurystę.

„Ten człowiek. Spytaj go, dokąd odeszli”.

„Chcesz, żebym z nim rozmawiała?”

„Ja nie mogę”.

„Od lat nie mówiłam na głos do nikogo oprócz ciebie. Może nawet od dekad. Straciłam rachubę”.

„Proszę”.

„Nie ma ich. Widzisz przecież”.

Bidgood był już tylko kilka jardów od nich.

„Proszę. Zapytaj. Muszę wiedzieć”.

„Grzecznie prosisz?”

W słowie „grzecznie” znów wychynęła nuta jej radosnej złośliwości.

„O co ci chodzi?”

„Chodzi mi o czyny, nie słowa, Krwawy Chłopcze. Co dla mnie zrobisz, jeśli spytam?”

„Po prostu go zagadnij, proszę. Jest sędzią. Będzie wiedział, co się stało. To jego gmina”.

Niewysoki sługa prawa przechodził właśnie obok, wydając się ich nie zauważać. W istocie patrzył w niebo i gratulował sobie, że nie tylko ominęła go ulewa, ale i zawczasu polecił swojej kucharce, żeby na kolację przygotowała mu stek oraz zapiekankę z ostrygami. Miał wielką ochotę akurat na te dwie potrawy. Amos mocniej

szturchnął Zmorę. Spojrzała na niego z chłodnym, pytającym wyrazem twarzy, który uznał za wyjątkowo prowokujący, zważywszy na nagłość sytuacji.

„I...?”

Amos przestępował z nogi na nogę, z irytacją wskazując plecy sędziego.

„I jeśli naprawdę odeszli... To pójdę z tobą. Żeby odnaleźć Mountfellona!”

„A użyjesz swojego nowego talentu? Tej wspaniałej prędkości?”

„Tak. Nie. Nie. Nie żeby go zabić”.

W jego głowie zawitała okropna myśl, że Zmora mogła wykorzystać jego zagubienie i wmanipulować go w zrobienie rzeczy, której przysiągł nie robić... i którą wciąż robił, nieważne, ile razy by się zaklinał.

Przekrzywiła głowę, rozważając jego warunek. Był pewien, że za chwilę pęknie z frustracji, bo Bidgood już niemal dotarł do narożnika... I wtedy skinęła głową.

„Jak się nazywa ten nadęty pokurcz?”

„Bidgood. Lemuel Bidgood”.

Ruszyła za prawnikiem i ostrym, czystym jak kryształ i władczy głośnie zawołała:

– Panie sędzio Bidgood, bardzo przepraszam, proszę zaczekać.

Bidgood odwrócił się, świadom mocy wołającego go głosu, a na jego ustach uformował się dobrotliwy uśmiech, gotów w każdej chwili przerodzić się w jeszcze szerszy i jeszcze bardziej ujmujący. Amos słyszał myśli kłębiące się w jego głowie. Jurysta był z początku zaskoczony i podekscytowany, sądził bowiem, że odzywa się do niego jakaś ważna dama, osoba o wytwornych manierach, ciesząca się bogactwem i pozycją. Gdy ujrzał Zmorę,

odzianą w dwa koce narzucone na znoszoną sukienkę, z potarganymi siwymi włosami, które najwyraźniej od długiego czasu nie zetknęły się ze szczotką, chłopak poczuł, jak umysł mężczyzny ogarnia panika. Sędzia gorączkowo próbował dostosować postawę do sytuacji. Spodziewał się dystygowanej pani, a teraz obawiał się, że żebraczka poprosi go o jałmużnę.

– Yyy... – zapiszczał.

Zmora najwyraźniej również słyszała ten zamęt w myślach sędziego, ponieważ uśmiechnęła się i podniosła dłoń gestem, który w zaistniałych okolicznościach wydawał się dziwnie wytworny i władczy.

– Proszę pana, za pozwoleniem, nie chcę niczego od pana, z wyjątkiem pewnej informacji. Czy byłby pan tak uprzejmy i powiedział mi, co się stało z domem stojącym dawniej na tej pełnej gruzów parceli w dolnej części placu oraz z jego mieszkańcami?

Bidgood uspokoił się, choć wciąż dziwił go kontrast pomiędzy głosem osoby szlachetnie urodzonej oraz potwornie niechlujną kobietą, do której należał. I nagle dotarło do niego, że to dziwne, że nieznajoma pyta właśnie o tę konkretną nieruchomość...

– Byli moimi przyjaciółmi, czy też raczej przyjaźniłam się z tą rodziną w młodości, gdy nie byłam taka, jaką mnie pan teraz widzi – wyznała ze smutnym uśmiechem, wtlaczając mu do umysłu odpowiedź, zanim jeszcze do końca uformował pytanie, kim bądź czym była. Mimo że Amosa zżerała tak wielka rozpacz, nie potrafił nie podziwiać jej metod. Możliwość podsłuchiwania czyichś myśli pozwalała kierować rozmową na własnych warunkach, sprawiać, że bezproduktywne i rozprasające linie rozumowania umierały w zarodku. – Wiele by dla mnie znaczyło, gdybym

mogła się dowiedzieć, co się wydarzyło i czy wszystko z nimi w porządku.

Sędzia rozluźnił się jeszcze bardziej. Mógł się domyślać nieco melodramatycznych, ale nie mniej przez to smutnych wydarzeń, które doprowadziły nieznaną do niedoli: urodziła się w zamożnej rodzinie, lecz straciła bogactwo za młodu, być może z powodu poczynań ojca hulaki... Och tak, wiele takich moralitetów odegrano na jego oczach na sali sądowej. Później pierwszoplanowi aktorzy zostawali wysyłani do Old Marshalsea, żeby marnieć w otchłani więziennego skrzydła przeznaczonego dla dłużników, które zamknięto zaledwie kilka lat temu. Kto wie, ta dama również mogła stać się ofiarą podobnych wypadków. Podniósł wzrok na wieżę duńskiego kościoła i uznał, że wypada zachować się miłosiernie i jej odpowiedzieć.

– W takim razie mówię to pani z przykrością, naprawdę wielką przykrością, że odeszli. Mam nadzieję, że te wieści nie sprawią pani bólu. – Wskazał prace toczące się powyżej.
– Nastąpił wybuch w starej rafinerii cukru, która wcześniej zajmowała tamtą parcelę, i grawitacja sprawiła, że wyciek dotarł do domu u spodu placu, doprowadzając do jego zniszczenia. Grawitacja, tak, grawitacja.

Odchrząknął. Lubił dźwięk własnego głosu i często przyłapywał się na tym, że mówi więcej, niż zamierzał. Ten zły zwyczaj podsycił jeszcze fakt, że żaden z pracowników sądu nie czuł się upoważniony, żeby powściągnąć to jego zamiłowanie do oracji.

– Fatalna w skutkach grawitacja, z racji której strumienie płonącej melasy stały się przyczyną upadku tego domu, widzi pani, płynęły niczym lawa, minęły o włos drzwi Wilton's Music Hall, o tam, i dotarły do rzeczonego budynku. Największe nieszczęście, że przed skazanym na

zagładę domostwem utknął wóz pełen beczek z naftą i to doprowadziło do straszliwej, katastrofalnej w skutkach eksplozji. Katastrofalnej, tak, to właśnie odpowiednie słowo. Wszystko uległo zniszczeniu, jak pani widzi, rozpadło się w drzazgi...

„Spytaj o Nadzór”.

„Nie będzie ich kojarzył pod tym mianem”.

Amos pomyślał o rzeczach widzianych w życiu, które w coraz większym stopniu uważał za minione. Upłynęło mu na czynnościach typu: przynieś, wynieś, pozamiataj i szpieguj. W ramach tego ostatniego wiele nocy spędził, stojąc na warcie i zapamiętując dla Issachara i Zebulona, kto wchodzi do domu i z niego wychodzi.

„Spytaj o młodą kobietę o białych włosach. O pannę Falk”.

– Dziękuję, uprzejmy panie – rzekła Zmora. – A czy wie pan może, co stało się z panną Falk?

– Ach, nie – odparł Bidgood. – Panna Sara Falk, Żydówka. Nie, nie widziano jej od dłuższego czasu. Całkiem możliwe, że wraz ze swymi towarzyszami zginęła w ogniu. Był to silny pożar, na tyle silny, że zdolny spalić kości, jak mniemam. Ponadto dom się zawalił, sam to widziałem, choć ominął mnie początek zdarzenia. Wezwano mnie tutaj pospiesznie, gdy tylko wszczęto alarm. Budynek rozpadł się z donośnym hukiem, wielce donośnym.

„Zapytaj o innych. Proszę”.

– A jej kompani?

Bidgood poczuł burczenie w brzuchu. Przypomniał sobie o steku i zapiekance z ostrygami i uznał, że ta pobłażliwa konwersacja dotarła do punktu, w którym zaczyna stanowić przeszkodę między nim a spodziewaną gastronomiczną rozkoszą.

– Ehm, nie wiem, kim byli, ale panna Falk prowadziła niekonwencjonalny dom, dość niekonwencjonalny, jak można by powiedzieć... Tak czy owak, odeszli, jak i ja muszę odejść. Miłego dnia.

Dotknął skraju kapelusza i się oddalił, zastanawiając się, co było takiego w tej dziwnie wytwornej żebraczce, że poświęcił jej tyle uwagi, zamiast po prostu rzucić półpensówkę.

Amos osunął się na chodnik jak marionetka, której przecięto sznurki. Nie zauważył albo nie obeszło go, że siedzi w kałuży. Właśnie tak wyglądała śmierć nadziei. Nawet gdy podróżował samotnie po wielkim, pustym świecie, nigdy nie czuł się tak samotny.

– Lepiej chodź ze mną, Krwawy Chłopcze – rzekła Zmora, kładąc mu dłoń na ramieniu. Był zbyt złamany, żeby się opierać. W jej głosie słychać było nutę smutku, nie radość, której mógłby się tam spodziewać, przez co widok rozpościerającej się przed nim ruiny ranił go jeszcze głębiej. – Myślałeś, że przesadzam. Popatrz, oto szczątki Kryjówki. Nie było bezpiecznie tam się chować, a teraz już nawet nie istnieje. Nadzór zginął i odszedł. Jestem jedyną rodziną, jaka ci została.

ROZDZIAŁ XXIV

Pod ziemię

Kowal i Beira leżeli nieruchomo, spleceni w uścisku, obserwując, jak na pociemniałych od dymu deskach nad ich głowami promienie słoneczne nabierają złotej barwy. Mężczyzna, który nigdy nie odpoczywał, miał wrażenie, że jest to chwila skradziona, zawieszona w czasie. Przysypiał, budził się i znów zapadał w płytki sen, nie będąc w stanie stwierdzić, czy minęły minuty, godziny, czy całe dni. Nie było to nieprzyjemne uczucie, okazywało się za to dziwnie uspokajające. Zupełnie jakby oboje byli muchami tkwiącymi w kawałku bursztynu, niezmiennymi i niezdolnymi do jakiegokolwiek dalszego działania.

Nagle Beira jęknęła radośnie, przeciągnęła się i wyturlała spod Kowala.

– No, wstawaj, staruchu, usiądź ze mną na zewnątrz. – Szturchnęła go lekko w bok. – Popatrzemy, jak się słońce chowa.

– Nie martwisz się, że zobaczą cię sąsiedzi?

– Nie. – Uśmiechnęła się. – Moje kruki dostrzegą ich, zanim znajdziemy się w ich polu widzenia. Wcześniej się z tobą drażniłam.

– „Drażniłam” – powtórzył, obracając to słowo w ustach, jakby natknął się na nieznaną smak. – A więc to o to chodziło?

– Był to podstęp, żeby skłonić cię do wejścia do środka – powiedziała. – Zresztą dobrze o tym wiesz. To stary taniec i oboje znamy kroki na pamięć.

– No cóż, lubię i taniec, i partnerkę. – Uśmiechnął się, usiadł i rozejrzał w poszukiwaniu ubrań.

Gdy się obrócił, zobaczyła jego plecy i odruchowo dotknęła ich dolnej części. Resztę ciała miał czystą, pozbawioną ozdób, jednak tylną część tułowia spowijał kłęb czarnych tatuaży, całkiem jakby wypełniał dawne ślady. Krawędzie linii były fioletowo-żółte, przywodziły na myśl siniaka albo objaw zakażenia czy choroby.

– Co? – zapytał.

– Nic... – odparła, przenosząc wzrok na butelkę po drugiej stronie pomieszczenia.

– No tak, wiem. – Uśmiechnął się ponownie. – Poczułem kolejne ukłucie, gdy byłem na wyspie na wyspie. Ale to nic takiego. Sama wiesz, że to nic, widziałaś to już wcześniej. Częściowo wraca, gdy sytuacja wymyka się spod kontroli, ale dopóki jest tak małe, nie większe niż twoja dłoń, potrafię to kontrolować i wkrótce się rozmywa. Wiesz przecież...

– Wiem – odrzekła, a ponieważ był odwrócony, a ona mówiła pewnym głosem, nie dostrzegł, że przymknęła oczy. Jej dłoń pozostała na jego plecach, o wiele mniejsza niż czarny wir tatuaży wznoszących się grubym pniem wzdłuż kręgosłupa i rozciągających złowieszczo po szerokich ramionach niczym korona mrocznego dębu. – A teraz wypijmy kropelkę mojej *uisge* i cieszymy się ostatnimi chwilami światła umierającego na zachodzie – powiedziała, klepiąc go w grzbiet. Wstała z łóżka i na wpół świadomie podeszła do półki, gdzie stała kamionkowa butelka. Nalała odrobinę płynu do małych rogowych kubków, najpierw dla niego, później dla siebie. Podniosła koc z krzesła przy kominku, owinęła się nim i podała Kowalowi whisky, szturchając go porozumiewawczo. – To ta chwila starego

tańca, gdy robisz się smutny, bo nie jestem nią, a ja ci mówię, że nie pożalowałaby ci tej odrobiny ludzkiego ciepła, którym się właśnie podzieliliśmy. Wtedy ty nic nie odpowiadasz, jak teraz, a ja...

Wypił łyżeczek i skrzywił się, gdy ognisty trunek spłynął mu do żołądka.

– A ty mówisz, że bez odrobiny ludzkiego ciepła i miękkości złamałbym się i stał mniej ludzki, co byłoby niebezpieczne dla kogoś o moich... darach.

– No właśnie – rzekła. – Smakuje ci *uisge*?

– Zaczynasz rozumieć, o co w tym chodzi. Jest bardziej dymna.

– To kwestia torfu. Nie tylko my się starzejemy, ona również. No chodź już i weź koc. Lubię oglądać zachody słońca.

Wyszli na zewnątrz i usiedli obok siebie, otuleni kocami. Oparli się o ścianę domu. Stado ptaków dyskretnie się oddaliło, jakby postanowiło dać im nieco prywatności.

– No dobrze – powiedziała. – Przejdźmy do rzeczy. Jaką wiadomość muszą zanieść kruki?

– Prawo Żelaza zostało złamane, Sluagh są wolni i mogą próbować wyrównać stare porachunki. A Ostatnia Ręka się rozpadła.

Wpatrywała się w niego w szoku.

– Sluagh są wolni? Nie uznałeś za stosowne powiedzieć mi tego zaraz po przybyciu?

Upił whisky.

– Mogłoby nam to nieco popsuć nastrój, nie sądzisz? – Rzucił okiem na dom. – Nie tylko ty jesteś zdolna do podstępów. – Uśmiechnął się. – Dobrze jest raz na jakiś czas zapomnieć na krótką chwilę o swoich zobowiązaniach. To ty mi to powiedziałaś, dawno temu.

– Naprawdę?

– Owszem.

Przyciągnął ją bliżej i pocałował w czoło.

– I dziękuję ci za to.

– A jak z tymi twoimi zobowiązaniami? – spytała.

Wzruszył ramionami i popatrzył na horyzont.

– Czasami jest dobrze. Czasami źle. A gdy robi się najgorzej, mam wrażenie, że ciągnie się to przez wieczność.

– Wieczność?

– A tobie nie wydaje się to wiecznością?

– Nie – odparła, po czym potrząsnęła głową i przeczesła włosy palcami.

– Zazwyczaj wydaje mi się, jakby to wszystko przemknęło w jednej chwili.

– Nie potrafię w to uwierzyć – wyznał.

– Ale to prawda. Jest tyle do zobaczenia i przemyślenia.

Rozejrzał się dookoła. Omiótł wzrokiem wrzosowisko, szare skały i połąć zielonej łąki przechodzącej w spiczaste wydmy oraz długą, pustą białą plażę. Dalej rozciągał się bezmiar oceanu.

– Ale nie ma tu nic poza tym – stwierdził.

– Prostota może znaczyć wiele – odparła. – Choć gdybyś przyjechał tu wiosną, łąka zawierałaby w sobie niezliczone światy, całe mnóstwo małych polnych kwiatków we wszystkich kształtach, rozmiarach i odmianach. Wtedy znalazłbyś całą tę cudowną złożoność, jakiej byś sobie tylko zażyczył... No i morze, które każdego dnia wyrzuca na brzeg coś nowego, gdy przychodzi i zaraz się cofa. Jest tu mnóstwo rzeczy przyciągających uwagę, jeśli wiesz, jak na nie patrzeć.

– Nie przeszkadza ci, że jesteś odcięta od świata? – zapytał.

– Odcięta? – Roześmiała się. – Naprawdę sądzisz, że jestem odcięta?

Wskazała kruki.

– Dzielę z nimi nie tylko wzrok. Chodzi o wszystkie kruki i ich pobratymców. Czy po tylu latach naprawdę nie rozumiesz, dlaczego jestem tutaj i nigdy się stąd nie ruszam?

– Dom na końcu świata.

– Musi być prosty – powiedziała. – Widzę ich oczami tyle, że gdy wracam do własnej głowy, musi mnie otaczać prostota. Tylko niebo, morze, ziemia i zjawiska atmosferyczne. Gdyby było inaczej, oszalałabym. Jak ty.

– Sądzisz, że oszalałem?

– Nie – odparła. – Sądzę, że zawsze byłeś szalony. Zawsze uważałeś, że potrafisz zachować równowagę. Zawsze wierzyłeś, że da się powstrzymać mrok.

– Bo się da – stwierdził.

– Nie cały mrok. I nie przez cały czas. Zresztą czy nadzieja nie jest formą szaleństwa, jak wiara? Nie mówię, że to zły rodzaj szaleństwa, lecz taki, który musisz mieć, żeby móc przeć naprzód. Tak myślę.

– Pora wysłać kruki.

– Ach... Znowu jest aż tak źle.

– Tak – rzekł, kończąc napitek i krzywiąc się, gdy rozpałił mu delikatnie przełyk. – W zasadzie jest nawet gorzej.

– Wysłanie kruków już nie wystarczy.

– Zgadza się. Będziesz musiała oddać mi krew.

Wypuściła powietrze z lekkim świstem.

– Martwisz się o Pożogę – uznała.

– Zawsze martwię się o cholerną Pożogę. Po prostu martwię się o nią jeszcze bardziej, gdy wszystko się rozpada, tak jak teraz.

– Coś jeszcze – stwierdziła. – Jest coś jeszcze, Waylandzie. O co chodzi?

– Nie jestem pewien. – Nachmurzył się. – Pożoga wiecznie chce się uwolnić. To dlatego jest taka... niestabilna. Zupełnie jakby dysponowała własnym umysłem.

– Na pewno dysponuje własnym głodem – rzekła. – Nie wiem, czy trzeba posiadać umysł w naszym rozumieniu, żeby móc odczuwać głód.

– Ten głód jest wystarczająco zły i wiemy, jak ją przed nim chronić – oznajmił. – Ale pojawiło się coś nowego. Gdy dawniej traciliśmy kontrolę, działo się to przeważnie w wyniku wypadków. Tym razem w grę wchodzi chyba inny głód. Sądzę, że cokolwiek występuje przeciwko nam, chce zdobyć właśnie ogień. To nowość. I dlatego... – Skrzywił się, jakby właśnie przeszedł go dreszcz. – I dlatego potrzebuję mojej krwi.

Uśmiechnęła się i położyła mu dłoń na ramieniu.

– Czy wahasz się, bo wiesz, że w jednej z tych dawnych historii, które o nas opowiadają, właśnie w takim momencie stosuję wobec ciebie swoje kobiece sztuczki i zamykam w tajemnej jaskini, w wyniku czego upadają królestwa i przymierza?

Podniósł rękę, a ona pozwoliła mu przyciągnąć swoją twarz i pocałowała go w czoło, jakby odwzajemniając jego wcześniejszy pocałunek.

– Dawne historie – parsknął. – Opowieści są dobre, jeśli chce się popsuć prawdę, próbując ją wyjaśnić.

– Skoro tak mówisz. Kto jak kto, ale ty powinieneś to wiedzieć. Skoro musisz odzyskać krew, to będzie zdecydowanie lepiej, jeśli zrobimy to nocą. Za dnia ktoś mógłby zobaczyć, jak podnosimy głazy.

– Owszem – zgodził się. – Choć żałuję, że to musi zająć aż

dzień i noc, bo nawet jedna doba wydaje się luksusem, na jaki nie możemy sobie pozwolić, i choć dobrze spędziliśmy czas, muszę jak najszybciej wyruszyć znów na południe. Pojutrze dopłynę parowcem do Glasgow i wsiądę w pociąg. W domu będę najpóźniej o północy.

– Współczesny świat jest taki szybki – powiedziała, wzdychając. – Masz czas na jeszcze kieliszeczek, zanim pójdziemy na wzgórze. Rozgrzeje ci stare kości. – Sięgnęła po kamionkową flaszkę. – Później nastawię rosół. Ściemni się dopiero za godzinę, a wtedy zrobi się zimno.

ROZDZIAŁ XXV

Ostrzegawcza deska

Issachar Templebane nieszczęśliwie radował się wymuszonym wygnaniem na prowincji, nie uważał go jednak za niewygodne. Stary dom był na tyle niewielki, że synowie znajdowali się w pobliżu, by w razie potrzeby zapewnić ojcu bezpieczeństwo, a przy tym odpowiednich rozmiarów, żeby zredukować irytację, jaką pociągało za sobą ich towarzystwo.

Mężczyzna siedział przy kominku w gabinecie przylegającym do sypialni. Na biurku przed nim leżały schludne pliki papierów, z których największy przyciśnięty był wyjątkowo dużym rewolwerem. Mężczyzna czytał właśnie najważniejsze z listów i notatek pochodzących od rozległej sieci wywiadowców i informatorów, od dawna lojalnie współpracujących z domem Templebane. Skupił się na cennej wiadomości, jakoby niejaka Ruby, uprawiająca swój fach na Neptune Street, dzień wcześniej widziała pana Sharpa, który najwyraźniej wrócił do Londynu i szwendał się po nadbrzeżu przy Schodach Żelaznej Bramy pomiędzy dokiem Świętej Katarzyny a Tower. Templebane przeczytał doniesienie ponownie i drobnym, niewyraźnym pismem dokonał odpowiedniego wpisu w dzienniku, stanowiącym poniekąd element długiej, na pozór przypadkowej i tajemnej historii Londynu.

Ruby stanowiła dla niego użyteczną parę oczu, a czasami również dłoni i warg, wykorzystywał ją bowiem do dostarczania wiadomości, ustnych bądź pisemnych, innym

pośrednikom – w przypadku kontaktu osobistego jego synowie mogliby zwrócić na siebie niepożądaną uwagę. To właśnie Ruby usłyszała z trzeciej ręki, że Coram Templebane wciąż żyje. Issachar nie uznał za stosowne podzielić się tym faktem z pozostałymi synami. Nie zamierzał odzyskiwać inwalidy, na dodatek szaleńca przetrzymywanego w szpitalu Bedlam, choć pilnował go za pośrednictwem obserwatorów i dzięki temu wiedział, że Nadzór, ten znienawidzony Nadzór, odwiedzał go regularnie i zadawał pytania, na które tamten najwyraźniej nie chciał odpowiadać. Issachar postrzegał życie jako jedną długą transakcję, jako grę, w której każdy pionek, nawet ten na pozór najmniej ważny, może pewnego dnia okazać się przydatny. Monitorował zatem stan Corama, na wypadek gdyby chłopak powiedział coś, czego nie powinien, a także dlatego, że być może pewnego dnia postanowi wykorzystać młodzika do przekazania wrogom jakichś mylących informacji. Pracująca dla niego dziewczyna wypytywała zreformowanego pijaka nazwiskiem Bill Ketch o wieści na temat Corama i mniej więcej co dwa tygodnie jej raport trafiał, wraz z wieloma innymi doniesieniami z Londynu, na biurko Issachara.

Listy celowo docierały do niego okreśną drogą, przynoszone przez posłańców, pośredników, łączników i kurierów poruszających się tajnymi trasami, żeby wprowadzać w błąd nieprzyjaciół, którzy mogliby próbować podążać za pismem ze stolicy aż do nikomu nieznannej kryjówki po przodkach. W okolicy nie kojarzono Templebane'a nawet pod prawdziwym nazwiskiem, podobnie jak żadnego z jego przodków. W tym rzadko odwiedzanym, sielankowym grajdole znany był jako Fenman – pseudonim ten wybrał jeden z protoplastów na

część płaskiej, wodnistej okolicy, którą rodzina opuściła w dawnych czasach łowców czarownic.

Ogólna atmosfera anonimowości przenosiła się również na wystrój domu, w którym, w przeciwieństwie do tego rodzaju starych rezydencji, na ścianie nie umieszczono portretów przodków. Zamiast nich, przynajmniej w gabinecie, było lustro. Właśnie z tego zwierciadła, zawieszzonego za plecami gospodarza, bez słowa wyszła postać, a ostrożnie postawiona stopa wylądowała na desce podłogowej, która zatrzeszczała ostrzegawczo.

Issachar odwrócił się zaskakująco szybko, trzymając już w dłoni rewolwer.

– To coś nowego – skomentował Dee, spokojnie spoglądając na klepkę, która zdradziła jego obecność.

Templebane odetchnął i odłożył broń. Znowu pełniła funkcję przycisku do papieru.

– Specjalnie kazałem je poluzować – powiedział. – Nie lubię, gdy ktoś się do mnie podkrada.

– Mógł pan po prostu zasłonić lustro – odparł alchemik. – Powiesić coś na nim. Wtedy by nie działało.

– Ale jak wtedy mógłbym korzystać z waszego cennego i pouczającego towarzystwa, doktorze Dee? Napije się pan brandy?

Dee stanął plecami do ognia i przyjął kieliszek, który Issachar napełnił dość obficie. Skosztował i skinął głową.

– Dobrze – uznał.

– Moi ojcowie zbudowali zimny dom, ale dobrze zaopatrzyli piwniczkę – rzekł Templebane. – Jednak nie przyszedł pan, żeby kosztować moich napitków, doktorze. Proszę mówić.

Usiadł z powrotem w fotelu i spojrzał na przybysza z kozią bródką, stojącego przy kominku.

– Zdecydował się pan wystąpić przeciwko Nadzorowi z własnej woli? – spytał Dee głosem ociekającym dezaprobatą.

– Owszem – odpowiedział szczerze Templebane, jakby nie było to nic nadzwyczajnego.

Dee zrobił pochmurną minę.

– Odniósł pan jedynie częściowy sukces.

– Zgadza się.

– Nie uznał pan za stosowne, żeby wtajemniczyć mnie w swoje plany?

– Nie uznałem.

– Doprawdy?

– Chodziło o sprawę osobistą. Zabili mojego brata Zebulona. Bardzo mnie to wzburzyło. – Wypowiadając te słowa, Issachar wyglądał na dogłębnie, niemal bezczelnie wręcz niewzburzonego.

– A czy Mountfellow również nic o tym nie wiedział?

– W istocie – rzekł Templebane. – Sprzeciwiłby się stanowczo z powodu swojej obsesji na punkcie zawartości domu. Moim zdaniem zamierzał zagarnąć dla siebie całą bibliotekę, wszystkie ezoteryczne inkunabuły oraz rozmaite przechowywane tam tajemne przedmioty. Jest bardzo zachłannym człowiekiem. Wystarczyło mu jedno krótkie zerknięcie do ich gabinetu osobliwości i zechciał go dla siebie...

– Czy nie wie nic o naszej relacji?

– Na pewno nie ode mnie – parsknął Issachar, jakby ta sugestia go zaszokowała. – Templebane'owie, jak pan dobrze wie, słyną z dyskrecji.

– Znam Templebane'ów, odkąd palili stare kobiety i proste młode dziewczyny za trzy półpensówki od sztuki – powiedział Dee. – Więc nie ze mną takie numery,

przebiegły człowieku.

Issachar pozwolił, by po wargach przemknął mu nieznaczny uśmiezek.

– Mountfellowon roi sobie, że jest siłą napędową wszystkiego, co robi. To pycha typowa dla wszystkich wielkich, utytułowanych ludzi.

– Dobrze – stwierdził Dee. – Ma pan szczęście, że pański sukces okazał się jedynie częściowy.

Issachar posmakował brandy, obracając ją językiem we wnętrzu obszernej jamy ustnej.

– Był częściowy w sensie heroicznym, bo choć okazał się niepowodzeniem, dokonał się na znaczną skalę: dom został zniszczony, a cała jego zawartość spłonęła...

– Nie – odparł Dee. – Nie cała zawartość.

– Jest pan pewien? Moje oczy i uszy na ulicach mówią mi, że została z niego jedynie sterta gruzów...

– Zapewniam pana. Gdyby przedmiot, o którym myślę, został choć tknięty przez pańskie piromańskie wysiłki, w gruzach leżałoby obecnie znacznie więcej niż tylko jeden dom. Jak już wspomniałem, bardzo panu sprzyja połowiczność sukcesu.

– Czyżby? – spytał Issachar, sięgając po butelkę i oferując ją gościowi, żeby ukryć swoje zainteresowanie.

– Nie mówiłbym tego, gdyby tak nie było – odparł Dee, równo trzymając uzupełniany kieliszek. – Musieli uratować tę rzecz i gdzieś ją ukryć, najprawdopodobniej pod płynącą wodą, jak wcześniej.

Oczy Issachara błysnęły, a gdy odwracał się, żeby odstawić flaszkę, spróbował wsunąć wiadomość z informacją na temat Sharpa z powrotem pod dziennik.

– A gdybym mógł zdobyć wieści na temat miejsca jego przechowywania? – spytał.

– Zostałby pan szczerze wynagrodzony. Szczodrzej, niż kiedykolwiek płaciliśmy panu albo pańskim ojcom. I dostałby pan jeszcze więcej, gdyby odkrył pan również sposób zdobycia tego przedmiotu, a jeszcze lepiej, gdyby przekonał pan Mountfellona, żeby użył w tym celu swoich okazałych zasobów – oznajmił Dee. – Jego bogactwo i żarłoczność...

– ...to coś, z czym możemy popracować. Oczywiście – uzupełnił Issachar, znów rozpięty w fotelu i wpatrując w odbicie płomieni tańczących na ascetycznych sufitowych stiukach. Rozmyślał nad czymś, uśmiechając się lekko.

– Ma pan plan, przebiegły człowieku? – spytał Dee. Nie zdradził się z satysfakcją, jaką przyniosło mu zasianie w mózgu rozmówcy pomysłu pokonania Mountfellona. Zrobił to bowiem w taki sposób, że Templebane najwyraźniej obmyślał właśnie całą strategię.

Issachar wyprostował się, przybierając rzeczową minę.

– Może i jestem przebiegły, ale przede wszystkim prosty, doktorze Dee – oznajmił. – Obawiam się trzech rzeczy. Po pierwsze nędzy, jak wszyscy na tym świecie. Po drugie Nadzoru, bo jego członkowie zemściliby się na mnie bezlitośnie, gdyby wiedzieli, a sądzę, że wiedzą, iż to ja wystąpiłem przeciwko nim. Podobną, choć nieco słabszą obawę żywię w związku z naszą lordowską mością, która okazałby mi zdecydowaną nieżyczliwość, a zapewne i mściwość, gdyby odkrył, że zniszczyłem łupy, na których zamierzał położyć rękę.

– To rozsądne obawy – skomentował alchemik. – A jednak uśmiecha się pan.

– A jednak się uśmiecham – przyznał Issachar. – Uważam bowiem, że istnieje sposób pozwalający upiec trzy

pieczenie przy jednym ogniu.

– Doprawdy? – spytał Dee, pochylając się z zainteresowaniem błyszczącym w oczach.

Templebane znów sięgnął po butelkę.

– Owszem, doktorze. Myślę, że wykorzystując mały blef i dobrze wszystko planując, zdołam przekonać naszego lorda, aby za pomocą swoich zasobów zdobył to, czego pan pragnie, a później Sluagh pozbawią go tego przedmiotu i oddadzą nam. Jeszcze brandy?

ROZDZIAŁ XXVI

Wyjątkowość kruków

O północy pożegnali ciepło kominka, żeby wspiąć się na wzgórze. Księżyc srebrzył skały i wodę w dole, gdy przedzierali się przez gęste wrzosa w kierunku skupiska większych głazów, wyglądających zupełnie jak kilka innych w okolicy. Kowal niósł w dłoni swój długi worek oraz młot, a na drugim ramieniu drabinę wykonaną z drewna przyniesionego przez morze. Beira miała na plecach pakę suszonego wrzosu.

Zatrzymała się przy na pozór przypadkowym kamieniu, wrzos położyła obok i z zaskakującą łatwością przewróciła głaz na bok, odsłaniając starannie wykonany otwór prowadzący w głąb ziemi. Kowal położył się na brzuchu i wsunął drabinę do szybu. Mierzyła osiem stóp, musiał więc sięgnąć głęboko, żeby oprzeć ją na dnie komnaty.

Wyciągnął z kieszeni świecę i zapalił ją ruchem nadgarstka, a następnie rzucił na szorstkie łupkowe płyty ułożone na podziemnej podłodze. Ściany wykonano z małych płaskich kamyków, ułożonych jak w murze niepołączonym zaprawą. Układały się mniej więcej w kształt ula wokół centralnej kolumny, również zbudowanej z ustawionych na sobie kamieni. Po drugiej stronie ledwo było widać wylot niskiego tunelu prowadzącego pod górę, o szerokości wystarczającej na tyle, by zmieścić się w nim mężczyzna, i zwężającego się, w miarę jak znikał w ciemności poza zasięgiem zrzuconego światła.

– Wiesz, zastanawiałam się nad tym, co mówiłeś: że to jest dla ciebie jak wieczność – powiedziała. – I moim zdaniem odbierasz to tak dlatego, że nie potrafisz odpuścić.

– Ją odpuściłem – odparł, obracając się i zsuwając nogi do otworu. Gdy znalazł nogą pierwszy szczebel drabiny, przysunął do siebie worek i narzucił jego uchwyty na ramię.

– Nie mówię o niej. Ale skoro już o tym wspominasz, to nie sądzę, żebyś ją odpuścił, i jestem ostatnią osobą, która mogłaby cię za to winić, w tym sensie, że nie da się odpuścić idei. Może zresztą to ona nie może odpuścić ciębie.

– Idea?

– Zatem przekonanie – rzekła. – Że możesz coś zmienić.

– Zmieniam. Razem zmienialiśmy.

– A jednak jesteś tutaj. Znowu – powiedziała, spoglądając na niego. – W tym otworze. Ponownie prosisz o własną krew.

Widziała księżyc odbijający się w jego oczach, gdy podniósł wzrok na jej sylwetkę, ciemną na tle bezchmurnego nocnego nieba.

– Jeśli nie wstaje się po powaleniu na ziemię, walka jest skończona – stwierdził. – Nie ma w tym nic skomplikowanego.

– Właśnie – odrzekła.

– Zgadzasz się?

– Nie powiedziałam tego. Powiedziałam, że właśnie. To jest to twoje miejsce między młotem a kowadłem, w którym tkwisz. W którym zawsze tkwiłeś. Może po prostu mężczyźni tak mają.

– Nigdy nie byłem nikim innym niż prostym mężczyzną próbującym robić prostą rzecz.

– Nie. Taki byłeś, zanim to wszystko się zaczęło. – Westchnęła. – Od tamtej pory żadne z nas nie jest proste, prawda?

– Nie jesteś wcale taka skomplikowana, Beiro.

– Tylko jeśli uważasz się za głupca, a ja wiem, że nim nie jesteś, więc przestań kłaść idealnie czystą noc takim kłamstwem – oznajmiła gwałtownym tonem, po czym westchnęła i przyklęknęła na krawędzi szybu. – Ja z niczym nie walczę, Waylandzie. Obserwuję tylko i jestem. Jestem i obserwuję. To dlatego czas nie ociera mnie tak jak ciebie, który próbujesz płynąć pod jego prąd. Zresztą z czasem jest jak z pływami morskimi. Jeśli po prostu jesteś, jeśli po prostu obserwujesz, unosisz się z prądem i jego ruch zupełnie cię nie irytuje.

– Wiesz, co myślę? – spytał Kowal.

– Tak – odparła. – Po tych wszystkich długich latach chyba wiem.

– Myślę, że obserwować i być to wybrana przez ciebie metoda walki.

– Naprawdę?

– Owszem.

– Cóż – rzekła, wstając i strzepując nieistniejący pył ze spódnicy. – Może wcale nie jesteś taki prosty, za jakiego chcesz uchodzić. Przesuń się lekko...

Wrzuciła do środka belę pociętego wrzosu.

– Wszystko, czego potrzebujesz, jest tam, gdzie to zostawiłeś. Nie ma powodu, żebyś kładł się na kamieniach. Wrzos może całkiem nieźle służyć za materac, jak dobrze wiesz.

– Może mi to zająć cały dzień – powiedział.

– Jak źle jest z tobą? – spytała, wyciągając dłoń i dotykając jego barku.

Wzruszył ramionami.

– Kruk leciał ze mną całą drogę, w razie gdybym nie zdołał do ciebie dotrzeć. Wiedziałem, że nie jest to konieczne, ale Hodge nalegał.

– Obecny teriernik.

– Dobry jest.

– Wiem. Odpowiednio strzeże moich kruków i ma młodego ucznia z nowym psem.

– Rzeczywiście wszystko obserwujesz, prawda?

– Nikt nie jest w stanie obserwować wszystkiego. Ale podobnie jak sam Kruk patrzę na tych, wobec których mam zobowiązania. Moim zdaniem to dobrze, że Hodge szkoli sobie kogoś na zastępstwo.

Kowal zadarł głowę jak pies, który wyczuł zwierzynę.

– Co masz na myśli?

– Wiesz dobrze, co mam na myśli – odparła.

W jego twarzy było coś, co mówiło, że wcale nie chce schodzić po tej drabinie.

– Do zobaczenia wkrótce – powiedział.

– Zgadza się.

Uśmiech nie schodził jej z twarzy przez cały czas, gdy Kowal schodził po drabinie. Później przeturlała wielki głaz z powrotem na otwór, spoważniała i ruszyła w dół zbocza do domu, marszcząc brwi w zamyśleniu.

Nie widziała, jak Kruk sfruwa na kamień niczym strażnik.

Wiedziała jednak, że tam jest.

W połowie drogi pokręciła głową i ze znużeniem wspięła się z powrotem na wzgórze. Strzeliła palcami i Kruk zeskoczył z kamienia na jej nadgarstek. Skłoniła głowę i coś mu wyszeptwała. Była to długa rozmowa, a gdy dobiegła końca, kobieta wsunęła dwa palce do ust i noc rozdarł

przenikliwy gwizd. Wszystkie pozostałe ptaki poderwały się w powietrze i krążyły nad nią w srebrnym świetle księżyca, niczym czarny wir. Podrzuciła Kruka na rękę, a on wzniósł się i zatoczył jedno, drugie, trzecie koło, jakby żegnając się z innymi, które kierowały się już na południe, po czym znów opadł i zajął wcześniejszą pozycję.

Kobieta osunęła się na ziemię i oparła plecami o głaz. Miała wilgotne oczy. Podniosła mniejszy kamień i stuknęła nim w większy.

Kowal siedział pod ziemią w ciemności. Podniósł głowę, słysząc hałas.

– Beira?

Pochyliła się i przyłożyła usta do wąskiej szczeliny w głazie.

– Posłałam kruki.

– Dobrze.

Odetchnęła głęboko.

– Ale Kruk zostaje. Potrzebujesz kogoś, żeby cię pilnował.

Natychmiast spróbował wstać, ale z przerażeniem odkrył, że nogi go nie słuchają. Zatoczył się w tył i oparł dłońią o szorstkie krawędzie kamieni.

– Co ty zrobiłaś? – krzyknął chrapliwie. – Nie mogę...

– W whisky był nie tylko torf, Waylandzie – wyszeptała. – Przepraszam.

– Beiro!

– Śpij – powiedziała cicho. – Wiem, że to trudne, ale stało się. Nie walcz. Śpij już. Jeśli pozwolisz, poczujesz się, jakbyś spał. – Otarła łzy z oczu.

– Oni mnie potrzebują! – wrzasnął, próbując podciągnąć się na rękach, żeby wstać. – Nadzór mnie potrzebuje!

– Teraz muszą samodzielnie wytrwać albo polec – rzekła.

– Wiesz to w głębi serca. A rozum mówi ci, że właśnie

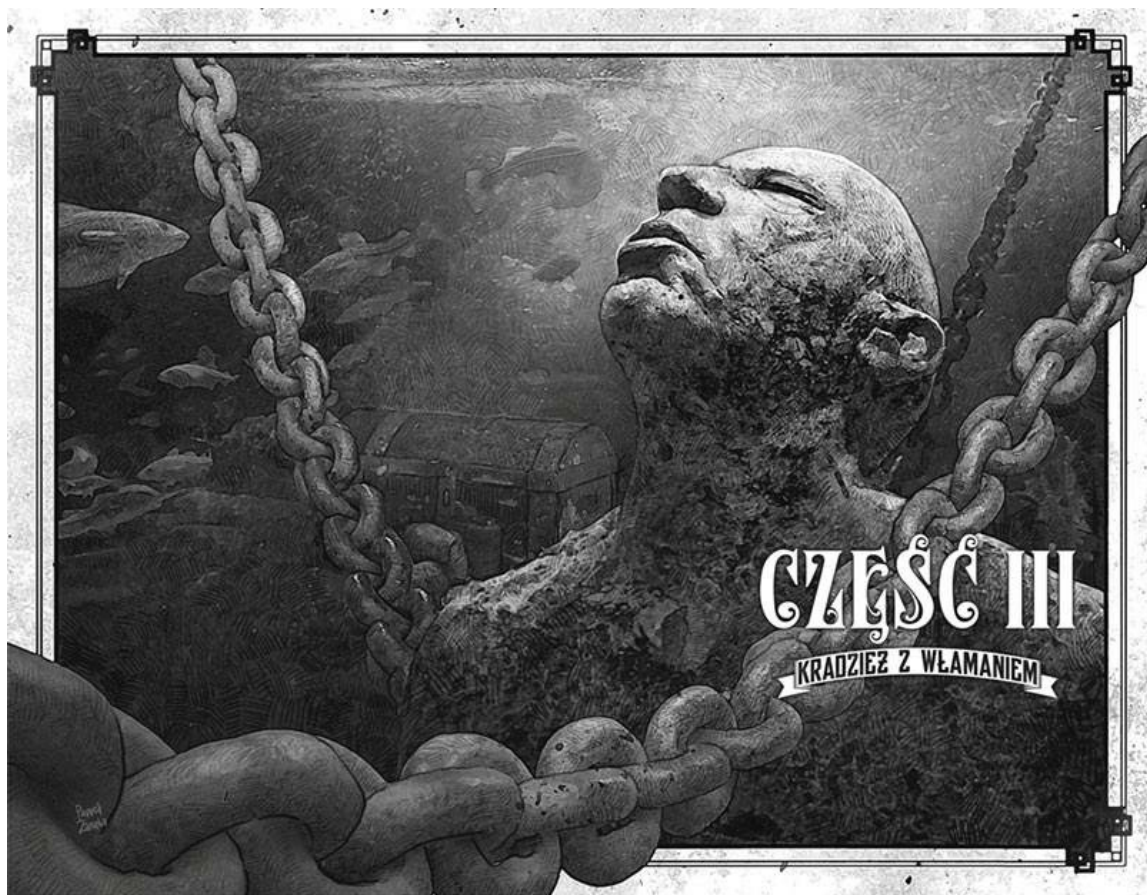
rozstrzygają się rzeczy ważniejsze niż Ostatnia Ręka. Masz przecież świadomość, że gra trwa znacznie, znacznie dłużej.

– Złapałeś mnie w pułapkę – wychrypiał, trzepocząc powiekami.

– Ale wysłałam kruki – oznajmiła. – Zrobiłam to.

– Uwięziłeś mnie – wydyszał, a ręce opadły mu bezwładnie.

– A ty zapomniałeś, Waylandzie – powiedziała, obserwując, jak ostatnie kruki znikają za szczytem wzgórza. – Wszystko stanowi krąg i nie wszystkie stare opowieści pochodzą z przeszłości. Niektóre narodziły się w przyszłości. Teraz połóż się na wrzosie, zanim upadniesz, nadchodzi bowiem mrok, a podłoga jest twarda.



CZĘŚĆ III

KRADEŻ Z WŁAMANIEM

O Amerykach

Malum quidem nullum esse sine aliquo bono.

Nie istnieje zło, w którym nie ma odrobiny dobra.

Pliniusz Starszy

O Amerykach mam mniej do powiedzenia, gdyż wiem o nich niewiele i pragnę dowiedzieć się więcej (...), powiem jednakże, że wprowadzie niektórzy uważają Amerykę za Aravot (...), jak opisuje Zohar, czyli siódme niebo, a także miejsce, w którym znajduje się Eden: „są tam bowiem skarby w postaci dobrego życia, błogosławieństw i pokoju” (...). Nie widziałem jeszcze na to żadnych dowodów ani też nie wierzę w twierdzenia wysuwane przez Thomasa Thorowgooda w jego *Żydach w Ameryce albo Prawdopodobieństwie, iż Amerykanie pochodzą od tej rasy*, gdzie utrzymuje, że możliwymi przodkami Indian jest dziesięć zaginionych plemion Izraela (...). Pogląd przeciwny wyłożony w polemice autorstwa sir Hamona L'Estrange'a dowodzi niesłuszności tego opartego na błędnych przesłankach wywodu w lepszy sposób niż ja (...).

(Odręczny dopisek do powyższego, piórem rabiego:

Wielka i tajemna historia świata wciąż jest w trakcie tworzenia i mam nadzieję, że ja bądź ci, którzy podejmą moje dzieło, skorygują istniejące luki, Nowy Świat może jeszcze bowiem wielce zaskoczyć stary, jeśli dawne pomyłki nie zostaną powtórzone).

Wyjątek z *Wielkiej i tajemnej historii świata* autorstwa rabina doktora Hayyima Samuela Falka (znanego również jako Ba'al Shem z Londynu)



ROZDZIAŁ XXVII

Przebiegły człowiek zarzuca przynętę

Issachar Templebane czym prędzej kazał się przewieźć – nie zważając na towarzyszący podróży dyskomfort – ze swojej anonimowej kryjówki do znacznie bardziej ostentacyjnego schronienia, czyli Gallstaine Hall, pradawnej rodzinnej siedziby rodziny Blackdyke’ów. Zniósł niewygodną podróż przez kawał kraju, odbywającą się na zmianę po drogach z poborem myta, traktach i polnych drózkach, powtarzając sobie, że jedzie na ryby, być może z perspektywą złowienia największej zdobyczy w życiu, i że jeśli uda mu się ją złowić, będzie potrzebował wszystkich swoich zasobów, nie powinien więc trwonić cennej energii na wyładowywanie frustracji wywołanej trudami jazdy. Solidnie wytrzymało mu kości i jedyną dobrą rzeczą, jaką mógł powiedzieć o całej wyprawie, gdy powóz sunął podziemnym tunelem prowadzącym od bramy posiadłości do samego domu, było to, że w końcu przybył do celu.

Gdy wchodził po prowadzących do Gallstaine schodach ze szpatu żelaznego, po jego postawie zupełnie nie dałoby się poznać przeżytych po drodze trudności, podobnie jak jego zamiarów zakładających wykorzystanie Mountfellona. Dawno już uznał wicehrabiego za bezużytecznego dla swoich ambicji. Myślał o nim jako o figurancie, który pozwoli mu pokonać znienawidzony Nadzór, zapędzić go w pułapkę i dokończyć dzieła zniszczenia, które poprzednio zostało w tak niebezpieczny sposób spartaczone. Nijak nie zdradzał radości, którą odczuwał na myśl, że gdy wprowadzi swój fortel w życie (jego zdaniem był raczej nieskomplikowany i trudny do zepsucia, jeśli zostanie odpowiednio rozegrany), Londyn będzie należeć do niego.

Nie zaskoczyło go też, jak demonstracyjnie nieuprzejmie powitano go, gdy znalazł się w ogromnym holu. Mountfellowon zbiegł po szerokich marmurowych schodach niczym lawina złej woli, ściskając w pięści kość udową mały, którą nosił teraz ze sobą, dokądkolwiek się udawał – tak spodobał mu się jej destrukcyjny ciężar.

– Czego chcesz, u diabła? – warknął.

– Wyjaśnienie – odparł Issachar, zachowując godne podziwu opanowanie.

Wicehrabia zatrzymał się tuż przed nim i nachylił niegrzecznie blisko.

– Wyjaśnienie?! – ryknął, opryskując śliną kołnierz płaszcza Templebane'a i wiszące ponad nim fałdy podbródka. – Nie dostaniesz żadnych wyjaśnień! Co za tupet!

Issachar wyciągnął chusteczkę i spokojnie się wytarł.

– Chciałbym się po prostu dowiedzieć, czy to wasza lordowska mość podjął tę jakże spektakularnie nieudaną próbę wysadzenia w powietrze należącego do Nadzoru

domu na Wellclose Square – oznajmił.

– A dlaczego, do licha, miałbym go wysadzać w powietrze, ty kretynie?! – zagrzmiał Mountfellow. – Zniszczenie go pozbawiło mnie cennych przedmiotów! Przedmiotów, które mogłyby mi pomóc w mojej obecnej, niedopuszczalnej sytuacji! Powinienem kazać cię wychłostać i wyrzucić z powrotem na drogę za taką zuchwałosc! Otrzymałem wiadomość o tragicznym w skutkach pożarze od tego paskudnego małego sędziego, którego użyłeś w realizacji swojego pierwszego, haniebnie nieudanego planu, Bigwella czy tam Bedwet...

– Bidgooda – podsunął uprzejmie Issachar.

– Nie mam potrzeby znać jego nazwiska – rzekł wicehrabia. – Jest człowiekiem wyraźnie pragnącym przypodobać się lepszym od siebie, skoro informuje mnie o „nieruchomości, w związku z którą wykazałem spore zainteresowanie”. Zupełnie jakby słuchanie o tym, że wszystkie te bezcenne skarby poszły z dymem, sprawiało mi przyjemność. I wiesz co, kupcze? Nie rozumiem, dlaczego twoje pojawienie się teraz miałoby oznaczać tupet choć odrobinę mniejszy od jego cholernego tupetu.

– To oznaczałoby, że jest pan głupcem, lordzie Mountfellow, a obydwaj wiemy, że pan nim nie jest. Powtarzam zatem: czy daje pan słowo, że to nie z pańskiej inicjatywy doszło do ataku na dom Nadzoru?

– Dlaczego, do cholery, miałbym zniżać się do tego, by dawać ci słowo? – spytał Mountfellow, potrząsając kościaną maczugą. – Jakie to niby ma mieć dla ciebie znaczenie?

Wieczny kombinator Issachar wiedział, że stara zasada, zgodnie z którą więcej much lgnie do miodu niż do octu, nie obowiązuje zawsze i wszędzie. Był wystarczająco sprytny, by zdawać sobie sprawę, że czasami – i to był właśnie taki

przypadek – jedynie ocet na coś się zdaje. Mając to na uwadze, zignorował groźny gnat i udał, że traci panowanie nad sobą.

– Jakie to ma dla mnie znaczenie, lordzie? – wysyczał w świetnie udawanej zimnej furii. – Jakie ma dla mnie znaczenie, że odkryto, iż to moje przedsiębiorstwo zaatakowało Nadzór? Że musiałem zwinąć interesy i opuścić Londyn, jak i pan uczynił? – Pokręcił głową, jakby w próbie opanowania się. – Ma to ogromne znaczenie, sir, i nie wyjdę stąd ani nie powiem już ani słowa więcej na temat pewnej pomyślnej okoliczności, dopóki nie zapewni mnie pan, że nie ściągam na siebie gromów za pańskie nieudane przedsięwzięcia!

Mountfellow wpatrywał się w niego w osłupieniu typowym dla wszystkich tyranów, którym ktoś się niespodziewanie postawi.

– Nie wyszło to z mojej inicjatywy – powiedział krótko, po czym dostrzegł przynętę, którą wymachiwał Templebane, i dzięki temu zdołał wyjść z twarzą z sytuacji, w której, według własnego mniemania, znajdował się nieprzyjemnie blisko kapitulacji. – Mówiłeś pan o jakiejś okazji, która mogłaby poprawić sytuację...

Issachar spojrział na niego. Ryba połknęła haczyk. Teraz potrzeba było tylko czasu, żeby porządnie wbił się w podniebienie.

– Nie, sir – powiedział. – Widzę, że moja obecność jest dla pana irytująca i że najwyraźniej żywimy do siebie nawzajem antypatię tak silną, iż uniemożliwiłoby to odzyskanie... Cóż, chciałem przez to powiedzieć, sir, że moim zdaniem nasze interesy nie są już... zbieżne. – Skłonił się lekko i odwrócił.

Mountfellow złapał go za ramię.

– Odzyskania, drogi panie? – spytał. – Odzyskania czego?

Twarz Templebane'a wyrażała zupełną obojętność. Nijak nie dawał po sobie poznać, że jego wewnętrzny wędkarz odczuwa przemożną satysfakcję.

– Ocalili z pożaru wystarczająco wiele rzeczy, by musieli zatopić je na nowo w celu ukrycia ich przed nami – wyjaśnił.

Twarz wicehrabiego zupełnie znieruchomiała.

– To niemożliwe!

– Ależ możliwe – odparł Issachar. – I wiem, gdzie to zrobili. Co więcej, tym razem wystarczy zarzucić bosaki z brzegu i popracować dzień lub noc.

Mountfellow spoglądał na maczugę trzymaną w dłoni, a jego oblicze zdradzało, że intensywnie nad czymś rozmyśla. Wreszcie wyprostował się i schował kość za plecami.

– Panie Templebane – powiedział spokojnym, łagodnym głosem – mam nadzieję, że wybaczy mi pan mój brak umiaru, ale pewni nocni dżentelmeni zadali ohydny gwałt mojemu domowi, co wyprowadziło mnie z równowagi. Jeśli okazałem nadmierną nieufność, bardzo przepraszam. Wyzwolili się ze strachu przed żelazem, co zmusiło mnie, jak pan widzi, do egzystowania pod ochroną płynącej wody i do wyrzeczenia się wojaży po zmierzchu.

Cofnął się o krok i kościaną pałką wskazał klatkę schodową.

– Może wejdzie pan na górę do mojego salonu i napije się czegoś po długiej podróży, a później przedyskutujemy wieści, z którymi pan przybywa?

Rybak Templebane uspokoił się w duchu. Teraz wystarczyło wciągnąć rybę na ląd. Odczekał chwilę dla efektu, po czym ostentacyjnie przełknął swoją

usprawiedliwioną urazę i pozwolił sobie na nie do końca niemiły uśmiech.

– Jak sobie wasza lordowska mość życzy – rzekł, ruszając za szlachcicem po szerokich schodach.

Nic w jego postawie nie zdradzało, że przez całą drogę na górę buńczucznie powtarzał w myślach pięć słów: „Trzy pieczenie przy jednym ogniu! Trzy pieczenie przy jednym ogniu!”.



Templebane miałyby zapewne mniejszą ochotę na świętowanie, Mountfellon zaś nie byłby tak opanowany, jak tylko próbował sprawiać wrażenie, gdyby wiedzieli, że w tarninowym gąszczu na zboczu wychodzącym na Gallstaine Hall od kilku dni siedział Hern. Przyczał się tam wraz z psami i czekał, aż Moutfellon przekroczy zabezpieczenie w postaci płynącej wody, którym się otoczył. Cechowała go cierpliwość, lecz kierował się pragmatyzmem. Zdobycz była najwyraźniej zbyt zabezpieczona, żeby dało się ją zaatakować bezpośrednio. Uznał wobec tego, że być może grubasa, który przyjechał właśnie w zachlapanym błotem powozie, da się wykorzystać jako przynętę, żeby wywabić zwierzynę na otwarty teren. Przybysz miał zresztą w sobie coś dziwnie znajomego. Myśliwy oparł dłonie na kościach biegnących wzdłuż grzbietów psów leżących cierpliwie po jego bokach i brodą wskazał znajdujące się z tyłu sztuczne jeziorko służące do pojenia zwierząt.

– Pijcie, psy – powiedział. – Tej nocy może nas czekać długi bieg.

ROZDZIAŁ XXVIII

Plany i decyzje

Bite dwa dni i dwie noce snu. Czymkolwiek Kucharka naszpikowała szynkę Sary Falk, niewątpliwie zadziałało wspaniale. Charlie i Ida siedzieli przy stole w kuchni, jedząc śniadanie, gdy nagle drzwi otworzyły się z hukiem i do środka wpadło małe, ledwo się kontrolujące tornado – na dodatek ledwo ubrane, nie licząc bielizny, choć nie zwracało na to uwagi, w przeciwieństwie do Charliego. Aż do tej pory chłopak widywał Sarę wyłącznie bardzo chorą lub padającą z wyczerpania, zatem sądził, że ma mniej więcej tyle lat co jego matka. Teraz, gdy jej wewnętrzny ogień zapłonął na nowo, uświadomił sobie, że bliżej jej było do jego wieku niż do wieku Rose Pyefinch, i fakt ten, w połączeniu z widokiem jej zaskakująco umięśnionych ramion oraz nogi wyzierającej spod półhalki, sprawił, że poczuł się dziwnie zażenowany.

– Dzień dobry – powiedziała, zwinnie przejmując świeżo posmarowaną masłem kromkę chleba, którą Charlie niemal miał już w ustach. – Czy mogę?

Obserwował, jak idzie w kierunku paleniska, przeżuwając z radosną miną, po czym nalewa sobie herbaty do dużego kubka. Wysączyła ją w kilku łykach, popijając chleb. Spojrzała na suszarkę wiszącą na sznurkach nad piecem, na której zeszłego wieczoru Kucharka rozwiesiła jej uprane i uprasowane ubrania.

– Smaczny chleb – rzekła. – Umieram z głodu. – Charlie Pyefinch, czy byłbyś taki miły i posmarował mi jeszcze

kromkę?

Ściągnęła z góry swoją jedwabną sukienkę. Gdy podniosła rękę, jej haleczka na ramiączkach i gorset podjechały nad półhalkę, odsłaniając przepięknie zaokrągloną dolną część pleców.

Ida kopnęła Charliego pod stołem. Chłopak oderwał wzrok od nagiego ciała i zobaczył, że dziewczyna patrzy na niego znacząco, unosząc brew.

– Ehm, tak – odparł. – Uhm, oczywiście.

Sara ubrała się szybko i bez jakiegokolwiek skrępowania, co Ida, również odziewająca się praktycznie, w pełni doceniła. Białowłosa kobieta wyglądała wręcz, jakby przywdziewała zbroję lub wkładała mundur. Znalazła swoje świeżo wypolerowane obuwie stojące przed piecem i postawiła stopę na krześle. Gdy pochyliła się, by zaciągnąć sznurówki, odsłoniła kawałek nogi, czego Charlie starał się nie widzieć.

– Ty wypastowałeś mi buty? – spytała, podchwytyjąc jego wzrok, zanim zdążył nim uciec.

– Eee...

– Chodziło mi o to, że zwykle to Emmet zajmuje się obuwem, więc ktoś musiał – stwierdziła.

– To był Hodge – poinformował chłopak, zastanawiając się, dlaczego mówi tak niewytłumaczalnie cienkim głosem.

– Muszę zapamiętać, żeby mu podziękować – uznała. – A wracając do tego chleba...

Podał jej drugą kromkę, którą pochłonęła równie szybko jak poprzednią. Archie wyłonił się spod stołu i polizał ją w dłoń. Zmierzyła mu sierść automatycznym gestem.

– Wyglądasz na wypoczętą – powiedziała Ida.

– Jestem zła – odrzekła Sara, a Charlie pomyślał, że nigdy nie widział tak niebezpiecznego uśmiechu jak ten, który

błysnął teraz na jej twarzy. – Taka złość daje mnóstwo energii. Gdzie są pozostali?

– Sharp poszedł do tego swojego, ekhem, przyjaciela – odparła Ida. – Golema.

– Emmeta – podsunął Charlie. – Widział się z nim też wczoraj, gdy odsypiałaś lekarstwo. Powiedział, że wróci z Hodge'em. A Kucharka wspominała, że wstaniesz dziś rano.

– Przypuszczam, że Emmet rzeczywiście jest jego przyjacielem – powiedziała Sara, odbierając trzecią z rzędu kromkę. – Nigdy nie myślałam o tym w taki sposób. Tyle że nie ma czasu na odwiedzin. Bądź tak dobry, pójdz po nich i poproś, żeby tu przyszli. Mamy sporo do zrobienia...

– Nic nie będziesz robić, dopóki nie zjesz jajecznicy i porządnego steku – oznajmiła Kucharka, wparowując od strony podwórka, gdzie Kowal trzymał między innymi kury. Niosła świeże jajka w koszyku, który dumnie podetknęła białowłosej kobiecie pod nos.

– Nie potrzebuję jajecznicy i steku – odparła Sara. – Za to potrzebna mi nowa broń i obecność pozostałych. Proszę, przyprowadź ich, Charlie.

– Wiesz przecież, że ostrza są w szafce Kowala, na tyłach kuźni. I spokojnie możesz zjeść, bo minie trochę czasu, zanim Charlie i Ida wrócą z resztą – oznajmiła Kucharka. Popatrzyła na dwoje młodych i nieznacznie, choć bardzo stanowczo poruszyła głową.

Zrozumieli aluzję i zniknęli za drzwiami.

Gdy tylko znaleźli się poza zasięgiem słuchu, Ida wbiła mocno łokieć Charliemu pod żebro.

– Auć! Za co?

– Za to, że rumienisz się jak chórzysta, bo dama przechodzi obok ciebie w niewymownych.

– Ja nie... – zaczął, ale ona jedynie wyszczerzyła zęby w uśmiechu i ruszyła biegiem, wprawnie poprawiając sobie przy tym jedną z kitek. Gdy się poruszała, trudno było oderwać od niej wzrok i nie zachwycać się zwinnością i wdziękiem, Charlie nie miał więc problemu, żeby zapomnieć o Sarze Falk.

Która w tym czasie weszła do warsztatu kowalskiego i za pomocą klucza otrzymanego od Kucharki otworzyła szafkę umieszczoną za giloszarką firmy Holtzapffel.

Gablotkę wykonano z dębiny tak starej, że drewno, dawniej przyjemnie żółte, teraz było czarne niczym świeżo polakierowane. We wnętrzu znajdowały się szuflady chronione kolejnymi zamkami, a po wewnętrznej stronie drzwiczek umieszczono rzędy noży rozmaitych kształtów, wzorów i rozmiarów. W efekcie po otwarciu obojga drzwiczek powstawał swoisty tryptyk. Kobieta stała przed nim przez dłuższą chwilę, nieruchomo jak wierni w kościele. Nie modliła się jednak – dokonywała wyboru. Gdy już podjęła decyzję, szybko wzięła trzy rzeczy: długą, wąską mizerykordię, kordzik o rękojeści z kości słoniowej oraz groźnie wyglądający sztylet naciskowy z rękojeścią w kształcie litery T i krótką, szeroką klingą.

Wróciła do kuchni i zaczęła mocować broń pod spódnicą i kurtką, jednocześnie obserwując, jak Kucharka z podobną żwawością przygotowuje śniadanie.

– Dlaczego chciałaś się pozbyć obojga? – spytała, wskazując podbródkiem drzwi, przez które wyszli niedawno Ida i Charlie.

– Bo musimy porozmawiać, a lepiej nie zniechęcać młodych – odparła Kucharka, obracając się i stawiając talerz przed Sarą. – A teraz przestań gadać i zacznij jeść.

– Co w tym jest?

– Jajecznicą i stek wołowy, lekko posypane przyprawą „nie pytaj” – oznajmiła kobieta, zerkając na solidnie wytartą skrzynkę z chińskimi lekarstwami, którą uratowała z ruin Kryjówki. – Wyjdzie ci na dobre.

– Jeśli to było w herbacie, którą mi dałaś, zanim zasnąłam, już wyszło mi na dobre. Znam jednak te twoje proszki. Owszem, działają, ale jeśli weźmie się ich za dużo, wcześniej czy później trzeba radzić sobie z drugą stroną medalu.

– Już jest później, Saro – oznajmiła Kucharka, siadając przed białowłosą. – To, co się dzieje teraz, to już później. I moim zdaniem nie może już stać się dużo późniejsze. To dlatego możesz zdać się na działanie proszków, bo diabeł mi świadkiem, że się nam to przyda, a będzie mnóstwo czasu, żeby...

Przerwała, dobyła z rękawa jedną z ogromnych chusteczek w grochy i wydmuchała nos. Sara, która została wychowana przez tę potężną kobietę, wiedziała dobrze, że smarkała ona tylko wtedy, gdy była solidnie przeziębiona, albo też gdy starała się ukryć jakąś zdradziecką emocję. Teatralnie głośne trąbienie w materiał zasłaniający twarz okazywało się wcale pomocne.

– ...mnóstwo czasu, żeby odpocząć, gdy umrzemy? – podsunęła Sara. – Aż tak źle?

– Tak źle, że nie da się już wyczuć, co jest dobre, nie mówiąc już o dostrzeżeniu tego z naszej pozycji. A teraz jedz.

Sara usiadła i ukroiła kawałek steku z rostbefu, kruchego i krwistego. Nie mogła powstrzymać myśli, że to zapowiedź przyszłości.

– No dobrze – powiedziała z ustami pełnymi jedzenia. – Mów.

Kucharka przysunęła się na krzesło, które zatrzeszczało ostrzegawczo, i oparła łokcie na stole.

– Kowal pojechał na północ w jakichś swoich pradawnych sprawach, ale mimo to powinien był już dawno wrócić. Albo sytuacja jest gorsza, niż się spodziewał, albo też coś poszło nie tak. Mamy szczęście, że młoda Portki zdecydowała się z nami zostać, bo dzięki temu mogliśmy utworzyć Rękę, gdy Lucy Harker wyjechała z tamtą Irlandką. Skoro Kowala nie ma, to dobrze, że ty i Sharp wróciliście akurat teraz, ponieważ rozmawialiśmy już z Hodge'em o tym, że nijak nie możemy doliczyć do pięciu.

– Myślisz, że Kowal mógłby umrzeć? – zapytała Sara. – Tak naprawdę?

– Nie wiem – odparła Kucharka. – Wiem natomiast, że może go nie być naprawdę długo. Kiedyś słyszałam coś takiego od jednej z tych, które zaginęły podczas Katastrofy, choć byłam wtedy zbyt młoda albo zbyt zajęta, żeby spytać, co miała na myśli. Pewnie założyłam, że zdążę to zrobić później. Co oczywiście nie nastąpiło...

– A jego nigdy nie pytałaś?

– Wydawało mi się to nieuprzejme. W końcu takich rzeczy raczej nie porusza się w zwykłej rozmowie.

– Jesteśmy Nadzorem – rzekła Sara. – Oczekuje się od nas niezwykłych rozmów.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Że zastanawiam się, czy nie zachowywaliśmy się głupio. Skoro tak uporczywie trzymaliśmy się koncepcji przetrwania, nieważne, jak niewielu by nas zostało... Sama nie wiem. Ale rozmyślałam, czy gdzieś się nie zagubiliśmy.

– Ja niemal cały czas jestem zagubiona – przyznała Kucharka. – Życie to nie mapa, po której można nawigować. To podróż. Wytycza się szlak, idąc nim. Zrobiliśmy, co tylko

byliśmy w stanie, z tym, co mieliśmy do dyspozycji...

– I w obliczu przeciwności – dodała Sara. – Nie tylko wciąż zdarzają się nam rozmaite wypadki, ale i wrogowie występują przeciwko nam. Wiemy już, że to Obywatel nas zwalcza, widziałam go bowiem w katakumbach w Paryżu, podczas Wejrzenia w przeszłość. Nie ma gwarancji, że nie żyje. Ten krwawy pakt z mrokiem, który dane mi było ujrzeć, miał chyba sprawić, że przekroczy naturalną długość życia. Musimy więc założyć, że działa wbrew nam od pokolenia, a my byliśmy tak zajęci wiszeniem na opuszkach palców nad przepaścią, próbami utrzymania Ostatniej Ręki, że zapomnieliśmy go znaleźć i zniszczyć.

– Nie wiedzieliśmy, że to on...

Sara tak mocno walnęła dłonią w stół, że aż talerze podskoczyły.

– Powinniśmy byli wiedzieć! Byliśmy słabi!

– Staraliśmy się przetrwać – powiedziała Kucharka.

– Nie – odparła Falk. – Ty, Hodge i Smith zostaliście, gdy pozostali, którzy przeżyli Katastrofę, nas opuścili, choćby rodzice Charliego Pyefincha. Sądziliśmy, że nas zdradzili, lecz teraz wiem, że byli po prostu realistami. Chyba dostrzegli, że to, co robiliśmy... co wy robiliście, było niewłaściwe, że Nadzór stał się zbyt słaby, żeby kogokolwiek ochronić. To dlatego, że dawał iluzję ochrony, co tak naprawdę jest gorsze niż jej brak. Zrozumieli, że jeśli chcą przetrwać, muszą się rozproszyć i żyć w jak najzwyczajniejszy sposób, bo iluzoryczna ochrona jest równie niebezpieczna jak tarcza z tektury.

– Utrzymaliśmy Ostatnią Rękę – rzekła Kucharka – ponieważ musieliśmy.

– Ale historia mówi nam, że nie musieliście. Wiemy, że w przeszłości Nadzór rozpadał się i rozpraszał! Kował nam

o tym opowiadał. Należy się wtedy rozejść, dopóki nie znajdzie się wystarczającej liczby silnych członków, żeby dało się zebrać nowe Ręce. Właśnie tym zajmuje się Kowal. Właśnie dlatego Nadzór istnieje od tak dawna.

– Co masz na myśli? Że nie powinniśmy byli próbować?

– Zostaliście we troje, ponieważ byłam dzieckiem, podobnie jak Sharp. Zostaliście, żeby zastąpić rodziców mnie, która ich utraciłam, i jemu, który nigdy ich nie miał. Myślę, że gdybyście nie musieli się nami zaopiekować, zapewne rozproszylibyście się.

– Gdzieś trzeba cię było wychować – stwierdziła Kucharka. – Najsensowniej było zrobić to w twoim własnym domu.

– Nie – odrzekła Sara. – To miało sens wyłącznie jako dobry uczynek, za co jestem wam dożgonnie wdzięczna. Natomiast w kategoriach waszych obowiązków było to szaleństwo, duma lub jedno i drugie. A Kowal już na pewno powinien był wiedzieć lepiej. Przez to wszystko wystawiliśmy się nieprzyjaciołom jak cele na strzelnicy. Powinniśmy byli się rozejść, żeby móc znów się podnieść.

– Gdy się rozchodzimy, dzieją się rzeczy, które przysięgliśmy powstrzymać.

– Nawet ty nie zdołasz zrobić omletu, nie rozbijając jajek.

– Jak w średniowieczu – stwierdziła Kucharka. – Nie były warte żadnego cholernego omletu, nie sądzisz?

– Gdy Londyn spłonął w Wielkim Pożarze w tysiąc sześćset sześćdziesiątym pierwszym, nie nastąpiło drugie średniowiecze. Zaczęła się epoka rozumu. Pojawili się filozofowie natury. Kanalizacja. Silniki parowe. Rewolucja przemysłowa. To nie są ciemne wieki.

– Nie są? – parsknęła Kucharka. – Chyba wiesz najlepiej. Tyle że nie wiesz.

– Czy mówiłam ci już, że cię Kocham?

Kucharka spojrzała na Sarę w osłupieniu. Przypominała wielki galeon o całkowicie rozwiniętym ożaglowaniu rejonowym zaskoczony przez gwałtowną zmianę wiatru.

– Bo Kocham i zawsze Kochałam – wyznała Sara. – Odkąd zostałam osierocona, byłaś dla mnie jak matka. Nie sądzę, żebym kiedykolwiek to powiedziała, bo nie rozmawiamy w taki sposób, ale zawsze zakładałam, że to wiesz. Tak samo jak o mnie i Sharpie. A skoro już wyglądasz na tak zszokowaną, to jemu też powiedziałam, że go Kocham.

– Nie jestem zszokowana – powiedziała Kucharka, lecz zdradziło ją to, że znów wydmuchała nos.

– Nie chodzi jednak o miłość. Jest ona ważna, lecz to nie o nią chodzi. Przez nią jesteśmy słabi. Tak naprawdę nie możemy sobie pozwolić, żeby zaciemniała nam ocenę sytuacji. I ewentualny nowy Nadzór będzie to musiał jasno powiedzieć tym, którzy zaprzysięgną mu wierność.

– Co masz na myśli?

– To, że Jack Sharp wszedł między lustra, żeby mnie uratować. Nie Nadzór, nie tych, których chronimy, nie tych, których zobowiązaliśmy się bronić przed gwałtem ze strony istot nadnaturalnych. Lekkomyślnie i nieodpowiedzialnie wszedł w paszczę zagrożenia, żeby ocalić tylko mnie! Kochał mnie i naraził się na najgorsze niebezpieczeństwo, żeby odnaleźć moją odciętą dłoń i pierścień z kamieniem serca. I wiesz co? W jakikolwiek sposób by to rozpatrywać, poniósł klęskę! Uratowali mnie chłopiec, który niedawno stąd wyszedł, i Lucy Harker. To oni przynieśli moją dłoń, nie Sharp. Ja zaś byłam równie nierozsądna jak on, ponieważ weszłam w ten sam labirynt zwierciadeł, żeby z kolei ocalić jego. Z miłości. I właśnie z powodu słabości wywołanej miłością, z powodu

zaburzonej oceny sytuacji, z powodu samolubnych, sentymentalnych czułości Ostatnia Ręka i tak by się rozpadła, gdyby czysty przypadek nie postawił na naszej drodze tej noszącej portki dziewczyny nazwiskiem Laemmel, pochodzącej ze szczytu nie wiadomo jakiej cholery gór pośrodku Austrii!

– Chcesz jeszcze jeden stek? – spytała Kucharka.

– Nie, nie chcę jeszcze jednego steku!

– No to przestań wymachiwać tym widelcem, inaczej wyklujesz sobie oko. A co ma znaczyć „ewentualny nowy Nadzór”?

– Ten, który pojawi się, gdy poniesiemy klęskę – wyjaśniła Sara.

Na chwilę zapadła cisza.

– Zatem zdecydowałaś, że musimy ponieść klęskę?

– Nie. To inni podjęli tę decyzję. Obywatel i jego stwory. Ponieważ nie wiem, jak wielkie siły zdołał zebrać przeciwko nam, nie jestem w stanie stwierdzić, czy z tego wyjdziemy. Podejrzewam, że nie. Mogę jednak powiedzieć, że jeśli przegramy, zrobimy, co w naszej mocy, żeby zabrać go ze sobą. Takie jest życie. Taka jest rzeczywistość. To nie baśń dla dzieci, nie ma szczęśliwego zakończenia. Wielka prawda, o której, jak się obawiam, zapomnieliście, gdy zmajstrowaliście Ostatnią Rękę złożoną z was trojga i dwojga dzieci, brzmi tak, że przysięgaliśmy chronić! Nie przetrwać. Ci, którzy przyjdą po nas, będą kontynuować nasze dzieło. Kowal przeżyje. Znajdzie nowe Ręce. Nadzór będzie istniał bez nas. Naszym zadaniem jest bronić, czego zdołamy, dopóki będziemy mogli. Czyli w tym przypadku ta Ręka Nadzoru może chronić następną, likwidując bieżącego wroga, żeby nasi następcy mogli się rozwijać wolni od jego cienia.

– Mylisz się – dobiegł głos od strony drzwi.

Odwróciła się i ujrzała stojącego w świetle Hodge'a. Jed siedział cierpliwie obok, gdy jego przyjaciel gmerał przy krótkiej fajce, próbując rozpalić wilgotny tytoń. Za plecami teriernika Sharp opierał się o framugę. Sara uznała, że nie pozwoli sobie na zażenowanie ani nie będzie się zastanawiać, od jak dawna jej słuchają.

– Masz rację, jeśli chodzi o to, co musimy zrobić, ale mylisz się co do miłości – powiedział teriernik, po czym zaciągnął się i skinął z zadowoleniem głową. – Mylisz się też w innej kwestii: nie poniosłaś klęski, gdy weszłaś w lustra. Ocalałaś Sharpa. Przywiodłaś go z powrotem.

– Trudno o większą prawdę – rzekł Sharp. Gdyby nie ty, umarłbym, utopiłbym się w ciemności.

Hodge wciągnął do płuc kolejną chmurę dymu, po czym wypuścił go z chrapliwym kaszlem.

– W sprawie miłości też się mylisz – oznajmił z łobuzerskim uśmieszkiem. – Nie patrz tak na mnie, Saro Falk, miłość nie jest mi obca. Więcej o mnie nie wiesz, niż wiesz, tak sądzę, ale to tak na marginesie. Zresztą sam postanowiłem żyć w taki sposób.

Wskazał na teriera siedzącego cierpliwie u jego stóp. Jed odpowiedział spojrzeniem i zastukał ogonem w nadproże.

– Ale popatrz tylko na Jeda. Kocha mnie tak samo jak ja jego. Na swój sposób kocha was wszystkich, tak jest. Jako pies nie potrafi pewnie widzieć was inaczej niż jak swoją sforę. Ale miłość nie czyni go miękkim, prawda? Jed walczy bez żadnych zahamowań. Można walczyć w imię miłości. Nie musi się to dziać wbrew niej, a już za cholerę nie zamiast niej. Miłość nie musi osłabiać. W zasadzie jeśli nie walczysz w imię tego, co kochasz, to coś jest nie tak.

Sara wpatrywała się w niego, przygotowując odpowiedź.

Starannie przy tym unikała spoglądania na Sharpa. I nagle czar prysł, gdy w drugich drzwiach pojawili się Ida i Charlie. Towarzyszący im Archie zaczął skakać przed swoim ojcem i szczekać radośnie. Jed, nie w nastroju do zabawy, warknął na niego. Archie znów zaszczekał i się wycofał. Usiadł między nogami swego pana i raz po raz uderzał ogonem o podłogę.

– No dobrze – stwierdziła Sara, podnosząc się energicznie. – Nie wstałam dziś rano, żeby debatować. Zamierzam działać, sprawnie i w oparciu o plan. Sugeruję, żebyś ty, Hodge, zabrał pana Sharpa i żebyście przesłuchali znów tego Corama Templebane’a w szpitalu Bedlam, a ja pójde sprawdzic, czy ta wstrętna nora Templebane’ów istotnie została opuszczona. Jeśli rzeczywiście jest tam tak pusto, jak mówicie, przeszukam ją i sprawdzę, czy da się tam znaleźć jakieś wyraźne powiązanie z Obywatelem.

– Przeszukasz? – spytał Sharp. – Masz na myśli...

– Zdejmę rękawiczkę i dotknę każdej cegły w tym cholernym budynku, jeśli będzie trzeba. Jeśli ten francuski drań tam był, to zostawił na kamieniach paskudne ślady, w które będę mogła wejrzeć.

– Jesteś zanadto... Straciłaś zbyt wiele energii, żeby wejrzeć w tak wiele rzeczy – powiedział Sharp.

– Prawda – poparła go Kucharka. – Moje prozki pomagają ci tylko ignorować ubytek energii. Wciąż jesteś osłabiona.

– Będiesz miała mnóstwo czasu, żeby się tym martwić, gdy zginę – rzekła Sara. – Sama to powiedziałaś. Na razie zamierzam wykorzystać to, co mi zostało. Nie zamierzam się oszczędzać, jeśli tego będzie wymagać sytuacja. Chodźcie, Charlie Pyefinch i ty, Ido Laemmel. Światło dnia nie utrzyma się dłużej tylko dlatego, że sterczymy tu i je

marnujemy. – Popatrzyła na Hodge'a. – Czy później jako miejsce spotkania możemy wykorzystać twoją kwaterę w Tower?

Teriernik skinął głową.

– Zatem widzimy się tam o zachodzie słońca. A jeśli do tego czasu nie zdobędziemy więcej informacji, wspólnie wykonamy kolejny krok.

– Jaki jest kolejny krok? – zapytał Sharp.

– Znajdziemy tego szlachcica, który tak się palił do sprawdzenia, co trzymamy w bibliotece. Lorda Mountfellona. Wyglądał na partnera albo może sponsora Templebane'ów. Zobaczymy, co sam trzyma w swojej cholernej bibliotece.

ROZDZIAŁ XXIX

Obserwacja

I tak to się potoczyło – Amos, gdy jego nadzieje umarły na Wellclose Square, dołączył do Zmory, która udała się w okolice Chandos Place. Pierwszą noc spędzili w przyziemiu zamkniętego domu naprzeciwko i nasłuchiwali podziemnego bulgotu kanałów miejskich próbujących poradzić sobie z bezprecedensową ilością wody, jaka tego dnia pojawiła się w mieście na skutek burzy. Obserwowali siedzibę Mountfellona o dziwnie regularnej, lecz niesymetrycznej fasadzie. Nie dostrzegali w środku oznak życia, nie słyszeli hałasów, nie widzieli nikogo wchodzącego czy wychodzącego od frontu lub z boków. Nie słyszeli też żadnych ludzkich myśli, choć chłopak miał wrażenie, że dobiega do niego wołanie umysłu jakiegoś pogrążonego w bólu zwierzęcia wydającego się znajdować pod domem.

– Zapewne kot albo pies, który dostał się do kanałów – prychnęła Zmora. Sama utrzymywała, że nic nie słyszy. – Jedna z tysiąca małych tragedii, jakie każdego dnia nękają miasto. Czy to ludzki umysł?

Amos pokręcił głową. Docierała do niego jedynie niema panika i nie był pewien, czy jest udziałem kogoś lub czegoś w obserwowanym budynku, czy też w tym położonym za nim.

„Nie”.

– Zatem to nie Mountfellon – orzekła, po czym wcisnęła się w kąt pomieszczenia. Z kocem na głowie, łąpała jednym

okiem w kierunku domu naprzeciwko. Twarz miała na poziomie chodnika. – A jeśli nie on, to kogo to obchodzi? Nikogo, powiadam...

Chłopak zastanawiał się, czy mogłaby mu dać jeden z dwóch koców, którymi się otuliła. Nie dała. Był zbyt oteplony, żeby go to obeszło.

– Będziemy obserwować – oznajmiła. – Jedno śpi, drugie patrzy.

Amos wiedział, że jeszcze dzień wcześniej by się sprzeciwiał, ale tak bardzo załamały go wieści o zniszczeniu Nadzoru, że nie oponował. Zachował akurat tyle z rdzenia własnej tożsamości, żeby mieć pewność, że nie zabije dla Zmory, niezależnie od tego, co się wydarzy. Obserwacja dawała mu jednak jakieś poczucie celu, bez którego, jak wiedział, zdryfowałby bezładnie na jeszcze większe mielizny rozpacz.

Pierwszej nocy oraz pierwszego dnia działał mechanicznie i w oszołomieniu, lecz z biegiem czasu zaczął myśleć, jakie konsekwencje może mieć koniec Nadzoru. Wcześniej nie zdawał sobie sprawy, jak silnie trzymał się koncepcji, że istnieje grupa, której nie są obce zagrożenia płynące z tego, co nieznane, i że zdoła go ona przed nimi ochronić.

Tak naprawdę zetknął się z czymś bez dwóch zdań ponadnaturalnym dopiero wtedy, gdy został wysłany, żeby dostarczyć list Mountfellowowi, i zaczęli go ścigać Sluagh. Nie złapali go, ale zapędzili do mrocznego świata, z którego nie potrafił znaleźć wyjścia, nie umiał odczynić tego, co zrobił, ani zapomnieć o wszystkim, co zobaczył. Nie da się odzyskać niewinności. Nie da się wymazać świadomości, że noc kryje w swych cieniach znacznie gorsze rzeczy, niż mogłaby człowiekowi, który dorósł w mieście,

podpowiedzieć wyobraźnia. Amos słyszał wszystkie te opowiadane przez starszych braci historie o co bardziej hermetycznych aspektach interesów ojców i dawał im podobną wiarę co bajkom o ghulach czy boggartach, jakie opowiada się, żeby przestraszyć małe dzieci w ogólności i jego samego w szczególności, ponieważ był najmłodszy w domu. Teraz zaś już wiedział, że wszystko to jest prawdziwe, i czuł się nagi, bezbronny w gąszczu ciemności i cierni.

Wydawało mu się, że Nadzór zapewni mu coś więcej niż ochronę. Nawet samo myślenie o tym dawało mu zbroję przeciwko złu w tym świeżo odkrytym okultystycznym świecie, pokazywało, że na chaos prawdziwej grozy czającej się tuż za progiem racjonalnego umysłu da się narzucić ład.

Obserwował więc, spał, wychodził do miasta, kradł jedzenie i przynosił, żeby podzielić się nim ze Zmorą. Poza tym próbował być niczym więcej jak niemyślącą parą oczu. Dni ciągnęły się i były nudne. Kilkakrotnie wypłoszono ich z okolicy, ale wracali po zmroku. Sen był niemal równie nieuchwytny jak Mountfellow, a gdy w końcu niechętnie przychodził, nie zapewniał spokoju.

Gdy Amos zasypiał, nawiedzał go Abchurch Templebane, który stał nad nim i rozmawiał z pozbawionym części głowy zarządcą domu dla sierot Andover, panem M'Gregorem. Gdy zaś Amos odwracał się od nich, by nie słuchać makabrycznej pogawędki – wiedząc, że to sen, lecz mając nadzieję, że Zmora utwierdzi go w tym przekonaniu – odkrywał, że ma przy sobie nie swoją towarzyszkę, lecz panią M'Gregor. Kobieta potrząsała oskarżycielsko szkatułką, a jej spoczywająca na złamanym karku głowa ohydnie się kołysała. Później zauważał, że nie leży na

łóżku, lecz w basenie, w którym znajduje się nie woda, ale krew, kiedy zaś zanurzał w niej dłoń, widział, że to nie czerwona krew, lecz czarna, natomiast otaczające go sylwetki nie były jego ofiarami, tylko Sluagh, i wtedy budził się z dłonią Zmory na ustach i palcem wysuniętym ostrzegawczo przed twarz.

„Jęczałeś. Nie jęcz. To przyciąga uwagę”.

Jedyną zasadą kierującą jego nową, ograniczoną egzystencją było to, że powinni w pełni skupiać się na przeciwległym budynku i nie zwracać na siebie niczyjej uwagi.

Gdy względnie doszedł do siebie, dotarło do niego, że Mountfellow zapewne nigdy nie wróci. Nie przejmował się jednak. Nie chodziło o jego zemstę, tylko o zemstę Zmory. I przecież żadnej szkody nie mogło przynieść to, że siedzą w przyziemi opuszczonej kamienicy, niedostrzegani przez nikogo, niezauważalni, nawet nie wtapiający się w tło, jedynie zagubieni w szczelinach miasta. Bezsensowna obserwacja, którą prowadzili, była uspokajająco przewidywalna.

Nie mogła przynieść żadnej szkody.

ROZDZIAŁ XXX

Myśliwy

Hern biegł przez pofałdowaną okolicę, kierując się z grubsza z powrotem na południe. Poruszał się krokiem myśliwego, w miarowym tempie, które mógł bez wysiłku utrzymywać całymi nocami. Kościopsy sunęły przed nim, ciche i zdecydowane. Przy tego rodzaju gonitwach, gdy Nos prowadził, Chart pędził pół długości ciała za nim, dostosowując prędkość do wolniejszego towarzysza. W ten sposób jeśli Nos doprowadzał ich do zwierzyny i płoszył, Chart mógł w niecałe uderzenie serca przyspieszyć do zabójczego tempa. Byli świetnie zgrani jako zespół i nie musieli wyć ani szczekać, żeby porozumiewać się ze sobą lub z Hernem. Poza tym biegli nie po linii tropu węchowego, lecz równoległe do niej, utrzymując pozycję, ale zawsze wystawiając nos na woń niesioną przez wiatr.

Podążali za powozem dziwnie znajomego tłustego człowieka, pędzącego od Mountfellona i Gallstaine Hall do miejsca, z którego przybył.

Ponieważ było ciemno, Hern wiedział, że nie spotka wielu osób na drodze, jeśli w ogóle kogokolwiek, przywołał więc psy gwizdnięciem i skierował je na trakt, prosto na trop. Zastanawiał się, jak zawsze gdy śledził niewidoczną jeszcze zdobycz, czy robi słusznie, podążając za tym grubasem do jego siedziby. To Czaszka Borsuka zasugerował, że być może uda się dostać do Mountfellona poprzez jego wspólników, dlatego właśnie opuścił kryjówkę i ruszył za powozem, lecz poza tym tłuscioch z czymś mu

się kojarzył. Choć Hern nigdy go nie widział, wyglądał on i pachniał jak Templebane, z którą to rodziną Hernowie i Sluagh od pokoleń robili interesy. Czaszka Borsuka zapewne bardzo chciałby się dowiedzieć, dlaczego ten osobnik spotyka się z wicehrabią. Z obserwacji posiadłości Mountfellona myśliwy wywnioskował, że potrzeba będzie czegoś niezwykłego, żeby go dopaść. Zignorował zatem kolkę w boku i po prostu biegł dalej, nie chcąc zgubić powozu.

ROZDZIAŁ XXXI

Cisza w Bedlam

Coram Templebane został poważnie zdeprecjonowany, i to nie tylko z powodu amputacji nogi. Przybrany ojciec porzucił go w chwili, kiedy potrzebował ratunku, to jest gdy wylądował na krawężniku z kolaniem boleśnie strzaskanym przez bełt z kuszy. Leżąc na bruku, chłopak obserwował z niedowierzaniem, jak powóz Issachara oddala się pospiesznie, podczas gdy wokół niego gromadzi się i spływa do rynsztoka mnóstwo krwi. Próbował uciekać, znaleźć schronienie w ciemnych kanałach, ale nagle jego wspomnienia się urwały i kolejną rzeczą, jaką pamiętał, było przebudzenie na oddziale szpitalnym w Bedlam z poczuciem straszliwej, niewiarygodnej pustki w miejscu, gdzie powinien mieć nogę. Wciąż czuł się skrajnie wyczerpany przez operację, którą zapamiętał jako brutalną kradzież, co więcej, jego siły życiowe zostały poważnie nadwątlone w wyniku gwałtownych przeżyć. Nocami w szpitalnym mroku wciąż szlochał, oplakując utraconą kończynę, jakby była to ukochana osoba. Przez całe życie nie kochał niczego ani nikogo, nie znał w zasadzie tego uczucia, gdyż jako sierota został wcielony do brutalnej rodziny Templebane'ów. Poniewczasie odkrył jednak, że bardzo kochał być pełną osobą, lecz to już przepadło na zawsze. Dostrzegał fizyczne objawy swego postępującego osłabienia za każdym razem, gdy kuśtykał na kulach obok jakiejś lustrzanej powierzchni. Stracił apetyt – co zważywszy na jakość wyżywienia serwowanego w Bedlam,

nie stanowiło zbyt dużej straty dla kogoś, kto dawniej szczylił się epikurejskim gustem – a w konsekwencji również mocno zmizerniał. Jego gęste niegdyś włosy zostały obcięte tak krótko, że w połączeniu z wiecznymi sińcami pod oczami oraz wychudzonymi policzkami upodabniały go do czaszki umieszczonej w środkowej części rodzinnej pieczęci Templebane’ów. Ponad nią widniało pokrzepiające motto: „Czym ja jestem, tym ty się staniesz”. Gdyby Coram był skłonny mówić, powiedziałby, że ta dewiza zdawała się teraz boleśnie spełniającą się przepowiednią.

Nie mówił jednak. Lekarze twierdzili, że to w wyniku szoku. Chłopak miał wrażenie, jakby mowa była wyspą, ku której płynął, lecz wciąż nie mógł dotrzeć, ponieważ fala nie do pokonania stale trzymała go na morzu milczenia.

Nie przypuszczał, że Nadzór w osobie Hodge’a manipuluje jego umysłem, dbając, by nigdy nie zaczął rozważać ucieczki ze szpitala. Nie licząc zdolności mowy, chłopak miał kontrolę nad niemal wszystkimi pozostałymi funkcjami cielesnymi i wspomnieniami. W zasadzie byłoby dla niego łaską, gdyby teriernik zajął się nim jeszcze dogłębniej i stłumił w nim umiejętność przypominania sobie przeszłości albo rozważania, co może przynieść przyszłość, ponieważ z połączenia tych dwóch strumieni myśli powstawała potężna, rwąca rzeka grozy, gotowa go zatopić o każdej porze dnia i nocy. Na jawie Coram był nerwowy i rozkojarzony, natomiast kiedy morzył go sen – ta iluzoryczna obietnica odpoczynku – dręczyły go koszmary tak przerażające, że często budził się spocony i drżący, a rano był jeszcze bardziej zmęczony niż przed zaśnięciem.

Jedyne wytchnienie, aczkolwiek dość niespodziewane, przynosiła sympatia i uwaga posługacza nazwiskiem Bill

Ketch. Coram nie wiedział, że na umysł Ketcha również ktoś wpłynął, w tym przypadku pan Sharp, a stało się to po dokonanej przez niego próbie sprzedaży dziewczyny – konkretnie: Lucy Harker – właśnie Nadzorowi. Z tego powodu Hodge przydzielił byłemu oprychowi opiekę nad Coramem, ten zaś zajmował się nim w troskliwy i rozbajająco miły sposób. Wciąż przy tym wyglądał jak dawniej, czyli jak pijak i awanturnik, wobec czego jego akty dobroci wydawały się jeszcze bardziej ujmujące. Zniszczona twarz tak bardzo kłóciła się ze spokojnym i usłużnym zachowaniem, że chłopak nie potrafił w pełni korzystać z dobroci posługacza – wychowano go bowiem tak, by nie ufał nikomu, nie był więc w stanie pozbyć się obaw, że Ketch w coś go wmanewrowuje.

Ketch natomiast nie miał świadomości udziału w jakiegokolwiek rozgrywce. Nie wypił ani kropli alkoholu, odkąd Sharp przyłożył mu do głowy swój pierścień z krwawnikiem i wymierzył karę. Jego mózg, przez poprzednie trzy dekady pozostający w stanie niemal nieustannego upojenia, pracował powoli, lecz szczerze. Po uwolnieniu od klątwy dżinu, który zniszczył mu życie, mężczyzna okazał się dobrym człowiekiem. A ponieważ pił, by zapomnieć, i nawet te wspomnienia, które zachował, były dalekie i zamglone, nie dręczyła go przeszłość. Sharp nakazał mu, żeby odnalazł szczęście w pomaganiu innym, i tak właśnie czynił. W ramach dodatkowej kary za zaklejenie ust Lucy Harker smolnym lepcem Sharp skazał go na niemotę, lecz okres wymuszonego milczenia już minął i gadatliwość Ketcha zaczęła dorównywać jego uczynności.

– Panie 'Odge – powiedział, otwierając furtkę, żeby wpuścić na teren szpitala człowieka z Nadzoru i jego

towarzysza – miło bardzo was widzieć i, przepraszam, drogi panie, chyba znam pana, ale zapomniałem, jak...

– Sharp – przedstawił się pan Sharp. – Chyba poznaliśmy się podczas pańskiej wcześniejszej kariery pijusa.

Ketch nie poczuł się urażony tym, że przybysz wspomina o jego przeszłości. Gdy spojrzął Sharpowi w oczy, zdziwił się nawet, jak wiele mieni się w nich ciepłych odcieni brązu, i przypomniał sobie, że bardzo, ale to bardzo lubił tego dżentelmena.

– Panie Sharp – oznajmił – istotnie, moja pamięć jest dziurawa jak sito, ale mam wrażenie, że zrobił pan dla mnie dobry uczynek, dziękuję więc panu za to. A pan idzie się zobaczyć z naszym jednonogim kolegą?

To ostatnie pytanie skierował do Hodge’a, który skinął głową.

Panowało niepisane prawo – choć nikt nie potrafił sobie przypomnieć, kto je ustalił – że gdy pan Hodge lub jego towarzysze chcieli rozmawiać z Coramem, udostępniano im prywatne pomieszczenie. Tym razem był to czysty składzik z wysokim oknem i regałami, na których schludnie ułożono koce i prześcieradła. Naprzeciw dało się dostrzec oplecione ciemną wikliną gąsiory z różnymi tajemniczymi cieczkami, zapewne, sądząc po zapachu, służącymi do dezynfekcji. Pośrodku stały stół z sośniny i samotny taboret.

Gdy Ketch wprowadzał Corama, Sharp i Hodge czekali po jednej stronie blatu, opierając się o regały.

– No i proszę, mój drogi kolego, oto panowie Hodge i Sharp przyszli spytać o twoje postępy – oznajmił posługacz, pomagając chłopakowi precyzyjnie się przez wąską szczelinę pomiędzy półkami a blatem. Odsunął stołek, żeby Coram mógł usiąść, i oparł z boku jego kule.

Gdy chłopak ujrzał czekających na niego członków Nadzoru, poczuł, jak puszczają mu zwieracze. Już sam Hodge wystarczał, choć nie był tak przerażający jak Kowal, ale wdzierał się w ciszę Corama, próbując ją rozerwać niczym terier dręczący szczura. Wiedział, że niemota go chroni, zupełnie jakby ciało z własnej inicjatywy podejmowało się rzeczy, których nie mógł osiągnąć zanadto złamany umysł. Rozpoznał pana Sharpa, ponieważ widywał go wielokrotnie podczas długich obserwacji Kryjówki, zlecanych synom przez Issachara i Zebulona Templebane'ów. Mężczyzna roztaczał wokół siebie aurę chłodnego niebezpieczeństwa, co odróżniało go od zacieklego Hodge'a lub chodzącej chmury burzowej, którą był Kowal. Coram wiedział, że przyszedł tu, żeby skłonić go do mówienia, żeby kazać mu wyjaśnić, dlaczego wrzucił granaty do rafinerii cukru, żeby zmusić go do odpokutowania zbrodni, jaką było zniszczenie Kryjówki, a więc domu Sharpa. Nie wiedział, ilu członków Nadzoru zginęło podczas pożaru, i zakładał, że skoro dotąd widywał jedynie Kowala i Hodge'a, to gruba Kucharka, białowłosa dziewczyna i wszyscy pozostali nie żyli, a ich śmierć dodatkowo obciążała jego listę zarzutów.

Wyglądało na to, że jedynie milczenie zachowało go do tej pory przy życiu, pozwolił więc, żeby wezbrana fala znów go porwała, i siedział niemo, za to z szeroko otwartymi uszami i mózgiem na najwyższych obrotach, gdy rozpoczęły się pytania.

Sharp zaczął bez żadnych formalnych wstępów, nadając przesłuchaniu lodowatą intymność, zupełnie jakby nagle wznowiono wcześniejszą rozmowę między dobrze znanymi sobie ludźmi.

Pytania zasypywały Corama niczym salwa artyleryjska

i choć ani nie zamierzał, ani też nie potrafił na nie odpowiedzieć, nie oznaczało to, że odpowiedzi nie eksplodowały mu za każdym razem w głowie. Jedynym sposobem na ucieczkę przed bombardowaniem było pozwolenie, żeby morze milczenia wciągało go coraz głębiej w swoje czeluście. Robił tak już wcześniej i działało, a ból rozbłyskujących wspomnień wywołanych przez przesłuchującego nie różnił się zbyt wiele od koszmarów, które nieustannie dręczyły go i wybudzały ze snu.

Tym razem czuł się jednak mniej bezpiecznie, ponieważ pod naporem pytań uświadomił sobie, że jednocześnie trwa też inny szturm. Morze milczenia wydawało się chłodniejsze i mniej kojące niż zazwyczaj. Chłód miał mnóstwo wspólnego ze strachem, który młodzik starał się ignorować. Sharp poruszał bardzo podobne kwestie jak wcześniej Kowal i Hodge, oprócz nowego wątku związanego z osobą, o której Coram nie miał pojęcia, czyli Francuzem nazywanym Obywatелеm. Sharp miał na jego punkcie wyraźną obsesję i temat ten rozproszył chłopaka na tyle, że minęło sporo czasu, zanim odkrył, że w głowie kłębią mu się inne, tym razem niewerbalne pytania – zupełnie jakby ktoś do niego szeptał. Choć dźwięk tych szeptań nikił pod naporem słów Sharpa, wydawały się osłabiać ochronną siłę milczenia i zwiększały ryzyko, że Coram w końcu zdoła się odezwać.

I nagle, ku niewysłowionej uldze, Sharp odchylił się w tył i spojrzał na Hodge'a, a nacisk zelżał.

– Coś wie – oznajmił Sharp. – Ale za diabła nie mogę się do tego dostać. A ty?

Teriernik pokręcił głową.

– Może jednak nic nie wie.

– Na pewno wystarczająco wiele, żeby się nas bać –

stwierdził Sharp. Podszedł do drzwi i je otworzył. – Panie Ketch, proszę przynieść zmywak i wiadro. Pan Templebane się posikał.

Coram spojrział w dół. Jego jedyną stopę otaczała kałuża moczu. Uświadomił sobie, że zimno, które czuł, pochodziło ze stygnącej wilgoci w pachwinie. Został tak głęboko wciągnięty w morze milczenia, że nie zdawał sobie sprawy, do czego strach zmusił w tym czasie jego ciało.

Popatrzył na blat stołu, nie chcąc napotkać wwiercających się weń spojrzeń.

– Chyba będziemy potrzebowali solidniejszego ostrza, żeby otworzyć tę zamkniętą ostrygę – rzekł ze zrezygnowaniem Sharp.

Wzmianka o ostrygach przywołała w Coramie wspomnienie o jego ojcu. Issachar siedział w powozie, niedbale jadł te mięczaki i wyrzucał muszle przez okno do tego samego rynsztoka, do którego kilka miesięcy później miała spłynąć krew Corama. Chłopak zakrztusił się mimowolnie, wydając z siebie pierwszy dźwięk od momentu wejścia do pomieszczenia.

– Masz coś? – spytał Sharp, spoglądając na Hodge'a.

Teriernik pokręcił głową.

– Tylko kształt – odparł.

Ketch wparował do środka i popatrzył na Corama.

– O rany – powiedział. – Mieliśmy mały wypadek, prawda? Nie martw się, chłopie. Zanim się zorientujesz, posprzątam i przebiorę cię w coś suchego. To żaden wstyd, gdy jest się inwalidą, nieprawdaż, panowie?

Spojrział na obydwu mężczyzn, szukając potwierdzenia.

– Żaden wstyd – mruknął Sharp.

Uśmiechnął się do Corama, który w tym momencie popełnił błąd, uniósł głowę i napotkał jego wzrok.

– Wrócimy.

Ta perspektywa i obietnica w spojrzeniu Sharpa sprawiły, że chłopaka znów przeszył dreszcz.

Wracając żwawym krokiem w kierunku odległej Tower, Sharp i Hodge rozmawiali o nieudanym przesłuchaniu, Jed zaś biegł przed nimi, wymijając wózki ręczne, powozy i pieszych.

– Miałem nadzieję, że wejdiesz od tyłu do jego umysłu, gdy ja dudniłem w drzwi frontowe – powiedział Sharp.

Teriernik odchrząknął i splunął do rynsztoka.

– Pobożne życzenia, jak się okazało. Warto było spróbować, ale umiem ujeżdżać zwierzęce umysły, nie ludzkie.

– Tak. – Sharp kiwnął głową. – I szkoda, że choć obydwaj potrafimy naginać ludzkie umysły, nie wychodzi nam ich czytanie.

– Kiedyś mieliśmy w Nadzorze takich, którzy umieli mówić w myślach. Lecz teraz ledwo mamy Nadzór, co więc mówić o pełnym zasobie umiejętności – rzekł Hodge. – Czytanie w umysłach, słuchanie myśli... Do tego wszystkiego trzeba kogoś zupełnie innego.

ROZDZIAŁ XXXII

Krew woła

W pustym domu panuje cisza zupełnie innego rodzaju niż w takim, w którym ludzie próbują się cicho zachowywać. Ida, urodzona łowczyni, była szczególnie wyczulona na hałas wywoływany przez ciszę, gdy ktoś jest obecny. Znieruchomiałych ludzi i zwierzęta odbierała jako zakłócenia obecne w powietrzu. Nie chodziło o wibracje, co raczej o zagęszczenie atmosfery. Poza tym śmierdziało rozkładem. Frontowe drzwi okazały się zamknięte, lecz, co sprawdzili, ciągnąc za klamkę, nie na klucz.

– Zabawne – powiedział Charlie. – Gdy zajrzeliśmy tu po raz pierwszy, żeby się rozejrzeć, nie dało się ich otworzyć.

– Zatem miejmy się na baczności – odparła Sara.

Weszli bez pukania i nasłuchiwali bardzo uważnie.

Ida pokręciła głową i wskazała schody. Sara przytaknęła. Archie przemknął przed nimi do kantoru. Ida wyciągnęła kuszę spod lodenowej peleryny i zaczęła powoli wspinać się po stopniach.

Gdy podeszli do wysokich podwójnych drzwi kantoru, Charlie zatrzymał się i położył dłoń na ramieniu Sary. Odwróciła się.

– Przepraszam – wyszeptał. – Ale tam ktoś jest.

Spojrzała na jego zmarszczony nos i uświadomiła sobie, że patrzy oczyma Archiego.

Wzrok nie był jedynym zmysłem, jaki dzielił z młodym psem. Zauważyła z zawodową aprobatą, że trzyma w dłoni długi nóż.

– Nie żyje – uzupełnił, uspokajając się.

– Jak bardzo nie żyje?

– Gnije i nie wygląda dobrze – odrzekł.

On z kolei dostrzegł, że kobieta ściska w pięści żeglarski kordzik. Nie widział, by go wyjmowała, i nie miał pojęcia, gdzie mogła go wcześniej chować.

– Archie mówi, że oprócz nas nie ma w domu nic żywego większego niż szczur.

Wślizgnęli się do wielkiego kantoru i stanęli pod sięgającymi sufitu stertami zakurzonych papierzysk. Pierwszą rzeczą, jaką zauważyła Sara, była dziura od kuli w szklanej witrynie naprzeciwko oraz rozbity kałamarz, najwyraźniej duży, jeśli oceniać po wielkim zielonym kleksie na białej ścianie.

A później dostrzegła psa.

Archie stał przy pękatym piecu, merdając ogonem. Obok niego spoczywało ciało w pozycji półleżącej, z głową wykrzywioną pod dziwnym kątem. Musiało się rozkładać już od jakiegoś czasu, a poza tym, co pies przekazał Charliemu, były tu szczury.

– To... Trudno na to patrzeć – wykrztusił chłopak, podnosząc wzrok ku świetlikom w dachu.

Sara przykucnęła obok zwłok, skupiając się na tym, żeby nie oddychać przez nos.

– Widziałeś go już kiedyś? – spytała.

– Nie wiem. Ale jeśli tak, to wyglądał inaczej. Raczej miał nos, oczy i w ogóle.

Szczury były głodne.

– Myślisz, że to dlatego to miejsce jest opuszczone?

Sara sprawdziła szybko kieszenie trupa, lecz znalazła jedynie kilka kapiszonów i nabój. Spojrzała na otwór w witrynie, później na rękę nieboszczyka i wreszcie na

podłogę, zastanawiając się, czy upuścił broń, lecz nie było jej nigdzie widać.

Chciała właśnie spytać Charliego, co o tym sądzi, gdy do sali od drugiej strony weszła Ida. Najwyraźniej użyła drugiej klatki schodowej, prowadzącej przez częściowo oszklone biuro nadzorcy.

– Nikogo tu nie ma – poinformowała. – Ale coś tu mocno śmier...

Wtedy dostrzegła ciało.

– Ach – stwierdziła. – Chyba miałam rację od początku. Nikogo nie ma w domu.

– Tak i nie – odrzekła Sara, ściągając z lewej dłoni ciasną skórzaną rękawiczkę. – Nikogo nie ma w pomieszczeniach. Jednak ściany tak starego domu mogą wiele powiedzieć.

– Co robisz? – zapytał chłopak.

– Zamierzam wejrzeć – wytłumaczyła Sara, podając mu rękawiczkę. – Możemy zacząć od tego, co się tutaj wydarzyło.

Przeszła pod ścianę i rozpostarła palce, po czym wzięła głęboki oddech. Poniewczasie zauważyła, że zapomniała o zaczerpywaniu powietrza tylko przez usta, i zaczęła się krztusić z powodu smrodu trupa, kiedy

czas przeskoczył,

a ona poczuła, jak uderza w nią przeszłość.

Widziała ciemnoskórego młodzieńca, chłopca śpiącego na jednym z pochyłych pulpitów, z głową złożoną na ramionach i twarzą przyciśniętą do arkusza papieru.

Widziała kobietę leżącą na ławce przy piecu, o siwych włosach zwisających niczym podarty sztandar, zaróżowionych od odblasku płomieni.

I nagle czas przeskoczył, wyższy młodzieniec stał za śpiącym i wbijał mu w kark lufę wielkiego rewolweru.

– Bądź cicho, Amosie Templebane. Chyba nie chcemy obudzić twojej przyjaciółki, prawda?

Ciemnoskóry młodzik imieniem Amos odwrócił się.

Sara zdała sobie sprawę, że jest młodszy, niż sądziła, ale zanim zdążyła lepiej przyjrzeć się jego twarzy, czas znów przeskoczył,

a śpiąca kobieta stała, mierząc palcem w bezbrodego człowieka z rewolwerem, i wtedy czas przeskoczył prosto do chwili ciosu, kiedy to siwowłosa wpadła plecami na ławkę i potoczyła się bezradnie na podłogę. Niczym zepsuta zabawka.

– Lepiej się przymknij, stara jędo, inaczej znowu...

Przeskoki czasu spowolniły i Sara poczuła prawdziwy wstrząs, gdy Amos sięgnął za siebie

Bez patrzenia

Zacisnął dłoń na piórze

Odsunął lufę broni, gdy drugi młodzieniec odwracał się do niego

Poruszał się dziwnie ospale w porównaniu z Amosem

Zupełnie jakby już umierał

I wszystko zamieniło się w krzywe oraz linie

Kiedy kontrolę przejęła geometria śmierci

Amos rozmył się

Sara zobaczyła, jak ostra stalówka zatacza srebrnoniebieski łuk i wbija się człowiekowi z rewolwerem w szyję

Broń wystrzeliwuje

Jęzor ognia, jasność wrzynająca się w półmrok

Kula rozbijająca szybę w gablotce

Stłuczona butelka i rozbryzg zielonego atramentu na ścianę

Amos obraca się, sięgając po drugie pióro

Gotów do kolejnego ataku

Ale strzelec już upada, ugodzony w półobrocie, nogi się pod nim załamują

Krew bryzga zaskakująco pięknym wachlarzem

Opada wokół niego niczym peleryna matadora

Wtedy czysta geometria linii i krzywych zapada się w coś połamanego, poucinanego i brutalnego, gdy ranny szarpie w desperacji za zakrwawione pióro wystające mu z tętnicy szyjnej

Palce ślizgają się

A on ląduje

Bezładnie,

piórem w dół,

siła uderzenia wytrąca mu je z niepewnego chwytu, wbijając głębiej.

Gdy Sara patrzyła na to wszystko w przerażeniu, nie mogąc zamknąć oczu ani odwrócić wzroku, uświadomiła sobie, że stalówka musiała trafić w szczelinę między dwoma kręgami i przecięła rdzeń kręgowy, ponieważ dłonie mężczyzny natychmiast ogarnął bezwład, podobnie jak resztę jego ciała poniżej szyi.

Obserwowała jeszcze dwa skrawki czasu, gdy twarz z poruszającymi się bezgłośnie ustami i wybałuszonymi oczyma przesunęła się w prawo i zastygła ścięta grozą. Głowa opierała się czubkiem o parkiet, jakby próbowała odsunąć bezwładne ciało od czegoś strasznego.

Wtedy to coś litościwie przyszło i go zabrało. Oczy wywróciły mu się do wewnątrz czaszki i znieruchomiał.

Ten nazywany Amosem stał, trzęsąc się, nad zmasakrowanym trupem napastnika, a w oczach błyszczały mu nieprzelane łzy.

Kobieta podniosła się z ziemi, po czym – i była to niemal

najgorsza rzecz w całej tej brutalnej scenie – odchyliła głowę do tyłu i się roześmiała.

– „Rzekł Bóg: Cóżżeś uczynił” – zarechotała radośnie. – „Cóżżeś uczynił? Krew brata twego głośno woła ku mnie z ziemi!” Księga Rodzaju, Krwawy Chłopcze. Księga Rodzaju[3].

Amos ścisnął drugie pióro. Po raz ostatni spojrzął na nieruchome ciało, po czym wyszedł z pomieszczenia, nie oglądając się za siebie.

– Dokąd idziesz? – krzyknęła kobieta. – Nie idź tam. Nadzór ci nie pomoże. Mówiłam ci...

Pochyliła się i obszukała trupowi kieszenie, ze śmiechem zabierając monety i scyzoryk.

Wtedy nastąpiło cięcie czasu i kobieta wróciła drzwiami prowadzącymi z bocznego korytarza, niosąc parę butów.

Wciąż się śmiejąc, pobiegła do drzwi frontowych.

– To krew woła, Amosie Templebane, krew woła!

Wychodziła tą samą drogą co on, z promiennym spojrzeniem. Potknęła się blisko miejsca, w którym tkwiła oglądająca to wszystko Sara, tak że białowłosa mogła popatrzeć prosto w te jej wesołe oczy.

I dostrzegła, że przepelnia je obłęd.

Wówczas przeszłość wypuściła Sarę. Kobieta osunęła się na ziemię, dysząc ciężko, świadoma, że Charlie i Ida ją obserwują.

– Widziałas, co się stało? – spytała Austriaczka.

Sara przytaknęła.

– Zawsze widzę, co się stało – rzekła. – I nigdy nie jest to dobre.

Ida wyciągnęła rękę, a Falk ją chwyciła, dziwnie wzruszona rzeczowym gestem i wdzięczna za siłę, z jaką została podniesiona.

– To musi być wielkie brzemie – powiedziała łowczyni. – Cieszę się, że to nie jest mój dar.

Sara odebrała rękawiczkę od Charliego i nakładając ją, zaczęła opowiadać o śmierci Abchurcha Templebane’a.

– On nas szuka – oznajmiła. – Ten Amos Templebane.

– Wiemy, że Templebane’owie nas szukają – skomentował Charlie.

– Nie – odparła Falk. – On jest inny. Myślę, że chce od nas... pomocy.

– Dlaczego mielibyśmy pomagać Templebane’owi? – spytał chłopak.

– Nie pomagalibyśmy mu dlatego, że jest Templebane’em – odrzekła Sara – tylko dlatego, że o to poprosił. A poza tym...

– Co takiego? – chciała wiedzieć Ida.

– A poza tym uważam, że jest jednym z nas. Nie sądzę jednak, żeby o tym wiedział. Tak jak Lucy Harker nie wiedziała. Bo nikt jej o tym nie poinformował. – Otrząsnęła się. – No dobrze. Idź na Wellclose Square, żeby go poszukać. Ma mniej więcej tyle lat co ty i jest przynajmniej w połowie czarny.

– Czarny? – spytał Charlie. – W sensie, że z Afryki?

Sara przytaknęła.

– W sensie, że z Afryki. Myślę, że choć jedno z jego rodziców. Ma jednak zielone oczy, a takie raczej nie zdarzają się u osób o czysto afrykańskiej krwi, choć mogą się mylić. Poznasz go, jeśli wciąż obserwuje ruiny naszego domu. Podobnie jak poznasz go, jeśli wciąż towarzyszy mu ta obłąkana kobieta. Gdybyś go znalazł, zostaw przy nim na straży Archiego i przyjdź po nas do Tower. Nie podchodź do niego, ale i nie zgub go.

– Brzmi rozsądnie – odparł Charlie. – A wy co będziecie

robić?

– Wraz z Idą sprawdzimy resztę domu, nie w poszukiwaniu ludzi, lecz wskazówek, dokąd mogli się przenieść i czym się zajmowali. A teraz idź już. Siedział na tym krześle, a to jego płaszcz.

Chłopak podprowadził psa do taboretu przy pulpicie i pozwolił zwierzęciu porządnie obwąchać siedzisko, a później zanurzyć nos w okryciu.

– Ma trop – powiedział. – Jeśli tamten kręci się wokół starego domu, znajdziemy go.

Wyszedł, zostawiając kobiety.

– Co teraz? – spytała Austriaczka.

– Tyle papieru – stwierdziła Sara, rozglądając się po wysokich regałach wypchanych dokumentami. – Gdybyśmy mieli dość czasu, żeby to przeczytać, być może zdołalibyśmy poznać siatkę powiązań. Wątpię w to jednak. Myślę, że to ten pusty sejf mieścił coś ważnego. Issachar Templebane jest przebiegłym człowiekiem i raczej nie zostawił nic, co pomogłoby nam go znaleźć.

– Możemy to wszystko spalić – podsunęła Ida. – Ładnie by płonęło. W końcu on podłożył ogień pod twój dom. W składziku przy schodach jest lampa olejowa i możemy ostrzec sąsiadów, żeby nikomu nic się nie stało...

– Masz twarde i zmyślny umysł, Ido Laemmel. Z dobrym instynktem praktycznej zemsty. Lubię to u dziewczyn.

– Cóż, nie ma nic złego w piromanii, jeśli da się ją utrzymać pod kontrolą.

Sara uśmiechnęła się ze smutkiem i pokręciła głową.

– Ostrzeżenie sąsiadów pozwoliłoby ich uratować, ale pożary w tym mieście mają paskudny zwyczaj przeskakiwania z budynku na budynek. Ocalimy ludzkie życie, ale będziemy odpowiedzialni za to, że stracą domy,

warsztaty i sposób zarobkowania.

– No to... mogłybyśmy po prostu stąd wyjść i zostawić otwarte drzwi – zaproponowała Austriaczka. – Może i jestem prostą góralką, ale słyszałam, że w miastach roi się od złodziei i ludzi, którym nie można ufać. Niekoniecznie musi tu być coś interesującego dla nas, ale jestem pewna, że to całkiem niezły pomysł, żeby spletać Templebane'om małego figla.

– Jest tu ciało – przypomniała Sara.

– Wiem. To też element figla.

– Na pewno nie przyniesie to chwały Templebane'om – uznała Falk. – Do tego może przyciągnąć węszących sędziów i policję, co nam nie zaszkodzi. Bardzo dobrze. Zostawimy szeroko otwarte drzwi i jeśli ktoś zechce tu wejść w złych zamiarach, proszę bardzo. Rozumiem, dlaczego Kucharka cię lubi. Potrafisz być równie wredna jak ona.

– Nie lubię Templebane'ów – skomentowała Ida.

– I cieszę się, że nasi wrogowie są również twoimi.

– To nie tak. To znaczy można wykonywać swoje obowiązki, ale z powodu obowiązku nie można nienawidzić. Nie lubię ich, ponieważ zostałam wychowana na łowczynię. Moim zadaniem jest zabijać, kogo i co trzeba, ale czysto i szybko. Nie zabija się dla zabawy albo niestarannie. Gdy Templebane'owie zastawili pułapkę, zaparkowali pod twoim domem wóz z olejem. Zostawili przy nim uwięzowanego konia. Mogli go odczepić, *ja*? Owszem, chcieli cię zamordować. To była sprawa osobista. Urodziliśmy się do tej gry. Ale gdy olej stanął w ogniu, koń również. Nie urodził się do tego, żeby brać udział w naszej walce. Kiedy kuchnia waliła się nam na głowy, słyszałam jego rzenie. Nie było to potrzebne. To tylko koń.

Sara popatrzyła na nią.

– Jak mówiłam. Zupełnie jak Kucharka. Twarda jak gład, lecz miękka w odpowiednich miejscach.

– Nie jestem taka miękka, Saro Falk. Wy, Brytyjczycy, jesteście zdecydowanie zbyt sentymentalni.

ROZDZIAŁ XXXIII

Nocni złodzieje

Amos i Zmora nie odwiedzali już miejsca, z którego początkowo obserwowali kamienicę przy Chandos Place. Właściciele budynku wrócili w niedogodnej chwili, a przed nimi pojawił się spory kontyngent służby. Zapracowani służący wypłoszyli niepożądanych lokatorów z podpiwniczenia, a następnie zaczęli szykować dom: przy akompaniamencie trzaskających okiennic, otwieranych okien i dźwięku energicznego trzepania chodników wywieszonych przez parapety. Przez kilka szaleńczych godzin pusta dotąd rezydencja bardziej przypominała turecki bazar, kiedy to procesja handlarzy nieustannie coś dostarczała zarówno od frontu, jak i od tyłu, a pracownicy biegali wokół nich, starając się czyścić i polerować, co tylko się dało.

W końcu właściciele przyjechali eleganckim faetonem z charakterystycznymi zaciekami od błota, sugerującymi podróż z głębi kraju. Zaraz po nich zaś pojawił się zamknięty powóz, z którego wysiadło chorowicie wyglądające dziecko o cerze koloru serwatki. Gdy pielęgniarka i lokaj pomogli mu wejść po schodach, drzwi frontowe zamknęły się i fasada domu znów wyglądała jednolicie i statycznie.

Amos i Zmora znaleźli sobie nową siedzibę w pobliskim zaułku, gdzie trwała przedłużająca się naprawa studzienki ściekowej, która zapadła się do kanałów wraz z kawałkiem chodnika. Trzystopowej średnicy dziura została zakryta

płachtą postrzępionego brezentu i otoczona ochronnym płótkiem, żeby nieostrożni przechodnie nie weszli niechcący w paskudny otwór, lecz wyglądało na to, że na tym prace stanęły. Wystarczyły jedynie nieznaczne poprawki i ten odcięty obszar okazał się całkiem rozsądną, wodoszczelną kryjówką, choć z pewnością byłoby tam zimno, jeśli znów zrobiłoby się śnieżnie. Co prawda z improwizowanego schronu nie było bezpośredniego widoku na dom Mountfellona, ale gdy jedno z nich pełniło wartę w mroku u wylotu uliczki, miało całkiem dobre pole widzenia, drugie zaś mogło w tym czasie spać albo szukać pożywienia.

Amos zaczynał każdy dzień, na zmianę kręcąc się przy końcu zaułka i przechadzając niewinnie wokół domu wicehrabiego, jednak z biegiem czasu stracił do tego zapał. Wiedział, że blada dziewczynka wciąż opiera się o parapet w sypialni na górze, przyciskając twarz do szyby i obserwując okolice wyglodniałym spojrzeniem kogoś, kto pragnie być zdrowy i wyjść na zewnątrz. Była jak wartownik pilnujący każdego, kto przecinał ulicę, i irytowało to Amosa, zwłaszcza gdy zaczęła stukać w okno i machać do niego z nieśmiałym, przyjaznym uśmiechem. Smuciło go to z powodów, których nie potrafił zrozumieć, co więcej, uznał to za niebezpieczne. Nie chciał, by ktokolwiek, nawet blade, chore dziecko, dopatrzył się regularności w jego zachowaniu. Przestał więc chodzić pod jej punktem obserwacyjnym i większość czasu spędzał w coraz silniejszym odrętwieniu. Stał w cieniu, patrzył na dom i próbował ignorować smrodliwe wyziewy dobywające się z dziury za jego plecami. Nie było to trudne, ale to dlatego, że wszystko przestało go już szczególnie obchodzić. Zobojętniał na to, co działo się dookoła, a warta

stała się jedynie stałym elementem dnia, na którym mógł przynajmniej opierać swą dalszą egzystencję. Gdyby nie to, zapewne wpełzłby pewnej nocy pod brezent i nie chciał już wyjść z powrotem. W nielicznych chwilach jasności umysłu, na które pozwalało mu odczuwane cierpienie, rozumiał, że znalazł się na dnie, z którego czym prędzej powinien się wygrzebać. „Później – mówił chytry głosik – może jutro”. Słowa te zagłuszały inny głos, który po cichu wskazywał, że „jutro” jest dogodną iluzją, przez którą tkwił w niekończącym się półmroku tego, co „dzisiaj”, ponieważ „jutro” zawsze pozostawało poza jego zasięgiem, zawsze było pełne obietnic wytchnienia, których nie mógł osiągnąć. Jadł teraz nawet mniej niż Zmora, a skoro ona jadła ledwo co, to stawał się też coraz słabszy i mizerniejszy.

Okolo północy siedział zgarbiony u wylotu alejki, próbując mocniej zacisnąć pasek i zastanawiając się, gdzie powinien zrobić nową dziurkę, żeby spodnie nie zsuwały mu się z bioder i nie przeszkadzały w chodzeniu, kiedy kątem oka dostrzegł coś, o czego wypatrywaniu już niemal zapomniał.

Ruch przy ciemnym domu Mountfellona. Ruch taki, jakby przesuwali się cienie.

Znieruchomiał zupełnie i patrzył.

Kiedy ostatni raz widział ciemność wykorzystaną w taki sposób jako kamuflaż, chodziło o Sluagh. Nie chciał, żeby znów go odnaleźli. A ponieważ był tak zajęty pozostawaniem w bezruchu i zastanawianiem się, czy przypadkiem wszyscy na pogrążonej we śnie ulicy nie słyszą dudnienia jego serca, nie cofnął się, żeby obudzić Zmorę, która mocno spała pod swoimi kocami i brezentem.



Serce Charliego trzykrotnie niemal przestało bić, gdy obserwował Idę na fasadzie domu Mountfellona.

Zdecydowali, że jeśli chcą się dostać do budynku, najprościej będzie zrobić to od góry, ale wejście tam wydawało się prawie niemożliwe, budynek był bowiem zanadto oddalony od sąsiednich nieruchomości, by dało się nań przeskoczyć lub przerzucić coś w charakterze mostu.

Ida z nonszalancją, jakby propozycja dotyczyła wejścia po schodach, zadeklarowała, że wespnie się po gładkim szarym kamieniu.

– Niby jak? – dopytywał Charlie szyderczym tonem, którego teraz, obserwując dziewczynę, żałował. – Po drabinie?

Spytała, czy ma tak długą drabinę, a gdy odpowiedział, że nie, wzruszyła ramionami i stwierdziła, że w takim razie po prostu się wdrapie.

Wówczas wszyscy dołączyli do dyskusji, mówiąc o braku uchwytów, wysokości budynku, a także o ostrych i potencjalnie śmiertelnych balustradach poniżej. Ida słuchała cierpliwie, rzeczowymi ruchami rozplątując i zaciągając swoje kucyki, a później podziękowała wszystkim za porady i uprzejmie zauważyła, że mieszkają w mieście i nie bardzo znają się na górach.

– Zaręczam wam, że zdołam się tam wspiąć – powiedziała. – Wchodziłam już na Hochkönig od trudnej strony, gdy byłam dzieckiem. Po prostu to potrafię.

– Co to jest ten Hochkönig? – spytał Hodge.

– To najwyższa góra w Berchtesgaden. Nazwa znaczy „Wysoki Król”. I weszłam na szczyt, gdy miałam dwanaście lat.

– Uważaj na siebie, Portki. Duma kroczy przed upadkiem – rzekła Kucharka.

– Nie – odparła z uśmiechem Ida. – Utrata chwytu kroczy przed upadkiem. A ja nigdy go nie tracę. I nigdy nie próbuję się wspinać tam, gdzie nie zdołam wejść.

Bez dwóch zdań umiała się wspinać. Charlie i Sara przeszli z nią przed dom przy Chandos Place, a później chłopak wziął jej lodenową pelerynę, którą okrywała się do tej pory, żeby zasłonić kuszę zwisającą z ramion. Zacieśniła pasek, mocując broń bliżej pleców, i skinęła głową.

– *Sehr gut.* – Uśmiechnęła się. – Do zobaczenia za minutę.

– Powodzenia – powiedział Charlie i natychmiast zganił się w myślach za to, że mówi coś tak oklepanego.

– Idź – rzekła Sara, wyciągając dłoń – nie spiesz się.

– Zajmie mi to tyle, ile trzeba – odparła Austriaczka, po czym odwróciła się i pobiegła prosto ku fasadzie domu.

Serce Charliego niemal zatrzymało się po raz pierwszy, gdy wskoczyła na balustradę i pewnie odbiła się w stronę bocznej krawędzi wspartego na kolumnach portyku. Niemal wydawała się lecieć, a jej wyciągnięte palce znajdowały chwyt, do którego na pozór nie powinna była dosięgnąć. Gładko podciągnęła się na dach portyku i podbiegła do ściany domu. Pierwsze piętro było szczególnie wysokie, ponieważ mieściły się tam pomieszczenia reprezentacyjne. Przy odpowiednio wysokich oknach nie było szans, żeby zwykła osoba dosięgnęła górnej belki i podciągnęła się wyżej, nawet gdyby zdołała tam bezpiecznie podskoczyć, co na tej wysokości było niemożliwe. Zamiast tego Ida zaczęła się wspinać po kamiennej ścianie. Zdawała się do niej kleić niczym mucha i znajdowała uchwyty dla dłoni i stóp, które pozwoliły jej dotrzeć do nieosiągalnego dla innych pasa piaskowca pomiędzy pierwszym a drugim piętrzem. Podciągnęła się nań, jakby jej ciało nic nie ważyło, stamtąd

zaś sięgnęła wyżej, wdrapała się do wnęki okiennej i stała tam przez chwilę, względnie bezpieczna. Sięgnęła pod krótką skórzaną kurtkę myśliwską i przez straszliwą chwilę wydawało się, że coś wypada jej z dłoni.

Serce Charliego niemal zatrzymało się wówczas po raz drugi, ponieważ wydawało mu się, że dziewczyna wyciąga rękę w pustkę i łapie przedmiot, lecz odetchnął znów, gdy dostrzegł, że rozwija cienką linę zwisającą z małej kotwiczki, owiniętej kawałkiem tkaniny.

Ida stanęła pewnie we wnęce, stopami tworząc przeciwwagę dla wolnej ręki, sięgającej w górę, nad okno, po czym wychyliła się jeszcze bardziej – choć upadek z tej wysokości groził pewną śmiercią – i zamachnęła się kotwiczką.

Która przemknęła nad krawędzią dachu i wylądowała na nim ze stłumionym stukotem.

Dziewczyna natychmiast ściągnęła linę i szarpnęła, upewniając się, czy dostatecznie dobrze trzyma.

Charliego uderzyła myśl, że kotwiczka mogłaby się łatwo zsunąć, zdradziecki piaskowiec mógłby się pod nią ukruszyć, albo też lina mogłaby się zerwać, zważywszy na to, jak cienka się wydawała.

Chciał zawołać, ostrzec dziewczynę, ale nagle zapomniał, jak się oddycha, ponieważ Ida zwiesiła się w oknie, odchyliła w tył i zaczęła kroczyć po ścianie, podciągając się na rękach, aż dotarła do krawędzi dachu. Zresztą dopiero teraz Charlie zauważył, że jest ona ścięta pod kątem ostrym i zapewne przerzyna właśnie delikatny sznurek. Nagle dziewczyna szarpnęła za linę i wykorzystała ten ruch, żeby w jakiś sposób wybić się w powietrze, po czym wypuściła ją – wówczas serce Charliego zamarło po raz trzeci – i uchwyciła się krawędzi dachu. Chłopak usłyszał

uderzenie ciała o twardą powierzchnię, po czym zobaczył, jak Ida zwinnie się podciąga i znika na dachu.

– O kurczę – skomentował, pozwalając sobie na zaczerpnięcie tchu.

– Zdecydowanie kurczę – mruknęła Sara. – Chyba rozumiem, co w niej widzisz, Charlie Pyefinch.

– Ja wcale nie... – bąknął chłopak, ciesząc się, że ciemność kryje zdradziecki rumieniec, który wykwitł mu na policzkach.

– Owszem, ty tak – skomentował Sharp, który zmaterializował się znikąd i stał teraz obok Sary. – I ani trochę cię nie winię.

– Gdzie Hodge? – odezwała się Falk.

– Z tyłu budynku. Cicho tam. Jed jest czymś podenerwowany, ale nie potrafi określić czym.

Sara rozejrzała się po okolicy. Nocna dorożka wysadzała na rogu dwóch podchmielonych dżentelmenów, ale poza tym panował spokój i wyglądało na to, że nikt ich nie obserwuje.

– Pilnuj drzwi – powiedziała.

– A ty trzymaj nóż pod ręką – mruknął Sharp.

Archie podniósł się i zaskamlał, nisko i przeciągle, a tylne nogi zaczęły mu drżeć.

– Co się dzieje? – zapytała Sara.

Charlie wyjął nóż z pochwy, którą zaczął nosić u dołu pleców, i trzymał go blisko przy ciele.

– Nie wiem – odparł, sięgając myślami do umysłu psa. – On też nie...

– To terier – stwierdził Sharp. – One zawsze albo śpią, albo są czymś podenerwowane.

– Teraz nie śpi – wskazał chłopak.

Ida uwijała się na dachu, używając zestawu

włamywacza, który dała jej Kucharka: okrągłego noża do szkła, małej buteleczki z ciemną melasą oraz arkusza grubego brązowego papieru. Ustawiła nóż na nieprzejrzywej szybie i dwoma precyzyjnymi ruchami wycięła idealne koło. Wylała trochę gęstej melasy na papier i przycisnęła go do szyby. Następnie stuknęła zdecydowanie i pociągnęła papier w tył wraz z okrągłym kawałkiem szkła. Ćwiczyła tę zwodniczo prostą sztuczkę w Banialuce i świadectwem trudu, jaki musiała włożyć w jej opanowanie, był stojący na podwórku kosz pełen odłamków.

W opalizującej szybie widniało teraz foremne ciemne koło. Ida włożyła rękę w otwór, znalazła zasuwkę, pomajstrowała przy niej i ostrożnie uchyliła okno.

Wsunęła się do pomieszczenia, bez dwóch zdań będącego pokojem dla służby. Poprzedni lokator musiał je opuścić w pośpiechu, jeśli oceniać po panującym nieładzie. Weszła na łóżko i stała nieruchomo, czekając, aż wzrok przyzwyczai jej się do mroku. Potrafiła widzieć w ciemności znacznie lepiej niż inni, była to jedna z cech czyniących ją tak skuteczną łowczynią. Gdy jej źrenice rozszerzały się, nasłuchiwała. W domu panowała cisza i dziewczyna nie wyczuwała niczyjej obecności.

Poluzowała pasek kuszy, naciągnęła ją i umieściła bełt na łożu, po czym zaczęła bezszelestnie przemierzać labirynt pomieszczeń na strychu, by się upewnić, że istotnie są puste. Robiła tak, ponieważ bolesne doświadczenia nauczyły ją, że istnieją stworzenia – nieraz niezwykle i niebezpieczne – które potrafią maskować się nawet przed jej wyostrzonymi zmysłami.

Poddasze okazało się puste, Ida spłynęła więc po schodach niczym ucieleśniony cień. Następna kondygnacja

okazała się prostsza do zbadania, ponieważ pokoje były większe, a co za tym idzie mniej liczne. Jeszcze szybciej poszło jej piętro niżej, gdzie znajdowały się pomieszczenia ogólne, czyli sala balowa i jadalnia. Parter także był pusty. Zastanawiała się, czy nie sprawdzić też piwnicy, uznała jednak, że rozsądniej będzie najpierw otworzyć drzwi frontowe i zejść w głębszy mrok z posiłkami.

Miała wrażenie, jakby coś drażniło ją w tyle umysłu, drapało coraz silniej. Uczucie to wzmagало się, gdy zstępowała niżej.

Odblokowała drzwi i odsunęła się na bok, a Sharp, Sara i Charlie wychynęli z cieni po drugiej stronie ulicy i wbiegli do środka. Teraz wszyscy czworo stali w wysokim, wyłożonym marmurem holu. Archie natychmiast podbiegł do szczytu schodów prowadzących na dół i zatrzymał się tam ze zjeżoną sierścią.

Charlie zamknął za nimi drzwi. Spojrzał na Idę, która skinęła głową.

– Co myślisz? – zapytał Sharp.

– Tu i wyżej nie ma nikogo – odparła dziewczyna. Spojrzała na podniesione włosy na grzbiecie psa. – Ale tam coś jest.

– Co? – chciała wiedzieć Sara.

– Nie wiem. Wrażenie robiło się coraz silniejsze, gdy schodziłam. Nie sprawdziłam jeszcze dołu. Jeśli coś się tu kryje, to właśnie w piwnicy.

– Archie też tak myśli – poinformował Charlie. – Też nie wie, co to jest, ale mu się nie podoba.

Sharp wyciągnął świeczkę z wewnętrznej kieszeni płaszcza.

– Nie – sprzeciwiła się Ida. – Żadnych świateł, dopóki nie powiem.

Sharp i Sara wymienili spojrzenia. Chłopak widział wyraźnie: usiłowali przetrwać fakt, że dziewczyna w jego wieku przyjęła rolę dowódcy.

– Wystarczająco dobrze widzę po ciemku – wyjaśniła. – Jeśli zrobi się jasno, pozwolicie temu czemuś nas zobaczyć.

Sharp skinął głową i schował świecę.

– Prowadź – powiedział. – Ale uważaj.

Ida przytaknęła i zaczęła powoli schodzić po biegnących spiralnie stopniach. Pomieszczenia na górze udekorowane były dość oszczędnie, mimo to typowe dla stylu georgiańskiego schody – wykonane z piaskowca, zabezpieczone żelazną balustradą – sprawiały wrażenie uderzająco surowych. Zdawały się prowadzić do świata zupełnie innego niż ten na wyższych kondygnacjach. Długi korytarz biegnący od ich podnóża był niski i wydawał się napierać na Charliego i resztę, gdy podążali za Idą, sprawdzając kolejne drzwi.

Nagle dziewczyna przystanąła, unosząc ostrzegawczo dłoń.

Charlie czuł zarówno to, co podpowiadały mu zmysły, jak i to, co sygnalizował Archie. Pies dygotał u jego boku, skupiając wzrok na Idzie i drzwiach.

Dziewczyna przyłożyła ucho do drewna i nasłuchiwała. Zmarszczyła brwi i gestem nakazała Sharpowi podejść i pilnować wejścia. Nacisnęła klamkę, lecz drzwi okazały się zamknięte, delikatnie ułożyła ją więc w pierwotnej pozycji, żeby nie zdradziła ich charakterystycznym stuknięciem.

Sharp odsunął się i popatrzył na Sarę.

– Będziemy potrzebowali Hodge'a i jego wytrychów... – stwierdził.

– Ja mogę to zrobić – rzekł cicho Charlie.

Sięgnął pod płaszcz, wyjął z wewnętrznej kieszeni futerał z wytrychami i przyklęknął przy dziurce od klucza. Ida pochyliła się tak blisko jego ucha, że gdy się odezwała, poczuł, jak ciepło jej oddechu podnosi mu włoski na szyi.

– Jeśli coś szybko wyjdzie przez drzwi, nie wstawaj – mruknęła, po czym cofnęła się i oparła kuszę na przedramieniu, celując z niej w punkt kilka cali nad chłopakiem.

Nasłuchiwał, próbując rozróżnić ciche zwierzęce dźwięki dochodzące z drugiej strony. Wsunął do zamka najcieńszy zgłębnik i napotkał opór. Przesunął delikatnie końcówkę wytrycha, by sprawdzić, czy przeszkadzający mu klucz obrócony jest w górę, w dół, czy też pod kątem – wtedy należałoby go przekręcić, żeby plan zadziałał. Okazało się, że jest lekko nachylony, mniej niż dziesięć stopni. Charlie sięgnął po inny zgłębnik i wstrzymał oddech, wsuwając go w miejsce, które powinno się znajdować na godzinie szóstej. Następnie sięgnął w dół i wymacał szczelinę pod drzwiami. Podniósł dłoń, by ostrzec Idę, że zamierza wstać, i podszedł do pozostałych.

– Klucz wciąż jest po drugiej stronie – powiedział.

– No i? – spytała Austriaczka.

– No i gdyby nikogo nie było w środku, mógłbym wsunąć pod drzwi papier, wypchnąć klucz, żeby na nim wylądował, i przeciągnąć do nas – wyjaśnił. – Ale pomieszczenie nie jest puste, a hałas ostrzeże tego, kto tam przebywa. To może być jednak dla nas jedyne rozwiązanie... I ma szansę się udać, jeśli będziemy działać szybko...

Ida przypadła do podłogi i przyłożyła oko do szczeliny. Podniosła trzy palce.

– Ty jesteś całkiem szybki – rzekła Sara. Szturchnęła Sharpa i zaczęła rozpinać kurtkę.

– Co robisz? – spytał lekko skonsternowany.

Zdjęła okrycie z impregnowanego jedwabiu i podała je Idzie.

– Użyjcie tego zamiast papieru.

Dziewczyna skinęła głową i wsunęła na wpół sztywny materiał pod drzwi, bezpośrednio poniżej dziurki od klucza. Sharp spojrzał na Charliego.

– Zatem na trzy – powiedział. – I proszę bez dziurawych rąk, panno Laemmel.

Wsadził nóż między zęby i poruszył palcami jak pianista szykujący się do występu.

– Co to są dziurawe ręce? – wyszeptała Ida.

– Nie wypuść klucza – wyjaśnił chłopak.

– Mówiłam już, że mam dobry chwyt.

Sharp skinął głową. Charlie odetchnął, spojrzał na Idę, bezgłośnie wypowiedział: „Raz, dwa, trzy”, po czym wsunął wytrych głębiej w dziurkę. Znalazłszy tępy koniec zapadki, nacisnął ją płynnym ruchem, żeby wysunąć klucz.

Ida wciągnęła kurtkę Sary tak szybko, że Pyefinch był przekonany, że zrobiła to zbyt gwałtownie. Zaraz dostrzegł jednak, jak wyciąga klucz spomiędzy fałd materiału.

Sharp jakby rozmył się w powietrzu. Rozległ się stuk, później pisk i nagle Charlie prawie stracił równowagę, gdy Sharp i Sara odtrącili go na bok, przemykając obok niego do słabo oświetlonego wnętrza.

Z prawej natarła jakaś blada postać. Sharp wymierzył w nią ostrze, lecz wtedy coś śmignęło Charliemu nad głową i trafiło napastnika w gardło, przyszpilając go do ściany. Zaskoczony mężczyzna sięgnął do pierzastej lotki wystającej mu spod brody.

Krew spływała na podłogę ciemną strużką. Nieznajomy sprawiał wrażenie, jakby wyssano z niego wszelkie barwy,

z wyjątkiem zaciśniętych zębów, czarnych i lśniących jak gagaty. Jego jednolicie brudne ubranie z samodziału, niegdyś białe, wisiało w strzępach, a długie włosy i szeroka broda z jakiegoś powodu miały tę samą białawą barwę co strój. Oczy uciekły mu w głąb czaszki, a dłoń się rozchyliła, upuszczając ciężki topór. Broń upadła na nagie deski podłogi, o które zaraz potem stuknęły pięty umierającego. Zadrzały konwulsyjnie i znieruchomiały.

– Miałem go – powiedział z poirytowaniem Sharp.

– Tak – rzekł Charlie, wpatrując się w bladą martwą istotę na ścianie. – Ale co to jest?

– Lustrzane zjawy – oznajmiła Sara, patrząc w stronę sklepionego przejścia, w którego cieniu stały trzy kolejne bezbarwne stworzenia, zastygłe w szoku wokół czegoś, co przypominało klatkę dla zwierząt.

Charlie nie widział, co jest w klatce, a gdy przesunął się w bok, by lepiej się przyjrzeć, jeden z lustrzaków wykonał krok, żeby zasłonić mu widok.

– Nie ruszaj się – warknęła Ida, wchodząc do pomieszczenia z przeładowaną i wycelowaną w stwora kuszą.

Lustrzak najbliżej Sary, zgarbiony i krzywonogi, pokręcił głową. Impregnowana czapka z daszkiem, długi kucyk i krótka kurtka wskazywały, że mógł być marynarzem. Przesunął czapkę na tył głowy i westchnął.

– Ach, to wszystko nie było potrzebne – stwierdził, pokazując usta pełne czarnych zębów. – Po prostu go zaskoczyliście...

– Tak zaskoczyliśmy, że chciał mi obciąć głowę – powiedziała Sara, trącając topór stopą.

– Cóż, mogliście zapukać, laluniu – odparł marynarz.

– Nie nazywaj jej lalunią – warknął Sharp. – I wszyscy

trzymajcie dłonie w górze, tak żebym je widział...

Nie podnieśli rąk. Dwa pozostałe lustrzaki wydawały się bliźniętami, a przynajmniej, jeśli oceniać po wyglądzie, weszły w lustra w tym samym okresie, czyli jakoś w czasach angielskiej wojny domowej. Obaj mieli na sobie zbielale mundury Armii Nowego Wzoru: metalowe napierśniki nałożone na skórzane kaftany, wysokie buty, a do tego pasy z pałaszami zawieszane na ramionach. Jeden nosił hełm z osłoną twarzy, drugi miał gołą głowę i złamany nos.

– No już, nie bądź taki. – Żeglarz się uśmiechnął, jeszcze bardziej odchylając czapkę. – Próbuję tylko uspokoić sytu...

I nagle cisnął nakryciem głowy w Sarę, po czym uskoczył w lewo. Ida odruchowo wypuściła bełt i trafiła go w pierś.

Dłoń Sharpa wystrzeliła do przodu, łapiąc wirującą czapkę, zanim ta uderzyła kobietę.

– Cholera – syknął mężczyzna, krzywiąc się. Upuścił przedmiot i spojrzał na swoje palce, paskudnie poharatane i krwawiące. – Wszyte ostrza.

– Nie chcemy kłopotów – powiedział lustrzak w hełmie.

– Zatem podnieście cholerne łapy – poleciała Sara.

– To tylko zwierzęta – rzekł drugi, unosząc ręce. – Zupełnie jakby doić krowę.

– Zgadza się – przyznał pierwszy. Trzymał dłonie na wysokości piersi, jakby nie mógł się zdecydować, czy unieść je wyżej. – Nie sprzeciwiają się zbyt i nigdy nie zabieramy im dużo.

Sharp zacisnął pięść, próbując zamknąć rany. Wyciągnął ją przed siebie, pokazując pierścień, a krew spływała z niej prosto na podłogę.

– Odsuńcie się, inaczej zlikwidujemy was na mocy Prawa i Obyczaju – oznajmił przez zaciśnięte zęby.

– Nie tak łatwo nas zlikwidować – powiedział lustrzak przy klatce. – Dajcie nam wrócić między lustra i nikomu nie stanie się krzywda. Jak już wspomniałem, to tylko zwierzęta.

Charlie nie wiedział, o co chodzi, ale sposób mówienia stworzeń był jakby brudny, ich przymilne uśmieški jednocześnie mroziły krew w żyłach i wyrażały zażenowanie. Chłopak miał silne wrażenie, że w tym pomieszczeniu wydarzyło się coś bardzo złego, że w zasadzie wciąż się wydarza. Ida stanęła obok z nowym bełtem założonym na kuszę. Chrząknęła, nie spuszczać wzroku z widm, i choć nie wypowiedziała żadnych słów, wydawało się oczywiste, że też wyczuwa paskudny posmak czegoś bardzo niewłaściwego.

– Jedynie ich doimy – rzekł drugi. – Puśćcie nas już. Będziemy mili i wszyscy rozejdziemy się zadowoleni, co? Ci dwaj, których zabiliście, byli mięczakami. Ot, ochmistrz na statku i drwał, żadna wielka strata, nie byli nam szczególnie bliscy. Jeśli zmusicie nas do walki, przekonacie się, że jesteśmy twardsi od nich, do tego wyszkoleni.

– Odsuńcie się od klatki – rozkazała Sara głosem ostrym jak bicz. – Już.

– Jak pani sobie życzy, milady – oznajmił ten w hełmie i przesunął się o krok.

Wtedy stało się jasne, że drzwi klatki nie były zamknięte i że przytrzymał je nogą. Otwarły się gwałtownie, z odgłosem uderzenia żelaza o żelazo, a ze środka wypadła istota o zielonej twarzy. Wyjąc straszliwie, rzuciła się w kierunku Sary.

Ida wystrzeliła, rozległ się brzęk. Bełt trafiłby napastnika, gdyby na jego drodze nie pojawiła się ręka lustrzaka sięgającego po rapier. Jego przedramię było zabezpieczone

pancernym ochroniaczem i pocisk zrykoszetował w kierunku podłogi.

Charlie zerwał się już instynktownie, skoczył naprzód i zatrzymał wroga w miejscu porządnym sierpowym w twarz. Siła uderzenia wstrząsnęła nim aż do podszew, ale napastnik upadł nieprzytomny na ziemię. Chłopak miał czas zarejestrować, że jest to normalnie wyglądający mężczyzna w przepasce biodrowej. Normalnie, nie licząc zielonych włosów i skóry. Coś było nie tak z jego ustami, a z przedramienia wystawała mu cienka rurka, z której sączyła się krew.

Chłopak dostrzegł to wszystko w ułamku sekundy i moment ten wystarczył mu również, by zaczął się zastanawiać, czy nie złamał sobie czegoś w dłoni. Chwilę później nie miał już czasu myśleć o czymkolwiek, ponieważ okrągłogłowi zaatakowali, wprawnymi cięciami ciężkich kawaleryjskich pałaszy torując sobie drogę do lustrzanej skrzyni umieszczonej na ścianie.

Charlie zauważył klingę sunącą ku jego talii, lecz nagle ktoś złapał go za kołnierz i gwałtownie pociągnął. Gdy chłopak koziółkował w tył, zobaczył mijający go granatowy błysk i uznał, że musi to być Sharp. A kiedy upadał, widział głównie strop oraz Sarę przeskakującą ponad nim, gdy rzucała się do ataku. Zaraz potem uderzył się w głowę, dostrzegł strop i gwiazdy, po czym ogarnęła go ciemność.

Sharp sparował cięcie, które niemal rozplatało Charliego na dwoje, poderwał klingę i przytrzymał w górze krótką chwilę, gdy Sara – zupełnie jakby się umówili – przemknęła pod jego podniesioną ręką i wbiła własne ostrze w odsłoniętą teraz pachę dragona, tuż nad krawędzią jego stalowego napierśnika.

Pchnęła dwukrotnie, zaciekle i szybko, po czym odsunęła

się Sharpowi z drogi. Mężczyzna cofał się o krok i odkopywał umierającego lustrzaka pod nogi jego bliźniaka, który zamachiwał się nań z chrapliwym okrzykiem. Ostatni lustrzak potrafił szybko myśleć i jeszcze szybciej się poruszać, ponieważ uskoczył, unikając wpadnięcia na trupa, i zamienił swój cios w nagłe cięcie na odlew wymierzone w Sarę, która próbowała przedostać się za jego plecy.

Sparowała, ale siła uderzenia rzuciła nią w tył. Powstrzymała się przed upadkiem, sięgając za siebie i opierając się na skierowanym w dół drugim nożem. Widmo błyskawicznie się obróciło, wykonując brutalne cięcie w górę w kierunku Sharpa. Mężczyzna przyjął śmiertelny cios na dwa skrzyżowane ostrza i utrzymał pałasz tuż poniżej poziomu swojej talii.

Sara wykorzystwała pęd, by zawirować na czubku noża, który wyciął w desce podłogowej małą spiralną trocinę, po czym zamachnęła się drugą klingą trzymaną na pełną długość ręki i przejechała nią lustrzakowi pod kolanami, rozcinając mu ścięgna.

Stwór stęknął z zaskoczenia, gdy nogi zaczęły się pod nim uginać. Sharp jednym nożem odepchnął jego pałasz na bok, drugim zaś wykonał chirurgiczne pchnięcie w osłonę hełmu. Zanurzył ostrze w oku i wyjął je z taką prędkością, że Ida niemal tego nie zarejestrowała.

Gdy widmo upadało na plecy, Sara wykorzystwała resztę siły odśrodkowej, żeby przemknąć pod nim i się podnieść, wyglądało to więc tak, jakby przerzucała je przez ramię.

I wszystko nagle się skończyło, gdy ciężka, zakuta w hełm głowa z głuchym stukotem uderzyła o podłogę.

– Nic ci się nie stało? – spytał Sharp.

– Nigdy nie czułam się lepiej – odparła Falk, a Ida znów

nie była pewna, czy dostrzegła przeskakujący pomiędzy nimi uśmiech.

Gdy Charlie ocknął się i otworzył oczy, zobaczył, że biały strop jest teraz zachlapany ciemnym płynem ściekającym na ziemię. Część spadła mu na twarz, wytarł się więc na wpół przytomnie i spojrział na krew rozsmarowaną na dłoni. Wtedy w polu jego widzenia ukazała się Ida. Wyciągnęła rękę.

– Nie martw się – powiedziała. – To nie twoja wina.

Podniosła go i wtedy dostrzegł lustrzaki. Jeden leżał na podłodze klatki, z okiem zalany krwią sącząca się z paskudnej rany. Od patrzenia na nią Charliemu zrobiło się niedobrze, odwrócił więc wzrok i ujrzał drugiego stwora: siedział pod ścianą przy lustrzanej gablocie, z rozłożonymi nogami i dłonią zaciśniętą bezsilnie na rozciętej pasze, z której lała się krew.

Sharp i Sara kucali przy nim, mówiąc do niego z zaaferowaniem.

– Co? – stęknął chłopak.

Ida pokręciła głową.

– Nigdy nie widziałam, żeby ktoś poruszał się tak szybko jak on. Jakby przepłynął wokół nich, pod ostrzami, niczym woda. Ona weszła za nich, zanim się zorientowali, on skoczył i zablokował, a ona atakowała w odsłoniętych przez niego lukach. Wszystko odbyło się błyskawicznie – wyszeptła. – To znaczy umiem pracować w zespole i też jesteśmy naprawdę dobrzy, ale... Oni razem to coś innego.

– Chciałbym to zobaczyć – rzekł Charlie, krzywiąc się i obmacując guz na potylicy.

– Chciałabym tak umieć – parsknęła Ida. – Może mógłby mnie nauczyć.

Sara i Sharp kucali obok siebie, jednocześnie bandażując

ranę na dłoni mężczyzny i przesłuchując lustrzaka.

– Czy to Mountfellow was tu sprowadził? – zapytała Falk.

– Mount... kto?

– Właściciel domu – wyjaśniła kobieta.

– Jaką mieliście umowę? Co dla niego zrobiliście? – dopytywał Sharp.

– Nie wiem, czyj to dom – wykrztusił lustrzak, któremu krew przelewała się przez dolne zęby. – Przypadkiem tu trafiliśmy. Mogliśmy tu pobierać daninę krwi...

Wykrztusił lśniący czernią płyn na matowobiały napierśnik.

– Myśleliśmy, że nastąpiły wszystkie święta naraz.

– Kto was zaprosił? – spytała Sara. – Mountfellow czy Obywatel? Czy był to człowiek nazwiskiem Robespierre?

– Nie... Nie znam tych nazwisk – odrzekło widmo.

– Czego chciał od was w zamian? – chciał wiedzieć Sharp.

– Nie wiem, kto... Nikt nas nie zaprosił. Knę się na krew. Trafiliśmy tu tylko dlatego, że zauważyliśmy, jak wychodzili. Widzieliśmy dwóch starych mężczyzn, jeden wyglądał jak wcielenie śmierci... – Wypluł więcej krwi i wydawał się spoglądać w przestrzeń bardziej oddaloną niż ściany pomieszczenia. – O, dobrze. Chyba ruszam już w drogę do domu...

– Mężczyźni – ponaglił Sharp, lekko nim potrząsając.

Wzrok widma na chwilę stał się bardziej przytomny.

– Mężczyźni? Och... Weszliśmy do miejsca, z którego się wyłonili... spojrzeliśmy przez lustro... zobaczyliśmy te stworzenia zostawione w kłatkach... tylko je doiliśmy... tylko doi... – przerwał nagle i zadygotał.

Po czym zupełnie opuścił ciało.

Nie zwiotczał, oczy nie uciekły mu w głąb czaszki, jedynie zaświszczał i znieruchomiał z na wpół otwartymi

ustami, krwią zastygłą na zębach, zalanymi nią brodą i napierśnikiem. W jego spojrzeniu dało się dostrzec jedynie pustkę.

– Myślę, że mówił prawdę – uznał Sharp.

– Nie ruszaj się – poleciła Falk. Kończyła obwiązywać mu ranną dłoń swoją apaszką. – Tak. Mówił prawdę. Znaleźli to lustro przypadkiem.

– Nie przypadkiem. Dzięki obserwacji – skorygował Sharp. – Jeśli to Obywatel wszedł między lustra, może teraz znajdować się wszędzie. Nawet znów we Francji.

– Gdziekolwiek jest, znajdziemy go. Na razie zaczekamy, aż Kucharka cię połata.

– Jeśli rzeczywiście widzieli Obywatela, to kto był jego towarzyszem? – spytał Sharp.

Nagle Zielony Człowiek przebudził się. Owładnięty paniką, zerwał się na kolana, zamachnął i wydał z siebie straszliwy odgłos, ni to przenikliwy jęk, ni to warkot. Zacisnął dłoń na spódnicy Sary.

Kobieta spojrzała w zieloną twarz i wypełnione przerażeniem oczy i nagle przez jedną zdradziecką chwilę jakby wejrzała bez Wejrzenia. Nie była już Sarą Falk z Nadzoru, lecz młodą Sarą, dzieckiem ściganym przez pohukującego zielonoskórego szaleńca po najwyższym piętrze Kryjówki, była czarnowłosą Sarą na chwilę przed tym, jak włosy zbieleły jej z czystej grozy, była małą dziewczynką staczającą się po bezlitosnych kamiennych schodach w desperackiej próbie ucieczki przed ucieleśnionym koszmarem. Wyrwała się z uchwytu istoty sięgającej do jej nogi i w pierwotnej panice upuściła nóż, zapominając, jak się go używa. Cofała się, dopóki nie wpadła na Idę i obydwie nie upadły, poślizgnąwszy się na krwi, która wciąż kapiała z sufitu.

– Zabijcie to! – wrzasnęła. – Zabijcie to!

Charlie znajdował się najbliżej i zacisnął dłoń na gardle skowyczącej istoty, gdy ta próbowała zerwać się na nogi. Pchnął stwora i z impetem uderzyli w biurko, przewracając je, a następnie wylądowali w zaspie zakrwawionych papierów oraz pergaminów. Charlie oparł zielonoskóremu kolano na piersi i poczuł, jak pazury ryją mu bolesne bruzdy w policzku.

– Saro – dobiegł go głos Sharpa.

Wtedy Zielony Człowiek znów zaczął się szamotać i machać kończynami, śliskimi od zimnego potu. Charlie przytrzymał go jedną ręką i kolanem, jednocześnie próbując wyciągnąć nóż z pochwy na plecach. Znalazł go, wyjął, ścisnął mocno...

Białe oczy w zielonej twarzy błyszczały dzikością i desperacją, lecz nagle pojawiło się w nich coś na kształt wahania. Stwór skupił wzrok na czymś, co znajdowało się tuż nad ramieniem chłopaka.

„Nie zabijaj tego!”

Donośny i nagły głos wydawał się dochodzić z wnętrza jego własnej głowy.

Czyjaś dłoń opadła mu na nadgarstek, powstrzymując nóż.

Charlie szarpnął się i obrócił głowę. Dostrzegł ciemnoskórą twarz młodzika w swoim wieku, kręcącego głową w wyraźnym: „Nie”. Jego spojrzenie było równie żarliwe jak głos krzyczący mu teraz w myślach.

„Nie zabijaj tego! Proszę! Dość krwi!”

Sharp podniósł Sarę, Ida również wstała i wymierzyła kuszę w nieznanego.

– Ido – wydyszała Sara, łapiąc dech. Znów brzmiała jak ona, jak dorosła kobieta. – Jeśli on zaraz nie puści

Charliego, strzel do niego. To Templebane. Widziałam go, gdy wejrzałam w kantorze. Jest niebezpiecznym zabójcą.

„Nie. Wystarczy krwi. Za dużo krwi”.

Amos puścił nadgarstek Pyefincha i podniósł swoją tabliczkę jak tarczę.

„Nie. Nie. Czytaj. Nie zabójca. Nie Krwawy Chłopiec!”

– Amos Templebane. Jestem niemy, ale rozumny – odczytał Sharp, po czym odetchnął spokojnie. – Proszę, nie rób nic głupiego. Trzymaj dłonie na widoku.

Wbił wzrok w oczy Amosa, który zamrugał i pokręcił głową.

„Nie. To na mnie nie działa. Przykro mi”.

Mężczyzna spojrzał na Sarę.

– Trudno. Słyszysz go?

Przytaknęła.

– Ktoś jeszcze?

– Ja – powiedzieli równocześnie Ida i Charlie.

Amosowi wyraźnie ulżyło.

„Proszę, nie krzywdźcie Zielonego Człowieka. Nie jest niebezpieczny. Jest przerażony. I trochę szalony. Zaszylili mu wargi, żeby nie mógł krzyczeć, i zabrali krew. Od tego czasu wrzeszczał w środku...”

Wskazał palcem. Charlie zobaczył, że mylił się w kwestii ust zielonoskórego. Zszyto mu je, żeby go uciszyć.

Spostrzegł, że głos Amosa zmienił się, gdy ten próbował dostać się do głowy Zielonego Człowieka.

„Nie walcz. Nie zranią cię, jeśli nie będziesz się szarpać. Chcą cię ochronić. Nie są źli. Nie są tacy jak inni. Popatrz na ich pierścienie. To Nadzór”.

Sara spuściła wzrok na swoją dłoń i przez chwilę poczuła coś jakby ukłucie winy.

– Amosie Templebane niemy – odezwał się Sharp –

powiedziałeś nam, kim jesteś. Ale...

– ...ale czym jesteś? – dokończyła Sara.

Amos popatrzył na nich wszystkich.

„Kimś zagubionym”.

Próbował się uśmiechnąć, ale nagle poczuł się zbyt słaby, żeby przejmować się łzami, które popłynęły mu z oczu.

„Zagubionym. I bardzo, bardzo zmęczonym”.

ROZDZIAŁ XXXIV

Skrót z Marblehead

Gdy podjęto już decyzję, że Cait i Lucy mogą jechać dalej, krąg rozproszył się i zostawiono je, żeby opracowały plany z dwoma „gośćmi” należącymi do Sukcesorów Zachodu, jak nazywała ich Strażniczka. Sama również wyszła pod pretekstem przyniesienia kawy, ale Lucy miała silne wrażenie, że starsza kobieta zostawiła ich, żeby móc wygładzić nastroszone piórka tych członków kręgu, którzy sprzeciwiali się podjętej decyzji. Pani Tittensor, chyba najbardziej wyprowadzona z równowagi, natychmiast wyjechała do Bostonu, żeby przywieźć psa, którego niechętnie zgodziła się wysłać z nimi na poszukiwania. Podobno miała wrócić za kilka godzin.

Ulga, którą Lucy poczuła, gdy przestała być w centrum uwagi tak dużej grupy nieprzyjaznych po części osób, mieszała się z rozczarowaniem wywołanym wrogością ze strony Cait. Atmosferę jeszcze bardziej pogarszał fakt, że Armbruster wyciągnął paskudnie wyglądającą fajkę, rozpalił ją i zaczął radośnie pykać, wytwarzając obłok smrodliwego dymu, który zawisł w sali spotkań niczym gaz błotny.

Lucy była rozdarta pomiędzy złością na uporczywą niezdolność Cait do dostrzeżenia, iż podjęła próbę przełamania impasu w kontakcie z Sukcesorami jedynie po to, aby pomóc Irlandce w odzyskaniu skradzionego dziecka, a narastającą rozpaczą wywołaną przecuciem, że ich przyjaźń nieodwołalnie dobiegła końca.

– Nie wiem, dlaczego tak się wściekasz – powiedziała cicho.

– A ja już nijak nie jestem zobowiązana, żeby kontynuować twoją edukację w kwestii mechanizmów rządzących światem – odparła Cait. – Być może musisz więc sama to sobie wyjaśnić.

– Wyjaśniłam już sobie, dlaczego wszyscy zdają się mieć problem z *fiagai*.

Irlandka uniosła brew. Lucy wstrzymała oddech.

– Ech, w końcu i tak wyplujesz z siebie tę odrobinę jadu, więc w sumie możesz teraz – rzekła Cait.

– Jesteście monomaniakami – oznajmiła dziewczyna, używając słowa, którego nauczyła się od Kucharki. Na myśl o kobiecie z Nadzoru nagle zapiekły ją oczy, co było irytujące, ponieważ nie chciała, by Irlandka pomyślała, że płacze z jej powodu. – Macie klapki na oczach, w związku z czym jesteście równie wkurzający jak każdy, kto ma obsesję na punkcie tylko jednej rzeczy. Trudno z wami wytrzymać. To...

– Tak bardzo chciałaś zostać jedną z nas. A teraz widzę, że wcale nie.

– Cóż, przynajmniej tego zdołałaś mnie nauczyć – skomentowała Lucy. Czuła mściwą satysfakcję, gdy te słowa opuszczały jej usta.

Magill i Armbruster wymienili spojrzenia, po czym pierwszy z nich spod krzesła, na którym siedział, wyciągnął skórzaną torbę i wydobyl z niej dużą, mocno zużytą mapę, którą rozłożył na podłodze między nimi.

– Skoro tak bardzo chcecie wyjaśnień, równie dobrze możecie spojrzeć, o co nas prosicie – rzekł. – Ta mapa da wam pojęcie, w jak rozległej dziczy chcecie odnaleźć to dziecko.

Wyjął z pochwy największy nóż, jaki Lucy kiedykolwiek widziała, długi niemal na stopę, z szerokim mosiężnym jelcem, bardziej pasującym do szabli, i przykucnął nad mapą, używając mocno wyciętego sztychu jako wskaźnika.

– To wspaniała klinga – stwierdziła z uznaniem Cait. – Choć chyba jeszcze nie do końca wie, czy zechce być nożem, czy mieczem, gdy dorośnie.

– Jeden z oryginalnych noży Bowie – wytłumaczył Magill. – Wygrałem go w pokera.

– W pokera? – spytała rudowłosa, wciąż przyglądając się ostrzu. – Czy dobrze mi się wydaje, że poker to jakaś karciana gra hazardowa?

Gdyby Lucy nie była świadkiem, jak podczas podróży przez ocean Irlandka stopniowo pozbawia marynarzy oszczędności przy licznych partiach pokera, po jej niewinnym tonie mogłaby wnioskować, że kobieta nigdy w życiu nie trzymała w dłoni kart. Wiedziała jednak dobrze, że Cait umie manipulować nimi równie zwinnie jak ludźmi, teraz zaś uznała, że chce mieć taki nóż dla siebie. Wtedy dostrzegła uśmiech Magilla i uświadomiła sobie, że męczyzna również nie dał się podejść.

– Panno ná Gaolaire – powiedział – nie śmiałbym nawet próbować nauczyć pannę wybornej i męskiej sztuki pokera. Przede wszystkim dlatego, że panny wyraźna niewinność w kwestii zasad rządzących światem nie powinna zostać skalana przez kogoś tak nieokrzesanego jak ja. Po drugie zaś, ponieważ posługuję się tym nożem od tak bardzo dawna, że poniekąd przywykłem już do jego ciężaru u pasa i bez niego czułbym się nieodziany...

– Zatem wspólna gra odpada. Szkoda – odparła Cait. – Wyraźnie nie jest pan bowiem człowiekiem, przy którym można blefować.

– Nie – przyznał Armbruster. – Choć jak znam Jona, zapewne flirt doprowadziłby pannę do celu.

– Fred sądzi, że jestem zbyt romantycznym – powiedział Magill.

– A nie nadaje się pan do romansowania? – spytała Irlandka, przybierając bardzo przekonującą minę wyrażającą cnotliwe rozczarowanie.

– Nie, proszę pani. W miejscach, przez które wędrujemy, należy podchodzić do wykonywanej pracy realnie i praktycznie. Romantyzm może tylko zaprowadzić do grobu.

– Jon – rzekł Armbruster – może przejdźmy do rzeczy?

Magill wyszczerzył zęby do Cait i spojrzał na mapę.

– Tu jest Boston. – Wyciągnął rękę i przesunął nóż na drugi kraniec kontynentu. – A tu jest Dolina Willamette. Ponad trzy tysiące mil. Mniej więcej tyle przebyłyście wodą. Dopiero w ostatnich latach pojawiła się droga, którą można jechać wozem. Podróż tamtędy, tak zwanym szlakiem oregońskim, jest bardzo uciążliwa i odbywa się w tempie wozu ciągniętego przez woły.

– I jeszcze coś – dodał Armbruster przez ustnik fajki. – A tak naprawdę cosie, w liczbie mnogiej, ponieważ mam dobre i złe wieści.

– Głównie złe, Fred – powiedział Magill – nie mydl im oczu. W ten sposób nie wywołasz uśmiechu na ich twarzach.

– Może nam po prostu powiedzcie, o co chodzi, i pozwólcie samodzielnie zdecydować, co o tym myślimy? – podsunęła Irlandka.

– Dobrą wieścią jest tamta szafa – oznajmił Armbruster. – Choć mogę się założyć, że nie potraficie powiedzieć, co to...

– Przyjmuję zakład – odparła Lucy. – A jeśli mam rację,

zgasisz tę fajkę. Oczy kłują mnie od dymu.

– A jeśli się mylisz? – spytał fajczarz. – Co ja dostanę?

– Nic, bo się nie mylę – zripostowała dziewczyna. – To serwantka z Murano, wyłożona lustrami w środku i na zewnątrz.

Armbruster uniósł z zaskoczeniem brwi, po czym pokiwał głową i podszedł do kominka, gdzie wystukał tytoń z główki fajki.

– Są uważane za rzadsze niż zęby u kury – powiedział Magill. Wyglądał, jakby naprawdę zrobiło to na nim wrażenie. – Gdzie ją już widziałas?

– Mają taką w Kryjówce w Londynie – odparła Lucy.

– Naprawdę? – spytał ze sceptyczną miną Armbruster. – Nigdy o tym nie słyszałem...

– A wiesz, do czego służy? – dopytywał Magill.

– Wykorzystuje się ją jako skrót pomiędzy zwierciadłami – wyjaśniła dziewczyna. – Dzięki niej nie trzeba zawsze chodzić do ustawionych naprzeciwko siebie luster, żeby przedostać się z miejsca na miejsce.

– Sporo wiesz – przyznał Armbruster, spoglądając na koleżkę.

– Nic dziwnego. Wpadłam do niej i wylądowałam w zupełnie innym miejscu. To niebezpieczne przedmioty. Podobnie zresztą jak cały lustrzany świat, z tego, co słyszałem.

– I tu ma rację – skomentował Magill.

– Pozwólcie mi zatem zgadnąć – odezwała się Cait. – Używacie jej, żeby przeskakiwać pomiędzy tą salą a jakimś miejscem na zachodzie. W charakterze skrót.

– A dlaczego tak ci się wydaje? – zapytał Armbruster.

– Ponieważ jesteście ubrani na chłodniejszy klimat niż tutejszy – odrzekła Irlandka. – Nie tak jak reszta ludzi

z kręgu. I czuć od was dymem drzewnym, nie węglem, który pali się w kominku. To podpowiada mi obozowe ognisko. Poza tym błoto na twoich butach, Magill, jest ilaste i czerwone, podczas gdy miejscowa gleba, jak się zorientowałam, jest czarna lub piaszczysta.

– Jon, nie graj z nią w pokera – poradził Armbruster. – Przynajmniej jeśli naprawdę chcesz zachować ten swój nóż.

– Nie zamierzałem – odparł Magill.

– Czyli mam rację? – spytała Cait.

– Tak i nie – rzekł Magill. – Nie przepadamy za lustrami i tym, co się za nimi kryje. Możemy jednak zaprowadzić was do Saint Louis albo nawet do Fort John nad Platte Północną w cholerę szybciej, niż gdybyście jechały inaczej. Mogłybyście wsiąść w pociąg z Bostonu do Springfield, ale później co rusz trafiałybyście na trakty pocztowe i stacje etapowe, a podróż zajęłaby wam niemal dziesięć dni. Zamiast tego możemy wejść do tej szafy i wyjść z niej w domu położonym w Saint Louis na brzegu rozległej Missouri, ponad tysiąc mil stąd. Ale...

Wzruszył ramionami.

– Ale co? – zapytała ostro Irlandka.

– Ale nawet wtedy byłoby za późno – wytłumaczył Armbruster. – Widzicie, ten Graves, rybak z waszym dzieckiem, zmierza do Doliny Willamette, bo chce zostać farmerem, jak cała reszta idących. Wyruszył wiosną. Podróż szlakiem oregońskim zajmuje sporo czasu i lepiej nie zostawać na nim zbyt długo. Z tego, co nam mówią, wyjechał wcześniej z pierwszymi karawanami w tym roku, a jeśli doszedł na miejsce... podkreślam: jeśli, to nie da się do niego dotrzeć, dopóki w wielkich Górach Skalistych nie odpuszczą śniegi.

– Jeszcze nie nastąpiła w pełni zima – powiedziała Cait,

wyglądając przez okno.

– Nie tutaj – odrzekł Magill. – Ale tam, na zachodzie, gdzie pogoda potrafi zabić w mgnieniu oka, górskie przełęcze są już pokryte śniegiem. Aż do odwilży nie da się przez nie przedostać.

– To niedopuszczalne – uznała Cait.

– Zapewne – odrzekł Magill. – Co nie znaczy, że to nieprawda.

– I co według was mam zrobić? – chciała wiedzieć Irlandka.

– Przezimować w Saint Louis. Wtedy możecie dołączyć do choleryjnej przyszłorocznej migracji.

– Możecie też wrócić do domu – dodał Armbruster. – Zważ, że nie proponuję tego poważnie, bo widzę, że ten pomysł ci nie odpowiada, a nie chcę znowu oberwać w nos.

– Nie mogę tak po prostu tkwić w Saint Louis – stwierdziła Cait. – Dlaczego nie możecie wykorzystać swoich luster, żeby przenieść nas do tego Fort John albo nawet jeszcze dalej?

– Fort John nie jest miejscem dla samotnych młodych kobiet zimą – wyjaśnił Magill.

– Poza tym teraz nie zdołamy was zabrać dalej – uzupełnił Armbruster. – O tej porze roku na pewno nie dalej niż do Diabelskich Wrót.

Rzucił Magillowi porozumiewawcze spojrzenie, co nie uszło uwadze Lucy.

– Dlaczego? – zapytała Irlandka.

– Nie da się dostać lustrami wszędzie, lustrzany świat nie jest bezpieczny, a cały sposób sprawdza się tylko tam, gdzie są jakiegokolwiek lustra – mówił Magill. – Owszem, istnieją zwierciadlane korytarze, ale prowadzą donikąd, a w niektórych miejscach po prostu nie działają. I tak,

serwantki z Murano mogą cię czasami zabrać z punktu, który znasz, do jakiegoś innego, jeśli umiesz je dobrze ustawić, i nie trzeba przy tym przemierzać labiryntu. Wychodzi wtedy chyba taki skrót w skrócie. Ale przecież nie sposób dostać się na tereny nieucywilizowane, takie jak te za Independence Rock.

Zamachał ręką.

– Na niezasiedlonym terytorium jest bardzo mało luster.

– Mam zatem do was inne pytanie – rzekła Cait. – Dlaczego tu jesteście?

– Słucham? – odparł Magill.

– Dlaczego tak się dogodnie złożyło, że składacie wizytę w tym kręgu, skoro do niego nie należycie? Akurat teraz, gdy my tu trafiłyśmy?

– Nie jesteśmy tu z waszego powodu – powiedział Armbruster. – To tylko szczęśliwy traf.

– Cóż, nigdy niczego nie osiągnęłam, wierząc jedynie w szczęśliwe trafy – zripostowała Irlandka. – Nie ufam im, podobnie jak nieoczekiwanie pomocnym nieznanym.

– Podejrzliwa, co? – skomentował Armbruster.

– Zawsze.

Fajczarz znów porozumiewawczo spojrział na kolegę, który skinął głową.

– To nie do końca tak, że wam pomagamy. Pomagamy jej, bo należy do Nadzoru – powiedział, wskazując Lucy. – A to dlatego, że kiedyś Nadzór pomógł nam.

– Kiedyś – stwierdziła Cait. – Czyli to tylko kwestia sentymentalna?

– Nie, droga pani – odparł Magill. – To nie sprawa przeszłości, lecz terażniejszości. Obecnie pomaga nam jeden z jej kolegów.

– Jon i ja jesteśmy tak sentymentalni jak ty ufna, czyli ani

trochę – dodał Armbruster.

Magill sięgnął do swojej torby i wyciągnął matowoszary ołowiany prostokątny przedmiot o wymiarach mniej więcej sześć na osiem cali. Lucy zauważyła widniejące po obu jego stronach litery i symbole.

– Jeśli jesteś z Londynu, macie tam coś takiego – poinformował, spoglądając na Lucy. – Wiem, że martwisz się o nich równie mocno jak my, dlatego on tu bywał. To my pomagamy mu ich wytropić.

– Komu?

– Panu Sharpowi.

Cait podniosła głowę.

– Widzieliście się z Sharpem? – spytała Lucy.

– Jackiem Sharpem? – dodała Irlandka.

– Tymże samym – odrzekł Armbruster.

– Ale... On nie wie, że to znaleźliśmy – powiedziała Lucy, spoglądając na Cait.

– Co znaleźliście? – zapytał fajczarz.

– Dłoń Sary Falk – wyjaśniła dziewczyna. – Sharp zgubił się w lustrach, szukając jej, ale...

Przerwała, próbując wymyślić, jak to wyjaśnić, i zastanawiała się, dlaczego Cait znów nadepnęła jej na stopę.

– No to teraz już nie jest zagubiony – wyjaśnił Magill. – Potrafi poruszać się w lustrach lepiej niż ktokolwiek. To dlatego szuka kolejnych takich przedmiotów, to dlatego tu przybyliśmy: żeby donieść, co udało nam się odszukać, tak by pierwszy krąg był na bieżąco.

– A co odszukaliście? – chciała wiedzieć Irlandka.

– Najłatwiej będzie mi to powiedzieć w następujący sposób – zaczął Magill – i tak naprawdę jest to opinia Sharpa: wiecie o francuskim Paladynie? Działa przeciwko

Nadzorowi i Sukcesorom od dawien dawna. Jego członkowie dowiedzieli się o naszych lustrach i nie spodobało im się, że Hiszpanie i Brytyjczycy zaczęli wykrawać sobie nowe kolonie po tej stronie oceanu.

– Postanowili więc uciec się do oszustwa – uzupełnił Armbruster. – Opłacili ludzi lasu z Górnej Kanady, czyli handlarzy futrami i *coureurs des bois*, głównie Francuzów i Szkotów, żeby czym prędzej ruszyli na niezbadane obszary. Po drodze nie sprawdzali terenu ani nie zakładali osad. Po prostu szli na zachód, z minimalnym bagażem, z wyjątkiem dwóch rzeczy.

– Luster i tych tabliczek – wyjaśnił jego kolega. – Był to genialny plan, tyle że łamał podstawowe prawo, którego wszyscy przysięgaliśmy przestrzegać.

– Czyli chronić mieszkańców naturalnego świata przed tymi z ponadnaturalnego, którzy chcą ich skrzywdzić – podsunęła Cait.

– Właśnie – potwierdził Magill. – I *vice versa*. Tyle że zostali wysłani przez królów, królowie zaś oszukują i kłamią równie łatwo, jak inni ludzie oddychają. To dlatego w szeregach Sukcesorów i Nadzoru nigdy nie było władców. Ale Paladyn działa inaczej. A ten jeden konkretny francuski król wpadł w taką obsesję na punkcie luster, że podobno w swoim pałacu w Wersalu kazał zbudować cały wyłożony nimi wielki korytarz, mając nadzieję wykorzystywać go do przechodzenia w dowolne miejsce na świecie, gdy szlaki znajdujące się za zwierciadłami zostaną już naniesione na mapy.

– Widzicie, plan polegał na tym, żeby umieszczać nowe lustro jak najdalej w głębi niezbadanego terytorium, później wracać, uzupełniać zapasy i przeskakiwać z powrotem, wykorzystując ostatnie ustawione zwierciadło,

żeby nie trzeba było iść pieszo. W ten sposób posuwano się na zachód – mówił Armbruster. – Te tabliczki kładziono natomiast na najbliższym wysokim punkcie w okolicy luster, w razie gdyby nie dało się ich znaleźć. Zawsze ukrywano je w jaskiniach, szczelinach skalnych i innych podobnych miejscach. Zapiski podają ich dokładne położenie.

– Robiła to przede wszystkim rodzina traperów nazwiskiem de la Vérendrye, ale to byli wyłącznie *coureurs des bois* – wyjaśnił Magill. – Pewien twardy szkocki młodzik nazwiskiem Mackenzie dotarł aż do cholernego Pacyfiku lata przed Lewisem i Clarkiem.

– W każdym razie – kontynuował Armbruster – ten pomysł mógł zapewnić Francuzom kontrolę nad wszystkim, gdyby tylko zaczęli przesyłać przez lustra osadników i żołnierzy. Nastąpiła jednak rewolucja, królowi obcięli głowę i coś popsuło lustra, więc korytarze nie będą już tak jak wcześniej, w związku z czym nigdy nie dokończyli planu.

– Właśnie w tym pomagacie Jackowi Sharpowi? – spytała Cait. – Dlaczego miałyby w ogóle potrzebować waszej pomocy?

– Bo jesteśmy ludźmi gór – odparł fajczarz. – Łańcuch zwierciadeł ustawionych przez de la Vérendrye na niezbadanym obszarze został przerwany. I dobrze się stało. Nie wiemy jednak, gdzie one wszystkie się znajdują, a nie chcemy, żeby osoby stojące za planem wpadły na pomysł, by naprawić sieć i znów ją wykorzystać. Tak więc sprawdzamy w naszym świecie to, czego Sharpowi nie udało się przejrzeć w lustrzanym.

– Atak z dwóch flanek – uzupełnił Magill.

Wskazał tabliczkę.

– To nie my ją znaleźliśmy. Przyniósł ją nam Dakota z Gór Czarnych – podjął Armbruster. – Ale to tak na marginesie. Rzecz w tym, że zgodziliśmy się pomóc Sharpowi w odszukaniu ukrytych luster i zneutralizowaniu ich, więc dzięki temu możemy wam zaoferować swoisty skrót.

– Za minutę możecie się znaleźć w Saint Louis – powiedział Magill. – Dzięki serwantkom z Murano można w ogóle nie wchodzić do lustrzanego świata. Jeśli macie pieniądze, możecie się odpowiednio wyposażyć i przeniesiemy was do kolejnej pary zwierciadeł, ustawionych w miejscu, gdzie rzeki Laramie i Platte spotykają się przy Fort John, ale jak już wspominał Fred, nie zalecam, żeby dwie młode damy spędzały tam zimę w towarzystwie takich szumowin, jakie będą tam siedzieć do wiosny. Powinnyście zostać w Saint Louis i tam poczekać wygodnie.

– Gdzie jest Sharp? – spytała Lucy.

– W lustrach – odparł Magill. – Ale zaplanowaliśmy spotkanie z nim.

– W Londynie? – dopytywała dalej dziewczyna.

– Nie – odrzekł Armbruster. – Z tego, co słyszałem, podróż stamtąd zajmuje wiele dni. Nie, brak jest skrótów do Londynu. Może kiedyś istniało bezpośrednie połączenie za pomocą luster, ale teraz już go nie ma. Trzeba by przejść długimi korytarzami, żeby tam dotrzeć, i choć to bezpieczniejsze niż podróż morzem, to i tak nie byle spacer. Nie. Spotkamy się na tym kontynencie. Zobowiązaliśmy się mu przekazać, co robi Strażniczka, niezależnie od tego, czy zgadza się ona z planem, czy nie.

– Czyżby? – zapytała Cait. Lucy zastanawiała się, czy przelotny uśmiezek na jej twarzy został wywołany

perspektywą ujrzenia Sharpa, dla którego podziw wyraziła już kilkakrotnie. Podziw i coś nieco bardziej przyziemnego, co warzyło Lucy serce i piekło ją niczym zazdrość. – Jakim planem? – ciągnęła Cait, mając nadzieję na kontynuację tematu.

Przed udzieleniem odpowiedzi Magill zadumał się, skubiąc płatek ucha.

– Relacje między pierwszymi osadnikami a Indianami od początku były złe. Mimo to ustalono, że my nie będziemy wtrącać się w ich sprawy, a ich utalentowani nie będą pracować z naszymi. Widzicie, nasze dwa sposoby postrzegania świata nie pasują do siebie. Nie kontaktujemy się więc z nimi, a oni nie przeszkadzają nam. Trzymamy się oddzielnie i, co zabawne, dzięki temu zachowujemy przyjazną relację. Sharp uważa jednak, że powinniśmy ich poprosić, żeby szukali tabliczek, a wtedy on będzie mógł się zająć lustrami i powstrzymać pozbawione skrupułów niedobitki Paladynu przed odtworzeniem sieci. Mam na myśli tych, którzy przedkładają króla i kraj lub złoto nad utrzymywanie równowagi pomiędzy tym, co naturalne i nadnaturalne. Miejscowych jest znacznie więcej niż nas i znają teren tysiąc razy lepiej. To leży w obopólnym interesie. Tylko że nie jesteśmy władni samodzielnie podjąć takiej decyzji.

– Poza tym Jon podchodzi do sprawy niechętnie – dodał Armbruster.

– Tylko trochę – sprostował Magill. – Pomysł wydaje się sensowny, ale nie wiem, czy słusznie jest wciągać Indian w nasze sprawy. Dotąd nigdy nie wychodzili dobrze w takich przypadkach. Rzecz w tym, że jesteśmy między młotem a kowadłem, cieszę się więc, że to starsze i mądrzejsze głowy zdecydują, czy przystąpimy do planu

Sharpa.

– I co postanowił krąg? – chciała wiedzieć Irlandka.

– Strażniczka skłania się do poparcia Sharpa – wyjaśnił Armbruster. – Tylko ten jeden raz. Właśnie to mu powiemy, gdy się z nim zobaczymy.

– Jeśli macie więcej pytań, możecie skierować je bezpośrednio do niego – stwierdził Magill, spoglądając na Lucy. – Oczywiście jeśli zechcecie skorzystać z naszego zaproszenia.

– Pójdziemy z wami – oznajmiła Cait. – Gdy tylko dostaniemy psa pani Tittensor. Czy panna Harker się ze mną zgadza?

Lucy przytaknęła. Ta „panna Harker” ją zabolala.

– Dobrze będzie zobaczyć się z Sharpem – rzekła, w duchu zaś pomyślała, że największą korzyścią płynącą z takiego spotkania będzie możliwość poradzenia się mężczyzny, czy spędzić zimę w Saint Louis, czy raczej nie. Być może jako członek Nadzoru mógłby wziąć odpowiedzialność za Cait, skoro Sukcesorzy tego wymagali, a wówczas Lucy mogłaby zacząć od nowa własne życie w tym nowym kraju.

Obydwaj mężczyźni powiedzieli, że pójda teraz przekazać decyzję Strażniczce, której chyba coś pokrzyżowało plany przyniesienia im kawy.

Lucy spojrzała na Irlandkę.

– Próbowалаm pomóc – rzekła. – I pomogłam. A ty nagle zachowujesz się, jakbym była twoim wrogiem.

Rudowłosa milczała.

– Ufasz im? – spytała Lucy.

– Zaufanie to romantyczna koncepcja – odparła Cait, nie obracając się w jej stronę. – I słyszałaś, co mówili panowie, dokąd może cię zaprowadzić romantyzm w tym nowym,

wspaniałym świecie, który zdajesz się mieć w wysokim poważaniu...

– No i Sharp tu jest – dodała dziewczyna. – To dobrze, prawda?

– Być może.

– Być może?

Lucy poczuła bardzo silną ochotę, żeby uderzyć swą byłą nauczycielkę, tylko po to, by zmusić ją do reakcji. Zacisnęła dłonie i wsunęła je do kieszeni płaszcza. Usiadła przed kominkiem, zgarbiona i smutna.

– W czasie, kiedy tu płynęliśmy, wiele rzeczy mogło się wydarzyć w Londynie – stwierdziła Irlandka. – Jeśli jednak chodzi o ten plan, to gdy tylko ta Tittensor przywiezie mi psa, zgodzimy się, bo dzięki temu dostanę się na zachód. I jeśli do tego zobaczymy się z Jackiem Sharpem, nikt nie ucieszy się bardziej niż ja.

Lucy czekała, aż Cait podziękuje jej za umożliwienie tego spotkania, lecz rudowłosa podeszła do serwantki z Murano i przyglądała jej się, jakby niedawna uczennica przebywała już zupełnie gdzieś indziej.



Gdy zamknęli za sobą drzwi do sali spotkań – oraz dyskretnie przesunęli zasuwkę – Magill odezwał się ściszym głosem:

– Nie wiedziała o ołowianych tabliczkach. Ta Harker.

– Zauważyłem – rzekł Armbruster.

– Niepokoi cię to?

– Jej pierścień jest prawdziwy. Przyjrzałem mu się dokładnie – odparł fajczarz i ruszył w górę po schodach.

– Ale wygląda na to, że nie wie o misji Sharpa.

– Jest młoda, Jon. Może nie wtajemniczyli jej we wszystko.

– I tak nigdzie same się stąd nie ruszą. Lubię je. Obie są charakterne na swój sposób – oznajmił Magill. – Tę młodszą coś dręczy, zmartwienie spowija ją jak chmura, ale kogo nic nie dręczy? Poza tobą. Ciebie dręczy wszystko.

– Byłbym spokojniejszy, gdyby Sharp im się przyjrzał i potwierdził ich tożsamość.

– To już niedługo. Powiedzieliśmy, że przejdziemy jutro, prawda?

– Owszem.

– Zatem ile kłopotów mogą narobić w jedną noc? Zabierzemy je na spotkanie z Sharpem. Pilnuj tej Lucy, a ja będę obserwował rudą. A teraz chodźmy powiedzieć Strażniczce, że pomożemy jej pozbyć się dwóch problemów.

– Dlaczego chcesz zająć się rudą? – zapytał Armbruster.

– Po prostu ją ochraniam, Fred, nie zabieram na żaden cholerny bal.

ROZDZIAŁ XXXV

Scowle w blasku księżyca

Hern znalazł Sluagh w ustalonym miejscu, daleko w głębi pewnego scowle w dzikiej, rzadko uczęszczanej części Lasu Dean. Mianem tym określano w okolicy specyficzne formacje skalne, z których wyrastał gąszcz starych drzew, omszałe labirynty jam, zagłębień i lejów krasowych, spośród których część prowadziła do sekretnych jaskiń powstałych na skutek erozji i tworzących sieć naturalnych podziemnych kompleksów.

– Mountfellow jest w Gallstaine – powiedział myśliwy Czaszce Borsuka.

– To dobrze. Zrobimy tu, co potrzeba, dla poległego Sluagh z klanu Słonkowa Korona, którego ciało tak zbezczeszczył, a później udamy się na północ i odpłacimy mu tym samym.

– Nie – odparł Hern. – Nie da się do niego dotrzeć.

Grupa Sluagh warknęła w rozczarowaniu. Hern uniósł dłoń.

– Jego dom otacza strumień płynącej wody. Prowadziłem obserwację na tyle długo, by widzieć, że go nie przekracza. Wychodzi tylko w południe i podejrzewam, że jeśli wyruszy w podróż, to jedynie szybkim powozem i w świetle dnia.

Pomruki sprzeciwu narosły, po chwili znów uciszone przez Herna, po którego bokach stały kościopsy, napięte jak cięciwy.

– Przyjechał do niego ktoś inny. Po widoku i zapachu sędzę, że należy do znanej nam starej rodziny istot

dziennych. Moim zdaniem to Templebane.

– Issachar Templebane nie jest nam obcy, ale opuścił Londyn i nie wiemy, gdzie go znaleźć.

– Oraz czy można mu ufać – dodał Słonkowa Korona. – A może też lepiej go oskórować?

Rozbrzmiał kolejny pomruk aprobaty.

– Dla mnie to obojętne – odparł Hern. – Zapamiętałem twoje słowa o możliwości dotarcia do Mountfellona przez jego kompanów, podążyłem więc za nim i odkryłem, gdzie się zaszły wraz ze swoimi synami.

– Zatem powinniśmy go odwiedzić, gdy tu już skończymy – powiedział Czaszka Borsuka, uciszając szmery zdecydowanym gestem. – Może powinniśmy go spytać, jakie sprawy zawiodły go do siedziby Mountfellona.

I znów rozległy się dźwięki aprobaty, przez które nagle przebił się donośny, czysty kobiecy głos, natychmiast wszystkich uciszając.

– Miło was widzieć, Sluagh.

Był to głos głęboki, jak na kobietę. Czaszka Borsuka oderwał wzrok od Herna, który wykorzystał tę okazję, żeby skinąć na kościopsy i rozmyć się w mroku, zanim wszyscy Sluagh przestaną skupiać uwagę na niewyraźnych kształtach wyłaniających się z ciemności.

– Was również, Shee, oto bowiem jesteście – oznajmił Czaszka Borsuka. – Tu, gdzie zawsze jesteście.

Skłonił głowę w geście powitania, gdy wysoka kobieta stanęła w księżycowym blasku. Jedną stroną głowy miała gładko ogoloną, drugą zaś porośniętą długimi, gęstymi włosami, w które wpleciono kości małych zwierząt. Jej czaszkę otaczał pierścień gęstych tatuaży, biegnących poziomo od brwi do kości policzkowych, wyglądających, jakby nowo przybyła zasłoniła sobie twarz grubo tkaną

czarną koronką. Oczy, skupione na Czaszce Borsuka, miały niezwykle odcień błękitu.

– Jesteśmy Shee. Wy jesteście Sluagh – oznajmiła z nieznacznym wzruszeniem ramion. – Postanowiliście odejść. My postanowiłyśmy zostać.

Za jej plecami na tle posępnego krajobrazu zmaterializowała się duża grupa kobiet. Wszystkie ubrane były podobnie jak pierwsza, odziana w czarno-białą pelerynę ze sroczych piór narzuconą na długą, połataną tunikę ze skóry, spiętą w talii szerokim pasem i rozciętą po bokach, przez co odsłaniała nogawice z irchy wpuszczone w wysokie, solidnie znoszone buty. Całość ozdabiały zwierzęce kości, jak u Sluagh, ponadto Shee nosiła grubą naszyjnik ze skałoczepów z pojedynczą czaszką jastrzębia na środku, której dziób pokryto kutym srebrem odbijającym światło księżyca, gdy jego właścicielka się poruszała.

Czaszka Borsuka uśmiechnął się, wyciągając do niej rękę.

– Shee i Sluagh są jedynie dwiema stronami tego samego liścia, żono.

Pokręciła głową i odsunęła się.

– Nie jesteśmy już tylko liściem, mężu. Liście schną, opadają, giną.

– Czym zatem jesteśmy? – spytał, świadom, że Sluagh z tyłu widzieli zgrabny unik Shee.

– Jesteśmy niekończącą się wojną przerywaną rozejmami – odparła. Pozostałe kobiety roześmiały się w cichej aprobacie. Uniósł jeden kącik ust, przez co jego uśmiech stał się drapieżniejszy.

– Lubię rozejmy.

Tym razem to Sluagh za jego plecami się roześmiali, głośno i sprośnie w porównaniu z wcześniejszą bardziej

kontrolowaną reakcją kobiet. Znów wyciągnął do niej rękę, a ona znów zwinnie się odsunęła.

– I nieobecność – rzekła. – Podczas waszej nieobecności coś może urosnąć.

Kurcz irytacji poruszył liniami wytatuowanymi na jego twarzy.

– Nie chodzi ci tylko o brzuchy i dzieci.

– Chodzi mi o żywoty. I myślenie. I plany.

– Macie plany – powiedział, siadając na ziemi z westchnieniem. – A my mamy działania. Czy nie zastanawialiście się, w jaki sposób złamaliśmy Prawo Żelaza?

– To było wspaniałe – odparła, patrząc na niego z góry. – Ale tak naprawdę przydatne jedynie dla was, którzy lubicie wchodzić pomiędzyienne istoty. Dla nas, niezainteresowanych ich sprawami, nie jest to tak istotne.

– Czy zawsze było tak trudno zrobić na tobie wrażenie? – spytał bardziej z goryczą niż humorem.

– Mam nadzieję – odrzekła, pierwszy raz niemal się uśmiechając.

– Ale Prawo Żelaza.

– To był wielki wyczyn – powiedziała, zgrabnie siadając na kopczyku naprzeciwko niego. – Tyle że nastąpił zbyt późno. Był to wyczyn na dawne czasy, kiedy to nasi pradziadowie stawali się legendami. Teraz to wszystko zostało przejęte przez istoty dienne i Głodny Świat. Przełamaliście żelazne okowy, ale oni dalej będą nas osaczać, nie powstrzyma ich to. Nasze azyle zostaną zbadane, zbrukane i zagarnięte.

– Czyli oni zwyciężą? – warknął.

– Owszem – przyznała. – Być może tak, jeśli postrzegasz wszystko jako walkę. Ale nie zwyciężą dlatego, że mają

słuszność, że są bardziej prawi, odważni czy sprytniejsi, mężu. Zwyciężą tylko dlatego, że jest ich więcej oraz że nauczyli się poruszać szybciej i kopać głębiej, niż my kiedykolwiek potrafiliśmy.

– Myślałem, że przybyliśmy tu, żeby pogrzebać Słonkową Koronę – zmarszczył brwi – a nie nasze nadzieje.

– Nie mówiłam, że powinniśmy pogrzebać nasze nadzieje. Powiedziałam, że powinniśmy opracować nowe plany.

– Nowe plany dla nowego świata – wysyczał, kręcąc głową. – Zaczynasz brzmieć jak jedna z nich.

– A ty mówisz to w taki sposób, jakby było to coś złego – odrzekła, przekrzywiając głowę i spoglądając na niego przeciągle.

– Zmiana to słabość – stwierdził. – Jesteśmy czyści, ponieważ się nie zmieniamy. Zmiana to zdrada.

– To tylko słowa – skomentowała. – Jeśli jednak siedzisz nieruchomo i patrzysz, jak coś rośnie, od ziarna do drzewa, od szczenięcia do lisa, od cielesnej przyjemności... rozejmu do śmiechu dziecka będącego jej owocem i do siły kobiety bądź mężczyzny, na których wyrośnie to dziecko, nie możesz postrzegać zmiany jako czegoś złego, ale po prostu jako życie.

– Wolałabyś, żebyśmy zdradzili naszą historię? – spytał. – Naszą długą przeszłość?

– Nie – odrzekła. – Wolałabym, żebyś pomyślał. Może gdybyś przestał kurczowo trzymać się tej przeszłości, uciekając od terażniejszości, może gdybyś usiadł nieruchomo i czasami się zastanowił, zamiast wiecznie pozostawać w ruchu i działać, możliwe, że zacząłbyś postrzegać rzeczy tak, jak my je widzimy. Ponieważ mimo wszystko może czekać nas przyszłość.

Podniosła się płynnie. Reszta Shee poszła za jej przykładem.

– A teraz pogrzebmy tę koronę. Jeśli zaś później będziesz miły, być może opowiem ci, jakie wieści kruk przyniósł mi z wysp północy.

– Kruk z północy? – zapytał, a na jego wytatuowanej twarzy pojawiły się szok i niedowierzenie. – Od niej? Ale... Myślałem, że już dawno zniknęła pod wzgórzem...

– Och, nie. – Shee uśmiechnęła się, zwinnie pochylając się pod zwisającą gałęzią. – Beira jedynie milczała. I czekała. Zresztą to nie ona zniknęła pod wzgórzem...

ROZDZIAŁ XXXVI

Stary wróg i nowy rekrut

To jakaś groteska – powiedział Sharp, rozglądając się po pomieszczeniach Obywatela. – Z całym szacunkiem, Saro, ale nie trzeba być Wejrzeńcem, żeby wiedzieć, że działy się tu bardzo paskudne sprawy.

Gdy zakończyli walkę i zeszła już z nich towarzysząca jej adrenalina, zapalił świece i mogli wreszcie dobrze się rozejrzeć. Stało się dla nich wówczas oczywiste, że martwe lustrzaki i krew kapiąca ze stropu na podłogę to wcale nie najgorsze, co tu zobaczą. Najgorsza okazała się druga wyłożona glazurą komnata, z kłatkami, stołem sekcyjnym i rzędami lśniących instrumentów medycznych oraz innych przedmiotów, bardziej pasujących do warsztatu rzeźnickiego.

– Eksperymentowali na tych istotach, a mogli robić jeszcze paskudniejsze rzeczy – stwierdził Hodge, którego wpuszczono tylnymi drzwiami. Archie i Jed zostali wysłani na inspekcję domu z nadzieją, że wyczują coś, co inni przegapili.

Hodge, być może z powodu swych więzi ze zwierzętami oraz domorosłej wiedzy leczniczej nabytej dzięki łataniu Jeda przez lata, natychmiast sprawdził stan Sluagh. Potwierdził, że stracił przytomność, być może na zawsze, a następnie spróbował, bardzo ostrożnie i delikatnie, zbadać usta Zielonego Człowieka, lecz nie powiodło mu się to. Amos stał obok i próbował mu pomóc, uspokajając przerażonego pacjenta.

„On chce tylko popatrzeć na twoje usta, żeby je uwolnić”.

Teriernik uśmiechnął się zachęcająco i wyciągnął z kieszeni mały nóż, wskazał własne wargi i gestami zademonstrował przecinanie szwów.

Zielony Człowiek przycisnął brodę do piersi i energicznie pokręcił głową. Amos spojrział na Hodge’a.

„Boli go. Chce być na otwartym terenie, z dala od wszystkich budynków”.

– Wiem dobrze, czego chce i czego potrzebuje. Będzie mógł znowu trafić do lasu i do głębokiej zieleni, nic trudnego – wyjaśnił Hodge. – Tyle że z tak zatrzaśniętym umysłem i zaszytymi ustami w ciągu tygodnia zagłodzi się na śmierć. Chcę mu jedynie rozciąć szwy.

„Ale on widzi tylko ostrze”.

Młody Templebane przemknął wzrokiem na instrumenty chirurgiczne.

„Chyba już za dużo się napatrzył, co mogą zrobić ostrza”.

– To dla jego własnego dobra. A kim ty właściwie jesteś? – spytał z frustracją teriernik.

Amos wyciągnął swoją tabliczkę.

– Templebane? Co, do...

– Och, litości, nie mamy na to czasu – powiedziała Sara, która odzyskała kontrolę nad sobą i wcześniejszą nietypową dla siebie utratę żelaznego opanowania rekompensowała teraz zwiększoną werwą. – Wasza czwórka zabierze Sluagh i Zielonego Człowieka do Banieluki. Kucharka zajmie się nimi wraz z Hodge’em. Przekonamy się, czy dysponują jakimiś informacjami, które mogą nam się przydać, a ty, Amosie Templebane, wytłumaczysz się później.

Podeszła do zielonoskórego, wzięła głęboki oddech i klękła przy nim, zmuszając się, żeby nachylić się bliżej

i spojrzeć mu prosto w oczy.

– Ja to mogę zrobić – rzekł Sharp.

– Owszem – odparła Falk. – Ale ja muszę.

Wyciągnęła swój pierścień. Siłą woli uspokoiła drżenie dłoni.

– Proszę cię na dąb, jesion i tarninę: spójrz mi w twarz. Spójrz mi w twarz, żebyśmy mogli ci pomóc.

Głowa powoli się uniosła i ich spojrzenia skrzyżowały się. Wzrok Zielonego Człowieka wydawał się buzować napięciem. Stworzenie wzdrygnęło się, gdy Sara wyciągnęła dłoń i pewnym gestem przyłożyła mu pieczęć do czoła. Wtedy jego oczy złagodniały, jakby na chwilę znalazły się gdzieś indziej.

– Teraz zaś na mocy Prawa i Obyczaju zaśniesz, a gdy się obudzisz, znajdziesz się w bezpiecznym miejscu z dala od miasta, blisko swobodnie płynącej wody i głębokiej zieleni. Pozwolisz sobie pomóc i się uleczyć, jeśli leczenie okaże się możliwe. Za chwilę się uspokoisz, zaśniesz i będziesz śnił o Zielonym Lesie.

Zielonoskóry zaczął kiwać głową, za każdym razem wolniej, po chwili powieki zatrzepotały mu niczym ćmy, broda opadła. Zasnął. Sara odsunęła się o krok i popatrzyła na pozostałych.

– Jestem wam winna przeprosiny – oznajmiła. – Ten Zielony Człowiek, ta... istota, ten udręczony nieszczęśnik zaskoczył mnie i... Cóż, gdybym urodziła się chłopcem, którego tak bardzo pragnął mój dziadek, powiedziałabym, że na chwilę pozbawił mnie męskości. Nie wiem, czy można mnie pozbawić kobiecości, ale efekt jest ten sam, i na chwilę stałam się tym, czym byłam kiedyś: dzieckiem. Kiedy byłam tym dzieckiem, dziadek niechcący wypuścił Zielonego Człowieka, który biegał jak szalony po domu.

Ścigał mnie i nigdy, przenigdy nie byłam tak przerażona. Haniebnie spanikowałam i...

Wzruszyła ramionami i głęboko odetchnęła.

– Sądzę, że właśnie po tamtym wydarzeniu stałam się tym, kim jestem, żeby już nigdy nie być tamtą przerażoną dziewczynką. Wydawało mi się, że jeśli spojrzę w mrok i stawię czoła temu, co się tam czai, zdołam popatrzeć z dystansu na swoje obawy. Okazało się, że nie do końca jestem kobietą, którą chciałam zostać...

– Nonsens – uznał Sharp.

– To nie nonsens, Jack. Ale jeśli już mam mieć piętę Achillesa, to lepiej, żebym zdawała sobie z tego sprawę. Może to trochę jak z tym spoglądaniem na to, co się kryje w mroku. Tak czy owak, wstydzę się okazanej słabości, ale jestem pewna, że jutro, w chłodnym świetle dnia... – Uśmiechnęła się i pozwoliła Sharpowi się podnieść, jednocześnie ściskając jego dłoń. Odwzajemnił uścisk, zanim ją puścił. – ...będę dwukrotnie bardziej zażenowana.

– Popatrzyła na Hodge'a, który udawał, że on i Jed wcale nie zauważyli tego nietypowo intymnego gestu.

– Czy możesz ich zabrać swoim powozem?

– Nie sądzę, żeby Sluagh normalnie pozwolił się przewieźć przez płynącą wodę, ale skoro jest nieprzytomny, nie powinno być problemu – odrzekł teriernik.

– Moglibyśmy przekazać go jego ziomkom, którzy czekają przy Gut – zaproponował Sharp.

– Myślisz, że to dobry pomysł? – zapytała Sara.

– Taki akt dobrej woli – odparł Sharp. – Chyba że zrozumieją go na opak.

– To Sluagh – wtrącił Charlie. – Wszystko robią na opak.

Sara skinęła głową w stronę Sharpa.

– Tylko wyjaśnij wyraźnie, że nie my to zrobiliśmy, że uratowaliśmy... to, co z niego zostało.

– Nie wiem, czy wiele zostało z wyjątkiem pulsu – stwierdził Hodge, wskazując srebrną kaniulę w wytatuowanej ręce. – Już wystarczająco zaszkodził mu ten drań, który go tu trzymał, a później tamci złodzieje wysączyli resztę. Nie mam pojęcia, jak jego serce jest w stanie jeszcze pracować, bo nie ma w nim ani kropli krwi. Jest wysuszony jak patyk na podpałkę.

Sara wezwała gestem Amosa. Wyglądał niemal równie blade jak Sluagh pod tatuażami.

– Wiesz, że nie mogę ci zaufać.

„Wiem”.

– Czego od nas chcesz?

„Schronienia”.

– Nie oferujemy schronienia – powiedział Sharp.

– Ale postąpiłeś bezinteresownie, ratując Zielonego Człowieka – stwierdziła Falk. – Zachowalibyśmy się nieodpowiednio, gdybyśmy nie odwzajemnili tej... życzliwości.

– Saro... – zaczął Sharp.

– Idź z pozostałymi. Damy ci coś do zjedzenia i bezpieczne miejsce na noc. A jeśli będziesz się dobrze zachowywał, porozmawiamy za dnia, gdy sytuacja się uspokoi – rzekła, po czym skinęła Charliemu głową.

„Dziękuję”.

Amos poczuł, że jego oczy znów robią się ciepłe i wilgotne.

„Dziękuję”.

Sharp powstrzymał się przed powiedzeniem tego, na co wyraźnie miał ochotę, po czym wzorem Sary odsunął się, gdy Hodge wynosił Sluagh. Charlie i Amos wzięli

chrapiącego Zielonego Człowieka pod pachy i za stopy, po czym ruszyli za nim. Sara wyciągnęła dłoń i powstrzymała Idę, która też chciała wyjść. Czekali w milczeniu, aż usłyszeli skrzypienie tylnych drzwi, i dopiero wtedy Falk się odezwała:

– Przekaż Kucharce jego słowa, a także powiedz jej, że wejrzałam, jak zabijał innego Templebane’a w ich domu. Jest zdolny do bardzo szybkiego i bardzo gwałtownego działania, a nie mam pewności, czy umie to kontrolować. Nie sprawia mu to jednak satysfakcji. Spytaj ją, proszę, czy wyczuwa w nim to, co ja.

– Czyli? – zapytał Sharp.

– Możliwe, że Templebane’owie wychowali w swoim gnieździe kukułcze jajo. Być może jest po słusznej stronie.

– Może też być cudownie uzdolnionym oszukańcem – uznał Sharp.

– Nie wykluczam tego – przyznała Falk. – Nie rozumiem jednak, dlaczego miałby ryzykować życie, żeby uratować taką istotę.

– Żebyśmy pomyśleli, że jest po „słusznej stronie”?

– Moim zdaniem coś jest z nim nie w porządku, ale nie jest zły – stwierdziła Ida, wzruszając ramionami.

– Przekaż Kucharce, żeby go nakarmiła, napiła i sprawdziła, co dalej – poleciła Sara. – A ty i Charlie trzymajcie się w tym czasie z dala od kuchni. Lepiej jej się pracuje bez zakłóceń.

– Pracuje? – spytała Ida.

– Kucharka potrafi wyciągać z innych informacje lepiej niż ktokolwiek – wyjaśniła Falk. – Umie wypytywać w taki sposób, że ludzie w ogóle nie zdają sobie sprawy, że wyciąga się z nich sekrety. Oceni tego młodzika znacznie wprawniej niż my.

Dziewczyna skinęła głową i umknęła.

Sharp i Sara zabrali się do przeszukiwania pomieszczeń.

– To wygląda jak sala sekcyjna – ocenił mężczyzna w czeluściach jednego z nich, przyglądając się stołowi i klatkom, a jednocześnie przejeżdżając dłonią po białych płytkach. Otworzył drzwi do dużego pieca wprawionego w ścianę. – Albo kostnica. Odradzam ci dotykane tych kafelków gołą dłonią. Myślę, że zobaczyłabyś mnóstwo bólu i krwi.

Sara przytaknęła. Klęczała przed drzwiczkami do lustrzanej szafy i obmacywała zawias, próbując sprawdzić, czy tylna ścianka również się otwiera, lecz nie.

– Zatem to tędy weszły te lustrzaki – rzekła. – Wciąż mam dreszcze na myśl o świecie kryjącym się za tym szkłem.

Sharp podszedł do niej.

– Gdy już wiem, co tam jest, nie ufam żadnemu lustru, które ostatnio mijam – przyznał. – Teraz rozumiem, że tak naprawdę działają one w obie strony, bo nie tylko my w nie patrzymy, ale i to, co znajduje się z drugiej strony, może obserwować nas. – Skrzywił się do własnego odbicia. – Równie dobrze mogą się na nas w tej chwili gapić kolejni krwiożerczy zabójcy o czarnych zębach.

– Wiem – odrzekła. – Gdybyśmy mieli czas, żeby się nad tym poważnie zastanowić, czułbyś ciarki na myśl o takiej możliwości, na szczęście go nie mamy. Popatrz, jak to jest zrobione: bardzo podobnie jak Murano. Mniejsze, prostsze, ale na tej samej zasadzie: w środku lustro, które ustawiają się równolegle do siebie, gdy drzwi są zamknięte, tutaj lichterz na światło, które zapewnia odbicie i połączenie. Nie mam pojęcia, do czego służy ten dzwoneczek na sprężynie ani ten zatrask...

– Postawmy jedną kwestię jasno, Saro: na pewno nie

wchodzimy znów w lustra. Nie bez czegoś, co pozwoli nam wrócić.

– Nie wchodzimy – zgodziła się, zsuwając rękawiczkę. – Koniec z lustrami.

– To dobrze – powiedział i zanim zdążyła go powstrzymać, wyjął wiszący u pasa nóż i użył gałki na rękojeści, żeby rozbić szkło. Sprawilo mu to wyraźną przyjemność. Odsunął się, z satysfakcją spoglądając na leżące na podłodze odłamki.

– Lepiej? – zapytała.

– Nie – odparł, chowając broń. – Ale jeśli Mountfellow lub cholerny Obywatel używali tego, żeby wchodzić i wychodzić, jak mówiły lustrzaki, równie dobrze mogą sobie tam zostać.

– Mam nadzieję, że nie będziemy tego żałować – stwierdziła, patrząc na kawałki szkła.

– Na pewno nie możemy sobie pozwolić, żeby tu sterczeć, czekając, aż wróci i da się schwytać – uznał Sharp. – Zadowolę się więc pokrzyżowaniem mu planów, a jeśli w wyniku tego zostanie między lustrami... cóż, trudno byłoby mi pomyśleć o odpowiedniejszym końcu.

Sara wzruszyła ramionami.

– Stało się. Ale wciąż zamierzam sprawdzić, co działo się w tym domu.

Delikatnie ujął jej dłoń. Spojrzeniu, jakim go zmierzyła, daleko było do łagodnego, mimo to nie wypuścił jej pozbawionych rękawiczki palców.

– Nie śmiem mówić ci, co powinnaś robić, ale chciałbym przypomnieć, że jesteś wyczerpana, nie doszłaś jeszcze w pełni do siebie po wcześniejszych przeżyciach, Wejrzenie pozbawia cię sił życiowych, nawet gdy jesteś w formie, a poza tym, skoro nasze szeregi są tak groźnie osłabione,

nie możemy sobie pozwolić, żeby kolejna osoba stała się... niedysponowana.

– Nie możemy sobie pozwolić na niewiedzę na temat tego, co się tu wydarzyło.

– Sama wiesz, że możesz mieć zapaść – odrzekł, łapiąc ją za ramię. – To dlatego odesłałaś pozostałych. Nie chciałaś, żeby cię widzieli, jeśli tak się zdarzy.

– Cóż – powiedziała po dłuższej chwili. – Tobie pozwoliłam zostać.

– Saro. Nie musisz odbywać pokuty tylko dlatego, że widok Zielonego Człowieka zaskoczył cię w chwili słabości i przywołał wielki stres z dzieciństwa.

– Nie odbywam pokuty – odparła, cofając się o krok, choć nie przestał jej trzymać. – Wykonuję swoją pracę. Zamierzam dotknąć ścian. Wiesz dobrze, że ćwiczyłam, żeby ograniczyć Wejrzenie, i w pewnym stopniu potrafię je kontrolować, sterować nim w poszukiwaniu zawartych w kamieniach wspomnień, które są powiązane z moimi niepokojami. Nie działa to w pełni precyzyjnie, ale zdołam, jeśli tylko pozwolisz mi zachować spokój i nie będziesz mnie rozpraszać, kierować przepływem przeszłości i wykorzystywać jej jako narzędzie śledcze.

– Ale bardzo wiele cię to kosztuje. To...

– To dlatego chcę to zrobić, dopóki wciąż czuję w sobie energię. Wejrzę, żeby sprawdzić, kto tu był i czy da nam to jakieś wskazówki co do dalszego postępowania. Mam wielką nadzieję, że zostaną mi oszczędzone przebłyski wydarzeń z tej komnaty tortur za naszymi plecami, ale jeśli nie, całkiem prawdopodobne, że ponownie zapoznam nas z tym, co jadłam na kolację. Przepraszam zatem z góry za wszelkie nieprzyjemności, jakich możesz doświadczyć, i radzę ci, żebyś w tym czasie trzymał się za mną, żeby

oszczędzić sobie konieczności czyszczenia butów.

– Saro... – zaczął cicho.

Przerwała mu ostrym ruchem głowy.

– Jeśli upadnę, złap mnie. Ale na razie bądź tak miły, przestań mnie trzymać i pozwól działać.

ROZDZIAŁ XXXVII

Gałązka i rów

Issachar Templebane wszedł do zalanego księżycowym blaskiem sadu i słuchał kościelnego zegara niemal wybijającego w oddali godzinę trzynastą. Był to kaprys kiepskiego dostrojenia mechanizmu, wskutek czego młotek delikatnie muskał dzwony po każdej serii uderzeń, zamiast od nich odskoczyć, co oznaczało, że zawsze następowało dodatkowe, słabsze stuknięcie. Była to miejscowa ciekawostka, którą wszyscy przestali już zauważać, ale Issachar zawsze na nią czekał. W jego myślach ten niepełny dźwięk był niczym cień północy. Symbolizował dla niego dodaną wartość rzeczy, kolejny wymiar, te aspekty świata, których inni nie dostrzegali lub w które nie wierzyli, podczas gdy on zawsze badał je i wykorzystywał do swoich celów.

– Nie boisz się – powiedział ktoś skryty w ciemności przy poskręcany mniu.

– Oczywiście, że się boję – odparł Issachar, przystając. – Ale co z tego? Tylko głupiec nie bałby się mroku.

– I tego, co się w nim kryje – dodał głos.

– W istocie.

– A jednak ten czy inny spośród twoich synów nie pilnuje cię już z naładowaną bronią podczas spacerów – oznajmił Sluagh, odsuwając się od drzewa, o które się opierał. – Nie nosisz żelaza.

– Nie chcę, żeby moi synowie wiedzieli o wszystkich moich interesach, i jestem świadom, że kontakt z żelazem

nie jest już dla was nieprzyjemny. Po co miałbym zatem nosić coś, co przestało działać?

– Jakich interesach? – spytał Sluagh. – Nie potrzebujemy już twoich interesów. Flaga, którą chciałeś nam przehandlować, zniknęła. Zostaliśmy uwolnieni. Możesz nam się przydać już tylko do jednego...

– Każdy potrzebuje porządnego pośrednika. Nie oszukałem was ani nie zwiódłem.

– Nie zdobyłeś dla nas flagi.

– To, że wzięliście ją samodzielnie, nie jest moją winą – rzekł Issachar. – Dostarczyłbym ją wam. Gratuluję wam sukcesu, ale pozostaje prawdą, że was nie zawiodłem i w zasadzie to wy nie dopuściliście do wykonania przeze mnie mojej części umowy, bo się pospieszyliście.

– Pospieszyliśmy? Wzięliśmy to, co nasze!

– A czy macie Mountfellona?

Nastąpiła krótka chwila niemal zupełnej ciszy, po czym kolejna plama cienia oddzieliła się od ciemności i przemieniła w Sluagh z czaszką borsuka na czole.

– To jest ta jedna rzecz. Co wiesz o Mountfellonie?

– Wiem, że zniszczyliście jego kolekcję. Świadczyło to o wielkim wzburzeniu. Widziałem szkody. Czulem wasz gniew.

– Obdarł jednego z naszych ze skóry i potraktował jego kości jako ozdobę – warknął Czaszka Borsuka. – Zemścimy się na nim.

– Nie zemścicie, jeśli nie uda wam się do niego dostać – oznajmił Templebane. – A nie uda.

– Nie ukrywa się już za żelaznymi sztabami – burknął Czaszka Borsuka.

– Nie – odparł Issachar, przestępując rów i urywając gałązkę jabłonki. – Czy wiecie, co to jest?

– Gałązka.

– Jaka?

– Z jabłonki.

– Co jeszcze?

– A musi być coś jeszcze? – spytał Czaszka Borsuka. – Patyk to patyk.

– To braddick nonpareil. Mój brat Zebulon lubił tę odmianę jabłek. Zwykł mawiać, że jedzenie ich jest jak wgrzyzanie się w samą starą Anglię – rzekł Issachar, obracając gałązkę między palcami. – Ale wygłaszał czasami takie rzeczy, był rodzinnym dziwakiem. Na pewno mają intensywny smak, trochę jak skwaśniały miód. Nie tak zły, jak można by sądzić.

– I to ma mnie obchodzić? – spytał Sluagh.

– Nie ma – odrzekł Issachar. – Wskazuję jedynie, że wiem o rzeczach, o których ty nie wiesz.

– O bezużytecznych rzeczach, które interesują jedynie takiego żerującego w świetle robala jak ty.

– Och, ależ żadna wiedza nie jest bezużyteczna. Każda informacja ma gdzieś dla kogoś jakąś wartość. Ja zaś zajmuję się właśnie handlem wiedzą. Od zawsze to robiliśmy. W twoich oczach możemy być żerującymi w świetle robalami, ale Templebane’owie od dawna prowadzą interesy ze Sluagh. Dajemy wam informację za informację, pomoc za pomoc.

Czaszka Borsuka i jego kompan wpatrywali się w Issachara w świetle księżyca. Panowała cisza i nawet listek nie poruszał się w nieruchomym powietrzu. Coś w zachowaniu Templebane’a powstrzymało Sluagh z borsuczą czaszką przed poproszeniem go o pomoc, choć właśnie z tego powodu przybył. Nie chodziło o to, że mu nie ufał – choć tak właśnie było – a raczej o to, że po dobieciu

każdego targu z Templebane'ami miał wrażenie, jakby się nim zabawiali. Przyszło mu do głowy, że może powinien go po prostu zabić i pozbyć się problemu. Może plan Herna nie był taki zły. Przypomniawszy sobie jednak Shee i zamiast skoczyć na tłuściocha z klingą, zaczął się zastanawiać. Jedynymi słyszalnymi odgłosami był cichy szmer w rowie i skrzeczenie jakiegoś małego stworzenia w lesie wzdłuż drogi. Issachar czekał niewzruszony pod ciężarem spojrzeń Sluagh.

– Boisz się – oznajmił po chwili Czaszka Borsuka. – Nie usprawiedliwiłbyś się, gdybyś nie próbował przekonać mnie o swojej przyjaźni.

– Oczywiście, że się boję, ale to nie powód do wstydu, nie jestem też twoim przyjacielem – odparł bezceremonialnie Templebane. – Jestem natomiast dla was czymś znacznie bardziej przydatnym i wiarygodnym: pośrednikiem.

– Pośrednikiem?

– Pośrednikiem, stręczycielem, brokerem, łącznikiem, nazywaj to sobie, jak chcesz. Mogę zdobyć dla was to, czego sami nie zdołacie. Również rzeczy, o których jeszcze nie wiecie, że ich potrzebujecie.

– A co takiego sprzedajesz, czego mielibyśmy akurat teraz potrzebować?

– Informację – odrzekł Issachar. – Wiedzę. Oferowaną, jak już mówiłem, przez szczerego pośrednika.

– „Pośrednika”, powiadasz – wychrypiął Czaszka Borsuka, po czym splunął z pogardą na posrebrzoną przez księżyc trawę. – Złamałem Prawo Żelaza. Nie potrzebuję cię.

– No to złam tę gałązkę – zaproponował Templebane, wyciągając patyk. – Skoro złamałeś Prawo Żelaza i uważasz, że z tego powodu nie potrzebujesz ani mnie, ani tego, co

mogę dla ciebie zrobić, wówczas złam to.

Sluagh parsknął.

– Nie jestem tu, żeby bawić się w gierki.

– No to złam patyk i dowiedz tego.

– A może złamię go, a później wsadzę ci obydwie części w uszy? – rzucił Czaszka Borsuka. – Mógłbym to zrobić, wiesz przecież. Choćby za to, że przyjaźnisz się z Mountfellowem.

– Nie jestem mu przyjacielem. Nasza relacja miała charakter czysto zawodowy. Skoro jednak wciąż uważasz, że ci się uda, proszę bardzo: oto gałązka, a tu są moje uszy do twojej dyspozycji.

Czaszka Borsuka podszedł o krok z wyciągniętą ręką, lecz zatrzymał się nagle. Próbował iść dalej, ale jego ciało się buntowało. Burknął z frustracją, po czym spojrzał na wąski rów biegnący między nimi.

– Żelazo już ci nie przeszkadza, ale nie możesz pokonać biegnącej wody – stwierdził Issachar.

– Nie mówisz mi nic, o czym bym nie wiedział – warknął Sluagh.

– A jednak sądziłeś, że zdołasz złamać tę gałązkę.

– A ty sądzisz, że naśmiewanie się z nas jest mądre lub rozsądne?

Czaszka Borsuka uniósł dłoń. Cienie poruszyły się, zafalowały i przemieniły w grupę Sluagh otaczających fragment sadu po drugiej stronie rowu.

Issachar zdusił zimne ukłucie strachu, który przebiegł mu po grzbiecie na widok tyłu wędrowców nocy w tak niewielkiej odległości. Wiedział, że nie będzie wiecznie bezpieczny po swojej stronie wody i że Sluagh dysponują własnymi krętymi, pradawnymi ścieżkami, które wcześniej czy później doprowadzą go do niego. W zasadzie za jego

plecami mogło się czaić w ciemności jeszcze więcej wędrowców nocy, byłoby to bowiem w ich stylu: z góry zaplanować manewr kleszczowy i z wyprzedzeniem wysłać część sił inną trasą.

Mając to na uwadze, a także pamiętając, że losy domu Templebane'ów są obecnie na fali opadającej, zrobił coś, czego zwykle ostrożny pośrednik nie czyni nigdy, chyba że uważa to za absolutnie niezbędne i nieuniknione. Uczynił to, wiedząc, że jeśli nie dostosuje się do nowej sytuacji powstałej po swoim nieudanym zamachu na Nadzór oraz po złamaniu przez Sluagh Prawa Żelaza, i tak będzie zgubiony.

Przestąpił rów i włożył Czaszce Borsuka gałązkę w dłoń.

– Dlaczego? – spytał ten. – Dlaczego sądzisz, że nie zrobię tego, co powiedziałem?

– Ponieważ nie jesteś głupcem – odparł Issachar. – Po prostu na chwilę zapomniałeś o dostrzeganiu czegoś istotnego. Wszyscy popełniamy takie małe pomyłki. Rzecz w tym, żeby wówczas dostosować się do sytuacji i je naprawić.

– Mógłbym nie być głupcem, a mimo to cię zabić – oznajmił Sluagh, spoglądając na patyk.

– Nie zabijesz mnie. Pozwolisz, żebym dał ci prezent. A później dobijemy targu. Zupełnie jak za dawnych czasów.

– Nie potrzebuję żadnego prezentu.

– To tylko drobna informacja. Mój wkład w nasz układ, że tak powiem. Chodzi o bieżącą lokalizację Francisa Blackdyke'a, wicehrabiego Mountfellow.

– Jest w Gallstaine Hall, chroniony przez płynącą wodę, której nie możemy przejść – wychrypiał Czaszka Borsuka, odrzucając gałązkę i chwytając Templebane'a za gardło. – Powiedz mi coś, czego nie wiem, a może przeżyjesz.

– Nie musisz dopadać go w Gallstaine – rzekł Issachar głosem, który zaczynał się łamać. – Twój pośrednik dysponuje środkami, za pomocą których może go wywabić na otwarty teren, poza schronienie, i uczynić zdanym jedynie na twoją łaskę.

Na chwilę zapadło milczenie. W tym czasie Templebane wybałuszał oczy, tracąc dech, a Czaszka Borsuka wpatrywał się w nie, nie zwalniając chwytu.

– Możesz to zrobić? – wysyczał w końcu Sluagh, puszczając mężczyznę.

Issachar z trudem zaczerpnął powietrza, a następnie wyprostował się i wyciągnął dłoń, drugą masując się po szyi.

– Dawny układ. Zapłata tą samą monetą, pomoc za pomoc, a gwarancją jest, jak zawsze, moje słowo.

– Czyli jednak zamierzasz zdradzić Mountfellona – skomentował Czaszka Borsuka.

– Nie. To on mnie zdradził. Ja mu jedynie odpłacam. Jak mówiłem, zapłata tą samą monetą...

– Mountfellow pragnie potęgi – wszedł mu w słowo Sluagh. – Czego ty chcesz?

– Ochrony przed Nadzorem. Uważają, że próbowałem ich zniszczyć. Nie sądzę, żeby wiedzieli, gdzie przebywam, zresztą przy swoim obecnym mizernym stanie osobowym raczej nie zdołają działać daleko poza Londynem. Kiedyś jednak po mnie przyjdą.

– A czy próbowałeś ich zniszczyć?

– Oczywiście – odparł Templebane. – Stawali się przeszkodą w moich uczciwych interesach.

Czaszka Borsuka wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Cóż, nie mogę cię za to winić. Ale czego jeszcze chcesz, pośredniku? W imię czego pragniesz przetrwać?

– Chcę, by wielcy ludzie i głupcy po omacku sięgali po to, co uważają za potęgę, podczas gdy ja będę czerpał z tego zysk. Jeśli bowiem historia mojej rodziny o czymś świadczy, to o tym, że wielcy i omamieni potęgą przychodzą i odchodzą, ich moc i bogactwo zwiększają się lub zmniejszają, lecz pośrednicy pozostają. A informacje zawsze są pożądane.

Sluagh wyciągnął rękę i chwycił jego dłoń.

– Dawny układ – oznajmił. – Zapłata tą samą monetą, pomoc za pomoc, jeśli doprowadzisz nas do Mountfellona.

– Dotrzemy do Mountfellona, dając mu to, czego według siebie pragnie – powiedział Issachar, ściskając zimną dłoń Sluagh. – A całkiem możliwe, że przy okazji zadamy Nadzorowi śmiertelny cios.

ROZDZIAŁ XXXVIII

Pogwałcenie

Sara szła przez dom, muskając dłonią kamień i tynk. Przystawała co jakiś czas, by przesiać fragmenty zapisanej w ścianach przeszłości. Była to wyczerpująca czynność, wymagająca zachowania spokoju niezbędnego do wytyczenia ścieżki przez trójwymiarowy labirynt pełen paskudnych niespodzianek, które mogły wyskoczyć na człowieka w najmniej spodziewanym momencie.

Niemal od razu utwierdziła się w przekonaniu, że Obywatel gościł tu przez dłuższy czas. Sharp zareagował na tę wieść przekleństwem i był to pierwszy raz, kiedy słyszała z jego ust plugawe słownictwo. Ją samą również zbulwersowało, że ich największy wróg, człowiek odpowiedzialny za śmierć jej rodziców oraz osiemdziesięciorga trojga ich towarzyszy, zaszył się w ich mieście, a oni nie mieli o tym pojęcia. Proces kontrolowanego Wejrzenia wymagał jednak spokoju myśli, odsunęła więc tę kwestię do przeanalizowania później.

Na wysokim pierwszym piętrze trafili do małego saloniku o szybach z mlecznego szkła, dzięki którym Mountfellow zabezpieczał swą prywatność. Na drewnianym parkiecie stał elegancki szeslong tapicerowany bladnoróżowym jedwabiem, pod jedną ze ścian umieszczono regał z książkami, na innej zaś powieszono wielki obraz lub lustro, osłonięte ciemną tkaniną, która kojarzyła się z całunem.

– Ten pokój jest przyjemniejszy – rzucił Sharp.

– Nie – wycedziła przez zęby Sara, wciąż przesuając dłonią po tynku. – Nie jest.

Czas przeskoczył i wgrzył się w nią, gdy znalazła najbardziej wyraziste pasmo historii pomieszczenia zapisane w ścianach.

Sara zeszywniała, gdy wejrzała w noc rozjarzoną blaskiem świec.

Młoda kobieta siedziała na szezlongu, myśląco ustawionym w zupełnie innym miejscu saloniku, pod dużym lustrem w ramie ze złożonego drewna, odbijającym liczne ogniki.

Jej blond włosy ułożone były w sposób, który wyszedł z mody ponad dwie dekady temu. Miała na sobie błękitną suknię, dobrze prezentującą się na jasnoróżowej tapicerce.

Czytała.

I nagle czas przeskoczył. W pomieszczeniu znajdował się mężczyzna, wysoki, młody, ciemnowłosy. Uśmiechnął się i usiadł obok niej, ostrożnie wyjął książkę z jej dłoni i zastąpił ją kieliszkiem szampana.

Sara zachłysnęła się, gdy ujrzała jego profil.

Młody Mountfellow.

A później oboje siedzieli wygodnie obok siebie, świece stały się niższe, on zaś otwierał drugą butelkę szampana.

Roześmiali się, gdy korek odbił się od ściany i głośno stuknął w drzwi.

– Służba – powiedziała dziewczyna ze śmiechem.

– Zamknąłem drzwi. – Uśmiechnął się. – Nikt nas nie zaskoczy.

Napełnił najpierw jej kieliszek, a później swój.

– Kocha mnie pani? – wyszeptał.

Sara poczuła się nieczysto, obserwując tę intymną chwilę. W oczach młodej kobiety, rozpalonych wyraźną

łobuzerską iskrą, jaśniało uczucie.

– Ależ, lordzie Mountfellon! – odparła. – Wie pan, że darzę pana najwyższym afektem.

– Proszę nie żartować. Kocha mnie pani?

– Francisie – rzekła, wciąż ciepło na niego spoglądając.

– Kocha? – spytał bardziej żarliwie. Sara zaś dostrzegła w jego oczach płomień, jednak odmienny, okalający je i sprawiający, że wydawały się nieprzyjemne.

On się odwraca i znów napełnia jej kieliszek.

Niezauważenie dosypuje proszek.

A czas przeskakuje.

Młoda kobieta odsuwa się. Niedaleko, zaledwie na szerokość dłoni.

Śmieje się, opierając się o poręcz szezlongu, a on, już poważny, wychyla się ku niej.

Czas kolejny raz przyspiesza

i on jej dotyka.

A ona się nie śmieje.

Mruga zbyt często i zbyt nienaturalnie. Zarumieniła się.

Przyciska ciało do poręczy szezlongu, mówi coś, próbuje bagatelizować sprawę.

– Nie – rzecze. – Francisie. To wino. Czuję się trochę...

Jego śmiech nie jest już młody, wesoły ani miły.

– To ci nowi przyjaciele – powiada on. – Ta grupa, ta sekta, do której pani wstąpiła, której przeklęty pierścień pani nosi.

– Nic pan o nich nie wie. – Ona śmieje się przymilnie. – Poza tym pan, człowiek nauki, osądza bez obserwacji? Z pewnością to nieodpowiednia praktyka...

– Proszę ze mnie nie kpić – mówi on, wydymając wargi. – Nie zamierzam przeproszać za to, że jestem racjonalistą o otwartym umyśle, próbującym zrozumieć świat fizyczny.

Jeśli Towarzystwo Królewskie było dostatecznie dobre dla Newtona, to jest takie i dla mnie. W odróżnieniu od tej przeklętej sekty szarlatanów.

Unosi jej dłoń. Obraca ją brutalnie, żeby pokazać jej pierścień.

– Francisie – odzywa się ona, starając się zachować pogodny ton – sprawia mi pan ból. To nie sekta, to Wolne Bractwo.

– Jak może być wolne, jeśli nie pozwala pani opowiadać mi o sobie...?

– Nie mogę. – Zmusza się do śmiechu, a w jej głosie w miejsce ciepła pojawia się coś, co przypomina strach.

– Pragnę cię – mówi on, wyciągając ku niej dłonie.

Niewielka eksplozja szkła u jej stóp.

To jej kieliszek upuszczony na parkiet.

– Nie, Francisie!

Dziewczyna spogląda na okruchy, a następnie na swoją dłoń, jakby zaskoczona, że naczynie jej się wyslizgnęło.

– Co zrobiłeś?

Na jego twarzy widnieje grymas udający uśmiech.

– Nie tylko ty masz sekrety.

Ona trzykrotnie kręci szybko głową, jakby próbowała otrząsnąć się z otępienia.

Czas przeskakuje. Sara zachłystuje się.

– Nie, Francisie – mówi kobieta.

Materiał się rwie.

– Nie... nie... proszę... To nie w porządku...!

– To w porządku – warczy on. – W moim porządku!

Guziki upadają z brzękiem na podłogę.

A ona się szarpie.

Kopie go.

Wyrywa mu rękę.

Wymierza cios. Mocno.

On odrzuca głowę do tyłu.

Sara widzi, jak pięść trafia w złocone drewno na poręczyszczelngu. Słyszy trzask, gdy kamień w pierścieniu pęka.

Widzi rysę na drewnie.

Mountfellowon się śmieje.

I gwałtownie przerywa, gdy jej drugi cios wbija mu się w policzek.

Muśnięcie.

Zostawia czerwoną bruzdę.

Pęknięty pierścień ryje krwawy ślad na boku jego nosa.

On warczy.

Czas znowu skacze.

Ciężar i siła przeważały.

Sara nie może zamknąć oczu, choć bardzo próbuje. Tkwi w nieubłaganym chwycie wejrzanej chwili.

Spośród wszystkich złych rzeczy, które widziała dzięki swojemu darowi, ta jest najgorsza.

Nie sam fizyczny gwałt.

Lecz spojrzenie dziewczyny.

Początkowe niedowierzanie, zszargana niewinność, miłość gasnąca, gdy on...

I wtedy czas przemyka dalej.

Tym razem litościwie.

Świece już się wypaliły i tylko nieliczne rzucają znacznie słabsze światło.

On siedzi w oddali na krześle. Czyści się z krwi.

Chłodno obserwuje, jak jej palce nieskładnie starają się dopasować guziki do rozerwanych dziurek.

Dziewczyna cierpi.

Jest przerażona.

Ale dzieje się z nią też coś jeszcze i cokolwiek to jest,

rozgrywa się na oczach Sary.

– Proszę otworzyć drzwi – mówi spokojnie.

– Chyba złamała mi pani nos – odpowiada on z równym opanowaniem.

Ona patrzy na swój pierścień. Jest pęknięty. Brakuje połowy krwawnika.

– A pan zniszczył mój pierścień.

Nie obchodzi jej to.

– Co wsypał mi pan do szampana, żeby mnie tak zamroczyć?

– To nie ma znaczenia – odpowiada on.

– Chyba istotnie nie ma. Proszę otworzyć drzwi, milordzie.

On sięga po jej dłoń. Zważywszy na okoliczności, uśmiech na jej twarzy wydaje się groteskowy.

– Nie, dopóki nie nazwie mnie pani znowu Francisem. Proszę. Nie było tak źle...

Ona odsuwa się o krok.

– Nazwę pana znowu Francisem – mówi rzeczowo i spokojnie – ale dopiero gdy wrócę i sprawię, że pańskie serce przestanie bić, podobnie jak pan zabił moje.

Podchodzi do szeszlony, przestępuje go i wykonuje kolejny krok

w lustro

i znika w jego tafli.

Mountfellow podrywa się z krzesła, które upada z trzaskiem, i staje jak wryty w otępieniu.

– Jak? – wykrztusza, podszedłszy niepewnie do lustra i położywszy dłoń na gładkiej powierzchni. – Ale... jak?

Sara widziała każdy szczegół jego twarzy, wyraźnie odbity w lustrze.

Rzadko można obserwować moment transmutacji, kiedy

to życie przechodzi z jednego stanu w inny, ona zaś widziała właśnie dwie takie chwile w dwóch bolesnych odłamkach przeszłości.

Widziała pogwałconą i utraconą niewinność, zastąpioną kategorię pragnieniem zemsty.

Teraz zaś patrzyła na oczy gwałciciela, gdy jako samozwańczy człowiek nauki otrzymał niezbity dowód na istnienie innych zasad podważających system, na podstawie którego jego zdaniem funkcjonował świat.

Zamrugął, pojmując, że racjonalizm, w który dotychczas wierzył i który był jego zdaniem fundamentem wszechrzeczy, stanowi zaledwie pierwszą warstwę rzeczywistości, pod którą kryje się druga, będąca w istocie tajemniczą maszyną rządzącą wszechświatem.

Sara obserwowała pracę umysłu, który wpadł w konwulsje i próbował nie uznać się za obłąkany. Była świadkiem narodzin obsesji.

Młodego Mountfellona zmienił szok.

Nie wyglądał już na oszołomionego i zdumionego, ale na łapczywego.

Jego oblicze ukształtowało się na nowo, ukazując teraz dręczące go pragnienie, żeby przejąć kontrolę nad światem ponadnaturalnym i całym napędzającym go mechanizmem.

I nagle Wejrzenie dobiegło końca, przeszłość przestała napierać na Sarę. Kobieta poczuła, jak Sharp łapie ją za ramiona, i pozwoliła sobie na tę krótką chwilę przyjemności, gdy ją podtrzymywał.

Wreszcie skinęła głową i odwróciła się ku jego zmartwionej twarzy.

– Co? – spytał.

Potrzebowała czasu, żeby przyswoić to, co widziała, i pojąć konsekwencje incydentu sprzed lat. Podeszła do

szezlongu, teraz ustawionego prostopadle do dawnej pozycji. Pochyliła się i przyjrzała złoconemu tyłowi mebla, przejechała po nim dłonią w rękawiczce i odnalazła wyszczerbienie w miejscu, gdzie kobieta złamała pierścień.

Wskazała osłoniętą ramę na ścianie.

– Czy wiesz, co to jest? – zapytała.

– Obraz?

– To lustro.

Podszedł i zadarł materiał, odsłaniając zwierciadlaną powierzchnię. Puścił tkaninę, pozwalając, by opadła.

– Równie dobrze można je... – zaczął.

– Jack – odezwała się Sara – chyba wiem, kim jest Lucy Harker.

Stał przy niej, trzymając jej dłoń na ramieniu, gdy opowiadała.

A kiedy skończyła, pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Czyli... Mountfellow jest jej ojcem?

– To możliwe. Zgwałcił młodą kobietę. Nosiła ona pierścień, zniszczony pierścień, który Lucy nam pokazała, mówiąc, że to jedyna rzecz, jaka jej została po matce...

– Sądzisz, że Lucy wie?

– Nie – odparła. – Nie. Raczej nie.

– Chodźmy do domu – zaproponował. – Możemy tu wrócić, kiedy tylko zechcemy, ale teraz jesteś zmęczona.

– Tak. Chyba jestem. I chcę zobaczyć, co Kucharka myśli o tym Amosie Templebanie.

– Uważasz, że możemy go wykorzystać?

– Chcę wiedzieć, czy według niej możemy mu zaufać. Bo jeśli tak, to może pomóc nam dostać się do głowy Corama, skoro tobie i Hodge'owi się nie udało.

– To ryzykowne – uznał Sharp.

– Obecnie wszystko jest ryzykowne. To dlatego

potrzebujemy dobrej oceny sytuacji. A nikt nie potrafi oceniać lepiej niż Kucharka.

Opuścili dom drzwiami frontowymi.

– Zostaw je otwarte – powiedziała Sara, myśląc o rozmowie z Idą. – Jeśli Mountfellona ktoś ograbi, tym lepiej. Co prawda nie sądzę, żeby ktokolwiek odważył się tu wejść główną bramą, ulica jest przecież uczęszczana, ale dzięki temu będziemy mogli bez problemu wrócić jutro, jeśli pojawi się taka potrzeba.

Wyszli na chodnik i szybko zniknęli w jednej z bocznych uliczek, kierując się na wschód.

Nie zauważyli Zmory.

Kobieta obserwowała wejście, odkąd odkryła po przebudzeniu, że Amos opuścił stanowisko. Gdy tylko nieznajomi zniknęli jej z oczu, przemknęła po kocich łbach i dowiodła, że ocena Sary była całkowicie niesłuszna – otworzyła bowiem drzwi i wślizgnęła się do środka, niemal przez nikogo niezauważona.

Na jednym z wyższych pięter budynku naprzeciwko dziewczynka o bladej twarzy siedziała na swym zwykłym miejscu, z nosem przyciśniętym do szyby sypialni. Gdyby ktokolwiek prócz niej w domu nie spał, być może opowiedziałyby, co widziała, ale tak nie było, ziewnęła więc i patrzyła dalej.

Zmora stanęła na środku wysokiego holu i nasłuchiwała przez dłuższy czas. Budynek okazał się cichy jak grób. Następnie zaczęła przeszukiwać wnętrze od piwnicy po strych, poruszając się bezszelestnie niczym duch. Uzbroidła się w paskudny nóż sekcyjny z gabinetu Obywatela. Później stanęła przed jedynym pomieszczeniem, do którego jeszcze nie zajrzała.

Ostrożnie uchyliła drzwi do saloniku z osłoniętym

lustrem i stanęła w progu, ściskając w dłoni nóż.

ROZDZIAŁ XXXIX

Noc i mocny porter

Psi powóz zwolnił, dojeżdżając do mostku nad wąskim kanałem o stromych brzegach oddzielającym Wyspę Psów od reszty Londynu. Hodge poluzował nóż przy pasie. Po nagłym odciążeniu resorów poznał, że Ida cicho zeskoczyła z tylnej części wozu. Na skraju pola widzenia wychwycił błysk, gdy odbiegała na bok, by zająć pozycję w cieniach, z dobrym widokiem na miejsce, gdzie trzej Sluagh pełnili swoją zwyczajową już wartość.

Trzeszczenie resorów odpowiedziało mu, że Charlie również zsiadł. Miał rację – po chwili chłopak zaczął iść obok pojazdu.

– Teraz spokojnie – mruknął Hodge. – Nie pokazuj broni. Nie chcemy ich prowokować. I tak będzie nerwowo.

Nie do końca był przekonany do koncepcji zaprezentowania Sluagh poważnie okaleczonego i zmaltretowanego przedstawiciela ich plemienia. W obecnej sytuacji nawet drobiazg mógł doprowadzić do gwałtownej reakcji, jeszcze zanim obie strony zdążyłyby przekazać wyjaśnienia bądź ich wysłuchać. Wiedział jednak, że ziomkowie zdołają zająć się poszkodowanym lepiej, niż on potrafił, a poza tym miał poważne wątpliwości, czy ponadnaturalna istota przetrwałaby przejście nad płynącą wodą. Specyfika zakazu polegała na tym, że Sluagh nie mogli przekraczać wody dobrowolnie, natomiast jeśli zostali zaproszeni lub przeniesieni przez strumień przez kogoś odpowiedniego, odczuwali znaczny

dyskomfort, lecz przeżywali. Hodge był teriernikiem, równie bezlitosnym w stosunku do swoich naturalnych wrogów jak Jed względem szczurów, miał jednak w sobie również łagodność typową dla człowieka, który spędził całe życie w otoczeniu zwierząt, i nienawidził niepotrzebnego okrucieństwa i cierpienia. On również przybył do zniszczonej Kryjówki w takiej chwili, że usłyszał rzenie płonącego konia, i sympatia, którą poczuł do Idy, zrodziła się z – podobnej jak w jej przypadku – niezgody na takie bestialstwo. Sluagh byli odwiecznym wrogiem, ale ten konkretny został brutalnie potraktowany. Jed nienawidził szczurów, niemniej zabijał je czysto. Z tym Sluagh tak nie postąpiono.

Mężczyzna pociągnął więc za wodze, zaciągnął hamulec, wstał i spojrział w stronę miejsca, gdzie stacjonowali nocni wędrowcy. Szeroko rozłożył ręce.

Jed, siedzący na ławce obok niego, zaskamlał. Teriernik usłyszał odpowiedź Archiego, który, co zauważył z zadowoleniem, był już na tyle zdyscyplinowany, że trzymał się blisko nóg swego pana. Choć dopiero co przestał być szczeniakiem, szybko się uczył.

– Musimy porozmawiać – powiedział w mrok. – Nie mam złych zamiarów, a to, co chcę przekazać, może przynieść dobro i wam, i waszym pobratymcom. Ponegocjujmy.

Ciemność milczała. Gdzieś w oddali lokomotywa toczyła się z brzękiem po torach, zbliżając się do Doków Zachodnioindyjskich, ale poza tym panowała taka cisza, jaka możliwa była tylko na wschodnim skraju miasta.

– Halo? – rzekł, wpatrując się ślepo w czerń, zupełnie jakby mógł cokolwiek dostrzec. W rzeczywistości tkwił w głowie Jeda i spoglądał za jego pośrednictwem. – Jest tam kto? Mamy w powozie jednego z waszych, rannego, choć

nie my go skrzywdziliśmy. Potrzebuje pomocy, a wy zaopiekujecie się nim lepiej niż my.

Nikt nie wyszedł. Cienie pozostały cieniami.

– To żaden podstęp – ciągnął. – Potrzebuje pomocy, i to raczej pilnie.

– Archie ich nie wyczuwa – oznajmił cicho Charlie.

– Mmm – odparł Hodge. – Jed też nie. No dalej, pieski. Szukajcie ich.

Jed odbiegł od powozu i zniknął w ciemności. Archie pędził tuż za jego ogonem.

Ida podeszła do pojazdu z kuszą opuszczoną ku ziemi.

– Nie ma ich tu. Inaczej bym ich dostrzegła.

Psy wypadły z mroku i wskoczyły z powrotem na wózek.

Amos siedział między nieprzytomnymi Zielonym Człowiekiem i Sluagh, skupiając wzrok na ciemności, jak pozostali.

„Jesteście pewni?”

Hodge odwrócił się do niego.

– Tak to jest ze Sluagh: zawsze pojawiają się, gdy się ich najmniej spodziewasz, i nigdy ich nie ma, gdy są potrzebni. A teraz ty i Charlie trzymajcie tego, którego tu mamy, bo przy przejeżdżaniu przez wodę pewnie będzie nim rzucało jak rybą na brzegu.

Pyefinch i Ida wsiedli z powrotem do powozu, a Sluagh wcale nie rzucało, ponieważ Hodge jechał najszybciej, jak zdołał. Nieszczęsna istota jedynie wzdrygnęła się i wydała z siebie odgłos będący czymś pomiędzy jękiem a skrzekiem, po czym znieruchomiała.

– Jak mi poszło? – spytał teriernik, obracając się.

Ida przyłożyła dwa palce do wytatuowanej szyi.

– Wciąż żyje, ale ma puls jak pisklę. Myślę, że wkrótce nas opuści.

Amos spojrział na ściągniętą twarz pokrytą zniechęconymi malunkami i próbował poczuć sympatię, którą najwyraźniej dzielali pozostali. Odezwało się w nim jedynie ukłucie strachu oraz silne pragnienie, żeby wysiąść z powozu i oddalić się od Sluagh.

Pięć minut później jego życzenie się spełniło. Psi powóz zatrzymał się przy Banialuce i Kucharka wyszła im na spotkanie, niosąc osłoniętą latarnię. Amos pomógł Charliemu i Idzie przenieść Sluagh do wyłożonego drewnem ciepłego pomieszczenia przy kuźni. Po obydwu jego stronach stały cztery piętrowe łóżka, a na końcu pokoju, ukryte za drzwiami przesuwными, znajdowało się jeszcze jedno posłanie. Położyli wytatuowane stworzenie na jednym z dolnych materaców.

Następnie Ida zabrała Amosa do kuchni i posadziła go w przyjemnym ciepłe paleniska, Kucharka zaś poszła przyjrzeć się rannemu Sluagh. Dziewczyna milczała, gdy czekali, obserwując poczynania kobiety. Ta wróciła pospiesznie i zabrała swoją skrzynkę z lekarstwami, cmokając niecierpliwie i marszcząc chmurnie brwi. Gdy tylko wyszła po raz drugi, Ida przemknęła przez pomieszczenie i odkroiła klin z solidnego kręgu sera leżącego na szafce. Przełamała go i podała kawałek Templebane'owi.

– Ser z Cheshire – powiedziała. – Kruszy się, ale jest dobry.

Wziął go i przyglądał się dziewczynie, która usiadła na krześle opartym o palenisko i zaczęła jeść. Wgryzł się w swój kawałek i uświadomił sobie, jak bardzo jest głodny.

„Dobry”.

– Mówiłam – odparła, puszczając oko. – Tylko nie wspominaj Kucharce. Stanowczo nie pozwala nam brać

jedzenia za swoimi plecami.

„Dziękuję”.

Skinęła głową, uśmiechnęła się i milczała kolejne dziesięć minut, lecz udawało jej się sprawiać wrażenie, jakby wcale Amosa nie pilnowała, choć oczywiście oboje wiedzieli, że jest inaczej. Później wróciła Kucharka i gniewnie pomrukując, zaczęła szorować dłonie w zlewie. W tym czasie Charlie zawołał Idę, żeby pomogła Hodge’owi z Zielonym Człowiekiem, który miał zostać zakwaterowany na zewnątrz, zgodnie ze swoją naturą.

Kucharka stukała garnkami, patelniami, talerzami i łyżkami, z mordem w oczach poświęcając się jakiejś pozorowanej kulinarnej bitwie, żeby osłabić złość, która ogarnęła ją na widok zmaltretowanej istoty w sypialni. Amos cieszył się, mogąc po prostu siedzieć, obserwować, grzać się w ciepłe ognia i rozważać fakt, że Nadzór okazał się zupełnie inny, niż sobie wyobrażał, oczywiście jeśli miał do czynienia z reprezentatywnymi przedstawicielami jego członków. Wydawali się bardziej jak chaotyczna rodzina niż zdyscyplinowany zakon ponadnaturalnych strażników. Zastanawiał się też, czy te wszystkie hałasy i krzątanie mogą zaowocować poczęstowaniem go kolejną porcją sera. Kawalek, którym podzieliła się z nim Ida, pobudził jego apetyt i teraz, wstyd przyznać, chłopak niemal się ślinił, czując zapachy dobiegające od strony paleniska.

Kobieta odwróciła się nagle i wycelowała w niego drewnianą łyżkę.

– No dobrze – powiedziała. – Nie umiesz mówić?

Chłopak pokręcił głową. Była to tylko łyżka, ale czuł się, jakby mierzono w niego z rewolweru.

„Nie”.

– Kiedykolwiek umiałeś?

„Nie”.

– Potrafisz słuchać naszych myśli?

Skupił się, mrużąc lekko brwi.

„Nie”.

– Powiedziałbyś mi, gdybyś potrafił?

Skrzyżowali spojrzenia. Minęła długa chwila.

„Zapewne nie. Ale i tak nie potrafię”.

– Chodzi o pierścienie – rzekła Kucharka, pokazując krwawnik na palcu. – Nie są tylko symbolami. To amulety.

„Czyli?”

– Tarcze. Służą do ochrony.

Odwróciła się do paleniska i brzęknęła czymś o talerz.

„Przeciwko takim jak ja?”

– Przeciwko takim jak ty – odparła, znów odwracając się do niego i przesuwając w jego stronę po stole kopiasty talerz. – A teraz jedz, jeśli ten ser nie popsuł ci apetytu.

Zrozumiał, że najwyraźniej nic nie uchowa się przed bladymi oczyma kobiety, lecz odłożył tę myśl na bok, żeby przeanalizować ją później.

„Przepraszam”.

Burknęła coś w odpowiedzi.

– Ta młoda Portki myśli, że nie potrafię jej przejrzeć. Nie tak jak ciebie. No jedz, bo taki jesteś chudy, że prawie widzę przez ciebie światło lampy.

Spojrzał na talerz.

– Wsuwaj – ponagliła go. – Nie ugryzie cię.

„Zapiekanka z węgorzami?”

– Nie lubisz węgorki? Co z ciebie za londyńczyk?

„Nie. Lubię zapiekankę z węgorzami. To znaczy lubię. Kiedyś”.

Uderzyło go wspomnienie pierwszego spotkania ze Zmorą: przyciągnęło go wówczas ekscytujące, choć

niepokojące zjawisko, z jakim się do tamtej pory nie spotkał, czyli głos zwracający się bezpośrednio do niego w jego głowie. Po raz pierwszy ktoś komunikował się z nim bez użycia słów. Chłopak przeszedł przez podmokłą łąkę i otworzył zabezpieczone zasuwką drzwi prowadzące do małej ceglanej budki ustawionej nad wapiennymi ścianami strumienia. Zmora stała tam po uda w wodzie, uśmiechając się krzywo w świetle księżyca, a wokół jej nóg wiły się i kotłowały setki bladych, wężowatych ryb.

Uświadomił sobie, że Kucharka się w niego wpatruje.

– No dobrze, Amosie Templebane. Dałabym ci pensa za twoje myśli, ale chwilowo nie mam przy sobie drobnych. Powiem ci coś jednak...

Z jednego z umieszczonych pod sufitem haków zdjęła cynowy kufel i weszła do pomieszczenia za kuźnią. Amos obserwował drzwi, dopóki nie wróciła i nie pchnęła naczynia po stole w jego stronę. Było teraz pełne i wieńczyła je gęsta piana.

– Zamiast pensa dam ci za nie kufelek. Mocny porter Kowala. Co ty na to? – spytała.

Sięgnął po naczynie i upił łyk. Piwo okazało się zimne, ciemne i łagodne, nie tak gorzkie, jak się spodziewał. Miało złożony smak, ale nie było gęste, wyraźne nuty czekolady i toffi kontrastowały z delikatnymi posmakami lukrecji, a może nawet i kawy.

„Dobre. Bardzo dobre. Dziękuję”.

– Dziękuj Kowalowi. Sam go warzy. Miał naprawdę dużo czasu, żeby udoskonalić swoje piwowskie zdolności, i czuć to w każdej kropli. Wypij, a później powiedz mi, dlaczego taki dobry londyński chłopak jak ty nie lubi mojej zapiekanki.

Może sprawiła to ciepłota ognia, może wyśmienity

porter, a może opanowany wzrok potężnie zbudowanej kobiety siedzącej naprzeciwko, ale Amos stwierdził, że stało się z nim coś, co nie zdarzyło mu się od bardzo, bardzo długiego czasu.

Uspokoił się. Uspokoił się i opowiedział o Węgorzowej Budce, o Zmorze, nawet o losie państwa M'Gregor i roli, jaką odegrał w pozbawieniu ich życia. Chaotycznie przeskakiwał między środkami i początkami poszczególnych wątków, po czym przechodził do zakończenia, czyli do terażniejszości. W pewnej chwili zorientował się, że zjadł zapiekankę, wypił kolejną porcję przepysznego porteru, a teraz patrzy na stojący przed nim pudding z rodzynkami, pływający w jeziorze słodkiego sosu.

„Chyba zaraz pękne”.

– Nonsens – odrzekła Kucharka. – Ale nie jedz, jeśli nie chcesz. Zaraz przyjdą tu pozostali, a Charlie pochłania wszystko, co mu wpadnie w ręce, młoda Portki zaś z rozsądnym brakiem zażenowania podchodzi do resztek. Ale teraz po prostu powiedz mi jeszcze raz, co się stało nad tamtym stawem.



Hodge zabrał Zielonego Człowieka do małego zagajnika rosnącego w pobliżu Banialuki od strony nawietrznej, naprzeciwko trzęsawisk na drugim brzegu rzeki. Drzewa zasadzono tam dla ochrony, i to nie tylko przed wiatrem; były tam dąb, jesion i tarnina, a także dwa okazałe ostrokrzewy i jarząb pospolity, zwany również jarzębiną. O tak późnej porze jedynie ostrokrzew i oplecione powojem szczątki pradawnego jesionu zachowały jakiekolwiek liście

broniące je przed wpływem żywiołów. Właśnie tam teriernik czekał z zielonoskórą istotą, aż Charlie wróci z belą słomy, płachtą brezentu i dwoma grubymi kocami.

Uspokajająco objął Zielonego Człowieka, a Pyefinch, syn cyrkowca, zaznajomiony ze sztuką szybkiego wznoszenia tymczasowych schronień, rozpiął brezent i ułożył pod nim suche posłanie. Wkrótce ich podopieczny przestał dygotać, uspokoił się i zapewne też ogrzał, dzięki bliskości Hodge'a z jednej strony, a Jeda opierającego się o jego nogę z drugiej.

– Przyniosłeś mi coś do jedzenia? – zapytał teriernik.

– Ja mam – powiedziała Ida, która wyrosła obok nich z kilkoma miskami i dzbankiem. – Kucharka mówi, że piwo jest dla niego dobre, dała też orzechy i suszone owoce. Mam także jabłka.

– Połóż wszystko w szalasię – polecił Hodge. – Pewnie nie chce być obserwowany podczas jedzenia. Tacy jak on nawet w dobrej formie są płochliwi, a myślę, że biedaka jeszcze niezłe bolą usta po tych cholernych szwach.

Pomógł Zielonemu Człowiekowi ułożyć się na zaimprovizowanym słomianym materacu i obrócił się do niego, jakby mógł go widzieć swoimi zniszczonymi oczyma.

– Jedzenie jest dla ciebie, schronienie też. Twoja decyzja, czy z nich skorzystasz, podobnie jak to, czy zostaniesz, czy odejdiesz. Na razie nie możesz trafić bliżej głębokiej zieleni, ale masz świeże powietrze, te drzewa są stare i święte, a ich korzenie sięgają daleko pod ziemię. Na pewno czujesz też woń dziczy dochodzącą od bagien. Tak więc jako przyjaciel, a jesteśmy przyjaciółmi, sugeruję, żebyś przyczał się przy nas, póki nie dojdiesz do siebie po tym, co zrobili ci tamci gnoje, i nie odzyskasz sił. Ale wybór należy do ciebie.

Wstał, wyciągnął nóż z za pasa i ruszył w stronę drzew, a zielonoskóry spoglądał na niego w milczeniu. Teriernik odciął bezlistną gałązkę z młodego dębu oraz kilka podobnych z jesionu i tarniny. Wrócił do leśnej istoty i włożył jej gałązki w dłoń, po czym zacisnął na nich jej palce. Zielony Człowiek skinął głową, lecz nic nie powiedział.

– Więcej nie jestem w stanie teraz zrobić – oznajmił Hodge. – Zapukaj do drzwi, jeśli będziesz czegoś potrzebował. Kucharka ma mnóstwo leków, jeśli coś cię rozboli, a gdy robi się za zimno, zawsze znajdzie się dla ciebie miejsce przy ogniu.

Popatrzył na teriera leżącego obok zielonego stworzenia.

– Pies wabi się Jed. Chce zostać w pobliżu, jeśli nie masz nic przeciwko. Dla ciepła i towarzystwa.

Leśny człowiek zamrugał i nieznacznie skinął głową.

Gdy wracali do Banialuki, Ida szturchnęła Hodge'a.

– Jed go lubi?

– Zawsze miał więź z dziczą, a Zieloni Ludzie lubią, jak natura oddycha u ich boku, gdy śpią. Trudno o coś bardziej naturalnego niż Jed.



W ciepłej kuźni Amos dalej mówił, a Kucharka dalej słuchała, zachęcała, by ciągnął opowieść, i uzupełniała kufel, aż chłopak ziewnął, opuścił głowę na stół i zaczął chrapać.

Spoglądała na niego przez dłuższą chwilę, jakby podejmując jakąś decyzję, po czym zabrała naczynie i wylała resztkę piwa do zlewu.

– Słyszałeś – stwierdziła, nie odwracając się.

– Tak – odrzekł Hodge, opierający się o framugę za Amosem. – I coś ci powiem...

– Nie ufasz mu?

– Myślę, że mu ufam. Chodziło mi o coś innego. Daj mi ten pudding, który czuję nosem, jeśli cokolwiek jeszcze zostało, zanim któreś z tych młodych wbije w niego pazury.

Przesunęła talerz w jego stronę. Przystawił krzesło do stołu i zaczął jeść.

– Ach – stwierdził z pełnymi ustami. – Coś wspaniałego.

– Ja czy pudding?

– Jedno i drugie, rzecz jasna – odparł, po czym wskazał podbródkiem Amosa. – Na pewno śpi?

– W pierwszym kuflu dostał coś na rozluźnienie, a w ostatnich dwóch coś, co go ululało. Moim zdaniem będzie wyłączony do południa. Wyglądał, jakby mógł mu się przydać dłuższy sen.

– Położę go w pokoju na tyłach obok Sluagh. Biedak. Pomyśl tylko o jego życiu. Podrzutek wychowany w sierocińcu Kaśki Cree. Powiem ci, że wylądował w trudnym miejscu, gdzie nie ma miejsca na sympatię czy delikatność, do tego wyróżniał się, bo ma w sobie całkiem sporo ciemnej farby. Wszystko, co czyni człowieka choć trochę innym, czyni go w tym brutalnym chlewie podatnym na ciosy. Później został adoptowany i myślał, że wygrał los na loterii, a tu się okazało, że trafił do Templebane'ów, czyli do gniazda węży.

– I przez cały czas nikomu nie zdradził, że potrafi podsłuchiwać myśli – powiedziała w zadumie Kucharka, spoglądając na leżącą na stole głowę chłopaka. – Czyli nie jest idiotą.

– Ma na rękach mnóstwo krwi – odparł teriernik.

– A kto jej nie ma, u diabła? Sami nie jesteśmy aniołami.

– Owszem, ale znajdujemy się po ich stronie.

– Nigdy nikogo nie zabił ze złościwości ani potrzeby czynienia zła. Robił to w samoobronie albo żeby uratować kogoś innego. Podobnie jak my. No i ma w sobie większą moc, niż kiedykolwiek wyczuwałam w kimś tak młodym.

– Tak, ma moce i nie wie, że są mocami – skomentował Hodge. – Jak tamta Lucy Harker.

– Jest inny niż Lucy. Kłopoty spadły mu na głowę nieproszone. Z nią było inaczej.

– Ona nosiła w sobie skazę – zgodził się teriernik. – Moim zdaniem sięgającą aż do jej początków. A on się zgubił. Szuka dla siebie miejsca. Ona zgubiła się inaczej, zawsze chciała być gdzieś indziej, niż się znajdowała, zawsze biegła w odmienne miejsce.

– Lubiałam ją. Wciąż lubię.

– Ja też. Jest pełna werwy, to na pewno. Może kiedyś pobiegnie tak daleko, że dogoni samą siebie. Wtedy pewnie znów ją zobaczymy.

– Nie – odparła Kucharka, wzdrygając się, jakby przeszedł ją dreszcz. – Instynkt mówi mi, że nie spotkam już Lucy Harker.

Wskazała głową Amosa chrapiącego na stole.

– Może zanieś go do sypialni? A później musimy porozmawiać o tym, co powiedział nam o Mountfellowie i Sluagh.

– Oraz o węgorzowej damie.

– Zmorze z izolatki – rzekła kobieta, przytakując. – Tak. O niej i o jej słowach, że dawno temu była jedną z nas...

– Kowal by wiedział. Jeśli to prawda. Nie przychodzi mi do głowy, kim mogła być. I myślę, że równie dobrze jak ja pamiętasz, kto u nas był i kto odszedł – powiedział teriernik.

– Tak – zgodziła się Kucharka. – Też mnie to zbiło z tropu. Tęsknię za dawnymi czasami, gdy było nas więcej. Tęsknię za poczuciem, że jestem częścią tłumu. Czułam się wtedy bezpieczniej. No i widok był jakiś taki przyjemniejszy.

– Ale w twoim puddingu nie ma nic nieprzyjemnego – rzekł z nadzieją Hodge, przesuwając opróżniony talerz w jej stronę.

– Połóż chłopca do łóżka, to nałożę ci jeszcze kawalek.

Teriernik uśmiechnął się i wstał.

– I jak sądzisz, kim jest ta Zmora? – spytał, podnosząc Amosa z krzesła z taką łatwością, jakby chłopak nic nie ważył.

– Męką i utrapieniem – odparła Kucharka. – Pytanie tylko: dla kogo?

ROZDZIAŁ XL

Monarcha wynajęty

John Rogers Watkins był bystrym człowiekiem, dumnym ze swej przenikliwości i przedsiębiorczości. Pragnął zarabiać pieniądze równie mocno jak każdy inny obrotny fachowiec uprawiający swoje rzemiosło na Tamizie, jednak dzięki swojej wizji wyróżniał się na tle zgrai spekulantów i oportunistów rozpychających się łokciami, żeby zagarnąć dla siebie miejsce przy nadbrzeżu, szybko powiększającym się dzięki rozbudowie londyńskiego portu, wynikającej z rozwoju manufaktur w ojczyźnie i imperialnej ekspansji na inne tereny. Niezliczone statki tłoczyły się w wąskim i krętym gardle rzeki, gdzie coraz trudniej manewrowało im się pośród innych jednostek. Watkins to dostrzegł i uświadomił sobie, jaki potencjał mają małe łodzie z potężnymi kołami łopatkowymi napędzanymi parą, za opłatą holujące statki handlowe pod prąd i pod wiatr. Stał się królem londyńskich holowników parowych, a fakt, że nazwał interes imieniem swojego syna Williama, świadczył, że myślał w kategoriach długoterminowych.

Szczycił się również tym, że jest kimś w rodzaju wynalazcy, opracował bowiem mechanizm, który nazwał wózkiem łańcuchowym, a który w istocie był małym wagonem na szynach biegnących po pokładzie jego najlepszego holownika, Monarchy, pomiędzy dwoma kołami łopatkowymi. W wagoniku znajdował się ciężki łańcuch, gdy więc przepychano go z jednej burty na drugą, zmieniano wyważenie łodzi i jedno z kół wyłaniało się

z wody, natomiast drugie zanurzało głębiej. Jak Watkins wyjaśniał to szlachetnemu lordowi, który zrobił mu ten zaszczyt i przyjął go w swoim biurze w doku Świętej Katarzyny, holownik stał się tak zwrotny, jakby każdym z kół zawiadowała oddzielna maszyna parowa – zresztą taki układ miała mieć jego nowa łódź, którą skutnicy obecnie konstruowali w górze rzeki w Limehouse.

– Właśnie to – rzekł Mountfellow – jest dokładnie ten rodzaj pomysłowości, który cenią sobie moi towarzysze z Towarzystwa Królewskiego. Drogi panie, może pan deprecjonować swoje rozwiązania, nazywając je czysto praktycznymi, lecz potrzebny jest bystry umysł, żeby wykorzystać prawa fizyki bez nadmiernych komplikacji, prostota zaś, jak przypomina nam zasada brzytwy Ockhama, stanowi najbardziej bezpośrednią drogę do wyższych prawd.

Watkins zarumienił się, słysząc te pochlebstwa, tak hojnie rozdawane przez wicehrabiego.

– To bardzo miłe słowa, milordzie – powiedział.

– Byłbym zachwycony, gdybym po sfinalizowaniu naszych spraw mógł zachęcić kolegów, żeby zaprosili pana i umożliwili przedstawienie pańskich usprawnień technicznych – ciągnął Mountfellow. – Naprawdę tego pragnę. Na spotkaniach zbyt wiele czasu zabierają ci przekleci dżentelmeni od chemii oraz irytujący łowcy robali, podczas gdy to rzetelne rozwinięcie i wykorzystanie newtonowskich prawideł mechanicznych, albo też, jak to ujmuję, fizyki stosowanej, tak naprawdę pcha nasze społeczeństwo naprzód i wynosi nas ponad mały.

„Sprawy”, o których mówił, pozostawały żywo obecne w myślach przedsiębiorcy. Mountfellow wyjaśnił mu, że zamierza użyć najpotężniejszego holownika firmy William

Watkins sp. z o.o., Monarchy, solidnej drewnianej łodzi o długości sześćdziesięciu pięciu stóp i szerokości czternastu, do bagrowania. W tym celu przekazał Watkinsowi szkic prostej konstrukcji, która miała być ciągnięta za holownikiem – długiego drzewca, z którego powinny zwisać łańcuchy zakończone hakami, każdy z nich umocowany na odrębnym kołowrocie, pozwalające wychwycić wszystko, co znajduje się na dnie Tamizy.

Gdy John Rogers ośmielił się, oczywiście z najwyższym poważaniem, spytać, czym miałyby być obiekt tego wędkarskiego przedsięwzięcia, Mountfellow z ogromną uprzejmością zniżył się do wyjaśnienia, iż rzeczonym obiektem jest „kilka ołowianych skrzyń nieszczęśliwie upuszczonych niegdyś do rzeki przez nieżyjącego już członka Towarzystwa Królewskiego, których położenie dopiero niedawno wyszło na światło dzienne”. Następnie zwierzył się, że zawartość stanowi kwestię ogromnej tajności i że pan Watkins, pomagając ją odzyskać, sprawi, iż jego nazwisko stanie się bardzo, niezwykle wręcz cenione pośród niektórych z najbardziej wpływowych dżentelmenów w Wielkiej Brytanii, Towarzystwo Królewskie bowiem to najbardziej prestiżowa instytucja spośród wszystkich klubów i związków.

Sugestia preferencyjnego traktowania w przyszłości przyciągała Watkina do tego zlecenia niemal w równym stopniu jak zapłata, którą miał otrzymać za swą dyskrecję i pomysłowość, jeśli sprawnie wprowadzi plany szanownego lorda w życie. Nie był snobem w sensie towarzyskim, jednak jak każdy człowiek uważający się za praktycznego innowatora pragnął być doceniony przez równych sobie stanem, szacunku zaś ze strony Towarzystwa Królewskiego, do którego należeli tacy jego

osobiści bohaterowie jak Stephenson i Brunel, pragnął niemal równie mocno jak torby ze złotem stojącej na obitym skórą blacie biurka dzielącego go od nowego dobroczyńcy.

– Zatem, panie Watkins – rzekł Mountfellow, po którym już zaczynało być widać napięcie związane z udawaniem uprzejmego. – Kiedy byłby pan gotów zacząć? Szybkość jest, jak już wzmiankowałem, kwestią kluczową.

Przedsiębiorca spojrział na leżący przed nim szkic mechanizmu: solidne drzewce, taka długość łańcucha i tyle haków, ile tylko zechciał zakupić w dowolnym z okolicznych składów. Wiedząc, że wicehrabia to wie, zrezygnował ze swojej zwykłej praktyki (czyli określenia w myślach rozsądnego terminu, a następnie podwojenia go na wypadek niespodziewanych okoliczności) i przyznał, że konstrukcja może zostać zmontowana do końca dnia.

– Czyli moglibyśmy zacząć już jutro – powiedział Mountfellow i cały się rozpromienił.

– W istocie, milordzie. Jeśli to panu odpowiada.

Wicehrabia wyjrzał przez okno i jego wzrok spoczął na przysadzistej łodzi. Dwa półokrągłe tambory zakrywały koła łopatkowe, wizualnie zwiększając niezgrabną krępość jednostki, którą równoważył jednak wysoki, wąski komin zwieńczony koroną wyglądającą jak metalowy oset.

– Odpowiada – oznajmił Mountfellow. – Odpowiada ze wszech miar.

ROZDZIAŁ XLI

Pies Kopacz

Prudence Tittensor przywiozła z Bostonu młodego psa imieniem Kopacz, żeby powierzyć go Lucy i Cait do pomocy w poszukiwaniach dziecka rządu. Był nieco niższy od swojej matki, suki Shay, ale miał taką samą jak ona szarą sierść, a także część typowych dla niej cech wilczarza, choć opakowanych w nieco bardziej zbite ciało. Wyglądał na twardego i zadziornego, a jego bystre oczy zdradzały czujność.

Podczas oczekiwania na powrót żony kapitana ustalono wiele rzeczy, opracowano wiele planów i sprawdzono harmonogram pod kątem poszczególnych czynności. Kluczowa dla sprawy była decyzja, że zgoda na udzielenie wsparcia Lucy, a co za tym idzie i Cait, zależy będzie od tego, czy Armbruster i Magill zyskają aprobatę Sharpa – najwyraźniej najwyższego rangą członka Nadzoru uprawnionego obecnie do działania po tej stronie Atlantyku. Irlandka kipiała frustracją – nie dlatego, że zmuszano ją do zobaczenia się z Sharpem, którego oczywiście lubiła, lecz ponieważ mówiono jej, co ma robić. Z usposobienia i wyboru działała samodzielnie, podczas gdy według niej Sukcesorzy, co dość otwarcie im powiedziała, „więcej czasu poświęcali na wymyślanie zasad i przepisów niż na robienie czegokolwiek użytecznego”. Gdy Strażniczka z właściwym sobie spokojem powiedziała, że Cait nie zrozumiała istoty rzeczy i być może rzeczywiście wyszłoby jej na dobre pewne „uregulowanie”, gdyby

zechciała się na nie zgodzić, ta zapiekliła się jeszcze bardziej. Stwierdziła, że z tego, co widzi, to „świętobliwi” założyciele organizacji zwanej Sukcesorami, a w zasadzie wszyscy ci wspaniali „Amerykanie” przybyli na te ziemie jako „zbóje, bandyci i kanciarze”, po czym natychmiast zaczęli narzucać innym swoje prawa pozwalające im się ustawić i ukryć fakt, że kradli tereny pierwotnym właścicielom. Jej zdaniem pomimo wszystkich swoich górnolotnych deklaracji byli największą bandą oprychów i złodziei, jaką kiedykolwiek widziała.

Strażniczka przyjęła ten słowny szturm z irytująco spokojnym, uprzejmym uśmiechem. Lucy spostrzegła, że Magill próbuje ukryć uśmieszek zupełnie innej natury.

– Wie pani, panno ná Gaolaire – powiedział Armbruster, gdy Strażniczka wyszła sprawdzić, czy przygotowano dla nich pokoje na noc, żeby mogły odpocząć, zanim wyruszą na spotkanie z Sharpem. – Gdy próbuje się ukraść miód, nie powinno się w taki sposób drażnić pszczół.

– Nie chcę żadnego cholernego miodu – odparła Cait. – Chcę tylko odzyskać dziecko i wsiąść na szybki statek płynący z powrotem tam, gdzie panuje większa swoboda.

– Och, tam, dokąd zmierzamy, jest mnóstwo swobody – rzekł Magill. – Poza terenem Stanów panuje największa swoboda na całym świecie. Taka, która może zabić, jeśli nie traktuje się otoczenia z nieco większym respektem, niż okazałaś właśnie starej kobiecie. Trzyma ona twoją stronę w znacznie większym stopniu, niż ci się wydaje, i zdecydowanie bardziej przysłużyłoby ci się, gdybyś jej podziękowała, zamiast obwiniać, ale rób, jak uważasz. Tak tylko sugeruję.

Właśnie wtedy, gdy perspektywa wypoczynku stawała się coraz bardziej kusząca, a Lucy po raz piąty czy szósty

powstrzymała ziewnięcie, Prudence Tittensor wróciła z psem Kopaczem.

– Masz o niego dbać – poleciła z niechęcią równą zadziorności Cait.

– Na pewno nie oddam go pierwszemu lepszemu Tomowi, Dickowi czy komu tam, kto wyda mi się wart pocieszenia, jeśli to masz na myśli. Zamierzam troszczyć się o niego lepiej niż ty o dziecko rządcy.

– To nieuczciwe – odparła pani Tittensor.

– Owszem, ale to prawda – rzekła Irlandka. – A prawdziwe życie nie jest, o ile widziałam, ani trochę uczciwe.

Przyklęknęła, spojrzała psu w oczy i wyciągnęła dłoń. Kopacz obwąchał ją, a następnie zamerdał raz ogonem, co Prudence uznała za nieświadomy akt zdrady, zwłaszcza że później opuścił głowę i pozwolił podrapać się za uszami.

– Pożyczam Kopacza Nadzorowi – oznajmiła Tittensor, spoglądając na Lucy. – Nie jakiejś pierwszej lepszej *venatrix*.

– Nie zamierzam udawać kogoś innego, niż jestem, nawet jeśli uważasz mnie za byle co – zripostowała Cait. – Ale dobrze zrobisz, polegając na moim słowie. Jeśli powiem, że pies zostanie bezpiecznie przyprawiony z powrotem, to tak się stanie i to ci obiecuję.

– Mimo to wolę zaufać Nadzorowi. – Z tymi słowy Prudence odwróciła się od Irlandki i podała Lucy długą smycz. – Zapewne ci się to przyda, jeśli zechcesz zabrać go między lustra. Przed niczym innym się nie zawaha, ale do tego trzeba go będzie namawiać, bo nigdy tam nie wchodził. Jak zresztą, o ile wiem, żaden inny pies. – Popatrzyła na Magilla i Armbrustera. – Odpowiedzialność spoczywa również na was, panowie.

– Jak pies da nam znać, gdy odnajdziemy tego rybaka Gravesa i dziecko? – spytała Harker.

– Powiedziałałam mu, żeby przyszedł do was i... – zaczęła pani Tittensor.

– Nie martw się tym – rzekła Cait. – Całkiem dobrze go słyszę, choć nie potrafię widzieć jego oczyma ani wejść w jego umysł.

Prudence wyglądała, jakby była to ostatnia zniewaga, jaką zdoła znieść. Równie dobrze Irlandka mogłaby wymierzyć jej policzek.

– Nie posiadam twoich darów – powiedziała Cait, wstając i machinalnie mierzwiąc psu sierść. – Ale mój ojciec je miał. Słyszę kształt tego, co Kopacz do mnie myśli. Zrozumiem go.

Pies zaskomlał i pomerdał ogonem. Pani Tittensor zwróciła się do Lucy:

– Jest młody i lekkomyślny. Obiecuj mi, że to ty lub mężczyźni przeprowadzicie go przez lustra. Tej *venatrix* nie zamierzam ufać.

– I słusznie – odparła Irlandka. – Ale nie będę się spierać. Sama nie chciałabym się znaleźć na niczyjej smyczy, więc uważam, że i pies nie powinien na niej być, zatem jeśli będzie trzeba, może się tym zająć Lucy Harker lub ktoś inny.

Dokonano więc ustaleń i pani Tittensor odeszła wraz ze swoją zapiekłą nieżyczliwością, Lucy i Cait zaś skierowały się do przydzielonego im pokoju, by wypocząć przed porannym spotkaniem z Sharpem. Nie zamknięto za nimi drzwi na zamek, lecz gdy Irlandka nacisnęła klamkę, żeby to sprawdzić, zauważyły Armbrustera rozkładającego posłanie w korytarzu. Magill siedział kawałek dalej na krześle, czytając książkę w blasku świecy.

– Czy na pewno nie ma więcej łóżek w tym jakże

wspaniale urządzonej domu? – spytała. – Moim zdaniem będzie tu okropnie niekomfortowo, a nie chciałabym narażać pana na niewygodę.

Magill wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Może mnie pani narażać na niewygodę, kiedykolwiek pani zechce, panno ná Gaolaire – oznajmił.

– Jon – rzekł Armbruster, kręcąc głową. Spojrzał na Cait. – Widzi pani, zwykle jest nieśmiały. Cokolwiek mu pani robi, proszę lepiej przestać, bo tam, dokąd się wybieramy, i tak nic pani tym nie wskóra. Daliśmy słowo, a nie jest ono bardziej łamliwe niż to pani.

– Niczego mu nie robię, panie Armbruster – odparła.

– Fred – sprostował. – I owszem, robi pani. Pytanie brzmi: w jakim celu?

Gdy drzwi zostały zamknięte, a świece zgaszone, Lucy położyła się do łóżka i spojrzała na skrawek morza oświetlonego księżycowym blaskiem, widoczny przez szczelinę między zasłonami. Poczowała, że Cait kładzie się obok, i natychmiast uświadomiła sobie, jak niewielka dzieli je odległość.

Dobiegły ją odgłosy wydawane przez Kopacza, który mościł się na podłodze u stóp ich posłania.

– Próbowałam tylko pomóc – rzekła po chwili. – I udało mi się.

Cisza nie została przerwana i w każdej kolejnej sekundzie dziewczyna czuła, jak ten sześciocalowy kordon wykrochmalonego, dzielącego je chłodnego prześcieradła poszerza się, aż staje się rozdzierającą serce, nieprzekraczalną rozpadliną.

– Wiem – powiedziała Cait w chwili, gdy Lucy była już przekonana, że Irlandka zasnęła. – I jeśli dasz mi wystarczającą ilość czasu, żebym zdołała przełknąć dumę,

niewątpliwie ci za to dziękuję. A teraz idź już spać i nie zamartwiaj się. Między nami jest w porządku. Po prostu inaczej niż kiedyś.

Łóżko poruszyło się, gdy rudowłosa kobieta odwracała się na bok, a Lucy leżała sama w ciemności, nie wiedząc, czy czuje się lepiej, czy gorzej. W końcu zasnęła.



Gdy się przebudziła, Cait już nie było, podobnie jak Kopacza. Wygramoliła się z łóżka i otworzyła drzwi. Posłanie Armbrustera również zniknęło, podobnie jak Magill, lecz sam Armbruster opierał się o framugę otwartego okna, paląc fajkę i obserwując, jak dym rozwiewa się w rześkim powietrzu.

– Dzień dobry – powiedział. – Na dole podano kawę. Po prostu oszczędzam im wdychania dymu.

Lucy wiedziała, że to kłamstwo i że w jakimś stopniu jej pilnuje, ale nieprawda wydawała się na tyle przyjazna, że nie było sensu kruszyć kopii.

Chwilę później mężczyzna wystukał popiół, zamknął okno i zaczął schodzić po schodach, jakby udowadniając jej, że się myliła.

– Przyjdź na dół, gdy będziesz gotowa. Zjedz coś, a później będziemy mogli ruszać.

Obserwowała, jak znika, a następnie zaszłuchała się w panującą w domu ciszę. Zastanawiała się, czy mogłaby po prostu otworzyć to okno, zejść po ścianie i uciec od tego wszystkiego, lecz spojrzała na pierścień, który zrobił dla niej Kowal.

Nie potrafiła zdecydować, czy zatrzymał ją właśnie on, czy też niegotowość na pożegnanie z Cait, lecz postanowiła

zostać. Umyła się, doprowadziła do porządku, zasznurowała ciasno buty i udała się na dół, żeby się przekonać, co przyniesie ten nowy dzień.

ROZDZIAŁ XLII

Martwy dzień później

Amos przespał większą część dnia, który nastąpił po długiej nocy wypełnionej pytaniami Kucharki. Zielony Człowiek spał przez cały ten dzień, zaś ranny Slugh balansował pomiędzy życiem a śmiercią niczym gasnący płomień, który może nie przetrwać kolejnej doby.

Ida została wysłana do kantoru w domu Templebane'ów, żeby sprawdzić, czy nikt się tam nie zakradł albo nie wrócił, a Charliego skierowano do Tower. Nieważne, jak zła stałaby się sytuacja, należało odszczurzać twierdzę i chronić zamieszkujące ją kruki, a Hodge musiał odbyć naradę wojenną z Sharpem, Sarą i Kucharką. Wiedział, że starsi członkowie pozbywają się jego i dziewczyny, żeby pomówić o znaleziskach z Chandos Place, i szczególnie mu to nie przeszkadzało. Bardziej poruszyło go polecenie Hodge'a, który kazał mu sprowadzić najstarszego z pozostałych kruków. Teriernik doszedł do przekonania, że Kruk, podobnie jak Kowal, raczej prędko nie wróci, i chciał, żeby Pyefinch zaczął szkolić jego zastępcę. Charlie wchodził już wcześniej w myśli wielkiego ptaka, obserwując, jak pikuje i zatacza kręgi wokół Tower, i widok z góry wydawał mu się wyjątkowo emocjonujący. Rozmowa z ptakami nie podobała mu się tak bardzo jak rozmowa z psem – ptaki były mniej kontaktowe i w swoisty sposób drapały go w umyśle, podczas gdy psy kojarzyły się z ciepłem i wygodą – lecz mimo wszystko lubił to doświadczenie. Hodge powiedział mu, że nadszedł czas,

żeby nowy kruk zaczął wraz z nimi obserwować miasto, jak to wcześniej czynił Kruk.

Charlie spytał, czy stanie się on kiedyś nowym Krukiem, a Hodge parsknął i pokręcił głową, zapewniając swojego ucznia, że Kruk jest równie stary jak Kowal i, jak ma nadzieję, równie trudny do zabicia. Kolejny ptak miał po prostu stać się tymczasowym, niedoskonałym zastępstwem, jednak w ich obecnej sytuacji nie mogli sobie pozwolić na grymaszenie i musieli korzystać ze wszystkiego, co mieli do dyspozycji.

Ekscytacja chłopaka wywołana nowym zadaniem była jedyną jasną iskrą w tym smutnym dla nich wszystkich dniu. Zupełnie jakby członkowie Nadzoru opłakiwali coś, czego jeszcze nie potrafili lub nie chcieli nazwać.



Ida sprawdziła drzwi do domu Templebane'ów i stwierdziła, że wciąż są otwarte. Uchyliła je, lecz nie zwracała sobie głowy wchodzeniem, ponieważ nos powiedział jej wyraźnie, że nikt nie ruszył, a więc i nie odkrył ciała Abchurcha.

Pobiegła w stronę Chandos Place, nieświadoma, że miała rację w pierwszej kwestii, ale myliła się w drugiej. Zaledwie półtorej godziny wcześniej Abchurch został znaleziony przez Vintry'ego i Shadwella Templebane'ów. Zakradli się oni do miasta wraz z resztą braci, którzy zostali skierowani w inne miejsca. Issachar rozstawiał swoje pionki do ostatecznej rozgrywki i nie chciał ryzykować, że ktoś dostrzeże, iż on i jego synowie powrócili.

Vintry i Shadwell, przerażeni dokonany odkryciem, wyszli pospiesznie, upewniwszy się, czy nikt ich nie widział

ani nie śledził. Zastanawiali się, czy jest ono wystarczająco istotne, żeby mogli porzucić następne zadanie i donieść o wszystkim Issacharowi. Po kilku kufelkach w obskurnej karczmie na rogu Half Nichols Street uznali, że gdyby powiedzieli mu, iż nie przekazali informacji swojemu zdeprecjonowanemu bratu Coramowi, ojciec zareagowałby gorzej niż na samą wieść o losie Abchurcha. Tak więc pokrzepiwszy się piwem, ruszyli do Bedlam.

Gdy Bill Ketch wprowadził ich do pokoju dziennego i ujrzeni, co stało się z Coramem, ogarnęła ich czysta groza. Nie dlatego, by żywili do brata jakieś uczucia – ot, dotarło do nich, jak kruche jest człowiecze ciało.

– Nadzór cię wypytywał – powiedział Vintry.

– Z tego, co słyszeliśmy – dodał Shadwell, rozglądając się po pomieszczeniu. – A znasz starego Issachara: ma oczy i uszy wszędzie tam, gdzie się ich najmniej spodziewasz.

Coram próbował nie podnosić na nich wzroku ani ich nie słuchać, czekał, aż odejdą. Nie miał ochoty z nimi rozmawiać.

Chciał odgryźć im twarze.

Chciał wrzeszczeć.

Chciał wypaść z pomieszczenia i biec, biec, biec, aż dotarłby do linii horyzontu.

Miał jednak tylko jedną nogę, czekał więc, aż sobie pójdą.

Vintry nachylił się bliżej.

– Rzecz w tym, że Issachar szukał cię, gdzie tylko się dało. A teraz, skoro już cię znalazł, chce, żebyś wrócił do domu, aby można było zająć się tobą tak, jak na to zasługujesz jako lojalny syn. Chce wyciągnąć cię z Bedlam i znowu umieścić na łonie rodziny, ale wcześniej musisz załatwić dla nas pewną sprawę.

– Wie, że do tej pory byłeś cichy jak pierd zakonnicy, i cię

za to kocha. Teraz jednak woli, żebyś zaczął trzepać ozorem i przekazał drobną informacyjkę, którą dostaniesz od nas, swoich kochających braci – uzupełnił Shadwell.

Coram skinął głową. Wiedział, że odejdą, jeśli tak uczyni, a jednocześnie poprzysiągł sobie, że szybciej piekło skuje się lodem, niż on wyświadczy choć jedną przysługę Issacharowi Templeban'owi, który zostawił go okaleczonego, choć mógł go uratować.

– I cudnie – oznajmił Shadwell. – Powiemy temu całemu Ketchowi, że chcesz rozmawiać z tymi gośćmi, którzy do ciebie przychodzili, dobra?



Gdy Charlie wrócił po zmroku, na osobności zwierzył się Idzie ze swojego przecucia, iż wszyscy opłakują coś, o czym nie chcą rozmawiać.

– Może opłakują coś, co jeszcze się nie wydarzyło – podsunęła.

– Ty też zresztą nie jesteś jak promyk słońca – skomentował.

– Wiem. Kucharka robi znowu steki i pudding z nerek, a ja będę musiała udawać, że lubię nerki, żeby się nie obraziła jak poprzednio.

– Daj go Archiemu pod stołem. Z radością zniszczy dowody.

Jednak nawet pudding zawiódł Kucharke – zapadł się, gdy ostrożnie wyciągała go z parującej misy.

– Przecież będzie smakował tak samo – stwierdził Hodge.

Ale nie smakował. I cokolwiek omawiała rada wojenna, dla młodszych członków było oczywiste, że nic nie postanowiono i że sytuacja zrobiła się wręcz jeszcze

bardziej ponura niż przed odkryciem tajemnic domu przy Chandos Place, choć nie mieli pojęcia, z jakiego powodu.

– Nie wiemy – powiedział Sharp, najwyraźniej kontynuując jakiś wcześniejszy wątek. Obserwował Kucharkę, jak cmokając z niezadowoleniem, wygarniała łyżką na półmisek lepką breję z mięsa, sosu i ciasta.

– Może nie wiemy wystarczająco wiele, żeby widzieć, że tym razem powinniśmy jednak dać za wygraną – rzekł teriernik.

– Ja wiem, że nigdy nie powinniśmy dawać za wygraną – skomentowała Sara.

Każde z nich miało wrażenie, choć żadne nie wypowiedziało tego na głos, że ze wszystkich ich wspólnych kolacji ta była najposepniejsza, zupełnie jakby złowieszcza przyszłość w jakiś niemożliwy sposób rzucała cień na teraźniejszość.

Nikt nie spał dobrze tej nocy.



3 Rdz 4,10. Wszystkie cytaty biblijne za: *Biblia Tysiąclecia*, wyd. 5 na nowo oprac. i popr., Poznań 2002.



CZĘŚĆ IV

ODPŁYW

*Jestem niemy,
ale rozumny*

O golemach

vulnerant omnes,
ultima neceat

ranią wszystkie [godziny],
ostatnia zabija

O tworzeniu golemów, w którym to przedsięwzięciu miałem zaszczyt odnieść sukces jako jedyny człowiek w Brytanii, nie powiem nic więcej ponad to, że jeśli postępuje się zgodnie ze wskazówkami wykorzystywanymi przez Eliasza Ba'al Shema z Chełma, odkrytymi w wyniku baczego czytania przezeń traktatu *Sefer Jecira*, można odnieść powodzenie (...). Jedyne modyfikacje, których sam dokonałem, leżały w kwestii materiałów, nie zastosowanego procesu (...). Zamartwiając się, w jaki sposób powstrzymać glinę, z której wykonany jest golem, przed wysychaniem z czasem i w wyniku dłuższego wystawienia na światło słoneczne, natknąłem się na fragment przytoczony przez W. Caxtona w 1481 r.: „Salamandra pokryta jest wełną taką, że pasy i szaty z niej splecione w ogniu się nie spalają”. Pliniusz, Augustyn i Izydor z Sewilli potwierdzają zdolność salamandry do duszenia ognia,

wysuszyłem więc jej skórę, zmieliłem ją na proszek i dodałem do czterech rodzajów gliny, z których uformowałem golema. Do tej pory nie wysechł i jest miękki jak w dniu, w którym został utworzony (...). Mam nadzieję, że w ten sposób da się uniknąć takich nieprzyjemności, jakie miały niedawno miejsce w Pradze (...).

Wyjątek z *Wielkiej i tajemnej historii świata* autorstwa rabina doktora Hayyima Samuela Falka (znanego również jako Ba'al Shem z Londynu)

(Na marginesie strony przy powyższym fragmencie rabbi zostawił odręczny dopisek, obok którego inna ręka, być może należąca do znacznie późniejszego czytelnika, dopisała własny komentarz. Uwaga rabbiego brzmi jak następuje:

Wąż nie jest wężem, lecz smokiem, smok zaś nie jest smokiem, lecz salamandrą. Klucz nie jest kluczem, lecz trzymającym. Trzymający zaś trzyma nie klucz, lecz ogień.

Drugi zapis, być może wykonany kobiecą dłonią, głosi:

Brednie i nonsens!)



ROZDZIAŁ XLIII

Wymiana

O budził się, spoglądając na pierwsze promienie świtu przenikające przez niewielki baldachim liści, które połaskotały go w twarz, gdy lekki wietrzyk powiał od Tamizy i rozciągających się za nią bagnisk. Wciągnął mocno powietrze. Pachniało głęboką zielenią.

Spał przez dwie noce i uleczył się szybciej, niż uważał za możliwe, bo choć ci z Nadzoru wiedzieli wiele, to nie wiedzieli wszystkiego. Nie wiedzieli tyle, ile ich ojcowie i matki. Byli czymś mniej niż kiedyś, widział to, widział to nawet wtedy, gdy nieśli go tu, żeby doszedł do siebie.

Jednak mężczyzna z psem wiedział wystarczająco dużo, żeby wsunąć mu w dłoń gałęzie dębu, jesionu i tarniny, a potem zostawić go na zewnątrz, co ważne, pod jarzębiną. Poza tym ułożył jego buty, kurtkę, koszulę i spodnie w schludny stosik, zatem okazał się na tyle miły, żeby wierzyć, iż w końcu się uleczy. Zielony Człowiek rozgarnął

gałązki, które tworzyły nad nim mały zielony baldachim. Wcześniej nagie, teraz wypęczkowały i zazieleniły się pod wpływem jego uchwytu i w dwie noce rozkwitły niczym wiosną.

Kiedy siadał i wstawał, źdźbła traw pękały z cichym szelestem. Gdy spał, urosły i oplotły go jak kokon, chroniąc przed chłodem.

Popatrzył na ubrania, obmacując przy tym rany na wargach. Pokryły się strupami i choć nieco bolały, wiedział, że wkrótce znikną. Ściągnął łachmany, które miał na sobie, podszedł nago do brzegu rzeki, przestąpił ścieżkę holowniczą i bez choćby wzdrygnięcia zanurzył się w wodzie. Dla niego nigdy nie była zimna ani ciepła, lecz taka, jaka powinna być o danej porze roku. Zanurzył głowę pod powierzchnię i przez dłuższą chwilę nic nie świadczyło o tym, że kiedykolwiek tu był.

I nagle wyłonił się z długimi, błyszczącymi jak szmaragd włosami, przyglądzonymi niczym pióra na kruczym skrzydle. Uśmiechnął się, łyskając białymi oczyma i zębami, a następnie roześmiał, krótko, lecz radośnie, i gdyby ktoś mógł go w tamtej chwili widzieć, dostrzegłby dziwnie kontrastującą z resztą ciała czerwień podniebienia i języka. Nikt jednak nie patrzył, jak wynurza się z wody i kroczy z powrotem w stronę zagajnika.

Nie ubrał się od razu. Zamiast tego stał, przyglądając się Banialuce i smużce dymu nad starym kominem kuźni. W końcu, gdy wiatr osuszył jego nagie ciało, odział się szybko w znoszoną białą koszulę, brązową kurtkę i wąskie spodnie z bawolej skóry, które zostawił mu Hodge, i usiadł na ziemi. Zanurzył bose stopy w bujnej trawie, która zaczęła mu się owijać wokół palców. Jej łaskotanie znów wywołało uśmiech na jego twarzy.

Zwinnie oberwał z pędów te nietypowo dla tej pory roku ulistnione gałązki, które wcześniej odłożył, po czym szybko i sprawnie zaplótł je w potrójne bransolety. Kiedy wykonał ich dziewięć, nasunął jedną na nadgarstek, znów oswobodził stopy z delikatnych uścisków trawy i włożył buty. Kiwnął z satysfakcją głową. Człowiek z psem dobrze ocenił jego rozmiar.

Wstał i przyjrzał się swoim ubraniom. Biel, brąz, a także barwa skóry zostały zastąpione przez tę, która przeniknęła z trawy w jego ciało i strój. Znów stał się prawdziwym Zielonym Człowiekiem.

Pochylił się i podniósł koc, który mu przynieśli. Złożył go schludnie i ruszył w stronę Banialuki z kocem w jednej dłoni i bransoletami z trzech rodzajów drewna w drugiej.

Odejdzie, zanim się obudzą, ale coś im zostawi w dowód swojej wdzięczności.

ROZDZIAŁ XLIV

Po drugiej stronie szklanej szafy

Wymarsz z Marblehead nastąpił szybko i sprawnie. Po zjedzeniu śniadania i zabraniu bagaży – zwrócił im je Pedel, który, co niepokojące, odnalazł ich pokój, choć nie powiedziały mu, gdzie się znajduje – ustawiły się przed szafą.

Cait zamierzała chwycić smycz Kopacza, lecz Lucy ją ubiegła. Była to wyłącznie kwestia uporu, skoro pani Tittensor nie mogła widzieć tej sceny, dziewczyna dała jej jednak słowo i tak też powiedziała Irlandce.

– Och, a więc teraz nagle zamierzasz przywiązywać taką wagę do danego słowa – skomentowała rudowłosa, wywracając oczyma. – Trochę za późno, żeby się bawić w taki wzór cnót wszelakich, ale proszę, nie krępuj się.

Lucy spojrzała na szafę i skrzywiła się, próbując nie przypominać sobie, jak wypadła z Kryjówki prosto do cyrkowego namiotu, wraz z dłonią Sary Falk.

– Pojawisz się w ciemności – oznajmił Armbruster. – Nie spodziewa się nas tak szybko, ale jeśli drzwi okażą się zamknięte, na bocznej ścianie znajdziesz dzwonek. Zadzwoń, a on przybiegnie. Choć jeśli wolisz, mogę ruszyć pierwszy.

Ponieważ w jego głosie brzmiała nuta sympatii, jakby wyczuwał, że się boi, dziewczyna pokręciła głową i zebrała się w sobie.

– Poradzę sobie – powiedziała, po czym nie oglądając się na Cait, pociągnęła za smycz i przeszła przez lustro.

Ogarnęło ją znajome wrażenie przebijania, jakby pękała pod nią powierzchnia bańki mydlanej. Drzwi szafy istotnie okazały się zamknięte, a przez szczelinę wpadała jedynie bijąca od świecy smuga blasku szerokości ołówka, Lucy zatrzymała się więc i mrugała przez chwilę, gdy jej źrenice przyzwyczajały się do ciemności. Pies również znieruchomiał, choć z zupełnie innych powodów. Zamarł u jej stóp, z sierścią zjeżoną na grzbiecie.

Gdyby nie zabrała go ze sobą, być może po prostu pchnęłaby drzwi i wpadła do rozciągającego się za nimi pomieszczenia, lecz Kopacz ją uratował.



Cait odwróciła się i zasłoniła obydwóm mężczyznom drogę do szafy.

– Jedna rzecz – oznajmiła. – Ta cała Lucy. Jeśli moja podróż na zachód ma być tak pełna niebezpieczeństw, nie chcę, żeby ze mną szła. Nie chcę narażać jej na niepotrzebne ryzyko, a jest na tyle lekkomyślna, żeby nalegać. Dajcie mi więc słowo, że jeśli Jack Sharp za mnie poręczy, a zrobi to, wówczas ją zostawimy. Będzie się spierać i znienawidzi mnie za to, ale lubię ją i wolę, żeby znajdowała się w bezpiecznym miejscu.

Armbruster i Magill wymienili spojrzenia.

– Umowa stoi – odparł Magill.

– Jeśli rzeczywiście Sharp za panią poręczy – dodał Armbruster. – A teraz idziemy.

– Zrobi to – rzekła Irlandka, obracając się do lustra. – Jest mi winien przysługę...



Lucy stała w ciemnej szafie, wstrzymując oddech i słuchając dwóch głosów, które jednocześnie były dla niej dziwnie znajome i nieznanym. Nie potrafiła przyporządkować ich do żadnych nazwisk, a jednak pobrzmiwały w jej myślach niczym fragmenty melodii, której nie można sobie do końca przypomnieć.

– Wszystko w Londynie zostało przygotowane – mówił pierwszy z głosów. – Myślę, że Mountfellow przebagruje dziś Tamizę przy Schodach Żelaznej Bramy. Gdy tylko wyciągnie Pożogę z głębin, broker Templebane zrobi mu niespodziankę i to, czego pragniemy, trafi w nasze ręce.

– A Nadzór? – zapytał drugi.

– Na wypadek gdyby Nadzór się wmieszał, przygotowano nie jedną, a dwie niespodzianki. Wejdą w strefę rażenia, lecz już jej nie opuszczą. Nadzór jest zniszczony na zawsze.

Choć wciąż nie wiedziała, kto mówi, miała pewność, że żaden z głosów nie należy do Sharpa. Pies u jej boku również był świadom, że coś jest nie w porządku.



W pomieszczeniu za szafą, w której ukrywała się Lucy, Dee i Obywatel siedzieli naprzeciwko siebie przed kominkiem.

– Niech Bóg ześle zarazę na ten przeklęty Nadzór – powiedział Francuz. – Już od zbyt dawna są dla mnie jak jątrząca się rana.

– Pożoga wypali wszelkie rany – odrzekł Dee.

– A później oczyścimy lustra, wszystko stanie się nasze i nikt nie zdoła nas powstrzymać. – Obywatel uśmiechnął się, zatraskując głośno bębenek rewolweru. – Ta amerykańska broń to coś niezwykle pięknego. Naprawdę żyjemy teraz w epoce maszyn i łączymy nasze moce

z owocami nowego przemysłu.

Anglik zamierzał odpowiedzieć, lecz znieruchomiał, pewien, że dobiegło go jakieś skrzypienie od strony znajdującej się po drugiej stronie pokoju serwantki z Murano. Uniósł dłoń, uciszając towarzysza.

Wstał z krzesła, złapał świecznik i wyciągnął długi nóż, po czym ruszył powoli w stronę szafy.

Idąc, pojawił się w polu widzenia Lucy, patrzącej przez wąską szczelinę w niedokładnie zamkniętych drzwiach.

Właśnie wtedy powinna była uciec, ponieważ to tę wysoką postać z ostrzem w jednej dłoni i światłem w drugiej widziała już wcześniej, dawno temu, w smutnym prowincjonalnym miasteczku, kiedy podróżowała z cyrkowcami. Wówczas szła ku niej podobnie jak teraz, tylko że było to częścią wizji, której doświadczyła, spoglądając w lustra umieszczone po obu stronach wejścia do sklepu, gdzie przykucnęła, dochodząc do siebie po innym koszmarze, to jest po Wejrzeniu w scenę spalania przed wiekami młodej wiedźmy. Miała wtedy dość rozsądku, żeby umknąć przed odbiciem nemezis kroczącej przez zwierciadła, lecz teraz, gdy coś, co dawniej wydawało się przecuciem, oblekło się w ciało, ogarnął ją paraliż.

Groza pozbawiła ją możliwości zrobienia jedynej rzeczy, którą powinna była uczynić, czyli odwrócenia się i wskoczenia z powrotem w lustro. Wiedziała o tym, nie potrafiła jednak zrobić kroku. A po chwili było już za późno na ucieczkę.

Dee rozwarł drzwi w tej samej chwili, kiedy ze zwierciadła wyłonili się Magill i Armbruster, a za nimi Cait. Pchnęli Lucy ku Anglikowi, który wyciągnął gwałtownie rękę i przyparł dziewczynę plecami do lustra umieszczonego naprzeciwko tego, którym weszła.

Zanim ktokolwiek zdążył zareagować, zamienił dłonie i przyłożył jej nóż do szyi.

Cait i mężczyźni nie mieli czasu na odpowiedź. Obywatel rzucił się w stronę szafy, celując w nich swoim nowym rewolwerem. Poruszał się tak szybko, że jego krzesło upadło w tył i uderzyło z trzaskiem o podłogę. Przybysze instynktownie oparli się o lustro naprzeciw Lucy, wszyscy uwięzieni w szklistej celi i obróceniu ku sobie w sposób, który wydawałby się niedorzeczny, gdyby nie towarzyszyło mu takie poczucie zagrożenia.

– Nie ruszać się – wysyczał Dee.

– Mam pięć kul – oznajmił Obywatel. – Aż nadto wystarczy dla was wszystkich.

– Panie Sharp – zaczął Armbruster – co się dzie...

Rozległo się pukanie do drzwi. Wszyscy znieruchomieli, gdy dobiegł do nich pełen wahania męski głos, najwyraźniej należący do kogoś zaniepokojonego hałasem:

– *Monsieur! Monsieur! Est-ce qu'il y a un problème?*

– *Non! Allez vous en, et n'espionnez pas vos supérieurs!* – warknął Obywatel.

– *Nous sommes à Paris?* – spytała Lucy, jeszcze bardziej poruszona brzmieniem języka swojego dzieciństwa w tym nieznanym otoczeniu. – Podobno mieliśmy zostać w Ameryce Północnej. Czy jesteśmy... we Francji?

– Nie – odparł niepewnie Magill. – W Montrealu, w Kanadzie. Panie Sharp, dlaczego...?

– Myślisz, że to Sharp? – odezwała się Cait. – To nie Jack Sharp.

– Ona ma rację. To nie... – zaczęła Lucy, lecz przerwała, gdy Dee docisnął nieco nóż, przebijając jej skórę i tocząc kropelkę krwi.

– Cisza! – syknął Obywatel.

– Lucy Harker – prychnął Dee – jeszcze jedno słowo i twoja głowa pożegna się z szyją.

Dziewczyna zamarła, oszołomiona, że człowiek, którego nigdy świadomie nie spotkała, zna jej nazwisko.

– Lucy Harker? – odezwał się Francuz. – No proszę, proszę, jak to się składa. Widzisz, Dee, nic się nie marnuje. Istotnie bowiem jest to Lucy Harker, choć co robi tutaj, tak daleko od Londynu, pozostaje wielką tajemnicą...

Z namaszczeniem zbliżył się do Cait, Armbrustera i Magilla, a lufa jego rewolweru nawet nie zadrżała, co powstrzymało dłoń Irlandki przed próbą wyciągnięcia brzytwy z rękawa.

– Słusznie – powiedział. – Gdyby pani spróbowała dobyć broni, na tych dżentelmenach spoczęłaby zawartość pani głowy.

– Nie chciałam zrobić nic złego – rzekła Cait.

– I nic złego się nie stało – odparł, stając na tyle blisko, by oprzeć wylot lufy o jej pierś. – Kimkolwiek jednak jesteście, przyszłście nieproszeni, a jeśli z lustra wyłoni się was więcej, wy zginiecie jako pierwsi.

– Jesteśmy tylko my, przyjacielu – odpowiedział Armbruster. – Przecież pan Sharp dobrze nas zna.

– Może i was zna, ale to nie Sharp – skomentowała Irlandka.

– Co chcesz zrobić? – zapytał Dee, spoglądając na Obywatela.

Francuz uśmiechnął się i wszedł do szafy, z jednej strony mając Lucy i Dee, z drugiej zaś pozostałych, do których pozostał obrócony. Podniósł rękę i dotknął umieszczonej na suficie ozdoby – intarsjowanej mozaiki wyglądającej jak róża wiatrów wykonana z różnych odcieni brązowego i białego marmuru, błyszczącego jak barani łój w blasku

świec. Coś stuknęło i mężczyzna nachylił się do przodu. Pchnął Armbrustera lufą, żeby ten obrócił się do Cait i przycisnął ją do lustra.

– Spokojnie, proszę pana – rzekła. – Po prostu proszę nam powiedzieć, czego pan chce.

Pozostająca z tyłu Lucy nie widziała jego twarzy, ale słyszała w jego głosie chłodny uśmiech.

– Chcę tylko, żebyście wyszli stąd tą samą drogą, którą przyszedliście.

– Co pan zrobił?

– Poprosiłem was. Uprzejmie. O odejście – powiedział Obywatel, mierząc lufą w Cait i ją szturchając. Armbruster złapał Irlandkę za rękę, żeby nie wpadła w zwierciadło.

– Chwila. Zrobił pan coś z szafą – rzekł.

Francuz znów wymierzył broń w niego.

– Lepiej ich zastrzel – zaproponował Dee. – Nie wiem, dlaczego...

Lucy uświadomiła sobie jedną rzecz, którą mogła zrobić. Skoro mężczyzna nie celował już w Cait, rozwarła dłoń i puściła smycz.

Kopacz skoczył naprzód.

Armbruster poruszył się z zaskakującą szybkością. Odrącił rewolwer przed swojej twarzy, podrywając rękę przeciwnika w górę.

Obywatel nacisnął spust.

W ciasnej przestrzeni jego broń wypaliła z głonością armaty.

Kula przebiła cienką warstwę szkła i marmuru, lecz zanim obsypał ich deszcz odłamków, pies uderzył we Francuza, popychając go na Cait z taką siłą, że upadli na obydwu mężczyzn i wraz z nimi runęli na lustro. W szafie zostali tylko Dee i Lucy, którzy wpatrywali się teraz we

własne odbicia.

Dziewczyna dostrzegła w oczach mężczyzny grozę i niedowierzanie, a następnie poczuła, że nóż przestaje napierać.

– Co ty zrobiłaś? – wydyszał Anglik.

Ponieważ ostrze nie naciskało już tak mocno na jej szyję i słyszała w głosie mężczyzny niepasujące do niego drzenie, Lucy najszybciej jak mogła rzuciła się w tył z zamiarem wskoczenia w drugie lustro.

Być może Dee był oszołomiony, ale pozostał na tyle szybki, żeby ją powstrzymać. Choć wpadła w niekończący się zwierciadlany korytarz i prawie zdążyła się podnieść, on pojawił się zaraz za nią, złapał ją za włosy, szarpnął i znów przyłożył nóż do szyi.

– Ty głupia mała suko – warknął. – Powinienem poderżnąć ci teraz gardło.

Lucy zachowała zupełny bezruch. Słowa uwięzły jej w gardle.

– Zabiłaś go – ciągnął Dee głosem trzęsącym się z niedowierzania. – Rozumiesz to? Zabiłaś go.

Wpatrywał się w nią zszokowany. A później ruszył do działania, jakby raptownie się opamiętał. Jedną dłonią trzymał zakrzywione ostrze przy jej szyi, drugą zaś przesuwał po jej ciele w poszukiwaniu broni. Znalazł wszystko, co schowała, i umieścił w swoich kieszeniach.

Odsunął się lekko i milczał przez kolejną irytująco długą chwilę, uspokajając oddech. Niemal widać było obroty zębatek jego umysłu, gdy dostosowywał się do nowej rzeczywistości.

– Tak – powiedział. – Tak.

Znalazł w swoim płaszczu kawałek jedwabnej linki i zarzucił ją dziewczynie na szyję. Dopiero wtedy cofnął się

o krok i na nią popatrzył.

– Zabiłaś go – powtórzył głosem, w którym słychać było teraz więcej zmęczenia niż złości. – Zabiłaś Obywatela. Głupia mała dziewczynka pozbawiła życia tak wielkiego człowieka niemal przypadkiem, jakby to nic nie znaczyło.

– Po prostu wysłałam go za pozostałymi – odrzekła, odzyskując nieco odwagi. – Nikogo nie zabiłam.

– To była pułapka – oznajmił Dee. Jego wygląd zdradzał takie samo wyczerpanie jak głos. – Używałem jej już wcześniej. Powstała specjalnie na takich jak ty, którzy wtrącają się do nie swoich spraw. – Zresztą swoich przyjaciół też zabiłaś. Widziałbym w tym ironię, gdyby nie była to tak ponura, krwawa tragedia.

Cait i Amerykanie nie żyli.

Lucy uświadomiła to sobie nagle, wraz z poczuciem, jakby poniżej mostka otworzyła jej się ziejąca dziura. Miała wrażenie, jakby jej oczy stały się gorące. Wzięła głęboki oddech. I kolejny.

– No to trochę głupio tak wpaść we własny potrzask – stwierdziła, uznając, że nie będzie płakać przed tym przerażającym, przypominającym kozła człowiekiem.

– Był inteligentniejszy niż każdy, kogo kiedykolwiek poznasz – wysyczał Dee. – Czy wiesz, kim był, co zrobił, jak oszukał śmierć...?

– Ach – skomentowała Lucy.

– Co „ach”?

– Czyli był oszustem? Oszustwo nigdy nie popłaca.

Pociągnął mocno za linkę, zaciskając węzeł i sprawiając, że dziewczyna zaczęła się krztusić.

– Powiniennem zawiązać to mocniej – warknął. – I obserwować, jak się dusisz i umierasz. Bo on to właśnie teraz robi. Tak samo jak twoi przyjaciele i ten cholerny

pies. Umierają, zapewne w wyniku utonięcia, pozbawieni tlenu, na dnie bardzo głębokiego jeziora na zupełnym odludziu.

Gwałtownie szarpnęła za pętlę, by móc odetchnąć.

– Co? – wydyszała.

– Pułapka. Wpadli w nią. Para luster przypadkiem zsunęła się z czołna, gdy jeden z tych przeklętych *coureurs de bois* pokonywał odległe jezioro. Niemal zginąłem, gdy zajrzałem tam i je znalazłem, a było wtedy lato. Spodobał mu się taki pomysł na potrzask. Nazywał go swoją polisą ubezpieczeniową. – Mężczyzna pokręcił głową. – Nasz plan był najdoskonalszy na świecie. I ty, takie zupełne nic, bezrozumna dziewczynka, nawet nie mężczyzna, ty go zepsułaś.

Wyjął z płaszcza Kłębek z Coburga i wyciągnął przed siebie. Obracał go w dłoni i powoli zataczał nim szeroki łuk, aż usłyszał pierwszy charakterystyczny trzask. Zatrzymał się i zwrócił w stronę, w którą wskazywało urządzenie.

– Często coś psuję – rzekła Lucy, słysząc w swym głosie tępy ból. – To mój wyjątkowy talent.

– A teraz pójdziesz – oznajmił, gestem każąc jej ruszać. – Pójdziesz ze mną do Londynu.

– Dlaczego mnie po prostu nie zabiłeś? – zapytała. – Chciałeś tego. Widziałam to w twoich oczach.

– Bo jesteś zakładniczką. A zakładnicy czasami mają wartość.

– Nikt w Londynie za mnie nie zapłaci. Możesz mnie po prostu puścić.

– Nie wiesz o nikim z Londynu, kto by za ciebie zapłacił – powiedział, celując w nią kulami z kości słoniowej. – Ale to, czego nie wiesz, mogłoby wypełnić ocean. Idź przed siebie i milcz. Nie chcę przegapić kolejnego odgłosu.

Lucy szła więc przed nim przez nagie, jednolite korytarze, walcząc z zawrotami głowy wywołanymi niezmienną scenerią i myśląc, że dokądkolwiek ją zabiera, nie będzie to dla niej dom. Nie miała bowiem domu, ani teraz, ani nigdy wcześniej.

Cait nie żyła. I to ona doprowadziła do jej śmierci.

ROZDZIAŁ XLV

Wymiana podarunków

Gdy Sara otworzyła drzwi Banialuki, ujrzała stojący tuż za nimi taboret, a na nim starannie złożony koc i bransolety. Podeszła tam w reakcji na uporczywe pukanie bardzo chudego i bardzo energicznego chłopca na posyłki, który najwyraźniej przebiegł całą drogę ze szpitala Bedlam, skąd przyniósł niezdarnie nagryzmołoną wiadomość od Ketcha. Traktowała o gościach, którzy zeszłego dnia odwiedzili Corama.

Sara podała gońcowi małą monetę i cynowy kubek z wodą, a Kucharka poczęstowała go wczorajszą lukrowaną bułeczką.

– Co? – zapytała Kucharka, spoglądając na Sarę wpatrzoną w liścik.

– Wygląda na to, że Coram Templebane się odezwał. Ketch sądzi, że znów chce mówić. Z nami.

– No to chyba dobrze. Zaparzę kawę.

– Może – odrzekła Sara, zerkając na notkę.

– Co to jest? – spytał Sharp, podchodząc od tyłu.

Wskazała głową bransolety z trzech rodzajów drewna.

– Zielony Człowiek zniknął. Zostawił to...

– Co to? – również chciał wiedzieć Charlie, który, podobnie jak Ida, wszedł innymi drzwiami. Oboje wyglądali na zarumienionych od biegu.

– Dąb, jesion, tarnina – odparł Sharp, po czym wziął od Sary wiadomość i przeczytał ją, marszcząc brwi.

– Włóżcie je – powiedziała Sara, rozdając im przedmioty,

po czym nasunęła opaskę również na własny nadgarstek.

– Na szczęście? – zapytała Ida.

– Dla ochrony. Zaopiekowaliśmy się nim i odwzajemnił przysługę w jedyny sposób, w jaki potrafił – wytłumaczył Hodge, który siedział przy ogniu z Jedem u stóp, tak nieruchomo, że dotąd nikt go nie zauważył. – Mnie też dajcie jedną.

Charlie spełnił jego prośbę.

– Dlaczego wróciliście tacy zarumienieni i zmartwieni? – dopytywał Sharp, oddając kartkę Sarze.

– Sluagh znów są przy Gut – odrzekła Ida.

– I dobrze – stwierdziła Kucharka. Kciukiem wskazała przez ramię na pokój, w którym leżał ranny. – On tam umiera. Co robimy?

Sara i Sharp przeszli za nią do sypialni. Sluagh spoczywał na łóżku, tak nieruchomo, że musieli go obserwować przez dłuższą chwilę, żeby się upewnić, czy wciąż oddycha.

– Patrzcie – odezwał się Sharp, pokazując splątane gałązki okalające wychudzony nadgarstek Sluagh. – Zielony Człowiek zajrzał również tutaj, zanim odszedł.

– Tak – zgodziła się Falk, spoglądając na świeżą bransoletkę na swojej ręce. – I chyba pokazał nam, co mamy zrobić. – Wyprostowała ramiona i podniosła wzrok. – Zatem zróbmy to, a później sprawdzmy, co takiego chce nam powiedzieć Coram Templebane.

– Jest obłąkany – oznajmił Hodge. – Pewnie pójdziemy tam i dowiemy się, że znowu zamknął się w sobie.

– Będziemy się tym martwić, jeśli tak się stanie – uznał Sharp. – A teraz chodźmy do naszych wytatuowanych przyjaciół.



Sluagh, skryci w głębokim cieniu magazynu, obserwowali Sharpa idącego ku nim po moście.

– Czy Kowal wrócił? – spytał z paskudnym uśmiechem wyższy z nich. Miał na głowie Słonkową Koronę.

– Nie – odparł Sharp. – Ale ja wróciłem.

– Och – rzekł Sluagh. – Z pewnością wkrótce się pojawi. Ale jeśli dla zabicia czasu masz ochotę skrzyżować ostrza, to z chęcią pokażę ci twoje wnętrzości.

– Nie przyszedłem tu, żeby walczyć. I jeśli nie zobaczę, że kogoś krzywdzisz, moje klingi pozostaną schowane.

– Boisz się? – mruknął inny, wychodząc zza Słonkowej Korony. Był to Czaszka Borsuka.

– Wielu rzeczy – przyznał Sharp. – Nie jestem bowiem głupcem ani samochwałem jak wy.

Słonkowa Korona zasyczał i zaczął wyciągać broń.

Sharp nawet na niego nie spojrzał. Krzyżował wzrok z drugim Sluagh.

– Ale my nie jesteśmy jedną z rzeczy, których się boisz – stwierdził Czaszka Borsuka, uspokajająco kładąc dłoń na ramieniu towarzysza. Popatrzył ponad ramieniem Sharpa. – Ta z bronią na strzały obserwuje, prawda?

– Owszem.

– Ale to nie dlatego się nas nie boisz. Czemu więc?

– Ponieważ znam swoje możliwości. A poza tym wiem, po co przyszedłem z wami rozmawiać.

– A dlaczego mielibyśmy z tobą rozmawiać, kundlu? – zapytał Słonkowa Korona. – Dlaczego Czyści mieliby się zadawać z takimi mieszkańcami jak ty?

– Bo przyszedłem prosić was o pomoc.

Zapadła cisza. Dwaj Sluagh popatrzyli po sobie.

– Naszą pomoc? – upewnił się Słonkowa Korona. – Co to ma być za sztuczka...?

– Żadna sztuczka – odrzekł Sharp. – Potrzebuję waszej pomocy.

– To możesz o nią skamlać, szpotawy bękarcie...

– Dość – oznajmił Czaszka Borsuka i położywszy dłoń na piersi kompana, odsunął go o krok. – Co skłania Nadzór do proszenia o pomoc nas, waszych zaprzysięgłych wrogów?

– My żadnej takiej przysięgi nie składaliśmy – stwierdziła Sara, wychodząc z mroku za ich plecami. Sluagh obrócili się, natychmiast wyciągając ostrza. Najwyraźniej uznali, że zostali okrążeni i znaleźli się w pułapce. Sara szła ku nim z rozłożonymi szeroko rękoma. – Nie jestem uzbrojona, mało tego, mogę podać wam rękę.

– Dlaczego miałbym ją przyjąć? – zapytał Słonkowa Korona, aż jeżąc się z wściekłości. Napiął się pod silnym chwytem swojego zwierzchnika.

– Bo jeśli was zaproszę i przeprowadzę za rękę, będziecie mogli pokonać płynącą wodę, prawda?

Obydwaj Sluagh wpatrywali się w nią w osłupieniu.

– A dlaczego miałabyś to zrobić? – chciał wiedzieć Czaszka Borsuka.

– Jeśli nie po to, żeby wciągnąć nas w pułapkę? – dodał jego kompan.

– Ponieważ uratowaliśmy jednego z waszych z laboratorium, w którym człowiek przeprowadzał na nim eksperymenty. Toczył z niego krew. Jest na skraju śmierci, a my nie dysponujemy wiedzą pozwalającą go uleczyć – wyjaśniła kobieta.

Sluagh wbili w nią wzrok.

– Proszę, pospieszcie się – powiedziała.

– Dlaczego to robicie? – spytał Czaszka Borsuka.

Sara uniosła pięść i pokazała mu pierścień z krwawnikiem.

– Bo tak nakazuje nam Prawo i Obyczaj – oznajmiła, a następnie rozłożyła dłoń w zapraszającym geście. – Weźcie trzech, żeby go nieść, bo nie może iść.

Czaszka Borsuka wahał się przez chwilę, po czym ujął jej rękę i pozwolił przeprowadzić się przez wąski most.



Kucharka ostrzegła Amosa, że nadchodzą Sluagh. Chłopak zbladł i wyglądał na spanikowanego, więc wyjaśniła mu, o co chodzi. Co prawda próbował ją przekonać, że Sluagh nie wolno ufać, ale ostatecznie pozwolił się zaprowadzić na górę i zgodził się tam siedzieć, dopóki nie odejdą. Mimo to gdy weszli, poczuł ich wibracje. Robił, co w jego mocy, żeby nie słuchać ich myśli oraz rozmowy, wycofał się do fortecy, którą starannie wzniósł w swoim umyśle.

Kiedy Czaszka Borsuka i Słonkowa Korona zostali wprowadzeni do ранnego Sluagh, ich zaskoczenie zaczęło się przeradzać w furję. Wbrew sobie Amos słyszał, jak ich myśli zbliżają się do punktu krwawego wrzenia. Nie doszło jednak do krwawej konfrontacji, głównie dlatego, że Kucharka wpadła z kocem i nakazała, by trzymać go niczym nosze, tak by w drodze choremu było wygodnie. Wówczas Czaszka Borsuka, przyjrząwszy się uważnie ранnemu, lakonicznie poinstruował swoich towarzyszy, żeby jak najszybciej zabrali poszkodowanego z okolic Londynu i udali się do scowle.

Podnieśli go z posłania, a Słonkowa Korona, który wydawał się jego zastępcą, poprowadził ich zwawym tempem do mostu, w eskorcie Sary, Sharpa, Kucharki oraz Charliego.

– Poślemy go do Shee – powiedział Czaszka Borsuka, gdy

znów pokonywali wodę.

– Przetrwa podróż? – spytała Kucharka.

– Jeśli nie, to umrze pośród swoich – odparł Słonkowa Korona.

– A jeśli przetrwa – dodał Czaszka Borsuka – Shee zdołają uleczyć go lepiej niż my.

– Życzymy mu dobrze – rzekła Sara.

Słonkowa Korona zatrzymał pochód i się odwrócił.

– Wy? Nadzór? Życzycie mu dobrze?

Splunął na ziemię.

– Inaczej dlaczego przyprowadzilibyśmy was do niego? – zapytała Sara.

Czaszka Borsuka gestem nakazał Słonkowej Koronie, żeby wraz z resztą szedł dalej. Odprowadził kompanów, po czym spojrzął na Sarę.

– Nie lubi sądzić, że jesteście wam coś winni – oznajmił.

– Nie jesteście.

Wzruszył ramionami.

– To prawda. Wasze dawne zdrady przyćmiewają ten niewielki gest, jak góra przeważa nad myszą.

– Ależ to uprzejme z twojej strony – skomentowała Kucharka. – Nie pozwól nam się dłużej zatrzymywać.

Uśmiechnął się.

– Dam wam coś równoważącego wasz czyn. Coś, czego nie macie.

– Mógłbyś po prostu podziękować i pójść za towarzyszami. To by nam wystarczyło.

– Kucharko – rzekła ostrzegawczo Sara.

– Mój dar jest formą podziękowania. Ale obawiam się, że może wam się nie spodobać.

– Moim zdaniem to pewnik – uznała Kucharka.

– On nie wróci – oznajmił Czaszka Borsuka.

Kucharka, Sara i Sharp znieruchomieli.

– Chyba nazywacie to „informacją”. – Wśród pokrywających twarz tatuaży pojawił się wąski uśmiech. – A przynajmniej tak mówi ten przebiegły człowiek, Templebane. Przykłada wielką wartość do „informacji”. Zatem proszę. Mój dar. Nie wiedzieliście. Żyliście fałszywą nadzieją. Teraz wiecie.

– Co wiemy? – spytał Charlie.

– On ma na myśli Kowala – wypalił Sharp. – Choć skąd to wie...

– Shee – wyjaśnił Sluagh. – Wiedzą to, co widzą kruki. I zobaczyły, że Wayland Kowal zniknął, wszedł pod wzgórze. I taka jest prawda.

Z tymi słowy uklonił się lekko, odwrócił i odszedł.



Czaszka Borsuka dogonił Słonkową Koronę, gdy ten odprawiał czterech Sluagh, którzy mieli zanieść rannego aż do *scowle*. Gdy tamci odeszli, Słonkowa Korona zmierzył starszego kompana wzrokiem.

– Mogliśmy ich zabić – powiedział. – Byliśmy na tej ich przeklętej wyspie.

– A oni mogli pozwolić mu umrzeć.

– I tak umrze.

– Może tak, może nie. Jeśli nie, to dzięki ich staraniom.

– A jeśli umrze? – warknął Słonkowa Korona.

– Wówczas ich starania wcale nie stracą znaczenia.

– Czyli jesteśmy im winni życie?

Czaszka Borsuka wyciągnął ostrze. Spoglądał na nie przez dłuższą chwilę, jakby przypominał sobie, w jaki sposób znalazły się na nim każda pradawna rysa

i wyszczerbienie. Słonkowa Korona i pozostali członkowie drużyny patrzyli na niego w milczeniu.

– Nie mówię, że jesteśmy im cokolwiek winni – rzekł. – Wskazuję jedynie, że uczynili coś, czego nie robili od bardzo dawna.

– Popełnili błąd? – spytał Słonkowa Korona.

– Nie – prychnął jego zwierzchnik. – Nie. Ten Nadzór, ta Ostatnia Ręka, popełnił mnóstwo błędów.

Powstrzymał śmiech i schował klingę.

– Zatem czego takiego nie robili od bardzo dawna? – dopytywał Słonkowa Korona.

Czaszka Borsuka skrzyżował z nim spojrzenie.

– Wypełnili swój obowiązek. Wobec nas. Wobec Sluagh. Nie tylko wobec grzebiących w świetle ludzi z Głodnego Świata.

– Co to oznacza? – chciał wiedzieć inny członek grupy.

– Nie wiem – odparł Czaszka Borsuka. – Być może nic. A być może to, że Shee mają słuszość.

– Nie – wysyczał Słonkowa Korona. – Nie musimy się zmieniać.

– Może nie. Ale musimy myśleć – oznajmił Czaszka Borsuka, spoglądając z niesmakiem na słońce. – Całe to światło wywołuje u mnie mdłości. Będziemy mieli dość czasu, żeby o tym porozmawiać, gdy zemścimy się na Mountfellonie. Nadciąga odpływ. Chodźmy do Schodów Żelaznej Bramy. Jeśli Templebane mówił prawdę, czeka tam krew do przelania, zanim wzejdzie księżyc.

ROZDZIAŁ XLVI

Nadciągający chłód

Gdy znienawidzeni Sluagh się oddalili, Amos zszedł do kuźni. Wszyscy siedzieli tam wokół stołu, zbyt oszołomieni, żeby rozmawiać. Nawet Kucharka spoglądała w pusty kubek po herbacie, nie myśląc o dolewce dla siebie lub kogoś innego.

– Kowal nie wróci – oznajmił beznamiętnie Hodge. – Ktoś musi to powiedzieć głośno. Jesteśmy skończeni. Jesteśmy zdani na siebie.

– Nie – sprzeciwiła się Sara. – Wciąż mamy Rękę.

Teriernik wstał i oparł się pięściami o blat stołu.

– Nie, Saro Falk. Właśnie to jest ta chwila, kiedy musicie się rozproszyć i szukać nowych członków, żeby ustanowić Nadzór na nowo. Ja zostanę i będę strzegł kruków w Wieży. Zdarzało się to już wcześniej. Kowal mówił nam, że tak działało się przynajmniej trzykrotnie w naszej historii.

Kucharka odchrząknęła.

– Ach. Ale skoro o tym wspominasz, to nigdy nie opowiadał, w jakich konkretnie okolicznościach się to zdarzyło, prawda?

– Co masz na myśli? – spytał Hodge. Sprawiał wrażenie nieco urażonego.

– To, że być może jego odejście i brak powrotu bez ostrzeżenia może nie być z tym powiązane.

– Nigdy celowo nie zostawiłby nas bez wyjaśnienia – odparł Sharp. – Bez niego nie wiemy, w jaki sposób się porozumiewać, gdy rozejdziemy się na cztery wiatry, jak

szukać, jak przekonywać tych, których znajdziemy, żeby się do nas przyłączyli...

– Kiedy zginęli moi rodzice, zostałam sama, jak i my jesteśmy teraz sami – powiedziała Sara. – Odsunęła rękę od dłoni Sharpa i rozejrzała się wokół stołu. – Nie poddałam się, a przecież nie przekazali mi, co konkretnie mam robić. Dojrzałam.

– Ale miałaś Kowala – rzekł Sharp.

– A my mamy siebie nawzajem – zripostowała i zaczęła odliczać: – Kucharka. Hodge. Charlie Pyefinch... Ida?

Dziewczyna skinęła głową.

– Oczywiście – rzekła. – To raczej nie chwila na powrót do domu, prawda?

– Dziękuję ci – odparła Falk. – Pięcioro. To Ręka.

„Możecie też liczyć na moją pomoc, jeśli wam się do czegoś przyda”.

Wszyscy obrócili się w stronę Amosa, który stał w drzwiach z niepewną miną.

– Tobie również dziękuję – rzekła Sara. – Może się przyda. Mamy Rękę. Możliwe, że w naszych najgorszych chwilach odradzamy się, dorastając i pomagając sobie. I być może gdyby osiemdziesięcioro pięcioro z nas nie zostało zabitych podczas Katastrofy, zostalibyśmy nauczeni, że właśnie w taki sposób Nadzór raz za razem powstaje z popiołów, niczym feniks. Kto wie? Może gdyby żyli, byłoby więcej czasu na lekcje o naszej przeszłości, ale nie żyją. Zabił ich Obywatel. I od tamtej pory jedynie próbujemy utrzymać się na powierzchni. Tylko pojedyncza Ręka mogła starać się ratować miasto, tylko pięcioro mogło strzec Pożogi.

– Sześcioro – sprostował Sharp. – Zawsze było sześcioro. Emmet jest jednym z nas. Wiecie, że od początku tak

uważałem. Być może to właśnie na nim najbardziej można polegać.

– Zatem dojrzeliliśmy – ciągnęła Sara. – Zostaliśmy sami. Próbujemy znów odbudować szeregi. Walczymy z wrogami i strzeżemy, ponad wszystko strzeżemy Pożogi, dopóki nie wróci Kowal.

– A jeśli nie wróci? – zapytała Kucharka.

– Wówczas być może, gdy bieżące zagrożenie przeminie, pójdziemy go poszukać. – Omiotła wszystkich wzrokiem. – Ale nie wcześniej.

– Nie wiem, dokąd zmierza świat, skoro ktoś, kogo huściliśmy na kolanie jako dziecko, mówi nam, żebyśmy dojrzelili – stwierdziła Kucharka, pociągając nosem.

– Ku rozsądkowi? – podsunęła Sara. – Obróciła się do Amosa. – Nie wiem, czy możemy ci ufać, i nie wiem, jak cię sprawdzić. Będę więc musiała zaryzykować...

– Nie, Saro... – zaczął Sharp.

– Dość – warknęła i natychmiast pożałowała ostrego tonu, który usłyszała w swoim głosie. – Przestań się o mnie martwić, przestań się o mnie troszczyć, a przede wszystkim przestań mówić mi, że się mylę. Ktoś musi podejmować decyzje, nawet jeśli są one złe, ponieważ jedna rzecz jest pewna: jeśli dalej będziemy spędzać czas na debatowaniu, co zrobić, jeśli na tym poprzestaniemy, z pewnością poniesiemy porażkę i Obywatel zwycięży.

Sharp otworzył usta, żeby zaprotestować, lecz zamknął je, widząc ostrzegawcze spojrzenie Kucharki.

– Dobrze – uznała Sara. – Teraz liczy się tylko sprawa bieżąca. Weź Amosa Templebane'a i sprawdźcie, czy to on jest nożem, który zdoła otworzyć ostrygę milczenia jego brata. Musimy wiedzieć, jak daleko rozrósł się rak tej zмовy, jeśli chcemy go wypalić.

– Tak jest, panno Falk – odparł Sharp, kłaniając się sztywno. – Jak sobie panna życzy.

Obserwowała, jak gestem przywołuje Amosa i wychodzi, nie oglądając się za siebie. Była mu za to wdzięczna. Gdyby na nią zerknął, mogłaby się złamać i przeprosić, że złajęła go publicznie. Jednak minął już czas na sentymenty.

Poczuła nadciągający wraz z wiatrem chłód. Miała nadzieję, że to Obywatel odejdzie, ale jedna rzecz była pewna.

Ktoś umrze.

ROZDZIAŁ XLVII

Zabójczy strop

Cait wypadła z lustra tyłem i jednocześnie wydarzyło się kilka rzeczy. Żadna z nich dobra.

Ze światła trafiła w atramentową czerń.

Z ciepłego pomieszczenia trafiła do lodowatej wody.

Tak lodowatej, że aż zapiekły ją oczy.

Szok niemal ją sparaliżował i tylko dzięki temu udało jej się nie zachłysnąć. Zanim jednak powstrzymała odruch odetchnięcia, wypuściła połowę trzymanego w płucach powietrza.

Armbruster i Magill przetoczyli się po niej, zupełnie straciła poczucie, gdzie jest góra, a gdzie dół. Oberwała dotkliwie łokciem w oko i kolanem w żebra, a później coś włochatego przedarło się obok niej, ryjąc pazurami jej policzek w rozpaczliwej próbie dotarcia do powierzchni, i zorientowała się, że to Kopacz.

Szarpnęła nogą, żeby popłynąć za psem, zbyt zdenerwowana, by zauważyć, że uderzyła butem coś, co mogło być głową Magilla lub Armbrustera.

Wznosząc się, czuła, jak potężne ciśnienie napierające na jej uszy łagodnieje, i choć coraz bardziej paliło ją w płucach, ignorowała to i zaciskała zęby, żeby nie nałykać się wody, uparcie prąc ku powierzchni.

Przedzierała się przez mrok, który rzedł z każdym ruchem. Dostrzegala różowy blask, który wydawał się zdradziecko ciepły.

Tuż nad sobą widziała sylwetkę psa, ciemny smukły

kształt płynący ku czerwonawemu światłu.

Odepchnęła się mocniej z zacieklą desperacją. Zamierzała wykorzystać całą energię, zanim lodowata woda pozbawi jej kończyny czucia i zamroczy myśli.

Kolejny raz szarpnęła nogami i uderzyła w powierzchnię.

Mocno.

Na tyle mocno, że zaboląło. Na tyle mocno, że przed oczyma pojawiły jej się gwiazdy.

Zastygła z dłonią opartą o nieruchomy strop.

Nad wodą nie było powietrza.

Tylko gruba warstwa lodu.

Amrbruster i Magill pojawili się po jej bokach, lecz miała zbyt zamglone pole widzenia, żeby dostrzec wyraźnie ich twarze. Uderzali, walili ile sił w lodowy dach, lecz ten ani drgnął.

Walcząc z paniką, Cait sięgnęła do wewnętrznej kieszeni płaszcza i wyciągnęła jedną ze świec Nadzoru. Miała wrażenie, jakby jej palce nie należały do niej, były jak odrętwiałe gumowe serdelki wydające się działać z opóźnieniem. Świeca wypadła jej z ręki, więc czym prędzej po nią sięgnęła, złapała ją jednak tak niezdarnie, że ją złamała i w dłoni został jedynie ogarek. Ścisnęła go mocno i poruszyła nadgarstkiem.

Świeca zapłonęła, ukazując jej piekielną wizję.

Ostry, migotliwy blask Pożogi przemienił Magilla i Armbrustera w makabryczne marionetki o wybałuszonych oczach, wydętych policzkach i zaciśniętych ustach. Młócili wodę rękami i desperacko uderzali w gruby, nieustępliwy lód, używając noży jak kilofów.

Ich szturm nie przynosił żadnego efektu.

Cait ponad wszystko pragnęła zaczerpnąć tchu, ból rozdzierał jej płuca.

Armbruster wyszarpnął broń z kabury, lecz zaraz ją upuścił. Pokoziołkowała w rozciągającą się poniżej ciemność.

Tymczasem Kopacz umierał.

Przestał się szarpać i otworzył pysk, gdy odruch kazał mu zaczerpnąć wody. Zachłysnął się i zaczął opadać ku dnu.

Nie, pomyślała Cait.

Nie.

Lewą dłonią złapała psa za ogon, prawą zaś zacisnęła na świecy i uderzyła płomieniem Pożogi w lodową skorupę. Poczowała, jak ogień rośnie, ogrzewając otaczającą ją wodę. Wciąż odpychała się nogami, próbując napierać od dołu na nieruchomy strop.

Magill podpłynął do niej i swoim wielkim nożem zaczął dźgać lód bliżej światła.

Nie miało to jednak sensu. Byli zgubieni. To był koniec.

Cait zostało energii wyłącznie na jeden zaciekły cios. Cofnęła pięść i w ostatecznym akcie sprzeciwu wbiła ją w lód, nie tylko uderzając w nieugiętą barierę oddzielającą ją od powietrza, nie tylko tłukąc z całą pozostałą jej nadzieją, lecz również miażdżąc wszystko, co doprowadziło do tego nagłego, groteskowego i nieodwracalnego końca; grzmociła cały przeklęty świat, wkładając w to całą siłę i cały gniew, jakie zostały jej w umierającym ciele. Nie przejmowała się tym, że może połamać sobie kości, ponieważ woda i tak zaraz uwolni ją od wszelkiego bólu...

Ponad jej ciałem zaś nie będzie żadnego nagrobka wskazującego jej miejsce spoczynku, jedynie płaska lodowa powierzchnia, samotne zamarznięte jezioro otoczone stromymi zboczami, które porastają stare sosny przysypane

grubą warstwą śniegu. Ponad tym wszystkim widniały ogromne góry, których spiczaste szczyty wznosiły się w ciemne niebo. Krwisty zmierzch malował wszystko rumianym światłem, choć od północy nadciągały ciemne burzowe chmury.

Nic nie poruszało się w tej rzeźkiej, zimnej chwili poprzedzającej zachód słońca – pozostawienie świata mrokowi i kolejnej śnieżycy.

Nic nie poruszało się oprócz małej pięści, która przebiła się przez zabójczy strop, pięści niosącej ogień, pięści należącej do wysokiej rudowłosej kobiety. Irlandka wy dostała się na powierzchnię, wyciągnęła też psa i po prostu leżała na lodzie, a dwóch ludzi gór gramoliło się za nią. Magill podciągnął się na swoim nożu wbitym w taflę i pomógł wyjść krztuszącemu się Armbrusterowi.

Cait przekręciła się i sięgnęła po Kopacza.

– Ja to zrobię – wycharczał Magill, po czym puścił nóż, wstał chwiejnie, złapał psa za tylne łapy i podniósł go głową do dołu, lekko nim potrząsając.

Kopacz zakrztusił się i wydał z siebie chrapliwy, bulgotliwy odgłos, gdy woda opuszczała jego płuca, a następnie szarpnął się raz i drugi. Mężczyzna na wpeł odłożył go, na wpeł upuścił, po czym sam również opadł na lód, łapiąc powietrze. Kaszląc i się krztusząc, pies wracał do życia.

– Do cholery – zdołał powiedzieć Armbruster. – Co to było, do diabła...?

Magill pokręcił głową.

– Nie mam pojęcia – odparł. – Ale żyjemy.

– Wydostańcie mnie stąd albo to się zmieni – dobiegł ich głos Obywatela, a wraz z nim charakterystyczne stuknięcie odciąganego kurka rewolweru.

Cait przeturlała się i zobaczyła wystające z otworu plecy starca, który celował w Armbrustera.

– Masz zamkniętą broń – oznajmił Magill.

– Ale szczelne pociski. Jeśli życzysz sobie demonstracji, chętnie odstrzelę ci głowę. W-wyciągnijcie mnie stąd.

Miał bladą twarz i zsiniałe usta, lecz oczy płonęły zacieklą furją.

Armbruster popatrzył na Magilla.

– Jest szansa, że nie wypali – rzekł. – No i on trzęsie się jak...

Cait nie musiała wiele robić. Nie musiała się nawet podnosić. Wyciągnęła tylko rękę, złapała rękojeść upuszczonego przez Magilla noża i wykonała potężny, szeroki zamach po lodzie, pozwalając, żeby ciężar długiej broni o ostrej jak brzytwa klindze przeciął Obywatelowi kark i kręgosłup.

Siła ciosu sprawiła, że odcięta głowa zakołysała się kilkakrotnie i Irlandka zobaczyła szok malujący się w szeroko otwartych oczach Francuza. Po chwili czerep stoczył się na bok, z ciała zaś trysnęła ciemna fontanna. Korpus opadł z powrotem do wody i zniknął w głębinie.

Cait z trudem podniosła się i spojrzała najpierw na głowę, a później na Magilla i Armbrustera, których twarze wyrażały coś pomiędzy szokiem a czymś zbliżonym do podziwu.

– Co? – zapytała. Zaczęła drzeć, na poły z powodu silnego zimna i adrenaliny krążącej w żyłach.

– Nic – odparł Magill.

– To dobrze – odparła. – Za dużo było tu gadania, a ja po tym wszystkim nie zamierzam zamarznąć na śmierć.

Znów popatrzyła na czerep Obywatela, po czym kopnęła go, posyłając w przerębiel. Tam zakołysał się, zabalgotał

i zatonął bez śladu.

Kobieta podała Magillowi nóż.

– Świetna broń – powiedziała.

Przyjął ją automatycznie dłońmi trzęsącymi się z chłodu, wciąż skupiając wzrok na dziurze w lodzie.

– Kim, do diabła, był ten człowiek? – spytał.

– To nie jest dobre pytanie, Jon – odrzekł Armbruster, rozglądając się po lodowych szczytach i sosnowym gąszczu.

– To odpowiednie brzmi: gdzie, do cholery, jesteśmy?

– To akurat proste – powiedziała Cait, szczękając zębami. Ślizgając się i zataczając, ruszyła po lodzie w kierunku brzegu wytyczonego linią drzew. – Jesteśmy tam, gdzie zginiemy, jeśli nie ogrzejemy się i nie wysuszymy, zanim znów zaczną padać śnieg.

Zaczęła biec ku sosnom.

– Dlaczego idziesz właśnie w tamtą stronę? – zapytał Magill.

– Po prostu podążam za psem – odparła Irlandka. – Zmierza do drzew. – Drżącą dłonią sięgnęła za pazuchę, wyjęła ostatnią świecę i uniosła ją wysoko. – A drzewa płoną.

Mężczyźni popatrzyli po sobie, po czym niepewnie podążyli za nią.

– Niepokoi cię, że chyba uratowała nas już dwa razy? – rzucił Armbruster.

– Ani trochę – odparł Magill. – Wygląda na to, że tworzymy dobrą drużynę.

– Nie jesteśmy drużyną – wyjąkała Cait przez zęby dzwoniące jak kastaniety. – Jesteśmy po prostu trojgiem p-p-przeklętych idiotów idących za podtopionym psem.

– A mnie to niepokoi – rzekł Armbruster. – Niemal tak bardzo jak niewiedza, kim był ten gość podający się za

Sharpa.

– Za często się zamartwiasz – skomentował jego towarzysz.

– Niepokoi mnie to, bo teraz jesteśmy jej dłużnikami. A to oznacza, że musimy jej pomóc znaleźć to dziecko, o którym ciągle mówi.

Magill skrzywił się, szcękając zębami.

– Na razie spróbujmy dożyć do rana – uznał. – Odnajdywanie skradzionych dzieci to zupełnie inna opowieść.

ROZDZIAŁ XLVIII

Nóż do otwarcia ostrygi

Coram Templebane przysiadł niepewnie na wysokim trzynogim taborecie w wąskim magazynku, w którym wcześniej przesłuchiwali go Sharp i Hodge. Odchylił się do tyłu i poczuł szorstką fakturę ochronnych wiklinowych koszy, w których umieszczono stojące na półce gąsiory. Przesuwał grzbietem w górę i w dół, by pozbyć się irytującego swędzenia, które dręczyło go już od kilku dni. Zbiegło się to z wiadomością, która nim wstrząsnęła, ponieważ pochodziła z dawnego życia, tego, które wiódł poza względnie bezpiecznym szpitalem i w którym obecny był Ojciec Dzienny. Wciąż czuł się zdradzony przez Issachara, ale co ważniejsze, bał się go. Nie zdawał sobie sprawy, w jakim stopniu, dopóki bracia nie dostarczyli wiadomości. Była ona prosta, sprowadzała się do tego, że wszystko zostanie mu wybaczone, jeśli powie Ketchowi, że chce przekazać coś Nadzorowi. Powiedziano mu, co to ma być, i zapewniono, że jeśli tego nie zrobi, Issachar pošle kogoś innego, żeby spytał, dlaczego tak się stało. „Posłanie kogoś innego” w żargonie Templebane’ów zawsze oznaczało wyrok i usłyszawszy tę groźbę, Coram zareagował odruchowo. A jednak w jego piersi wciąż płonęła iskra uporczywości i przez cały dzień udało mu się nie odezwać, co jednak przyplacił tym przeklętym swędzeniem.

Miał wrażenie, jakby się rozpadał, i ta nowa udręka ciała zaczynała wgryzać się w jego i tak już nadszarpniętą umiejętność rozsądnego myślenia, uniemożliwiała

skupienie się na czymkolwiek, co nie byłoby jednym z wielu cierpień, których doświadczał.

Ketch zostawił go w bardzo niewygodnej pozycji. Co więcej, zwykle pomocny posługacz tym razem jeszcze pogorszył sprawę, bo zabrał mu kule. Ponieważ Coram miał tylko jedną nogę, bał się, że upadnie. Powoli wyciągnął szyję, żeby spojrzeć na drzwi.



„Niepokoi się z twojego powodu. Wie, że czeka go tu kolejne przesłuchanie. Boi się, że go skrzywdzisz”.

– Ostatnim razem go nie skrzywdziliśmy – odrzekł Sharp.

On i Amos opierali się o ścianę w korytarzu za magazynkiem, skąd chłopak podsłuchiwał myśli swojego przybranego brata.

„On jakby... dryfuje w swoim umyśle”.

– Jak to?

Amos wzruszył ramionami.

„Nie umiem tego dobrze wyjaśnić. Musiałbyś to poczuć. Zupełnie jakby unosił się w swoim wnętrzu i tak naprawdę nie sięgał do zewnątrz”.

– Zewnątrz?

„Tam, gdzie my jesteśmy”.

– Czyli jest niespełna rozumu? Obłąkany...?

„Jest przerażony”.

– Z naszego powodu?

Amos zgarbił się, jakby pod ciężarem próby wyjaśnienia czegoś niemożliwego. Zaczął energicznie gestykulować.

„Z powodu wszystkiego”.

Sharp odepchnął się od ściany i skierował do drzwi.

– Wyciągnijmy go z tego nieszczęścia. Ja będę pytał, a ty

słuchaj tego, czego nie mówi. Będą tam wskazówki...

„Mogę ja pytać? Tak byłoby lepiej”.

Sharp zatrzymał się z dłonią na kłamce.

„Mówiłeś mi, co chcesz wiedzieć. Myślę, że jeśli ja spytam, to pozostanę z nim lepiej połączony, w razie gdyby spróbował zdryfować”.

– Możesz wyjaśnić?

„Nie mogę. Jeśli tego nie czujesz, nie będzie to miało sensu. Zupełnie jakbym mówił ślepemu, jaki jest kolor niebieski”.

Sharp popatrzył na niego bardzo uważnie. Jego wzrok wyraźnie wzbudzał dyskomfort. Amos przełknął ślinę i próbował zbyt często nie mrugać.

– Chcesz, żebym ci zaufał?

„Tak”.

Sharp spoglądał przez chwilę w ciemnobrązowe oczy, po czym skinął głową.

– Dobrze. Pamiętaj: po pierwsze, musimy się dowiedzieć, gdzie ukrywa się Issachar Templebane. Po drugie, dlaczego doprowadził do zniszczenia Kryjówki, skoro było oczywiste, że Mountfellow chciał zagarnąć zawartość Czerwonej Biblioteki. Co spowodowało, że ta chęć grabieży zamieniła się w destrukcję? Co się zmieniło? Musisz to odkryć. Musi nam to powiedzieć.

„Tak. Jeśli to wie. Ale Ojciec Dzienny i Ojciec Nocny trzymają karty przy orderach. Coram może więc nie znać wszystkich odpowiedzi”.

– Może i nie wiem tego, co on, Amosie Templebane, ale widziałem już wystarczająco wiele oczu pełnych poczucia winy, by rozpoznać, że na pewno coś ukrywa.

Coram obrócił się, gdy drzwi się otworzyły, i wyprostował, niezdarnie opierając dłoń na regale z tyłu.

Spodziewał się zobaczyć dwóch członków Nadzoru, którzy byli u niego ostatnim razem, i rozdziawił usta, gdy za Sharpem wszedł do magazynku nie Hodge, lecz Amos. Mężczyzna oparł się o ścianę, oddając niememu chłopakowi miejsce naprzeciwko najstarszego spośród jego przybranego rodzeństwa.

– Coramie, pamiętasz swojego brata...

Amos wpatrywał się w Corama równie zszokowany, próbując odnaleźć w krótko ostrzyżonym, bladym, jednonogim szkielecie tego dobrze odżywionego osiłka o gęstych włosach, którego zawsze tak bardzo się bał. Młodziak o ostrym języku i gotowej do użycia pięści zamienił się w coś kruchego i przypominającego ptaka.

Z kolei Coram, gdy spojrział na Amosa, później na Sharpa i znów na przybranego brata, poczuł gwałtowny przypływ dawnej paniki. Uznał, że nie będzie z nią walczył i pozwoli, żeby fala poniosła go znów w azyl ciszy i obojętności.

„Coramie. To ja. Amos. To mój głos”.

Coram wzdrygnął się, jakby został użądłony. Głos był donośny, lecz wargi Amosa nie poruszały się. Mimo to Coram słyszał go wyraźnie jak dzwon, zupełnie jakby rozbrzmiewał w jego czaszce. Obecność tych słów, głos, sam pomysł, że ten przekłety czarnuch znalazł się w jego głowie, wydawały się niczym groteskowy gwałt, od którego chciało mu się wymiotować. Uznał, że musiał to sobie wyobrazić. Może miał gorączkę. Może to nieznośne swędzenie stanowiło zapowiedź nowej choroby, która wywoływała kolejne urojenia. Zamknął oczy i mocniej skoncentrował się na odcięciu się od wszystkiego, co działo się w pomieszczeniu.

„Coramie. Odpowiedz mi”.

Słowa niemego były niczym haczyk wbijający się w ciało,

powstrzymujący przed ucieczką po wzbierającej fali i ciągnący do tyłu.

„Nie rozpoznałem cię. Nie powiedzieli mi, że straciłeś nogę. Ani że wyglądasz na tak bardzo... zmizerniałego”.

Coram zacisnął oczy jeszcze mocniej i zaczął jęczeć. To wdarcie się do jego głowy było gwałtem, zbrukaniem, zniewagą...

„Otwórz oczy, Coramie. Mamy do ciebie pytania”.

– Mamy? – słowo to wydarło się nieproszone z ust Corama. Mimowolnie rozchylił wargi.

„Mamy”.

Coram cofnął się do regału, jakby próbował wcisnąć się pomiędzy gąsiory, żeby oddalić się od świata, któremu pozwolił uciec. A jednak kolejne wyrazy pączkowały za jego zaciśniętymi zębami, jego zuchwa zadrżała i usłyszał niedowierzanie we własnym chrapliwym głosie:

– Jesteś z Nadzorem?

– Owszem, jest – rzekł Sharp. – A skoro zdecydowałeś się już mówić, chcielibyśmy, żebyś opowiedział nam o ataku na nasz dom...

Coram znów zamknął oczy i pokręcił głową.

„Coramie. Masz jedną nogę. Nie możesz uciec. A nawet gdybyś mógł, nie możesz teraz uciec przede mną. Czy wiesz, jak mnie nazywają?”

Coram był oburzony. Issachar rozkazał mu coś zrobić, jakby był tylko jego marionetką. Teraz Nadzór kazał mu robić coś innego. A pośrodku tego wszystkiego, przykręcając śruby, tkwił znienawidzony młodszy brat Amos.

Coś odblokowało mu się w głowie.

– Zdrajcą? Bo tym właśnie jesteś, pieprzony mały bambusie.

Ostatnie słowo zostało wyrzucone niczym kula jadu w strumieniu płwociny. Amos spokojnie wytarł twarz. Obelga, którą napiętnowali go bracia, zawsze poprzedzona tymi dwoma innymi słowami, rzucała od niechcienia wulgaryzmy splecione z określeniem wskazującym jego status najmłodszego w domu, wyzwoliły furię i gorycz, które kiedyś podsyciły decyzję o ucieczce. Ta furia nie zniknęła, kryła się w głębi, gotowa do wybuchu. Ponieważ jednak ją czuł, ponieważ wiedział, do czego jest zdolny i jak szybko potrafi to osiągnąć, chował ją za chłodnym uśmiechem. Istniały inne sposoby ataku.

„Krwawy Chłopiec. Nazywają mnie Krwawym Chłopcem, Coramie. I jeśli chcesz, opowiem ci, dlaczego tak na mnie mówią. Później odpowiesz na nasze pytania, zrozumiesz bowiem, jak inny się stałem i czego się nauczyłem, odkąd widziałeś mnie ostatnio”.

Paniczne ruchy Corama sprawiły, że stółek przewrócił się z hukiem na ziemię, a Coram zorientował się, że stoi tylko dlatego, iż drżącą ręką przytrzymuje się regału. Sharp spokojnie ustawił taboret z powrotem i wsunął mu go pod pośladki.

– No dobrze – oznajmił z lodowatym uśmiechem. – Amos zacznie od nowa. A ty odpowiesz na jego pytania.

Uśmiech Amosa był równie lodowaty jak ten Sharpa. Coram uświadomił sobie, że towarzyszy im identyczne napięcie, kojarzące się z zablokowaną potężną sprężyną, która puszczona mogłaby wyzwolić straszliwą moc destrukcji.

Amos nachylił się lekko do przodu.

„Odpowiesz na moje pytania, Coramie Templebane. Wiesz bowiem równie dobrze jak ja, że ludzie mają do stracenia więcej niż nogi albo życie. Mogą stracić rozum

i utknąć w piekle, które zdaje się nie mieć końca. Okłam nas albo spróbuj nam przeszkadzać, a ten pieprzony mały bambus właśnie tam cię umieści. Na zawsze”.

Coram zaskamlał.

W forticy swego umysłu Amos się uśmiechnął. Nie miał pojęcia, jak urzeczywistnić przekazaną właśnie groźbę, lecz Coram tego nie wiedział.

„Gdzie jest Ojciec Dzienny?”

I wtedy myśli Corama zalało ciepło, ponieważ istniała droga wyjścia z tego lodowatego piekła, w którym się znalazł. Musiał jedynie odpowiedzieć na to pytanie informacją, której przekazania wymagał od niego Issachar. Wszyscy będą szczęśliwi, a on zdoła wrócić do swojej bezpiecznej ciszy.

– Schody Żelaznej Bramy – powiedział. – Będzie przy Schodach Żelaznej Bramy, wraz z Mountfellowem. Chcą bagrować rzekę przy największym odpływie. A teraz zostawcie mnie w spokoju...

„Skąd to wiesz?”

– Dostał wieść, że tu jestem. Szukał mnie. On nie zdradza rodziny, nie tak jak ty. Shadwell i Vintry przyszli, żeby się przywitać i spytać, jak się mam. Wczoraj.

Amos popatrzył na Sharpa.

„Czyli Schody Żelaznej Bramy...”

– Schody Żelaznej Bramy przy największym odpływie, a więc tego popołudnia i ani chwili później – poprawił Sharp.

ROZDZIAŁ XLIX

Matki i córki

Podróż przez lustrzany świat przebiegała zupełnie inaczej niż przy użyciu serwantki z Murano. Nie istniała możliwość natychmiastowego przeniesienia się z punktu A do punktu B, lecz trzeba było długo i mozolnie maszerować, a niezmienny widok nieskończonych odbić sprawiał, że droga wydawała się jeszcze bardziej męcząca.

Lucy straciła poczucie czasu. Parła naprzód, powłócząc nogami, popychana przez nóż Dee, jeśli tylko zwalniała. Wrażenie, że idzie bez końca, przytępiało jej zmysły, wyczerpanie pozbawiało poczucia tożsamości. Być może zatrzymała się i być może przez chwilę drzemiała, lecz to również mogła sobie uroić. Jedynym pewnikiem był ból w stopach i w sercu, ponieważ niezależnie od wszelkich innych odrętwiających i dezorientujących skutków długiego marszu ani przez chwilę nie mogła zapomnieć o okrutnej prawdzie: Cait umarła i wydarzyło się to z jej powodu.

Nagle, gdy porzuciła już nadzieję, że kiedykolwiek dotrą na miejsce, i zaczęła sądzić, że jej przyszłość będzie już polegała tylko na tej wędrówce bez końca, Kłębek z Coburga wydał z siebie ostatni odgłos, a Dee szarpnął za linkę na jej szyi.

Doszli.

Dalej wszystko działało się już szybko.

Anglik obrócił Lucy do lustra po lewej i pchnął ją przez jej własne oszołomione odbicie.

Wyskoczyła z lustrzanego świata i upadła na miękką tapicerkę szezlongu.

Zmora, która siedziała tam na wpół śpiąca, zerwała się niczym wyzwolona sprężyna i odtrąciła Lucy na bok ostrym ciosem w klatkę piersiową, który wydawał się pozbawić dziewczynę całego powietrza.

Dee zatrzymał się z wyrazem grozy na twarzy, na wpół wychylony z lustra.

Lucy dostrzegła jego wahanie i zadziałała odruchowo. Nasadą otwartej dłoni ugodziła go od dołu w podbródek, z chrzęstem łamanych zębów zamknęła mu gwałtownie usta i posłała z powrotem w lustro.

W tej samej chwili zobaczyła go Zmora i również wymierzyła cios, trafiła jednak w szkło, na którym pojawiła się pajęczyna pęknięć. Dee znów zniknął w lustrzanym świecie. Więź została przerwana i połączone kule przeciętego u nasady Kłębka z Coburga upadły na leżankę i stoczyły się na podłogę.

Zmora obróciła się i spojrzała na Lucy z osłupieniem.

– Ty. Ty. Ale... ty nie jesteś Francisem – rzekła z nutą lekkiego wyrzutu, jakby dziewczyna postanowiła nie być Mountfellowem kierowana jakimś złośliwym odruchem.

Instynktowna radość Lucy wywołana uwolnieniem się od Dee minęła niemal natychmiast, gdy dziewczyna poczuła siłę otrzymanego ciosu. Ból był tak silny, jakby nieznajoma złamała jej żebro.

Wbrew sobie osunęła się na podłogę i oparła niezgrabnie o nogę szezlongu, wpatrując się przy tym w szaloną kobietę o potarganych siwych włosach. Jej cios odebrał Lucy dech, sprawił, że dziewczyna nie była w stanie wyraźnie mówić.

– Kto... – Zakasłała. – Kto to Francis?

Zmora z rozkojarzeniem rozejrzała się po pokoju.

– Mountfellow. Myślałam, że jesteś Mountfellowem. On musi umrzeć. – Spojrzała z góry na Lucy, jakby widziała ją wyraźnie po raz pierwszy. – Mountfellow musi umrzeć. Wszyscy to wiedzą...

– Mountfellowa tu nie ma – wydyszała Lucy. – Dlaczego mnie pani uderzyła?

– Miałaś być nim.

– Mountfellow jest przy Schodach Żelaznej Bramy – wysapała dziewczyna, przypomniawszy sobie fragment rozmowy, którą podsłuchiwała przed wyjściem z szafy w Montrealu w tamtej pamiętnej chwili, gdy wszystko się popsuło. Może ta kobieta odejdzie go szukać i zostawi ją tu samą, żeby mogła odzyskać dech. – Przy Tower.

– Przy Tower – powtórzyła Zmora. – Tak. Blisko Bramy Zdrajców. Tak lepiej. To dla niego odpowiednie miejsce na śmierć.

– Może pani tam pójdzie? – zaproponowała Lucy, krzywiąc się, ból bowiem się wzmógł, gdy się poruszyła. – Ja nie jestem Mountfellowem...

– Nie jesteś – przyznała starsza kobieta.

Dziewczyna podniosła wzrok do lustra, przez które weszła, i z ulgą zobaczyła, że uderzenie nieznajomej je rozbiło, więc Dee został uwięziony po drugiej stronie. To już coś.

Gdyby tylko udało jej się odzyskać oddech.

– ...jestem Lucy Harker – wychrypiała.

Gdyby tylko mogła się podnieść i spojrzeć napastniczo w oczy...

Starsza kobieta patrzyła na nią i coś dziwnego, coś, czego widok niemal wywoływał ból, zaczęło dziać się z jej twarzą. Jej rysy wykrzywiły się, jakby skóra próbowała złuszczyć się z czaszki, jedynie szeroko otwarte oczy wydawały się

utrzymywać ją w miejscu. Oczy wypełnione zrozumieniem, jakby nieznajoma uświadomiła sobie jakąś straszliwą prawdę.

– To on – powiedziała. – Och. On jest twoim ojcem.

Lucy uznała, że musi wstać, zanim kobieta postanowi znów ją uderzyć. Uniosła się lekko i oparła dłoń na jedwabnej tapicerce, żeby się podeprzeć.

Materiał był ciepły i mokry. Wtedy dziewczyna spuściła wzrok i ujrzała, że bladoróżowy kolor stał się ciemniejszy. Szezlong był pokryty krwią. Uświadomiła sobie, że została zraniona poważniej, niż sądziła. Kobieta nie uderzyła jej pięścią, lecz dźgnęła nożem w bok.

Lucy wstała.

– Proszę – wykaszała, chcąc błagać obłąkaną, żeby już jej nie atakowała. – Upadła i leżała na podłodze, spoglądając na sztukaterię zdobiącą sufit. – Pomóż mi. – Dłonią próbowała zatamować ciepłą ciecz wyciekającą jej z boku. – Pomocy...

– Oczywiście, że ci pomogę – odparła szalona. – Dlaczego miałabym ci nie pomóc, moja droga, moja ukochana?

Przyklęknęła obok, a jej twarz na chwilę stała się przytomna, pełna miłości i łagodności. To na to oblicze Lucy czekała całe życie, rozpoznała je mimo brudu, rozczochranych siwych włosów i licznych zmarszczek wyrytych przez lata. Ujrzała swoją matkę.

Otworzyła usta, lecz nie była w stanie mówić.

A wówczas Zmora podniosła się, skinęła głową i stanowczym krokiem podeszła do drzwi, jakby przez całe swoje długie życie nie skrzywdziła nawet muchy.

– Zostań tutaj, moja ukochana, nigdy nie odchodź. Pójdę zabić twojego ojca, a później odziedziczysz ten piękny dom i będziemy żyć długo i szczęśliwie.

ROZDZIAŁ I

Ostateczne cięcie

Schody Żelaznej Bramy były tymi samymi wilgotnymi stopniami wcinającymi się w brzeg Tamizy pomiędzy dokiem Świętej Katarzyny a Tower, którymi szedł w dół Sharp, żeby znaleźć Emmeta. To tam siedzieli razem i porozumiewali się bez słów, wpatrzeni w nurt rzeki.

To tkwiące między dwoma charakterystycznymi punktami miejsce pod względem użyteczności zastąpił łatwiej dostępny sąsiedni dok. Dziś zaniedbane i zapomniane, skryte w głębokich cieniach rzucanych przez wysokie ściany, odwiedzane było jedynie z rzadka, zazwyczaj przez zbieraczy przedmiotów wyrzuconych przez rzekę i uliczników. Znajdował się tam mały klin żwirowej plaży i resztki drewnianego pomostu, a przy wejściu, tam, gdzie cienie były najgłębsze, umieszczono starą żelazną kratownicę. To od niej pochodziła nazwa i to przez nią przepływały ścieki, z powodu których londyński szlak wodny cuchnął, a także był źródłem rozlicznych chorób.

Wysokie żwirowo-gliniane zbocza utrzymywane były w miejscu przez oślizgłe pale i rozpory tkwiące na podstawach z wielkich kłód, poczerniałych od starości i brudu i gdzieniegdzie zieleniących się szlamem i wodorostami. Mało kto zachodził na te wąskie schody, skryte za zdezelowanymi magazynami i domami mieszkalnymi, zupełnie jakby reszta miasta się ich wstydziała.

Poza tym, jak pomyślał Issachar Templebane, spoglądając w dół z jednego z nielicznych okien na poddaszu, było to doskonale miejsce na zasadzkę.

Zerknął na zegarek kieszonkowy. Odpływ osiągnął już niemal najniższy punkt. Issachar polecił Mountfellowowi, żeby właśnie teraz przybył na plażę wraz ze swoją ekipą robotników i bosaków, by rozpocząć mozolny proces przeszukiwania rzeki. Sprawą drugorzędną było dla niego, czy szlachetny lord zdoła odnaleźć skrzynie, które Nadzór rzekomo ukrył na dnie. Najważniejsze było zastawienie przynęty prowadzącej do pułapki. Zaoferował się, że zapewni Mountfellowowi grupę pracowników, ten jednak, mając w pamięci niepowodzenie ich ostatniej wspólnej przygody na wodzie, odpowiedział, że sam zorganizuje ludzi. Issachar nie przejął się tym zbyt. Istotne było, że wyciągnie wicehrabiego na otwarty teren i przekaże go tym, którzy czaili się w mroku. Nie dostrzegał ich, ale dzięki wcześniejszym ustaleniom wiedział, że żądni zemsty Sluagh kryją się w cieniu podpór i wałów. Gdy odda wędrowcom nocy znieawidzonego przeciwnika, ich relacje ulegną poprawie i znów podejmą korzystną współpracę.

Poniżej Issachara, lecz ponad ukrytymi Sluagh znajdował się drugi poziom zasadzki – stali tam jego synowie uzbrojeni w broń palną. Nie zaczaili się tam na Mountfellona ani na Sluagh, których Templebane surowo przykazał im zostawić w spokoju. Przyszli tam, żeby zlikwidować kogoś ważniejszego.

Nadzór.

Issachar nie miał krwiożerczych skłonności. Jeśli tylko mógł prowadzić swoje interesy bez zabijania, zawsze wolał taki właśnie scenariusz, śmierć bowiem wywoływała fale

w gładkiej sadzawce handlu, a sekret długotrwałego sukcesu Templebane'ów polegał na tym, żeby osiągać cele dyskretnie, pod spokojną powierzchnią poważania. Jednak Nadzór już od nazbyt dawna stanowił przeszkodę dla działań jego rodziny, a skoro okoliczności zredukowały tę organizację do postaci, w której dało się ją wygodnie zlikwidować, postanowił raz na zawsze wymazać ją z ksiąg rachunkowych.

To właśnie w tym celu uzbroił i wyszkolił synów. To dlatego stał teraz przy Garlickhycie Templebanie, który dzierżył karabin.

Żeby zabezpieczyć się na nieprzewidziane okoliczności, położył na parapecie dwa żelazne granaty Corama, a na pobliskiej półce ustawił zapaloną świecę, dzięki której zdoła podpalić ich lonty. To tak na wszelki wypadek, w razie gdyby kule nie wystarczyły.

Trzecią rzeczą na jego liście, mniej istotną od pierwszych dwóch, było odzyskanie obiektu, o którym Dee polecił mu powiedzieć Mountfellowowi. Jeśli dzisiejsze wydarzenia skończą się tak, że chodzący między lustrami osobnik z kocią bródką wejdzie w jego posiadanie, tym lepiej, ale dla Issachara była to sprawa mniejszej wagi. Dee zawsze będzie potrzebował usług Templebane'ów, ponieważ z niejasnych powodów nie lubił spędzać czasu w Londynie. Jeśli po kilku nieuchronnych zgonach okaże się, że należy ponownie sprawdzić rzekę, będzie to korzystne dla Ojca Dziennego, zdoła bowiem wytargować za to dodatkową zapłatę – w naturze, pieniądzu bądź przysługach – a lubił, jak zresztą każdy przedsiębiorca, sięgać dwa razy do tej samej kieszeni, jeśli mogło mu to ująć na sucho.

Istniał jednak pewien drobny szczegół – bo choć zegarek mówił Issacharowi, że Mountfellow powinien właśnie być

na nabrzeżu z bandą krzepkich robotników, którzy przeczesywaliby bosakami dno, to wzrok podpowiadał mu coś zgoła innego. Punktualność mogła być cnotą królów, ale najwyraźniej nie wicehrabiów, a przecież Templebane wiedział, że Mountfellon, choć wyniosły i dumny jak każdy arystokrata, szczycił się przede wszystkim tym, że jest człowiekiem o naukowym wykształceniu i zwyczajach, tacy ludzie zaś szanują nieugięte ograniczenia czasu i pływów. Tymczasem zegarek mówił Templebane'owi, że maksymalny odpływ nastąpił pod nieobecność lorda. Mężczyzna z irytacją wciągnął powietrze przez zęby. Wówczas dostrzegł holownik parowy oraz człowieka na jego rufie i uświadomił sobie z niezadowoleniem, że być może wydarzenia nie przebiegną w pełni w zgodzie z jego planem.



Mountfellon przechadzał się tam i z powrotem po pokładzie Monarchy, ze wzrokiem skupionym na mechanizmie do bagrowania, ciągniętym mozolnie pod prąd mętnej rzeki. Odgłosy silnika parowego i kół łopatkowych zagłuszały nawet hałas otaczającego ich miasta, tak więc komunikacja polegała głównie na wrzaskach lub przekazywaniu sobie komunikatów na migi, jednak dla załogi nie była to pierwszorzędna i wszystko szło dobrze.

Maszyna okazała się wspaniałym urządzeniem. Już dwukrotnie udało się dzięki niej wydobyć skarby z głębokiego dna Tamizy i choć ograniczały się do połamanego koła od wozu z kawałkiem pękniętej osi oraz kamiennej kotwicy z zardzewiałym łańcuchem, dowodziły słuszności zastosowanej koncepcji i zwiastowały możliwy

sukces. Mountfellow wreszcie czuł się naprawdę zadowolony.

Co jakiś czas podnosił wzrok i orientował się w położeniu na podstawie charakterystycznych punktów linii brzegowej, a także sprawdzał, czy sternik zapewniony przez pana Watkinsa wykonuje jego instrukcje. Nakazano mu metodycznie przeszukać odcinek rzeki naprzeciwko Schodów Żelaznej Bramy, tak by żaden fragment dna nie pozostał nieprzeorany przez haki.

Wicehrabia zmrużył oczy, wpatrując się w wąski spłachetek żwiru u wylotu schodów. Myślał o tym, jak kiepska była propozycja Templebane'a, żeby przeszukanie rzeki przeprowadzić właśnie z tak niekorzystnego punktu za pomocą bosaków. Nawet najsilniejszy żeglarz, dobrze wyćwiczony w ciskaniu liny na potężnym wietrze, nie dorzuciłby choćby do ćwierci szerokości Tamizy. Decyzja o wykorzystaniu zasad nauki w celu zaradzenia problemowi okazała się jedyną słuszną. Sugestię Issachara wicehrabia uważał za tak ewidentnie niepraktyczną, że aż wątpił w wychwalany intelekt tego człowieka. Być może po nieudanej próbie wyeliminowania Nadzoru wpadł w większy rozstrój, niż Mountfellow wcześniej sądził.



Skryci w cieniach schodów Sluagh również w końcu dostrzegli i rozpoznali Mountfellona na holowniku.

– Nie możemy go tknąć na płynącej wodzie – warknął Czaszka Borsuka. – Na próżno kluczyliśmy tu przez labirynt miasta.

– Zostaliśmy zdradzeni – uznał Słonkowa Korona.
Jego zwierzchnik pokręcił głową.

– Po co? – spytał. – To nie miałyby sensu.

– Czyli przebiegły człowiek został przechytrzony – wyszczał Słonkowa Korona.

– A może Mountfellow zamierza tu przybić – podsunął krępy Sluagh z bykiem wytatuowanym na plecach.

– Nie, bracie – odparł Czaszka Borsuka. – Mountfellow to chodząca podłość, ale dobrze wie, że na niego polujemy. Zostawiłem mu wyraźną wiadomość w tym jego przeklętym domu.

– Zatem moglibyśmy go obserwować i dopaść, gdy przycumuje...

– Dobry pomysł, ale nieskuteczny. Po drodze jest zbyt wiele strumieni i cieków przecinających drogę. Stracilibyśmy go z oczu i zdążyłby się zgubić w tym ludzkim mrowisku, zanimbyśmy go dopadli.

Tatuaż Byka pokręcił gniewnie głową i wymienił spojrzenia ze Słonkową Koroną.

– Nie ostrzyliśmy noży w świetle młodego księżyca po to, by pozostały niezaspokojone – warknął. – Jeśli nie możemy wciągnąć Mountfellona w ciemność, może powinniśmy wyrównać inne rachunki?

Słonkowa Korona już zamierzał się zgodzić, gdy dostrzegł ruch w rozmytym świetle słonecznym wysoko nad krawędzią zejścia. Oparł dłoń na szerokiej piersi Tatuażu Byka i pociągnął go z powrotem w cień. Reszta Sluagh powiodła wzrokiem za jego spojrzeniem.



Sharp i Sara zeskoczyli z psiego powozu na zewnętrznym skraju doku Świętej Katarzyny, w ich ślady poszli Hodge oraz Ida. Charlie zwinnie zarzucił lejce koniowi na głowę

i polecił mu, żeby nigdzie się nie ruszał, a następnie pobiegł za resztą z Amosem u boku. Jed i Archie mknęli po śliskich schodach.

Wszyscy wyprzedzili niewidomego Hodge'a, który musiał wolniej schodzić po niebezpiecznych stopniach, choć i tak poruszał się dość szybkim tempem.

– Jed! – zawołał. – Wolniej!

Pies odwrócił się i czekał, pozwalając teriernikowi korzystać ze swoich oczu, choć aż dygotał na myśl o kolejnej przygodzie, która, co podpowiadał mu instynkt, wkrótce miała się rozpocząć.

– Muszę ostrzec Emmeta – oznajmił Sharp, wyciągając nóż i biegnąc po plaży w stronę starego łańcucha. Już kiedyś w niego stukał, żeby przywołać golema, cierpliwie tkwiącego w rzecznej głębinie.

Wysoko nad nimi w oknie poddasza Issachar położył dłoń na barku Garlickhythe'a.

– Zaczekaj, mój chłopcze – wydyszał. – Twoi bracia nie zaczną strzelać przed tobą, a musimy być pewni, że cały Nadzór jest w ich polu widzenia.

Amos, znajdujący się na stopniach poniżej, usłyszał głos ojca niczym odległy szept z tyłu głowy. Wprawilo go to w taki szok, że poślizgnął się i niemal przewrócił. Złapał się Charliego i wywrzeszczał mu słowa do mózgu:

„Zatrzymaj ich! To pułapka!”

Pyefinch wpatrywał się w niego, nic nie rozumiejąc.

– Co...?

Jed szczeknął ostrzegawczo, a Hodge zatrzymał się i przypadł do ściany dziesięć kroków od końca zejścia.

– Gdzie? – zawołał.

Amos odtrącił Charliego na bok i pobiegł w stronę Sary, próbując ostrzec ją na migi, nie zdołałaby bowiem

wychwycić przekazu myślowego. Metalowa tabliczka na jego szyi kołysała się gwałtownie i uderzyła go krawędzią w otwarte w niemym krzyku usta.

„Zatrzymajcie się! To zasadka! Mają broń palną! Templebane tu jest!”

Nie zważał na ból krwawiących warg. Przebiegł obok Idy, wcześniej pozostającej w połowie drogi między nim a Sarą. Usłyszała go i zaczęła się rozglądać po ścianach, wypatrując wrogów. Wyciągnęła kuszę spod płaszcza.

– Gdzie? – spytała.

„Wszędzie! Tam, w górze!”

Słyszał w głowie głosy swoich braci. Słyszał szok w głosie wskazującego na niego Issachara.

– Na krwawe szramy Chrystusa, to ten przeklęty niemowa!

W Amosie wezbrały wściekłość i frustracja, które gromadziły się w nim przez całe życie i narosły do tego stopnia, że wiedział, iż jeśli nie da im ujścia, pęknie niczym przejrzały owoc. Wskazał Idzie kierunek i „szybko-leczwalno” skoczył w stronę Sary, która dopiero teraz usłyszała w głowie jego nieme okrzyki.

„Panie Sharp! Panie Sharp! Niech pan wraca!”

Sara zawirowała w obrocie, wrzeszcząc do Sharpa, który kuczał właśnie przy łańcuchu i stukał w niego natarczywie ręką noża.

– Jack! To pułapka!

Oto cały Nadzór znalazł się w polu widzenia Issachara.

– Teraz – warknął Templebane. – Zabić ich wszystkich.

Gdy Sharp usłyszał ostrzeżenie Sary Falk, odruchowo popędził ku niej, by zapewnić jej bezpieczeństwo.

Kula z pierwszej salwy wystrzelonej przez pozostających w ukryciu synów Issachara cisnęła nim na płyciznę.

Sara zawołała z przestraszeniem jego imię i rzuciła się naprzód, próbując ku niemu biec, lecz Amos złapał ją jedną ręką i przycisnął do fragmentu połamanego pomostu, po czym stanął między nią a lufami.

„Stać!”

Wyciągnął drugą rękę i zamachał nią energicznie, wskazując tabliczkę na swojej szyi w nadziei, że bracia go rozpoznają.

„Nie strzelą do mnie. Jesteś bezpie...”

Kula chybiła Jeda o niecały cal, ale prysnęła mu w oczy drobnym żwirem. Pies zaskowyczał i kuśtykał po omacku u podnóża schodów. Tarł oczy łapami, próbując je oczyścić.

– Jed! Chodź! Chodź tutaj! – zawołał nagle Hodge, na oślep wyciągając ręce do zwierzęcia. – Chodź. Pozwól mi.

Pies pobiegł ku niemu, kierując się dźwiękiem głosu.

Kucharka szła po schodach jako przedostatnia, mając za sobą jedynie Hodge’a i Jeda, ale przewróciła się jako pierwsza. Upadła na kolana, a później na plecy, z wyrazem zaskoczenia na twarzy.

Ida odwróciła się i zobaczyła, co się stało.

– Kucharko! – wrzasnęła.

Kobieta uśmiechnęła się i gestem próbowała ją odgonić. Wydawała się nie zauważać, że ładunek śrutu oderwał jej dłoń, która leżała z tyłu na żwirze, obok rozdartej bransolety z trzech rodzajów drewna. Wyglądało na to, że nie zdaje sobie sprawy również z obecności krwawiącej rany w piersi.

– Tylko się zmęczyłam – powiedziała. – Nie martwcie się o mnie. Pomóżcie mi tylko się podnieść...

– Nie! – krzyknęła Ida. – Zostań na ziemi.

Podbiegła i wyhamowała gwałtownie obok Kucharki, a błoto i żwir pryskały jej spod stóp.

– Och – rzekła starsza kobieta, spuszczać wzrok i kaszłąc. – Teraz widzę. A niech to.

Spojrzała na swój nadgarstek.

– Mogłabym założyć sobie hak – stwierdziła. – Gdyby nie to drugie...

Zakaszła i wypluła krew. Skrzywiła się z niesmakiem. Wydawała się bardziej zirytowana niż wystraszona czy pogrążona w bólu.

– No dobrze. Czyli to tyle. Głupi sposób, żeby odejść. Powiesz im, że ich kochałam, dobra, Portki?

– Nie – odparła Ida, próbując ją podnieść. – Nie możesz...

Kucharka pokręciła głową.

– Mogę. Nie boję się tego. Starość, utrata rozumu i sprawności, konieczność opieki... Tego się bałam. To... Widziałam kawał świata i w wystarczającym stopniu zaznałam wszystkiego, czego chciałam. Nie mam na co narzekać – rzekła i wykaszała kolejną strużkę krwi. Otarła ją z brody, próbując się uśmiechnąć, co niemal jej się udało. – Jedno z was będzie teraz musiało gotować... W spiżarni z tyłu jest pudding śliwkowy. Podlewałam go brandy na święta... Nie daj mu wyschnąć, co?

Ida próbowała coś powiedzieć, ale słowa uwięzły jej w gardle.

– Nie zaczynaj mi tu ryczeć, głupia. – Charcząc, Kucharka wypluła jeszcze więcej krwi, wreszcie się uśmiechnęła i uściśnęła dłoń dziewczyny. – Popłacz sobie później. Gdy już zabijesz tych gnojów.

Zakaszła, próbowała dotknąć twarzy Idy, lecz chybiła, a jej dłoń opadła i znieruchomiła.

Dziewczyna nie traciła czasu na ocieranie oczu. Obróciła się, pognęła w stronę ściany biegnącej pod magazynem Issachara i wskoczyła na nią, z dzikim, zwierzęcym rykiem

rozpaczy sięgając do położonego wysoko uchwytu.



Sharp podniósł się, blady jak ściana, zaciskając dłoń na boku wilgotnym od czegoś ciemniejszego i gęstszego niż woda. Sara krzyczała do niego:

– Jack! Nie! Zostań!

Próbowała się uwolnić. Amos ze łzami w oczach zapierał się, wciąż ją trzymając i chroniąc brutalną siłą.

„Nie, proszę. Jesteś bezpieczna...”

– Zabij Żydówkę, zastrzel niemowę. Nie jest mi już potrzebny – warknął Issachar.

Garlickhythe był najlepszym strzelcem pośród braci, to jemu Abchurch zazdrościł najbardziej. Poza tym cechował się największym opanowaniem, co mogło stanowić decydujący czynnik w kwestii jego zdolności celowniczych.

– Wydmuchnę mu to zdradzieckie czarne serce przez kręgosłup. – Wyszczrzył zęby i pociągnął za spust.

Tuż przed uderzeniem kurka wydawało mu się, że usłyszał w swojej głowie głos wykrzykujący jego imię, ale było już za późno.

„Garlickhythe, nie...!”

Kula pomknęła w powietrzu z prędkością ponad ośmiuset stóp na sekundę i trafiła Amosa prosto w pierś. Siła uderzenia przewróciła go i cisnęła jego ciałem na Sarę, która ujrzała otwarte szeroko usta, zakrwawione zęby, próbę złapania oddechu, który nie...

„Aach...”

Chłopiec zadrżał.

„Aach...”

– Amos! – krzyknęła.

„Ach...”

Świat mu uciekał, ot tak, bez fanfar, bez pożegnania, po prostu ciężki czarny topór brutalnie odcinał go od światła i odgłosów.

– Amosie, chodź. Ruszaj nogami!

Sara próbowała odciągnąć go pod mizerną osłonę zniszczonego pomostu, ale skupiała wzrok na Sharpie. On się ruszał. Żył. Nie usłyszała kolejnej nierównej salwy, ale poczuła tępe uderzenie w nogę, które odrzuciło ją od ciała Amosa i cisnęło nią w wodę.

W przelocie dostrzegła Sharpa, tuż zanim jej głowa zanurzyła się pod powierzchnię.

Warczał.

Trzymał klingi w obydwu dłoniach.

Poruszał się „szybko-lecz-wolno”.

Nacierał prosto na wymierzone w niego lufy, furia dawała mu taką szybkość, że krew wypływająca z jego rany zostawiała w powietrzu smugę rozpylonej krwi.

Woda w uszach Sary wytłumiła odgłos następnej serii. Kobieta zobaczyła, jak wokół Sharpa wzbijają się żwir i błoto i jak zatrzymuje się gwałtownie, jakby ugodzony przez ogromną niewidzialną dłoń, z rozłożonymi szeroko rękoma, od których oddalają się wirujące noże, odbijające słaby blask zachodzącego słońca...

...i kolejny zamazany ruch, kiedy Charlie Pyefinch przemyka w poprzek zejścia, a małe kamyki sypią mu się spod nóg. Chłopiec próbował uratować przewracającego się Sharpa, zatrzymał się i pochylił, żeby podnieść ciało.

Pojedyncza kula wyleciała z okna magazynu i Charlie zatoczył się, przyjąwszy cios niewidzialnej pięści, po czym upadł przy nieruchomym Sharpie, który leżał z twarzą w szlamie.

– Piękny strzał, mój kochany – powiedział Issachar, śmiejąc się triumfalnie.

Garlickhythe się uśmiechnął...

...i poleciał do tyłu, po czym uderzył w Issachara głową w bok. Zastygł w takiej pozycji, jakby przykleił się przybranemu ojcu do tułowia.

– Co...? – zaczął zszokowany Templebane.

Garlickhythe wpatrywał się w niego jednym pozbawionym życia okiem, drugie bowiem zastąpiły pierzaste lotki bełtu z kuszy. Mężczyzna zepchnął z siebie ciało i jęknął, gdy grot, który wbił mu się w bok, opuścił ranę. Nie była śmiertelna, pocisk ledwo zagłębił się w ciało, lecz Templebane miał mnóstwo ciał, które krwawiło obficie na jego pełnych niedowierzania oczach.

Sara dyszała, niesiona prądem rzeki, osłabiona przez kulę tkwiącą w nodze. Nagle coś uderzyło ją mocno w żebra i odruchowo się tego złapała. Był to tkwiący pod wodą ostatni fragment zniszczonego pomostu, wykrzywiony pał, mocno odchyłony od swej dawnej pozycji. Pozwolił jej utrzymać się na powierzchni.



Hodge klęczał na stopniach, osłonięty załomem ściany, i chusteczką zamoczoną w wodzie z kałuży próbował pospiesznie oczyścić Jedowi oczy. Pies drżał z napięcia, lecz pozwalał przyjacielowi sobie pomagać.

Potrząsnął głową i zaszczekał. Jedno oko było czyste, drugie zamglone, lecz widział na nie coraz lepiej. Dzięki wzrokowi Jeda teriernik po raz pierwszy zobaczył rozciągający się przed nim obraz zniszczenia.

– Nie! – wydyszał. – Co za masakra... – Podniósł się

i wyciągnął noże z za pasa. – Chodź, stary. Blisko mnie. Chodźmy między nich.

Trzymając się przy ścianie, zaczął obchodzić narożnik.



W cieniach przy Schodach Żelaznej Bramy Czaszka Borsuka wskazał członków Nadzoru leżących na żwirze.

– Musimy im pomóc.

– Postradałeś rozum? Dlaczego mamy to robić? – warknął Słonkowa Korona, łapiąc go za ramię. – Tylko dlatego, że uratowali jednego z nas? Jeszcze nie spłacili swojego długu. Nie, bracie. Powinniśmy ich teraz wykończyć.

Czaszka Borsuka prychnął na niego.

– Jeśli zaczniemy prowadzić ściśle rachunki naszych długów, nie będziemy lepsi niż Głodny Świat. A jeśli nie jesteśmy lepsi od Głodnego Świata, to kim jesteśmy?

Splunął na ziemię.

– Skoro chcesz walczyć, to walcz ze mną albo zejdz mi z drogi. Shee miały rację. Zmiana nie oznacza kapitulacji.



Charlie znów zdołał się podnieść. Otarł z oczu krew zalewającą mu twarz i złapawszy Sharpa, próbował go odciągnąć pod osłonę jednej z grubych drewnianych podpór.

Sara poczuła, że serce uderza jej gwałtowniej. Jeśli Pyefinch ponownie ryzykował życie, żeby chronić ciało Sharpa, to znaczy, że dostrzega w nim oznaki życia.

Fala wywołana ruchem łopatek holownika pozbawiła ją równowagi i Sara na chwilę straciła brzeg z oczu. Gdy odkaszlnęła, wypluła wodę i otarła ją z twarzy, zobaczyła,

że Charlie wciąż trzyma się na nogach, lecz to, co ujrzała prócz niego, pozbawiło ją resztek nadziei.

Z cieni wyłoniła się grupa charakterystycznych wytatuowanych postaci o zaciekłych twarzach, z brązowymi, wygiętymi nożami w dłoniach. Na oczach Sary zalali Charliego i Sharpa niczym gniewna lawina, a później kolejna fala od strony parowca zalała jej głowę. Gdy Sara odzyskała wzrok, obaj członkowie Nadzoru zniknęli, ona zaś uświadomiła sobie, że już nigdy nie zdoła cofnąć wypowiedzianych wcześniej słów ani wygłosić nowych, prawdziwszych, którymi wynagodziłaby tamte. Nawet jeśli sama przeżyje, już nigdy nie zobaczy Sharpa.

Jeśli zostanie oszczędzona, zmusi się do spojrzenia na krwawe szczątki, na jakie pocięli go Sluagh, lecz tylko po to, by umocnić się w postanowieniu, że wybije ich co do jednego, że raz na zawsze zmiecie z powierzchni świata.

Gdy tak dryfowała w Tamizie, uświadomiła sobie prawdziwą grozę swojej miłości: byłaby gotowa spalić świat, żeby pomścić Sharpa, a nawet dwa światy, jeśli oznaczałoby to przywrócenie go do życia choćby na godzinę. To jednak było oczywiście niemożliwe. Nieważne, czy chodziło o istoty zwyczajne, czy ponadnaturalne, jedna rzecz była stała i nieodwołalna: śmierć to śmierć i choć w przypadku każdego wiodące ku niej wrota wyglądają odmiennie i każdy przechodzi przez nie samotnie, otwierają się one tylko raz i zatrzasują na zawsze, gdy tylko przestąpi się próg.

Nikt nie wraca z drugiej strony.

A jeszcze gorsza była myśl, że ten moment przeminie.

Właśnie tą klątwą dwoistości naznaczony był czysty umysł Sary Falk – umysł zawsze skupiony na tym, co terazniejsze, a przy tym obserwujący ją samą

w terażniejszości. Gdy unosiła się w wodzie, trzymając się pierścienia cumowniczego i patrząc, jak to, co kochała, umiera, znajdowała się poza sobą, doświadczała rzeczy gorszych niż te rozgrywające się przed jej oczyma.

Ten moment przeminie.

Czas popłynie dalej.

A ona nie spali żadnych światów, ponieważ nie wynikłoby z tego nic dobrego.

Opłacze tę chwilę czystej furii, podobnie jak opłacze śmierć Sharpa i pozostałych. Już zawsze będzie czuć żal wywołany utratą wszystkiego, co było jej drogie, i zostanie sama, by ubolewać nad tą jedną rzeczą, która pozostała – nad zimną, nieczułą, straszną rzeczą, która teraz wypełni ziejącą dziurę w jej sercu: nad obowiązkiem.

Poczucie obowiązku było ostatnią z cech czyniących ją osobą, którą niegdyś była, i miało do cna pozbawić ją resztek zdradzieckiego ciepła oraz łagodności. Opłacze fakt, że będzie ono wszystkim, co otrzyma zamiast ukojenia.

Zrobi to jednak właśnie dlatego, że już nic innego jej nie pozostanie.

Oraz oczywiście dlatego, że na jej miejscu Sharp zrobiłby to samo.

Oderwała wzrok od miejsca rzezi i skierowała go na parowy holownik.

Mountfellow bagrował rzekę.

Mountfellow próbował skraść Pożogę.

Nie było już Ostatniej Ręki. Została tylko ona.

Była Nadzorem.

Jej obowiązkiem była ochrona miasta.

Mogła ją zapewnić wyłącznie w jeden sposób.

Myśl ta przyszła do jej głowy innym głosem, niczym krzyk z odległego brzegu.

Mountfellow musi umrzeć.

ROZDZIAŁ LI

Twarz w oknie

Zmora zniknęła, dom był pusty, a Lucy, wciąż rozciągnięta na szezlongu, wiedziała, że jeśli pozostanie w bezruchu, umrze. Musiała uratować się sama, ponieważ pomoc nie nadejdzie. Zwinęła jedną z rękawiczek i przyciskała ją do rany w boku jak tampon, próbując zatamować upływ krwi, ale za każdym razem, gdy się poruszała, miała wrażenie, jakby znowu otrzymywała pchnięcie nożem, przy czym teraz nie był to ten tępy ból, który wcześniej pomyliła ze zwykłym ciosem, lecz nadzwyczaj ostre, przenikliwe klucie.

Jednak musiała działać. Gdyby po prostu została na leżance, w końcu wykrwawiłaby się na i tak już zbroczoną jedwabną tapicerkę. Wiedziała, że jeśli się poruszy, zapewne zacznie krwawić mocniej, ale w ruchu leżała jedyna szansa na przeżycie. Gdzieś w głębi Lucy była z siebie dumna, że wciąż jest w stanie myśleć czysto, i ta odrobina dumy pozwoliła jej się podnieść oraz dała dość siły, żeby na dziwnie ciężkich nogach dokuśtykała do okna. Od ulicy oddzielało ją opalizujące mleczne szkło, które skutecznie uniemożliwiało zobaczenie czegokolwiek z zewnątrz. Zatem szyba musiała zniknąć. Dziewczyna rozejrzała się za czymś, czym mogłaby ją rozbić, i zobaczyła świecznik stojący na stoliku przy zakrwawionym szezlongu, ale nie miała tyle energii, żeby doczłapać tam i go podnieść. Zamiast tego sięgnęła po ciężką zasłonę z adamaszku, owinęła nią sobie pięść i uderzyła w szklaną

taflę.

Odłamki nie wylądowały na ulicy poniżej, gdzie mogłyby przyciągnąć uwagę któregoś z przechodniów, lecz posypały się na portyk. Nawet sam odgłos tłuczenia szyby zagubił się w dźwiękach miasta i nikt nie podniósł wzroku na bladą twarz w oknie.

Lucy próbowała krzyczeć, lecz cios pozbawił ją głosu. Mogła wydać z siebie jedynie ciche, chrapliwe rżenie, bardziej jak szept.

– Pomocy...

Wysunęła głowę i rękę przez okno, po czym zamachała słabo.

– Pomocy, proszę...

I znów nikt nie podniósł wzroku, nie zobaczył jej twarzy ani zakrwawionej ręki. Miasto pochłonęło jej gasnący głos.

Jednak ktoś opuścił wzrok i ją dostrzegł.

Usłyszała odgłos stukania, a gdy uniosła głowę, ujrzała bladą twarz dziecka bębniącego w szybę zamkniętego okna w domu naprzeciwko. Mała krzyczała coś z podekscytowaniem i wskazywała na nią. Kolejna twarz, dorosła, pojawiła się nad ramieniem dziecka. Ktoś spojrzał z przerażeniem na dziewczynę i odciągnął małą.

Lucy zamachała po raz ostatni, a następnie położyła głowę na zimnym kamiennym parapecie. Zamknie oczy tylko na chwilę. Odpocznie trochę, żeby odzyskać siły. A później spróbuje krzyknąć głośniej. Na pewno ktoś usłyszy. Gdy już nie będzie taka zmęczona.

Zamknęła powieki i miasto odpłynęło.

ROZDZIAŁ LII

Najkrwawszy Chłopiec

Kiedy Moutfellow po raz kolejny sprawdzał wzorcową dotąd pracę sternika, dostrzegł kilka sylwetek wbiegających na Schody Żelaznej Bramy. Chwilę później mimo hałasu silnika parowego i kół łopatkowych usłyszał kilka dziwnych trzasków i stuknięć, po czym kilka spośród postaci wydawało się w niewytłumaczalny sposób przewracać...

Nieprzyjemne poczucie, które ogarnęło go na widok charakterystycznych białych włosów Sary Falk, okazało się zbyt ulotne, żeby zdołał przetrwać nietypowość rozgrywających się właśnie wydarzeń, ponieważ w tej samej chwili operatorzy łańcuchów u jego boku zakrzyknęli triumfalnie, po czym zaczęli je nawijać na jeden z kołowrotów.

– Mamy coś, panie lordzie! – zawołał mu do ucha najbliższy. Podniecenie w ich głosach i żwawość ruchów stanowiły bezpośrednią konsekwencję obietnicy hojnej premii, którą wicehrabia zaoferował za odnalezienie ołowianych skrzyń.

Natychmiast stracił zainteresowanie dziwnymi wydarzeniami na schodach. Obiecał sobie rozważyć je później i skupił się na wyraźnie ciężkim przedmiocie, który robotnicy wyciągali z dna rzeki.

Oto powróciła pamiętna chwila, w której zobaczył, jak tamta dziewczyna wchodzi w lustro i ujawnia prawdziwą naturę ukrytego mechanizmu kierującego światem. Oto

miał zdobyć klucz do tej wspaniałej, sekretnej aparatury. A gdy już będzie go miał, zyska władzę, więcej władzy, niż chyba jakikolwiek człowiek miał nad innymi ludźmi, możliwość przemieszczania się, dokąd tylko zechce, widzenia tego, co sobie zażyczy, podsłuchiwanie tego, co mu potrzebne, a także zdolność brania, wywierania wpływu, sterowania, podporządkowywania i manipulowania wszystkimi oraz wszystkim, co tylko znajdzie się w jego zasięgu. Nigdy ani trochę nie wątpił w swoją wielkość, czy to intelektu, czy pozycji, potęgą zaś, którą już wkrótce miał zdobyć, jawiła mu się jako jego prawo, jego dziedzictwo. Ogarnęło go podniecenie. Zamierzał wkroczyć na ścieżkę przeznaczenia, której końca i znaczenia nawet on, przy swoim wspaniałym umyśle, nie potrafił sobie jeszcze wyobrazić. Wszystko to uderzało mu do głowy, jakby nagle cudownie urósł o dwie stopy, całe jego ciało wydawało się wibrować oczekiwaniem na to, co nieuniknione.



Pod wodą nie jeden, lecz dwa haki o coś zaczepiły.

Pierwszy złapał stary potężny łańcuch zwisający z brzegu, ten sam, za pomocą którego Sharp próbował ostrzec Emmeta przed niebezpieczeństwem.

Drugi trafił samego golema oraz skrzynię, której tak zawzięcie się trzymał. Hak uwięził mu rękę przy piersi i poderwał go z dna wraz z ładunkiem. Oto, co właśnie wciągała podekscytowana załoga holownika.

Gdy łódź sunęła dalej z prądem, pierwszy hak podniósł łańcuch bliżej powierzchni, napinając go niczym żelazną sztabę, i holownikiem gwałtownie szarpnęło.

Zanim łańcuch wyłonił się nad wodę, przejechał po Sarze, zrzucając ją z zanurzonego pala. Kobieta zdążyła dostrzec, że coś się zbliża, ale już nie zarejestrowała, co to jest. W ostatniej chwili złapała łańcuch jedną ręką, zanim została oderwana od słupa i pociągnięta dalej na rzekę.

Mountfellow przewrócił się i zatrzymał na żelaznych szynach, po których przemierzał pokład wózek mieszczący przeciwważny ciężar, z taką dumą demonstrowany wcześniej przez pana Watkinsa. Wicehrabia niemal stracił dłoń, gdy kołami wagonika szarpnęło do przodu. Jedynie odruch sprawił, że zdążył ją cofnąć.

Ludzie wciągający łańcuch również na chwilę stracili równowagę i właśnie wtedy lina zamocowana do haka, który uwięził rękę Emmeta, poluzowała się, a golem wynurzył się z wody. Jakąś sekundę później sternik i maszynista zatrzymali koła, skorygowali kurs i holownik zamarł. Tkwił teraz nieruchomo, przytrzymywany w miejscu przez prowizoryczną kotwicę w postaci starego łańcucha.

– Trzymać poziom! – zawołali robotnicy przy kołowrotach i zanim Mountfellow zdążył się podnieść, użyli bosaka, żeby wciągnąć na pokład ociekającą wodą szarą skrzynię, ciężką i kojarzącą się z trumną. Przeszła nad burtą i uderzyła z hukiem o deski pokładu.

Wicehrabia złapał młot i dłuto, po czym dopadł pudła. Serce mu dudniło, gdy odbijał kłamrę mocującą, a następnie zaczął skuwać ołowiany lut, dzięki któremu skrzynia była wodoszczelna. Nie zważał na to, że sternik i maszynista próbowali skoordynować ruchy, żeby uwolnić holownik z niechcianego kotwicowiska. Zwrócił na nich uwagę, dopiero gdy chcieli zabrać mu młot, żeby wybić sworzeń mocujący mechanizm wyciągarki. Kazał im

wówczas odsunąć się i zaczekać. Wyjaśnił, że nie można porzucić kołowrotów, dopóki się nie upewni, że wszystkie pudła zostały wyciągnięte z tej przekłętej rzeki.

Wrócił do otwierania skrzyni. Widok pierwszej wąskiej szczeliny w lucie sprawił, że wicehrabia uśmiechnął się z satysfakcją. To, co znajdowało się w środku, jaśniało. Mountfellow położył dłoń na wieku. Okazało się ciepłe.

Roześmiał się triumfalnie, tym razem głośniej. Zdobył ją. Jeszcze kilka uderzeń i będzie mógł otworzyć skrzynię na tyle szeroko, żeby wsunąć rękę do środka i zagarnąć dla siebie Pożogę.



Issachar uspokoił się, podpalił lont granatu i cisnął nim w stronę schodów. Sycząca żelazna kula wylądowała w błocie obok Hodge'a. Jed skoczył w jej stronę. Teriernik pobiegł za psem i na ślepo sięgnął po przedmiot, młócąc rękoma, a jego umysł próbował na nowo pogodzić się z faktem, że widzi oczyma psa.

– Nie, Jed, odsuń się! – krzyknął chrapliwie.

Terier przystanął. Dzięki temu Hodge mógł złapać go za kark i odrzucić na bok.

Lont przestał się tlić. Hodge również rzucił się na bok, zaczął biec za psem, ale pędził na ślepo, prosto na zakrzywioną belkę jednej z podpór, i upadł. Oszołomiony, toczył się po żwirze po drugiej stronie tej samej drewnianej kłody, z której Sharp i Emmet jeszcze niedawno obserwowali Tamizę.

Granat eksplodował z krótkim, gwałtownym hukiem, powodując potężny rozbryzg błota. Gdyby wcześniej pocisk nie był zagrzebany w szlamie, szkody niewątpliwie

okazałyby się większe, lecz na skutek detonacji i tak powstała wyrwa w palach podtrzymujących zbocze. Przez chwilę, gdy powietrze zasnuwała mgła brązowych drobinek, nie działo się zupełnie nic, po czym, najpierw powoli, a później z oszalamiającą nagłością, żwir osunął się i całkowicie przysypał Hodge'a.

Issachar stał przy oknie plecami do ściany, przerażony, że jeśli się pokaże, przez otwór wpadnie kolejny bełt.

– Zejdźcie i wykończcie ich! – wrzasnął. – Pięćdziesiąt złotych gwinei dla tego, kto przyniesie mi tę przeklętą kuszę!

Była to fortuna, o jakiej żaden z synów Ojca Dziennego nawet nie marzył. Krew się w nich zagotowała, podsycona strumieniem adrenaliny i poczuciem władzy, jaką dawała im dzierzona w dłoniach broń palna, tak namacalnym jak zapach czarnego prochu wiszącego wokół nich w powietrzu. Wstali jak jeden mąż ze swoich stanowisk strzeleckich i pobiegli po stopniach prowadzących do zejścia, przepychając się, przeklinając, poszturchując i potykając przy próbach przeładowania broni.



Sluagh znaleźli się wystarczająco daleko od miejsca wybuchu, żeby uniknąć śmiertelnych obrażeń. Przypadli do żelaznej bramy w wąskim przejściu, lecz siła uderzenia przewróciła ich i ogłuszyła. Leżeli teraz poranieni żwirem i drewnianymi odłamkami.

Czaszka Borsuka podniósł się i spojrzał na drzazgę starego drewna wystającą mu z łydki niczym ledwo ociosany śledź do namiotu. Pochylił się i wyrwał ją z krótkim, pełnym irytacji stęknięciem.

Napotkał wzrok Charliego.

– Nie ruszaj się – polecił, wskazując na jego tułów. – Nie przestawaj uciskać dziury od kuli, inaczej się wykrwawisz.

Pyefinch nie słyszał, co mówi Sluagh, bo wciąż dzwoniło mu w uszach, ale zrozumiał gburowaty gest. Zrozumiał go lepiej niż to, co stało się z nim i z Sharpem. Zrozumiał go lepiej niż śmierć Kucharki, śmierć, którą widział, lecz która wydawała mu się tak niemożliwa, tak niewłaściwa, że wciąż w nią nie wierzył. Sharp znajdował się za nim, bliżej bramy, został więc ochroniony przed najgorszymi skutkami wybuchu przez grupę Sluagh, którzy teraz podnosili się, przeklinając.

Charlie wiedział, że on i Sharp nie mają szans, już w chwili, kiedy powarkująca banda wyskoczyła z cieni i ich otoczyła. Sądził, że zdoła odciągnąć Sharpa za jakąś osłonę i może opatrzyć ich rany na tyle, by dotrwali do przybycia pomocy, jednak pomoc nie przybyła, a zamiast tego pojawili się Sluagh.

Złapał za nóż, który natychmiast został mu wytrącony. Czyjeś dłonie złapały jego i Sharpa, po czym przeniosły ich w bezpieczne miejsce. A kiedy chłopak podniósł wzrok, w groteskowej, przerażającej plątaninie tatuaży dostrzegł uśmiech i rozpoznał Słonkową Koronę oraz Czaszkę Borsuka. Ten drugi nachylił się i warknął:

– Przysługa za przysługę, chłopcze, jak sam mówiłeś.



Bracia utworzyli nierówną linię w poprzek zejścia i szli w kierunku węższego krańca. Gdy ich oczy dostosowały się do półmroku i znaleźli się na tyle blisko żelaznej bramy, że dostrzegli grupę przypartych do niej Sluagh, zatrzymali się

i unieśli broń.

– Chryste – powiedział jeden. – To naprawdę brzydkie bydlaki.

– Są po naszej stronie – odparł Vintry. – To mroczni sojusznicy Ojca Dziennego. Nic do nich nie ma. Chce tylko skończyć z Nadzorem.

– Nadzór jest tam, na ziemi – zauważył z podeksytowaniem inny z braci.

– Prawda – skomentował Vintry.

Wycelował w Czaszkę Borsuka.

– Odsuń się nieco, kolego, i daj nam się zająć tymi dwoma – rzekł. – Nie mamy nic przeciwko wam, jesteście po tej samej stronie. Nadzór nie jest wam chyba przyjacielem, nie?

Czaszka Borsuka przekręcił głowę z boku na bok, jakby chciał się pozbyć wyjątkowo dokuczliwego napięcia w karku.

– Nie – odpowiedział. – Nie jest.

– Zatem odsuńcie się i trzymajcie noże przy sobie, a my już zajmiemy się resztą – poinformował Vintry.

– Albo... co? – spytał Czaszka Borsuka.

Poultry Templebane miał bardzo czuły spust w garłaczu, który najwyżej sobie cenił jako broń. Obrócił ją w stronę Sluagh.

– Gdybym miał matkę, ubiłbym ją za pół złotej gwinei – warknął. – Więc spierdalajcie w podskokach, paskudne gnidy, inaczej zrobię z was jebaną mielonkę, zobaczycie, sami zobaczy...

Zobaczyli. Przez pomyłkę. Czuły spust.

Wystrzał przewrócił najbliższego Sluagh, który umarł, zanim jeszcze jego łopatki dotknęły ziemi.

Zapadła cisza, gdy wszystkich ogarnął szok.

Po czym Sluagh podnieśli wzrok znad martwego ciała i warknęli jak jeden mąż.

– O kurwa – uznał Vintry. – Teraz musimy zabić ich wszystkich.

Charlie wiedział, że nieważne, jak szybko Sluagh zaatakują, kule będą szybsze.

– Mnie to pasuje – odparł inny brat, odwodząc kurek i celując w Słonkową Koronę. – Pięćdziesiąt gwinei to pięćdziesiąt gwinei, nawet jeśli będziemy musieli się podzielić. Dobranoc, brzydale.

„NIE”.

Głos w ich głowach był tak donośny i tak potężny, że wszyscy skrzywili się z bólu.

„DOŚĆ KRWI”.

Vintry obrócił się i zobaczył, kto ryczy w jego głowie.

Amos szedł chwiejnie w ich stronę. Metalowa tabliczka, którą nosił na szyi, nie była już płaska – widniało w niej wgłębienie po ołowianej kuli. Krzywił się, ponieważ siła uderzenia złamała mu mostek i każdy krok wydawał się niczym cios gorącym nożem w pierś, mimo to w jego ruchach widać było determinację.

„DOŚĆ ZABIJANIA”.

– Jak on to robi? – zapytał brat, który odzywał się przed chwilą.

– Nie mam pojęcia – odparł Vintry. – I mnie to nie obchodzi.

Wycelował w Amosa.

„Vintry. Proszę. Nie zmuszaj mnie, żebym cię powstrzymał”.

– Pierdol się, czarny dupku.

„Albo co?”

Bracia roześmiali się.

– No, zastrzel go już i miej go z głowy...

„Nie”.

– Ostrzegałem cię – powiedział Vintry, po czym zawirował na pięcie i pociągnął za spust.

Wszyscy Templebane’owie poruszyli się jednocześnie, brat obrócił się nagle przeciwko bratu, zupełnie jakby byli marionetkami niepotrafiącymi kontrolować swoich ruchów. Wystrzelili do siebie i nawet ten, który dopiero co wypalił z garłacza, bezsilnie naciskał spust, kiedy kula Vintry’ego roztrzaskiwała mu potylicę.

Charlie mrugnął instynktownie, słysząc hałas, a następnie wytrzeszczył oczy na widok braci upadających na ziemię. Amos szedł dalej ku nim, przez krwawą mgłę, mijając podrygujące ciała.

– Jak to zrobiłeś? – wydyszał. – Jak sprawiłeś, że do siebie strzelili?

Czaszka Borsuka odetchnął, a jego twarz zamarła w wyrazie pomiędzy szokiem a podziwem.

– Czym jesteś? – spytał.

Amos zatrzymał się i rozejrzał po leżących zwłokach.

„Nie wiem”.

Spojrzał na Charliego. Tym razem jego oczy pozostały suche.

„Ale ostrzegałem ich”.

– On jest jednym z nas – rzekł słabo Sharp, podnosząc wzrok znad żwiru. – A teraz podajcie mi moje świece, bo muszę przypalić rany, zanim się wykrwawię, zresztą tak jak i ty... Amosie, proszę, pomóż tym psom...

– Nie – odparł Charlie, patrząc na swoją dłoń zaciśniętą na ranie po kuli. – Nie potrzebujesz płomienia...

Sharp podążył za jego wzrokiem i zakaszłał zaskoczony. Przeniósł spojrzenie na własne dłonie powstrzymujące

upływ krwi z piersi. Próbował je odsunąć, lecz nie był w stanie.

Na nadgarstkach mężczyzny i chłopca zakwitły bransolety z trzech rodzajów drewna, zielone gałązki owinęły się wokół ich dłoni i ciał, a roślinne wici splotły się w opatrunki, wyglądające jak kawałki skóry.

– Co to jest? – zapytał Charlie nieco płaczkliwym głosem, w którym rozbrzmiewały ból i zachwyty.

– Nie wiem. – Sharp skrzywił się, gdy gruba jesionowa macka zakradała się do dziury od kuli i grubiała, blokując wypływ krwi. – Boli jak przypiekane... – Podparł się na łokciu i spojrzał na rzekę, wypatrując małej głowy. – Ale rozpoznaję ten ból – powiedział.

– Ja też – odparł Charlie, siadając z grymasem, po czym spróbował przeczołgać się w kierunku osuniętego zwirowiska, żeby wolną dłonią pomóc psom w odkopywaniu. – To życie.

ROZDZIAŁ LIII

Pożoga uwolniona

Z okna pod okapem Issachar wpatrywał się w szoku na rzeź, którą jego synowie rozpętali niespodziewanie między sobą. Nie patrzył jednak długo. Szybko zgarnął upuszczony przez Garlickhythe'a karabin oraz garść nabojów z otwartego pudełka na parapecie, po czym wybiegł.

Na trzeszczących drewnianych schodach magazynu dudniły jego kroki, gdy gnał niczym lawina. Jego cielsko kołysało się na boki, oddychał krótkimi, rwanymi haustami, które przeszły w świst, gdy dotarł do parteru i rzucił się do wyjścia, za którym czekał jego powóz.

Otworzył gwałtownie drzwi i wybiegł na ulicę, z taką prędkością wpadając na przechodzącą osobę, że oboje upadli na drogę. Karabin poleciał w jedną stronę, kule w drugą, zaś Issachar podźwignął się z trudem. Za nic miał staruszkę, którą stratował – oparł kolano na jej brzuchu i wsparł się na jej piersi, po czym się podniósł. Nie oglądając się za siebie, nie mówiąc już o przeprosinach, pobiegł w stronę czekającego pojazdu.

I nagle zatrzymał się chwiejnie na widok młodej dziewczyny, która przeturlała się przez niski murek na skraju zejścia. To nie jej spodnie sprawiły, że zamarł w bezruchu, lecz swoboda, z jaką zdjęła z pleców kuszę i w niego wycelowała.

– Nie – powiedział. – Nie. Nie możesz. Nie możesz. Mogę pójść na układ. Dam ci pieniądze. Nie możesz.

– Wiem – odparła.

„Ojczy?”

Głos w jego głowie był kroplą, która przepełniła czarę. Templebane poczuł, że opróżnia pęcherz. Mocz spływał po jego drżących nogach.

„Ona może”.

Issachar wrzasnął na Idę, a z ust trysnęła mu plwocina:

– Nie! Nie możesz!

– Wiem – powtórzyła.

Strzeliła do niego.

– Ale i tak to zrobiłam.

Podbiegła i oparła mu stopę na piersi, po czym fachowo wyciągnęła bełt. Spojrzała mu w gasnące oczy.

– Ty zabijasz moich przyjaciół, ja zabijam ciebie. To mój układ.

Z tymi słowy zarzuciła sobie kuszę na plecy i odwróciła się do muru na skraju zejścia. Przystanąła na chwilę, żeby przyjrzeć się psom kopiącym zaciekle w hałdzie żwiru po drugiej stronie, a następnie wspięła się na ściankę i zaczęła schodzić najszybciej, jak umiała, żeby im pomóc.

Rzuciła okiem na kobietę, którą przewrócił Templebane, ale ta zdołała się już podnieść, więc nie przejmowała się nią dłużej.

Zmora wreszcie odzyskała dech. Krzywiła się z bólu, po tym jak gruby mężczyzna klęknął jej na żołądku. Ida nie widziała, jak podnosi karabin i nabój, po czym kuśtyka do krawędzi muru najbliższej rzeki.

Zmora nie była zainteresowana rozgrywającą się poniżej rzezią. Skupiała wzrok wyłącznie na charakterystycznej postaci Mountfellona na przechylnym pokładzie uwięzionego na łańcuchu holownika.

– Francisie – rzekła, a jej oczy rozjarzyły się

wewnętrznym blaskiem. – Francisie. Tam jesteś. A ja tutaj. I nie jestem taka jak kiedyś, za to ty wciąż jesteś Mountfellowem. Teraz muszę działać i wszyscy wiedzą, co mam zrobić, Francisie...

Chichotała cicho, ładując broń z biegłością, która zaskoczyłaby postronnego obserwatora, gdyby tylko w bocznej uliczce za magazynem znajdował się ktokolwiek poza nią i wciąż podrygującym ciałem Issachara Templebane'a.

Oparła karabin o murek i powiodła wzrokiem wzdłuż szczerbinki i muszki.

– ...wszyscy wiedzą, że Mountfellow musi umrzeć.



Emmet wynurzył głowę nad powierzchnię i się rozejrzał. Dostrzegł holownik. Dostrzegł skrzynię znikającą za burtą. A później został uderzony od tyłu przez napięty łańcuch mknący po wodzie za łodzią parową. Złapał się go i znów się rozejrzał.

Zwrócił swe puste oczodoły ku postaci na drugim końcu tego łańcucha.

Była to Sara, podciągała się w jego stronę i skupiała wzrok na Mountfellowie. Na jej twarzy malowała się czysta determinacja.

– Pożoga! – zawołała, machając do Emmeta. Golem skinął głową i odwrócił się do holownika, po czym zaczął przeciec przez wodę.



Robotnicy na pokładzie nie widzieli, jak przechodzi przez burtę i wyrzuca dwóch z nich do wody, zauważyli go

dopiero po chwili. Gdy cisnął dwoma kolejnymi, sternik sam wyskoczył bez zastanowienia, przerażony mokrym człekokształtnym potworem, który wyłonił się z głębin rzeki niczym ucieleśniony koszmar.

Maszynista okazał się bardziej opanowany i gdy Emmet skierował się w jego stronę, kopnął hamulec wózka z przeciwwagą, tkwiącego na nachylonej ku górze bakburcie. Golem rzucił się ku niemu, ale gdy jego palce muskały już kołnierz mężczyzny, został brutalnie odtrącony przez ponad półtorej tony rozpędzonego ciężaru, który cisnął nim o sterburtę i do niej przygniótł.

Sara przeturlała się przez reling i ociekającym wodą palcem wskazała maszynistę.

– Ty, za burtę, już – poleciała, a siła kryjąca się w jej spojrzeniu wystarczyła do przekonania mężczyzny, by wskoczył do rzeki, żeby ratować życie.

Sara przetarła oczy i skierowała uwagę na Mountfellona.

– Pożoga – rzekła. – Daj mi ją.

Ruszyła w jego kierunku, patrząc na świecę umieszczoną w skrzyni i na otaczający ją wieniec. Nawet nie wiedząc, co to jest, i tak rozpoznałaby płomień, ponieważ strzegła go przez całe życie. Był to jedynie maleńki płomyczek gorejący na cienkim ogarku świecy, ale jeśli spoglądały na niego odpowiednie oczy, widziały, że jest jednocześnie wielki, że stanowi dziurkę od klucza, przez którą można dostrzec zupełnie inny wymiar skłębionej ognistej zawieruchy, niezaspokojony głód pragnący się wydostać i pochłonąć wszystko, co napotka na swej drodze. Czysta moc destrukcji zdawała się tym silniejsza, że uwięziono ją w tak mizernym ogniku.

Idąc, Sara ściągnęła z nadgarstka bransoletę Zielonego Mężczyzny i trzymała ją u boku.

Mountfellow sięgnął pod kurtkę i wyciągnął przydymione binokle, które nałożył na oczy.

– Nie możesz mnie do tego zmusić – powiedział. – Jesteś tylko bezbronną kobietą. Nic nie zdołasz zrobić. Zostań, gdzie jesteś.

– Jestem sama, to prawda – odparła, wciąż krocząc ku niemu. – Ale coś mogę zrobić. Mogę ocalić Londyn. A teraz bardzo ostrożnie podaj mi ten świecznik.

Cofnął się. Wieniec z trzech rodzajów drewna zakołysał się niepokojąco. Sara przystanęła.

– Uważaj, Mountfellow – rzekła. – Nie masz pojęcia, co to jest.

– Klucz. Klucz do tego całego ukrytego mechanizmu. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu. – Czysta potęga.

– Nie wiesz, jak ją kontrolować ani dlaczego nie powinno się nawet próbować tego robić – oznajmiła, postępując krok naprzód i skupiając wzrok na wieńcu ochronnym.

– Dowiem się. Jestem człowiekiem nauki. Będę eksperymentować. Opanuję to – odparł. Cofał się, aż zatrzymał się na wagoniku z łańcuchami. – To moje przeznaczenie. A jeśli podejdziesz choćby o cal bliżej, ty blada suko, zacznę od sprawdzenia, czy płoniesz.

– Emmet – odezwała się cicho – teraz łagodnie.

Wicehrabia nie zdążył zarejestrować jej słów, zanim wielka jak łopata dłoń zamknęła mu się na karku i zacisnęła niczym kowadło.

– Emmet złamie ci kark, jeśli mu każę – rzekła Sara. – A teraz oddasz mi świecę bardzo, bardzo ostrożnie, uważając, żeby nie przesunąć małego wieńca. Jeśli pozwolisz mu spaść z płomienia, wszyscy zginiemy. Natomiast jeśli mi to oddasz, przeżyjemy. Masz moje słowo w obu tych kwestiach.

Mountfellow próbował się wyrwać. Wieniec poruszył się niepokojąco. Pożoga rozgorzała z wygłodniałym rykiem i zaraz przygasła do małego płomyka, gdy tylko potrójny splot wrócił na miejsce. Hrabia wytrzeszczył oczy na ten widok. Następnie oblizwał wargi, gdy jego umysł zaczął analizować dostępne możliwości.

Sara wpatrywała się w niego niewzruszenie.

– Części mnie podoba się to, co rozważasz. Część mnie z chęcią powitałaby zapomnienie, które chcesz sprowadzić na nas oboje. Jeśli jednak oddasz mi płomień, nie zostaniesz poszkodowany.

– A dlaczego miałbym ci zaufać? – spytał szyderczo.

– Ponieważ tak mi nakazuje Prawo i Obyczaj – powiedziała. – Jestem...

Zawahała się nagle i urwała, spoglądając na Emmeta, który jedną ręką odepchnął wagonik, a drugą wciąż trzymał Mountfellowa. Czy też raczej spojrzała w jego stronę, lecz widziała nieruchome ciało Kucharki leżące na żwirze. Widziała psy Hodge'a kopiące z desperacją w nadrzecznej skarpie. Widziała Charliego, na którego napierali rozjuszeni Sluagh. Widziała upadającego Sharpa. Raz za razem widziała upadającego Sharpa, który miał tak upadać już na wieki. Pokręciła głową i skinęła golemowi w niemym potwierdzeniu, mówiącym więcej, niż mogłyby przekazać słowa.

– My, Emmet i ja, jesteśmy teraz Nadzorem. I dałam ci nasze słowo.

– A ja powinienem przyjąć słowo potwora i Żydówki?

– Tak – odparła Sara. – Powinieneś.

Golem podszedł o krok, pozwalając, żeby wózek z łańcuchem uderzył o kozioł odbojowy.

– Zamierzam oddać Emmetowi tę bransoletkę –

poinformowała. – Ty oddasz mu świecę. On umieści bransoletkę wokół niej, żeby podwójnie zabezpieczyć Pożogę. A później zastanowimy się, jak dotrzeć na brzeg.

– Jesteś bardzo pewna, że się zgodzę – uznał Mountfellow.

– Jestem pewna tylko tego, że nie jesteś głupcem – odrzekła, wyciągając obręcz w stronę wysuniętej dłoni Emmeta. – A tylko głupiec i mały człowiek zrobiłby to, o czym myślałeś jeszcze przed chwilą.

– Potrafisz czytać mi w myślach.

– Nie. Ale uważasz, że zasługujesz na wielkość. Pragniesz potęgi, pragniesz wiedzy. Nie chcesz wyjść z tej sytuacji jak tchórz, ponieważ zanim oboje byśmy zginęli, wiedziałabym, że to mściwy postępek próżnego i małostkowego człowieka, ty zaś wiedziałbyś, że ja to wiem, a przecież nie chciałbyś być postrzegany w taki sposób, zanim nadejdzie koniec.

Łódź zadrżała. Wicehrabia pokręcił głową.

– Chcę więcej – powiedział. – Jeśli mam ci to oddać, chcę twojej obietnicy w jednej sprawie.

Sara uspokoiła się. Nie czuła żadnej satysfakcji, jedynie wypełniała swój obowiązek, ale wiedziała, że Pożoga wkrótce znów będzie bezpieczna. Cokolwiek się stanie, miała tę pewność. Zostały już tylko negocjacje.

– Mów.

Oblizwał wargi i obnażone zęby, które gdy nachylił się bliżej, skojarzyły się Sarze z kłami.

– Chcę twojej obietnicy, że...

Kula Zmory chybiła Mountfellona o dobre dwa jardy.

W przeciwieństwie do rozgrzanej pary z kotła, w który trafił pocisk. Gdyby Emmet nie trzymał wicehrabiego, ten zapewne zostałby zdmuchnięty za burtę, z obliczem zamienionym w ugotowaną, ohydłą masę, lecz być może

wciąż żywy. Zamiast tego kłęb pary buchnął mu prosto w twarz, zrywając skórę wraz z uśmiechem. Mountfellowowi pękł kark, litościwie urywając wrzask wyrywający się z gardła i zapewniając mu więcej miłosierdzia, niż na to zasłużył.

Z jego dłoni wypadła bowiem Pożoga.

Choć Sara była szybka, nie miała jak jej złapać.

Podobnie jak Emmet, zasłonięty przez ciało wicehrabiego.

Świeca uderzyła w pokład, opuszczając ochronny pierścień z dębu, jesionu i tarniny.

I tak oto ogień stał się wolny. Wolny, dziki i wygłodniały. Ze wszystkich zaś rzeczy, których pragnęła Pożoga, na pierwszym miejscu znajdowało się więcej ognia, ponieważ ogień rodzi ogień, a Pożoga miała do spalenia cały świat.

Świeca spadła na deski, odbiła się i wystrzeliła w kierunku silnika parowego oraz rozjarzonego paleniska pod nim.

Sara nie myślała. Po prostu skoczyła za nią, choć ogarek już się dopalał i choć wiedziała, że jest zbyt późno, zbyt daleko, że nie ma nadziei...

Emmet odrzucił ciało Mountfellowa jak szmatę i złapał ją, zatrzymując gwałtownie w powietrzu.

– Nie, Emm...! – zdążyła jedynie wysapać, zanim cisnął ją z całych sił, by znalazła się jak najdalej od holownika. Podczas kilku sekund bezradnego lotu zauważyła, jak odwraca się i wkracza w gorejące płomienie powstałe po eksplozji maszyny parowej. Zaraz potem uderzyła w zimną, twardą powierzchnię Tamizy i z jej płuc uszło całe powietrze. Tonęła, szamocząc się rozpaczliwie, a gdy w końcu udało jej się wynurzyć, dostrzegła, że wysoki czarny komin łodzi koziółkuje ku wodzie w towarzystwie

rozpalonych szczątków. Zanurkowała odruchowo, a gdy się na nowo wynurzyła,
panowała cisza.

Sara znajdowała się w wodzie, lecz nie mogła dostrzec miasta.

Nie było niczego oprócz bólu teraźniejszości. Żadnej przeszłości, żadnej przyszłości.

I nie widziała niczego oprócz płomieni.

I porażki.

I swojej dłoni, wyciągniętej, próbującej chwytać się nieba, łapać powietrze, powstrzymać ryczący nurt przed pochłonięciem również jej.

Była ostatnią z Ostatniej Ręki.

Nie zastanawiała się, czy pojawi się następna.

Nie zastanawiała się, czy pewnego dnia Kowal wróci i zbuduje wszystko od nowa.

Dziwiła się zamiast tego, dlaczego śnieg spadający z nieba na płonącą rzekę pojawił się w tym roku tak wcześnie.

ROZDZIAŁ LIV

Ogień w ogniu

Pożoga spali miasto.
Pożoga spali świat.

Pożoga spali wszystko oprócz siebie.

I Emmet to wiedział. Właśnie dlatego wszedł w ognistą kulę.

Właśnie dlatego mógł w nią wejść. Właśnie dlatego został stworzony. Właśnie dlatego był pustką.

Właśnie dlatego ignorował to, że ubranie oblekające potężne gliniane ciało spalało mu się na popiół.

Właśnie dlatego za nic miał palący ból, który był zdolny odczuwać. Czuł go tak dotkliwie, jakby składał się z ciała i krwi.

Właśnie dlatego, gdy eksplozja pożerała Tamizę, poszukując nowych rzeczy do spalenia, on sięgał do małego nieruchomego punktu, który miał pozostać nieruchomy, dopóki nie zapłonie cały świat.

I właśnie dlatego chwycił maleńki, najjaśniejszy płomyk świecy znajdujący się w centrum światła.

A następnie wcisnął go sobie do ust.

Świeca wpadła w zionącą w jego wnętrzu pustkę, a on zaczerpnął tchu. Ściskając bransoletę Zielonego Człowieka, czuł głęboko odwieczną siłę dębu, leczniczą siłę jesionu oraz niezachwianą ochronę tarniny i nie przestawał wciągać powietrza.

A odgłos jego oddechu był cichy, był niczym poddźwiękowy wrzask zrodzony na potężnym wichrze.

Wrzask zaś był wrzaskiem, i to jego wrzaskiem, ale tylko po części spowodowanym bólem. Zrodził się ze sprzeciwu, Emmet bowiem stał się wszystkim tym, za co uważał go Sharp – czującą, samodzielnie myślącą istotą, której poczynania wykraczały poza ślepe posłuszeństwo. Mógł się nią stać, ponieważ Jack Sharp uznał go za przyjaciela, ponieważ za sprawą swego uczucia pokazał mu, jak być czymś więcej niż tylko glinianym automatem, jakim powołał go stwórca.

Tak więc ból był bólem fizycznym tylko częściowo. Pożoga wyprążała od wewnątrz jego wilgotne gliniane ciało, przemieniała go w nieruchomą statwę, którą czasami przypominał. Częściowo zaś był to ból serca, pożegnanie ze swobodą ruchu, z życiem.

Ten odcień wrzasku, który wywodził się ze sprzeciwu, był wrzaskiem życia ciśniętego w samo jądro niszczyielskiego ognia, który golem połykał.

Czuł, jak dłoń zaczyna mu sztywnieć – Pożoga działała jak wewnętrzny piec. Wcześniej nasunął sobie na nadgarstek bransoletę Zielonego Człowieka. Splecione gałązki rozprostowały się i kilka się uwolniło, jednak amulet utrzymał formę, a gdy Emmet spojrział poprzez ryczące płomienie, dostrzegł zarys miasta. Nie przestawał ich zasysać, aż ogień zniknął, cała Pożoga bowiem znalazła się w jego wnętrzu. Wtedy szczelnie zamknął usta.

Sara wynurzyła się akurat na czas, by ujrzeć, jak golem połyka resztkę Pożogi.

– Emmet! – krzyknęła.

Gliniany człowiek obrócił się ku niej z wysiłkiem. Tuż przed tym, jak wypadł przez burtę i zniknął w wodzie, zauważyła kilka rzeczy.

Jego puste dotąd oczodoły teraz pełne były ognia.

Spojrzał na nadgarstek, na którym tkwiła bransoleta Zielonego Mężczyzny.

A następnie podniósł wzrok na nią, na Sarę.

I spróbował zmusić twardniejącą twarz do uśmiechu.



Teraz to Sara była pusta w środku. Tam, gdzie wcześniej tkwiło jej serce, ziała pustka, wewnętrzna próżnia spowodowana utratą przyjaciół, towarzyszy i jedynej prawdziwej miłości.

Może to właśnie ta pustka utrzymała ją na powierzchni, pozwoliła jej ruszyć z prądem, oddalić się od Bramy Zdrajców, od zejścia, i ruszyć w kierunku wielkiego łuku Blackwall Reach, ukrytego teraz za zakrętem. Może to właśnie ta pustka nie pozwoliła jej się zanurzyć w kojącym zapomnieniu, które obiecywał zimny nurt.

A może po prostu było to poczucie obowiązku.

Postanowiła rozplakać się później i zaczęła płynąć do brzegu.



Było ciemno i nie mógł się ruszyć.

Gdyby mógł, wsunąłby dłoń pod kurtkę, później zapaliłby świecę, by cokolwiek widzieć, następnie przypomniałby sobie, że nie może niczego widzieć, ponieważ jest ślepy, i roześmiałby się, gdyby mógł zaczerpnąć tchu. Lecz nie mógł. Między zębami miał twarde kamyki i zimne błoto. Znow spróbował się poruszyć, lecz choć był bardzo silny, żwir okazał się zbyt ciężki.

Gdy chciał się obrócić, poczuł ostry ból w nogach

i uświadomił sobie, że są połamane.

Nie miało to znaczenia. Przestał się obracać. I tak wkrótce odejdzie.

Coś warknęło w proteście i zdał sobie sprawę, że to Jed w jego głowie.

Uśmiechnął się, lecz usta miał na wpół pełne błota i kamyków.

Przypomniał sobie, że jeśli się postara, umie patrzeć oczyma Jeda, i tak właśnie zrobił.

Jak przez mgłę zobaczył żwir, błoto i łapy, zbyt wiele łap, i wtedy zrozumiał, że pies ma pomocnika. Archie zapamiętałe kopał, rozgarniając błoto razem ze swym ojcem.

Hodge ucieszył się, że dopuścił Jeda do tej rudej suki. Ród przetrwa.

Oczyma teriera widział teraz światło. Przynajmniej nie umrze w ciemności. A Jed mówił mu, że nie umrze samotnie.

To już coś.

Miał wrażenie, jakby z każdej strony miażdżyło mu pierś. Nie mógł już bardziej rozciągnąć płuc.

Nie miało to znaczenia. W wąskiej szczelinie pomiędzy drewnianą belką a żwirem i tak już nie wystarczy tlenu na długo.

Zaczynał odpływać. Nawet to, co widział dzięki Jedowi, stawało się blade i zamazane.

Czuł, że zaczyna tracić poczucie tego, co było i co jest, może dlatego, że to, co będzie, teraz przybrało postać nicości – i nicością miało pozostać już na zawsze.

To nie takie złe.

Podnosiła go na duchu wiedza, że nie jest sam, i cofnął się do czasów, kiedy był chłopcem, do długiej, straszliwej

nocy, którą poświęcił, próbując wykopać Jiga, swojego pierwszego teriera, z podobnego osuwiska na brzegu rzeki. Tamtej nocy jego serce złamało się po raz pierwszy. Nie udało mu się, lecz nie przestawał kopać, dopóki nie znalazł ciała. Aż do ostatniej chwili miał nadzieję na cud.

Przysiągł sobie, że już nigdy nie utraci żadnego psa, i nie utracił.

To już coś. A teraz wiedział, że ponieważ wtedy nie dał za wygraną, przyniosło to Jigowi otuchę, bo choć umierał w ciemności, sam, to nie był samotny.

To wielka różnica.

Ostatnią rzeczą, jaką zobaczył, zanim stracił kontakt z Jedem, były dłonie. Dołączyły do psich łap i pomagały odrzucać żwir, lecz ich nie rozpoznawał, nie należały do przyjaciół. Były to dłonie pokryte plątaniną ciemnych tatuaży, dłonie wrogów, wiedział więc, że pozbawiony tlenu mózg dręczą już halucynacje. Powiedział więc Jedowi, że nigdy nie miał lepszego przyjaciela i że go kochał, ale teraz musi odejść i to jest w porządku.

Zapewnił go, że teraz zajmie się nim Charlie Pyefinch, on z kolei powinien się troszczyć o swojego syna, bo wprawdzie Archie jest wspaniałym szczeniakiem, ale potrzebuje trochę...

...i wtedy zapomniał, czego potrzebuje młodszy pies. Poleciał Jedowi, żeby przestał kopać, ponieważ czuł, że dudniące serce przyjaciela jest bliskie pęknięcia, a Jed jako terier jest zdolny dosłownie zaharować się na śmierć, zamiast odpuścić w jakiegokolwiek walce.

Powiedział mu, że był dobrym psem.

Nie wciągnął już kolejnego płytkiego tchu, nicość, której zbliżania się był świadomy, nadeszła, i świat przestał istnieć.



Na zewnątrz do odgłosów kopania dołączyła wysoka, żałobna nuta. Sluagh przzerwali pracę i spojrzeli na niepokieszonego psa wyjącego w gasnącym świetle, w którym wirowały pierwsze płatki śniegu.

ROZDZIAŁ LV

Czas minął

Minęło kilka tygodni. Jest Boże Narodzenie, a Londyn leży zagrzebany pod grubą śnieżną pierzyną, dzięki czemu przez krótką nieskalaną chwilę wszystko wydaje się magiczne i czyste.



Na Wyspie Psów, w najchłodniejszej części odcinka Tamizy zwanego Blackwall Reach, gdzie mieściła się Baniałuka, panowała cisza. Z komina nie unosił się dym, kuchnia była pusta, a palenisko zimne. Pomiedzy ostrokrzewem a jarzębiną widać było dwa długie kopce. Wykopano je obok siebie, jakby miały dotrzymywać sobie towarzystwa i dzielić się ciepłem w obliczu chłodu. Nie ustawiono na nich nagrobków, ale na jednym postawiono duży, mocno zużyty miedziany garnek, a w drugi wbito wąską łopatkę szczurołapa. Obok niej stała baryłka, a we wnętrzu tej zaimprovizowanej budy leżał solidnie sfatygowany psi koc.

Po samym psie nie było śladu.



Na pustej parceli, gdzie niegdyś wznosiła się Kryjówka, teraz znajdowała się płaska biała powierzchnia, a wierni wyłaniający się z duńskiego kościoła na środku placu mieli niezakłócony widok na St George Street, doki oraz rozciągającą się dalej połyskującą nitkę rzeki.



W kantorze Templebane'ów śnieg leżący na świetlikach pograżał długie pomieszczenie w nietypowym półmroku. Tuż za piecem, gdzie Abchurch dotarł do końca swej drogi, stał ktoś nasłuchujący ciszy. Otrząsnął się, wziął płaszcz z taboretu obok i podszedł do głównych drzwi. Zamknął je na klucz, był to bowiem teraz jego dom, a on cenił sobie jego zawartość, w przeciwieństwie do historii. Utykając, wyszedł na ulicę i skierował się na północ.

– Wesołych świąt, panie Własny! – zawołał chłopak ze sklepu z warzywami, zamiatający śnieg na chodniku po przeciwnej stronie.

Człowiek w płaszczu skinął głową i uśmiechnął się do niego.

Wbrew sobie usłyszał myśli chłopca.

„On nie jest taki jak tamci inni Templebane'owie, co tam mieszkali. Może to dlatego zmienił se nazwisko na Własny. Jest w porządku, choć niemy”.

Amos Własny uśmiechnął się. Chłopak miał słuszość. Był w porządku. I zmienił nazwisko, bo nie należał do żadnego przeklętego Templebane'a. Wziął nowe od jedynej osoby, do której należał.



W szpitalu Bedlam ostatni tego nazwiska Coram Templebane usiadł i wyjrzał na zaśnieżony dziedziniec poniżej, zastanawiając się, czy Bill Ketch przyniesie mu coś wyjątkowego na świąteczny posiłek, gdy skończy już pilnować obłąkanej siwowłosej kobiety. Ta obchodziła ostrożnie podwórko, solidnie okutana w kilka warstw odzieży, i spoglądała radośnie w niebo, wyciągając dłonie,

gdy próbowała chwytać śnieżynki.

Nie słyszał, jak Zmora mówi Ketchowi, że to wcale nie śnieg, lecz płatki majowych kwiatów, i że wszystko jest już dobrze, że wiosna przyszła, wkrótce przyjdzie ją odwiedzić córka i niewątpliwie przyniesie landrynki, jak poprzedniego dnia.



Dom przy Chandos Place nie miał już mlecznych, ślepych okien. Opalizujące szyby zostały zastąpione przezroczystymi, przez które widać było świece i ciepły blask rozpalonych kominków.

Dziewczynka o bladej twarzy obserwowała ze swej sypialni w budynku naprzeciwko, jak mężczyzna przed drzwiami frontowymi unosi dłoń i do nich puka, a pierścień z krwawnikiem na jego palcu wydaje ostry stukot.

Drzwi otworzyła szczupła młoda kobieta w zielonym jedwabnym komplecie do jazdy konnej. Miała ściągnięte do tyłu ciemne włosy, a na jej dłoni, zakrytej rękawiczką, również widniał pierścień.

– Amosie – powiedziała z uśmiechem. – Witaj.

„Wesołych świąt, Lucy Harker”.

Spojrzał na gęste wiązki iglastych gałązek ozdabiających hol za jej plecami.

„Twój dom wygląda bardzo świątecznie”.

– To dzieło Idy. Ona i Charlie są w kuchni, kłócą się o pudding – rzekła, zapraszając go gestem. – I to nie tylko mój dom, Amosie. Również twój.

Sara Falk schodziła właśnie po schodach, opierając się na rękę Emmeta, żeby ukryć fakt, że utyka.

– Właśnie dlatego nosi miano Kryjówki – oznajmiła Sara.
– No wchodź. Jack Sharp przyrzędził coś o nazwie *wassail*, przepis znalazł w książce z recepturami Kucharki, i cokolwiek to jest, moim zdaniem powinniśmy mu pomóc to wypić, zanim sam skosztuje choć odrobinę więcej. Istnieje poważne niebezpieczeństwo, że jeśli nie przestanie, to wkrótce zacznie śpiewać, i choć poszłabym za nim na koniec świata, to prawda jest bolesna: słoń nadepnął mu na ucho.

Emmet poruszał się z nietypową sztywnością, w związku z czym u boku Sary wyglądał niemal dostojnie.

Po masakrze na Schodach Żelaznej Bramy Sara wynajęła na trzy tygodnie inny holownik i bezskutecznie bagrowała dno rzeczne w poszukiwaniu jego ciała. Co wieczór donosiła Sharpowi o niepowodzeniu. Właściwie to Jed znalazł golema pewnego poranka, kiedy Charlie, wciąż liżący się z ran, dokuśtykał na brzeg przy Bramie Zdrajców, żeby sprawdzić, dlaczego stary pies tak uporczywie ujada. Odpływ ukazał znajomą glinianą dłoń zaciśniętą wokół rdzewiejącego łańcucha, przykutego tuż pod powierzchnią do jednego z pali. Golem najwyraźniej stwardniał w statuetkę, a Pożoga zniknęła z jego wnętrza. Na psim powozie przewieźli go do Banialuki, przekonani, że już go stracili. Zamierzali pochować go obok Kucharki i Hodge'a, gdy Sharp zauważył, że na jego nadgarstku wciąż tkwi bransoleta z trzech rodzajów drewna, i stwierdził, że wyczuwa w dłoni Emmeta żywe ciepło.

Przez niemal tydzień upierał się, żeby przy nim siedzieć, trzymać go za tę rękę, mówić do niego i spać obok na deskach. Pewnego ranka golem powoli usiadł, nachylił się i z lekkim uśmiechem obudził mężczyznę.

Wtedy było już wiadomo, że Emmet jest na dobrej drodze

do odzyskania dawnej ruchliwości.

Amos uśmiechnął się do niego.

„Masz nowy płaszcz”.

Emmet powoli skinął głową.

„Dał mi go Jack Sharp. Zażartował”.

„Jack Sharp zażartował?”

„Udawał, że mi go nie da, dopóki nie powiem mu, gdzie ukryłem Pożogę”.

„I powiedziałaś?”

„Oczywiście, że nie. Naszym zadaniem jest jej ochrona. A jest bezpieczniejsza, jeśli nikt nie wie, gdzie się znajduje”.

Wtedy, gdy nikt inny nie patrzył, za plecami Sary mrugnął do chłopaka.

„Poza tym nie potrafię mówić, Amosie Własny”.



Lucy Harker stała w wejściu, plecami do oszczędnie urządzonego georgiańskiego holu wspartego na kolumnach, i wyglądała na zasłaną śniegiem ulicę. Nie potrafiła uwierzyć, że to jej dom, że w ogóle ma dom, ale była jedynym dzieckiem Mountfellona i choć nie została wymieniona w żadnym jego testamencie, pojawiła się w tym, który po wizycie Sary i Sharpa jego prawnicy uznali za obowiązujący. Lucy spytała ich, czy wykorzystywanie mocy na niespodziewających się tego adwokatach nie stanowi naruszenia podstawowego zadania Nadzoru, czyli pilnowania, aby istoty naturalne i ponadnaturalne nie wykorzystywały siebie nawzajem.

Sara parsknęła, a Sharp złapał dziewczynę za ramiona i powiedział jej bardzo stanowczo, że Prawo i Obyczaj to jedno, lecz sprawiedliwość naturalna nad nimi góruje.

A zarówno on, jak i pozostali członkowie Nadzoru mają ogromny dług wobec natury, gdyż ocaliły ich lecznicze moce bransoletek Zielonego Człowieka. Ukryta siła głębokiej zieleni była chyba najstarszą i najbardziej dobroczynną ze wszystkich ponadnaturalnych potęg, z którymi Nadzór wszedł w kontakt, na dodatek stykał się z nią tak rzadko, że Sharp bardzo słabo ją rozumiał. On i Charlie zawdzięczali jej jednak życie.

Dziewczyna zamknęła drzwi i podążyła za hałasem, żeby dołączyć do pozostałych w kuchni na dole. Nie myślała o sprawiedliwości naturalnej, po prostu cieszyła się, że jest ich tam tak wielu. Sharp, Sara, Charlie Pyefinch, Amos i Emmet to pięcioro. Pełny skład Ostatniej Ręki, nawet jeśli zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami na przełomie roku Ida miała wrócić do Austrii.

A przecież była też wysoka kobieta, krzątająca się właśnie przy połyskującym upieczonym indyku, ta dodająca dziwnej otuchy postać, która od niedawna przejęła zadania kuchenne (z zastrzeżeniem, że to rozwiązanie tymczasowe. Wraz ze swym krzepkim, jowialnym mężem zostawili na zimę wóz w stajniach za domem, zamiast jak zwykle spędzać ten wolny od przedstawień czas wraz z innymi cyrkowcami na dziedzińcu za gospodą Starego Harry'ego). Kto powiedział, że Rose i Barnaby Pyefinchowie nie mieliby zmienić zdania w kwestii udzielonej wcześniej odmowy i stać się zaczątkiem nowej, drugiej Ręki? Charlie na pewno bardzo by się ucieszył, mając w pobliżu rodziców, zwłaszcza że sam mógł teraz podróżować znacznie mniej niż dawniej z racji swych nowych obowiązków: został bowiem oficjalnym teriernikiem przy londyńskiej Tower.

Przyda mu się jakieś pocieszenie, gdy Ida odejdzie,

pomyślała Lucy, patrząc, jak Charlie obserwuje dziewczynę, starannie dolewającą wody do brytfanny, w której gotowała się na parze okryta muślinem kula – ostatni pudding śliwkowy Kucharki. Od wydarzeń nad Tamizą nie dopuszczała do niego absolutnie nikogo, podlewała go brandy i wyraźnie dawała do zrozumienia, że granica kulinarnych obowiązków Rose leży dokładnie w tym punkcie, w którym ona, Ida, ma wypełnić ostatnie życzenie Kucharki.

Ale to nie dlatego Charlie nie mógł przestać na nią patrzeć. To gorszące, ale Austriaczka nie miała na sobie zwyczajowego stroju łowieckiego, lecz dopasowaną sukienkę i wydekoltowaną spodnią bluzkę, ujawniające w talii krągłości, na co dzień maskowane praktycznym ubiorem.

– To nie sukienka, idioto – oznajmiła Ida, zarzucając kitkami, gdy po raz pierwszy zająknął się z zaskoczenia, widząc ją w nietypowym ubraniu. – Mamy specjalną okazję, nie? Nie mogę cały czas być Portkami. To dirndl.

– To nie dirndl – mruknęła pod nosem Sara, tak by usłyszał ją tylko Sharp. – To prowokacja. Charlie zrobił się bardziej czerwony niż chustka Kucharki.

Wtedy zobaczyła, że Lucy ją podsłuchuje, i zmierzyła dziewczynę wzrokiem. Lucy przez chwilę czuła się zażenowana, dopóki nie zauważyła, że Sara opuściła powiekę w – nie spodziewała się tego – przyjaznym mrugnięciu.

Lucy popatrzyła na nich wszystkich, wesoło krzątających się wokół stołu uginającego się od rozmaitych świątecznych potraw.

Miała nadzieję, że nie zepsuje im uroczystości, gdy powie, że wiosną zamierza popłynąć do Ameryki

i wyruszyć na szlak oregoński, gdy tylko otworzy się on na nowo. Należało sprowadzić do domu pewne skradzione dziecko i choć odnalezienie go nie przywróci Cait życia, przynajmniej pomoże spłacić dług wobec Irlandki.



Dziewczynka o bladej twarzy odwróciła się od okna, gdy drzwi frontowe zamknęły się za Ostatnią Ręką, i uśmiechnęła się do ojca, który przyszedł zabrać ją na dół na uroczysty posiłek. Przez cały ranek czuła smakowite zapachy.

Nie do końca wiedziała, kim są te wszystkie ciekawe osoby, które zajęły dom naprzeciwko, ale przyjaźniła się z Lucy, która często ją odwiedzała i nazywała dobrą samarytanką. Dziewczyna opowiadała różne zabawne historie o ulicach wielkiego miasta, które dla niej, jako inwalidki, pozostawało niedostępne.

Nie miała pojęcia, kim jest tych pięcioro dziwaków, których Lucy Harker kiedyś przypadkiem nazwała Ostatnią Ręką.

Czuła się jednak bezpieczniej, odkąd tam przebywali.

Epilog

Na początku był hałas.

Na początku znajdował się pod ziemią, lecz słyszał dźwięki dochodzące z powierzchni.

Na początku, pod koniec długiego łańcucha początków, zagrzebany pod torfem i starannie ułożonymi głazami, nie widział niczego oprócz ciemności.

Jednak jakaś jego pradawna część wciąż słyszała, jak płatki śniegu opadają na wrzosa porastające zbocze wzgórza.

Nie było to nowe odczucie.

Przypominał sobie, że już tu kiedyś przebywał.

Był pierwszym z Pierwszej Ręki i przysiągł, że będzie ostatnim z Ostatniej, jeśli dojdzie do jej kresu.

Jeśli już nie doszło.

Teraz zamierzał spać, a gdy śnieg opadający miękko na zbocze zniknie, może wówczas wstanie wraz z wiosną, przyszłą wiosną albo jedną z kolejnych, które nadejdą później.

Nie odszedł.

Dochodził do zdrowia pod wzgórzem i świat zobaczy go, gdy będzie go potrzebował albo gdy czarna plama zniknie całkiem z jego grzbietu. Czuł teraz jej skazę i wiedział, dlaczego Matka Kruków uwięziła go pod ziemią.

Jak zawsze dla jego własnego dobra.

Może gdy się przebudzi następnym razem, czarna plama

okaże się mniejsza lub nawet zupełnie zniknie.

Kowal przekręcił się na drugi bok i zamknął oczy. Zamierzał znowu spać. Wiedział już jednak, że pewnego dnia się obudzi, opuści mrok w mroku i wyjdzie z powrotem na światło.

A wtedy zobaczy to, co powinien zobaczyć...

KONIEC

Dramatis Personae

Nadzór

Kowal – kowal, jubiler i doradca

Sara Falk – strażniczka Kryjówki przy Wellclose Square

pan Sharp – obrońca i strażnik

Kucharka – niegdysiejsza piratka

Hodge – teriernik i łowca szczurów w londyńskiej Tower,
oślepiiony

Charlie Pyefinch – łowca szczurów w trakcie pobierania
nauk

Ida Laemmel – łowczyni, góralka i członkini *pro tempore*,
należy do Die Wachte z Austrii

oraz

Emmet – człowiek z gliny

Jed – terier staroangielski

Archie – młody mieszaniec teriera staroangielskiego

Kruk – bardzo stary ptak

Londyn

Francis Blackdyke, wicehrabia Mountfellow – naukowiec,
który został nadnaturalistą

Obywatel – zielonkawy nieprzekupny, uważany za

zmarłego
pojmany Sluagh – obiekt eksperymentów
Zielony Człowiek – równie nieszczęsny więzień
Lemuel Bidgood – sędzia pokoju i krynica lokalnej wiedzy
John Rogers Watkins – właściciel holownika parowego
Monarcha
William Ketch – posługacz w szpitalu Bedlam, niegdyś pijak
i opryszek, teraz abstynent
dziecko o bladej twarzy – kaleka zamknięta w domu,
zmuszona oglądać świat przez okno
Ruby – dama lekkich obyczajów, o bystrym wzroku

Na wsi, a później w Londynie

Zmora z izolatki – dawniej z domu pracy dla sierot
Andover, prawdziwe imię nieznane
Amos Templebane – adoptowany syn Issachara (niemowa,
ale rozumny)

Templebane'owie i ich słudzy

wielmożny Issachar Templebane – prawnik i pośrednik
Coram Templebane – adoptowany syn, niegdyś faworyt,
teraz znacznie zdeprecjonowany
Abchurch Templebane – pożądlivy adoptowany syn, wielce
niegodziwy
Garlickhythe Templebane – adoptowany syn, strzelec
wyborowy
Vintry, Shadwell i inni synowie Templebane'a –

adoptowani, rozmaicie uzdolnieni, tak samo nieżyczliwi
oraz
Dorcas – pokojówka, przypadkowo piękna i celowo
nietchórzliwa

W Ameryce Północnej

Caitlin Sean ná Gaolaire – *venatrix* ze Skibbereen
Lucy Harker – Wejrzeniec i zagubiona dziewczyna,
teoretycznie jej uczennica
Obadiah Tittensor – właściciel i kapitan Panny Nantasket,
mieszkający w Bostonie w stanie Massachusetts

Paryż

mężczyzna o czerwonej twarzy – wybitny kupiec, handlarz
futrami, zaskoczony
Clothilde – uległa służąca
bracia Wachman – Alpy

Sukcesorzy

Strażniczka – pierwsza spośród równych w Wielkim Kręgu
Spadkobierców
Prudence Tittensor – żona Obadiaha, powierniczka
tajemnic
suka Shay – pies gończy o licznych dokonaniach
pies Digger – jej potomek

Pedel – uzbrojony regulator
siostra Lonnegan – kobieta o niewyparzonym języku
wielmożny F. Armbruster – myśliwy, przewodnik, traper,
poszukiwacz, człowiek gór
wielmożny Jon Magill – także

Hebrydy

woźnica – pochodzący z Portree właściciel kucyka
i dwukółki do wynajęcia
Donald Ban MacCrimmon – rządcą zamku Dunvegan Castle,
w przeciwieństwie do przodków niegrający na dudach
Beira – „Màthair nam Fitheach”, bardzo stara dama
mieszkająca w domu na końcu świata

Rutlandshire

lokaj
Turner – pechowy stangret
główny ogrodnik – biedny, pechowy człowiek o dobrych
intencjach

Pomiędzy światami

John Dee – znany jako wędrowiec pomiędzy światami
dwóch okrągłogłowych – lustrzane zjawy, bracia
drwal i ochmistrz pokładowy – lustrzane zjawy,
niespokrewnieni

Wyjęci spod prawa i obyczaju

Hern – rogaty myśliwy

Nos i Chart – jego kościopsy

Czaszka Borsuka – wódz Sluagh

Czaszka Jastrzębia – mściwy Sluagh

Słonkowa Korona – nieprzejednany Sluagh

Shee – żony Sluagh

Podziękowania

Jak zawsze jestem bardzo wdzięczny moim redaktorom, Jenni Hill i Joannie Kramer z Orbit UK oraz Willowi Hintonowi z USA. Potrafią świetnie równoważyć stanowczość i pobłażliwość. Kolejny raz dziękuję Lauren Panepinto za pracę nad okładkami wydań oryginalnych. Dziękuję też moim agentom Karolinie Sutton z Curtis Brown i Michaelowi McCoyowi z Independent za to, że pomogli mi pogodzić pracę pisarza i scenarzysty. Dużo wdzięczności mam dla Morag Stewart, która pomogła mi z językiem gaelickim. I co najważniejsze, ogromnie dziękuję mojej rodzinie, wszystkim trzem pokoleniom, że tolerowali tę marudną, niedźwiedzią wersję mojej osoby, która zwykle pojawia się, gdy piszę książki.

Na Północnym Uist można znaleźć ukryte i niezwykle dobrze zachowane podziemie, bardzo podobne do tego, w którym zostawiamy Kowala. Jestem naprawdę wdzięczny Hugh Potterowi, że był tak miły i pozwolił mi tam zejść, żeby je zbadać. Mój stary przyjaciel, podróżnik i pisarz Barnaby Rogerson fascynuje się obecnymi tam wyłożonymi kamieniem komnatami, odkąd byliśmy na studiach, i zaraził mnie swoim entuzjazmem. W zasadzie nie wiadomo, w jakim celu powstały – raczej nie mają znaczenia rytualnego, nie wykorzystywano ich do pochówków lub przechowywania żywności (o czym świadczy brak ciał albo szczątków organicznych). Zdają się

skonstruowane, przynajmniej w Szkocji, przez tych samych ludzi z epoki żelaza, którzy wykonali *brochy* (z których jeden znajduje się zresztą blisko miejsca, które odwiedziłem). Być może teraz, gdy widzieliśmy, gdzie śpi Kowal, znamy przynajmniej jedno zastosowanie.

Jeśli jesteście ciekawi, jak wygląda Monarcha, holownik parowy, który Mountfellow wynajął od pana Watkina, istnieje szansa, że już go widzieliście – William Turner namalował go ciągnącego pozbawiony masztów kadłub *Temeraire* i jest to jeden z jego najpiękniejszych, a przy tym najsmutniejszych obrazów.

Flaga Wrózek, która tak rozczarowała Kowala, wciąż jest przechowywana w zamku Dunvegan i jeśli poprosicie MacLeodów, mogą ją wam pokazać. Nie mówcie im, że to falsyfikat. Sławni MacCrimmonowie rzeczywiście przez pokolenia byli dudziarzami MacLeodów, dopóki tradycja ta nie wygasła z niewiadomych przyczyn. Teraz znacie powód. Jeśli chcecie zobaczyć cmentarz na małej wyspie, gdzie Kowal spodziewał się znaleźć prawdziwą flagę, udajcie się drogą z Portree do Skeabost i znajdziecie go na zachód od wysokiego mostu przecinającego rzekę Snizort. Idźcie tam o zmierzchu. Nie poślizgnijcie się w drodze na dół.

Ołowiane tabliczki, które interesowały Armbrustera i Magilla, są najprawdopodobniej identyczne z tą, którą odkopano w pobliżu miasteczka Pierre w Dakocie Północnej. Pozostawili ją tam bracia de la Vérendrye w drodze z Quebecu na zachód, przez Wielkie Równiny. Zostali oni pierwszymi Europejczykami, którzy ujrzeli Góry Skaliste od wschodu. A dlaczego miałyby one ciekawić Armbrustera i Magilla? Cóż, to zupełnie inna opowieść... Być może Caitlin Sean ná Gaolaire będzie musiała stać się

teraz jej częścią.

O autorze

CHARLIE FLETCHER mieszka w Edynburgu i z zawodu jest scenarzystą. Ponadto pisze powieści dla dzieci i młodzieży. Jego trylogia *Stoneheart* została przetłumaczona na kilkanaście języków. Pierwszy tom tego cyklu nominowano do nagrody Branford Boase oraz do nagrody Children's Fiction czasopisma „Guardian”. Inna powieść Fletchera, *Far Rockaway*, doczekała się nominacji do nagrody Carnegie Medal.

Charliego Fletchera można znaleźć na Twitterze (@CharlieFletch_r), ponadto prowadzi stronę www.charriefletcher.com.

MROczne STRONY



FANTASTYKI



– Spójrz na to. Czy powtórzysz, że to nie twoja sprawa? – spytał Sluagh. Otworzył skórzanego worek i podał go Hernowi, który powąchał zawartość i odwrócił pakunek do góry dnem.

Na trawę wypadło kilka sporych kości, ludzka czaszka i coś, co wyglądało na duży, postrzępiony zwój pergaminu.

– Widywałem już wcześniej kości. Co w nich takiego?

– Rozwiń rulon – polecił Czaszka Borsuka.

Hern rozwijał sztywny materiał, dopóki nie zauważył, że to nie pergamin, lecz skóra, na dodatek taka, która nigdy nie pokrywała Sluagh. Początkowo jego ruchy charakteryzowały się zniecierpliwieniem, jednak wkrótce pojawił się w nich szacunek, gdy wyglądał dłonią pokrytą charakterystycznym tatuażem powierzchnię. Płatanina czarnych linii zbiegała się w wielkim wizerunku czaszki słonki, umieszczonej pomiędzy miejscami, gdzie dawniej znajdowały się łopatki, dziób zaś biegł w dół kręgosłupa. Dwa ogromne, puste oczodoły wydawały się wpatrywać w myśliwego patrzącego na nie w świetle księżyca.

– Oblupił ze skóry jednego z nas. – Hern spojrział na Sluagh, a ten przytaknął.

– Pojmał, zabił, oskórował żywego lub umarłego, a później wygotował ciało z kości. To nie są łowy dla rozrywki, lecz dla sprawiedliwości. Ktoś musi za to odpowiednio zapłacić, tak każe Prawo i Obyczaj – powiedział.

„Ostatni” – fragment



Autor z wyczuciem porozstawiał pionki na szachownicy, stworzył barwną kanwę dla swojej opowieści i pozostawił czytelnika w zawieszeniu oraz oczekiwaniu na moment wielkiej kulminacji. Biorąc pod uwagę ilość otwartych wątków i postaci, których losy są ze sobą splecione, ostatnia część trylogii może być naprawdę spektakularna.

polter.pl

Fletcher to zdecydowanie autor, który nabiera rozpędu powoli, ale gdy już na dobre się rozkręci, to pokazuje wyrefinowany styl. Fani dark fantasy nie będą mieli problemu z odnalezieniem się w lekturze.

opetaniczytaniem.pl

· C · H · A · R · L · I · E ·
F L E T C H E R

OSTATNI

TRYLOGIA NADZORU, TOM 3

Nadzór jest najbardziej niebezpieczny,
gdy zostaje mu niewielu członków. Wielu z tych,
którzy o tym zapomnieli, już nie żyje.

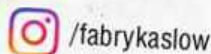
Nadzór tysiące lat temu zaprzysiął, że będzie chronić krainy śmiertelników i istot nadnaturalnych przed żerowaniem na sobie nawzajem.



Teraz, gdy tajne stowarzyszenie znalazło się na skraju zagłady, jego siedziba została zniszczona, a ostatni członkowie rozproszyli się po świecie. Nadzór musi walczyć o przetrwanie. Będzie też musiał stawić czoła najgroźniejszemu wrogowi, z jakim się kiedykolwiek zetknął: sobie samemu.



fabryka słów
WYDAWNICTWO



fabrykaslow.com.pl